VINCENT V. **SEVERSKI**

NOWA SERIA AUTORA BESTSELLEROWYCH POWIEŚCI SZPIEGOWSKICH

ZAMĘT

VINCENT V. **SEVERSKI**
ZAMĘT

WYDAWNICTWO CZARNA OWCA
WARSZAWA 2018

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

27

28

29

30

31

32

33

33

35

37

38

40

41

42

43

45

46

47

50

53

55

56

57

58

60

61

62

63

64

65

66

69

70

71

72

73

74

76

77

78

80

83

85

86

87

88

92

93

94

96

97

98

100

Przypisy końcowe

Opracowanie redakcyjne: Mirosław Grabowski
Projekt okładki, zdjęcia i obiekt: © Krystyna Pieńkos
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka
Korekta: Małgorzata Szewczyk, Beata Wójcik
Redaktor prowadzący: Małgorzata Hlal

Copyright © by Vincent V. Severski, 2017
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego
i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-718-7

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
www.czarnaowca.pl
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

1

W tym roku kwiecień w Islamabadzie obfitował w gwałtowne burze i ulewne deszcze połączone z wichurami, czasami przeplatane gradobiciem. Ulice w kilka chwil zamieniały się w bystre potoki niosące fragmenty roślinności i resztki, jakie wydaje z siebie pakistańska stolica. Tworzyły się rozległe bajora, z których woda z trudem ściekała do burzowników i zapchanej kanalizacji. Mimo to miasto żyło naturalnym rytmem, jakby nie zauważało, że pogoda w tym roku nie trzyma standardu.

Przy zadbanej reprezentacyjnej Jinnah Avenue kanalizacja działała sprawnie, więc skutki rozszalałej aury nie były tak uciążliwe. Firma Oregon mieściła się na jedenastym piętrze jednego z wieżowców centrum biznesowego Blue Area, a jej północne okna wychodziły wprost na góry Margala. Mimo że wszystkie stacje telewizyjne na bieżąco podawały komunikaty o nadciągających burzach, tylko obcokrajowcy śledzili oficjalny przekaz. Miejscowi woleli sami spojrzeć w stronę gór i ocenić, czego należy się spodziewać.

Korpulentny Mudżahid, czterdziestoletni inżynier z gęstą brodą do piersi, w oliwkowym wyprasowanym salwar kamiz, mógł niemal bezbłędnie przewidzieć pogodę na najbliższą godzinę. Tak przynajmniej uważał.

– Mister Henryk, będzie dzisiaj grad jak oliwki… ojojoj… to pewne… – ciągnął w paklish, stojąc w oknie i z politowaniem kręcąc głową, jakby

miał pretensję do Allaha, że go nie słucha.

Olewski siedział w skórzanym fotelu, z nogami na stole. Dłonie splótł na czubku głowy i balansując ciałem, obracał się delikatnie raz w lewo, raz w prawo. Popatrywał to na telefon, który leżał na biurku, to na nieustannie paplającego inżyniera, to na zegar ścienny z rzymskimi cyframi.

Za miesiąc miał skończyć czterdzieści pięć lat, ale że był wysportowany i zadbany, spokojnie mógł mówić, że ma czterdzieści. Wprawdzie praca nad własnym ciałem kosztowała go dużo wysiłku, bo lubił obficie zjeść i nie stronił od alkoholu, jednak w sumie się opłacała, gdyż czuł się wyśmienicie.

Była za siedem dziesiąta, kiedy w jego telefonie zabrzmiał sygnał esemesa.

Mudżahid zamilkł, ale się nie odwrócił.

– Weź się do roboty i przygotuj w końcu tę umowę, bo jak nie, to… – rzucił ostro Henryk, lecz urwał w pół zdania.

Odsiedział jeszcze chwilę w niezmienionej pozycji i dopiero gdy Mudżahid, ociągając się, wyszedł z pokoju, sięgnął bez pośpiechu po telefon.

Przeczytał tekst: *2/12/07*.

To była znacznie lepsza wiadomość, niż się spodziewał. Czekał na nią od trzech miesięcy i nie wierzył już, że ten dzień kiedykolwiek nadejdzie. Chwilami nawet tracił nadzieję. A teraz poczuł, jak ogarnia go panika i jednocześnie euforia. Przestał oddychać, jakby ktoś wypompował z niego powietrze. Wiedział, że nie może dać się ponieść emocjom, bo to tylko odbierze mu jasność myślenia i pogłębi stres. W kilka sekund zrobił się mokry, poczuł, jak kropelki potu łaskoczą go po plecach.

Położył obie dłonie na piersi i zaczął równomiernie oddychać, wciągając głęboko powietrze nosem i wypuszczając ustami. Coś mu podpowiadało, że

tak powinien robić, że to pomoże, tak go przecież szkolili. Jednak tym razem stres był silniejszy. Henryk czuł się jak uczeń przed pierwszą randką.

Dopiero kiedy z całej siły uderzył pięścią w masywny blat biurka, aż wszystkie przedmioty uniosły się na moment w powietrze, poczuł wyraźną ulgę.

– I co ja mam teraz zrobić? Poinformować? Nie zdążę… bo… – powiedział na głos, jakby się zapomniał. – *Fuck!* – dodał niewyszukanie.

Podszedł do okna i zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed chwilą stał Mudżahid. Poczuł wiszącą w powietrzu woń jego lepkiego potu.

Jak to, kurwa, jest? Mudżahid cuchnie niczym stara koza, a salwar kamiz ma wyprasowany jak w reklamie proszku do prania – pomyślał i spojrzał na góry Margala. Na niebie kłębiły się wypiętrzone ołowiane chmury, a pod nimi ciągnęła siwoszara ściana deszczu.

– Po raz pierwszy cap podał dobrą prognozę pogody… – Popatrzył na zegarek, była dziesiąta. – Nic, kurwa, nic… – Westchnął głęboko. – Jadę tam… bo zaraz wszystko zatonie i dupa blada. A masz jakiś wybór, Heniu? – Ostatnie słowa wypowiedział z nutką autoironii i zaraz dorzucił: – No, kurwa… nie masz!

2

Monika wyszła na ulicę. Po kilku krokach zatrzymała się, bo nagle zdała sobie sprawę, że nie pamięta, gdzie zaparkowała samochód, i zdenerwowała się jeszcze bardziej. Rozejrzała się, niepewna, w którą ma iść stronę.

To była jej piąta w ciągu ostatnich trzech dni wizyta u profesora Jana Skoniecznego. I znów nic nie załatwiła. A przecież sam ją namówił, by przygotowała do wydania album ze swoimi pracami, obiecał napisać do niego wstęp… Poświęciła na to kilka miesięcy. Tymczasem teraz jaśnie pan profesor unika jej jak ognia. Coraz częściej przychodziło jej do głowy, że może powinna zrezygnować i olać ten pomysł, ale nie miała w zwyczaju się poddawać.

Po krótkim zastanowieniu ruszyła w prawo, w kierunku ulicy Jaracza. To tam, naprzeciwko teatru Ateneum, zaparkowała swojego dwudziestoletniego golfa cabrio z zepsutym mechanizmem otwierania dachu.

Od trzech lat, zawsze gdy wkładała kluczyk do zamka, obiecywała sobie, że musi to naprawić. Dziś jednak powtórzyła tę obietnicę znacznie dobitniej, bo na głos, ozdabiając ją kilkoma mocnymi epitetami pod adresem profesora.

Natychmiast poczuła się lepiej. Obleśny, niesłowny i leniwy Skonieczny wyzwolił w niej pełną entuzjazmu wolę, by w końcu zreperować dach

golfa, tym bardziej że wiosna już się rozszalała, choć był dopiero początek kwietnia.

Monika Arent zbliżała się do czterdziestki, ale równie dobrze można było powiedzieć, że przekroczyła dopiero trzydziestkę. Taki miała typ urody. Ale ważniejsze było to, że dwadzieścia lat ćwiczenia jogi zatrzymało czas w jej smukłym ciele, nadało mu giętkość i płynność ruchów jak u kosmonauty zawieszonego w przestrzeni.

Medytacja ukształtowała charakter Moniki, a szczególnie silną wolę i zdrowy dystans do problemów tego świata. Tak jej się przynajmniej wydawało i powtarzała sobie nieustannie, że taka właśnie jest.

W gruncie rzeczy była nadwrażliwa i delikatna, zupełnie nieodporna na ludzką krzywdę i podłość innych. Wyzwalało to w niej czasami agresję, którą dzięki ćwiczeniom medytacji potrafiła w sobie stłumić.

Monika była właścicielką małej galerii MiniMidiMax na Solcu, gdzie bliscy znajomi i zupełnie obcy artyści wystawiali swoje prace, od małej rzeźby i ceramiki do wielkoformatowego malarstwa. Dwa stoliki i cztery krzesła potrafiły obsłużyć kilkanaście osób przychodzących na wernisaże czy projekcje, choć powodów do spotkań nie trzeba było specjalnie wymyślać. Zwłaszcza latem, kiedy galeria zajmowała też część chodnika. Jednak największą atrakcją była sama właścicielka.

Nikt nie potrafił powiedzieć o niej nic konkretnego ani się pochwalić jakimś swoim intymnym sukcesem, bo Monika nikogo do siebie nie dopuszczała, nie zapraszała do domu, jakby cały swój świat chciała zamknąć w galerii.

Partnerów wybierała spoza środowiska, więc wszystkim się wydawało, że ma jakiś ukryty alternatywny świat. Tajemniczość, która była zaprzeczeniem powszechnego ekshibicjonizmu, dodawała jej jeszcze większego uroku.

Nierzadko znikała z Warszawy i nikt wtedy nie wiedział, gdzie jest. Nie odbierała telefonów i nawet Kasia, jej pomocnica w galerii, pytana, kiedy Monika wróci, najczęściej rozkładała bezradnie ręce.

Rodziły się więc nieustannie plotki, domysły, nawet pikantne historyjki i zwykłe bajania na temat jej romansów, które żyły krótko i umierały, by narodzić się zaraz na nowo, pod inną postacią. Takie było środowisko artystów na warszawskim Powiślu.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik zarzęził głośno, by po kilku sekundach złapać niepewny rytm, aż w końcu, jakby zmuszony uderzeniem dłoni w kierownicę, zapalił z głośnym beknięciem.

Nie zdążyła wrzucić wstecznego, gdy w jej kieszeni odezwał się telefon. Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny z krótko przyciętą brodą i imię „Robert”.

– Tak… – odezwała się.

– Jak poszło, skarbie? – zapytał Robert.

– Nic nowego – odparła obojętnie.

– Co teraz?

– Nic.

– Jak to nic?

– No… nic.

– Może zmienisz redaktora?

– Może.

– Gdzie jesteś?

– Siedzę w samochodzie.

– Dokąd jedziesz?

– Mam spotkanie w galmoku z jednym plastykiem.

– Aha… A potem?

– Do galerii.

– O której będziesz w domu?

– Wieczorem.

– Przyjechać do ciebie?

– Nie… dzisiaj nie.

– Zadzwonisz?

– Tak – odpowiedziała, ale pomyślała: nie.

Robert był jej partnerem od kilkunastu tygodni. Wzięty adwokat z Nowego Świata. Przystojny, zamożny, inteligentny, rozwiedziony i bezdzietny. Spełniał wszystkie parametry na dłuższy związek. Był niemal idealny. Seks całkiem dobry, chociaż niezbyt zaawansowany. Nie robiła z tego żadnego problemu, bo w końcu uprawiała jogę, więc potrafiła nadrobić braki w jego technice.

Wszystko wskazywało na to, że związek układa się po jej myśli. Jednak z upływem czasu okazało się, że Robert właściwie niewiele odbiega od schematu i jest podobny do swoich zapomnianych już poprzedników.

Najgorsze jednak było w nim to, że miał w sobie za dużo miłości. Tego Monika nie lubiła. Uważała, że potrzebuje tyle miłości, ile sama daje, więc każde zachwianie tej proporcji uznawała za obciążenie dla związku. Na domiar złego Robert ciągle zadawał pytania, wykazując, jak uważała, emocjonalną nadgorliwość. Monika nie lubiła odpowiadać, bo czuła się wtedy śledzona. Jakby ktoś na siłę próbował wejść do jej duszy, odebrać część intymności.

Jednak wszystkie wcześniejsze związki rozpadały się z innego powodu. Monika uważała, że mężczyźni to notoryczni kłamcy i jest tylko kwestią czasu, kiedy się zdekonspirują. Nawet jeżeli na początku próbują grać uczciwie, to w końcu i tak kiedyś zaczynają kłamać. A kłamców rozpracowywała natychmiast.

Sama natomiast nie kłamała, chociaż nie mówiła wszystkiego. To było trudne do zaakceptowania dla jej partnerów, którzy jakby w odruchu obronnym sami zaczynali kręcić. Dlatego obopólny zarzut kłamstwa był zwykle głównym tematem pożegnalnej rozmowy.

Jedynym mężczyzną, który nie kłamał, był Dima. Ale to tylko potwierdzało regułę. Niestety, Dima nie był jej partnerem, chociaż zdarzały się takie chwile, że niczego nie pragnęła bardziej.

3

Nazywali go Tygrysem i on bardzo to lubił, bo taki przydomek miał wielki Zahir ad-Din Muhammad Babur.

Wszyscy myśleli, że jest Czeczenem, ale on był Lezginem z Dagestanu. W Waziristanie każdy należał do jakiegoś plemienia, więc nikogo nie interesowało, z którego kaukaskiego szczepu on pochodzi. Liczyło się, że był kiedyś przyjacielem Osamy.

Wyróżniał się talentem przywódczym, charyzmą i doświadczeniem bojowym, a kałasznikow był częścią jego ciała. Okrucieństwo wobec wrogów islamu dodatkowo podnosiło prestiż Tygrysa, budowało etos prawdziwego wojownika Allaha.

Osobiście ściął piętnastu żołnierzy, którzy wpadli w jego zasadzkę, i od tego czasu był najbardziej poszukiwanym terrorystą w Pakistanie. Przynajmniej teoretycznie, bo o każdej akcji wojska skierowanej przeciw jego oddziałowi wiedział wcześniej.

Miał trzydzieści pięć lat, długą brodę, rudą i gęstą, którą nieustannie przeczesywał lewą ręką, i pakol przesunięty na czoło. Na co dzień nosił mundur polowy pakistańskich komandosów, do pasa przypiętą miał berettę i czterdziestocentymetrowy perski nóż z rękojeścią zdobioną macicą perłową. Mówił, że to prezent od Osamy, który dostał, gdy ochraniał go w górach Tora Bora. Wprawdzie żaden z piętnastu bojowników oddziału

Tygrysa nigdy nie spotkał boga Al-Kaidy, jednak sam fakt, że ich dowódca dotykał Amira al-Muminina, wystarczał, by poszli za nim na śmierć.

Nadszedł dzień, w którym Tygrys miał sprawdzić ich gotowość oddania życia w imię Allaha.

Uderzenie na hotel Monal w Pir Sohawa było najtrudniejszą akcją, jaką przyszło mu przeprowadzać, niemal samobójczą, ale takie wyzwania lubił najbardziej. Obiekt położony był na wysokości ponad tysiąca pięciuset metrów, na szczytach gór Margala, skąd rozpościerał się przepiękny widok na Islamabad.

Ulubione miejsce artystycznej, biznesowej i politycznej elity stolicy, popularne wśród dyplomatów i turystów, nie było specjalnie chronione. Prowadziła do niego tylko jedna wąska, ruchliwa, kręta droga, więc atak terrorystyczny wydawał się bezsensowny. Tak uważały władze.

Właśnie dlatego kilka miesięcy wcześniej Tygrys przygotował plan uderzenia na Monal. Miał wszystko rozpracowane w najdrobniejszych szczegółach i – co najważniejsze – zapewnioną pomoc od wewnątrz. Wiedział, że wycofać się stamtąd będzie bardzo trudno, dlatego zaplanował zakończenie akcji wielkim fajerwerkiem, tak by cały Islamabad mógł to zobaczyć.

Dochodziła dziesiąta trzydzieści i znów zaczęło padać. Siedzieli w kucki pod zielonymi pelerynami w niedużym, gęsto zarośniętym jarze, starając się chronić przed deszczem swoje automaty i amunicję. Do hotelu mieli wprawdzie tylko dziesięć minut przez rzadki las, lecz teren był podmokły i stromy, więc trudny do przejścia.

W ciszy powtarzali wersety Koranu, z niecierpliwością spoglądając w stronę Tygrysa, który cały czas rozmawiał z kimś przez radiostację. Wydawał się bardziej zdenerwowany niż zwykle i wszyscy to wyczuwali.

Oryginalny plan uderzenia, który opracował, był zupełnie inny niż ten, jaki miał teraz zrealizować.

Chciał zaatakować w letni wieczór, kiedy hotel będzie pełen gości, niewiernych, by zadać jak najboleśniejsze straty, a potem wysadzić budynek w powietrze. Noc sprzyjałaby ucieczce i utrudniała pościg. Przyszło mu jednak poprowadzić natarcie w środku tygodnia, w godzinach porannych, podczas deszczu, kiedy w hotelu jest niewielu gości, wziąć zakładników i wycofać się z nimi w góry. To nie było to, co sobie wymarzył, ale taki otrzymał rozkaz i musiał go teraz wykonać.

– Przestało padać… Ruszamy – oznajmił głośno, podniósł się i zrzucił z siebie pelerynę. – W imię Boga Wszechmogącego… Niech Bóg ma nas w swojej opiece…

– *Allah akbar!* – zgodnie zawołało ośmiu bojowników i też zrzuciło peleryny.

– Zaczynamy – zameldował jeszcze do radiostacji.

– Jesteśmy na miejscu – padło z głośnika. – *Allah akbar*… W imię boże…

Ruszyli gęsiego w dół po stromym, śliskim zboczu, przytrzymując się drzew. Po kilku minutach dotarli na skraj dużego hotelowego parkingu, na którym stało kilka pojazdów. Ruch był niewielki: przemknął motocyklista, odjechał biały samochód. Skryci w krzakach, naciągnęli na twarze kominiarki.

Dowódca wysunął się do przodu i przez chwilę obserwował teren. Po czym dał znak ręką w lewo i czterech bojowników z kałasznikowami gotowymi do strzału oddaliło się w kierunku, który im wskazał. Dobrze wiedzieli, co mają robić.

Tygrys wbiegł na parking pierwszy, a czterech pozostałych bojowników parę sekund po nim. Rozdzielili się na dwie grupy i ruszyli w kierunku

hotelu.

Wpadli do westybulu. Tygrys krótką celną serią zabił portiera i zaskoczonego ochroniarza, który nawet nie zdążył wyjąć broni. Chwilę później cały hotel zagrzmiał od przeciągłych serii z AK-47 i zatrząsł się od huku eksplodujących granatów. Zaraz też dołączył do tego przeraźliwy krzyk mordowanych ludzi.

Każdy dokładnie wiedział, co ma robić. Nie strzelali na oślep. Tygrys wraz z dwoma bojownikami wbiegł do restauracji, gdzie już wcześniej dotarł jego człowiek z grupy, która zaatakowała hotel od tyłu. Wszyscy goście i obsługa leżeli na podłodze. Kilkanaście osób z twarzami do ziemi.

– Muzułmanie, wstać! – krzyknął w urdu Tygrys.

Na zewnątrz słychać było powtarzające się serie z automatu. Podniosło się dziesięć osób, w tym dwie starsze kobiety w tradycyjnych salwar kamiz i z dupattą na ramionach. Do restauracji wbiegł mężczyzna w kominiarce na głowie i garniturze, jaki noszą pracownicy hotelu. Podszedł do Tygrysa i wskazując ręką w stronę czterech osób, które wciąż leżały, wyszeptał mu coś do ucha.

– Wstać! – Tygrys lufą karabinu pokazał, co mają zrobić. – Dokumenty!

Jednocześnie dał znak głową stojącemu obok bojownikowi, który szybko wymienił magazynek w swoim automacie i nawet nie mierząc, otworzył ogień do ludzi stojących z podniesionymi rękami.

4

W lipcu Józef skończył dziewięćdziesiąt cztery lata. Siedział na wózku i przysypiał. Kilka lat temu miał wylew, a rok później wszczepiono mu endoprotezę stawu biodrowego, więc nawet nie próbował chodzić.

Oglądał świat z wózka, którym nie był w stanie poruszać. A i ten ogląd miał ograniczony, bo wzrok popsuł mu się już do tego stopnia, że Józef nie był w stanie ani czytać, ani oglądać telewizji. Słuchanie radia też nie wchodziło w grę, bo bez aparatu słuchowego był całkowicie głuchy. Zresztą problemy z pamięcią utrudniały mu odnalezienie aparatu, a jeśli nawet przypadkiem na niego natrafił, nie był w stanie go włączyć ani odpowiednio ustawić, tym bardziej że gościec całkowicie zdeformował mu palce.

Dlatego najlepsze, co mógł robić, to spać. Ale nikt nie wiedział, czy cokolwiek mu się śniło, bo kiedy Józef się budził, już nic nie pamiętał albo nie chciał pamiętać. Albo nie chciał powiedzieć.

Bo pamięć semantyczną, epizodyczną i autobiograficzną miał wyśmienitą. Tak twierdził lekarz z ośrodka Dobre Wspomnienia w Zagórzu, w którym pod opieką ukraińskich pielęgniarek przebywał Józef Hofmann, zdobywca Berlina, od trzydziestu lat emerytowany pułkownik wywiadu wojskowego.

Dima zaparkował samochód i wyjął z bagażnika torbę z zakupami. Suszonymi morelami, bananami, piernikami i śliwkami w czekoladzie,

sypaną herbatą gruzińską. To był stały zestaw, który co tydzień przywoził Józefowi.

Starzec siedział na tarasie przykryty pledem, z opuszczoną głową na piersi, ale nie spał. Dima odnalazł w jego kieszeni aparat słuchowy, włożył mu do ucha i postawił naprzeciwko krzesełko.

– Słyszysz? – zapytał, patrząc mu w twarz.

– Tak… dobrze… – odparł niepewnie Józef. – Dawno cię nie było.

– Byłem tydzień temu.

– Kłamiesz! Nie byłeś! – obruszył się Józef.

– Przywiozłem ci zakupy…

– Jak długo będziesz mnie tu trzymał? – Starzec spojrzał gniewnie na Dimę. – Chcę wracać do domu i zająć się swoimi sprawami. Tu wszystko za mnie robią i człowiek głupieje… i te Ukrainki… w ogóle ich nie rozumiem…

– Nie rozumiesz, bo nie zakładasz aparatu. Ile razy będę ci tłumaczył, że musisz mieć stałą opiekę? A nie mogę cię wziąć do siebie. – Dima spokojnie wypowiadał zdania, które powtarzał za każdym razem, kiedy odwiedzał Józefa.

Ale gdyby mógł, też pewnie by go nie wziął.

Józef Hofmann był biologicznym ojcem Dimitriosa i właściwie nikim więcej, był obcym starym człowiekiem. Człowiekiem, który porzucił matkę i jego, gdy miał sześć lat.

Byli wówczas na placówce we Włoszech, gdzie Józef pełnił oficjalnie funkcję attaché wojskowego, a w rzeczywistości był oficerem Oddziału II Zarządu II Sztabu Generalnego. O tym jednak Dima dowiedział się od matki wiele lat później. Utkwiło mu w pamięci jedynie to, że ojciec traktował go jak zabawkę i nieustannie musztrował, jakby chciał zrobić z niego wzorowego żołnierzyka. Nigdy nie okazał mu zwykłej czułości,

opieki, zainteresowania, których Dima tak bardzo wtedy potrzebował. Za to ciągle czuć było od niego alkohol, co prowadziło do dzikich domowych awantur, które wszczynał z byle powodu. W końcu porzucił rodzinę, zrzekł się praw do syna, zatopił w wódce, kochankach i karierze wojskowego szpiega. Znikł z życia Dimy na prawie czterdzieści lat, ale nowej rodziny nigdy nie założył.

Byli jeszcze we Włoszech, kiedy matka, Rosa, rozpaczliwie poszukująca szczęścia, nawiązała romans z drobnym peruwiańskim biznesmenem i krętaczem Jorge Calderonem. Zaraz po rozwodzie wyjechała za nim do Ameryki Południowej, zabierając ze sobą swojego małego Dimitriosa. W gruncie rzeczy wcale nie kochała Calderóna, ale chciała być daleko od Polski. A Peru, jak jej się wydawało, było najdalej.

Poślubiła Jorge i przyjęła jego nazwisko, on zaś usynowił Dimitriosa. To było przyzwoite, spokojne małżeństwo i Dima dorastał w ciepłym grecko-polsko-peruwiańskim domu. Aż do pewnego sierpniowego popołudnia.

Miał niespełna szesnaście lat i właśnie kończył jezuickie Colegio de la Inmaculada, gdy Jorge został zastrzelony na ulicy w Limie przez nieznanych sprawców. Zaraz potem okazało się, że cały majątek rodziny Calderónów był zadłużony u wspólnika Jorge, i Rosa wraz z synem, pozbawieni środków do życia, musieli wracać do Polski.

Zamieszkali we Wrocławiu, u dziadka Jordanisa. Wkrótce Dima przeniósł się na studia do Warszawy. Nigdy nie próbował szukać ojca, choć wiedział, gdzie mieszka.

Dostał się na socjologię i wsiąkł towarzysko na całego.

Był przystojnym mężczyzną o silnych śródziemnomorskich rysach, nieco wydatnym, ale kształtnym nosie i głębokich ciemnych oczach. Nazywał się Dimitrios Calderón i nikt nie wiedział, czy jest bardziej Grekiem, czy Hiszpanem. Ale on czuł się Polakiem.

Józef odszedł z wojska jeszcze przed 1986 rokiem i bez powodzenia próbował się zaczepić w przemyśle zbrojeniowym. Dopiero kiedy skończył osiemdziesiąt pięć lat, przeszedł resekcję żołądka, przestał pić i zaczął szukać syna.

Dima oczywiście o tym wiedział, ale starał się go unikać. Nigdy, nawet w myślach, nie nazywał Józefa ojcem. Nie czuł do niego nic, nawet gdy się dowiedział, że schorowany i samotny dogorywa w mieszkanku na Ochocie. A gdyby nawet chciał się z nim wtedy spotkać, to i tak by nie mógł, bo mieszkał za granicą i był zupełnie kimś innym.

Jednak pewnego dnia, pięć lat temu, pod wpływem jakiegoś niezrozumiałego do dzisiaj impulsu, zdecydował się do niego zadzwonić. Spotkali się w parku obok jego domu. To nie był już ten sam Józef Hofmann, który żył w ciemnych zakamarkach wspomnień. Przed Dimą stał zaniedbany starzec o zaropiałych oczach, wsparty na kuli.

Kiedy miesiąc później dostał wylewu i trafił do szpitala, Dima zaczął się nim opiekować. Znalazł dla niego ośrodek w Zagórzu, do którego musiał dopłacać, bo emerytura Józefa nie wystarczała na pokrycie nawet połowy kosztów.

Od tej pory regularnie odwiedzał starca, lecz wciąż nie nazywał go ojcem, tak jak i on nie nazywał go synem. Rozmawiali, ale nie mieli wspólnych wspomnień.

– No i co się dzieje w polityce? – zapytał Józef, biorąc od Dimy obranego banana.

– Nic nowego…

– Burdel? Cały czas ten polski burdel?

– Polska polityka… nic nowego…

– Trzeba ich wszystkich zagonić do sypania wałów przeciwpowodziowych… lenie i nieuki… Josif Wissarionowicz

potrzebny… chociaż może być też Piłsudski… Matoły rządzą ciemnym narodem! – Józef oddał skórkę z banana.

– Chcesz jeszcze? – zapytał Dima.

Ale Józef nie odpowiedział, bo zasnął.

I przyśnił mu się Stalin w białym galowym mundurze bez odznaczeń. Często mu się śnił, on jednak nigdy o tym nie pamiętał albo nie chciał pamiętać. Ale Dima wiedział.

5

Kapitan Zbigniew Błaszczyk, naczelnik Wydziału II Biura Informacji i Analiz Agencji Wywiadu, spóźnił się do pracy pół godziny, bo musiał odwieźć żonę na badania.

Od lat starali się o dziecko, ale teraz państwo zlikwidowało dofinansowanie in vitro i musieli wziąć pożyczkę. „Będzie dziecko na kredyt, które samo siebie spłaci” – żartował czasami, choć wcale nie było mu wesoło, bo miał jeszcze kredyt we frankach.

Wjechał na trzecie piętro, otworzył swój gabinet i nawet nie zdejmując kurtki, zapadł się w fotelu. Niemal w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka zajrzał rozczochrany i zaspany major Piórko, który miał nocny dyżur.

– Depeszki ze świata, szefie? – zapytał niepewnie. – Dać?

Naczelnik milczał, wpatrzony w obraz za oknem. Udawał, że nie słyszy, choć wiedział, że to naiwne i Piórko przecież nie zniknie. No bo kto miałby odrobić nocne depesze? Od pięciu lat tymi dwoma pytaniami zaczynał się każdy dzień. Zmieniała się tylko głowa, która co rano zaglądała do gabinetu.

– Coś pilnego? – zapytał, nie odrywając wzroku od okna.

– Nic. Nudna noc na świecie…

– Dawaj.

Piórko wsunął się cały i położył na biurku dwucentymetrowy plik dokumentów.

– To ja już idę do domu – rzucił, wychodząc, a Zbigniew kiwnął tylko głową.

Depesze ułożone były w kolejności odbioru w punkcie szyfrowym, czyli godziny przyjścia nie musiały się zgadzać z następstwem czasu wysłania. Informacje z Korei Północnej, Chin i Japonii zawsze rozpoczynały listę i sukcesywnie, wraz z obrotem Ziemi, przesuwały się przez Azję Środkową, Indie, Pakistan, Iran, Rosję, Kaukaz, Bliski Wschód aż do Afryki Zachodniej.

Teraz kapitan Błaszczyk musiał posortować te szyfrogramy według tematu, ocenić wstępnie ich znaczenie na podstawie źródła pochodzenia i nadać każdemu klauzulę pilności. Pierwszy dowiadywał się od agentów o najważniejszych problemach tego świata, grożących katastrofach, wojnach i zdradach. Wiedział o tym wszystkim jeszcze przed swoim dyrektorem, szefem AW, ministrami, premierem, prezydentem, czasami szefem NATO, a bywało, że i prezydentem USA. I właściwie decydował, czy oni powinni się dowiedzieć. Ta świadomość mile łechtała mu ego i choć na chwilę dawała złudzenie, że to on decyduje o losach Polski i świata. A bywało, że czytał depesze, które mroziły krew w żyłach, chociaż ich nadawcy czasami nie zdawali sobie sprawy, o czym tak naprawdę piszą.

Wiedział też, że najważniejsze depesze, które rzeczywiście zmieniały oblicze świata, omijały kogoś takiego jak on i z dopiskiem „natychmiast do rąk własnych” lądowały wprost z Biura Szyfrów na biurku szefa AW. Czasem z uwagą „natychmiast, ale nie w nocy”, jeśli nadawca nie był pewny, czy budzenie szefa nie obróci się kiedyś przeciwko niemu.

Wstał i odwiesił kurtkę do szafy. Wrócił na fotel. Przyciągnął do siebie plik dokumentów, położył na nim dłoń i ocenił, że sortowanie zajmie mu

nie więcej niż pół godziny. Biorąc do ręki depeszę z Pjongjangu, przez interkom przypomniał sekretarce o kawie.

Po dziesięciu minutach doszedł już do depeszy z Delhi i uznał, że Piórko miał rację. Tej nocy nie wydarzyło się na świecie nic ważnego, nic takiego przynajmniej nie dotarło na trzecie piętro, bo siódme miało swoje prawa. Połowa depesz była zwykłymi zapchajdziurami, jakie często piszą oficerowie za granicą, żeby wyrobić normę i zaistnieć.

Wziął do ręki depeszę numer 254 z Islamabadu.

Od płk. Ziaula Amina, z konferencji dla łączników w siedzibie ISI

Dzisiaj o godz. 11.30 oddział Tehrik-i-Taliban pod dowództwem komendanta Tygrysa dokonał ataku na kompleks hotelowy w Pir Sohawa w płn. części Islamabadu. W wyniku ataku zginęło 35 osób spośród gości hotelu i personelu. Terroryści uprowadzili 4–5 obcokrajowców. ISI prowadzi intensywne działania w celu ustalenia narodowości uprowadzonych. Według wstępnych informacji są wśród nich obywatele Niemiec i Japonii. Akcja została przeprowadzona przy całkowitym zaskoczeniu pakistańskich służb i trwała kilkanaście minut. Terroryści, zabierając ze sobą zakładników, wycofali się w góry. Pościg nie przyniósł żadnych efektów. Akcja trwa.

Depesza była podpisana przez oficera o pseudonimie „Khan”, czyli Wiktora Brauna. Kapitan znał go bardzo dobrze, bo byli na jednym roku w Kiejkutach i nawet dzielili pokój.

Nie lubił go, chociaż obaj skończyli szkołę szpiegów jako prymusi, ale to Braun był we wszystkim lepszy. Przede wszystkim był lepiej urodzony i to kapitan uważał za największą niesprawiedliwość. Ojciec Wiktora, znany dziennikarz i korespondent zagraniczny, więzień polityczny PRL-u,

człowiek ustawiony w każdym politycznym środowisku Warszawy, mógł wszystko i miał wszystko. Przyszły Khan ukończył prawo na Uniwersytecie Stanforda i mógł zostać, kim tylko chciał, ale wybrał wywiad. Od początku był więc skazany na sukces, jako pierwszy polski szpieg z dyplomem Stanforda.

Od razu trafił do pionu operacyjnego pod skrzydła samego pułkownika Pańskiego, nauczyciela sztuki werbunku, i dostawał do prowadzenia najlepsze sprawy. Był złotym dzieckiem wywiadu, wróżono mu szybką i spektakularną karierę. Wciąż awansował. Wkrótce po szkole, pod przykryciem attaché prasowego, udał się do ambasady w Moskwie. Jechać na pierwszą robotę do Rosji to było coś więcej niż zaszczyt. Dla każdego szpiega na świecie byłby to dowód uznania jego kompetencji i profesjonalizmu. Stamtąd, awansowany na majora, przeniósł się prosto do Islamabadu, gdzie został łącznikiem z pakistańskimi służbami ISI.

W Pakistanie był już od miesiąca. Codziennie przesyłał depesze, które Błaszczyk czytał z obrzydzeniem i jeśli tylko mógł, odkładał na bok jako bezwartościowe. I w gruncie rzeczy takie były, bo Braun był mistrzem w dmuchaniu balona. Niektórzy naczelnicy chętnie dawali mu zawyżone oceny – choćby za informacje wyciśnięte z gazet – tym samym inwestując w swoją przyszłość. Ale nie kapitan Błaszczyk. On znał Brauna najlepiej i nie dawał się nabrać. Khan dobrze o tym wiedział, ale nie mógł się pozbyć dawnego kolegi, który w końcu też był prymusem. Co mógł, robił za jego plecami, ale nie przeginał, żeby sobie nie zaszkodzić.

Błaszczyk nie trafił do pionu operacyjnego, bo się nie nadawał, a właściwie wcale tego nie chciał. Wolał być analitykiem i siedzieć za biurkiem. Może gdyby się ugiął, pojechałby w końcu na jakąś placówkę i uregulował swoją sytuację finansową, ale na razie byłoby to ponad jego zasady.

Dlatego też depeszę Khana numer 254 z Islamabadu ocenił jako „gazetę” i odłożył na bok.

Braun był nadętym bubkiem, mistrzem autopiaru i oszustem, przy tym wyjątkowo inteligentnym i przebiegłym. Wysoki, wysportowany i zawsze elegancki, nawet w polowym mundurze roztaczał wokół siebie aurę, którą sprawnie wykorzystywał, by uzależniać od siebie ludzi. Wbrew ogólnej opinii nie był jednak idealnym oficerem wywiadu. Błaszczyk zdemaskował go niemal od razu, jeszcze w Kiejkutach, kiedy wszystkim się wydawało, że dyplom Stanforda może zastąpić metrykę. Nikomu nie mówił o swoich odkryciach, bo jako solidny analityk musiał potwierdzić swoje podejrzenia w drugim źródle.

W relacjach Błaszczyka z Braunem było jednak coś więcej, coś, o czym Khan nie wiedział, a co było polisą ubezpieczeniową kapitana na wypadek, gdyby po jakimś zakręcie politycznym Braun został szefem Agencji Wywiadu. Było to bardzo prawdopodobne i analityczny umysł kapitana nie pozostawiał mu złudzeń, że trzeba się na taką okoliczność przygotować i ubezpieczyć.

Każdy oficer wywiadu wie, że jeśli uzyskuje od swojego źródła tajną informację, musi potem napisać dwie depesze. Raport ze spotkania z agentem wysyła do wydziału operacyjnego prowadzącego sprawę, natomiast uzysk informacyjny ze źródła – dodatkowo do wydziału analitycznego. I tę drugą depeszę zawsze dostawał kapitan Błaszczyk.

Kiedy Braun pracował w moskiewskiej rezydenturze, pisał raporty i informacje ze spotkań ze swoimi źródłami, kandydatami w rozpracowaniu i dwoma agentami, których wówczas prowadził. Błaszczyk otrzymywał tylko depesze informacyjne i choć nie miał prawa znać źródła ich pochodzenia, to przy odrobinie wysiłku, pogłębionej analizie terenu, znajomości psychiki Brauna i braków w jego profesjonalizmie mógł

z prawie stuprocentowym prawdopodobieństwem wskazać z imienia i nazwiska źródło informacji.

Metodologię błędów Brauna opanował z czasem niemal do perfekcji. Robił systematyczne zapiski, które odpowiednio kodował i układał w ciąg przyszłych oskarżeń.

Notatnik trzymał w służbowej szafie między Koranem i *Krótkim kursem historii WKP(b)*. I czekał na ten dzień, kiedy będzie mógł go wyjąć i wykorzystać po raz pierwszy i ostatni.

Sięgał już po depeszę z Teheranu, gdy zastygł z wyciągniętą ręką, jakby o czymś zapomniał. Przez moment mu się wydawało, że to jakaś bezwartościowa impresja, złudzenie, które skrywa się gdzieś w zakamarkach jego intuicji, kiedy nagle do niego dotarło, że powinien wrócić do depeszy Khana z Islamabadu.

Przeczesał wzrokiem krótki tekst, szukając błędu, braku spójności lub logiki, i poczuł miły przypływ satysfakcji, jaki miał za każdym razem, kiedy złapał jakiegoś oficera na szyciu sprawy.

Tym razem jednak satysfakcję miał większą niż kiedykolwiek wcześniej. Wstał, podszedł do szafy i wyjął swój zielony notatnik z hakami na Khana.

6

Wygnani na początku XVI wieku z Hiszpanii, przodkowie rodziny Behomoiras po kilku latach tułaczki przybyli do Salonik, gdzie na skraju imperium otomańskiego znaleźli swoją spokojną przystań.

Nazywali się wówczas zupełnie inaczej, ale nikt już nie pamiętał jak, ani nawet skąd się wzięło ich nazwisko, ani tym bardziej, co właściwie oznacza.

Sefardyjczycy osiedlili się obok Romaniotów – swoich żydowskich braci, którzy mieszkali w Grecji od dwóch tysięcy lat – i z czasem stworzyli razem z nimi jedno środowisko, żyjące w zgodzie z chrześcijanami i muzułmanami.

Rodzina Behomoiras, korzystając z możliwości, jakie dawał port w Salonikach, zajmowała się handlem oliwkami i ceramiką. Nie dorobili się jednak znaczącego majątku. Dopiero po uzyskaniu przez Grecję niepodległości zaczęli się powoli bogacić. Na początku XX wieku dziesięcioosobowa rodzina przeprowadziła się z drewnianych portowych baraków do solidnego murowanego domu w żydowskiej dzielnicy Baron Hirsch. Tam też wiosną 1915 roku urodził się Pepo, czyli Josef, ostatnie dziecko Angel i Morisa Behomoiras.

Pepo był inny niż pozostała siódemka rodzeństwa. Marzył o studiach i nic więcej go nie interesowało, żaden rodzinny biznes. Jedynie hebrajskiego nie chciał się uczyć, bo uważał, że to zbędny język i nie warto

poświęcać mu czasu tylko po to, żeby przeczytać jedną książkę. Dlatego swój tekst na bar micwę musiał wkuć na pamięć. W domu, na złość rodzinie, nie używał ladino, mówił tylko po grecku i nie jadł koszernego, a w szabas wychodził do miasta. Pepo był ostatnim, późnym dzieckiem, ukochanym przez rodziców i starsze rodzeństwo, więc pozwalano mu na wszystko.

Dopiął swego i został pierwszym studentem w historii rodziny Behomoiras. Rozpoczął naukę filozofii na państwowym Uniwersytecie Arystotelesa w Salonikach. Studiował krótko, bo poznał drobną Miriam Koen, też studentkę filozofii, w której się zakochał z wzajemnością. Ale jeszcze bardziej zakochał się w Komunistycznej Partii Grecji i musiał rzucić naukę, tym bardziej że w 1936 roku Miriam powiła bliźnięta Rosę i Rafaela, a co gorsza – wkrótce zdelegalizowano partię komunistyczną.

Od tego czasu Pepo prowadził małą drukarnię w siódmej dzielnicy, dofinansowywaną przez jego zamożne rodzeństwo z Baron Hirsch, całkowicie nieświadome tego, że wspiera III Międzynarodówkę. Trzy lata później urodziła się niepełnosprawna Flora i Pepo nie zdążył dołączyć do swoich hiszpańskich przyjaciół, bo republika już padła pod ciosami faszystów.

Nie minęły dwa lata, a w Salonikach pojawili się Niemcy i niemiecki porządek, który od razu zrobił duże wrażenie.

W odróżnieniu od prawie wszystkich greckich Żydów Pepo wiedział, co znaczy ów niemiecki porządek, i próbował ratować, kogo się dało. Tłumaczył, przekonywał, wzywał, przeklinał i groził, ale nawet najbliższa rodzina stukała się w głowę, słuchając jego opowieści. Wskazywali na Wagnera, Goethego, a przede wszystkim Mendelssohna i Heinego, nie mówiąc już o produktach z napisem *made in Germany*. W końcu Pepo

zrezygnował z walki o umysły rodaków i rodziny Behomoiras i postanowił zająć się tylko żoną, bliźniakami i kaleką Florą.

Uznał wówczas, że najlepszym sposobem będzie dołączyć w górach do oddziału partyzanckiego ELAS i walczyć o rodzinę i przyszłość Żydów z bronią w ręku. Dowódcą oddziału był jego najbliższy przyjaciel z dzieciństwa, starszy o trzy lata Jordanis Lazopulos, absolwent filozofii i towarzysz partyjny.

Pepo zginął szybko, jak przystało na odważnego i słabo wyszkolonego partyzanta. Miał dwadzieścia siedem lat. Zanim umarł, Jordanis, trzymając stygnącą dłoń przyjaciela, obiecał mu, że zaopiekuje się jego rodziną. I chociaż był komunistą, to taką obietnicę uważał za świętą. Zawsze dotrzymywał słowa, gdy trzeba było komuś pomóc. A rodzinę Pepo traktował jak własną. Oprócz niej miał jeszcze tylko swój oddział partyzancki, najlepszy w górach Pindos.

Miriam załamała się zupełnie po śmierci Josefa i kategorycznie odmawiała wyjazdu z Salonik, do czego namawiał ją Jordanis, pomny obietnicy, jaką złożył umierającemu Pepo. W końcu się zgodziła, by Rosa i Rafael, którzy mieli już po sześć lat, udali się na tereny wyzwolone. Trudno jej było porównać, gdzie głód był większy, w górach Pindos czy w Salonikach. Uznała jednak, że samej będzie jej łatwiej zadbać o Florę, a Jordanisowi ufała w pełni.

W lutym 1943 roku Niemcy i greccy faszyści spędzili wszystkich Żydów z Salonik do dzielnicy Baron Hirsch, więc Miriam z chorą Florą w wózku przeniosła się do domu rodziny Behomoiras.

Nie mieszkała tam długo. W kwietniu Niemcy podstawili pociąg, który miał wywieźć Żydów na nowe miejsce osiedlenia w Polsce. Miriam od dawna wiedziała, że Niemcom nie można ufać, i nie spodziewała się niczego dobrego. Ale nie miała wyboru. Siostra Pepo, Sara, pożyczyła jej

pieniądze na bilet i cała rodzina Josefa, która od setek lat mieszkała w Salonikach, wsiadła do pociągu i pojechała na ciemną i zimną Północ.

Miriam dobrze zrobiła, oddając bliźnięta pod opiekę Jordanisa. Pod koniec 1944 roku cała Grecja była już wolna od Niemców, ale do pokoju było jeszcze daleko. Nad krajem wisiało widmo wojny domowej, więc oddziały ELAS pozostawały pod bronią. Jordanis Lazopulos i jego ludzie też.

Rosa i Rafael podrastali pod opieką Jordanisa w świecie bez huśtawki, skakanki i piłki, za to osłuchani z odgłosami wystrzałów i wybuchów. Na ich pytania o mamę i siostrę nikt nie znał odpowiedzi, a przynajmniej nikt nie wiedział niczego na pewno, więc pytali o nie coraz rzadziej. Powoli jednak zaczęły spływać informacje o losie Żydów w Europie. Bliźnięta nie brały ich jednak do siebie, bo słowo „Żyd” nie miało dla nich wyraźnego znaczenia. Uważali się za część oddziału Jordanisa, a jego za ojca. On zaś traktował ich jak własne dzieci i posyłał do szkoły.

Gdzieś w połowie 1945 roku wszystko już było jasne i Jordanis nie miał nadziei, że Miriam wróci, tak jak nie wracał nikt z salonickich Żydów. Powiedział to bliźniętom wyraźnie i zapytał, czy chcą teraz zostać jego dziećmi tak naprawdę. Chciały.

Rosa i Rafael skończyli po dziesięć lat i nazywali się teraz Lazopulos. Kiedy w Grecji wybuchła wojna domowa, Jordanis wraz ze swoim oddziałem z wielkim impetem rzucił się w wir zdarzeń, tym bardziej że po drugiej stronie znów stali greccy faszyści, którzy jeszcze niedawno przyczynili się do wywiezienia rodziny Behomoiras z dzielnicy Baron Hirsch.

Tym razem jednak Demokratyczna Armia Grecji walkę przegrała i w 1949 roku Jordanis Lazopulos i jego przybrana córka, czternastoletnia Rosa, przybyli do Wrocławia.

Nieletni Rafael zginął z bronią w ręku, walcząc z wojskami rządowymi pod Grammos. Świadkowie nie mieli wątpliwości, że poległ jak bohater.

Mimo wyższego wykształcenia Jordanis pracował w Polsce jako fryzjer w swoim zakładzie przy kinie Oko w budynku sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego. Twierdził, że nie potrafi nauczyć się polskiego wystarczająco dobrze, by dyskutować o greckich filozofach, więc zarabiał, strzygąc żołnierzy, bo tym też zajmował się w partyzantce. W rzeczywistości nie mógł się pogodzić z klęską i przegranym życiem. On, dowódca oddziału, który w jednej zasadzce zabił pięciuset wrogów, wciąż powtarzał: *opla pavá poda*.

W zakładzie fryzjerskim z pietyzmem hodował na parapecie kaktusiki, bo w szarej Polsce nic nie mogło przypomnieć mu ciepła i zapachów Grecji lepiej niż te suche, kolczaste roślinki. Na ścianie zawiesił reprodukcję *Mężczyzny z goździkiem* Picassa, którą wyrwał z tygodnika „Świat”. Tnąc włosy nożyczkami i ostrząc brzytwę na skórzanym pasie, nucił: „Herosi, niezdobyta góra, herosi o dwunastu żywotach… pałac Olimpu i duchy Parnasu… ogień pod Alamaną i ogień pod Gorgopotamos…”.

Zgodnie z prostym partyzanckim wzorem podgalał karki polskich oficerów i szukał wśród nich męża dla Rosy. Opowiadał o swoich bitwach i chociaż z powodu zwykłej skromności wspominał ledwie drobne epizody, to i tak wszyscy brali go za mitomana. Dlatego każdą wolną chwilę spędzał na ulicy Ruskiej w siedzibie Związku Uchodźców Politycznych z Grecji i czytał „Dimokratisa”.

Całe swoje polskie kulawe i depresyjne życie poświęcił córce Rosie, która była zbyt delikatna i ufna, by sama mogła zadbać o własną przyszłość. Za to ona w Polsce zaadaptowała się dobrze. Jordanis dbał, by w domu mówiła tylko po grecku, do czego nie musiał jej specjalnie namawiać.

Rosa wyrosła na piękną kobietę o rzadkiej już w Polsce śródziemnomorskiej urodzie, więc miała nieustanne problemy z polskimi oficerami i w końcu Jordanis zakazał jej chodzić do kina Oko. Uważał, że najpierw powinna skończyć studia na Uniwersytecie Wrocławskim.

W 1960 roku Rosa Lazopulos została magistrem prawa i już rok później wyszła za mąż za znacznie od niej starszego kapitana Józefa Hofmanna ze sztabu ŚOW.

Mimo wysiłków rodziców i pomocy lekarzy Dimitrios urodził się dopiero po pięciu latach ich pożycia, i to nie bez komplikacji. Rosa i Jordanis, chociaż byli niewierzący, wybrali mu imię świętego patrona Salonik, ale w domu nie mówili do niego inaczej niż Rafael.

Józef Hofmann nigdy się nie dowiedział, że Rosa miała brata bliźniaka. Jordanis uznał, że ta wiedza nie jest mu potrzebna, tym bardziej że szybko stracił sympatię do tego polskiego oficera. W domu mogli rozmawiać swobodnie po grecku. W gruncie rzeczy Hofmanna nie interesowało, dlaczego na Dimę mówią Rafael. Szybko przeszło mu zainteresowanie wychowywaniem syna.

Za to dziadek Jordanis był dla dorastającego Dimy jak bóg Apollo i Homer w jednym. Stał się najwyższym autorytetem we wszystkim, wzorem patrioty, ideałem mężczyzny, greckim filozofem i komunistą. Liczyło się każde jego słowo, każdy nawet najdrobniejszy gest. Dima nie miał ojca, ale miał cel i wzór do naśladowania. Chciał być taki jak dziadek.

Po raz pierwszy do Salonik pojechali we trójkę w 1983 roku, kiedy Rosa i Dima wrócili z Peru. Postanowili odnaleźć swoje greckie ślady. To była jedyna podróż schorowanego już Jordanisa do wytęsknionej ojczyzny.

Wkrótce po powrocie zmarł. Ta wyprawa na zawsze zmieniła Dimitriosa, który zaczął jeździć do Grecji regularnie.

Tacy bohaterowie jak Jordanis nigdy nie umierają, uznał Dima i wprowadził go do swojego panteonu jako boga wszystkich bogów. I tak już zostało: grecki duch Jordanisa żyje w nim i jest coraz silniejszy.

7

Była za pięć dziesiąta, kiedy naczelnik Błaszczyk, trzymając pod lewą pachą papierową teczkę, prawą ręką wcisnął przycisk z cyfrą siedem i winda ruszyła do góry. Po chwili zatrzymała się na czwartym piętrze i do środka wkroczył pułkownik Pański, Michael Caine z Miłobędzkiej. Tylko spojrzał na przyciski i żadnego nie nacisnął. Błaszczyk zrozumiał, że pułkownik też jedzie na piętro szefów.

– Co tam, Zbyniu? – zapytał protekcjonalnie, poprawiając w lustrze krawat za kilkaset złotych i poszetkę.

– Nic, panie pułkowniku – odparł skromnie naczelnik.

– Wciąż nie wyjeżdżasz?

– Na razie nie.

– Nie chcą wysłać?

– Nie wiem.

– Do szefa? – Spojrzał na teczkę, którą naczelnik trzymał pod pachą. – Briefing poranny?

– Tak.

W tym momencie winda zatrzymała się na siódmym piętrze.

Pułkownik Zenon Pański wyszedł pierwszy, chociaż wsiadł drugi. Zresztą naczelnik nie śmiałby się wepchnąć przed legendę polskiego wywiadu i dyrektora Biura Operacji Specjalnych. Pański rzeczywiście miał ogromne sukcesy na koncie i nie mniej przerośnięte ego, ale do ludzi,

szczególnie niższych od niego wzrostem i rangą, odnosił się w chamski sposób.

Zjeździł cały świat i – jak lubił mówić – przeleciał kilka razy na Księżyc i z powrotem, ale na Miłobędzkiej miał opinię eleganckiego cepa. Mimo to w polskim wywiadzie nie było oficera lepiej ustawionego w szpiegowskim świecie. Pański znał wszystkie ważne osoby w CIA, MI6, Mosadzie czy BND i czasami mógł więcej niż szef wywiadu. Oni się zmieniali, a Pański pozostawał na miejscu, więc znał każdą operację, jaką przeprowadził polski wywiad, i nie tylko.

Niektórzy nazywali go „Oz Nieśmiertelny”.

Skręcili w prawo i długim korytarzem ruszyli w stronę gabinetu szefa.

– Jak tam Khan sobie radzi? – rzucił Pański jakby od niechcenia, ale naczelnik wiedział, że pułkownik o to zapyta, bo to był jego ulubieniec i uczeń.

– Normalnie – odrzekł krótko. – Radzi sobie.

Błaszczyk wiedział, że Pański doskonale wie, co robi Khan, bo kierował jego pracą w Pakistanie, więc dostawał nie tylko depesze operacyjne, ale i kopie informacyjnych, figurował bowiem na rozdzielniku.

W gruncie rzeczy pytanie pułkownika miało przypomnieć naczelnikowi Błaszczykowi, że Braun jest pod szczególną ochroną i „musi sobie dobrze radzić”, a pytanie o wyjazd na placówkę miało być cichym szantażem. Naczelnik doskonale o tym wiedział i właśnie dlatego odpowiedział „normalnie”, a nie „bardzo dobrze”, bo chciał utrzeć nosa Jamesowi Bondowi i pokazać, że ma go w dupie. Właśnie tu i teraz, na korytarzu siódmego piętra, gdzie siedzą szefowie.

Weszli do sekretariatu i Małgosia, bez zbędnego słowa, gestem policjanta kierującego ruchem powstrzymała Błaszczyka, wskazując mu

fotel, a drugą ręką elegancko i zdecydowanie pokazała pułkownikowi drzwi do gabinetu.

Pański wszedł bez pukania. Był jedynym oficerem w Agencji, który mógł tak robić. Szczególnie gdy działo się coś nadzwyczajnego, a w wywiadzie ciągle działo się coś nadzwyczajnego, więc Błaszczyk nie był zaskoczony, że musi czekać. Nie pierwszy raz zresztą.

Sześćdziesięciopięcioletni Filip Korycki był szefem wywiadu po raz drugi i był to jedyny przypadek w historii Polski, kiedy ta sama osoba dwukrotnie sprawowała tę funkcję. Z reguły po wygranych wyborach zwycięzcy natychmiast czyścili służby i osadzali swoich ludzi, nie patrząc na kompetencje, sprawdzając tylko lojalność. Zaczynało się szukanie haków na poprzedników i kilkumiesięczny paraliż służby.

Tym razem było inaczej. Wybory wygrała centrowa Partia Liberalnych Demokratów i postanowiła przełamać dotychczasowy obyczaj. Powołała Filipa Koryckiego, który piastował stanowisko szefa wywiadu w czasach, kiedy ona była w opozycji. I rzeczywiście, Korycki rozpoczął szefowanie od przedłożenia rządowi nowego projektu budżetu Agencji i określenia swoich oczekiwań wobec dyrektorów, którzy zdecydowali się zostać. Liczyć się miały wyłącznie lojalność i profesjonalizm.

Filip Korycki był doktorem habilitowanym, znanym politologiem i wieloletnim dyrektorem Instytutu Azji i Pacyfiku, co uzupełnione wcześniejszym doświadczeniem z kierowania wywiadem dawało nadzieję, że polska Agencja znów się znajdzie w światowej czołówce.

Już w czasie kampanii wyborczej premier Marek Bolecki jasno deklarował, że Polska pozbawiona wsparcia Unii Europejskiej i sojuszników na Zachodzie jest łatwym łupem dla Rosji. Oczywiste było, że zrozumiał dramatyczne uwikłanie międzynarodowe, w jakim znalazła się Polska po wyczynach poprzedniego, populistycznego rządu, który

doprowadził Polskę na skraj przepaści. Ale w rzeczywistości sytuacja była o wiele gorsza, niż opinia publiczna mogła podejrzewać.

Dlatego mianowanie Filipa Koryckiego na szefa wywiadu, instytucji szczególnie wrażliwej, było sygnałem dla państw zachodnich, że rząd polski dostrzega zagrożenia i gotów jest do odbudowy sojuszniczej solidarności.

Korycki cieszył się wyjątkowym uznaniem i szacunkiem wśród szefów służb wywiadowczych nie tylko z uwagi na swoją wiedzę, kulturę osobistą i doświadczenie, ale również ze względu na poczucie humoru i zdrowy dystans do polityki. To były cechy wysoko cenione w tym środowisku.

W odróżnieniu od innych szefów, którzy wszystko wiedzieli najlepiej, Korycki miał zwyczaj zapraszać naczelnika Błaszczyka, by zreferował mu wydarzenia ostatnich dwunastu godzin. Wolał wysłuchać niż samemu czytać, bo dzięki temu zawsze miał punkt odniesienia i mógł stawiać pytania, a naczelnik znał odpowiedzi.

Korycki lubił Błaszczyka.

Pański wyszedł po półgodzinie, wyraźnie podenerwowany, i szybkim krokiem, na swoich cienkich nogach, niemal wyparował z sekretariatu. Błaszczyk nigdy go takim nie widział. Wygląda na to, że dostał wpierdol od szefa – pomyślał i czując ciepły przypływ satysfakcji, energicznie podniósł się z fotela.

Szef wyszedł zza biurka i wskazał podwładnemu to samo miejsce co zwykle, czyli tyłem do okna. Zaproponował kawę lub herbatę, ale Błaszczyk tak jak zawsze skromnie odmówił. Nigdy nie pił w tym gabinecie, bo uważał picie kawy i herbaty z kimś takim jak Filip Korycki za niegodne spoufalanie się. Na szefa patrzył jak na autorytet absolutny.

Nie zdążył otworzyć teczki z notatkami, bo szef od razu zapytał:

– Panie naczelniku, czy w ostatnim czasie wydarzyło się coś w Pakistanie… coś istotnego, odbiegającego od normy? – Spojrzał sponad okularów w grubych oprawkach.

– Tylko… – zaczął niepewnie Błaszczyk – jedna depesza… – Mówił powoli, ale myślał szybko i wszystko nagle ułożyło mu się w logiczną całość. – Wczoraj… jak pisał rezydent… Khan…

Pilna wizyta Pańskiego z rana, to jego nadęte wyjście, a teraz pierwsze pytanie szefa i od razu o Pakistan.

– Tak, czytałem już… wiem… – Korycki przerwał Błaszczykowi gonitwę myśli. – Zamach Tehrik-i-Taliban na hotel pod Islamabadem… Interesuje mnie, co pan o tym sądzi. Jest pan specjalistą w tej dziedzinie, prawda?

8

W Kapsztadzie kończyło się lato i zaczynała jesień. Był kwietniowy wtorek, godzina lunchu.

Adam Fint wyszedł ze swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Minął sekretariat szefa, machnął ręką do śniadej Bonnie, a ona odpowiedziała mu błyskiem pięknego białego uśmiechu.

Fint zazgrzytał zębami i też się uśmiechnął.

Od pierwszej chwili, kiedy przyjechał do RPA, nie mógł wyzbyć się natrętnego widoku Bonnie rozłożonej na białym prześcieradle w jego sypialni i jej rozmarzonego uśmiechu, którym nieustannie go prowokowała. Nie mógł zrozumieć, dlaczego taka piękna kobieta związała się z takim obleśnym starym Holendrem. Nie dla pieniędzy zapewne, bo mogłaby mieć tłum młodych i bogatych kochanków. Adam ze smutkiem uznał, że jego konto w banku jest jeszcze za słabe na taką kobietę jak Bonnie. To jednak miało się wkrótce zmienić, bo przecież był w Kapsztadzie dopiero od miesiąca. A Holendra przebijał po trzykroć – wiekiem, wzrostem i kondycją.

Tak, tak… to się zmieni – pomyślał z nadzieją i w drzwiach rzucił jeszcze z uśmiechem:

– Miłego weekendu… Bonnie.

– Miłego – odparła krótko i nie zapytała, czy jeszcze wróci. W piątki zawsze wychodził wcześniej.

Wsiadł do windy i zjechał do garażu.

Zbliżała się pora deszczów, ale w Kapsztadzie było pogodnie. Nad morzem zawisło błękitne niebo z domieszką cirrusów na horyzoncie i kilku nimbusów przyklejonych do Góry Stołowej, dlatego postanowił skorzystać jeszcze ze słońca i otworzyć dach swojego mini coopera.

Lubił przejechać się Buitengracht i popatrzeć na potężne pupy Afrykanek i piersi Mulatek wychodzących na lunch z okolicznych biur. Białe kobiety jakoś przestały go interesować.

Pomyślał też, że dzisiaj powinien uprzyjemnić sobie jazdę dużym kubkiem latte.

Spojrzał na zegarek. Do spotkania miał czterdzieści pięć minut. Włożył czapkę, ciemne okulary i włączył silnik. Po chwili samochód wytoczył się na rozgrzaną ulicę.

Od trzech miesięcy Fint czekał na ten dzień, więc bardzo się ucieszył z porannego telefonu. Był trochę podniecony, czuł nawet lekki niepokój. Spełnić się miały jego marzenia, miała przyjść obiecana nagroda, która odmieni jego życie, a wtedy on odmieni życie innych.

Ta świadomość zawsze dodawała mu sił i kształtowała determinację, której używał na co dzień jak tarana zdolnego skruszyć każde wrota. Gotów był podejmować trudne i odważne decyzje, byle tylko wedrzeć się do środka. Zwyciężyć, pokonać, dobić wszystkich wrogów, bez litości.

Tak o swoim życiu rozmyślał Adam Fint, jadąc z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę ulicą Buitengracht. Jedną ręką trzymał kierownicę, a w drugiej papierowy kubek z kawą.

Jedzie człowiek sukcesu… – pomyślał i uśmiechnął się prowokacyjnie do stojącej na przejściu Afrykanki, która pokazała mu środkowy palec.

– Jeszcze tylko Bonnie i mam oczko – powiedział półgłosem i oblizał usta.

Wiedział, że pójdą na kielicha i nie będą pić jakiegoś tutejszego sikacza. Zakończą w porządnym klubie, z najsmaczniejszymi czekoladkami na kolanach. Najlepiej Chez Ntemba.

Tak ważne spotkanie nie może się skończyć jakąś pogawędką, rozliczeniem, jakimś tam pierdu-pierdu. Układamy na nowo porządek świata i liczymy dużą kasę – wciąż sobie powtarzał. Miał podstawy, by się cieszyć.

Według GPS potrzebował kwadransa, by dojechać na miejsce spotkania, czyli w zapasie miał jeszcze dziesięć minut. Bał się jednak, że może mieć kłopoty z odnalezieniem miejsca, więc postanowił nie zwlekać. Musiał się zatrzymać na parkingu przy plaży Derde Steen nad Zatoką Stołową, na drugim kilometrze West Coast Road.

Prawie w ogóle nie znał Kapsztadu, z wyjątkiem głównych ulic, kilku restauracji i nocnych klubów, które zaliczył prawie wszystkie. Ale na plaży jeszcze nie był.

Droga prowadziła wzdłuż wybrzeża między płaskimi wydmami, na których rosły niskie krzaki.

Parking znalazł bez trudu. Stało tam już kilkanaście samochodów i kręciło się kilka osób, wyraźnie przygotowujących sprzęt do surfingu.

Adam przejechał powoli w prawą stronę, po czym zaparkował jako ostatni w rzędzie. Sprawdził czas na samochodowym zegarze i potwierdził na swoim tissocie. Miał jeszcze pięć minut. Wyjął ze schowka jabłko i przetarł o koszulkę. Wysiadł, obszedł samochód, rozglądając się wokół, ale nie zauważył nikogo znajomego. Wszystko wyglądało naturalnie – zwyczajni surferzy zaabsorbowani własnymi sprawami.

Usiadł na masce swojego mini i gryząc jabłko, zaczął się wpatrywać w szafirowe morze poszarpane białymi grzywami fal i potężną bryłę Góry Stołowej nad Kapsztadem, która wyglądała jak zatopiony statek kosmiczny.

Widok był piękny, okraszony kolorowymi żaglami windsurferów i kitesurferów.

Adam poczuł się jeszcze lepiej. O ile wcześniej miewał wątpliwości, o tyle teraz był przekonany, że dobrze zrobił. Kierował się intuicją i chłodną kalkulacją i ani razu nie miał wrażenia, że są ze sobą w sprzeczności, choć przecież powinny, jeśli gdzieś popełnił błąd. Zaniepokojenie, które towarzyszyło mu od porannego telefonu, przemieniło się teraz w prawdziwą męską dumę.

Pomyślał, że jeśli Bonnie przejdzie na jego stronę, on zostanie w Kapsztadzie na zawsze, kupi mercedesa cabrio, najlepszy sprzęt do surfowania i będzie spędzał czas na wodzie albo w łóżku.

Te wymarzone obrazy znikły nagle, zamazane pomrukiem nadjeżdżającego motocykla. Obrócił się dokładnie w chwili, kiedy ten zatrzymał się tuż za jego plecami. Motocyklista w zaciemnionym kasku wskazał palcem na Adama, potem na jego samochód i dał znak, że ma jechać za nim.

Adam Fint uśmiechnął się, skinął głową, rzucił ogryzek za siebie i bez otwierania drzwi wskoczył do samochodu.

9

Był czwartek rano. Błaszczyk znów siedział nad depeszami z Pakistanu i próbował dostrzec w nich coś, o czym wcześniej mówił Korycki. Wciąż jednak nie potrafił dokładnie określić, co wzbudza w nim takie wątpliwości. Wrócił więc do pisania pytań do Khana.

Miał nadzieję, że dostanie od niego jakąś wskazówkę, sugestię, coś, co rzuci światło, ale nie liczył na zbyt wiele. Khan był w Islamabadzie dopiero od miesiąca i miał blade pojęcie o islamie i terroryzmie. Szkolił się pod okiem Pańskiego na kierunku rosyjskim i Błaszczyk od początku nie mógł zrozumieć, dlaczego dostał tak wysokie stanowisko, i to w kraju, którego zupełnie nie znał. Tym bardziej że sam aplikował dwa razy o wyjazd do Pakistanu, a przecież nikt nie znał tego terenu lepiej niż on.

To zdziwienie Błaszczyka było całkowicie teoretyczne i spontaniczne, z czego zdawał sobie doskonale sprawę, bo nominacje w wywiadzie nie muszą być racjonalne, przynajmniej dla postronnych. W tym wypadku sprawa dotyczyła Brauna, czyli nie byle kogo, protegowanego samego Pańskiego, szarej eminencji wywiadu, człowieka, bez którego Korycki nie byłby takim szefem, jakim jest. To była konstrukcja kadrowo-logiczna, która wyjaśniała nawet najbardziej zadziwiające decyzje.

Siedział w swoim gabinecie i pisał szkic depeszy do Khana. Starał się tak ułożyć i skonstruować pytania, by Khan miał trudności z udzieleniem odpowiedzi i musiał się wysilić bardziej niż zwykle. Chciał mu pokazać, że

Centrala wie więcej niż rezydentura, a to zawsze jest poniżające dla oficera, który powinien wiedzieć wszystko o swoim terenie. Zwłaszcza że każda depesza przechodzi przez ręce szefa i jego zastępców. Tak czy inaczej, złe wrażenie pozostaje. A dla Brauna i Pańskiego musiało to być szczególnie bolesne i choćby z tego powodu Błaszczyk zastanawiał się dwa razy, jak mocnych i dwuznacznych argumentów może użyć.

Położył nogi na biurko i zagryzł ołówek, którym zwykle pisał na brudno. Dotknął kubka z kawą, ale ten był zimny, więc przez interkom zamówił nową. Spojrzał na zegar ścienny i obrócił się w fotelu w stronę telewizora. Właśnie zaczynały się wiadomości na Al-Dżazira, więc szybko włączył pilotem głos.

Pojawił się dziennikarz w białej koszuli, który stojąc na ulicy i trzymając w dłoni mikrofon, z przejęciem komentował wczorajszy atak na hotel Monal, więc Błaszczyk pogłośnił telewizor i przysunął bliżej fotel. Początkowo musiał skupić się na tym, co mówi reporter, ale w pewnym momencie na czerwonym pasku mignęło mu słowo *Polish*, które przemknęło w ciągu z *German*, *British* i *Japanese*, i szybko zniknęło. Od razu skojarzył to z depeszą od Khana. Czekał na powrót paska, gdy na ekranie ukazało się czterech skrępowanych mężczyzn klęczących obok siebie, odzianych w jednakowe granatowe stroje. Za nimi na ścianie widniała płachta z arabskimi napisami i flaga Państwa Islamskiego.

Po chwili napis powrócił i Błaszczyk już wiedział, że jednym z uprowadzonych w Pir Sohawa jest Polak. Poczuł, jak fotel pod nim zaczyna powoli pływać. Na moment stracił kontakt z otoczeniem i patrzył w ekran, jakby nic nie rozumiał, jakby słyszał i oglądał coś, co musiało dziać się w innym wymiarze. Błaszczyk zdawał sobie sprawę lepiej niż ktokolwiek inny, co dla Agencji oznacza to porwanie.

W końcu się opanował. Wiedział, jaka za chwilę spadnie na niego odpowiedzialność, chociaż jest tylko zwykłym analitykiem w wywiadzie. Zdawał sobie sprawę, że właśnie ruszyła gigantyczna machina propagandowo-polityczna pod hasłem „Polak w niebezpieczeństwie”, że zbiorą się konsylia ekspertów od wszystkiego, opozycja obwini rząd, rząd opozycję, może nawet premier wystąpi z oświadczeniem. Ale prawdziwa odpowiedzialność moralna i prawna spadnie na te kilka osób, wśród których na pewno będzie i on, naczelnik Błaszczyk.

Patrzył na ekran telewizora, gdzie właśnie pokazywano zbliżenia zakładników, i kiedy pojawiła się twarz Polaka, zrobił pilotem stop-klatkę. Na ekranie zamarło spokojne spojrzenie czterdziestoletniego mężczyzny z drobnym wąsikiem i bródką. To nie była twarz człowieka, któremu grozi okrutna śmierć, chociaż terrorysta w kominiarce krzyczał coś groźnie i przykładał mu do gardła maczetę, imitując cięcie.

Zaraz będziemy wiedzieć, kim jesteś – pomyślał.

W tym samym momencie zadzwonił telefon i zapaliła się lampka SZEF.

– Zaczęło się – powiedział Błaszczyk i podniósł słuchawkę.

10

Dima nie chodził do żadnych klubów ani siłowni. Nie miał spękanych bicepsów, grubego karku, wyrzeźbionego ciała ani kaloryfera. Był szczupły, gibki, zwinny, raczej Houdini albo Copperfield niż Gołota i taką też miał psychikę. Potrafił dobrze kombinować i kręcić.

Sam sobie wymyślił zestaw ćwiczeń. Sporo podpatrzył tu i tam, poczytał w fachowej literaturze i w końcu po latach stworzył coś w rodzaju syntezy gimnastyki szwedzkiej, tai chi i krav maga. Czyli połączył to, co – jak mu się wydawało – jest esencją człowieczeństwa: ciało, duszę i wolę walki. Kiedyś próbował włączyć do zestawu zmodyfikowane ćwiczenia jogi, ale psuły mu harmonię, a poza tym to była specjalność Moniki, więc choćby już z tego powodu nie mógł ich zaakceptować.

Doskonale wiedział, że to zwykła dziecinada, którą sobie wymyślił, ale uznał, że z tą świadomością będzie mu łatwiej. Właściwie to prawie wcale o tym nie myślał, bo najważniejsza była dyscyplina.

Wstawał o szóstej, wyjmował z zamrażarki croissanta i zaczynał dzień.

Ćwiczył trzy razy w tygodniu po godzinie i na zmianę trzy razy biegał na Kabatach, też godzinę. Potem kroił croissanta na pięć części, które zjadał, mocząc je w kawie z mlekiem. Jeden dzień zostawiał sobie wolny na inne sprawy.

Dziś wypadło bieganie. Po powrocie do domu zjadł śniadanie, wziął prysznic i tak jak sobie zaplanował, wyciągnął się w szlafroku na kanapie,

żeby poczytać książkę. Po raz trzeci tego roku zaczynał *Długie pożegnanie* Raymonda Chandlera, a był dopiero kwiecień.

Zaczął od miejsca, w którym wczoraj przerwał, lecz ledwie doszedł do końca pierwszego akapitu: „Oczywiście dla nikogo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że i tak będziemy świadkami okropnych trudności, bo są one nieodłączną częścią naszej egzystencji” [1] – kiedy zabrzęczał telefon.

– Włącz telewizor i zadzwoń do mnie – powiedziała znana mu kobieta i wyłączyła się.

Dima zrozumiał polecenie i nie podnosząc się z kanapy, nastawił stację informacyjną TVD24.

Zobaczył podenerwowaną dziennikarkę, ale nie mógł zrozumieć, o czym mówi. Po chwili w bocznym kadrze pojawiła się twarz mężczyzny z nożem przy szyi i w końcu na czerwonym pasku z napisem „pilne” przeczytał: POLAK PORWANY PRZEZ TERRORYSTÓW W PAKISTANIE.

Poderwał się i usiadł. Przez kilka minut uważnie wsłuchiwał się w każde słowo, obserwował zdjęcia, ale kiedy zaczęły się już powtarzać, uznał, że czas oddzwonić do Moniki.

– No… nieźle, kurwa… – zamruczał do słuchawki.

– Co sądzisz? – zapytała.

– Już po nim – odparł, wyraźnie poruszony. – Przez jakiś czas władze będą mydlić oczy opinii publicznej… będą zapewniać, że zrobią wszystko, by uratować rodaka, że są w kontakcie z rządem Pakistanu, eksperci będą wzywać do wysłania GROM-u i inne absurdy, media zarobią, ale gość i tak straci głowę.

– A my… my… możemy coś? – zapytała z troską w głosie.

– My? Ty… ja…?

– No!

– Chuja możemy – odparł dobitnie.

– No… wiem przecież. Tak tylko zapytałam. Straszne… – Nie dokończyła. – Znów zapłoną kebaby nad Wisłą… a to przecież przypadek, że Polak był w tym hotelu… Dimka?

– Co?

– Nie masz jakiegoś kontaktu w Moskwie? Masz przecież… oni… no wiesz… – Zawiesiła głos. – Oni tam mogą wszystko… jak chcą… cały ten Pakistan mają przecież rozłożony na części…i tych z Tehrik, to przecież ich dziecko… Dima?

– Co?

– Trzeba coś robić! Ci z MSZ i AW zaczną naciskać Pakistańczyków, prosić Mosad, jankesów, żeby też ich nacisnęli… a to nic nie da.

– Oczywiście, to wszystko psu w dupę. CIA od dawna nas oficjalnie olewa, a prywatnie… po rządach tych oszołomów nawet nie chcą herbaty się z nami napić – odparł Dima z przekąsem. – Zresztą i tak nic nie mogą w Islamabadzie. A może… chuj… może to nawet Langley za tym stoi. Wcale bym się nie zdziwił. Jakiś Polak, Niemiec… Japończyk z odciętą głową… to tylko ich wzmocni.

– To co robimy?

– Pomyślę, ale czarno to widzę. Ważne, kim jest ten Polak – powiedział Dima nieco zblazowanym głosem.

– Wyprowadzasz mnie z równowagi tym swoim spokojem. Cześć! – rzuciła Monika i wyłączyła się.

Wiedziała, że Dima ma tylko taką manierę i trochę się zgrywa. Dawno przestał być chłopcem i nieraz był w piekle, więc czasami było to śmieszne i naiwne, ale dodawało mu niepowtarzalnego uroku. Potrafiła narysować jego portret z pamięci, chociaż nigdy tego nie robiła.

Monika znała Dimę lepiej niż samą siebie, więc dokładnie wiedziała, za co go kocha, a za co nienawidzi. Innych uczuć do niego nie znała,

a przynajmniej tak jej się wydawało, szczególnie w takich chwilach jak ta.

Dima ubrał się szybko w dżinsy i T-shirt, który włożył na lewą stronę. Przeszedł do swojej biblioteki. Włączył dwudziestosiedmiocalowego maca, zalogował się i wbił do przeglądarki nazwę hotelu Monal w Pir Sohawa. Wysunął szufladę i włożył do środka dłoń. Dotknął palcami dna blatu. Wyczuł zgrubienie i przez moment zawahał się, czy nacisnąć. W końcu zrezygnował. Wyjął dłoń i wsunął szufladę.

Na ekranie monitora pojawił się napis, że strona jest chwilowo niedostępna. Ponownie wysunął szufladę. Tym razem wyjął mały pękaty notatnik Moleskine w sztywnej czarnej okładce i otworzył go w miejscu zaznaczonym czerwoną tasiemką. Pojawiły się dwie strony gęsto zapisane cyframi.

11

Radca Wiktor Braun siedział w swoim pokoju na pierwszym piętrze ambasady i przygotowywał kolejną depeszę na temat ataku w Pir Sohawa, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Gdzie pan jest? – niemal krzyknął ambasador.

– W ambasadzie… u siebie… – odpowiedział Braun, nieco wystraszony.

– Natychmiast do mnie!

Ambasador Józef Kruczek nie był zawodowym dyplomatą, tylko trzeciorzędowym politykiem wysłanym do Islamabadu, kiedy poprzednia ekipa ewakuowała się przed wyborami. Niemal nikogo nie lubił, a Brauna – łącznika i rezydenta wywiadu – wręcz nienawidził. Uważał, że został on tu przeniesiony prosto z Moskwy tylko po to, by znaleźć na niego haki i wysadzić ze stanowiska. O Wiktorze krążyły różne plotki, jedna gorsza od drugiej, ale Kruczkowi wystarczało, że jest synem Mariana Brauna.

– Wie pan?! – ryknął, ledwie radca wszedł do jego gabinetu.

– O czym?

– Nie wie pan? To co pan tu robi? Nawet telewizji pan nie ogląda… – Ambasador spojrzał na swojego zastępcę Malinowskiego, który tylko służalczo pokiwał głową. – Ech, polski wywiad…

– Ale o co chodzi? – Braun poczuł się urażony i uniósł nieco głos.

– Niech pan popatrzy – rzucił z emfazą ambasador.

Przeszedł przez gabinet i włączył telewizor.

– Podobno dają to na wszystkich kanałach, a ja dostaję telefon z MSZ, żebyśmy ustalili, kim jest facet na tym filmie. Kurwa, z Warszawy pytają… dzwonili już z tutejszego MSZ. – Stanął metr przed czterdziestocalowym telewizorem, jakby chciał do niego wejść. – Kto to jest? – Zrobił stop-klatkę z twarzą Polaka. – To jest, kurwa, Henryk Olewski z firmy Oregon. Mamy nieszczęście, jakiego nie miał jeszcze nikt na świecie… – lamentował.

Braun podszedł bliżej do telewizora i brutalnie odsunął mruczącego coś Malinowskiego. Spojrzał na ekran i poczuł, że ugięły się pod nim nogi. Spojrzał jeszcze raz, żeby się upewnić, bo pomyślał przez moment, że to jakaś pomyłka, projekcja, złudzenie, że może jednak śni. Ale nie śnił.

– Powiedział już pan, kto to jest? – wydusił z siebie.

– Oczywiście! – niemal wykrzyczał ambasador. – A co pan sobie myślał, że cooo…

Nie dokończył, bo w pomieszczeniu rozległ się dźwięk dzwonka i wszyscy na moment zamarli. To nie był dobry dzień dla nikogo w ambasadzie i każdy telefon oznaczał kłopoty, a przynajmniej trudne pytania. Ambasador zachowywał się, jakby porwanie Olewskiego było spiskiem wymierzonym w jego ważną misję dyplomatyczną, więc nie nadawał się do jakiejkolwiek sensownej rozmowy, a Malinowski sam nie odbierał żadnych telefonów.

To była na szczęście komórka Brauna. Dzwonił pułkownik Ziaul Amin z biura łącznikowego ISI.

– Tak? – Braun czuł na sobie uważne spojrzenia dwóch par oczu. – Tak, panie pułkowniku. Widziałem… tak… potwierdzam, to polski obywatel… Polak… Henryk Olewski… pracownik firmy Oregon… Tak? Już jadę! – Wyłączył telefon.

– No i… – odezwał się ambasador.

– No i co? – odparował Braun.

– Rozumiem, że bierze pan sprawę na siebie… Pakistańskie służby…

– Nic nie biorę na siebie. To nie jest moja prywatna sprawa. Idzie o życie człowieka porwanego przez terrorystów. Zdaje pan sobie sprawę, co się teraz dzieje w Warszawie… na Szucha? Za chwilę rozdzwonią się telefony i spłyną szyfrogramy, więc lepiej, żeby pan się zajął przygotowaniem zespołu kryzysowego ambasady, bo jak coś pan spierdoli, to Warszawa, media i Polacy zgrillują pana żywcem. – Braun odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Panie Wiktorze… panie radco… ale pomoże pan? – rzucił jeszcze Kruczek, ale Braun, nawet się nie obejrzawszy, zniknął za drzwiami.

Na biurku ambasadora zadzwonił telefon i niemal w tej samej chwili odezwał się drugi, zapewniający łączność z Warszawą. Zaraz też zadzwonił telefon Malinowskiego i obaj zamarli, jakby sparaliżowani kakofonią dzwonków.

Braun wyszedł już z ambasady i zmierzał szybko na parking. Po drodze zadzwonił do Marka Janusika, swojego oficera, i polecił mu, by nikt z rezydentury nie opuszczał ambasady aż do odwołania.

– Mamy sytuację kryzysową. Terroryści uprowadzili Polaka – wyjaśnił. – Jadę do Pakistańczyków.

Wyjął z kieszeni szyfrowany telefon i już miał wybrać połączenie z Miłobędzką, kiedy ten odezwał się pierwszy.

Braun zatrzymał się przy samochodzie. Było oczywiste, w jakiej sprawie dzwoni Centrala. Po raz pierwszy na telefon specjalny, wyłącznie do użytku w sytuacji nadzwyczajnej. Przez kilka sekund zastanawiał się, co ma odpowiedzieć, bo jakie usłyszy pytania – wiedział.

Nacisnął przycisk z zieloną słuchawką.

12

Zebranie w krypcie Faradaya rozpoczęło się punktualnie o dwunastej. Wokół stołu konferencyjnego zasiadło siedem osób. Wszyscy znali się doskonale i wiedzieli, w jakim celu zostali wezwani. Tylko obecność pułkownika Leskiego wydawała się co najmniej dziwna.

Roman Leski był najbardziej tajemniczą postacią Agencji Wywiadu. Dawno przekroczył już sześćdziesiątkę, ale nikt dokładnie nie wiedział, ile ma lat. Był niskim, mocno łysiejącym mężczyzną z dużą nadwagą. W niemodnym, wygniecionym garniturze i okularach z lat siedemdziesiątych wyglądał jak niechlujny pracownik archiwum. Nie obchodził urodzin ani imienin, nie urządzał żadnych imprez z okazji świąt czy nagród. Małomówny i raczej opryskliwy, nigdzie nie chodził z wizytą i nikogo nie przyjmował. Podobno działał w podziemnych strukturach opozycyjnych, ale gdzie konkretnie, tego nikt nie wiedział.

Swoje biuro miał na ostatnim piętrze, w tej części budynku, gdzie nie było już nic poza wejściem na dach. Chyba żaden oficer w Agencji nie mógłby powiedzieć, że był w jego gabinecie. Widywano go czasami, jak przemyka do szefa i nigdy nie czeka w sekretariacie. A czarną szyfrową teczkę zawsze trzymał pod pachą, jakby się bał, że ktoś mu ją wyrwie.

Nikt go nie lubił. Przez lata narosło wokół niego mnóstwo mitów i tajemnic, a wszystkie podobne do siebie. Nikt sobie z niego nie żartował ani nie opowiadał o nim dowcipów, mimo że jego wygląd mógł do tego

zachęcać. Kiedy ktoś mówił: „Bezpieka w bezpiece”, zapadało wymowne milczenie i każdy myślał: Leski…

Tak było i teraz, bo Leski nigdy nie uczestniczył w takich naradach – ani w żadnych innych – więc wszyscy, spoglądając na niego ukradkiem, czekali, czy się odezwie, a jeśli tak, to co powie.

– Mamy sytuację dramatyczną… kryzysową… – zaczął szef, Filip Korycki. – Opinia publiczna, ba, sam premier, jeszcze tego nie wie do końca… – Przerwał, by spojrzeć na zegar ścienny. – Za pół godziny jadę w Aleje i do tego czasu musimy uzgodnić plan działania, który przedstawię premierowi… Media szaleją i szukają Henryka Olewskiego… i w końcu znajdą. Talibowie domagają się uwolnienia kilkudziesięciu terrorystów więzionych przez Amerykanów w bazie Bagram.

– MSZ już jest oblężone… – wtrącił dyrektor gabinetu.

– Nie wszyscy przy tym stole wiedzą, ale major Henryk Olewski to nasz oficer drugiej linii… wyjątkowy oficer… jeden z najlepszych… – Korycki urwał. Widać było, jaki jest przejęty. – Powołuję komisję nadzwyczajną, do której włączam wszystkich tu zebranych. Moi zastępcy zajmą się natychmiast kontaktami ze służbami wojskowymi i naszymi partnerami… w pierwszej kolejności CIA, MI6 i Mosadem… nie wahałbym się zapytać Rosjan, oni tam dużo mogą. Może coś…? Współpracę ze służbami pakistańskimi nadzorują pułkownik Pański tutaj oraz Khan na miejscu, w Islamabadzie. Szef gabinetu koordynuje współpracę z utworzonym już zespołem kryzysowym w MSZ. Naczelnik Błaszczyk będzie moim osobistym doradcą. Nie muszę mówić, że wszystkie aktywa operacyjne Agencji Wywiadu, wszyscy współpracownicy, agentura, konsultanci… wszystko, co się rusza, pracuje teraz na rzecz Olewskiego. Natychmiast! – Lekko się zapowietrzył, bo cały czas mówił na wydechu. – Natychmiast

uruchomić naszą agenturę w Afganistanie i poprosić kolegów z wojska o to samo…

– Porwania dokonali talibowie pakistańscy… – włączył się Pański. – Może… może weźmy jakiegoś ich mułłę… no… Rosjanie tak kiedyś zrobili w Bejrucie, z dobrym skutkiem… wycięli jaja jakiemuś watażce i zakładników zaraz uwolniono… Izraelczycy też… – Pociągnął wzrokiem po zebranych. – No co? Przecież chodzi o naszego oficera.

– Chodzi o naszego obywatela, panie pułkowniku – odparł twardo Korycki. – Puszczę mimo uszu pański pomysł. My tak nie postępujemy… są zasady. Jeśli zaproponuje pan jeszcze, żeby wysłać tam GROM, to od jutra jest pan na emeryturze… z wpisem o nieprzydatności do służby!

W krypcie zaległa cisza.

Pański jakby dostał w twarz. Nikt nie ośmielił się na niego spojrzeć, choć niektórzy chętnie by to uczynili. Ale po pułkowniku najwyraźniej to spłynęło. I rzeczywiście, bo nie był mięczakiem, a wszyscy wiedzieli, że szef tylko straszy.

– Rozumiem… – skwitował obojętnie Pański.

– Problem w czym innym – ciągnął szef. – Jeżeli media się dowiedzą, że Olewski jest oficerem wywiadu, natychmiast puszczą to jako mocny news i informacja pójdzie w świat. Sprawą zajmie się prokuratura, więc zaraz będzie przeciek i wiecie, co to oznacza… dla naszego oficera. Nie będzie miał lekkiej śmierci…

– Może powinniśmy twardo zaprzeczać? – wtrącił się pułkownik Hurman, zastępca szefa do spraw informacyjnych, niski pyknik z łysiną i grubymi ustami.

– To nie takie proste. Możemy potwierdzić, że ustalenia mediów są zgodne z prawdą, i tym samym dać sygnał majorowi, żeby się przyznał. Czy jednak dzięki temu uniknie tortur? Talibowie będą podejrzewać, że ma

wiedzę o organizacjach terrorystycznych… no bo co by robił w Pakistanie polski szpieg na przykryciu? Jeżeli natomiast zaprzeczymy, to i tak będą go dręczyć, żeby ustalić prawdę. A prawda jest taka, że on nic nie wie o Tehrik-i-Taliban ani o naszej działalności w Afganistanie. Jego misja w Islamabadzie nie ma nic wspólnego z terroryzmem ani z Pakistanem… – Korycki zawiesił głos, jakby się zastanawiał, co powiedzieć, i spojrzał na pułkownika Walewskiego, swojego zastępcę do spraw operacyjnych.

– Myślę, że to wystarczy – odezwał się Pański. – Sprawa i tak jest zagrożona dekonspiracją, ale nie uprzedzajmy faktów.

– Spróbujemy nawiązać kontakt z mediami, może uda nam się z nimi dogadać, by nie publikowały informacji o majorze… – włączył się szef gabinetu. – Przynajmniej przez jakiś czas.

– Trzeba byłoby jednak poinformować je wcześniej, jaka jest prawda – odparł Korycki. – Tak… to jest jakieś rozwiązanie… Porozmawiam z premierem. Musi znać prawdę, to teraz decyzja polityczna. Znów odżyją w Polsce duchy rasizmu, z takim trudem zduszone… Hm… Talibowie mogą wyznaczyć wysoką cenę za darowanie życia majorowi i zażądać wycofania naszego kontyngentu z Afganistanu. Premier będzie miał problem, ale to my musimy go rozwiązać.

Zamilkł i w krypcie zaległa cisza.

Wszyscy czuli, że znaleźli się w klinczu, i rozumieli, jaka odpowiedzialność spada na Koryckiego, ale nikt nie miał żadnego pomysłu. Wydawać się mogło, że najlepszym rozwiązaniem byłaby szybka śmierć majora Olewskiego.

– Jakieś pytania… pomysły? – rzucił Korycki i rozejrzał się po zebranych.

Wiedział, że ta narada niewiele da, ale musiał poradzić się wszystkich, którzy w Agencji mieli coś do powiedzenia.

– No to jadę do premiera. – Podniósł się z fotela i zebrani poszli za jego przykładem. – Dalszą część spotkania poprowadzi pułkownik Walewski. – Wskazał ręką na zastępcę do spraw operacyjnych i ruszył do wyjścia.

– Szefie! – Z końca stołu niespodziewanie odezwał się Błaszczyk.

Korycki stanął w drzwiach. Wszystkie twarze zwróciły się w stronę milczącego dotąd analityka.

– Według moich informacji atak w Pir Sohawa nie był przypadkowy, był zaplanowany, ale na inną okazję… – Błaszczyk sprawiał wrażenie niezdecydowanego, jakby wymyślił tę historię na poczekaniu. – Talibom mogło chodzić… właśnie o majora Olewskiego… – Urwał i w krypcie znów zaległa cisza.

Zaraz coś eksploduje – pomyślał Błaszczyk. Oby tylko nie był to śmiech!

Pierwszy odezwał się Pański.

– Co za absurd! Na czym pan się opiera? Skąd pan to może wiedzieć? Absurd… nie mamy czasu na takie idiotyzmy. – Spojrzał na stojącego wciąż w drzwiach szefa, który wyraźnie ważył słowa naczelnika.

– Pamiętam naszą poranną rozmowę i pana wątpliwości, ale to zbyt płytkie, bym mógł coś na tym budować i sugerować premierowi. Dziękuję, panie naczelniku. – Korycki odwrócił się i zniknął za drzwiami.

– Ogłaszam godzinną przerwę – oznajmił niespodziewanie Walewski, zanim wszyscy zdążyli usiąść.

Ruszyli do wyjścia w porządku, w jakim siedzieli przy stole. Błaszczyk szedł na samym końcu, nieco skonfundowany swoim nieudanym występem. Rzeczywiście był przekonany, że atak talibów w Islamabadzie, nie dość, że wysoce ryzykowny, to jeszcze bezsensowny, musiał mieć jakiś ukryty cel. Może był nim właśnie major Olewski. Tak sądził, ale teraz, w obliczu agresywnej reakcji Pańskiego, dziwnej obojętności szefa i braku

zainteresowania ze strony pozostałych uczestników narady, postanowił odpuścić sobie tę teorię. Nawet sam w nią zwątpił.

– To bardzo ciekawe – usłyszał niespodziewanie za plecami jakiś nieznajomy głos.

Był już przy drzwiach, gdy ktoś delikatnie chwycił go za łokieć.

– Możemy o tym porozmawiać? – zapytał pułkownik Leski, spoglądając znad okularów.

13

Pułkownik Ziaul Amin, z wąsami jak angielski huzar, czekał przed wejściem do gmachu pakistańskiego wywiadu ISI i nerwowo spacerując po parkingu, rozmawiał przez telefon. Musiał się usunąć na bok, gdy Braun zbyt szybko i zbyt blisko podjechał do niego samochodem.

Kiedy wysiadł, Amin schował komórkę do kieszeni spodni i wyciągnął dłoń na powitanie.

– O mało mnie pan nie rozjechał… – rzucił bez cienia ironii. – Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, ale pan przesadził. Chodźmy do mnie na górę. – Wskazał wejście do budynku.

Pułkownik ukończył brytyjską akademię wojskową Sandhurst i nie posługiwał się paklish, tylko eleganckim angielskim. Miał pięćdziesiąt lat i dopiero niedawno przeszedł z pionu operacyjnego wywiadu wojskowego do biura łącznikowego. Wszyscy jednak wiedzieli, że dalej prowadzi pracę wywiadowczą.

Braun nie lubił Amina, bo mimo angielskiej kindersztuby, z jaką ten lubił się obnosić, wiało od niego fałszem. Pułkownik sprawiał wrażenie zdystansowanego i chętnie okazywał wyższość. O ile jednak u Brytyjczyka te cechy uchodziłyby za naturalne, o tyle u muzułmanina były nie do zaakceptowania. Tak uważał Braun.

Pakistan był pierwszym krajem islamskim, w jakim przyszło mu służyć. Kiedy jeszcze w Moskwie dowiedział się, że jedzie do Islamabadu, był

wściekły, ale Pański szybko mu wyjaśnił, że to dla jego dobra. Teraz ta złość tylko wzrosła. Uważał, że porwanie Olewskiego nie może zakończyć się dobrze, to oczywiste, więc część odpowiedzialności spadnie na niego. Obawiał się, że ani Pański, ani ojciec nie będą mogli mu pomóc. Odda głowę i w niesławie odejdzie ze służby – on, absolwent Stanforda. Nawet do polityki nie będzie mógł wejść, bo w człowieka z piętnem śmierci kolegi nikt nie zainwestuje. To była przerażająca perspektywa, dlatego Braun przez chwilę pomyślał, że powinien był przejechać tego Ziaula, tak dla zasady. W końcu całemu jego nieszczęściu winni są muzułmanie.

– Uprowadzony nazywa się Henryk Olewski… pracownik firmy Oregon… – Pułkownik odczytywał z jakiegoś dokumentu, który wyraźnie ukrywał przed Braunem. – W Pakistanie od miesiąca… zezwolenie na pobyt i pracę… Oregon, firma portugalska… – Zawiesił głos i po chwili zapytał: – Zgadza się?

– Tak. Znamy go w ambasadzie, ale słabo. Jak sam pan powiedział, przyjechał niedawno… – Braun urwał i zmienił wątek. – Warszawa chciałaby wiedzieć, jaka jest sytuacja, jakie działania planują władze pakistańskie w celu uwolnienia naszego obywatela, jaka jest wasza ocena szans na jego uwolnienie? Co możemy zrobić, żeby wam pomóc? Warszawa jest na to gotowa…

– Oczywiście – przerwał mu Amin. – Z pewnością skorzystamy, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, ale jak pan wie, mamy doświadczenie w rozwiązywaniu podobnych problemów. Dlatego sugerujemy, by władze polskie nie podejmowały bez naszej wiedzy żadnych działań, ponieważ mogłyby one pogorszyć sytuację. Prosimy o spokój i racjonalne podejście… i… kontakt z władzami Niemiec, Wielkiej Brytanii i Japonii. W zamachu na hotel zginęło trzydziestu pięciu obywateli Pakistanu, w tym osoby ze świata polityki, biznesu i sztuki. Jesteśmy zdeterminowani dopaść

morderców i uwolnić zakładników. Podjęliśmy działania zmierzające do nawiązania kontaktu z terrorystami i ustalenia, jakie stawiają warunki, ale na razie… – Amin zrobił niewyraźny grymas, który mógł oznaczać wszystko.

– Tak, rozumiem… o wszystkim natychmiast poinformuję Warszawę. Czy może pan powiedzieć coś więcej na temat prowadzonych działań, samego zamachu i grupy, która go dokonała? – zapytał Braun.

– Będzie o tym komunikat dla wszystkich służb. – Amin zajrzał do swoich notatek. – Jak powiedziałem, podejmujemy wszelkie niezbędne działania, by ratować uprowadzonych, ale żebyśmy mogli to zrobić skutecznie, musimy wszystko wiedzieć o… – zerknął do notatek – o panu Olewskim. – Spojrzał rozmówcy chłodno w oczy.

– To znaczy? – odparł Braun.

– Czy chce mi pan coś powiedzieć, panie radco?

– Nie rozumiem.

– Pytam jeszcze raz: czy ma pan wiedzę na temat Henryka Olewskiego, którą powinien nam przekazać i która mogłaby pomóc w jego uwolnieniu… czy też mogłaby je… skomplikować? – Słowa pułkownika Amina zabrzmiały bardzo dwuznacznie.

Braun był już niemal pewny, że Pakistańczycy wiedzą, kim naprawdę jest Olewski, i domagają się oficjalnego potwierdzenia. Oznaczałoby to, że major był rozpracowywany, choć nie zajmował się sprawami Pakistanu ani nawet regionu. A może tylko go podejrzewali i teraz chcą uzyskać potwierdzenie.

Władze pakistańskie znalazłyby się w bardzo trudnej sytuacji politycznej – szczególnie wobec własnych, islamskich fundamentalistów – gdyby się okazało, że jeden z porwanych obcokrajowców jest agentem wywiadu

państwa NATO, i to działającym bez zgody tutejszych władz. To byłby cios dla rządu, który po zabójstwie Osamy i tak znajduje się w trudnej sytuacji.

Braun w ułamku sekundy zdał sobie z tego sprawę i zrozumiał powód natarczywości Amina. Nie dostał jednak żadnych wskazówek z Warszawy, co ma mówić w takiej sytuacji, i poczuł się, jakby został wystawiony. Nie potrafił ocenić, czy będzie lepiej dla sprawy, jeśli powie teraz prawdę, czy też raczej powinien ją zachować dla siebie. To było ponad jego siły.

– Wszystko dzieje się tak szybko… Na razie brak informacji z Warszawy – odparł, udając pewnego siebie. – Być może już coś przyszło do ambasady… Jak tylko tam wrócę i znajdę jakąś instrukcję, natychmiast oddzwonię – zapewnił.

Pułkownik pokiwał głową, lecz Braun dostrzegł w tym gest politowania.

14

Do upadku apartheidu w 1991 roku piękna piaszczysto-skalista plaża Blouberg z widokiem na Kapsztad i Górę Stołową była zastrzeżona wyłącznie dla *blankes*. Eleganckie nadbrzeżne osiedle parterowych willi zamieszkiwali też wyłącznie biali, a czarni pojawiali się tam jedynie jako służba albo robotnicy z dompasem w kieszeni.

Jednak od tamtego czasu wszystko się zmieniło zarówno w Kapsztadzie, jak i w całej Republice Południowej Afryki. Na plaży Blouberg pojawiły się wszystkie rasy, a osiedle znacznie się rozrosło i chociaż wciąż było miejscem zamieszkania lepiej sytuowanych obywateli, to jednak teraz byli wśród nich również czarni. Ale podczas gdy społeczeństwo coraz bardziej się integrowało, rozkwitała też transrasowa przestępczość, która nie mogła ominąć zamożnych willowych uliczek Bloubergstrand.

„Awantura na plaży przy Otto Du Plessis, jakieś dzieciaki się szarpią” – doleciało z policyjnej radiostacji.

– Tu zero trzynaście… Jedziemy – odparł sierżant Makande kaMageba, najpotężniejszy czarny policjant na posterunku, i przycisnął gaz w swojej toyocie, ale nie włączył koguta.

– Znowu? – Jego biały partner, konstabl Tomas Muller, pokręcił głową. – Trzeba zakazać grillowania barweny i picia piwa po dwudziestej. Gnojki stoją na słońcu przez cały dzień i potem im odpierdala.

Ulicą Foam dojechali do nadbrzeża, po czym skręcili w lewo w kierunku Góry Stołowej, która tonęła w czerwonych promieniach zachodzącego słońca. Teraz kaMageba włączył sygnał. Uważał, że na nadbrzeżu ma to sens, bo dźwięk pięknie się odbija od ścian domów. Zawsze włączał tam koguta, nawet gdy nie jechał do wezwania, więc Muller tylko westchnął cicho.

I tak jak się spodziewał, na plaży zastali już tylko dymiący grill i kilka pustych puszek po piwie. Wiedział, że kaMageba włączył sygnał, by ostrzec rozrabiających, bo prawie zawsze imprezy urządzała tam czarna młodzież z okolicznych willi.

– Piękne barweny! – rzucił Muller, patrząc na rząd równo ułożonych na grillu ryb. – Gotowe już… spalą się… dwanaście… wszystkie duże.

– To trzeba je zabrać – odparł znudzonym głosem Makande. – Za pół godziny kończymy, to będzie kolacja na posterunku.

– Ale piwa nie zostawili. – Konstabl rozejrzał się, trącając nogą puste puszki.

– Tego nigdy nie zostawiają. – Makande się uśmiechnął. – Jak nieletni, to z piwem nawet szybciej biegnie. Ciekawe, nie? – Przez chwilę wpatrywał się w grupkę ludzi majaczącą daleko na brzegu morza. – To oni, tam… – Pomachał im swoją wielką ręką.

Muller znalazł gazetę i zebrał z grilla wszystkie ryby, łapiąc każdą dwoma palcami za ogon. Ułożył równo jedną obok drugiej, a następnie starannie zawinął w papier, by nie wystygły.

Kiedy wrócili z plaży na parking, umieścił paczkę w bagażniku i jak tylko zatrzasnął drzwiczki, usłyszeli nowy komunikat:

„Na Brander pod trzydziestym szóstym coś się dzieje. Sąsiedzi sygnalizują jakieś dziwne krzyki w domu do wynajęcia. Na podjeździe stoi jakiś motocykl”.

– Tu zero trzynaście, jedziemy… jesteśmy o dwie przecznice – odpowiedział Muller.

– Czy ona zawsze musi mówić „jakieś”? Ciągle jakieś to, jakieś tamto…

– Przeszkadza ci to?

– Tak, przeszkadza! Operator powinien wyrażać się precyzyjnie, bo później są problemy z pisaniem raportów… jakieś dziwne krzyki… co to niby jest za komunikat?

– Czepiasz się, bo Miriam jest biała.

Makande wyjechał z parkingu i skręcił z powrotem w nadbrzeżny bulwar. Po niecałych dwustu metrach odbił w prawo w ulicę Foam, którą kilkanaście minut wcześniej jechał w przeciwną stronę. Nie spieszył się, nie włączył koguta, zachowując tempo jak zwykle na patrolu. Minął skrzyżowanie z ulicą Coral, potem z Dolphin i dotarł do końca Foam, czyli rozjazdu w Brander. Skręcili w lewo.

Obaj dobrze wiedzieli, który to dom, bo patrolowali te ulice od lat, a pod numerem 30 mieszkał ich emerytowany kolega, który często urządzał męskie imprezy. Znali przynajmniej połowę mieszkańców dzielnicy, a na pewno wszystkie te domy, które sprawiały kłopot sąsiadom. Ale dom przy Brander 36 nigdy nie był notowany.

Zaparkowali obok krawężnika naprzeciwko białego parterowego domu o skośnych dachach. Wraz z dużym podjazdem starannie wyłożonym granitową kostką i ozdobionym kilkoma agawami sprawiał surowe, sterylne wrażenie luksusowych koszarów. Przy bramie garażowej stał motocykl. Okna w domu były zasłonięte.

Na ulicy pusto, żadnych samochodów, przechodniów. Robiło się coraz ciemniej.

KaMageba został przy radiowozie, a Muller ruszył w kierunku domu. Przeszedł kilka metrów. Nagle zatrzymał się, bo wydawało mu się, że

słyszy jakieś odgłosy, dochodzące z wnętrza. Obejrzał się do tyłu, dał znak koledze i dotknął dłonią pistoletu.

Nie zdążył się odwrócić, kiedy okno na parterze wyleciało na zewnątrz wraz z nagim człowiekiem, który upadł plecami na ziemię, przewracając wielką donicę. Dopiero teraz Makande zobaczył, że facet jest zakrwawiony, i pomyślał, że poranił się szkłem. Nie rozumiał, co się właściwie dzieje, to było tak zaskakujące i nienaturalne, ale, o dziwo, nie poczuł zagrożenia i nie wyciągnął broni. Nieznajomy zaczął się powoli podnosić i Muller dostrzegł kątem oka, że Makande rusza mu na pomoc.

Odwrócił się w stronę budynku i w wybitym oknie zobaczył białego mężczyznę, który mierzył do niego z karabinu. Rzucił się na ziemię i w tym samym momencie rozległ się potężny huk wystrzału pompki. Obejrzał się i zobaczył, jak z piersi wielkiego kaMageby wybija gejzer krwi, a on sam pada do tyłu niczym wielkie ścięte drzewo. Muller wycelował swojego glocka w stronę okna, ale strzelec zniknął. Nagi mężczyzna z trudem próbował usiąść i wyglądał, jakby był oszołomiony.

Gang narkotykowy – przeleciało Mullerowi przez myśl. Przerażony, drugą ręką chwycił za radiostację. Nacisnął przycisk i już miał wezwać wsparcie, gdy rozległ się drugi wystrzał i policjant zobaczył, jak twarz nagiego mężczyzny eksploduje i zamienia się w gęstą czerwoną chmurę.

Zamarł w bezruchu, oniemiały. Nie widział strzelca. Wstrzymał oddech. Ogarnęła go panika i już chciał uciekać, kiedy rozległ się trzeci wystrzał.

15

Korycki wrócił od premiera w ciągu godziny. Najpierw wezwał obu zastępców i Pańskiego.

Kiedy tylko weszli do gabinetu, od razu zauważyli, że szef jest zdenerwowany. Zdarzało mu się to wyjątkowo rzadko, więc tym bardziej rzucało się w oczy. Nawet nie starał się panować nad mową ciała, nie było mu to potrzebne. Stał przy oknie, z rękami założonymi do tyłu, i kołysał się, przestępując z nogi na nogę. Nie widzieli jego twarzy.

Cisza trwała dłużej, niż mogli się spodziewać. Korycki coś mruknął pod nosem, po czym się odwrócił. Miał zaciśniętą szczękę i drgały mu mięśnie twarzy.

– Premier kategorycznie zakazał informowania Pakistańczyków i mediów o tym, że Olewski to nasz oficer. – Przeszedł przez cały pokój i usiadł ciężko w fotelu. – Co więcej, kiedy stwierdziłem, że to ogromny błąd… – zamyślił się na moment, patrząc w okno – premier poinformował mnie, że sprawą zajmie się minister Grobelny, a jego zespół w MSZ będzie koordynował całość akcji, także kontakty z mediami. Agencja ma delegować do tego zespołu jedną osobę. Poza tym mamy wykonywać polecenia Grobelnego i wszystkie informacje przesyłać na Szucha…

– Powiedział dlaczego? – zapytał Pański.

– Boi się politycznych konsekwencji. Brak mu jaj… myślę… i doświadczenia – odparł Korycki.

– Jebał go pies! – rzucił ostro Walewski i usiadł. – To znaczy, że los Olewskiego jest przesądzony…

– Zostawimy to tak? – zapytał szef.

– Oczywiście, że nie – wtrącił się Pański i też usiadł. – Musimy przejąć władzę w tym niby zespole Grobelnego. Przecież w MSZ posrają się przy tej sprawie. Mogą na niej tylko stracić, więc nikt się nie zaangażuje. Nikt! Czyli będą szukać kogoś, kto ich wyręczy i weźmie na siebie odpowiedzialność. Jeśli się uda, wsadzimy do zespołu naszych ludzi. Zajmą się uzgadnianiem stanowisk z Niemcami, Brytolami i Japońcami. Ambasador Kruczek w Islamabadzie to cymbał i tchórz, pilnuje tylko swojej michy, a my przecież mamy tam Brauna. Chłopak spokojnie pociągnie sprawę z ISI, tym bardziej że od początku miał być dublerem Olewskiego.

– Hm… – Korycki się zadumał. – Może to tylko proteza, ale jednak. Co o tym sądzicie? – zwrócił się do swoich zastępców, którzy jednoznacznie pokiwali głowami. – Dobrze! – Spojrzał na Pańskiego. – Weźmiesz to na siebie, Zenek?

– Cóż… – Pułkownik uśmiechnął się niewyraźnie. – Nie mam chyba wyboru.

W ciągu piętnastu minut ustalili, co powinien zrobić zespół, by przynajmniej spróbować uratować Olewskiego. Pomysły Pańskiego były na tyle sensowne, że wszyscy na nie przystali i pomyśleli zgodnie, że ta beznadziejna sprawa oficjalnie jest w dobrych rękach.

Na szczęście, bo każdy z nich grał swoją partię, o której pozostali nie wiedzieli.

Ledwie zniknęli za drzwiami, na biurku zadzwonił zabezpieczony telefon do połączeń wewnętrznych. Jego dźwięk był inny niż wszystkich

pozostałych, przypominał turkot starego traktora, ale zawsze sygnalizował jakąś szczególnie ważną wiadomość.

Na wyświetlaczu pojawił się napis LESKI. Korycki podniósł słuchawkę.

– Tak, panie pułkowniku?

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać – powiedział Leski. – Sprawa majora Olewskiego nie jest taka prosta, jak nam się wydaje. Sądzę, że powinniśmy podjąć działania specjalne.

– Czekam na pana.

16

Minęła dziewiętnasta. Monika leżała nago na plecach, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, poruszając nimi powoli w takt muzyki Jo Yeong-wook – *Sympathy for Lady Vengeance*. Ostatnio słuchała tego na okrągło.

Wysokość człowieka to dziesięć modułów, gdzie moduł to wysokość głowy mierzona od brody do nasady włosów. Otwarta dłoń również ma długość jednego modułu. Głowa człowieka ma wielkość jednej ósmej, jednej szóstej od wysokości piersi do góry, do miejsca, w którym zaczynają się włosy. Od włosów do podbródka dzieli się na trzy części: w górnej czoło, w środkowej nos, w dolnej usta z podbródkiem. Długość mierzona od nadgarstka do łokcia jest długością stopy. Stopa to jedna siódma człowieka, łokieć jedna czwarta, pierś też jedna czwarta, szerokość rozstawionych ramion równa jest wzrostowi – recytowała w myślach, z zamkniętymi oczami, zasady człowieka witruwiańskiego.

Powtarzanie tej mantry dawało Monice poczucie całkowitej jedności, zespolenia sztuki, człowieka i myśli w idealną proporcję, witruwiańską właśnie. To jest prawdziwa pranama, uważała, bo do jogi podchodziła twórczo i elastycznie.

Szkoda tylko, że mój dzisiejszy orgazm nie miał nic wspólnego z muditą, a powinien – pomyślała i spojrzała na nagiego Roberta, który leżał obok na brzuchu i wciąż ciężko oddychał. Słaby on jakiś… i po co

nagle zaczął z tym dzieckiem… tatusiem chce zostać? Trzeba się nad nim poważnie zastanowić…

– Trzeba.

Ostatnie słowo wypowiedziała na głos, powoli założyła ręce za głową i miękko przeszła do pozycji salamba sirsasana, a po chwili skrzyżowała nogi nad głową i przyjęła figurę pindasana.

Po rozmowie z Dimą tak zdenerwowała się jego ostentacyjną obojętnością, że musiała koniecznie odreagować i wieczorem ściągnęła Roberta do domu. Jednak ani seks, ani joga nie pomogły i cały czas wracała myślami do zimnego Dimy. Coraz częściej, kiedy patrzyła na wyrzeźbione szerokie, muskularne plecy Roberta, zastanawiała się, czy nie byłoby jej lepiej, gdyby leżały tu szczupłe, zwinne plecy Dimy. A właściwie dlaczego po seksie Robert zawsze leży na brzuchu, nie obejmie jej, nie przytuli, nie pocałuje? Taki z niego macho?

Nie minęła minuta, kiedy z przedpokoju dobiegł dźwięk telefonu. W takiej chwili to nie mógł być nikt inny, tylko Dima, Monika to po prostu wiedziała. Straciła równowagę i spadła kolanami wprost na monumentalne plecy Roberta, który nawet nie drgnął.

Poderwała się i pobiegła do przedpokoju.

– Tak, Dima? – rzuciła, nie spojrzawszy na wyświetlacz.

– Za godzinę u taty – usłyszała.

– Będę.

Rozłączył się.

Kapitan Monika Arent była pewna, że chodzi o porwanego Polaka, bo odkąd zobaczyła jego twarz w telewizorze, o niczym innym nie mogła myśleć. A poza tym całą swoją energię kierowała na Dimę, żeby się w końcu ruszył i coś zrobił. Miała głębokie i niczym niepoparte przekonanie, że tylko on może uratować tego człowieka. Znała Dimę

doskonale i jeszcze nigdy nie pomyliła się w jego ocenie. Czasami zdawało się jej nawet, że może sterować jego myślami. Jedynym wyjątkiem była „nudna Kaśka”, jak ją po cichu nazywała, z którą związał się trzy miesiące wcześniej. Tego błędu akurat nie mogła sobie darować, bo stało się to dokładnie tydzień po tym, jak sama zerwała z Tomkiem, który też do najmądrzejszych nie należał.

Może to i dobrze, że ta Kaśka jest taka nudna – czasami mówiła do siebie Monika – bo przynajmniej Dima nie musi się martwić o konspirację. Czy taka gąska może zrozumieć życie kogoś takiego jak on? Skądże!

Stanęła naga w drzwiach i spojrzała na wypracowane pośladki Roberta, który wciąż leżał na brzuchu. Podeszła bliżej.

Zasnął? Ja pier… – pomyślała ze złością.

– Zbieraj się! – Rzuciła mu spodnie.

– Co się stało? – Robert był wyraźnie zaskoczony.

– Nic się nie stało. Muszę zaraz wyjść… mam spotkanie…

– Spotkanie? O tej porze? Tak nagle? Z kim?

– Tak, o tej porze – odpowiedziała spokojnie.

Pomyślała, że to był zły pomysł, żeby ściągać Roberta. Niczego nie znosiła bardziej niż tych jego nieustających pytań, nadopiekuńczej troski, ostentacyjnej miłości, a teraz jeszcze wyskoczył z dzieckiem.

Gdybyś wiedział, kim jestem i co robiłam, jakie mam zaszargane sumienie i życiorys, tobyś się chyba rozpłakał, chłopie… Minuta na złożenie glocka 19 i dwie na test CQB, a ty wciąż myślisz, że tylko pędzelek, płótno i fiu-bździu…

Monika ubierała się pospiesznie.

I te twoje pytania, zamartwianie się, czy jest mi dobrze… czy smakowało… co chcę robić… czy chcę w łóżku tak czy siak. Fajny jesteś, ale nie dla mnie.

– Nie wierzę! – Wybuchnęła śmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Robert, wciągając spodnie.

– Z siebie.

– Dlaczego?

– Robercie kochany… spadaj już, bo bardzo się spieszę…

– Zadzwonisz?

– Tak, zadzwonię… oczywiście…

– Ale jeszcze dzisiaj?

– Tak, dzisiaj.

– Pomyślisz o tym?

– Pomyślę – odparła, szybko wciągając dżinsy.

Wcale nie zamierzała myśleć o dziecku z adwokatem, który ma kancelarię na Nowym Świecie, wypieszczony triceps i ciągle o coś pyta, jakby nie miał własnego zdania. Nigdy nie powiedział do niej jak normalny mężczyzna: chodź, kotek, obejmij mnie, dotknij mnie tu, nigdy nic jej nie kazał, niczego się nie domagał, nie żądał, tylko ciągle pytał i prosił: nie chciałabyś tu przyjść? masz czas? podoba ci się? co o tym myślisz? Pewnie po sakramentalnym „pan młody może pocałować pannę młodą” natychmiast by jej wepchnął język do ust, jakby uważał, że ona tylko o tym marzy.

A o dziecku kobieta myśli zawsze, nawet jeśli nie chce go mieć, i nie trzeba jej o to pytać! Uświadomiwszy to sobie, jeszcze bardziej się wkurzyła.

Stojąc już za progiem, zdążył jeszcze zapytać, czy nie chciałaby, żeby ją podwiózł, i kiedy odda samochód do warsztatu, więc jak tylko zatrzasnęły się za nim drzwi, od razu poczuła się lepiej.

W końcu została sama.

Spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut miała być u taty na placu Zbawiciela.

17

Kiedy przyszedł, pułkownik Leski już był. Ubrany w swój dyżurny szary garnitur ze spodniami bez kantów i stare góralskie kapcie, które zawsze przynosił ze sobą w teczce. Wpuścił go bez słowa i wrócił za biurko, na którym miał rozłożone jakieś papiery.

Dima od razu zauważył, że Roman przebywa tu już od dłuższego czasu. Na biurku paliła się lampka, a obok stała szklanka z grubym kożuchem herbacianych fusów. Leski nie uznawał herbaty w saszetkach.

Dwupokojowe mieszkanie przy placu Zbawiciela pełniło funkcję lokalu konspiracyjnego i miało nawet swój kryptonim, ale nikt nie mówił inaczej niż „u taty", bo to dobrze się komponowało w kodowanym języku telefonicznym.

Usytuowane było niemal idealnie, bo na ostatnim piętrze, z drzwiami wejściowymi poza polem widzenia lokatorów, którzy i tak na wszelki wypadek byli zarejestrowani przez Leskiego. Do klatki schodowej prowadziły trzy wejścia, w tym dwa od strony zamkniętego podwórka.

U taty spotykało się pięć osób, czyli Sekcja. Każda wchodziła inną drogą. Dima zawsze od ulicy Sempołowskiej, Monika od Marszałkowskiej, a Witek i Ela od alei Wyzwolenia. Tylko Roman Leski wchodził, jak chciał.

W dokumentach Agencji Wywiadu każdy z czterech oficerów Sekcji miał tylko swój kryptonim, który zabezpieczał jego status prawny. Oprócz pułkownika Romana Leskiego nic nie mogło ich łączyć z Agencją. Cała

dokumentacja zespołu mieściła się w zabezpieczonym sejfie u taty, a dostęp do niej mieli tylko Leski i Dima. Tożsamości członków Sekcji nie znał nawet szef.

Tę nieistniejącą formalnie jednostkę polskiego wywiadu powołano w 1991 roku. Miała ona zajmować się sprawami, których nie da się rozwiązać legalnie, a które wymagają użycia specjalnych środków i metod, nie zawsze zgodnych z prawem.

Stworzył ją i od początku prowadził pułkownik Roman Leski, jedyny w Polsce człowiek poza podejrzeniami. Stary kawaler, bez przeszłości i przyjaciół, bez adresu i wyglądu. Nikt nie pamiętał, jak znalazł się w służbie, ani nie wiedział, dlaczego wbrew wszystkim obowiązującym zasadom podlegał bezpośrednio szefowi, choć na Miłobędzkiej i w tej kwestii zdania były podzielone.

Największą tajemnicą było jednak to, jak mu się udało przetrwać wszystkie czystki w służbie.

W rzeczywistości dialektyka jego trwania była bardzo prosta, bo każdy z szefów wolał mieć Leskiego po swojej stronie i wykorzystywać go do własnych celów. Zakładali, że każde starcie z Sekcją jest z góry przegrane. Tak się przynajmniej wszystkim wydawało. Mity żyły własnym życiem, inteligentnie dożywiane przez Leskiego prawdziwymi sukcesami. To był jedyny sposób, by uchronić Sekcję przed zachłannością polityków i choć trochę zadbać o bezpieczeństwo Polski. Dlatego pułkownik Roman Leski wydawał się nietykalny. Był jak antybiotyk, którego każdy kiedyś będzie potrzebował.

Dimitri Calderón dołączył do Sekcji przed pięcioma laty, a Monika dwa lata przed nim. Witek i Ela na początku ubiegłego roku, kiedy zwolnili się ze służby po rozwiązaniu Wydziału Q. Leski wyłowił ich sam, ale już wcześniej słyszał o nich dużo dobrego. Wybrał ich, ponieważ pracowali

z Konradem Wolskim i Sarą Korską i pozostali im wierni do końca. Potrzebował młodych, odważnych i pryncypialnych oficerów, którym mógłby zaufać, i oni właśnie tacy byli. Bo jego diamenty, Dima i Monika, potrzebowały odpowiedniej oprawy i zabezpieczenia, jeśli miały mieć wartość.

Pięć minut po Dimie przyszła Monika i już w drzwiach rzuciła:

– Pakistan? Jedziemy?

Ale ani Dima, ani Leski nie zareagowali.

– Pakistan – powtórzyła z naciskiem. – Wiem.

Dopiero teraz Leski podniósł głowę znad biurka, przesunął okulary na czoło i spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie wiesz. Znowu ci się wydaje – odparł z uśmiechem. – Ale zaraz się dowiesz. Zaczekamy na młodych, bo nie będę powtarzał dwa razy.

Wrócił do czytania.

Monika wyszła do kuchni, gdzie Dima otworzył już lodówkę i wyjął zieloną butelkę napoju z aloesu. Przez moment się zawahał i wyciągnął rękę w stronę Moniki.

– Chcesz?

– Daj. – Wzięła butelkę, ale wcale nie miała ochoty pić, chciała tylko zbliżyć się do Dimy, który wciąż stał, trzymając otwarte drzwi lodówki. – Powiedz… – Podeszła jeszcze bliżej i spojrzała w głąb pokoju, jakby się obawiała, że Roman ją usłyszy. – Masz jakiś plan, żeby wyciągnąć tego Polaka? Bo mnie się wydaje… – Przeszła do szeptu, niemal dotykając ustami ucha Dimy.

– Czuć od ciebie seksem – wyszeptał. – Mężczyzną… – Spojrzał jej w oczy. – Wszystko jasne… Robert! – Uśmiechnął się ironicznie.

– Ale jesteś dowcipny! – Parsknęła z udawanym oburzeniem i poczuła jeszcze większą złość na Roberta, bo ją zdekonspirował, i to przed Dimą. –

A ty powiedz tej swojej… – już miała na końcu języka „nudnej” – tej swojej Kaśce, żeby nie używała takich tandetnych perfum, bo ci wstyd przynosi – wyszeptała, marszcząc nos. – Nie można się do ciebie zbliżyć…

Miała ochotę jeszcze coś dodać, ale w tej właśnie chwili dobiegł z przedpokoju dźwięk dzwonka.

Usiedli jak zawsze. Dima i Monika na sofie, on po prawej, ona po lewej. Witek i Ela na krzesłach przy stole. Roman Leski odwrócił się na okręcanym krzesełku od biurka i swoim zwyczajem położył ręce na poręczach. Wyglądał, jakby właśnie zaczynało się małe tajemnicze misterium, a on sam miał zagrać rolę wielkiego maga. I w pewnym sensie tak właśnie było, bo to Leski tworzył scenariusz i rozpisywał dla nich sceny, które musieli wypełnić własną pomysłowością i pracą.

– Masz żywą podświadomość… – zwrócił się Leski do Moniki.

– Ja znam swoją podświadomość – przerwała mu usatysfakcjonowana, że odkryła cel ich spotkania. – Wiem, jak działa, i nawet mogę ją kształtować.

– Gdybyśmy znali swoją podświadomość, nie nazywałaby się podświadomością. – Leski krótko skwitował wywód Moniki. – Czyli nie wiedziałaś, lecz ci się wydawało. I rzeczywiście to podświadomość wskazała ci na Pakistan. Tak… – Pociągnął wzrokiem po zebranych. – Zajmiemy się sprawą… naszego porwanego w Pakistanie przez talibów… kolegi, majora Henryka Olewskiego.

W pokoju zaległa cisza, jakby jakaś niezwykła moc na moment zatrzymała czas i zamknęła przestrzeń, a ich myśli zawisły w próżni.

Pierwsza odezwała się Monika.

– *Fuck!*

Spojrzała na Dimę, który kręcił głową, bezradnie rozkładając ręce.

– Rozumiem, że porywacze jeszcze o tym nie wiedzą, bo w mediach nie było ani słowa. Czy tak? – zapytał i wypuścił głośno powietrze. – Jak się dowiedzą… uff… – westchnął. – Cena za uwolnienie będzie bardzo wysoka, pewnie nie do przyjęcia, a więc los naszego kolegi… – Popatrzył na Leskiego, który delikatnie przytaknął.

– Musimy coś zrobić – wtrąciła się Monika. – Jaki masz plan, Roman? Rozumiem, że coś masz w głowie, skoro tu siedzimy.

– Źle to widzę – rzucił Dima. – Małe szanse… Roman?

– Nie jestem optymistą…

– To co tu, kurwa, robimy? – Monika poderwała się z sofy.

– Jest jednak coś, co daje nadzieję – powiedział całkiem spokojnie Leski. – Po głębszej analizie to porwanie i cała ta sytuacja wzbudzają sporo wątpliwości, o ile nie podejrzeń. Prawdopodobnie jest jakieś drugie dno i jeżeli uda nam się do niego dotrzeć, to jakaś szansa może się pojawić…

– Bierzmy się do roboty – odezwała się Monika, wciąż trzymając w dłoniach zamkniętą zieloną butelkę z napojem aloesowym.

– Bierzemy się, i to natychmiast, bo wyścig z czasem już się zaczął. Jeśli media wykryją, kim jest Olewski, i podadzą to do wiadomości, nic już nie będziemy mogli zrobić, tym bardziej że to MSZ ma kierować zespołem ratunkowym, a nie Agencja, która ma wykonywać polecenia Grobelnego. Sprawą już się zajęła prokuratura, więc wyciek jest tylko kwestią czasu. Taka jest decyzja premiera, on boi się opozycji. Dla nich los majora Olewskiego jest tylko sprawą do rozegrania… albo tematem na pierwszą stronę. My natomiast ratujemy człowieka… naszego kolegę.

– Czy mamy działać w ramach tej komisji? – odezwała się pierwszy raz Ela.

– Olewamy komisję, ministra Grobelnego, pana premiera i wszystkich świętych, którzy staną nam na drodze – oznajmił Leski. – Działamy sami,

poza prawem, za zgodą szefa Koryckiego i na jego odpowiedzialność.

– Czyli co? My przeciwko wszystkim? – zapytał Witek.

– Nie – odparł Dima. – My pomimo wszystkich.

– To rozumiem! – Monika z satysfakcją potrząsnęła głową i spojrzała na Dimę, który uśmiechnął się blado, ale ona go znała na tyle dobrze, że wiedziała, co teraz myśli. Zobaczyła iskierkę nadziei.

– To posłuchajcie – zaczął spokojnie Leski.

Obrócił się na krzesełku i sięgnął po plik wyrwanych z kołonotatnika postrzępionych żółtych kartek formatu A4, zapełnionych drobnym pismem i gdzieniegdzie wielkimi drukowanymi literami. Cały tekst przeplatany był strzałkami, figurami geometrycznymi, małymi schematami. I chociaż doskonale wiedzieli, że Roman Leski nigdy osobiście nie realizował żadnych operacji wywiadowczych za granicą, może nawet nigdy nie wyjeżdżał z Warszawy, to jego plany operacyjne i pomysły spisane na żółtych kartkach były jak doskonała kabała, perfekcyjnie proste i zaskakujące inteligencją.

18

Dima został zwerbowany do wywiadu, kiedy jeszcze był na studiach. Miał wszystko co niezbędne, by zostać nielegałem idealnym – znajomość świata, języków, dobry wizerunek i zwyczajny, spokojny patriotyzm.

Długo się zastanawiał, czy dobrze robi, czy tego chce. W końcu podjął decyzję całkowicie świadomy i przekonany, że na zawsze oddaje swój los ojczyźnie. Czuł się Polakiem grecko-żydowskiego pochodzenia i choć po upadku junty mógł, jak inni Grecy, wyjechać z kraju, nigdy nawet o tym nie pomyślał.

Wkrótce uzyskał dyplom magistra socjologii na Uniwersytecie Warszawskim i niedługo potem ukończył szkolenie oficerskie. W 1991 roku został awansowany na podporucznika polskiego wywiadu.

Kupił nowy garnitur, krawat i buty. Skromna uroczystość odbyła się w jakimś ponurym mieszkaniu przy ulicy Puławskiej. Ówczesny szef wywiadu wygłosił kilka wyuczonych formułek i na koniec położył mu protekcjonalnie rękę na ramieniu. Był przy tym Adam, czyli major Bednarski, który prowadził go od pierwszego dnia, uczył i wychowywał, aż zostali kolegami.

Dima otrzymał kryptonim „Odyn”, całkowicie sprzeczny z jego urodą.

Złożył i podpisał przysięgę, potem była butelka taniego szampana, kwiaty, dyplom, który zabrał Adam, uściski dłoni, miła pogawędka o ciekawym życiu, i już po godzinie Dima szedł ulicą Polną do domu.

Mieszkał z matką w małym mieszkaniu komunalnym na Litewskiej. Oddał jej kwiaty.

Miała za sobą podwójną mastektomię, co jednak nie zatrzymało licznych przerzutów, więc jeszcze tego samego dnia złamał oficerskie słowo i powiedział jej o wyborze, jakiego dokonał. Od chwili, w której zgodził się zostać nielegałem, nie wątpił, że będzie musiał jej to powiedzieć. I Adam był pewny, że tak zrobi.

– Jestem z ciebie dumna, synu. – Objęła go wpół i pocałowała w policzek. – Trzeba coś robić, żeby świat był lepszy… Może to jest jakiś sposób i może ci się uda. Spróbuj, w końcu mało kogo świat skrzywdził tak jak nas – dodała. – Chodź, zrobiłam gołąbki.

Tak ten dzień zapamiętał, a może tylko chciał, żeby tak było. Słowa matki. Wciąż je poprawiał, udoskonalał, idealizował. Dobrze wiedział, że to świadomość śmierci jest fundamentem postrzegania czasu.

Rosa odeszła pół roku później. Pochował ją obok Jordanisa we Wrocławiu. Tak jak on, nie prosiła, by przenieść ją do Salonik. Chciała zostać w Polsce.

Osiem miesięcy później podporucznik Dimitrios Calderón wyjechał do Kolumbii. Jako obywatel Peru zaczął swoje nowe życie od odświeżenia kontaktów z kolegami z elitarnego jezuickiego Colegio de la Inmaculada. Szybko się okazało, że kilku z nich zrobiło karierę wartą nie tylko wywiadowczego zainteresowania, ale i solidnej inwestycji.

Celem Dimy była jednak Rosja, a jako Grek z pochodzenia miał do tego szczególne predyspozycje. Szukał zatem osób, które pomogłyby mu znaleźć drogę do ciekawych spraw w Moskwie.

Gdzieś w São Paulo czy Johannesburgu raz na kwartał spotykał się z Adamem, któremu przekazywał raporty i od którego odbierał instrukcje. Długo dyskutowali o wszystkim, co miało lub mogło mieć jakiekolwiek

znaczenie dla jego misji, ale te kontakty były też jedyną nicią wiążącą go wówczas z ojczyzną.

Oficjalnie utrzymywał, że po śmierci ojczyma wrócił z matką do Grecji. Miał polecenie omijania miejsc, gdzie mógłby spotkać Polaków. Nie mógł ryzykować, że przypadkowo spotka jakiegoś znajomego ze studiów.

Po trzech latach się udało. Dima nawiązał kontakty z kartelami narkotykowymi w Kolumbii i – co ważniejsze – z partyzantką FARC. Jednocześnie w niemal naturalny sposób został współpracownikiem kubańskiego wywiadu, co otworzyło mu drzwi do Rosji. Wkrótce jako współpracownik rekomendowany przez FARC wyjechał do Moskwy i nawiązał kontakty z wywiadem rosyjskim, który od lat wspierał ruch oporu w Kolumbii.

Dima wszedł głęboko w międzynarodowe środowisko nielegalnego handlu bronią i rozpoczął też pracę dla GRU. Zapuścił korzenie w Moskwie i związał się z Wierą, która prowadziła go jako swoje źródło. Po wielu latach osiągnął zamierzony cel.

Uzyskiwał informacje, dzięki którym polski wywiad znalazł się w światowej pierwszej piątce. Wskutek jego działalności udaremniono wiele zamachów terrorystycznych, wygaszano konflikty i Dima mógł sobie powiedzieć, że w jakimś stopniu wpływa na poprawę świata. Był najważniejszym polskim szpiegiem.

Zdobywał cenne informacje, z których szczodrze korzystały zaprzyjaźnione służby. Jednak wraz z upływem czasu CIA i MI6 coraz intensywniej domagały się od Agencji ujawnienia źródła, twierdząc, że same muszą ocenić, czy nie ma w tym inspiracji Rosjan. To zainteresowanie groziło dekonspiracją Dimy, więc Warszawa zaczęła się zastanawiać, co robić. Nikt nie mógł podjąć odważnej decyzji, bo im wartościowsze były informacje, tym bardziej zagrożone było ich źródło.

Rozwiązanie przyszło niespodziewanie. Dima sam zrezygnował z pracy w Moskwie. Oznajmił Adamowi, że jest wyczerpany psychicznie i boi się wpadki. To były argumenty, których żaden wywiad nie mógł zbagatelizować, zwłaszcza że po cichu Adam wspierał go w tej decyzji. Tyle lat w Rosji musiało nadszarpnąć jego psychikę, argumentował w rozmowie z szefem Agencji, który w końcu musiał się zgodzić.

W rzeczywistości Dima miał się całkiem dobrze. Od dawna przygotowywał koncepcję wygaszania swojej aktywności i stopniowego wycofywania się z kontaktów w Rosji, tak by nie spalić za sobą mostów i nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń. Budował wokół siebie atmosferę obojętności i coraz mniejszej przydatności, przestał wykazywać zainteresowanie tym co najważniejsze. Nie niszczył jednak kontaktów. Z Wierą rozstał się w ciszy, spokoju i przyjaźni. W końcu zniknął z moskiewskich ulic, pubów i restauracji.

W 2002 roku wyjechał do Grecji. Zamieszkał w Atenach, w małym apartamencie z widokiem na Akropol, i związał się z kelnerką Eleni, którą wytypował na swoją partnerkę w kawiarni Lukumades na Aiolou. Wiedział, że to przewrażliwienie, ale nigdy nie był pewny kobiety, której nie wybrał sam.

Kontakty z Kolumbijczykami już wcześniej ograniczył do minimum, więc i Kubańczycy siłą rzeczy zamilkli. Rosjanie, z którymi był zaprzyjaźniony, odzywali się już tylko wtedy, gdy przyjeżdżali na wczasy do Grecji.

Po roku zmarł Adam Bednarski i teczkę Odyna przejął Roman Leski. Pięć lat temu Dima przyleciał do Warszawy i został członkiem Sekcji.

Leski wyczyścił jego dokumentację operacyjną i pozacierał wszystkie ślady, jakie po nim zostały. Dimitrios Calderón, syn Józefa Hofmanna i Rosy Lazopulos z domu Behomoiras, opuścił Polskę na zawsze, a na jego

miejscu pojawił się Aleksander Głowacki. W zespole jednak wciąż był Dimą. Wprawdzie wolałby, żeby nazywali go Rafaelem, ale musiałby powiedzieć dlaczego, a nie chciał kłamać.

Leski wybrał i przygotował dla niego dobrze zabezpieczone lokum na górnym Mokotowie, a Monika je urządziła. Ona, absolwentka ASP, najlepiej wiedziała, jak ma wyglądać mieszkanie faceta, który jej się podoba, i włożyła w nie całą siebie, swój seksapil, poczucie smaku i wyobraźnię, licząc po cichu, że może kiedyś też tu zamieszka. Wprawdzie w Atenach była wtedy jeszcze urodziwa kelnerka, ale to już wkrótce miało się zmienić.

W tym czasie Dima odnalazł Józefa Hofmanna. Nikt o tym jednak nie wiedział.

19

Po ataku na hotel Monal oddział Tygrysa się wycofał, zanim pakistańskie siły bezpieczeństwa zorientowały się w sytuacji. Niski pułap chmur uniemożliwiał im użycie śmigłowców, więc zamachowcy dotarli na miejsce zbiórki zgodnie z planem. W ciągu następnych ośmiu godzin szybkim marszem przeszli przez góry i o zmroku dotarli do wsi Trahan nad Indusem, gdzie czekały na nich dwie ciężarówki. O świcie byli już po afgańskiej stronie granicy i po porannej modlitwie ruszyli pieszo na drugą stronę. Wieczorem dotarli do górskiej bazy w Waziristanie.

Całą następną noc bojownicy i zakładnicy spali.

Wszystko zaczęło się trzeciego dnia.

Tygrys wszedł do dużego pomieszczenia, w którym na matach, przykryci szarymi kocami, leżeli skuleni z zimna czterej zakładnicy. Przebrany w świeży salwar kamiz, wyglądał na zadowolonego i wypoczętego. Był bez broni. Usiadł na niskim stołeczku i przez chwilę przyglądał się śpiącym.

Nie byli skrępowani.

– Wstawać – powiedział spokojnie płynnym angielskim z amerykańskim akcentem. – Obudźcie się, panowie. Zaczyna się najważniejszy dzień w waszym życiu. Mówią na mnie Tygrys, więc wiecie, kim jestem. – Błysnął zza rudej brody białymi zębami, kiedy cztery zaspane i brudne twarze zwróciły się w jego stronę. – Będziecie poznawać islam, ale

najpierw musicie się umyć, bo Allah nie rozmawia z brudasami… Żartowałem, ale tylko trochę. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Woda jest na zewnątrz, bardzo zimna. Warunki są surowe. – Skinął głową w stronę drzwi. – Potem się przebierzecie w czyste ubranie, które leży tutaj… – Wskazał ręką na stos równo złożonych peszawarskich koszul i spodni. – No… i dostaniecie jeść. A potem zaczniemy pracować.

– To znaczy? – odezwał się nieśmiało starszy Niemiec w wybłoconym granatowym garniturze.

– Porozmawiamy z waszymi rządami o wielkiej polityce – odparł Tygrys. – Będziecie im tłumaczyć, jak źle robią, mordując muzułmanów w ich domach, i zachęcać, by się wynieśli z Palestyny, Iraku, Syrii, Afganistanu… I będziecie to robić z zaangażowaniem. Jestem o tym przekonany.

– Ale mój kraj… – wtrącił się Japończyk.

– Pana kraj też na tym korzysta, więc powinniście zająć stanowisko, nieprawdaż?

Tygrys sprawiał wrażenie inteligentnego cynika. Miał bystre spojrzenie i cały czas się uśmiechał, zachowując pełną kontrolę nad gestami i mimiką. Wyglądał na człowieka, który wie, co robi, to zaś przydawało całej sytuacji jeszcze większej grozy.

Tak go przynajmniej widział Henryk i uznał, że nie jest to człowiek, z którym można próbować się dogadać. Tym bardziej że nie mówił w paklish i wyglądał na kaukaskiego najemnika. Tylko ten jego wyborny angielski nie pasował do obrazu dzikiego mordercy.

Na razie jednak należało się powstrzymać od ostatecznych ocen. Po okrutnych wydarzeniach w hotelu i wyczerpującej podróży Henryk dopiero dochodził do siebie i wiedział, że nie myśli jasno. Był głodny, niewyspany

i spragniony. W takich warunkach nic nie jest wystarczająco zrozumiałe i nic nie jest oczywiste.

– Wiemy, kim jesteście i co robicie w Pakistanie… Pan inżynier z Niemiec? – Tygrys wyjął z kieszeni paszport i rzucił na podłogę. – Oliver z Londynu, artysta? – Kolejny paszport. – Pan Hazuki z Osaki, etnograf? – Upuścił zielony paszport ze słońcem. – I pan Polak! – Spojrzał na Henryka i przestał się uśmiechać. – Polska, Polska… słyszałem… jest taki kraj. Bardzo lubię Polaków. Co pan robi w Pakistanie?

– Jestem handlowcem – odparł Olewski spokojnie.

– Handlowcem? – zapytał Tygrys. – To pewnie zrobimy jakiś dobry interes z pana krajem. Nie? Pomoże pan? – Uśmiechnął się ironicznie.

Henryk nic nie odpowiedział. Zauważył jednak, że Tygrys poświęcił mu więcej uwagi niż pozostałym. Może uznał go jako Polaka za szczególnie oryginalnego, a może wiedział o nim coś jeszcze i nie potrafił tego ukryć…

Tygrys podniósł się sprawnie jak prawdziwy żołnierz, popatrzył chwilę na siedzących na podłodze ludzi, odwrócił się i wyszedł. W drzwiach pojawił się bojownik z automatem i krzyknął coś w urdu.

Że też tak łatwo ten oddział wydostał się z rejonu Islamabadu – przeszło nagle przez myśl Henrykowi. Taka masakra, czterej obcokrajowcy uprowadzeni i ani śladu pościgu przez dzień i noc? Jak to możliwe? – zastanawiał się chaotycznie. A może się mylę, w końcu co ja tam wiem. Muszę się opanować, uspokoić, opanować… uspokoić…

Przez całą drogę mieli skrępowane ręce. Nie wolno im było rozmawiać, dopiero w ciężarówce Tygrys zaczął ich przepytywać, ale to nie było przesłuchanie. Nie wyglądał na kogoś, kto ucieka przed obławą, był spokojny, jakby wszystko miał pod kontrolą. Bojownicy wyraźnie się denerwowali i czasami poszturchiwali więźniów. Spokój Tygrysa mocno

kontrastował z podminowaniem jego ludzi. Jakby dowódca chciał im pokazać swój hart i pewność siebie… albo wiedział, że nie musi się bać.

Henryk uznał za oczywiste, że zostali uprowadzeni w określonym celu i że porywacze będą pewnie domagać się w zamian uwolnienia swoich ludzi, a może stawiać inne żądania. Tygrys sprawiał wrażenie, jakby niczego się nie bał, i ani trochę się nie spieszył. Czyżby miał świadomość, że czas gra na jego korzyść?

Żeby uzyskać za zakładników wysoką cenę, najpierw trzeba nagłośnić sprawę na Zachodzie – kalkulował Henryk. Ich cierpienie musi dotrzeć do każdego domu i być obecne przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Już w drodze zaczął się zastanawiać, czy to porwanie na pewno było przypadkowe. Ale najbardziej niepokoiła go myśl, co będzie, kiedy talibowie się zorientują, że mają oficera polskiego wywiadu. Zdał sobie sprawę, że stanie się monetą przetargową i nie będzie miał nic do powiedzenia w swojej sprawie.

Do tego czasu mam dwie możliwości – pomyślał. Rozejrzeć się za sposobem ucieczki, chociaż nie wiem nawet, gdzie jestem, albo… rozpracować Tygrysa. Nie trać nadziei, Heniu… nie trać nadziei… ja pierdolę… uff… Na tych facetów nie ma co liczyć… obsrani ze strachu… zrobią wszystko. I pewnie jeszcze myślą, że władze wyciągną ich z tego gówna. Naiwniaki… chyba nawet nigdy nie trzymali broni w ręce. Może lepiej będzie działać samemu.

Odetchnął głęboko.

Sam jesteś naiwniak, Heniu… Wiesz, kto siedzi w Warszawie, więc może warto się dogadać z tymi talibami. W końcu Tygrys chce ubić jakiś interes…

I nagle w tej gonitwie myśli, burzy strachu i nadziei przypomniał sobie, że w Warszawie zostawił żonę i córkę, że ma mieszkanie na Kabatach,

które wymaga remontu, i że za tydzień miał lecieć na ślub brata.

To jakiś absurd… ja śnię… to się nie może dziać naprawdę.

Poczuł, jakby dostał pięścią w brzuch, i łzy napłynęły mu do oczu, więc schował głowę między kolanami.

Szybko jednak się opanował. Wytarł twarz dłonią, rozmazując brud, podniósł się i jako ostatni, popychany leniwie lufą kałacha, wyszedł na zewnątrz.

Był rześki słoneczny poranek w górach Waziristanu.

Muszę mieć jakiś plan… jakiś plan, pomysł… jakiś plan.

Chlusnął sobie zimną wodą w twarz.

20

Nikt nie wiedział, jak liczna jest stacja CIA w Islamabadzie ani kto z personelu ambasady jest agentem. Zwykłym ludziom się wydawało, że świat amerykańskich szpiegów w Pakistanie wygląda jak w serialu *Homeland*, a superagentem musi być ktoś taki jak psychopatyczna Carrie Mathison.

Jednak Wiktor Braun nie zastanawiał się nad tym, bo filmu nie oglądał. Wiedział jedynie, że to największa stacja CIA na świecie od czasów Sajgonu.

Znał jankesa o nazwisku Steve Sinster, który bardziej przypominał praktykanta z Wall Street na wakacjach w Las Vegas niż oficera wywiadu. Przez trzy lata pracował w rezydenturze CIA w Warszawie. Zawsze chodził w spodniach chino, koszulce polo od Ralfa Laurena i czarnych butach na grubej podeszwie.

Współpracę z Wiktorem Braunem, którego Langley – w ramach współpracy z Agencją Wywiadu – wyznaczyło na jego służbowy kontakt, traktował jako nudne i uciążliwe zajęcie, zabierające mu cenny czas przeznaczony na ważniejsze sprawy. Cały Pakistan, a szczególnie Islamabad, stanowił bajoro brudów zalewające wirusami świat, był zatem idealnym miejscem na robienie szpiegowskiej kariery. Tak uważał Steve, ale nie Wiktor, chociaż pułkownik Pański go przekonywał, że jest inaczej, a przynajmniej będzie, musi się tylko uzbroić w cierpliwość.

Na polecenie Miłobędzkiej Braun zadzwonił do Sinstera zaraz po wyjściu od pułkownika Amina.

– Bardzo mi przykro, Wiktor, ale jestem teraz bardzo zajęty… – usłyszał w odpowiedzi. – Kwadrans po siódmej? U mnie? Wiesz… jest ciężko – zakończył tajemniczo Steve.

Wiktor nawet nie próbował umówić spotkania w mieście, bo Amerykanin podobno nigdy nie wychodził. Tak się przynajmniej mówiło w środowisku łączników. Wizyta w ambasadzie, strzeżonej jak forteca, też nie należała do przyjemnych. Na jej teren nie można było wjechać samochodem, a każdy wizytujący musiał zostać zarejestrowany przez pakistańskie służby. Po likwidacji Bin Ladena nikt tak naprawdę nie wiedział, czy ISI jest sojusznikiem, czy wrogiem.

Braun czekał w pokoju przyjęć już piętnaście minut i wypił całą butelkę mountain valley spring water.

Wszystko sprowadzają ze Stanów – pomyślał. Jak mają zrozumieć ten kraj, skoro nie znają nawet smaku tutejszej wody?

Jasne było, że Sinster zostawił sobie to spotkanie na koniec dnia, pokazując ostentacyjnie, że nie przywiązuje do niego wagi, a spóźniając się tyle czasu, powiedział to niemal wprost. Będzie kiwał głową, uśmiechał się albo robił zatroskaną minę, ale Braun jako oficer wywiadu powinien umieć takie gesty odczytać. Wiedział też dobrze, że nie jest to sprawa osobista – po prostu Sinster dostał z Langley instrukcję, że ma się uśmiechać, bo Polacy to lubią, ale nic nie obiecywać.

– Cześć, Wiktor! – usłyszał za sobą i jednocześnie poczuł mocne klepnięcie w plecy. – Co za nieszczęście! – Steve zaczął ostro, robiąc zbolałą minę. – Jak mogę ci pomóc? – Usiadł na fotelu. – Dostałem informację z Waszyngtonu i jesteśmy gotowi do pomocy. Jak mogę pomóc? – powtórzył.

– Nie jesteśmy przekonani co do skuteczności tutejszych służb… – zaczął niepewnie Braun. – No i nie mamy z nimi doświadczenia, więc Warszawa liczy, że pomożecie na nie wpłynąć albo przynajmniej wesprzecie nas dobrą radą. Porwanie polskiego obywatela to duży problem dla naszego rządu. Oczywiście nasi… tam na górze, wiedzą, co trzeba robić, ale może my, tu na dole, damy radę coś razem…

– Hm… – przerwał mu Steve w idealnym momencie, bo zauważył, że Polak nie tylko nie ma nic do powiedzenia, ale jeszcze się męczy, i zrobiło mu się go żal, potrafił wczuć się w jego rolę.

Wszyscy myślą, że CIA to tajna służba Pana Boga i może wszystko. Jak mają problem, to do nas, a jak trzeba nam pomóc, to zaraz nachodzą ich wątpliwości – pomyślał Sinster, patrząc na zafrasowaną twarz Brauna. Sympatyczny chłopak i dobrze wie, że popierdzimy sobie tutaj razem, ale to wszystko. Polak jest już trup i nic mu nie pomoże.

Pokiwał głową i powtórzył:

– Hm…

– A pozostali… Brytyjczycy, Niemcy… Japończycy? – zapytał niepewnie Braun. – Czy też zwrócili się o pomoc?

– Nie wiem, ale na pewno służby współdziałają ze sobą na poziomie central, żebyśmy tutaj się nie dublowali i nie zamulali sprawy. Zwykle radzimy naszym sojusznikom wspólny nacisk na rząd pakistański, nacisk polityczny. To z reguły zapewnia najlepszy efekt. – Steve zrobił niewyraźny grymas, dając do zrozumienia, że żadnymi naciskami na rząd nic się nie wskóra, bo to sprawa armii, a w armii szefów służb specjalnych, których interesy rzadko są zbieżne z tym, czego chce rząd. Taka demokracja. – Rozumiesz, Wiktor? – dokończył zupełnie innym tonem i dopiero te dwa słowa zabrzmiały poważnie, a nawet szczerze.

– Rozumiem – odparł Braun, zaciskając usta.

– Posłuchaj, Wiktor… – Steve przysunął się bliżej. – Pogadajmy szczerze… tak *off the record*… i żebyś nie myślał sobie, że jestem kolejnym aroganckim jankesem, jak czasami o nas mówicie. Obaj wiemy, że Pakis prowadzą własną grę i ani my, ani nikt inny nie ma na nich wpływu. Zbudowali sobie bombę atomową i teraz wszyscy mogą im nagwizdać. Żadne naciski ze strony służb, czy polityczne, czy jakiekolwiek… nic nie pomogą, bo to ich rozgrywka wewnętrzna. Nie liczcie więc na pomoc Langley ani nikogo innego… no… chyba że Rosjan… ale wątpię, by ktoś ich o coś poprosił. Oni tylko na to czekają, ale cena będzie wysoka i nikt im tyle nie zapłaci… i nawet lepiej nie wychodzić z takimi pomysłami. Spójrzcie na to tak uczciwie, jak przystało na zawodowych szpiegów. Ta czwórka jest już martwa. Przygotujcie się na to, co będzie potem… – Nagle przerwał i spojrzał sobie pod nogi.

Wiktor pomyślał, że Steve zwątpił w to, czy powinien był mówić tak szczerze, w końcu nie znali się zbyt dobrze. Jego bezpośredniość była wyjątkowa, ale przecież jankesi tacy są…

– No tak… to jest jakby oczywiste. – Zdobył się jedynie na pustą frazę.

– Wiesz, Wiktor… my tu na dole nie musimy się oszukiwać, nie jesteśmy politykami ani szefami wywiadów. Oni tam rozmawiają innym językiem, pierdolą o przyjaźni i zaufaniu, ale to my dajemy dupy za ich chore ambicje i decyzje w jakimś zasranym Pakistanie czy Afganistanie i nie musimy nic kręcić, bo jak sobie nie pomożemy, to nam jacyś pierdoleni wojownicy Allaha łby poucinają i sfilmują to telefonem Steve’a Jobsa. – Sinster zaczerpnął powietrza i dodał cicho: – Nie puszczaj tego do góry, bo mogę mieć kłopoty. Zrobię co w mojej mocy, by wam pomóc. Dzwoń, i ja też będę cię informował, ale nie licz na wiele. Okej? – Klepnął Wiktora w drugie kolano.

– Okej. Dziękuję za szczerość i oczywiście będę cię informował. Liczę na ciebie, Steve, bo z ISI nie ma co rozmawiać, jak mi się wydaje.

– Szczerość za szczerość… Znam Ziaula dobrze, więc wiesz… mogę coś tam więcej. – Steve puścił oko i podniósł się na znak, że zakończyli rozmowę. – A tak przy okazji… ten porwany to… to wasz?

– Nic mi o tym nie wiadomo – skłamał całkiem zgrabnie Wiktor. – To cześć! – rzucił i ruszył do wyjścia.

– Cześć – odparł Sinster i odprowadził Wiktora, trzymając rękę na jego ramieniu.

Minęło kilkanaście sekund, gdy po przeciwnej stronie pokoju otworzyły się drzwi i wyszedł ostrzyżony na jeża starszy mężczyzna w koszuli bez krawata i z podwiniętymi rękawami. Na czole miał grube okulary, a za uchem ołówek.

– Co sądzisz? – zapytał.

– Wygląda na szczerego i trochę naiwnego. Z pewnością ta sprawa go przerasta, a on chce być uczciwy. Jak się znam na ludziach, to wszystko dokładnie zrelacjonuje swoim – odparł Sinster.

– Miejmy nadzieję.

– Musi coś powiedzieć, więc najpewniej powie prawdę, bo jeśli potem się pomyli, będzie miał kłopoty, a tak ochroni własną dupę. W Polsce i tak kto trzeba wie, jak jest, a jeśli nie, to właśnie się dowiedzieli.

– No i dobrze… nie będą nudzić, a my mamy wolną rękę – rzucił starszy mężczyzna, wyjął ołówek i podłubał nim w uchu.

21

Leski przekładał kartki z ręki do ręki, jakby nie był pewny, którą wybrać. W końcu znalazł tę właściwą.

– Stan sprawy. Jakie są fakty – zaczął z opuszczoną nisko głową i okularami zsuniętymi na koniec nosa. – Major Henryk Olewski, oficer drugiej linii, porwany przedwczoraj w Islamabadzie przez oddział talibów pakistańskich pod dowództwem niejakiego Tygrysa. Ataku dokonano o jedenastej czasu miejscowego. Udział wzięło kilkunastu terrorystów. Zamordowanych zostało trzydzieści pięć osób, obywateli Pakistanu, spośród gości i personelu hotelu Monal w Pir Sohawa. Obiekt położony jest na zboczu gór Margala, na wysokości ponad półtora tysiąca metrów. To elegancki hotel odwiedzany przez miejscowe elity i turystów. Nie był specjalnie zabezpieczony. Akcja trwała kilkanaście minut, po czym napastnicy wycofali się w góry, zabierając ze sobą czterech obcokrajowców jako zakładników. Ze względu na warunki pogodowe i ukształtowanie terenu pościg był niemożliwy. Uprowadzeni to: sześćdziesięciopięcioletni Niemiec Jürgen Kahel, inżynier Siemensa, dwudziestopięcioletni Brytyjczyk Oliver Bridges, podróżnik i malarz, pięćdziesięcioletni Japończyk Kazuo Hazuki, etnograf… i nasz Henryk, lat czterdzieści pięć. –

Przerwał. Najpierw spojrzał na Dimę i swoim zwyczajem zaczął przeskakiwać wzrokiem z jednej osoby na drugą, aż podrygiwała jego okrągła łysiejąca głowa. – Pytania?

– Trzej porwani… – odezwała się Monika, obracając w dłoniach butelkę z napojem aloesowym. – Wiemy coś więcej? Jakieś związki z ich służbami? BND… MI6?

– Nie wiemy – odparł krótko Leski.

– Powiedzą? – dopytała Ela.

– Wątpię. Ale jeśli już przy tym jesteśmy, to jest to jedno z naszych zadań. Według szefa my też nie ujawniamy, że nasz Henryk jest oficerem agencji.

– Dlaczego? Przecież to ułatwiłoby współdziałanie – zdziwiła się Monika.

– Niekoniecznie – odezwał się po raz pierwszy Dima. – Nikt nie ufa drugiej służbie i nikt nie wierzy w jej szczelność ani intencje. Każdy gra na siebie i my też powinniśmy. Szef Korycki ma rację. W tej chwili talibowie mają na pewno jednego oficera zachodniego wywiadu, naszego, ale jeszcze o tym nie wiedzą i miejmy nadzieję, że nikt inny też nie wie. Co by było, gdyby dowiedzieli się, że mają dwóch albo więcej? Słuchając Romana, odnoszę wrażenie, że cała ta sprawa ma drugie albo i trzecie dno.

– Ano właśnie! – Leski uśmiechnął się delikatnie.

– Więc powiedz nam, Roman, co Henryk robił w Pakistanie – rzucił Dima. – Czuję, że to klucz do sprawy.

– Co to ma do rzeczy? Mieliśmy przecież kombinować, jak uwolnić Henryka. Szkoda czasu… – wtrąciła się Monika.

– Nie mieszaj! – przerwał jej Dima. – Napij się aloesu.

– Nie kłóćcie się! – odezwał się ostro Leski. – Oboje macie rację. Zatem najpierw odpowiem Dimie. – Spojrzał w jego stronę. – Major Henryk Olewski prowadził w Islamabadzie agenta, kryptonim „Mocarz”, to dwugwiazdkowy generał GRU… – rzucił okiem na notatki – Jewgienij

Kowalow, szef ataszatu wojskowego w ambasadzie, człowiek koordynujący rosyjskie działania wywiadowcze w Pakistanie i Afganistanie.

– No i teraz wszystko jasne – odezwała się Monika. – Pakistańczycy musieli to wyłapać, nie ma siły. Wiedzą, kim jest Henryk!

– Kowalow to wysoka figura. Wiele lat temu był naczelnikiem zaawansowanych operacji w GRU. Podobno wyjątkowo inteligentny i przebiegły typ – dodał Dima.

– Jak wynika z informacji Wiktora Brauna, pseudonim „Khan", naszego rezydenta w Islamabadzie, ISI nie wie nic o Olewskim. Uważają, że jest zwykłym biznesmenem. A poza tym Henryk jest w Pakistanie dopiero od miesiąca i nie odbył tam jeszcze żadnego spotkania z Mocarzem. Wcześniej pracował w Moskwie, gdzie dokonał werbunku Kowalowa, a kiedy Rosjanina przeniesiono do Islamabadu, został wysłany w ślad za nim. Współpraca jest na początkowym etapie, właściwie to dopiero etap opracowania, ale już teraz Mocarz jest najważniejszym agentem polskiego wywiadu, o ogromnym potencjale. Wyobrażacie sobie, co wie. Przekazał już bardzo ważne informacje, potwierdzone, ale jest niezwykle ostrożny, wręcz nieufny, co oczywiste. Ma dużo do stracenia. A wart jest ryzyka, bo był zastępcą poprzedniego szefa GRU, ale został wycięty przez nowego po puczu Lebiedzia. Dlatego sprawa była utrzymywana w największej tajemnicy.

– *Fuck!* – odezwała się Monika. – Ale zamęt!

– Nooo… nieźle! – dodał Dima. – To jak się mamy do tego dobrać? Uff…

– To dopiero początek zamętu. Olewski nawiązał w Moskwie kontakt z Kowalowem i ujawnił się jako… oficer CIA występujący pod legendą polskiego handlowca…

– O ja…! – wybuchnął Dima i wszyscy się zaśmiali, ale nie był to śmiech radości. – Co za idiotyzm! Amerykanie o tym oczywiście nie wiedzieli?

– Nie, nie wiedzieli. – Leski znów pokiwał głową, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. – Wiadomo było, że Kowalow nie pójdzie na współpracę z polskim wywiadem, więc Olewski ciągnął dialog pod flagą CIA. Taką decyzję podjęło ówczesne kierownictwo, a było to dwa lata temu. Powstał problem, jak powiedzieć Amerykanom, że się pod nich podszyliśmy…

– I Agencja ugrzęzła we własnym gównie – skomentował Dima. – Rozumiem, że nasi chcieli wprowadzić jankesów w gotową sprawę, żeby zyskać splendor albo coś ugrać politycznie i być gospodarzem, a tymczasem zwyczajnie przegrzali sprawę. Ja pierdolę! Jakim trzeba być debilem, żeby tak kalkulować!

– Było i jest tak, jak mówisz, Dima. Wprowadzenie CIA do sprawy miało nastąpić właśnie w Pakistanie, bo Mocarz odmawiał jakichkolwiek kontaktów operacyjnych na terenie Rosji…

– To zrozumiałe – przytaknęła Monika. – Braun… Khan, ten nasz rezydent, o tym wszystkim wiedział?

– Braun obsługiwał też Olewskiego w Moskwie, więc Centrala uznała, że będzie robił to dalej w Pakistanie. Utrzymywał łączność z Warszawą, miał go zabezpieczać, odbierać materiały, przekazywać instrukcje i tak dalej… – ciągnął Leski, spoglądając w notatki. – Olewski nie mógł się zbliżać do naszej ambasady, żeby się nie zdekonspirować i nie przyciągnąć uwagi Pakistańczyków. Nie napracowali się, bo… wpieprzył nam się oddział jakiegoś Tygrysa i wszystko pomieszał.

– Dlatego mówię, że mamy zamęt – obruszyła się Monika. – Tylko wciąż nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z uwolnieniem Olewskiego? To jest bardzo ważne, nie przeczę, ale musimy się skoncentrować na

znalezieniu dojścia do talibów, czyż nie? Zdaje się, że nie mamy czasu. – Spojrzała pytająco na Leskiego.

Roman popatrzył na ładną, krótko obciętą dziewczynę o dużych zielonych oczach i pomyślał, że przez te wszystkie lata, odkąd ją zwerbował do pracy w wywiadzie, wciąż pozostaje tą samą zwinną, sprytną absolwentką ASP, z teczką rysunków pod pachą.

Była naturalnym talentem do roli szpiega idealnego, a kogoś takiego Leski wciąż szukał. Umiejętność abstrakcyjnego myślenia, fantazja, poczucie harmonii, proporcji i porządku dawały jej coś, czego nie miał żaden inny oficer wywiadu. Postrzegała świat i najbliższe otoczenie jak artystka, w sposób twórczy, zauważała rzeczy oczywiste, których nie widział nikt inny.

Leski kochał Monikę jak córkę, a Dimę jak zbuntowanego syna.

– Myślę, że mamy dwa, trzy tygodnie – powiedział. – Takie są smutne statystyki, jeśli chodzi o porwanych. Dla terrorystów czas biegnie w dwie strony: potrzebują go na negocjacje i efekt medialny, ale jednocześnie wiedzą, że są namierzani…

– Są namierzani, jeśli w ogóle mają być namierzeni – włączył się Dima. – W Pakistanie sprawy nie są takie oczywiste i tamtejsze służby czasami wykorzystują talibów jako oręż. A jeśli chodzi o negocjacje i efekt medialny, o którym mówisz, to jestem przekonany, że w takiej sytuacji wszystkim politykom i szefom służb zależy na tym, by zakładnicy jak najszybciej zginęli i nie sprawiali więcej kłopotów. Ot… takie kolejne ofiary wojny z terroryzmem. Za tydzień wszyscy zapomną, bo…

– Jesteś wstrętnym cynikiem, Dima! – przerwała mu Monika i z niedowierzaniem pokręciła głową. – Roman! – Spojrzała na Leskiego, jakby szukała pomocy. – Od czego zaczynamy? Zajrzyj do tych swoich żółtych kartek. Jaki jest plan? Jedziemy do Pakistanu, tak?

– Nie – odparł cicho Leski. – Nie mam jeszcze żadnego planu. Musimy go dopiero stworzyć, razem, tu i teraz. Jest tyle informacji, mnóstwo niewiadomych, a to wszystko zagmatwane i pełne sprzeczności. Nawet nie wiem, od czego zacząć. – Pokazał im rozłożone zapisane kartki. – Mogę tylko przypuszczać, że rozwiązanie jest w Pakistanie, ale… – zawiesił głos – klucza do zagadki powinniśmy szukać gdzie indziej. Rozmawiałem z naczelnikiem Błaszczykiem, to zdolny i przenikliwy umysł. Jako analityk uważa, że akcja w Pir Sohawa nie była zwykłym atakiem terrorystycznym. Nie wiemy, kogo talibowie zamordowali, może chodziło im o konkretne osoby, które tam przebywały. Jego zdaniem musiały być inne powody i ja się z nim zgadzam, a skoro my doszliśmy do takiego wniosku, to inni z pewnością też. Teraz rozpocznie się prawdziwa rozgrywka albo… połów w mętnej wodzie.

– Ale tylko my wiemy o Olewskim i Kowalowie – włączył się Dima. – Jest zbyt wiele dziwnych zbiegów okoliczności, by mogło to być dziełem przypadku. Trzeba zacząć od Moskwy. Nie podoba mi się ta sprawa z Mocarzem. GRU to najtrudniejszy przeciwnik.

– Też tak uważam. – Leski uśmiechnął się porozumiewawczo. – Polecisz do Rosji powęszyć wśród swoich byłych kontaktów. Może coś tam znajdziesz. Wiera?

– Tam jest początek i koniec wszystkiego – przyznał Dima. – Jeśli w Moskwie nic nie znajdziemy, to znaczy, że to coś nie istnieje.

Uśmiechnęli się wszyscy oprócz Moniki.

– A co ja? – zapytała.

– My mamy robotę tutaj – odpowiedział Roman. – I to ostrą. Miałem dzisiaj obserwację.

22

Była piękna słoneczna pogoda, krystaliczne niebo bez chmur. Dochodziła dziesiąta, kiedy biała toyota land cruiser pięła się wąską kamienistą drogą wzdłuż potoku rozcinającego jar.

Tygrys siedział na dachu parterowego domu skleconego z ociosanych kamieni i przez lornetkę śledził samochód. Co jakiś czas kierował ją w niebo, by sprawdzić, czy w pobliżu nie kręci się dron.

Po piętnastu minutach toyota wjechała na dziedziniec i stanęła pod rozciągniętą zieloną płachtą maskującą, która miała chronić przed obserwacją z powietrza.

Najpierw wyskoczyło z samochodu dwóch bojowników z automatami i zajęło pozycje tuż przy nim, a po chwili wysiadło jeszcze dwóch mężczyzn: wysoki chudy starzec z długą białą brodą, ubrany w tradycyjny strój plemienny, i mężczyzna około pięćdziesiątki, w granatowej kurtce, ciemnych okularach i zielonej bejsbolówce.

Tygrys już na nich czekał.

Przywitali się jak pobożni muzułmanie, przeszli kilka metrów i zasiedli pod rozłożystą starą akacją, gdzie na dużym barwnym dywanie przygotowany był posiłek.

– Bardzo dobrze przeprowadzona akcja. Gratuluję – odezwał się po arabsku mężczyzna w czapce. – Film z niewiernymi pokazały wszystkie stacje telewizyjne na świecie. Efekt już jest piorunujący, tak jak się

spodziewaliśmy, teraz trzeba go umiejętnie wykorzystać. Nie wolno nam tego zmarnować. – Sięgnął po płaski chleb naan, urwał kawałek i zamoczył w zielonym sosie czatni. – W jakim oni są stanie?

– Dobrym. Dbamy o nich, zgodnie z poleceniem – odparł Tygrys, przeczesując palcami brodę. – Czy ktoś się już odezwał, jakieś propozycje?

– Jeszcze nie. Za wcześnie… czekamy. Ale lada chwila się zacznie. Ustaliłeś już, który z nich jest najsłabszy?

– Jeszcze nie. Przyglądamy się im cały czas i będziemy ich testować. Wydaje mi się, że Japończyk rokuje największe nadzieje, ale nie jestem pewny.

– Tak, Japończyk byłby dobry. Podwójny efekt… A Polak?

– Dziwny trochę. Wygląda na twardego. Niewykluczone, że będzie coś kombinował…

– Uważaj na niego… mamy szczególne plany z nim związane…

– Jakie?

– Dowiesz się we właściwym czasie. Jeżeli ten Japończyk jest taki słaby psychicznie, to może zrób go swoją wtyką. Obiecasz mu, że wyjdzie z tego żywy, i będziesz miał Polaka pod kontrolą…

– To jest pomysł. – Tygrys z aprobatą pokiwał głową.

Spojrzał na starca, który nie odzywał się, nie rozglądał, tylko z zamkniętymi oczami powoli żuł chleb. Obaj rozmówcy starali się wyczytać z jego twarzy, czy rozumie i akceptuje to, co mówią.

Szejk jednym ruchem ręki mógł zakończyć całą tę operację. Z jego klanu, który panował na tym terenie, pochodzili wszyscy bojownicy oddziału Tygrysa. Mężczyzna w bejsbolówce i Tygrys byli obcymi. Dopóki przestrzegali tego, co dla szejka było najważniejsze, czyli interesu klanu i Allaha, mogli czuć się bezpieczni. Ale obaj doskonale też wiedzieli, że w każdej chwili to się może zmienić, wystarczy jakiś błąd. Czasami

wydawało się, że szejk Rahman jest nieobliczalny, ale to było tylko złudzenie. Planował wszystko z rozwagą i wiedział, czego chce.

Gdy trwało spotkanie pod akacją, czterej uprowadzeni siedzieli zamknięci w domu po drugiej stronie zabudowań. Nie byli skrępowani. Pilnowało ich dwóch talibów, którzy przebywali na zewnątrz. Ucieczka i tak była niemożliwa, bo nawet nie wiedzieli, gdzie się znajdują.

Henryk szybko się zorientował, że szanse na uwolnienie się i zdobycie broni są znikome. Chyba żaden z jego towarzyszy nie potrafił posługiwać się bronią, a co gorsza – Japończyk i Niemiec byli głęboko przekonani, że władze ich uwolnią. Wierzyli Tygrysowi, który zapewniał, że włos im z głowy nie spadnie, bo bojownicy chcą tylko uwolnić swoich z pakistańskiego więzienia, a w najgorszym wypadku zadowolą się określoną sumą pieniędzy. Uspokajał, że nagranie sceny symulującej podrzynanie gardła miało jedynie zachęcić władze ich państw do spełnienia żądań.

Tylko Henryk w pełni zdawał sobie sprawę, co ich czeka, i wiedział, że jedynym rozwiązaniem jest zdać się na siebie i przynajmniej spróbować zawalczyć o życie. Była też szansa, że ich odbiją, ale równie nikła jak ta pierwsza, więc i tego wariantu nie traktował zbyt poważnie. Jürgen i Kazuo uważali, że nie należy drażnić ani prowokować terrorystów, bo i tak są nerwowi i przypadkowo mogą wyrządzić komuś krzywdę. Jedynie Oliver miał wątpliwości i nie mógł się zdecydować, czy stanąć po stronie Polaka, czy raczej Niemca i Japończyka, którzy jasno dali mu do zrozumienia, że z talibami trzeba współpracować, inaczej mogą nie wyjść cało z tej opresji.

Henryk rozważał nawet, czyby się nie ujawnić i nie powiedzieć im, kim jest, że ma odpowiednią wiedzę i doświadczenie, by twierdzić, że nie mogą liczyć ani na litość porywaczy, ani na zaangażowanie swoich rządów.

Jednak niemiecka odpowiedzialność Jürgena i serwilizm, jaki Kazuo okazywał talibom, nie dawały dużej nadziei na to, że zdoła ich przekonać.

Mimo wszystko postanowił spróbować i popracować nad Niemcem. Wydawało mu się, że inżynier Siemensa powinien być otwarty na logiczne argumenty i pojąć, jaka jest ich rzeczywista sytuacja. Gdyby mu się to udało, Oliver z pewnością przyłączyłby się do większości. Nie wiedział natomiast, jak się zbliżyć do Kazuo, który witał talibów głębokimi ukłonami, mimo że ich to wyraźnie denerwowało.

Jürgen siedział pod ścianą i grzebał patykiem w bucie.

– Jakieś robactwo mnie oblazło – oznajmił niepytany, gdy Henryk usiadł obok niego. – Pchły chyba… Spójrz na Japończyka, jak się czochra.

– To mogą być pchły piaskowe.

– Piaskowe?

– Tak… to takie, co żrą tylko ludzi, bo inne żerują wyłącznie na zwierzętach. Kiedyś mnie pogryzły w Meksyku… do krwi.

– O kurwa! Serio? A jakieś choroby roznoszą?

– Nie wiem, ja nie zachorowałem. Skąd jesteś, Jürgen?

– Z Lipska.

– Byłeś w wojsku? Jakie znasz języki? – Henryk poczuł, że jednak jest nadzieja.

– W NRD służyłem w wojsku… byłem kapitanem NVA… – odparł Jürgen obojętnie, zajęty grzebaniem. – Znam rosyjski… potem byłem kilka lat w Moskwie i Kazaniu, ale już jako pracownik Siemensa. A co?

– No to pogadajmy po rosyjsku. – Henryk szturchnął go łokciem. – W jakiej byłeś formacji?

– W łączności.

– Ale na broni się znasz?

– No… znam… – Jürgen spojrzał podejrzliwie na Henryka. – Co ty kombinujesz? Lepiej wybij to sobie z głowy. Nie mamy szansy na ucieczkę, a jedyną realną nadzieją są nasze rządy. Wymienią nas albo wykupią. – Był wyraźnie przekonany do tego, co mówił. – Ten ich dowódca nie wygląda na jakiegoś szalonego fanatyka… rozsądny gość, inteligentny… dobry angielski…

– Nikt nam nie pomoże – rzucił cicho Henryk. – Obetną nam głowy i żaden rząd, w Berlinie czy w Tokio, nic nie zrobi, nie pomoże, nie wymieni nas ani nie wykupi.

– Już to mówiłeś – wtrącił Jürgen. – Siejesz defetyzm. Nic nie wskazuje na to, żeby mieli zrobić nam krzywdę. A właściwie dlaczego rozmawiamy po rosyjsku?

– Bo nie chcę, żeby oni… – Henryk wskazał ruchem głowy na Anglika i Japończyka – nas słyszeli. Rozumiesz? Talibom nie wolno wierzyć. Będą opowiadać, że wszystko jest w porządku, będą uprzejmi, będą uspokajać, zapewniać, że już dochodzą do porozumienia, że jeszcze tylko jakiś drobiazg został… – Nagle urwał i rozejrzał się po chacie. Oliver leżał z rękami pod głową, tępo wpatrując się w sufit, a Kazuo oddawał mocz do wiadra. – Tymczasem nasz los jest już przesądzony…

– Mówiłeś, mówiłeś… A skąd ty to wszystko wiesz?

– Myślałem, że ty… Niemiec, inżynier, człowiek doświadczony, powinieneś mieć trochę poukładane w głowie i zrozumieć tę prostą prawdę, że jak sami nie weźmiemy sprawy w swoje ręce, to zarżną nas jak barany. Uważasz, że jeżeli Kazuo myśli podobnie jak ty, to razem macie rację do kwadratu? Nie mówię, że Japończyk jest głupi, ale wiesz… oni kombinują trochę inaczej niż my.

Niemiec przestał grzebać w bucie, wyciągnął patyk i zaczął go oglądać. Powąchał końcówkę.

– Chyba mam już jakieś zapalenie skóry od tych pcheł – oświadczył, zatroskany, po niemiecku, więc Henryk nie zrozumiał.

– Co powiedziałeś?

– To co planujesz? – zapytał Jürgen po rosyjsku i spojrzał na Kazuo, który siedział w kucki po drugiej stronie chaty i przyglądał im się podejrzliwie. – Chyba nie zna rosyjskiego?

– Chuj jeden wie… w końcu to etnograf – wyszeptał Henryk z dobrym rosyjskim akcentem.

23

Chociaż Roman Leski nie miał doświadczenia operacyjnego i nigdy nie ćwiczył wykrywania obserwacji, jednak to, co zobaczył, kiedy szedł tego dnia do lokalu, nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości: ktoś się nim interesuje i najwyraźniej próbuje to ukryć.

Cała czwórka była jednomyślna w ocenie. Na sto procent mieli do czynienia z profesjonalistami, którzy wiedzieli, jak poradzić sobie z człapiącym powoli starym człowiekiem. Popełnili jednak błąd pychy i arogancji, bo nie uwzględnili inteligencji i zwykłej spostrzegawczości Romana, więc wyłożyli się dwukrotnie.

Pojawiło się pytanie, kto i dlaczego interesuje się Romanem. Dlaczego akurat teraz? Wprawdzie on sam nie mógł wykluczyć, że miał obserwację już wcześniej, to jednak wszyscy się zgodzili, że ktoś najprawdopodobniej chce ustalić, gdzie zbiera się Sekcja, kim są jego ludzie, i że musi to mieć związek ze sprawą Henryka Olewskiego. Zbieżność była zbyt oczywista.

– Gdybyśmy założyli, że obserwację dostałeś dzisiaj, a wyszedłeś prosto z Miłobędzkiej i przyjechałeś tutaj, oznaczałoby to, że musiał cię wystawić ktoś z Agencji – stwierdził Dima, który miał największe doświadczenie w pracy z obserwacją, i wszyscy musieli przyznać mu rację. – Pewności jednak nie mamy. Najprawdopodobniej nie udało im się namierzyć lokalu ani nas, bo twój system bezpieczeństwa jest niemal idealny. Sprawdził się. Mogli określić w przybliżeniu, w którym domu, a nawet na której klatce

znajduje się lokal, ale dokładne usytuowanie mieszkania zajmie trochę czasu. Jeżeli już im się to udało, z pewnością dostaniemy ogony, kiedy stąd wyjdziemy. Teraz muszą ustalić, kim jesteśmy. A w nocy to nie będzie łatwe.

– Gdybyśmy założyli… – Monika spapugowała Dimę – że obserwacja nie zorientowała się, że Roman ich rozkuł, to kolejny dzień rozpoczęliby od punktu stałego, czyli tutejszego adresu. Przyjmijmy więc, że znają już topografię domu, wszystkie nasze wyjścia i przejścia, ale muszą jeszcze poznać numer mieszkania, bo inaczej nas nie wyłapią.

– Oba wyjścia obsługują prawie pięćset osób… mieszkańców, którzy wykorzystują ten skrót, idąc na plac Zbawiciela lub w przeciwnym kierunku – wtrącił Roman.

– Z pewnością jutrzejszy dzień rozpoczną od penetracji budynku i ustalenia numeru mieszkania – dodał Dima. – Założą technikę i będą czekali. Tak czy inaczej, ten lokal jest na razie spalony. – Spojrzał pytająco na Romana. – Mamy coś… gdzieś?

– Możemy urządzić tymczasowy sztab u nas – odezwała się Ela, bo wszyscy wiedzieli, że nie mają drugiego zabezpieczonego lokalu. – Kabaty… linia metra… jest garaż i wjazd na piętro, mieszkanie nowe… raczej po remoncie. Wynajmujemy na czarno, więc nigdzie nas nie ma.

– Dobrze – rzucił Roman. – Widzimy się jutro u Witka i Eli o jedenastej rano. Dopóki nie ustalimy, co się dzieje, działamy jak na wrogim terenie. Pełna autokontrola i zero samowolki.

Spotkanie przeciągnęło się do późnej nocy. Roman został w lokalu.

Wychodzili w pięciominutowych odstępach. Dima wyszedł przed Moniką.

Przejście z placu Zbawiciela na Kazimierzowską zajęło mu ponad czterdzieści minut. Sprawdzał się ostro, i to po raz pierwszy we własnym

kraju. Najgorsze było jednak to, że nie wiedział, kto go może śledzić.

Kiedy dotarł do domu, ze spokojnym sumieniem mógł sobie powiedzieć, że jest czysty, i wysłał do Romana umówionego esemesa.

Usiadł przy komputerze i najpierw sprawdził, czy pod jego nieobecność ktoś nie próbował penetrować mieszkania. Potem otworzył zabezpieczenia przed próbami włamań na dysk. Zajęło mu to kilka minut i kiedy ustalił, że nie stało się nic podejrzanego, wszedł na Facebooka.

Miał założony fikcyjny grecki profil na nazwisko Angelos Katsogridakis. Tylko maskował swoją aktywność, a wykorzystywał go jedynie do łączności z Tamarą.

Szybko znalazł w internecie zdjęcie przedstawiające pędzący pociąg i przekleił je na swój profil jako post oznaczony „publiczne”. Wyłączył komputer.

Otworzył szufladę biurka. Wsunął do niej rękę i nacisnął zgrubienie, a po chwili wyciągnął notatnik Moleskine i z małej koperty przyklejonej do trzeciej strony okładki wyjął kartę sim. Wsunął rękę jeszcze raz i dobył smartfon. Sprawnie włożył do niego kartę i uruchomił. Po chwili zalogował się do sieci. Kiedy się upewnił, że wszystko jest w porządku, położył smartfon przy łóżku obok telefonu służbowego i zapalił nocną lampkę.

Wyjątkowo zrezygnował tego dnia z kąpieli. Pomyślał, że powinien coś zjeść, bo czuł ssanie w żołądku, nawet zajrzał do lodówki, ale nic nie zainteresowało go na tyle, by sięgnąć po to ręką. Właściwie to lubił wstawać głodny, bo śniadanie to był posiłek, który celebrował z wyjątkową atencją, denerwując tym swoje partnerki.

Rozebrał się do naga i poszedł do łazienki. Przy otwartych drzwiach umył zęby, zmył twarz mleczkiem. Spojrzał na zabrudzony wacik.

Smog jak w Atenach – pomyślał i kiedy wycisnął tonik, usłyszał dźwięk przychodzącego esemesa.

Przybliżył się do lustra i palcem rozgrzebał swoje gęste czarne brwi. Znalazł kilka nowych siwych włosów i przez moment pomyślał, żeby je wyrwać. Ale kiedy spojrzał na swoją pierś, na której też pojawiły się kępki siwizny silnie kontrastującej z resztą owłosienia, uznał, że w takim razie je też musiałby zacząć wyrywać. I nagle zrozumiał, że to naiwne oszukiwanie czasu, miałkie i próżne jak na pięćdziesięciolatka, a patrząc na swoją twarz w lustrze, pomyślał, że jest żenująco żałosna.

Włożył luźne spodenki, które służyły mu za piżamę, pogasił światła i wrócił do pokoju. Położył się na łóżku. Odczekał jeszcze chwilę i sięgnął po służbowy telefon.

Miłych snów – przeczytał esemesa.

To była wiadomość od Romana, która oznaczała, że tego wieczoru w drodze do domu nikt nie miał obserwacji. Wyglądało na to, że lokal „u taty” nie został jeszcze rozkuty, ale wciąż nie mieli odpowiedzi na pytanie, co się właściwie dzieje.

Dima leżał na łóżku, z rękami założonymi za głową, i zastanawiał się, od czego powinni zacząć. Jaki powinien być ich pierwszy ruch? Czy w ogóle powinni cokolwiek robić, szczególnie teraz, kiedy muszą poświęcić cały czas i wszystkie siły, by zawalczyć o uwolnienie Henryka? I chociaż w myślach, gdzieś tam w głębi siebie, czuł zamęt, to jednak powoli rodził się pierwszy pomysł.

Zamęt. Odkąd Monika tak nazwała sytuację, w jakiej się znaleźli, powtarzał to słowo jak mantrę. Miał wrażenie, jakby złośliwie przykleiło mu się do świadomości, ale nie mógł znaleźć lepszego określenia na stan swoich emocji.

To magiczne słowo stało się tożsamością Moniki, niemal ją tworzyło i kiedy wypowiadał je w myślach, mimowolnie przywoływał jej obraz. Miły obraz. Dziewczyna po ASP wprost idealnie pasowała do roli twórcy

teorii zamętu, pojęcia tak abstrakcyjnego, że tylko ktoś o zdolnościach profetycznych mógł je zrozumieć i wystarczająco objaśnić.

Cały ten zamęt powoduje jeszcze większy zamęt, jakby się rozmnażał przez podział albo multiplikował – pomyślał Dima i uśmiechnął się rozbawiony swoim odkryciem. Monika… matka święta teorii zamętu… religii… Pasuje jej to – bawił się myślami, puszczając je swobodnie na chwilę przed zaśnięciem. Dzika Monika… i ta butelka napoju aloesowego, nerwowo krążąca w jej smagłych dłoniach.

Wciąż trzymał na piersi telefon i nawet pomyślał, że może powinien do niej zadzwonić i zapytać o ten zamęt. Co w nią wstąpiło, że użyła akurat tego słowa, i dlaczego była tak zdenerwowana? Dima uwielbiał, jak Monika wyrzuca z siebie feromony złości i miłości, bo było w tym coś ze słodkiego kobiecego ekshibicjonizmu, który dodawał jej niezwykłego tajemniczego uroku.

Tak naprawdę nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, bo wiedział, że nikt nie wie, co to znaczy „zamęt”. Chciał tylko, żeby Monika położyła się teraz obok niego i cały ten jej zamęt razem z nią.

Kto to w ogóle jest ten jej adwokat, jakiś Robert? Jaki facet się przy niej utrzyma? Przecież życie z nią to rodeo! – pomyślał. To musi być jakaś karykaturalna męska cipa… masakra jakaś…

Położył telefon na nocnej szafce, symetrycznie obok smartfonu i powieści Chandlera. Dochodziła pierwsza. Zgasił lampkę. Zamknął oczy, nakrył się i pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby Tamara zadzwoniła jak najwcześniej. Rano musiał kupić bilet na samolot do Aten, a stamtąd do Moskwy.

O piątej rano przyszedł esemes – *8*.

Kochana Tamara – wyszeptał i przewrócił się na drugi bok.

24

Zapadł zmrok. Biały land cruiser posuwał się ostrożnie w dół. Szejk Rahman i Arab siedzieli na tylnym siedzeniu, przytrzymując się za uchwyty, bo samochód co chwila niebezpiecznie buksował na głazach. Nikt jednak nie protestował.

– Nie chcemy tutaj tego Rosjanina – odezwał się szejk. – Zabierzcie go stąd. Mówię to po raz ostatni.

– Czcigodny Rahmanie, przecież to nie jest żaden Rosjanin, tylko pobożny muzułmanin z Kaukazu… a poza tym był przyjacielem Bin Ladena – zaoponował Arab.

– Dobrze wiem, wcale nie był jego przyjacielem. Takie historie możesz opowiadać młodym. – Szejk był wyraźnie niezadowolony, chociaż głosu nie podnosił. – My wiemy, kim on jest, i wcale nam się to nie podoba. Wy go tutaj przyprowadziliście, więc zabierzcie go sobie teraz do Syrii.

– Czcigodny Rahmanie… chcemy uwolnić naszych braci z więzień i to jest teraz najważniejsze. Także braci z waszego klanu – dodał Arab. – A może uzyskać też coś więcej…

– Dobrze wiemy, co chcecie zrobić, więc macie na to cztery tygodnie. Potem sprawę załatwimy sami – przerwał mu twardo szejk, a to oznaczało, że zakończył rozmowę.

Cztery tygodnie? – pomyślał Arab, nieco zaniepokojony.

– Mało, mało czasu… ale powinniśmy zdążyć. – Spojrzał na surową twarz szejka Rahmana zapatrzonego w okno.

Liczył, że będą mieli dwa, może trzy miesiące, ale jeden to jednak trochę mało. Od dwóch lat wiedzieli, że szejk Rahman poszedł na układ z Islamabadem i dostał swobodę działania na swoim terenie, a wojsko miało trzymać się z dala od doliny Śam. Miał za to kontrolować dwa sąsiednie klany, które wciąż opierały się władzy i stawiały zbyt wygórowane żądania. Sprowadzenie Tygrysa z Iraku miało zmienić układ w dolinie Śam, a teraz wyglądało na to, że cały plan jest nieaktualny, bo szejkiem steruje pakistański wywiad. Tygrys i tak przeznaczony był do likwidacji, bo istniały poważne podejrzenia, że pracuje dla Rosjan. Ale wcześniejsze usunięcie go z szachownicy mogło tylko skomplikować sytuację.

– Albo zdążymy w ciągu tego czasu… – Arab spojrzał na szejka, który wciąż jak zahipnotyzowany wpatrywał się w okno – albo szybko znajdziemy kogoś na miejsce Tygrysa… ale to będzie bardzo trudne.

Dochodziła dwudziesta trzecia i nad doliną Śam nastała już rozgwieżdżona noc ozdobiona srebrną tarczą księżyca. Obraz stracił kolor i wyglądał jak kopia starego filmu. Widoczność była tak dobra, że Tygrys obszedł bez latarki wszystkie posterunki. Na koniec zajrzał do więźniów.

Oprócz Japończyka wszyscy już spali. Kazuo siedział w rogu i pisał coś w notatniku. Tygrys pozwolił mu go zatrzymać, bo i tak nie był w stanie stwierdzić, co w nim jest napisane. Jednocześnie chciał wyróżnić Kazuo, bo to jemu właśnie wyznaczył główną rolę w przedstawieniu życia.

Japończyk sprawiał wrażenie gotowego do współpracy i wyraźnie alienował się od pozostałych więźniów, więc Tygrys próbował go dowartościować. Wprawdzie liczył się też z tym, że Kazuo może prowadzić jakąś swoją grę – w końcu nie znał wystarczająco mentalności

Japończyków, by to wykluczyć – to jednak nic go nie kosztowało spróbować. Wiedział, że to ludzie odważni, waleczni i wierni zasadom, ale też dziwni, jedyni, którzy popełniają rytualne samobójstwo albo zapracowują się na śmierć.

Dał znać Kazuo, żeby wyszedł za nim na zewnątrz.

Usiedli na desce zastępującej ławeczkę. Tygrys położył automat na kolanach, a za nimi stanął uzbrojony talib.

– Jak się czujesz, Kazuo? – zapytał Tygrys. – Potrzeba ci czegoś?

– Oblazły mnie jakieś robaki, swędzi głowa i… – Pokazał ręką na krocze.

– …chuj? – dokończył z uśmieszkiem Tygrys. – Rano coś ci na to dam, ale musisz się myć, samuraju.

– Piękna noc. – Japończyk zmienił temat i spojrzał w niebo. – Jak u mnie w Miyagi.

– A gdzie to?

– Północna Japonia.

– Aha… – Tygrys pokiwał głową. – Też tam macie góry?

– Tak, ale nie takie jak tutaj. Znacznie niższe, ale prefektura Miyagi to nadmorska równina.

– Co tam piszesz w tym notatniku?

– Jestem etnografem, więc opisuję wszystko, co tutaj widzę… obyczaje…

– Po co ci to?

– Pracuję nad książką…

– Aha… – Tygrys znów pokiwał głową i lekko się uśmiechnął, ale Kazuo tego nie widział, bo wciąż się wpatrywał w niebo. – Nie boisz się śmierci?

– Boję. Każdy się boi.

– Ja się nie boję – odparł Tygrys jakby wezwany do odpowiedzi. – My się nie boimy. Walczymy w imię Allaha i jemu poświęcamy nasze życie. To on decyduje, co z nim zrobi. A ty w jakiego boga wierzysz?

– Właściwie to jestem z rodziny o tradycjach buddyjskich i sintoistycznych…

– Aha… – zamruczał Tygrys porozumiewawczo. Buddyzm jednak nie był dla niego żadną religią, bo jedyną prawdziwą był islam, a o sintoizmie coś tam słyszał, ale już sama nazwa brzmiała dlań kiepsko. – To dobrze, że wierzysz w boga. To ważne… Powinieneś przejść na islam. To bardzo proste, wiesz przecież. Już rozmawialiśmy na ten temat… Zdecydowałeś się?

– Myślę o tym cały czas.

– Powiem ci coś, Kazuo, ale tylko tobie. – Tygrys się zawahał. – Chcielibyśmy was wymienić, a jeszcze bardziej zależy nam na spełnieniu naszych żądań w sprawie wycofania się Zachodu z Afganistanu, ale dobrze wiemy, że wasze rządy tych propozycji nie przyjmą.

Japończyk siedział nieporuszony i patrzył pod nogi.

– Ile masz lat?

– Pięćdziesiąt.

– Masz rodzinę… dwoje dzieci… dobrą pracę… przyszłość… pieniądze… – Tygrys wiercił w ziemi wojskowym butem. – Więc jeśli chcesz przeżyć, co mogę ci zagwarantować, musisz dla mnie coś zrobić. Dwie rzeczy.

– Co? – Kazuo wyraźnie się ożywił i podniósł głowę.

– Zaraz… bez pośpiechu… – Tygrys położył mu rękę na ramieniu. – Ujmijmy to tak… z waszej czwórki przeżyć może jeden. Nie musimy zabijać was wszystkich, to nieracjonalne, prawda? – Spojrzał w twarz Kazuo, która w nocnej poświacie przybrała wyjątkowo ponury wyraz. –

Chciałbym żebyś to był ty, bo Japonia nie morduje moich braci w Afganistanie, Iraku, Syrii czy Libii, ale decyzja należy do ciebie. Więc…? – Popatrzył mu prosto w oczy i czekał na odpowiedź.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz, rozumiesz – odparł Tygrys protekcjonalnie. – Przejdziesz na islam i będziesz ze mną współpracował. Po wszystkim cię wypuścimy. Będziesz wolny, wrócisz do domu, do rodziny.

– Współpracował?

– Tak. Będziesz mnie informował, co planuje trzech pozostałych, o czym rozmawiają, w jakim są nastroju. Jeżeli nie chcesz, przekonam innego, ale wolę ciebie, Kazuo. Lubię cię i nie chciałbym cię zabić. Któryś z was w końcu się zgodzi, ale pozostali nie będą o tym wiedzieć… a rację będzie miał ten, który przeżyje. No i stanie się bohaterem w swoim kraju. – Poklepał Japończyka po ramieniu.

Kazuo Hazuki mieszkał w Sendai w prefekturze Miyagi na wyspie Honsiu. Jego przodkowie zasiedlali nadmorskie niziny od setek lat i wbrew temu, co mówił Tygrys, nie byli samurajami, tylko chłopami od pokoleń uprawiającymi ryż. Kazuo był pierwszym, który opuścił wieś i zamieszkał w mieście. Początkowo nie potrafił albo nie chciał się wyrwać z zaklętego kręgu japońskiej tradycji, która jednoznacznie wytyczała mu granice myśli i czynów, ale z biegiem czasu zaczął czuć się, jakby ugrzązł w matriksie. Poszedł więc na studia etnograficzne, by poszukać drogi wyjścia z tych życiowych miazmatów.

Kilka miesięcy wcześniej skończył pięćdziesiąt lat i wydawało mu się, że dojrzał i już starł z siebie piętno przeszłości, gdy nagle wszystko zniknęło jak jakaś fatamorgana.

Teraz siedział w nocy, gdzieś w górach na pograniczu afgańsko-pakistańskim, na desce udającej ławkę, obok islamskiego terrorysty, który

uprzejmie proponował mu handel o życie.

Tygrys nie cenił ludzkiego życia, bo należało ono do Allaha i tylko on mógł nim zarządzać. Nie bał się więc śmierci i gotów był umrzeć, kiedy tylko Najwyższy tego zażąda. Kazuo Hazuki pochodził z innego świata, w którym unika się nawet wypowiadania słowa *shi*, czyli „śmierć”, ale gdzie śmierć jest cały czas obecna. Bardziej obecna niż gdziekolwiek na świecie.

Przez wieki trzęsienia ziemi i tsunami nauczyły tamtejszych mieszkańców, że w obliczu zagrożenia trzeba ratować tylko siebie, a potem pogrzebać zmarłych i odbudować życie. I chociaż w Miyagi śmierć udało się prawie oswoić, to jednak w świadomości Kazuo wciąż tkwiło przesłanie o przetrwaniu.

– Rozmawiają po rosyjsku – odezwał się niepewnie.

– Kto? – zainteresował się Tygrys.

– Polak i Niemiec.

– Skąd wiesz?

– Znam trochę rosyjski. Studiowałem jakiś czas we Władywostoku.

– A to ciekawe. – Tygrys był wyraźnie poruszony. – Bardzo ciekawe… bardzo. No widzisz, Kazuo, dobrze wybrałeś! Będziesz żył – zapewnił z radością. – A o czym rozmawiali?

– Nie słyszałem, bo siedzieli za daleko – odparł Kazuo.

– Pewnie myślą, że nie znasz rosyjskiego, czyli chcą coś zataić. Może planują ucieczkę albo… – na moment się zamyślił i poczochrał dłonią brodę – ukrywają coś jeszcze.

25

Monika wyszła ostatnia kilka minut po północy.

Roman zamknął za nią drzwi i zgasił górne światło. Wrócił do biurka, na którym paliła się zielona lampka, i wyjął z szuflady opasłe akta w niebieskiej okładce z drukowanym napisem ROZPRACOWANIE OPERACYJNE i ręcznym dopiskiem *krypt. „Mocarz”*.

Położył na wierzchu dłoń i przez chwilę wyglądał, jakby się zastanawiał, czy powinien je otworzyć.

Miałbym to zrobić po raz trzeci? – pomyślał.

Tak, miałbyś! – odpowiedział sam sobie. Dopóki nie zrozumiesz, co tutaj nie gra.

Jak zawsze palcem wskazującym zagiął delikatnie górny brzeg kartonowej okładki i włożywszy pod nią dłoń, otworzył akta. Za każdym razem czytanie ich zajmowało mu dwie i pół godziny. Czytał od początku do końca bez przerwy, dokument po dokumencie od góry do dołu, nawet jeżeli był to tylko rachunek za kawę. Czuł, że w tej sprawie kryje się jakaś tajemnica, która ma związek z porwaniem Henryka Olewskiego, ale w żaden sposób nie potrafił jej odkryć.

W każdej takiej teczce, pękatej od najdziwniejszych dokumentów, zamknięta była czyjaś dusza, czyjś los i zapisane przeznaczenie. Historia, która dopiero miała się wydarzyć, lista ludzkich nieszczęść i przypadków. Rozpracowanie operacyjne to jedyna prawdziwa powieść o życiu, w której

bohater jest jednocześnie autorem. Farsy, groteski, tragedie i tragikomedie, dramaty epickie i romantyczne – szafy oficerów wywiadu i przepastne archiwa zawierały niezliczoną liczbę takich dzieł, tworząc biblioteki losów świata, ale dostęp do tych zbiorów mieli tylko nieliczni.

Pierwsza strona dzieła pod tytułem *Mocarz* zawierała tabelkę oznaczoną słowami SPIS DOKUMENTÓW. W pierwszej kolumnie był numer porządkowy, w drugiej nazwa dokumentu, w trzeciej liczba kart i w czwartej – kolejne numery stron. Spis nie tylko miał ułatwiać poruszanie się po dziele, nierzadko bardzo skomplikowanym i obszernym, ale był też niemal idealną zaporą przed fałszerstwem, ponieważ powstawał na bieżąco wraz z dziełem, w takt przybywania kolejnych dokumentów. Następstwo zapisanych dat było jak mapa, która nie znosi błędów. Wszystko musiało do siebie idealnie pasować. Istotą przebiegłości tego prostego zabezpieczenia była konieczność odręcznego wypełniania tabelek. Mimo powszechnej komputeryzacji wciąż obowiązywało w wywiadzie pisanie odręczne i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić.

Major Henryk Olewski wszystkie swoje raporty z Moskwy dotyczące operacji „Mocarz” pisał ręcznie, zgodnie ze świętą zasadą, że dokument zapisany na komputerze poza gmachem Agencji znany jest przeciwnikowi już w trakcie powstawania. Wystarczyło podejrzenie, że tak może być, by stracić pewność i poczucie bezpieczeństwa.

Zwykły papier, długopis albo ołówek piszący na kartce leżącej na twardym podłożu pozwalały na tworzenie dokumentu w niemal każdych warunkach. Za granicą było to szczególnie ważne, bo zagrażał tam nie tylko kontrwywiad, ale również czas, który zacierał pamięć. A robienie notatek było pierwszym krokiem do katastrofy i wpadki. Dodatkowo dokument napisany ręką oficera miał wartość oryginału trudnego do podrobienia.

SPIS DOKUMENTÓW musiał się zgadzać w stopniu idealnym z zawartością dzieła. Każde odstępstwo od tego stanu było przedmiotem śledztwa.

Pierwszym i najważniejszym dokumentem był WYKAZ OSÓB ZNAJĄCYCH SPRAWĘ, który również miał formę tabelki. Pierwsza kolumna z numerem porządkowym, druga na wpisanie imienia, nazwiska i stanowiska, a trzecia – tytułu, jaki upoważniał tę osobę do zapoznawania się ze zgromadzonymi materiałami, i na końcu data, kiedy to robiła.

Oba dokumenty w sposób niemal idealny zabezpieczały dzieło przed ingerencją obcych szpiegów, a przynajmniej powinny. Leski czasami znajdował sposoby na obejście tych zabezpieczeń i chociaż nigdy nikogo nie przyłapał, to zdawał sobie sprawę, że jeżeli jemu się udało, to agent obcego wywiadu też mógł wpaść na ten pomysł.

Po raz trzeci Roman pociągnął od góry do dołu palcem po WOZS, zatrzymując się przy każdym nazwisku.

mjr Filip Kwiecień – prowadzący
płk Zenon Pański – nadzór
Filip Korycki – szef AW
kpt. Wiktor Braun – przed wyjazdem
płk Michał Walewski – nadzór
płk Marek Hurman – z-ca szefa AW

Majora Kwietnia znał dobrze i od razu mógł go wykluczyć z grupy podejrzanych. Czytał jego teczkę personalną, kiedy prowadził rozpoznanie pewnego majora podejrzanego o wyłudzenie potężnej sumy z funduszu operacyjnego.

Byli w jednej drużynie w Kiejkutach i przez jakiś czas się przyjaźnili. Roman kilkakrotnie przesłuchiwał Kwietnia i szybko się okazało, że nie

spotkał nikogo bardziej chętnego do szczerej współpracy z przełożonymi. Od razu było widać, że żadna przyjaźń nie powstrzyma go przed ostentacyjną wylewnością. Był w tym do bólu autentyczny, wręcz naiwny, szczery i pocieszny. Roman zastanawiał się nawet, czy nie jest ograniczony umysłowo, ale sprawdził wyniki jego testów i choć plasowały go w najniższych stanach, okazały się akceptowalne. Major był za to systematyczny, dokładny, uporządkowany i lubił pracę biurową. Roman dokładnie zbadał, w jaki sposób udało mu się przejść rekrutację do wywiadu, i sprawdził jego koligacje rodzinne, ale nie znalazł nic podejrzanego.

Dlatego nie mógł zrozumieć, dlaczego takiemu oficerowi powierzono do prowadzenia jedną z najważniejszych spraw Agencji. Jak wyjaśnił, jego zadaniem było terminowe i systematyczne wpinanie dokumentów, numerowanie ich, uzupełnianie spisu treści i w ogóle pilnowanie porządku w tej sprawie.

Major Kwiecień doskonale wiedział, że „Mocarz” to bardzo ważna operacja, i czuł się dumny z takiego wyróżnienia, ale dokumentów, które dostawał, nawet nie czytał. Interesowało go posiadanie sprawy, a nie jej prowadzenie, bo wiedział, że i tak nie zrozumiałby jej zawiłości. Starał się za to wypełniać WYKAZ DOKUMENTÓW i wstawiać numerację stron tak ładnie i precyzyjnie, jak tylko potrafił. A charakter pisma major Kwiecień miał przepiękny, kaligraficzny, rzadki, o czym wszyscy mówili, a co sprawiało mu największą satysfakcję. Był w czymś najlepszy.

Wiedział, jak ważna jest jego praca. Używał czerwonych, czarnych i zielonych pisaków firmy Staedtler, a cyfry na stronach wpisywał dokładnie zawsze w tym samym miejscu i każde otaczał równym kółeczkiem odrysowywanym od złotówki.

Dopiero kiedy Kwiecień powiedział, że sprawa jest wprawdzie na niego zarejestrowana i jest jej formalnym depozytariuszem, to jednak prawie cały czas trzyma ją u siebie pułkownik Pański albo szef Walewski i czasami Hurman, wtedy Leski zrozumiał, dlaczego do jej prowadzenia wybrali akurat oficera o mózgu archiwisty.

Spojrzał na zegarek, który wcześniej zdjął z ręki i położył przed sobą obok szklanki pełnej herbacianych fusów. Była za piętnaście trzecia. Roman zamknął teczkę *Mocarz* i położył na niej dłoń. Robił tak zawsze, jakby w ten sposób pieczętował zakończenie pracy.

Że wybór majora Kwietnia nie był przypadkowy, w to nie wątpił. Choć przecież… nie mógł mieć pewności, że się nie myli. Mimo to uważał, że tu należy szukać klucza – ale do czego? Znów był bliżej rozwiązania tajemnicy, tylko wciąż nie wiedział jakiej.

– Absurd i mizeria intelektualna – powiedział na głos. – Jakiś wniosek, Romanie? – Wciąż trzymał dłoń na teczce, jakby chciał poczuć jej energię. – Głupie wnioski? Ale chyba lepiej posunąć się za daleko niż się zbyt wcześnie wycofać, nie? Nie!

Poczuł, że kręci mu się w głowie, obraz faluje, a wokół zaczynają się poruszać jakieś zjawy. Zamarzył o swoim łóżku w mieszkaniu na Ochocie i o jajku na miękko, ale był tak zmęczony, że postanowił zanocować na alei Wyzwolenia.

26

Tygrys wiedział, że kiedy tylko zakończy się operacja z zakładnikami, jego los będzie przesądzony. Tak też się wszystkim wydawało.

Rzeczywiście pochodził z Kaukazu, ale nie był Lezginem z Dagestanu, tylko Kistem, czyli Czeczenem z Gruzji. Nazywał się Issa Ułajew. Miał czterdzieści dwa lata, a nie trzydzieści pięć, jak oficjalnie utrzymywał. Nie urodził się w Machaczkale, lecz w Nowym Jorku, gdzie jego ojciec był kierowcą w konsulacie ZSRR i podoficerem GRU.

Issa ukończył college w Queens, a po przyjeździe do ojczyzny rozpoczął studia w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych. Rok później rozpadł się Związek Radziecki i ludy Kaukazu poczuły zew wolności. Issa, jego dwaj bracia i ojciec dołączyli do Dżochara Dudajewa i wzięli udział w pierwszej wojnie o niepodległość. W drugiej walczył już tylko Issa.

Wkrótce wraz ze swoim dowódcą Jamadajewem przeszedł na stronę Rosjan i został żołnierzem batalionu specnazu GRU „Wostok”. Zdążył jeszcze wziąć udział w wojnie przeciwko Gruzji i wkrótce został przerzucony do Afganistanu, a niedługo potem do Syrii.

Issa miał ogromne doświadczenie bojowe, znacznie większe, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Ale jego oficjalna historia była skrojona o wiele prościej, aby łatwiej można było ją sprawdzić, zgodnie z zasadą, że im większe kłamstwo, tym mocniej śmierdzi. Bogaty życiorys bojowy Issy

dowodził też, że skoro wyszedł żywy z tylu wojen, jest nie tylko inteligentny, ostrożny i przewidujący, ale ma też dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Podczas wojny w Osetii szedł w szpicy wojsk rosyjskich i zlikwidował kilkudziesięciu wrogów, nie tracąc ani jednego żołnierza.

Jednak u dowódcy oddziału talibów tej cechy raczej nie uważano za pożądaną i Issa doskonale o tym wiedział. Dlatego zgodnie z oczekiwaniami udawał odważnego i nieco szalonego bojownika, dla którego liczy się tylko zwycięstwo w imię Allaha.

I to też była prawda. Issa walczył dla Niego, a właściwie tylko dla Niego. Dlatego w tej walce akceptował wszystkich sojuszników, którzy gotowi byli chwycić za broń przeciwko Ameryce i jej poplecznikom. Nigdy nie był agentem Rosji i nie wykonywał jej rozkazów, zawsze walczył za wiarę i wolny Kaukaz. Świat się jednak ciągle zmieniał i teraz Rosja stała się sojusznikiem, więc Issa współpracował z GRU, ale tylko pod warunkiem, że jest to zgodne z wolą Allaha. Rozpoczynając współpracę z wywiadem pakistańskim, kierował się podobnymi zasadami.

Minęły cztery dni od ataku na hotel w Pir Sohawa.

Zakładnicy nie mieli żadnego dostępu do informacji, a pilnujący ich talibowie nie chcieli rozmawiać albo nie znali angielskiego.

Przez ostatnie dwa dni toaleta z wiadrem niemal nieustannie była zajęta przez Olivera, który wyraźnie nie tolerował koziego nabiału i miał problemy z higieną. Ścianka ze sprasowanej słomy tylko symbolicznie zapewniała intymność. Kiedy robiło się ciepło, do chaty zlatywały eskadry agresywnych much i atakowały wszystkich równo, bez względu na narodowość.

Wychodzić mogli dwa razy dziennie na kilka minut, by się umyć pod maskującą plandeką obok zaparkowanej półciężarówki. Talibowie stawali

się wówczas bardzo nerwowi, nieustannie ich poganiali, wpatrując się w niebo i pokrzykując coś w urdu.

Tygrys był niewzruszony na prośby o wyniesienie toalety na zewnątrz i swobodny dostęp do wody. Twierdził, że to dla ich dobra, i ucinał dyskusję krótkim stwierdzeniem:

– Wiem, co mówię.

W końcu Oliver przestał jeść sery i jego stan poprawił się na tyle, że zaczął siedzieć. Nikt jednak nie mógł powiedzieć, że nie ma problemów z żołądkiem, chociaż Henryk w ogóle nie jadł sera, a Japończyk warzyw. Jürgen uparcie obarczał winą wodę i bakterie, które mieli na rękach. Brak choćby prowizorycznego sedesu i jakiegokolwiek papieru pogarszał ich samopoczucie jeszcze bardziej. Dobrze, że przynajmniej dostali jakiś proszek, który zapobiegł swędzeniu. Pojawił się za to problem z goleniem, bo talibowie nie mieli ani nożyków, ani pianki. Najszybciej broda rosła Henrykowi.

Po kilku dniach każdy miał już swoje stałe miejsce, które okupował, ale każde było sprawiedliwie równo oddalone od toalety.

Tygrys przychodził do nich kilka razy dziennie i rozdawał wodę w butelkach. Siadał na drewnianej skrzynce, którą zawsze przynosił ze sobą. Stawiał ją w tym samym miejscu pod ścianą, jak wykładowca, który chce kontrolować wszystkich swoich uczniów. Automat oddawał strażnikowi przed wejściem. Drugi wchodził z nim do środka i stawał obok z kałasznikowem gotowym do strzału.

Oparty plecami o ścianę Tygrys czekał, aż któryś z więźniów rozpocznie z nim rozmowę. Nigdy nie zaczynał pierwszy, patrzył prowokacyjnie i Henrykowi się wydawało, że talib prowadzi z nimi jakąś grę. Był inteligentny, mówił świetnie po angielsku, miał rozległą wiedzę, ale udawał prostszego, niż w rzeczywistości był. Sprawiał wrażenie, jakby chciał ukryć

swoją prawdziwą tożsamość, i czuć było wyraźnie, że robi to w jakimś określonym celu.

To był dobry znak, uważał Henryk, bo gdyby mieli ich zamordować na pokaz, takie zachowanie oprawcy byłoby bezsensowne. Tygrys nie wyglądał na słabego człowieka, który ma skrupuły i martwi się, jak zapamiętają go ofiary. Pojawiał się delikatny promyk nadziei, że może przeżyją, jeśli Tygrys nie jest tylko inteligentnym psychopatą.

Taka była iskierka nadziei, ale powodów do niepokoju znacznie więcej.

Wieczorami Tygrys zapraszał kogoś na zewnątrz, jakby chciał coś ukryć przed pozostałymi. Rozmowy trwały kilkanaście minut i odbywały się zawsze w tym samym miejscu. Siadali na desce pod akacją, z widokiem na dolinę Śam i niebo. Strażnik z automatem stał z tyłu.

Po rozmowie każdy zdawał relację. Były prawie identyczne. Mówili, że Tygrys lubi sobie pogadać o byle czym, wypytuje o jakieś sprawy bez znaczenia, opowiada o swojej miłości do islamu i daje do zrozumienia, że wszystko powinno się dobrze skończyć, uspokaja i trochę drażni. Tak twierdzili zgodnie wszyscy oprócz Henryka, który na rozmowie jeszcze nie był.

Spodziewał się, że tego wieczoru przyjdzie jego kolej, i szczególnie go ciekawiło, w jaki sposób Tygrys uzasadni szczęśliwy koniec dramatu. Już po pierwszej rozmowie, kiedy Kazuo przyniósł taką wiadomość, Henryk nabrał podejrzeń, że Tygrys ma jakiś plan, więc kiedy ten schemat rozmowy powtórzył się jeszcze dwa razy, przypuszczenie przerodziło się w pewność.

Jest źle i trzeba coś robić – pomyślał i spojrzał na Jürgena, który siedział pod ścianą, z głową opartą na kolanach.

Dochodziła dwudziesta druga. Oliver, wyczerpany biegunką i odwodniony, spał skulony pod kocem, a Kazuo, niemal przyklejony do

jedynej żarówki, jaka świeciła w pomieszczeniu, zapisywał coś w swoim notatniku, kiedy otworzyły się drzwi i do wnętrza zajrzał Tygrys w pakolu na głowie.

– Panie Polak – powiedział po angielsku i wskazał palcem na Henryka.

27

Piątek był dniem biegania, które Dima zakończył skokami obunóż, po trzy stopnie, aż do drugiego piętra.

Wziął prysznic i zaczął przygotowywać sobie śniadanie. Warzywa, szynka, jajko na twardo, kawa z mlekiem i świeży sok grejpfrutowy. To nie był dzień na croissanta, musiał porządnie się najeść, bo następny posiłek mógł mieć dopiero wieczorem.

Zostało mu trzydzieści pięć minut do wyjścia.

O ósmej miała zadzwonić Tamara, a nie mógł z nią rozmawiać w domu. Była pod jego szczególną ochroną i nie mógł pozwolić, by zagroził jej jakiś przypadek, czyjś błąd lub jego zwykła nieostrożność. Tamara nie była taką kobietą jak wszystkie inne w jego życiu, była tą jedną jedyną i jeśli miała taką pozostać, nikt nie mógł o tym wiedzieć.

Wyszedł z domu, przeszedł na drugą stronę Kazimierzowskiej i wyjął smartfon. Spojrzał na wyświetlacz. Była siódma pięćdziesiąt siedem. Ledwie włożył rękę do kieszeni, telefon zawibrował i zadzwonił.

Dima wcisnął zieloną słuchawkę.

– Jak się masz, mój drogi. Co się dzieje? – odezwał się śpiewnym angielskim miły kobiecy głos.

– Mam ważną sprawę… bardzo ważną i pilną – odpowiedział. – Potrzebuję twojej pomocy i muszę się z tobą zobaczyć. Jestem teraz na

górze, ale dzisiaj lecę do siebie na dół, a pojutrze dalej. Wpadnij jutro. Możesz?

– Przecież jutro sobota. Pewnie, że mogę. A poza tym dawno się nie widzieliśmy… bardzo się za tobą stęskniłam.

– Ja za tobą też… – odparł Dima.

– Zadzwonię, jak przylecę.

– Czekam. Cmok.

– Cmok.

Dima wyłączył telefon. Wrócił do mieszkania, wyjął kartę SIM, włożył do notatnika Moleskine i włączył komputer. Kupił bilet na lot Ryanair o osiemnastej. Spojrzał na zegar. Miał dwie i pół godziny do spotkania na Kabatach, więc uznał, że zdąży się jeszcze spakować, i choć latał tylko z bagażem podręcznym, bo wszystko miał w Atenach, to nigdy nie zostawiał tego na ostatnią chwilę.

Roman pilnował Aleksandra Głowackiego, żeby zawsze pamiętał o czyszczeniu kieszeni przed podróżą. Czasami zapomniany bilet autobusowy lub paragon mógł zadecydować o życiu albo śmierci szpiega – powtarzał za każdym razem.

Dima zrobił sobie kubek czerwonej herbaty i usiadł w kuchni, by powtórzyć swój plan pracy na najbliższe dni. Unikał robienia notatek, uważając, że stale musi ćwiczyć pamięć. I rzeczywiście, miał doskonałą pamięć.

Pomyślał o Monice i nagle zdał sobie sprawę, że słowo, które wczoraj tak go zaabsorbowało, nagle znikło, jakby nigdy nie zostało wypowiedziane. Myślał logicznie, szybko i wydajnie, nie czuł żadnego zamętu w głowie. Przeciwnie, miał pomysł, jak rozpocząć rozpracowanie wczorajszego zadania i jaki operacyjny modus vivendi przyjąć w Moskwie. Ale polubił słowo „zamęt”, bo poczuł, że już na zawsze pozostanie

związane z seksapilem Moniki, jakby było esencją jej uwodzicielskiego zapachu.

Perfumy Zamęt – pomyślał lekko rozbawiony. Confusion… Muddle… Embrollo… Nierazbiericha? Wybuchnął śmiechem i o mało nie oblał się herbatą. Jednak francuski pasuje najlepiej… Confusion.

Nie zdążył odstawić kubka, gdy w sypialni odezwał się jego prywatny telefon. Mógł ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że to pomyłka, oferta komercyjna lub pielęgniarka z ośrodka Dobre Wspomnienia w Zagórzu.

Pielęgniarka dzwoniła jednak częściej, przynajmniej raz w tygodniu, więc był prawie pewny, że to ona.

Józef Hofmann od jakiegoś czasu cierpiał na powiększenie guzów w nadnerczach, co powodowało wzrost jego agresywności. W efekcie – jak to określała pielęgniarka – „powstawały problemy dyscyplinarne z kuracjuszem”. Józef w ostatnim czasie wykazywał zaangażowanie w przemiany polityczne w Polsce lat pięćdziesiątych, śmierć Stalina i Bieruta, brał udział w wiecu na placu Defilad, więc próbował wpływać na pozostałych kuracjuszy i kształtować ich poglądy. Bicie laską i najeżdżanie wózkiem, uzupełnione ostrym językiem, było poważnym argumentem na nieprzekonanych i głuchych.

Dima nie był prawnym opiekunem Józefa i nikt nawet nie wiedział, że jest jego synem. Ale był jedyną osobą, która miała na niego wpływ, więc zobowiązał się do pomocy. I za każdym razem, kiedy wybuchały awantury, musiał jechać do ośrodka, bo z powodu głuchoty Józefa dyscyplinująca rozmowa przez telefon nie wchodziła w grę.

Nie pomylił się. Na wyświetlaczu pojawił się napis *Zagórze*. Przez chwilę Dima się zawahał, bo pomyślał o tym, o czym myślał coraz częściej, więc nie był pewien, czy chce odebrać. Nie był na to przygotowany, ale

czasami mu się wydawało, że chciałby już to usłyszeć. Nie potrafił nie porównywać śmierci matki i ojca, mimo to czuł się w obowiązku asystować Józefowi do końca. Ojciec ma szczęście, że nie jest na świecie sam – pomyślał.

– Tak… – odebrał telefon.

– Pan Dima? – zapytała pielęgniarka.

– Tak – powtórzył.

– Znów mamy kłopot z panem Józefem – zaczęła delikatnie. – Może pan przyjechać?

– A co się stało?

– Zaatakował na śniadaniu pana Adama, pokłócili się o Stalina czy Lenina, dokładnie nie wiadomo, i pan Józef wylał panu Adamowi zupę na głowę, a potem uderzył go kulą w brzuch. Właśnie zabarykadował się w pokoju i wzywa przez okno żandarmerię wojskową. Przyjedzie pan?

– Teraz nie mogę… – odparł Dima. – Dopiero po południu może… Sami nie dacie sobie rady? Przecież to stary człowiek na wózku.

– No… dyrektor nie chce problemów, ale i tak jest już wściekły i chętnie by się pozbył pana Józefa, ale proszę mu nie mówić, że o tym wspomniałam.

– Niech pani zadzwoni około pierwszej. Jeżeli nic się nie zmieni, to przyjadę.

– Dziękuję – usłyszał i pielęgniarka się rozłączyła.

Dima stracił resztkę dobrego humoru, który od wczoraj i tak już mu nie dopisywał. A tu pojawiła się kolejna sprawa, która absorbowała jego uwagę. I to akurat tego szczególnego dnia! Przecież o osiemnastej miał samolot do Aten. Zawrzało w nim jak w kotle.

Do spotkania na Kabatach zostały mu niecałe dwie godziny.

Włożył zieloną wiatrówkę typu lotniczego zapinaną na metalowy suwak, niebieską bejsbolówkę z napisem HARVARD i ciemne okulary. Leżały zawsze tam, gdzie zostawiał kluczyk do swojego starego volkswagena polo, którego używał w mieście. Był już w drzwiach, gotów je za sobą zatrzasnąć, kiedy z ręką na klamce spojrzał na zegarek i po chwili wahania sięgnął po kluczyk. Postanowił, że zrobi jednak trasę sprawdzeniową samochodem, a po drodze wpadnie do Zagórza uspokoić Józefa.

W tym samym czasie, kiedy Dima wsiadał do samochodu, Monika była już w swojej galerii na Powiślu. Ubrana w poprzecierane dżinsy, zapinany bordowy sweter, który kupiła kiedyś w Oslo, czarne trampki i ramoneskę, wyglądała, jakby brakowało jej tylko kasku motocyklowego i choppera zaparkowanego przed wejściem.

Ściągnęła Kasię do galerii wcześniej, bo musiała przekazać jej instrukcję postępowania na czas swojej nieobecności. Instrukcja była prosta i prawie zawsze taka sama. Kasia znała ją na pamięć, bo Monika często wyjeżdżała, ale posłusznie kiwała głową, kiedy przeglądały punkt po punkcie.

Nie pytała, dokąd Monika jedzie ani po co. Kiedyś zapytała i spojrzenie, które jej odpowiedziało, było wystarczająco czytelne, by już więcej tego nie robić.

Dopiero na koniec Monika oznajmiła, że wraca za tydzień, i zapytała Kasię, czy ma jakieś pytania, wątpliwości lub czegoś nie rozumie. I kiedy Kasia pokręciła głową, Monika objęła ją, pocałowała w policzek i posłała jej służbowy uśmiech.

Zawsze przed robotą była trochę opryskliwa, chwilami nawet niegrzeczna, bo denerwowała ją proza życia, która – jak uważała – złośliwie nie pozwala jej się skoncentrować na tym, co jest akurat najważniejsze. Ale tym razem konieczność uregulowania spraw galerii, czegoś tak banalnie śmiesznego, próżnego, naiwnego w obliczu potrzeby

ratowania kolegi z rąk talibów, denerwowała ją jak jeszcze nigdy dotąd. I Kasia to zauważyła.

Właśnie dlatego lubiła Monikę, bo widziała w niej prawdziwą ekscentryczną artystkę, a nie kukłę z papier mâché, jak jej nadęci goście przychodzący na tanie wino i wygłaszający frazesy o sztuce.

Monika wsiadła do swojego golfa, włożyła kluczyk do stacyjki, odliczyła do trzech i przekręciła, wstrzymując oddech. Silnik zachrobotał, ale nie zaskoczył.

Do trzech razy sztuka – pomyślała z nadzieją, bo za trzecim razem zawsze zapalał.

Przekręciła kluczyk mocno, jakby chciała zadać mu ból. Silnik krótko zarzęził i zdechł.

Kiedy nie zapalił drugi raz, poczuła lekkie spięcie żołądka i pomyślała, że miała półtorej godziny do spotkania na Kabatach i planowała sprawdzić się w trasie samochodowej po mieście, a teraz będzie musiała zmienić plany.

– *Fuck!* – Kilka razy uderzyła pięścią w kierownicę. Poranna sesja jogi, która miała ją ustawić na cały dzień, zdała się psu na budę. – Spalę cię! Oddam na złom… Żebyś tak zardzewiał, ty niemiecki trupie! Aaa…! – wydała z siebie przeciągły okrzyk.

Kilkakrotnie zaczerpnęła głęboko powietrza.

W oknie galerii zobaczyła Kasię, która uśmiechała się, najwyraźniej rozbawiona jej zmaganiami ze starym golfem i pantomimą wściekłości. Więc też się do niej uśmiechnęła.

Pomyślała o Robercie. Dopiero teraz sobie uzmysłowiła, że przyzwoitość nakazuje, aby i jemu coś powiedzieć. Chociaż wstrząsało nią na samą myśl o rozmowie, która z pewnością zamieni się w erupcję troskliwych pytań. Była pewna, że tego nie zniesie. Mimo to wyjęła

komórkę i przez chwilę ważyła ją w dłoni, bo nie była pewna, czy chce z nim zerwać już, czy powinna jeszcze zaczekać. W końcu był przystojny, miły i czasami przydatny. I nagle dotarło do niej, że skoro Robert tak bardzo chce mieć z nią dziecko, to powinien się też zająć jej samochodem i odprowadzić go do warsztatu.

Spojrzała na telefon. Była dziesiąta trzydzieści i dopiero teraz przypomniała sobie, że od dziesiątej Robert miał wokandę w sądzie, więc jest szansa, że nie będzie mógł odebrać telefonu. Najbardziej lubiła rozmawiać z Robertem za pośrednictwem automatycznej sekretarki.

– Kochany Robercie – zaczęła tak miło, jak potrafiła, gdy tylko usłyszała sygnał. – Muszę pilnie jechać do Brukseli. Moja przyjaciółka Halinka… nie znasz jej… ma poważne kłopoty osobiste i liczy, że jej pomogę. Zapomniałam ci o tym wczoraj powiedzieć, bo byłam taka rozkojarzona… wiesz… Wrócę za kilka dni. Z telefonem może być różnie, więc się nie denerwuj, jakbym czasami nie odbierała. Aha… zaprowadź mój samochód do warsztatu, bo już zupełnie zdechł. Stoi przed galerią, a dowód i kluczyki są u Kasi. I nie zapomnij, żeby zrobili w końcu ten dach. Całuję… Pa!

Oddała Kasi kluczyki i dowód. Uprzedziła ją, że Robert wpadnie po samochód, ponownie się pożegnała i ruszyła w kierunku stacji metra Centrum Nauki Kopernik.

Roman nocował w lokalu przy alei Wyzwolenia 13. Nie pierwszy zresztą raz. Miał tam schowane swoje rzeczy osobiste, bieliznę, ręczniki i kosmetyki, ale kapcie zawsze przynosił ze sobą.

Mieszkał w służbowej kawalerce na Grójeckiej, a po Warszawie poruszał się komunikacją miejską albo pieszo. Prawie nigdy nie brał taksówki i zawsze odmawiał, kiedy ktoś proponował mu podwiezienie. Nie miał nawet prawa jazdy.

O dziesiątej rano podszedł do okna i wyjrzał na podwórko przejściowe, gdzie poprzedniego dnia zostawił obserwację. Był to dość duży nieregularny plac, zadrzewiony i zapchany samochodami, zamknięty od południa niskim budynkiem kina Luna. Zwykle panował tam spory ruch, ale o dziesiątej było już spokojnie. Do podwórka przylegało siedem klatek schodowych. Tylko jedna miała dwa wejścia, oba wykorzystywane przez Sekcję.

Otworzył okno. Po chwili jego telefon wydał z siebie podwójny dzwonek i zamilkł. Roman nawet nie musiał sprawdzać, kto dzwoni. Wiedział już, że Witek i Ela są na swoich miejscach i może ruszać.

Włożył przyciasny zielony płaszcz i szary kapelusz trilby.

Kupił go trzydzieści pięć lat temu u Cieszkowskiego w pawilonach na Marszałkowskiej. Bardzo o niego dbał, choć z początku wcale nie był nim zachwycony. Uważał, że komuś tak niskiemu jak on kapelusz tylko przydaje groteskowości, ale Hania miała inne zdanie i upierała się, że jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Rok później Hania zginęła pod kołami ciężarówki, a kapelusz został. Stał się czymś w rodzaju ogniwa łączącego duszę i ciało Romana, który nie mógł już bez niego żyć. Czasami martwił się nawet, co się stanie z tym kapeluszem, kiedy on umrze.

Wyszedł przed dom i zatrzymał się na moment, jakby chciał pokazać, że oto jest i obserwacja może już przystępować do pracy. Obrócił się w lewo i spokojnym krokiem ruszył w stronę ulicy Sempołowskiej.

28

Usiedli na desce. Tygrys po lewej stronie, z automatem na kolanach, a Henryk po prawej. Drugi talib z kałasznikowem stanął z tyłu.

– Skąd jesteś? – zaczął Tygrys. – Z Warszawy?

– Nie… z Gdańska – skłamał Henryk.

– A gdzie to?

– Nad morzem, nad Bałtykiem, duże portowe miasto.

– Hm… – zamruczał Tygrys. – Mówisz, że jesteś biznesmenem w branży telekomunikacyjnej, tak? – zapytał.

– Tak… portugalska firma Oregon, oddział w Islamabadzie…

– Jesteś wierzący? – przerwał mu Tygrys.

– Tak, wierzę w Boga, ale do kościoła nie chodzę.

– Katolik?

– Tak.

– Hm…

Henryk siedział bokiem do Tygrysa, więc nie widział jego twarzy. Męczyło go to, bo nie mógł obserwować mikroekspresji. Jako oficer wywiadu, doświadczony werbownik, potrafił rozpoznawać stan emocjonalny rozmówcy na podstawie mowy twarzy, gestów ciała, ale nigdy nie ćwiczył takiej sytuacji, w jakiej się teraz znalazł. Tym bardziej że Tygrys nie był specjalnie rozmowny. Zadawał dużo pytań, odpowiadał krótko, wciąż przeczesując dłonią brodę. Dlatego Henryk czuł się

bezbronny jak nigdy dotąd i na oślep szukał czegoś, co choć trochę by mu pomogło poznać zamiary Tygrysa.

Kątem oka obserwował, jak talib grzebie wojskowym butem w skalistej ziemi i mrucząc jakąś melodię, rytmicznie uderza kciukiem w automat. Zaczął się wsłuchiwać w niski nosowy głos w nadziei, że znajdzie coś, jakiś punkt zaczepienia, by nawiązać z nim kontakt na swoich warunkach. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest to złudna, wręcz naiwna nadzieja, ale nie mógł nie spróbować. Czuł, że musi, zwłaszcza że melodia, którą mruczał Tygrys, wydawała mu się znajoma.

To chyba Mucurajew… – przemknęło mu przez myśl, bo gdy mieszkał w Rosji, czasami słuchał tego barda Kaukazu. A jeśli to Mucurajew, to Tygrys jest Czeczenem!

O mało nie krzyknął. To było ważne odkrycie.

Tylko skąd u niego taki angielski?

– A w wojsku byłeś? – zapytał Tygrys.

– Tak.

– Zawodowy?

– Nie, z poboru.

– Twoi koledzy zabijają muzułmanów w Afganistanie, a wcześniej zabijali w Iraku… W Karbali zabili wielu bojowników mahdiego. Dlaczego Polacy nienawidzą muzułmanów? Dużo jest u was naszych braci i sióstr? Co wam zrobiliśmy? Były jakieś akcje bojowników w Polsce? Mieliście jakieś kolonie?

Tygrys mówił spokojnie i Henryk nie wyczuwał w jego głosie żadnego osobistego tonu. Doszedł zatem do wniosku, że talib nie wie, z kim ma do czynienia, chociaż pytania były prowokujące i mogły sugerować, że jest wrogo nastawiony. Henryk jednak przyjął wersję optymistyczną – że

Tygrys jest zdezorientowany – bo nie mógł okazywać zdenerwowania ani strachu.

Niczego teraz bardziej nie potrzebował, niż spojrzeć mu w oczy. Wstrzymał oddech i obrócił się w jego stronę.

– Nic nie wiem o tym, żeby Polacy zabijali muzułmanów, ale od początku byłem przeciwny wojnie w Iraku i wysłaniu naszych wojsk do Afganistanu – powiedział Henryk zgodnie z przekonaniem, chociaż nie miał pewności, czy Tygrys odbierze jego słowa jako szczerą deklarację, czy też uzna je za dowód słabości. Henryk jeszcze nie wiedział, co zamierza ugrać, ale na pewno nie chciał wyjść na mięczaka. – Dla mnie nie ma znaczenia, kto jaką religię wyznaje, wszystkie są równe…

– Otóż nie! – Tygrys przestał uderzać palcem w automat. – Islam jest jedyną prawdziwą religią i nie ma Boga nad Allaha… *Allah akbar*. – Podniósł złączone dłonie i przeciągnął nimi po twarzy, mrucząc coś po arabsku. – Zdecydowałeś się już?

– Przejść na islam? – zapytał Henryk. – Myślę o tym cały czas.

Nie dostrzegł w twarzy Tygrysa niczego, co mogłoby mu pomóc. Jego duże, smutne i zimne oczy, na wpół przesłonięte powiekami, sprawiały ponure wrażenie. Nieraz widziały śmierć, patrzyły, jak umierają mężczyźni, kobiety i dzieci, rejestrowały ból, cierpienie i wszystkie przerażające obrazy, których był autorem. Henryk od razu zrozumiał, że to nie jest człowiek, z którym mógłby rozmawiać. Przepaść miedzy nimi była ogromna, bo on sam jeszcze nikogo nie zabił.

– Nie mieliśmy nigdy kolonii i nie było u nas żadnych zamachów. Polacy nie znają islamu, więc nie mogą nienawidzić czegoś, o czym nie mają pojęcia – tłumaczył, patrząc Tygrysowi w oczy. Starał się, by te słowa brzmiały spokojnie, a nawet obojętnie, co pozwalało mu zaznaczyć dystans i uniknąć podejrzenia o nieszczerość. – Po wojnie w Czeczenii przyjechało

do Polski prawie sto tysięcy uchodźców, muzułmanów, i wielu znalazło u nas swój dom. Nikt im nie okazywał nienawiści, wprost przeciwnie.

Henryk wykorzystał argument, który trzymał jak asa w rękawie, odkąd się zorientował, że Tygrys jest Czeczenem. Liczył, że w ten sposób przerzuci most do jego podświadomości. Postara się zdobyć zaufanie, uśpić czujność, by w odpowiedniej chwili wykorzystać przewagę i spróbować ucieczki. To nie był plan, jedynie nadzieja, że intuicja podpowie mu, co ma robić. Zdawał sobie sprawę, jakie to naiwne, nawet śmieszne, jednak znał siebie i wiedział, że aby przeżyć, niczego nie potrzebuje teraz bardziej niż silnej motywacji.

Szybko jednak zrozumiał, że jego mały, śmieszny plan nie wypalił.

Tygrys nie kupił słodkiej historii o Czeczenach w Polsce. Usiadł okrakiem na desce i przybliżył twarz do twarzy Henryka. Powoli przesuwał spojrzenie z jego czoła na policzki, potem na lewe oko, na usta… Henrykowi wydawało się, że wzrokiem mordercy jak ostrym nożem wodzi mu po twarzy.

– Lęk? – zapytał cicho. – Wiesz, co to jest lęk?

– No… wiem… – Henryk zrobił niewyraźny grymas.

– Nie wiesz! – Tygrys podniósł głos. – To co ty wiesz? – Zrobił się agresywny. – Lęk karmi i napędza świat, jest jego motorem, tłumaczy i miłość, i śmierć, jest istotą człowieczeństwa…

Henryk nawet nie zdążył się zastanowić nad jego słowami, gdy poczuł potężne uderzenie w głowę, a wraz z nim usłyszał przeraźliwy, ostry gwizd i nim zamknął oczy, zobaczył, jak zamazana twarz Tygrysa unosi się i zapada w ciemność.

29

Ostatni przyszedł Dima. Spóźnił się piętnaście minut, ale nie musiał się tłumaczyć. Ważne, że też był czysty.

Tego dnia nikt nie miał obserwacji. Monika sprawdzała się ostro w tramwajach, sklepach i odludnych miejscach, a Dima zrobił trasę przez Wawer, Zalesie, Otwock i Miedzeszyn. Na Kabaty wjechał podjazdem od strony Powsina, gdzie powinna się wyłożyć każda obserwacja.

Witek i Ela obstawiali Romana, ciągnąc za nim kontrobserwację, więc nie musiał się sprawdzać. Też okazał się czysty. I to było najważniejsze. Oznaczało, że jeżeli wczoraj się nie pomylił, to celem obserwacji był lokal konspiracyjny.

O tym, że tam właśnie spotykali się członkowie Sekcji, nikt w Agencji nie wiedział. Było jednak jasne, że Roman Leski działa na specjalnych prawach i musi mieć odpowiedni lokal na mieście. I choć uchodził za niezwykle przenikliwego i inteligentnego, to jednak miał zerowe doświadczenie operacyjne, a zatem potrzebował jakiegoś wojska. Odkrycie, kto z nim pracuje, dałoby możliwość wejrzenia w to, co się dzieje po drugiej stronie lustra, i dyskretnego kontrolowania jego działalności. Czyli uzyskania dostępu do najtajniejszych spraw i wpływania na ich bieg. A tego pragnęli wszyscy ci, którym marzyła się wielka władza.

Atmosfera tajemniczości, jaka narosła wokół Leskiego, nie przysparzała mu sympatii. Mity rodziły mity. Już samym swoim istnieniem Leski

prowokował wszystkich cyników, hipokrytów, mitomanów, megalomanów, ludzi zjednoczonych wspólnotą interesów, którzy wspierając się duchowo, robili w wywiadzie szybką karierę. Był poza ich zasięgiem, więc dusili w sobie nienawiść i życzyli mu jak najgorzej. Wiedział o tym doskonale, tak jak i o tym, że ktoś w końcu od myśli przejdzie do czynów.

– Podsumowując… – ciągnął swoją analizę Roman – zapewne mnie wystawił ktoś z naszego środowiska… z obecnych lub byłych. Wydaje się jednak, że musi mieć poważny powód, by zlecić komuś obserwację, właściwie rozpracowanie, i zakładać, że to się nie wyda.

– Zgadzam się – odezwał się Dima. – Determinacja tych ludzi na to właśnie wskazuje. Nie powinniśmy więc odrzucać podejrzenia naczelnika Błaszczyka, że uprowadzenie w Pakistanie ma drugie dno. Przecież w tej chwili nie prowadzimy żadnych innych działań. Bardzo prawdopodobne, że ekipa obserwacyjna to jakieś prywatne biuro detektywistyczne zatrudniające emerytów z policji lub ABW. Warto by pogrzebać w tym grajdołku, może coś wyjdzie.

– Obawiam się, że Roman jest w poważnym niebezpieczeństwie – wtrąciła się Monika i wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. – Jeżeli zlecenie wyszło z Agencji lub okolic, to gra idzie o wszystko. Oni nie chcą się dowiedzieć, co robimy. Im zależy, by nas przed czymś powstrzymać. Nic tak nie pobudza wyobraźni jak tajemnice i niczego nie boimy się bardziej niż ciemności. – Urwała na moment, a kiedy zauważyła, że jej metafora zrobiła wrażenie, dodała: – I wydaje mi się, że jeżeli nas rozpracują, też będziemy zagrożeni.

Monika była artystką i myślała inaczej niż wszyscy inni. Rejestrowała otaczające ją fakty, porządkowała je według swoich zasad i tworzyła z nich abstrakcyjną, czytelną tylko dla siebie kompozycję. Świat odbierała

obrazami, które zapisywała w swojej świadomości, by następnie je z siebie wyrzucić. Nie oceniała, informowała.

Ktoś z zewnątrz mógłby sądzić, że jej teorie pochodzą ze świata Jonathana Carrolla, i z początku trudno byłoby mu w nie uwierzyć. Szybko jednak się okazywało, że Monika prawie nigdy się nie myli. Dlatego Dima nie bagatelizował jej opinii.

Siedzieli teraz za stołem, pochyleni nad kubkami z herbatą, i milczeli. Już od wczoraj czuli, że wokół nich dzieje się coś niezwykłego, ale teraz Monika uzmysłowiła im, że to poważne zagrożenie. Tym bardziej że po raz pierwszy spotkało ich to na terenie własnego kraju.

– Myślę… – zaczął Dima, ale nie dokończył, bo na stole odezwał się tablet Witka i wszyscy znów zamilkli.

Wiedzieli, co ten sygnał oznacza.

Witek przez dłuższą chwilę obserwował tablet, dotykał ekranu, na koniec podniósł wysoko brwi i spojrzał wymownie na Romana, który znacząco pokiwał głową.

– Nie do mnie należy ocena – rzucił skromnie Witek – ale Monika ma rację. Sami popatrzcie.

Wszyscy się zbliżyli do jego tabletu.

W drzwiach do lokalu konspiracyjnego zamiast wizjera zamontowana była kamerka internetowa, która rybim okiem rejestrowała każdy ruch za progiem. Witek i Ela, odpowiedzialni za obsługę lokalu, mieli bieżący podgląd. Zasięg kamerki pokrywał cały korytarz.

Na ekranie była trzynasta trzydzieści jeden. Najpierw pojawił się mężczyzna w czarnym policyjnym mundurze, z bronią. Wysiadł z windy, której drzwi zablokował jakimś przedmiotem, i szybko obszedł piętro. W uszach miał słuchawki. Zatrzymywał się przy każdych drzwiach, przykładał do nich jakieś urządzenie, przez moment nasłuchiwał i zaklejał

wizjer samoprzylepną karteczką. Na koniec podszedł do drzwi lokalu i powtórzył czynności, z wyjątkiem ostatniej. Nie zakleił wizjera.

Wyraźnie dał komuś znak ręką. Ze schodów wyłoniło się błyskawicznie jeszcze dwóch wysportowanych mężczyzn. Ubrani po cywilnemu, lecz w kominiarkach, oparli się plecami o ścianę po obu stronach i wyjęli broń.

Wszystko odbywało się szybko, bez słowa, wydawało się dobrze przemyślane. Od razu było widać, że to zawodowcy.

Policjant stanął przed drzwiami, przyłożył urządzenie nasłuchowe i nacisnął dzwonek. Powtórzył to trzykrotnie. Dał znak głową dwóm pozostałym i z kieszeni spodni wyciągnął przedmiot przypominający latarkę. Przyłożył go do górnego zamka i usłyszeli ciche mechaniczne mruczenie. Po kilkunastu sekundach powtórzył to z drugim zamkiem. Gdy skończył, mężczyźni w kominiarkach szybko zniknęli na klatce schodowej. Policjant zerwał karteczki z wizjerów i wskoczył do windy.

Na ekranie była trzynasta trzydzieści cztery. Akcja trwała minutę i dwadzieścia cztery sekundy.

– Uff… – Monika głośno wypuściła powietrze. – Forsyth czy raczej Le Carré? Na pewno profesjonaliści, i to dobrzy. – Powiodła wzrokiem po twarzach kolegów. – Czy to byli nasi? A jeśli nie, to kto? Trochę mi to wygląda na zamówioną inscenizację.

– Pojawiła się broń – odezwał się w końcu Dima, wyraźnie przybity. – Monika ma rację. Roman jest w niebezpieczeństwie. To zmienia wszystko, cały nasz plan. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby właśnie o to chodziło… żeby stworzyć stan zagrożenia tutaj i sparaliżować działania w sprawie Henryka albo po prostu sprawić, byśmy ich zaniechali. – Przerwał na moment, ale nikt nie pospieszył z komentarzem. – Trzeba rozważyć, czy Roman nie powinien powiadomić Koryckiego i formalnie oddać sprawy naszej wewnętrznej bezpiece. Kupiłem już bilet do Aten na osiemnastą, ale

w takiej sytuacji nie lecę. – Był podenerwowany, bo naprawdę zaczął się bać o bezpieczeństwo swoich współpracowników, a zarazem przyjaciół.

– A nie pomyślałeś, Dima, że może tu chodzić o coś znacznie ważniejszego niż życie majora? – włączyła się Monika. – Jeżeli ktoś chce nas odciągnąć od sprawy, to znaczy, że zależy mu na jego śmierci, więc ta śmierć musi być częścią czegoś większego. Nie sądzicie? Są ludzie w naszym otoczeniu, dla których życie człowieka jest nic niewarte, jeśli nie mogą go wykorzystać. – Spojrzała na Romana, który przysłuchiwał się jej z uwagą, ale nie zareagował. – I co to było za urządzenie… ta latarka?

– To izraelski skaner do zamków Mava 3 – odpowiedziała Ela. – Pozwala wykonać kopię każdego klucza, nawet najbardziej zaawansowanego technologicznie. Z immobilajzerem też.

Roman wciąż siedział pochylony i przez swoje niemodne okulary, które zsunęły mu się na koniec nosa, zaglądał do kubka z fusami na dnie. Często milczał, nie był pochopny w wyrażaniu swoich myśli. Cenił słowa i starał się brać za nie odpowiedzialność. Ale tym razem jego milczenie było tak wymowne, że chyba już nic nie musiał dodawać.

– Stawiacie wiele pytań – odezwał się w końcu. – Ale nie ma na nie dobrych odpowiedzi. Tak, wszystko wskazuje na to, że ktoś się nami interesuje i że prawdopodobnie jesteśmy zagrożeni. Nawet jeżeli ta inscenizacja, jak mówi Monika, miała na celu jedynie nas zastraszyć. Zakładam, że może to mieć związek ze sprawą majora Olewskiego, ale nie z jego uwolnieniem, tylko z działalnością operacyjną. Samo porwanie może być przypadkowym zdarzeniem, które w coś się wkomponowało i komuś pomogło. Albo zaszkodziło.

– To co robimy, Roman? – wcięła się Monika.

– Dima leci do Moskwy, tak jak ustaliliśmy. Nie będziemy informować szefa Koryckiego. Za mało wiemy i jestem pewien, że w takiej sytuacji

zamknie nam operację. A jeżeli źródło problemu tkwi gdzieś wewnątrz służb, co jest bardzo prawdopodobne, to sprawa zostanie zamieciona. Najpierw spróbujmy ustalić, gdzie jest zleceniodawca i czego od nas chce, a potem podejmiemy decyzję. – Roman mówił spokojnie i logicznie. – Nie zapominajcie, że mamy przewagę, bo wiemy, że ktoś nas osacza, ale on nie wie, że już się zdekonspirował. Musimy tę przewagę teraz wykorzystać i przejść do ataku.

– A co z majorem Olewskim? – weszła mu ostro w słowo Monika.

– Teraz to jest ta sama sprawa – odparł Roman. – Zaczynamy jutro od Agencji.

– Nie jestem przekonany, czy powinienem lecieć teraz do Rosji, ale może się mylę. – Dima wydawał się nieco uspokojony. – Myślę, że powinniście pobrać broń… ty, Roman, też. Nie zaszkodzi.

– Możecie pobrać, to uzasadnione, ale ja… nigdy nie strzelałem. – Leski uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia i dopiero teraz zobaczyli, jak bardzo jest zmęczony. – Dobrze… – Wyciągnął notatnik i położył go przed sobą. Zmarszczył czoło, jakby zbierał myśli. – Jutro zaczynamy… od rana.

30

Ocknął się natychmiast. Strumień zimnej wody uderzył go w twarz. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą cienie kilku osób, ale nie mógł ich rozpoznać. Zasłaniała je szara mgła. To było dziwne.

Nie wiedział, gdzie jest. Dlaczego jego głowę przeszywa palący ból. Czuł, że zaraz zwymiotuje. Słyszał jakieś nieznajome głosy, które unoszą się nad nim i gdzieś rozpływają. Powoli zaczął składać pierwsze słowa.

– Gdzie… ja… jestem? – zapytał bełkotliwie. – Co się… stało?

Wziął głęboki oddech. Zmrużył oczy i dopiero teraz do niego dotarło, że leży na ziemi, a nad nim pochylają się twarze współwięźniów.

– Co z moją głową? – Powoli uniósł dłonie i położył je na czole. – Co się stało? – powtórzył już wyraźnie.

– Wygląda na to, że cię pobili… – odezwał się Kazuo.

– Leżałeś pod akacją i przynieśliśmy cię tutaj – dodał Oliver.

Henryk podciągnął się na rękach i usiadł oparty o ścianę. Dotknął prawego policzka i zasyczał. Dopiero teraz przypomniał sobie niewyraźnie ostatni obraz, jaki zapisał mu się w pamięci. Oczy Tygrysa i jego znikającą twarz z ogromną brodą.

– Długo byłem nieprzytomny? – zapytał.

– Nie wiemy dokładnie… – odparł Jürgen i zaczął dokładniej przyglądać się twarzy Henryka – ale chyba dostałeś, Polak, kolbą w łeb… tak to wygląda…

– Tygrys cię uderzył? – zapytał wystraszony Kazuo.

– Nie jestem pewien, ale chyba tak… tak mi się wydaje… zresztą co za różnica. – Henryk wskazał ręką na stojącą opodal butelkę. – Oliver, podaj wodę.

– To moja woda. – Kazuo chwycił butelkę i poszedł na swoje miejsce.

– Tamta jest moja. – Henryk wskazał następną.

– Dlaczego Tygrys cię pobił? Co się stało? – W głosie Jürgena dźwięczał niepokój.

– Nie wiem… nie mam pojęcia…

– Nie dałeś mu powodu? – wtrącił się Oliver, odkręcając zakrętkę.

– Chyba nie…

– A o czym rozmawialiście? – ciągnął Jürgen.

– Teraz nie pamiętam – odparł Henryk. Postanowił nic im jeszcze nie mówić, przynajmniej dopóki sam nie ustali przyczyny gniewu Tygrysa.

– To normalne po takim ciosie – dorzucił Oliver. – Przypomnisz sobie wkrótce. To bardzo ważne, bo musimy wiedzieć, co i jak mamy robić, mówić i w ogóle, żeby nie dostać po głowie. – Przybliżył się do Henryka i wyszeptał: – Każdego z nas może to spotkać… albo jeszcze gorzej. Od początku wyglądał mi na zdrowo jebniętego. Najpierw codzienne miłe pogawędki, a potem odcinanie głowy tępym nożem? I to przed kamerami! To się, kurwa, kupy nie trzyma. Nie sądzicie… panowie?

– Na razie nic nie pamiętam. – Henryk wyraźnie dochodził już do siebie.

– Masz wylew w oku i puchnie ci połowa twarzy. Nie mamy lodu, więc będziesz jutro ładnie wyglądał. Dobrze, że nie wymiotujesz, więc chyba nie masz wstrząśnienia mózgu. Dotknij palcem nosa. – Wydawało się, że tylko Jürgen naprawdę przejmuje się tym, co spotkało Henryka, i próbuje mu pomóc. – To było mocne uderzenie czymś twardym. Pewnie kolbą kałacha… znam to z wojska – dodał, oglądając jego twarz z bliska. –

Jestem z tobą – wyszeptał po rosyjsku, kiedy Oliver poszedł do toalety. – Czas wziąć się do roboty.

Henryk delikatnie skinął głową.

– Co z nim robimy?

Spojrzał dyskretnie w stronę Kazuo, który od początku nie wyglądał na specjalnie przejętego tym zdarzeniem, chociaż z prawdziwym zaangażowaniem pomagał nieść Henryka. Ale kiedy ten otworzył oczy i usiadł, Japończyk odsunął się na bok. Siedział teraz okryty kocem na swojej macie, z notatnikiem w dłoni, i niemal ostentacyjnie okazywał brak zainteresowania i współczucia. Wprawdzie zerkał co chwila w ich stronę, lecz szybko wracał do pisania.

– Wygląda na to, że Oliver już dojrzał – wyszeptał Henryk. – W końcu i do niego dotarło, że Tygrys to nie jest nasz zbawca, tylko kat. – Rzucił krótkie spojrzenie w stronę Kazuo. – A co z nim?

– Obserwujemy. Potem zobaczymy… – Jürgen uśmiechnął się, dotykając dłonią gardła, a potem położył Henrykowi rękę na ramieniu. – Niech żyje niepokonana armia niemiecko-polska, a Brytole mogą iść z nami, choć nie są już w Unii.

Henryk też chciał się uśmiechnąć, ale tylko się skrzywił i złapał za policzek.

Mimo że wciąż nie wiedział, dlaczego Tygrys go uderzył, to całe zdarzenie miało dobry skutek i paradoksalnie się opłaciło. Zmusiło każdego z nich do jasnego określenia swojej sytuacji i dokonania wyboru.

Henryk najbardziej ucieszył się z jasnej deklaracji Jürgena, bo bez dwumetrowego Niemca żaden plan nie miał szans powodzenia. Jürgen nie tylko potrafił uczciwie kalkulować, jak przystało na niemieckiego inżyniera, i miał doświadczenie enerdowskiego oficera, ale też odznaczał się wzrostem i siłą niedźwiedzia.

Drugim sukcesem była deklaracja, jaką między wierszami złożył Oliver, który właśnie wrócił z toalety i położył się obok Jürgena. Henryk nie potrafił jeszcze ocenić, ile warte jest zdanie dwudziestopięcioletniego hipstera z Notting Hill, ale szok, jakiego ten najwyraźniej doznał, dawał przynajmniej nadzieję, że zrozumiał, co go czeka, jeśli się nie przyłączy.

Zachowanie Kazuo przy odrobinie dobrej woli można było odczytać jako deklarację neutralności. Stało się jednak oczywiste, że nie mogą na niego liczyć i muszą go potraktować jako potencjalnego wroga we własnych szeregach. Neutralność nie była żadnym rozwiązaniem, tylko wypowiedzeniem wojny. Jürgen, dotykając wielką dłonią gardła, dał jasno do zrozumienia, że też tak uważa, i od tej chwili ta ocena była fundamentem ich porozumienia. Henryk cały czas miał nadzieję, że Kazuo zmieni zdanie, ale ostatecznego rozwiązania, jakie zasugerował Jürgen, nie mógł już odrzucić.

W chacie zaległa cisza. Kazuo nakrył się kocem na głowę i słychać było pochrapywanie Jürgena. Oliver zgasił bladą żarówkę, która zwisała z sufitu, i sam też się położył.

Henryk nie spał. Czuł się, jakby miał w skroniach dwie małe pompki, które z potężną siłą pchały gorącą krew do mózgu. Policzek nabrzmiał i tętnił w rytm uderzeń serca, a oko zachodziło opuchlizną. Nie myślał jednak o tym.

Męczyło go pytanie: dlaczego Tygrys go uderzył i co chciał mu powiedzieć, przywołując dziwną syntezę słowa „lęk”? Jednego przynajmniej Henryk był teraz pewien. Tygrys okazał się o wiele bardziej inteligentny, niż z początku mogło się wydawać. I to nie była dobra wiadomość.

31

Boeing 737 linii Ryanair wylądował na lotnisku w Atenach o dziewiątej czterdzieści, z dziesięciominutowym opóźnieniem. Dima nie miał bagażu, więc po kilkunastu minutach był już przed terminalem.

Jak na kwiecień i tak późną godzinę było bardzo ciepło. Lotniskowy wyświetlacz wskazywał dwadzieścia dwa stopnie. Dima zdjął kurtkę i został w samej koszulce polo. Od razu skierował się na stację metra. O tej porze wszystkie ulice do centrum były zakorkowane.

Miał mieszkanie w dzielnicy Kolonaki, na ulicy Pindarou, u stóp góry Likawitos. Była to elegancko urządzona kawalerka z dużym tarasem, usytuowana na czwartym piętrze domu pamiętającego juntę „czarnych pułkowników". Mieszkało w nim kilku emerytowanych oficerów, uczestników kwietniowego puczu. Mili dziadkowie z laseczkami pod brodą, przesiadujący na pobliskim skwerku. Dima odkłaniał się im z kulturalnym obrzydzeniem.

Mieszkanie było bardzo drogie i formalnie jego właścicielem była Agencja, ale zapisane zostało na Dimę. Jego zakup pośrednio sfinansowała CIA, co było formą gratyfikacji dla polskiego wywiadu za informacje, jakie Dima zdobył w Rosji. Rozpracował kanał przerzutu broni z Kuby dla FARC i prania w rosyjskich bankach pieniędzy z narkotykowego biznesu. To nie była bezpieczna robota, więc czuł, że ma prawo do tego mieszkania, i traktował je jak swoje.

O wpół do jedenastej Dima wysiadł na stacji Sintagma, skąd miał już tylko sześćset metrów do domu. Tłoczna Kolonaki tętniła nocnym życiem kawiarenek, barów i restauracji wciśniętych między ukwiecone klomby i zielone zaułki. W ciągu dziesięciu minut, klucząc w labiryncie wąskich uliczek, przynajmniej dziesięć razy powiedział *kalo wradhi*, nim dotarł na Pindarou. W sklepiku kulawego Makisa zrobił zakupy na śniadanie i za dziesięć jedenasta był już w domu.

Najpierw poszedł do łazienki. Zanim skorzystał z toalety, przyssawką próżniową zdjął jeden kafelek ze ściany przy szafce, otworzył metalowe drzwiczki i wyciągnął zapięty w foliowej torebce pakiet. Wyjął z niego swój grecki portfel, paszport i telefon, a do środka włożył identyczny polski zestaw. Zawahał się, po czym sięgnął głębiej, wydobył metalowe pudełko po cukierkach Fisherman’s Friend i schował je do kieszeni.

Dopiero teraz mógł otworzyć okna. Po dwóch miesiącach nieobecności czuć było w mieszkaniu lekko kwaśny zaduch. Schował zakupy do pustej lodówki, podłączył telefon do ładowania i wlał sobie pół szklanki siedmiogwiazdkowej metaxy. Wcisnął przycisk na wieży i wyszedł na taras.

Stanął przy barierce, opierając się uniesioną nogą o parapet. Z mieszkania dobiegł matowy głos Tanity Tikaram:

Look my eyes are just holograms
Look your love has drawn red from my hands
From my hands you know you’ll never be
More than twist in my sobriety
More than twist in my sobriety
More than twist in my sobriety.

Pociągnął mocny łyk metaxy i niemal natychmiast poczuł rozluźnienie. Był bardzo zmęczony, właściwie wyczerpany psychicznie, i pilnie

potrzebował czegoś, co wzmocni jego motywację.

Ostatnie dwa dni pracował na najwyższych obrotach i dlatego, patrząc na Akropol, postanowił nie myśleć teraz o Romanie, Monice ani nawet o Tamarze, ani o tym wszystkim, co ma zrobić jutro. Teraz liczyła się tylko noc nad Atenami i metaxa. Wyjął z kieszeni pudełko, które otworzył kciukiem, posypał suszem bibułkę i skręcił zgrabnego jointa. Odpalił i zaciągnął się głęboko. Takie chwile traktował jako mały bonus do swojego szpiegowskiego życia.

Monika też nie myślała o tym, co ma zrobić jutro. Była tak samo zmęczona jak wszyscy.

Wykąpała się i ubrała w zielony szlafrok frotté. Zrobiła sobie herbatę w kubku, który sama kiedyś ulepiła, i rozciągnęła na stole ręcznik. Poszła do sypialni. Z małego sejfu, który miała w szafie, wyjęła glocka 19. Wróciła do kuchni i umieściła go na ręczniku. Przez chwilę zastanawiała się, czy rozłożyć go od razu, nim herbata przestygnie, czy tylko na niego popatrzeć.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz odwiedziła strzelnicę, ale pamiętała, że była tam razem z Dimą. Przegrał z nią, tak jak za każdym razem, ale wtedy bardzo wysoko. Pamiętała dobrze: było 280 do 160. Dima słabo strzelał.

Wzięła pistolet, zważyła go na dłoni i po chwili wycelowała w toster, przesunęła w lewo i skierowała muszkę na dzbanek do kawy, podniosła rękę i wymierzyła w lampę nad stołem. Miała nieodpartą ochotę w coś strzelić.

Strzelanie zawsze ją relaksowało, pozwalało się wykrzyczeć i rozładować napięcie, dawało poczucie spokoju i pewności, a czasami miłe pobudzenie. Nic nie działało na nią mocniej niż tłuczenie celu dziewięciomilimetrowymi pociskami. Wstrzymywała wtedy oddech i czuła,

jak po każdym wystrzale podnosi jej się adrenalina, by po kilkunastu sekundach wypełnić całe ciało, aż do chwili, kiedy odrzucony zamek obnaża dymiącą lufę. Potem następował miły zjazd do rzeczywistości i eteryczny spokój.

Monika nigdy się nie zastanawiała, dlaczego strzelanie tak mocno na nią działa, chociaż bardzo chciała się dowiedzieć, czy na pewno jej odczucia nie odbiegają od normy. Było to jednak zbyt intymne doznanie, by mogła zwierzyć się z niego mężczyźnie, a żadnej strzelającej kobiety nie znała. Eli nie liczyła, bo ta była jej podwładną.

Nigdy nie strzelała do człowieka i nie utożsamiała broni z zabijaniem. Chociaż podświadomość dawała jej wyraźne znaki, że strzelanie to mroczny taniec życia i śmierci, w którym wybiera ten, kto dokładniej mierzy i szybciej naciska spust. Bała się, że kiedy przyjdzie jej wybierać, może stchórzyć. Więc najbardziej bała się siebie.

Następny dzień miała już spędzić z bronią w torbie i czuła się nieswojo. Dla uspokojenia błyskawicznie rozłożyła pistolet na pięć części i ułożyła je równo w rządku. Sięgnęła po kubek, ale herbata była już zimna, więc nawet go nie uniosła. Spojrzała na zegar i dopiero teraz ze zdziwieniem zauważyła, że minęło czterdzieści minut od chwili, kiedy usiadła przy stole. Wydało jej się, że to złudzenie, pomyłka, że zegar źle chodzi – to niemożliwe, żebym zgubiła gdzieś tyle czasu – ale zimny kubek był niemym świadkiem. Uznała, że czas spać, ale nie chciała, żeby jutro nadeszło zbyt szybko.

Minęła dwudziesta trzecia. Monika położyła się do łóżka i wzięła swój telefon komórkowy.

A Dima już jest w Atenach, na Pindarou, w swoim mieszkanku z widokiem na nocne miasto – pomyślała z odrobiną zazdrości. I pewnie jak zawsze pije metaxę na tarasie.

Zamknęła oczy i zobaczyła go, jak stoi ze szklaneczką w dłoni. Poczuła, że stoi obok niego, a on ją obejmuje i razem sączą metaxę, patrząc na migające światła Aten. Uśmiechnęła się i chciała już zasnąć z tym kiczowatym marzeniem, gdy odezwał się telefon, który cały czas trzymała w dłoni.

Przyszedł kolejny esemes od Roberta. Piąty tego wieczoru.

Doleciałaś? Jesteś już na miejscu? Wszystko w porządku? Dlaczego nie odbierasz? Kochasz mnie? – odczytała wszystkie wiadomości i pomyślała, że jest niesprawiedliwa i nie powinna go tak traktować, ale też jakim trzeba być mięczakiem, żeby kochać kogoś takiego jak ja…

Powinnam chyba pójść do klasztoru, a nie do wywiadu.

Kocham Cię i wszystko w porządku. *Samochód odprowadziłeś?* – odpisała.

Mógłbym tego nie zrobić? – przyszło niemal natychmiast.

32

Była sobota, ale w Agencji panował ruch, jakby wybuchła wojna, a na siódmym piętrze nawet większy. Oficerowie Wydziału Wschodniego i Wydziału Walki z Terroryzmem stawili się prawie w komplecie, chociaż nikt od nich tego nie oczekiwał, bo nie było takiej potrzeby.

Każdy jednak chciał pomóc, więc szefowie zlecili przeglądanie spraw w poszukiwaniu zaczepek, czyli czegokolwiek, co mogłoby się przydać. Wszyscy chcieli ratować Polaka, ale prawie nikt nie wiedział, że Henryk Olewski jest też oficerem.

Od wczesnego rana kapitan Zbigniew Błaszczyk siedział w swoim pokoju na trzecim piętrze i analizował informacje dotyczące zamachu w Pir Sohawa. Światowe media, agencje i służby koncentrowały się na czterech porwanych obcokrajowcach, ale on uważał, że sens zamachu jest inny. Obcokrajowcy byli niespodzianką i dodatkowym bonusem, który dopiero teraz talibowie będą próbowali wykorzystać. Dlatego najważniejsze wydawało się ustalenie pakistańskiej listy ofiar. Błaszczyk czuł, że w tej informacji kryje się odpowiedź, kto stoi za zamachem, czyli z kim trzeba rozmawiać i jakich użyć argumentów. Problem w tym, że władze pakistańskie zwlekały z opublikowaniem listy ofiar. Napisał więc depeszę do Khana, by pilnie zdobył te dane i ustalił, skąd to opóźnienie. Wiedział też, że jeżeli rzeczywiście za zamachem stoi pakistański wywiad, to Khan nic nie ustali, ale brak informacji byłby tu czytelną odpowiedzią. Toteż

polecił rezydentowi dotrzeć do środowisk dziennikarskich i dyplomatycznych w Islamabadzie, poszperać wśród łączników, pogadać szczerze z Niemcami i Brytyjczykami. Zdawał sobie sprawę, że nie może przecież być jedynym, który doszedł do takich dosyć oczywistych wniosków, więc pilnie potrzebował potwierdzenia.

Jednak przed wysłaniem depeszy zamierzał porozmawiać najpierw z pułkownikiem Leskim, z którym umówił się na dziesiątą. Tylko jemu ufał i tylko on go rozumiał.

Pułkownik Roman Leski noc z piątku na sobotę spędził w swoim mieszkaniu na Grójeckiej.

Rano włożył do zimnej wody duże brązowe jajko, dosypał soli i odstawił na dziesięć minut, aż wyrówna temperaturę. W tym czasie zawsze brał prysznic.

Jajka odgrywały ważną rolę w porannym życiu Leskiego.

Pani Hela, właścicielka straganu w Hali Kopińskiej, odkładała jajka specjalnie dla niego wybierane. Tak się przynajmniej zarzekała. Roman oczywiście jej nie wierzył, ale wcale mu nie przeszkadzało, że przekupka kłamie. Uważał, że kłamie szczerze, nawet pięknie, ludowo, i było to nieodłącznym elementem procesu kupowania. Leski znał wszystkie rodzaje kłamstw i jak nikt znał się też na jajkach.

Kupował dwa na tydzień, każde dokładnie oglądał, sprawdzał, czy nie mają pęknięć i czy są dobrze wykształcone. Musiały być czyste, a skorupki gładkie, bez żadnych fałd czy zniekształceń. Każde brał w dwa palce i oglądał pod światło, potem potrząsał, by sprawdzić, czy jest wystarczająco twarde.

Wysiłek, jaki wkładał w kupowanie jajek, mógł się wydawać nieadekwatny wobec dwóch złotych, które za nie płacił. Ale dla niego to nie

był jakiś zwyczajny zakup. W oczach Romana jajko było początkiem samodzielnego bytu.

Nic zatem nie mogło rano zdenerwować pułkownika Leskiego bardziej niż białko wstrętnie rozbełtane w wodzie ani nic uszczęśliwić go tak jak idealnie ugotowane jasnobrązowe jajko. Dlatego trzymał je w wodzie na specjalnie zrobionym łańcuszku, tak by nie dotykało garnka, a w drugiej ręce mierzył czas radzieckim stoperem Rakieta.

Uwielbiał ten moment, kiedy nożem odcinał cieńszy koniec. Pojawiał się wtedy obłoczek pary i Leski widział, że żółtko jest złote i płynne, a białko dobrze ścięte. Miał do tego specjalny nóż i specjalną łyżeczkę. Żeby lepiej widzieć zawartość, używał czerwonego kieliszka na wysokiej nóżce, odziedziczonego po ojcu, który nauczył go gotowania jajek.

Ścięte jajko musiało być odpowiednio ciepłe, ani za zimne, ani za gorące, więc nie przelewał go zbyt mocno wodą. Z talerzyka brał palcami szczyptę soli i co drugą łyżeczkę prószył nią żółtko. Nigdy nie używał pieprzu, bo uważał to za barbarzyństwo, które zabija aromat sobotniego poranka i istotę stworzenia życia. Do jajka zjadał pszenną kajzerkę grubo posmarowaną prawdziwym masłem.

Jeśli jajko się udało – a nigdy nie gotował drugiego – Leski czuł się dobrze i mógł jechać do pracy. Ale chociaż dziś jajko ugotowało się idealnie, ten poranek nie był taki jak inne.

Roman wyszedł z domu punktualnie o dziewiątej piętnaście. Ubrany jak zawsze w prochowiec z paskiem i kapelusz. Pod lewą pachą trzymał teczkę, w której miał drugie śniadanie, komplet chusteczek jednorazowych, zapasowe skarpetki i kapcie w futerale. Jeśli tylko pogoda na to pozwalała i dobrze się czuł, chodził do pracy pieszo. Na Miłobędzką miał równo dwa kilometry i nie spiesząc się, szedł zwykle pół godziny. Tego dnia było słonecznie i ciepło.

Poprawił kapelusz i skręcił w prawo do ulicy Korotyńskiego.

Do Agencji Wywiadu dotarł w ciągu dwudziestu pięciu minut.

Trochę się zasapał i spocił. Znał swój organizm na tyle dobrze, by od początku zakładać, że tego ranka będzie zdenerwowany i z pewnością pokona drogę szybciej niż zwykle. Dlatego wyjątkowo nie włożył podkoszulka. Zmartwił się jednak, że trochę zapocił kapelusz, więc zdjął go natychmiast, kiedy tylko minął bramę Agencji.

Chwilę potem dostał pojedynczą „strzałkę”, czyli jeden dzwonek telefonu, więc nie musiał go nawet wyjmować z kieszeni. To była dobra wiadomość. Oznaczała, że dziś nie miał za sobą obserwacji.

Witek, Ela i Monika prowadzili Leskiego od wyjścia z domu tak, żeby nie musiał się sprawdzać. Trasę przejścia na Miłobędzką mieli tak dopracowaną, że byli w stanie wykryć każdą obserwację. Od początku zakładali, że rano nic nie będzie się działo, ale nie mogli wykluczyć, że zleceniodawca zechce ustalić, czy Leski sprawdza się w tak oczywistej i nic nieznaczącej sytuacji. Oznaczałoby to, że się zorientował, co się wokół niego dzieje, a to byłaby bardzo ważna informacja.

Znacznie ważniejsza była jednak druga część dnia. Leski miał powtórzyć trasę z Agencji do lokalu konspiracyjnego na alei Wyzwolenia, dokładnie tak, jak to zrobił dwa dni wcześniej.

Była za piętnaście dziesiąta, kiedy wszedł do swojego pokoju. Najpierw sprawdził telefony. Nie było żadnych nieodebranych połączeń.

Odstawił teczkę, włączył wodę na herbatę i otworzył okno. Położył w słońcu kapelusz, po czym zdjął prochowiec. Nie minęła minuta, kiedy na biurku zadzwonił telefon i zapaliła się lampka przy nazwisku – szef Walewski.

Ciekawe – pomyślał Roman.

– Teraz wszystko będzie ciekawe – powiedział na głos z wyraźną ironią.

W tym czasie w Atenach Dima też był już po śniadaniu, siedział na tarasie i rezerwował sobie lot do Moskwy. Z samego rana wziął dwie tabletki od bólu głowy, bo wieczorem przesadził z metaxą. Za chwilę miała przyjechać Tamara.

33

Minęła jedenasta. Leski i Błaszczyk skończyli właśnie rozmowę. Koncepcja, którą przedstawił naczelnik, miała sens, więc Leski poparł pomysł, by Braun dokładniej zbadał teren w Islamabadzie.

Ale Błaszczyk nie postawił ważniejszego pytania: kto zainspirował ISI? Nie mógł go postawić, bo nie wiedział, co się stało w środę i czwartek na alei Wyzwolenia 13. Było oczywiste, że wywiad pakistański nie mógł być zleceniodawcą, bo nie miał ku temu powodu.

Leski wrócił do swojego biura, sprawdził, czy kapelusz już wysechł, przewrócił go na drugą stronę i zaległ w fotelu przy otwartym oknie. Przez chwilę obserwował stado ptaków krążące nad szpitalem MSW i mimowolnie pomyślał, że ktoś pewnie umarł.

– Jak muchy nad trupem – wyszeptał.

Leski nienawidził szpitali i kiedy tylko mógł, leczył się sam. Nawet świadomość, że budynek Agencji został wybudowany jako hotel dla pielęgniarek, była dla niego odpychająca. Na ścianie miał powieszoną maksymę: „Co różni Boga od lekarza? Bóg nie uważa się za lekarza”.

Spotkanie z Błaszczykiem było ważne. Leski po raz drugi się upewnił, że młody kapitan jest jedyną osobą, która wnosi do sprawy coś, co ma jakąś wartość. I chociaż Błaszczyk nie odkrywał niczego nowego, to jednak jego teorie spiskowe działały na Leskiego inspirująco, a niczego nie potrzebował teraz bardziej niż błysku, który go oświeci.

Wyjął z szuflady swój żółty kołonotatnik i położył go przed sobą. Przysunął bliżej kubek z kolorowymi ołówkami. Brakowało tylko herbaty.

Wstał i jeszcze raz włączył czajnik elektryczny, do którego dolał wody z butelki. Do metalowego kubka wsypał trzy łyżeczki herbaty ulung i czekał, aż zagotuje się woda. Zawsze tak robił. Lubił szum czajnika i gotującej się wody. Zalał kubek i przez szmatkę chwycił go za ucho. Postawił na podstawce tuż obok pudełka z kredkami. Wziął czarną kredkę, napisał u góry drukowanymi literami: SCHEMAT ZDRADY? – i podkreślił dwiema liniami. Zjechał na środek kartki i narysował prostokąt, w który wpisał: *Henryk Olewski*.

Następnie wybrał niebieską kredkę i napisał u góry po lewej stronie:

1. Filip Korycki
2. Michał Walewski
3. Marek Hurman
4. Zenon Pański
5. Wiktor Braun + 1
6. Zbigniew Błaszczyk
7. Roman Leski
8. Kapitan Nemo

Wykaz Osób Znających Sprawę – pomyślał i jakby z uznaniem pokręcił głową. Odłożył z powrotem do pudełka niebieską kredkę i wziął zieloną. Po prawej stronie zapisał w słupku:

1. Warszawa
2. Islamabad
3. Londyn
4. Berlin

5. Waszyngton
6. Moskwa
7. Tel Awiw
8. Atlantyda

Teraz sięgnął po czerwoną kredkę. Przez chwilę przyglądał się tej dziwnej konstrukcji graficznej, po czym każdy numer po obu stronach kartki otoczył narysowanym precyzyjnie kółeczkiem.

– Życie majora Henryka Olewskiego jest stawką w kartach dziewięciu graczy przy ośmiu stolikach – wymruczał cicho. – Czyli siedemdziesiąt dwie kombinacje. Teraz trzeba to wszystko dokładnie rozrysować, połączyć, skleić i podzielić… i może… może coś z tego wyjdzie… – wciąż mruczał, z głośnym siorbnięciem pociągając herbatę.

Zdjął okulary i zaczął rozmasowywać sobie nos, gdy na biurku zadzwonił telefon.

– Szef zaprasza do siebie – odezwała się sekretarka.

– Czy spotkanie nie miało być o pierwszej? – zapytał niepewnie.

– Szef przyspieszył.

– No to idę.

Zamknął okno. Przeniósł kapelusz na wieszak, wziął swoją teczkę i wyszedł, włączając za sobą alarm. Tak dobrze chroniony pokój miał w Agencji tylko pułkownik Roman Leski.

Zjechał windą na parter, stamtąd wąskim korytarzem przeszedł do drugiej windy, którą udał się na siódme piętro. Po drodze nikogo nie spotkał.

Wokół stołu konferencyjnego w gabinecie szefa siedziały już cztery osoby: Filip Korycki, jego obaj zastępcy Walewski i Hurman oraz Pański. Leski dosiadł się na końcu stołu. Od razu zauważył, że został zaproszony jako ostatni, bo filiżanki były już prawie puste. Pański był bez marynarki,

a Walewski miał rozluźniony krawat. Leski uznał, że szef coś przed nim ukrywa lub któryś z obecnych ma na niego większy wpływ w tej sprawie niż on. Jednak trudno mu było w to uwierzyć. Z ostateczną oceną postanowił więc zaczekać do końca spotkania. Inaczej będzie musiał pociągnąć na schemacie kilka linii czerwoną kredką. Ale to ostentacyjnie późne zaproszenie Leskiego do zespołu kryzysowego powinno też uśpić czujność siedzącego przy stole wroga i zachęcić go do działania. Utwierdzić w przekonaniu, że postępuje jak należy, a szef dystansuje się od Sekcji i tak naprawdę jej nie ufa.

Leski był już pewny, że po wyjściu z Agencji będzie miał obserwację.

Są dwa rodzaje szpiegów, uważał. Tacy, którym wydaje się, że są najlepsi, i tacy, którzy myślą, że im się uda. Jedni i drudzy się mylą, bo obu gubi to samo – arogancja. Popatrzył na twarze ludzi pewnych siebie, przekonanych o własnej doskonałości i nieomylności. Nienawidził zdrajców i świadomość, że jednym z nich może być ukryty wśród sprawiedliwych mistrz mimikry, nakazywała mu nikomu w tym gmachu nie ufać. Nigdy.

Ufał tylko Dimie i Monice. I ich cieniom – Witkowi i Eli.

– Zenek… – usłyszał niski głos szefa – opowiedz, jaka jest sytuacja w komisji Grobelnego, co zrobili w MSZ.

– Co zrobili? – zapytał z ironią Pański. – Pracują w tej komisji jak pszczoły na pustyni, ruch jak w ulu, tylko miodu nie ma, i na tej pięknej metaforze mógłbym zakończyć. Z naszego punktu widzenia nie zdarzyło się nic ważnego dla sprawy. Nieważnego zresztą też. Na konferencjach prasowych jak zwykle mówią więcej, niż wiedzą, a media łykają ślepe wątki. Ale do czasu…

– Były już pierwsze telefony od dziennikarzy – wtrącił Walewski. – Pytają, czy to prawda, że Olewski pracował dla polskiego wywiadu.

Zaprzeczamy. Robi się jednak gorąco, bo zaczęli badać jego ślady w Moskwie.

– Razem z Grobelnym mamy być o czternastej u premiera – odezwał się Korycki. – I co mam mu powiedzieć? Żadnych konkretów? Grobelny z pewnością przedstawi kilometrową listę pytań, na które sam odpowie i skutecznie zakręci Boleckim… A my? Co u partnerów? – Spojrzał na Walewskiego.

– To samo. – Pułkownik wzruszył ramionami. – CIA obiecuje pomoc, swoje wpływy w Islamabadzie, kontakty w ISI, ale jak dotąd nic. Nie sprawiają wrażenia, by byli rzeczywiście zaangażowani w naszą sprawę. Czytaliście depeszę Khana z rozmowy z Sinsterem w Islamabadzie… – Popatrzył po zebranych. – Nie pozostawia złudzeń. Otwarte jest pytanie, czy nie byłoby celowe poinformować jankesów, że Olewski to nasz oficer. Niemcy i Brytyjczycy twierdzą, że w sferze dyplomatycznej intensywnie współpracują z naszym MSZ, ale uważają, że operacyjnie każdy powinien działać w tej sprawie sam…

– Jak zwykle! – odezwał się po raz pierwszy Hurman. – Wiedzą, że wszystkich nie da się wyciągnąć, więc liczą, że utargują przynajmniej swojego. Podobno Japończycy są najbliżsi sukcesu. Tak mi powiedział zastępca szefa BND, ale ambasada japońska tego nie potwierdza.

– Jeśli utargują swojego kosztem pozostałych, to postawią nas pod ścianą. W ISI mogą tak kalkulować – stwierdził Pański. – Nie mamy argumentów przetargowych i jak wypuszczą pozostałych, to opozycja i media zjedzą rząd, a CBOS pozmywa.

– Możliwe, że ujawnienie Olewskiego przed Amerykanami mogłoby coś pomóc, ale premier kategorycznie to wyklucza… – Korycki skomentował słowa Walewskiego. – A poza tym mamy problem ze sprawą „Mocarz”. Wolę nie myśleć, jak zareagowałoby dzisiaj Langley, gdyby się o niej

dowiedziało. – Zmarszczył czoło w geście zakłopotania. – Tak czy inaczej, premier Bolecki nie godzi się na ujawnienie aktywów polskiego wywiadu w Pakistanie i problem mamy rozwiązany. Najbardziej się obawiam, że w końcu zapyta, co dokładnie Korycki robił w Islamabadzie. I wtedy będę musiał mu powiedzieć o Mocarzu.

Pułkownik Leski nie odzywał się, a wszyscy się zachowywali, jakby był powietrzem. W rzeczywistości uwierał ich jak cierń, bo nikt nie wiedział, jaka właściwie jest jego rola, więc podejrzenia pączkowały. Nie miał żadnych zadań i nic nie komentował, nawet nie robił notatek. Szef Korycki o nic go nie pytał, jakby sam nie był pewien, co on tutaj robi.

A Leski uważał, że teraz może jedynie prowokować – to powinno dać najlepszy efekt – więc starał się wypaść tajemniczo i wiarygodnie. Taki miał plan.

Przysłuchiwał się rozmowie i powoli dochodził do wniosku, że nikomu przy tym stole nie zależy na uratowaniu majora Olewskiego. Robią wszystko, by odsunąć od siebie odpowiedzialność, a właściwie stworzyć iluzję, że wywiad walczy. Ta sprawa była dla nich ciężarem. Mieli więc wspólne alibi, które Leski musiał rozszyfrować. Ale tylko jeden z nich był zdrajcą.

– Co o tym myślisz, Roman? – Głos Koryckiego dochodził jakby zza ściany i nagle Leski zobaczył, że wpatrują się w niego trzy pary oczu. Tylko Hurman nerwowo szukał czegoś w kieszeniach.

– Hm… – zamruczał Leski. – Bo ja wiem… – Uśmiechnął się ni to ironicznie, ni to sarkastycznie.

– Dobrze – rzucił Korycki. – Zostań po naradzie – dodał, a Roman na to właśnie liczył. – Mamy jeszcze coś, co może… może… mieć związek ze sprawą Olewskiego. Michał… – zwrócił się do Walewskiego – wrzuć temat.

– Mamy takie źródło… Adam Fint, kryptonim „Lolo”, czterdziestolatek z dobrego domu, z pretensjami, dziwkarz i pijak… no, może trochę przesadzam. Wyjątkowo nieciekawa postać, ale użyteczna. To on pośredniczył w nawiązaniu kontaktu z Mocarzem w Moskwie. Pracował razem z Olewskim w jednej firmie, a jego dziewczyną była Olga Wiazina, siostrzenica Mocarza. Od niego wszystko się zaczęło. Po przeniesieniu Olewskiego do Islamabadu spowodowaliśmy przeniesienie Lola do Kapsztadu. Pomogli nam w tym przyjaciele z MI6. Nawet się nie zorientował, w czym rzecz. No i… w poniedziałek zniknął i wszelki ślad po nim zaginął. Gdzieś za miastem znaleziono jego spalony samochód. Co wy na to?

Zapadło milczenie, jakby wszyscy rozważali, czy ta historia cokolwiek znaczy dla sprawy. Pański popatrzył na Hurmana, Hurman na Walewskiego, a ten na Koryckiego. Nikt nie spojrzał na Leskiego.

– Nikogo nie mamy w RPA, więc… – Pański pokręcił głową.

– Mamy czas zajmować się tym teraz? – zapytał zaniepokojony Hurman.

– Znam sprawę Lola i jego osobiście – dodał Pański. – To typek podejrzany i pewnie w coś wdepnął. W Moskwie też miał jakieś problemy z narkotykami…

– No właśnie – dołączył się Walewski. – Trzeba dać sprawę na wydział, niech to sprawdzą, najlepiej przez MSZ, w końcu to nasz obywatel…

– Dobrze, ale bez przesady. Mamy co robić… Dziękuję. – Szef podniósł się na znak, że spotkanie zakończone. – A ty, Roman, zostań jeszcze chwilkę.

33

Dima stał na tarasie i widział, jak pod dom podjeżdża żółta taksówka. Wysiadła z niej Tamara, a zaraz za nią wyskoczyła kilkunastoletnia dziewczynka z długim czarnym warkoczem. Miały ze sobą tylko jedną walizeczkę na kółkach.

Tamara spojrzała do góry, jakby czuła, że Dima ją obserwuje, i pomachała mu ręką. Odpowiedział skromniej, po męsku, podniesioną dłonią.

Otworzył im bramę domofonem i po dwóch minutach Tamara z córką stanęły w drzwiach.

– Cześć, Ajelet! – powiedział po angielsku Dima i rozłożył ramiona.

Dziewczynka rzuciła mu się na szyję.

– Cześć, wujku! – zawołała z radością.

– Ale urosłaś! – rzucił z emfazą, kiedy postawił ją na ziemi. – Jaka piękna będzie z ciebie kobieta!

Objął Tamarę.

– Schudłeś, braciszku. – Poklepała go po policzku. – Masz kłopoty? – Spojrzała posępnie.

– Nieustannie.

– Pytam o te ważne. Osobiste. To jakaś ona?

– Jest i ona, ale nie sprawia mi kłopotów. Zresztą to już chyba długo nie potrwa… Nieważne… Głodne? Zrobić wam coś do jedzenia? – zmienił

temat, kiedy weszli do salonu.

– Ajelet, rozpakuj walizkę! – Tamara przywołała córkę, która wyszła na taras. – Jadłyśmy przed wylotem, ale daj coś do picia. Aaaa… teraz pamiętam… Katarzyna, tak?

– Tak… ale… – Dima machnął ręką i poszedł do kuchni. – Co u ciebie, siostrzyczko?

O tym, że Dimitrios ma krewną, nikt nie wiedział. Ani Monika, ani nawet Roman, który sądził, że wie o nim wszystko. To była najważniejsza tajemnica Dimy.

On zresztą też nie wiedział, że ma rodzinę, aż do pewnego letniego wieczoru w Moskwie w dwutysięcznym roku, kiedy spotkał przed swoim domem na Tagance niewysokiego starszego pana z cienkim siwym wąsikiem, w marynarce z bordową poszetką.

Kiedy nieznajomy podszedł do niego z wyciągniętą ręką, Dima już wiedział, kto to, i poczuł, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz.

To samo spojrzenie, te same ruchy, uśmiech… Znał tę twarz. Wstrzymał oddech, bo świat nagle zawirował mu w oczach, i postanowił nie czekać, aż mężczyzna się przedstawi.

– Rafael… Rafael… Behomoiras? – wysylabizował przez zaciśnięte gardło, a tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Teraz… Uri Kohen. Tak, Dimitrios, to ja, twój wujek… Rafael. Chyba nie potrzebujesz sprawdzać w…

– Nie – odparł Dima. – Niech pan… zapraszam do siebie… – Wyraźnie zakłopotany i zaskoczony, wskazał ręką na dom. – Na kawę? Wodę? Coś innego…

– Chyba lepiej whisky – rzucił krótko Rafael. – Musimy porozmawiać, ale nie w twoim domu… może tam? – Spojrzał na pomarańczowy neon restauracji Raduga po drugiej stronie ulicy.

Przeszli w milczeniu kilkadziesiąt metrów.

W lokalu prawie nikogo nie było. Tylko kobieta przy barze i mężczyzna spożywający posiłek. Barman pomachał do Dimy, a on odpowiedział mu gestem, który tamten zrozumiał i potwierdził skinieniem głowy.

Usiedli naprzeciw siebie przy stoliku w rogu sali. Dima był bardzo zdenerwowany, zaciskał dłonie i sprawiał wrażenie kompletnie rozkojarzonego. Rafael przyglądał mu się z lekkim uśmiechem i gdyby nie wąsik zdobiący jego twarz, Dima mógłby powiedzieć, że siedzi przed nim Rosa. Opanował się jednak na tyle, że w końcu zaczął patrzeć Rafaelowi prosto w oczy.

Dopiero gdy kelner przyniósł dwie szklaneczki whisky i orzeszki, Dima zaczął niepewnie:

– Mama… jacy wy jesteście do siebie… od razu wiedziałem. Jak to możliwe? Dziadek i mama mówili, że zginąłeś w Grecji… szukaliśmy pana… ciebie. Jak mnie znalazłeś?

– Pomógł przypadek, ale szukałem was od dawna. Wiesz, kim jesteś, Dima? – Tego prostego pytania nikt mu wcześniej nie zadał. – Tak się do ciebie zwracać?

– Wiem… Tak… tak… Dima.

– Przyleciałem tu z Tel Awiwu… i mam tyle do opowiedzenia. – Rafael podniósł ostrożnie szklankę i pociągnął maleńki łyk whisky. – Zacznijmy od początku. Nie zginąłem w sierpniu czterdziestego dziewiątego. Byłem ciężko ranny i dostałem się do niewoli, chociaż większość rannych dobijali. Kiedy wyzdrowiałem, dowiedziałem się, że oddział Jordanisa został rozbity, a reszta partyzantów zginęła albo wycofała się za granicę. W Grecji rozpoczęły się represje, a ja nie miałem dokąd iść i nie miałem wówczas żadnych możliwości, żeby szukać Rosy i Jordanisa. Ślad po nich zaginął. Docierały też do mnie informacje, że wszyscy zginęli. Wróciłem do

Salonik, bo myślałem, że odnajdę kogoś w Baron Hirsch, ale nikogo tam nie zastałem. To był czas, kiedy musiałem uciekać z Grecji. W Salonikach spotkałem ludzi, którzy wyjeżdżali do nowo powstałego Izraela i wraz z nimi w pięćdziesiątym roku przybyłem statkiem do Jafy. Miałem czternaście lat i od razu trafiłem do kibucu En Gew nad Jeziorem Galilejskim. Przyjąłem imię i nazwisko Uri Kohen. Gdy miałem osiemnaście lat, wstąpiłem do wojska i ukończyłem szkołę oficerską. W pięćdziesiątym siódmym, po kryzysie sueskim, wstąpiłem do Ha-Mosad le-Modi'in we-le-Tafkidim Mejuchadim. – Ostatnie słowa powiedział po hebrajsku. – Wiesz, co to jest?

– Mosad – odparł zdecydowanie Dima. Nagle dotarło do niego, w jaki sposób Rafael go odnalazł, i zrozumiał, że został zdekonspirowany, ale ku swojemu zaskoczeniu nie poczuł się zagrożony.

– Mam sześćdziesiąt cztery lata, tyle samo, ile miałaby dzisiaj Rosa, i w przyszłym tygodniu przechodzę na emeryturę. Mam też zaawansowanego raka prostaty. Już nic nie da się z nim zrobić i czas biegnie mi bardzo szybko. Moja żona Hela, też sierota wojenna z Polski, zmarła kilkanaście lat temu. Mam córkę Tamarę… – Rafael uśmiechnął się pogodnie, mówił krótkimi zdaniami, wyraźnie i logicznie – która urodziła się w październiku sześćdziesiątego piątego roku. Jest starsza od ciebie o pięć miesięcy. Zadziwiające, prawda? Przypadek… zbieg okoliczności… wola Boga? Jesteście prawie bliźniakami.

Dima pokręcił głową, bo miał wrażenie, że to nie może być prawda, i gdyby nie oczy Rafaela, pomyślałby, że to najdoskonalsza prowokacja, jaką kiedykolwiek wymyślono, ale tego spojrzenia nikt nie mógłby podrobić.

– Tamara też pracuje w Mosadzie – dodał Rafael.

– Jak mnie odnalazłeś? – Dima ściskał szklaneczkę dłońmi, jakby chciał szybciej rozpuścić lód. Uniósł ją lekko do góry, ale nie pił. – Skąd znałeś adres mojego mieszkania? Wynajmuję je, nie jest na mnie.

Poczuł się już pewniej i zaczął zadawać pytania. Nie był w stanie zweryfikować tej historii i Rafael mógł opowiadać, co chciał, a fakty z życia jego i matki były do ustalenia. Chociażby za pośrednictwem Józefa, który w czasach komuny miał kontakty z GRU.

To uderzające podobieństwo do Rosy mogło być przecież projekcją podświadomości, tęsknoty za kimś najbliższym, traumy, która po latach szuka ujścia. Dima gorączkowo próbował znaleźć wytłumaczenie czegoś, w co trudno było uwierzyć. Mimo że wszystko wyglądało naturalnie i logicznie, jego szpiegowski instynkt nakazywał mu ostrożność.

Był w Rosji, a tu wszystko wydawało się możliwe.

Czekał na tę chwilę, w której Rafael się zdekonspiruje i okaże się, że jest pułkownikiem GRU, SWR albo jakiejkolwiek innej służby wywiadowczej i przychodzi go zdemaskować i przewerbować. A może to jest werbunek pod obcą flagą?

Co za absurd! – pomyślał Dima zaskoczony własnym naiwnym odkryciem. Przecież mówi, że jest z Mosadu.

– Gdzie i kiedy zostałeś ranny w Grecji? – zapytał Dima, bo to akurat wiedział bardzo dobrze. Był w tym miejscu wiele lat temu z Rosą i Jordanisem, gdy szukali śladów Rafaela.

– Dwudziestego piątego sierpnia czterdziestego dziewiątego w bitwie o Grammos – odparł Rafael bez wahania. – A Jordanis Lazopulos sam strzygł swoich partyzantów – dodał. – Chcesz się upewnić? Dobrze, bardzo dobrze. Nie obawiaj się, nie przyszedłem w złych zamiarach i naprawdę jestem Rafael Behomoiras, syn Pepo i Miriam z Koenów, brat małej Flory. Wszyscy oni zginęli w Auschwitz.

Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, że Dima nie potrzebował już żadnego dodatkowego potwierdzenia i nawet poczuł się, jakby swoją podejrzliwością i próżnością zranił pamięć o rodzinie.

Sięgnął po whisky, nabrał łyk do ust, ale nie mógł go przełknąć.

– Mam mówić dalej? – zapytał Rafael, patrząc na siostrzeńca, który najwyraźniej się pogubił.

– Tak… – odparł Dima przez zaciśnięte gardło.

– Jak cię odnalazłem? Właściwie to dzieło Tamary. – Rafael położył dłoń na dłoni Dimy. – Szukałem Rosy przez wiele lat, ale pracowałem w Mosadzie i nie mogłem wykorzystywać służby do rozwiązywania swoich prywatnych spraw. Wybacz, ale nie będę ci tego tłumaczył. Od jakiegoś czasu prowadzimy tutaj działania wobec irackiego Muchabaratu i Al-Kaidy… takie tam stare sprawy wiążące rosyjski wywiad z Bliskim Wschodem… Wiesz, o co chodzi, prawda?

Dima delikatnie skinął głową. Zaczął się już domyślać, do czego wuj zmierza.

– Mówiąc wprost – kontynuował Rafael – rok temu ustaliliśmy, że ty też w tym siedzisz, i jak pogrzebaliśmy głębiej, okazało się, że właściwie nie jesteś obywatelem Peru i masz podrobione papiery. Wkrótce wyszło na jaw, że twoja matka ma na imię Rosa i po drugim mężu nosi nazwisko Calderón, a rzekomo panieńskie Hofmann w rzeczywistości przejęła po pierwszym mężu, polskim wojskowym. Łatwo więc już doszliśmy, że prawdziwe nazwisko panieńskie Rosy brzmiało Lazopulos, i właściwie na tym byśmy się zatrzymali, bo ta informacja już wiele nie wnosiła, gdyby nie to, że sprawą zajmowała się moja córka Tamara i zainteresował nas młody Dimitrios w Moskwie. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie spróbować cię zwerbować. Jednak kiedy mi o tym powiedziała, od razu skojarzyłem imię Rosa z nazwiskiem naszego dowódcy Lazopulosa, a gdy jeszcze

zobaczyłem jej zdjęcie, byłem już pewny, że to moja zaginiona siostra Rosa Behomoiras. Tak cię odnaleźliśmy – zakończył Rafael z pogodnym uśmiechem, nie zdejmując swojej delikatnej dłoni z dłoni siostrzeńca.

Dima czuł się, jakby ktoś wyczyścił mu pamięć. Nie mógł się odezwać ani przełknąć alkoholu. Miał wrażenie, że jest jak dziecko zagubione w ciemnym lesie, przerażone i samotne. Wszystko się zgadzało i to było najbardziej przerażające.

Zastanawiał się, co ma teraz zrobić, co powiedzieć. Wstać i wyjść czy rzucić się na szyję nowo odnalezionemu wujowi? Nie wiedział, czy jest szczęśliwy, czy zrozpaczony, ale wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Rafael był zbyt doświadczonym oficerem izraelskiego wywiadu, by nie zdawać sobie sprawy, w jakiej sytuacji postawił Dimę i co się teraz dzieje w jego głowie, więc pozwolił mu zwyczajnie milczeć. Sam w takiej sytuacji też by nie wiedział, jak się zachować. Dlatego nieco reżyserował tę rozmowę, by ułatwić siostrzeńcowi spotkanie z przeznaczeniem.

Dotychczasowe życie trzydziestopięcioletniego Dimy było luźnym zbiorem zdarzeń, nieraz sprzecznych ze sobą, dramatycznych i absurdalnych. Rafael o tym wiedział, więc musiał działać delikatnie, by nie zburzyć mu świata wartości, który jego krewny z takim trudem zbudował.

Delikatnie zanurzył usta w whisky, zostawiając wilgotny ślad na wąsach, i spojrzał Dimie w oczy, ale bez tego delikatnego uśmiechu, który prawie nie schodził mu z twarzy. Był to wzrok przepełniony miłością, troską o los najbliższego człowieka. Dima poczuł się dziwnie. Tak patrzyła na niego tylko matka.

– Rozumiem… wiem, że masz mnóstwo wątpliwości – zaczął Rafael. – Stopniowo dowiesz się wszystkiego, potrzebujemy tylko więcej czasu. Ale na jedno pytanie mogę… a nawet muszę ci odpowiedzieć już teraz. Mimo

że jestem wysokim oficerem Mosadu, to tutaj przebywam wyłącznie jako Rafael Behomoiras, nawet nie Uri Kohen. Swojej siostry, a twojej mamy, nie zdążyłem odnaleźć, zanim umarła, i nigdy sobie tego nie daruję… – Zamyślił się na chwilę. – Ale los zostawił mi ciebie. Jesteś przecież nią… więc jesteś też mną… jesteśmy tym samym życiem… końcem historii rodu Behomoiras… i spoczywa na nas wielka odpowiedzialność. Musimy zadbać, by pamięć o naszych przodkach nie zginęła. – Zamilkł i uciekł wzrokiem gdzieś w bok, jakby się wstydził łez, a po chwili spojrzał Dimie w oczy. – Dlatego musimy być razem, chronić się wzajemnie, dbać o siebie. To nie ckliwy truizm. Nie zostało mi wiele czasu, więc muszę się spieszyć, by przynamniej spróbować ocalić to, co zostało. – Wziął kilka głębokich oddechów, po czym ciągnął już tonem człowieka pewnego siebie: – Z naszych materiałów w Mosadzie Tamara i ja wyczyściliśmy wszystko, co dotyczyło ciebie i Rosy, a czego się nie dało zniszczyć, odpowiednio zakryliśmy. Nigdy nie wiadomo, kto może się do tego dobrać, ale póki jestem w służbie, mogę dopilnować sprawy. Potem musi zadziałać system. Wiem, że rozumiesz, o czym mówię. – Uśmiechnął się i wyraźnie czekał na reakcję rozmówcy.

– Oczywiście, że rozumiem – odpowiedział Dima bez wahania. – Doskonale.

– Skąd wiem, że jesteś oficerem? – niespodziewanie zapytał Rafael. – Przede wszystkim stąd, że nie zadajesz głupich i niepotrzebnych pytań. Kiedy zorientowaliśmy się, kim jesteś, Tamara wyciszyła twoje rozpracowanie, a dokumenty zniszczyła. Dlatego nie wiemy, czy jesteś oficerem polskiego wywiadu, czy nie, i właściwie jest to sprawa trzeciorzędna, a z polskim wywiadem mamy bardzo dobre relacje, byłem w Warszawie wielokrotnie. Nie interesuje mnie to, co robisz, bo musisz być lojalny wobec ojczyzny, tak jak ja jestem wobec swojej, a tylko na gruncie

uczciwości i wierności zasadom możemy stworzyć rodzinę. Ważne jest wyłącznie twoje bezpieczeństwo, twoje życie, a mamy taki zawód, że musimy o nie dbać bardziej niż inni. Jesteś ostatnim mężczyzną z rodu Behomoiras. – Uśmiechnął się nieco ironicznie, może z sarkazmem, i zaraz spoważniał. – Powinieneś wyjechać z Moskwy. Już nie jesteś tu bezpieczny… Wiem o tym, bo pomogłem trochę zatrzeć twoje ślady w Peru i Kolumbii, ale z czasem Rosjanie mogą to ustalić. Wycofując się dobrowolnie, zachowasz wiarygodność, kontakty, a przede wszystkim życie, więc spróbuj mądrze wygasić swoją działalność tutaj, a jeszcze długo przydasz się ojczyźnie… Polsce. – Pokiwał głową i podniósł się od stolika, jakby chciał dać do zrozumienia, że postanowił zakończyć spotkanie. – Poczekaj chwilę – rzucił.

W pierwszej chwili Dima pomyślał, że idzie do toalety, ale Rafael podszedł do baru, otoczył ramieniem siedzącą przy nim kobietę i szepnął jej coś na ucho, a wtedy ona zsunęła się z barowego stołka, wzięła swój kieliszek z czerwonym winem i razem z Rafaelem ruszyła w stronę Dimy. Sympatyczna zgrabna blondynka średniego wzrostu, z włosami przyciętymi równo do ramion, w dżinsach i czerwonej koszulce polo.

Stanęła przed nim i przez moment przyglądała mu się uważnie, jakby chciała sprawdzić, czy ma do czynienia z właściwą osobą, po czym odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się, pokazując biel zębów, która pięknie kontrastowała z opalenizną na twarzy.

– Witaj, braciszku! Jestem Tamara, twoja siostra – oznajmiła twardo, po męsku i rzuciła mu się na szyję.

Objął ją mocno. To była Rosa. Nie mógł się mylić.

34

Prośba Koryckiego, wypowiedziana w obecności trzech najmocniejszych ludzi w Agencji, jedynie na pozór była nic nieznaczącym epizodem. Leskiemu nie pozostało nic innego, jak tylko sprowokować zdrajcę do ruchów, które mogą go zdekonspirować. Nie miał żadnego przemyślanego planu, ale gdy szef go poprosił, by po naradzie nie opuszczał gabinetu, znalazł punkt zaczepienia. Musiał zatem zrobić wszystko, by wykorzystać go do maksimum.

W jego Schemacie Zdrady pod numerem jeden figurował Filip Korycki. Leski nie odpuszczał nikomu, bo wiedział, że w sprzyjających warunkach każdy może zdradzić. Zaocznie, nieświadomie, głupio lub mądrze, z poczuciem winy albo satysfakcji, za pieniądze bądź dla idei. Zdrada jest jak plemnik, sama nic nie znaczy, ale w odpowiednim środowisku i okolicznościach może być początkiem nowego życia, uważał.

Szefa Agencji też to dotyczyło, więc chociaż założenie wydawało się surrealistyczne, traktował Koryckiego jak potencjalnego zdrajcę.

– Coś ustaliłeś? – zapytał szef. – Masz jakieś tropy, pomysły?

Leski pokręcił głową.

– Zupełnie nic? A twoi ludzie?

– Na razie nic. Pracujemy nad tym cały czas – odparł Leski beznamiętnie. – Zbieramy i porządkujemy wszystkie informacje. Spotkałem się dzisiaj z naczelnikiem Błaszczykiem. Twierdzi, że odkrył bardzo

ciekawy trop, ale nie chce jeszcze powiedzieć, co to jest, więc czekamy. Osobiście wątpię, by był w stanie wyczytać z notatek informacyjnych coś ważnego dla sprawy.

– No dobrze… – Korycki nieco się obruszył. – Ale co wy… Nic? Pokładam w twoim zespole największe nadzieje… Właściwie jesteście moją jedyną nadzieją. Potrzebujesz czegoś?

Roman zamyślił się przez moment, zdjął okulary i wziął do ust zausznik.

– Mam nadzieję, że w ciągu tygodnia będę miał już jakieś informacje… i może propozycje.

– Oby… byle tylko talibowie nie wystąpili szybciej z żądaniami. Bolecki to zupełna katastrofa. Myślałem, że jest bardziej odpowiedzialny i odważny. O Grobelnym nawet nie wspomnę… – Zniechęcony pokręcił głową. – Pomyliłem się i teraz żałuję, że przyjąłem jego propozycję. Jeśli chciałem być szefem wywiadu, powinienem to dostrzec. – Korycki zdobył się na szczerość, jakiej Roman nigdy u niego nie słyszał. – Zdradzę ci… wiem, że jesteś bardziej szczelny niż ktokolwiek w tym kraju… że po zakończeniu sprawy podaję się do dymisji. Niezależnie od tego, jaki będzie koniec, nie mogę brać więcej odpowiedzialności za życie swoich ludzi. Na pewno nie w tych warunkach. Sprawa majora Olewskiego jest tego najlepszym… i najtragiczniejszym dowodem. – Sposępniał. Mogło się wydawać, że rzeczywiście się męczy, skrępowany i zignorowany przez cynicznych polityków.

Pułkownik Roman Leski przeżył kilkunastu szefów polskiego wywiadu. Każdy z nich musiał się przeciwstawiać politykom, ale prawie wszyscy w chwilach trudnych wyborów stawali w końcu po stronie decydentów, porzucając Agencję i swoich ludzi. Jakby konformizm był cechą genetyczną szefa wywiadu. A w gruncie rzeczy nie stawali po stronie

państwa. Dlatego żaden nie musiał się podawać do dymisji i żadnego nigdy nie zdymisjonowano.

Leski znał te sprawy od podszewki, bo szefowie, wiedząc o jego nietykalności, zawsze woleli z nim trzymać i traktowali go jak spowiednika, a ściślej konfesjonał. W gruncie rzeczy w ogóle ich nie obchodziło, co Leski im odpowie, bo i tak nigdy nie spowiadali się szczerze. Robili to na wszelki wypadek.

Tym razem jednak było inaczej. Wyznanie szefa wywarło na nim wrażenie jak żadne dotąd. Zawierało silny ładunek szczerości i osobliwości moralnej, jak Leski określał to, czego nie potrafił uzasadnić. Lubił i szanował Koryckiego, ale musiał zachować czujność – taka była jego rola i nic nie mogło tego zmienić.

Powiedzieć można wszystko – pomyślał, patrząc się na szefa. Liczą się nie fakty, tylko to, jak wyglądają… Jeżeli legenda jest ciekawsza od faktów, to ludzie zawsze wybierają legendę. Proste.

– W takim razie daj znać, gdybyś czegoś potrzebował – odezwał się Korycki z lekkim optymizmem w głosie. – Jak ty to wytrzymujesz? – zapytał i zaraz dorzucił: – Nie, nieważne… Nie mów.

– Chciałbym się zapoznać ze sprawą Lola…

– Lola? – Korycki przerwał mu zdziwiony. – Po co ci to?

– Nic takiego. Jeśli mamy wygrać, to chcę po prostu znać wszystkie karty w tej grze.

– Oczywiście, zaraz wydam polecenie Walewskiemu, żeby ci przynieśli sprawę.

– Nie, dzisiaj już nie. Sam zadzwonię do Walewskiego w poniedziałek. – Spojrzał na zegar ścienny. – Za dwie i pół godziny mam ważną naradę z zespołem i ruszamy ostro do przodu.

– Chciałbym wiedzieć…

– Oczywiście, jak tylko będą jakieś efekty – zapewnił Leski.

Wrócił do pokoju.

Zasiadł za biurkiem i spojrzał na swój Schemat Zdrady. Pomyślał, że martwa kartka papieru, którą niedawno zapisał, właśnie ożyła, jakby tajemnicza siła tchnęła w nią ducha.

Prowadził powoli palcem po kolorowych literkach i czuł, że to nie są już tylko nazwiska i nazwy, teraz byli to prawdziwi ludzie i miejsca na mapie świata. Schemat zaczynał żyć własnym życiem. Pierwszy znak zapytania Leski postawił przy nazwisku Koryckiego. Nie mógł jeszcze pociągnąć żadnej linii, nawet przerywanej, nie mógł niczego połączyć, skojarzyć, ale czuł, że to wkrótce nastąpi i Schemat Zdrady zacznie nabrzmiewać.

Odwrócił kartkę na drugą stronę, napisał dużą literę „A” z kropką, a przy niej niebieskie cyferki w niemal idealnie równych kółeczkach – 1, 2, 3, 4, 7, gabinet szefa 13.15–14.10.

Ptaki znad szpitala zniknęły. Leski siedział w fotelu, z rękami złożonymi na piersi, i obserwował niebo, po którym sunęły gęste chmury, przesłaniając chwilami słońce. Obraz za oknem stawał się to nasycony kolorami, to monochromatyczny i szary. Roman lubił obserwować burze, pioruny, wichury, a najbardziej ulewy. Ze swojego okna na siódmym piętrze miał widok na wschód niemal po horyzont. Stawał wtedy w oknie, z herbatą w dłoni.

Dochodziła czternasta trzydzieści. Za pół godziny powinien wyjść z gmachu na Miłobędzkiej i skierować się w stronę Racławickiej. Tam miał wsiąść do autobusu 172, dojechać do Puławskiej i przesiąść się na tramwaj w kierunku centrum. Czyli zrobić dokładnie tak jak dwa dni wcześniej. Powtórzyć trasę krok po kroku, spokojnie, bez sprawdzania się, bez żadnej samokontroli.

Miał wyglądać naturalnie, usypiać spokojem, prowokować wręcz swoją naiwnością. To nie było łatwe zadanie, bo nigdy nie ćwiczył chodzenia pod obserwacją i bardzo się denerwował. Chociaż potrafił skryć się za ostentacyjną obojętnością, jak mu się wydawało, to w zespole wszyscy wiedzieli, jaki jest, i tylko udawali, że tego nie widzą.

Trasa, którą miał przebyć, była opracowana w szczegółach przez Monikę i tak zabezpieczona przez Witka i Elę, żeby mogli rozkuć każdą obserwację. Mieli na to pół dnia i po raz pierwszy byli z bronią.

Nikogo im teraz nie brakowało bardziej niż Dimy. On miał największe doświadczenie w walce.

35

Ajelet najpierw pobrała hasło do wi-fi, a dopiero potem się rozpakowała. Przebiegając przez salon, zdążyła rzucić, że ma ochotę na pizzę, po czym zaległa na tarasie, ze słuchawkami w uszach i smartfonem w dłoni.

Dima zrobił kawę. Siedzieli w salonie na rozłożystych miękkich sofach obitych kolorową indyjską tkaniną i zarzuconych wielkimi poduchami. Tamara zdjęła buty i podciągnęła nogi. Wyglądali jak zwykłe rodzeństwo.

– Za miesiąc dziesiąta rocznica śmierci Rafaela. Przyjedziesz? – zapytała Tamara.

– Oczywiście… co za pytanie? – nieco przesadnie obruszył się Dima.

– Pytam, bo w naszym zawodzie trzeba planować z wyprzedzeniem – odpowiedziała bez śladu emocji. – To kiedy lecisz?

– Jutro rano.

– Zostaniemy do wtorku, dobrze? Zwolniłam Ajelet ze szkoły. – Spojrzała w kierunku tarasu. – Chcę z nią trochę pobyć. Zbyt ją zaniedbuję, a rodzina Aarona tylko pogłębia w niej depresję. Czasami myślę, żeby zrezygnować ze służby, mam tego dość. Teściowie nie chcą się pogodzić ze śmiercią Aarona, dopóki nie zobaczą jego ciała, i przekształcili dom w prawdziwe mauzoleum, a z Ajelet chcą zrobić jakąś westalkę przy ołtarzu i ona biedna im wierzy. Modlą się przed jego zdjęciem i nawet przyprowadzają jakiegoś obłąkanego rabina, żeby odprawiał szamańskie rytuały i rozmawiał z dybukiem. W to wszystko wciągają Ajelet. –

Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Co za kraj! A przecież Aaron był z reformowanego. Matrix!

– W Polsce mamy podobnie – odparł Dima uspokajająco, bo Tamara zaczęła się nakręcać. Nie znosiła ortodoksów.

– Podobnie?! – obruszyła się jeszcze bardziej. – Też macie dwadzieścia procent księży i zakonnic na utrzymaniu państwa? Dima… nie wkur… – urwała. – Nie mam nastroju.

– Przesadzasz – rzucił Dima. – A… klucze zostaw u Makisa na dole, jak zawsze – spróbował zmienić temat.

– Swoją drogą, kilka dni temu dostałam od znajomego z Amalu informację, że wiedzą już, gdzie jest ciało Aarona. Prawdopodobnie koło jakiejś wiochy na północ od Palmyry zajętej przez islamistów. Jeśli tylko się to potwierdzi, mają wysłać Jednostkę, żeby sprowadzić zwłoki do kraju. Przynajmniej ten dybuk się wyniesie w cholerę i teściowie dadzą spokój Ajelet. Zobacz! – Tamara nie skrywała emocji. Podniosła się na sofie, wyraźnie podenerwowana. – Wychodzi na to, że u nas Sajjeret Matkal walczy też z demonami. *Fuck!* – Uderzyła pięścią w wielką indyjską poduchę. – Uśmiechnęli się do siebie z wyraźną ironią. – Dobra… – Spojrzała wymownie na Dimę. – Zostawmy sprawy rodzinne. Co się dzieje, braciszku?

Dima przesiadł się bliżej. Wydął policzki jak dziecko, które ma zdmuchnąć świeczkę, i po chwili powoli wypuścił powietrze. Sprawiał wrażenie, że nie wie, od czego zacząć, i nad czymś się zastanawia. Ten widok trochę rozbawił Tamarę i jednocześnie zirytował, bo przecież sobie ufali.

– No, co jest? – nie wytrzymała i uniosła dłonie jak do modlitwy.

– Słyszałaś o porwaniu czterech obcokrajowców w Pakistanie kilka dni temu?

– Tak, oczywiście… jest tam Polak, wiemy o tym. Wasze władze zwróciły się do nas o pomoc. Wywiad i MSZ, o ile dobrze pamiętam. Wasz łącznik był u naszego drugiego, nawet go widziałam. – Tamara wyraźnie szukała czegoś w pamięci. – Pozostałe kraje zresztą też się odezwały. To rutyna… I co?

– Nasza Sekcja zajmuje się tą sprawą… – Zawahał się i zaraz dodał: – Robimy to poza procedurą, czyli za zgodą szefa, ale bez zgody premiera, który tchórzy i miga się od męskich decyzji, jak to polityczny gliździoch.

– Wszyscy dużo mówią, zrobimy wszystko co w naszej mocy i inne tego typu pierdoły, a w rzeczywistości mają to w dupie i modlą się, żeby zakładników jak najszybciej ścięli. Tak? – Tamara powiedziała dokładnie to, co miał na myśli, więc tylko skinął głową. – No dobrze, braciszku, to sądzisz, że nasze władze są inne, mają ratować obcych ludzi, bo jesteśmy wam coś winni, inaczej nie poprzecie nas w naszej walce? Bo Mosad musi? A co to znaczy jedno życie albo nawet cztery? Dla polityków nic nie znaczy, pyłek… – Dmuchnęła w dłoń. – Politycy wszczynają wojny, w których giną tysiące niewinnych obywateli, dzieci, lecą bomby… Wiesz, że nie mówię tego do ciebie ani do waszych ludzi, dla nas każde życie jest ważne, ale wkurwiają mnie takie sprawy, bo jak my się o coś zwracamy, to zaraz piętrzą się trudności. Odpowiem wprost: oficjalnie Mosad nie zrobi w tej sprawie nic, co wykraczałoby poza minimum. Zero naszego ryzyka i kosztów, no… chyba że pójdzie za tym jakiś gest dla Izraela, ale to już decyzja góry.

– Czyli co? – Dima był zaskoczony, bo Tamara nigdy tak nie mówiła i nieraz sobie pomagali. – Nie? Nie pomożesz?

– Tak powiedziałam? – Uśmiechnęła się pogodnie, unosząc ciemne brwi. – Trzeba ratować człowieka, którego politycy wpieprzyli w to gówno, więc zrobię, co się da, ale to nie będzie łatwe. Wiesz przecież… muszę działać

bez zgody przełożonych. Rozumiem, że szukacie mocnego przełożenia na talibów, tak? Dima… ja nic nie obiecuję…

– To jasne… Tamaro. – Wyraźnie się rozpogodził, ale zaraz spoważniał. – Tym bardziej że sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż nam się z początku wydawało… Przede wszystkim… porwany Henryk Olewski to nasz oficer…

– Ups! – rzuciła mocno, zaskoczona. – To trochę zmienia sytuację… a nawet bardzo.

Dima opowiedział Tamarze wszystko, co się wydarzyło, odkąd zobaczył w telewizji zdjęcia uprowadzonych. Zdawał sobie sprawę, że ujawnia tajemnice, ale to nie była zdrada. Nie myślał teraz o interesie państwa, to zostawiał politykom, którzy sami sobie wynajdywali ten interes i co cztery lata go zmieniali, twierdząc, że poprzedni interes państwa był zły i teraz jest sprzeczny z nowym interesem. Myślał tylko o człowieku i Polsce, po prostu. Dlatego czasami, nie oglądając się na interes rządzących, musiał sam podejmować decyzję, co jest dobre, a co złe.

Tamara cały czas milczała, pociągając wodę z butelki. Uważała tak samo. Przede wszystkim byli rodzeństwem i chociaż nie takim jak inne, to może właśnie dlatego siła ich miłości była potężniejsza niż jakiekolwiek państwowe interesy.

Mówił bez przerwy przez pół godziny i gdy skończył, Tamara wyglądała na skupioną i przejętą. Widać było, że analizuje to, co usłyszała, zagłębia się w szczegóły, by za chwilę wydać werdykt. Dima wiedział, że choć w sprawach codziennych zawsze przejawiała lewantyńską nadpobudliwość, to kiedy mówiła o pracy, stawała się spokojna, poważna i zdyscyplinowana. Potrafiła powiedzieć „nie wiem” i tak jak Dima nigdy nie używała słów „wierzę”, „wiem” i „wszyscy”. Dzięki temu rozmawiało im się łatwiej i często rozumieli się bez słów.

W końcu Tamara odstawiła pustą butelkę na stół. Spojrzała na taras, gdzie ze słuchawkami na uszach wypoczywała Ajelet. Po chwili odwróciła się i zmarszczyła czoło.

– Dobrze, że masz tę Monikę – rzuciła ni stąd, ni zowąd. – Ma dziewczyna nosa… raczej talent. Dbaj o nią. Ale na twoją partnerkę się nie nadaje. – Posłała mu z lekka ironiczny, a może nawet złośliwy uśmiech. – To bardzo podejrzane, co mi opowiedziałeś. – Od razu spoważniała. – Nie znam waszej sytuacji, specyfiki terenu… nie chcę ci radzić, co masz robić, to pewnie wiesz najlepiej sam. Zresztą macie wyjątkowego przewodnika, tego Romana…

– Nie oczekuję od ciebie rady – przerwał jej. – Naszkicowałem ci sytuację, ale wiem, co chcę robić.

– To dobrze.

– Potrzebuję wtyki do CIA…

– I słusznie, bo oni w Pakistanie mogą najwięcej. I tu akurat potrafię ci pomóc. Mam u nich kogoś. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Przyjaciela z dzieciństwa, powiedzmy.

– A w ISI… u Pakistańczyków?

– Nic. Ja przynajmniej nic nie mam – odparła. – Tu ci nie pomogę, ale spróbuję się rozejrzeć w Hamasie, może znajdę jakiś kontakt na Al-Kaidę i talibów. Teraz trudno mi powiedzieć.

– Lecę jutro do Moskwy poszperać wśród swoich dawnych kontaktów…

– I to jest dzisiaj najlepszy trop. Nie ma większej strzelaniny na Bilskim czy Środkowym Wschodzie, w której nie siedziałoby GRU albo SWR. Zresztą Rosjan w tej waszej sprawie czuć na odległość, choć wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to byli Amerykanie.

– Zacznę od Wiery… Pamiętasz?

– Pamiętam… Nie boisz się? – Tamara znów się uśmiechnęła. – A jakże… nostalgiczna Wiera z GRU. Swoją drogą, jak ty potrafisz to połączyć? Dobre, ale na granicy ryzyka. Nie pomyślałeś, że Rosjanie mogli cię w tym czasie rozkuć? – Pokiwała głową. – Wiem, czego ci potrzeba. Teraz wrócę do Tel Awiwu i sprawdzę, co mogę zrobić. Okej?

– Okej… ale mam mało czasu… i łączność…

Tamara podniosła się z sofy i poszła do sypialni, a po chwili wróciła i wręczyła mu tablet.

– Przepisz ten adres do swojego smartfonu. To nasze najnowsze dziecko. Koniec z wymianą kart i telefonów, noszeniem smartfonów w każdej kieszeni. Ściągniesz sobie tę aplikację, ma ikonkę jak kalkulator i rzeczywiście można na nim liczyć, ale jak wbijesz mój numer, to się połączymy. Musi być tylko zasięg internetu. Sto procent bezpieczny, ale nie do skopiowania. Co miesiąc trzeba wbić nowy kod, bo inaczej program umiera. Kod będziesz dostawał na naszego Angelos Katso… coś tam. To będą cyfry i wbijesz je też tak, jakbyś liczył. Zresztą… – Tamara ożywiła się. – Zróbmy to od razu, pokażę ci, jak działa, i sprawdzimy.

– U was pewnie rejestrują wszystkie rozmowy. – Dima pokręcił głową. – Dla mnie trochę to… mało bezpieczne.

– To program tylko dla oficerów, nie dla agentury, więc każdy dysponent numeru sam decyduje o archiwizacji, którą robi się co miesiąc. Stąd ta aktualizacja kodu.

W drzwiach stanęła Ajelet.

– Mamo, jestem głodna. Chcę na pizzę!

36

Roman wyszedł na Miłobędzką dwie minuty przed piętnastą. Przeszedł na drugą stronę i skierował się w prawo do Racławickiej, gdzie był przystanek autobusu 172.

Idąc wąskim chodnikiem i ściskając teczkę pod pachą, po dwóch minutach dotarł do poprzecznej ulicy Gimnastycznej. Nawet nie spojrzał w lewo, tylko wszedł na pasy. Był spięty i wydawało mu się, że ziemia pod nim miękko faluje, więc obserwował uważnie, gdzie stawia stopy. Czuł, jak mocno bije mu serce i krew pulsuje w skroniach, ale nawet przez moment nie pomyślał, żeby się wycofać. Przeciwnie, był przekonany, że wbrew sobie i swoim słabościom musi doprowadzić sprawę do końca i uratować majora Olewskiego.

Kilkanaście metrów dalej, w głębi Gimnastycznej, w szeregu zaparkowanych samochodów stał popielaty opel kadett. Za kierownicą siedziała Ela ze słuchawką w uchu. Na lusterku miała kamerkę, która rejestrowała obraz z przodu i z tyłu. Kamerki w okularach mieli też Monika i Witek.

Roman przeszedł Miłobędzką, pokazując się w polu widzenia Eli, i zniknął za rogiem.

– Idzie. – Ela przekazała komunikat.

– Jest! – odezwał się Witek.

– Widzę go – potwierdziła Monika i dodała: – No to zaczynamy, *dorogije druzja*.

Witek stał na przystanku autobusowym w kierunku Ochoty, czyli po drugiej stronie skrzyżowania. Monika w peruce z długich czarnych włosów i okularach przeciwsłonecznych zajęła pozycję w głębi Racławickiej, skąd był doskonały wgląd w Miłobędzką. Od razu wypatrzyła Romana, który zbliżał się do przejścia dla pieszych. Miała wystarczająco dużo czasu, by dojść przed nim do przystanku. Ruch pieszy i samochodowy na skrzyżowaniu był niewielki i mogła ocenić sytuację.

– Czysto – rzuciła.

– U mnie też nic – dodała Ela.

– Czysto – zakończył Witek.

Roman zbliżył się do przejścia i zatrzymał na czerwonym świetle. W tym czasie Witek podszedł do równoległego przejścia po drugiej stronie skrzyżowania i gdy włączyło się zielone światło, obaj przeszli na drugą stronę Racławickiej. Byli jedynymi pieszymi przechodzącymi przez jezdnię. Monika była już po drugiej stronie Miłobędzkiej i zbliżała się do przystanku. Za chwilę miał do niej dołączyć Roman.

Na autobus czekały cztery osoby. Monika dokonała szybkiej oceny. Uczennicę i starszą panią z laską od razu skreśliła. Został młody mężczyzna w ciemnych okularach i bejsbolówce, z plecakiem na ramieniu, oraz elegancka kobieta po pięćdziesiątce, z żółtą torbą przewieszoną przez prawe ramię. Po chwili dołączył do nich Roman i tak jak było ustalone – stanął z tyłu za wiatą przystankową.

Monika rozejrzała się dyskretnie i sprawdziła plan sceny. Nie zauważyła, by Roman wzbudził zainteresowanie stojących na przystanku osób.

– Mamy dwoje… – wyszeptała Monika. – Czarna bejsbolówka, kobieta, żółta torba przez ramię.

Ela czekała na ulicy Gimnastycznej w samochodzie z uruchomionym silnikiem, gotowa włączyć się do akcji.

Osiemdziesiąt metrów z tyłu, po drugiej stronie Miłobędzkiej, stał Witek i obserwował samochody nadjeżdżające Racławicką z Ochoty. Punkt był sprawdzony, zapewniał dobrą widoczność.

Witek pierwszy miał dać znak, że nadjeżdża 172, i nie mógł się pomylić, bo w tym czasie Ela musiała ustawić się na światłach do wjazdu na skrzyżowanie, przepuścić autobus, a potem jechać za nim i czuwać nad ewentualną obserwacją samochodową. Gdyby wjechała za wcześnie lub za późno, straciłaby kontakt z grupą.

Witek obserwował zmianę świateł na skrzyżowaniu i natężenie ruchu. Miał dokładnie wyliczone, ile sekund potrzebuje autobus na przejechanie trzystu pięćdziesięciu metrów od poprzedniego przystanku na żądanie, jeśli się na nim zatrzyma, do następnego, na którym stał Roman.

Minęły dwie minuty. Z ulicy Płatowcowej wyszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w zielonej wiatrówce, ciemnych okularach i parcianym kaszkiecie nasuniętym na czoło. Stanął za plecami Romana, który nawet tego nie zauważył. Monika rozsunęła zamek torby, w której miała glocka. Przeszła kilka kroków, by wyjść z jego pola widzenia, i próbowała wypatrzyć, czy nieznajomy ma słuchawkę w uchu. Była jednak za daleko.

– Dobił trzeci… zielona wiatrówka i kaszkiet.

– Autobus – usłyszała głos Witka w słuchawce i spojrzała w lewo.

– Ela… gotowa? – zapytała.

– Jestem – odezwała się.

– Czekaj!

– Czekam.

– Jedzie sto siedemdziesiąt dwa! – zakomunikował Witek i ruszył w stronę przystanku.

Kiedy autobus się zatrzymał, Ela wyjechała z Miłobędzkiej i stanęła na kierunkowskazie, przepuszczając samochody jadące na wprost. Sześciu pasażerów wsiadło do autobusu środkowymi drzwiami. Torując sobie drogę, pierwsza weszła Monika. Wewnątrz było dosyć luźno, zajęła jednak miejsce stojące przy oknie, twarzą w kierunku jazdy. Roman był tuż za nią i od razu usiadł, a Wiatrówka wszedł ostatni i został przy wejściu. Witek otworzył tylne drzwi autobusu, wślizgnął się do środka i zajął wolne miejsce na ostatniej kanapie.

Autobus ruszył. Ela przepuszczała wszystkie samochody wyjeżdżające z naprzeciwka i skręcające w prawo. Już na czerwonym świetle zjechała ze skrzyżowania i zauważyła w lusterku, że z Miłobędzkiej wysunął się biały golf i włączył do ruchu niezgodnie z przepisami. Nie przyspieszał, chociaż mógł, i jechał trzydzieści metrów za jej oplem.

– Mam za sobą podejrzanego białego golfa – zakomunikowała przez radio. – Wewnątrz co najmniej dwie osoby… może więcej. Muszę go przepuścić, żeby sprawdzić… zresztą inaczej mnie wyhaczy.

– Mhm… Okej – wyszeptała Monika, odwracając się do okna.

Na Racławickiej był zakaz zatrzymywania się, więc Ela zwolniła i zjechała w pierwszą przecznicę. Manewr wykonała tak wolno, jak tylko potrafiła, by zobaczyć, kto siedzi w golfie.

– Trzech facetów – poinformowała natychmiast. – Nie zwrócili na mnie uwagi… wyraźnie mocno czymś zajęci. Ciekawe… zobaczymy…

– Okej – zamruczała znów cicho Monika i spojrzała na Witka, który głową dał znak, że też słyszy Elę.

Po chwili Ela wysunęła się i zobaczyła, że autobus zatrzymał się na przystanku przy Wołoskiej, a kilkadziesiąt metrów za nim stoi golf.

– Są! – rzuciła z przekonaniem w głosie. – Jestem niemal pewna. Stoją za autobusem, choć jest tu zakaz zatrzymywania. Amatorzy czy co?

Tymczasem z autobusu wysiadła starsza pani, a dosiadła się para z dzieckiem. Kiedy Ela zobaczyła, że autobus i golf ruszyły, wyjechała na Racławicką i za skrzyżowaniem ich dogoniła, już na żółtych światłach. Jechali teraz jednopasmową, dwukierunkową ulicą Odyńca i Eli łatwiej było zalegendować swoją obecność, tym bardziej że zebrał się za nią sznur samochodów.

Na przystanku przy Niepodległości wysiadły Żółta Torba i Czarna Bejsbolówka. Wsiadły zaś osoby, które nie wzbudzały żadnych podejrzeń. Z obsady przystanku na Racławickiej zostali tylko Wiatrówka, Monika i Roman. Ela wciąż jechała za golfem i podawała komunikaty, ale Monika i Witek mogli jej odpowiadać jedynie zdawkowymi pomrukami. Tak było uzgodnione.

Wszyscy czuli, że coś się dzieje, atmosfera zaczynała powoli nabrzmiewać. Wiatrówka i obsada golfa były na razie tylko zdarzeniami, które w każdej chwili mogły rozpłynąć się jak duchy we mgle. Nikt z zespołu nie wiedział, kim są i co planują, ale nikt też nie wykluczał, że są niebezpiecznymi zawodowcami. Nie było wiadomo, co zrobią, jeśli odkryją, że są obserwowani, i poczują się zagrożeni dekonspiracją.

Monika stała w autobusie i kątem oka obserwowała Romana. W swoim kapeluszu i prochowcu, z teczką na kolanach, wyglądał jak wzorowy urzędnik skarbowy przed wizytacją. Nie ruszał się, nie wiercił, nie rozglądał, spokojnie obserwował widok za oknem. Nie miał radia i nie wiedział, co się dzieje za jego plecami.

Niepozorna, trochę groteskowa postać. Musiała się zmierzyć ze światem, który zna i rozumie, ale przed którym sama nie potrafiłaby się obronić. Monika nie spuszczała wzroku z Wiatrówki, jego byczego podgolonego

karku, szerokich ramion, ręki w kieszeni i jeśli tylko poczułaby, że chce zrobić Romanowi krzywdę, byłaby gotowa się na niego rzucić, przegryźć mu gardło albo wpakować cały magazynek w brzuch. Nikogo nie nienawidziła teraz bardziej niż faceta w zielonej wiatrówce i bardzo chciała, żeby już się w końcu okazało, że to on.

Autobus minął Kazimierzowską i Monika pomyślała o Dimie, który mieszkał niedaleko. Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek, a on był w Atenach. Trochę ją to wkurzyło. Poczuła się, jakby ich porzucił, ale zaraz zrozumiała, jaka jest niesprawiedliwa, i skarciła się za samolubstwo, a właściwie tchórzostwo.

Za chwilę wszystko powinno się wyjaśnić.

Autobus zbliżał się do ulicy Puławskiej, gdzie Roman miał się przesiąść do tramwaju. Zmieniała się dynamika sytuacji i nie mogli teraz popełnić najmniejszego błędu. Wiatrówka i mężczyźni w golfie też o tym wiedzieli i z pewnością będą musieli sprawdzić się na ostro. Nadchodził moment pierwszej próby sił.

37

Major Wiera Kozakina miała czterdzieści pięć lat, z czego dwadzieścia służyła jako oficer operacyjny GRU, a przez pięć była kochanką Dimy. Właściwie to on był jej kochankiem i największą miłością, która nie mogła się spełnić, bo była ściśle tajna.

Wiera nigdy nie wyznała mu swoich uczuć, wyszedłszy z założenia, że słowa nic nie zmienią i lepiej nie kombinować z rosyjską duszą, bo to się zawsze źle kończy. Wolała mu ją zwyczajnie dawać. I brać w zamian, ile można. Była nostalgiczną pragmatyczką.

Uwielbiana jedynaczka, mała Wierka noszona na ramionach przez generała Lwa Kozakina, legendę radzieckiego wywiadu wojskowego, i Ludmiłę, cichą, płaczliwą profesor literatury z Instytutu imienia Gorkiego.

Wiera, choć w dzieciństwie wyglądała jak laleczka, miała być Maksymem, którego wymarzył sobie Lew i na przekór naturze robił wszystko, by wyrósł z niej prawdziwy mężczyzna. I tak w wieku dwudziestu jeden lat obdarzona dziedzicznym genem sukcesu Wiera została podporucznikiem Głównego Zarządu Wywiadowczego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

Jednak wbrew marzeniom ojca geny odziedziczyła wyłącznie po matce. Była delikatną, uczuciową kobietą ukrytą pod wyprasowanym mundurem zimnej męskiej powierzchowności.

Pierwszy raz przeczytała *Annę Kareninę*, kiedy nosiła jeszcze białe kokardy. Zrozumiała wtedy całą mocą swojej natury, że jest tylko i wyłącznie kobietą, i zdawało jej się, że gdy pierwszy raz zamknęła tę książkę, właśnie dojrzała. Od tej pory jej uczucia pędziły w nieznane jak pociąg widmo w poszukiwaniu stacji miłości.

Wiera znała *Annę Kareninę* na pamięć. Czytała ją nieustannie, od początku do końca i na wyrywki, pamiętała swoje ulubione sceny, które niemal same utrwalały jej się w pamięci. Z biegiem czasu znikła Wiera i narodziła się Ania. Myślała, mówiła i robiła wszystko tak jak ona, lecz w odróżnieniu od niej wciąż czekała na swojego Aleksieja, odrzucając kolejnych kandydatów, którzy nie spełniali jej oczekiwań.

Wiera bała się przyszłości, bo wiedziała przecież, co się stało z Anną, ale nie mogła nic z tym zrobić. Nawet nie próbowała.

Dusza Anny Kareniny żyła w niej całą swoją mocą, więc Wiera żadnej kariery w wywiadzie nie zrobiła, bo wciąż szukała hrabiego Wrońskiego.

Arystokratyczna uroda i odziedziczony po ojcu etos kariery dawały jej w GRU glejt nietykalności, liczne romanse zapewniały pozycję kobiety, która dużo wie i jeszcze więcej może, a co najważniejsze – nikt nie mógł jej odmówić, bo na wszystko miała alibi.

Dima wiedział o tym doskonale. Dlatego postanowił wcielić się w postać Aleksieja i dał się Wierze zwerbować jako jej agent z miłości. W ten sposób mogła go kochać na wyłączność i miała idealną przykrywkę dla ich intymnych spotkań.

– Kiedy przyjechałeś? – zapytała, nieudolnie grając obojętność, kiedy tylko powiedział: „Dzień dobry, Wierka”.

– Wczoraj – odparł i w słuchawce zaległo milczenie.

Nie przerywał go, bo wyczuł, że choć od ich rozstania minęło sporo lat, Wiera od razu go rozpoznała i teraz próbuje uspokoić rozszalałe serce. Ta

chwila przedłużonego milczenia mówiła więcej niż sto słów. Dima znał Wierę bardzo dobrze i wiedział, jak zareaguje. To cenny sygnał. Wyglądało na to, że się nie pomylił i być może będzie mógł ją wykorzystać do nawiązania potrzebnych kontaktów. W gruncie rzeczy poczuł coś miłego, kiedy usłyszał jej niski, lekko chrapliwy głos.

– Na długo przyjechałeś? – odezwała się, wyraźnie już uspokojona.

– Trochę zostanę.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W Marriotcie na Twerskiej…

– Ooo… to przecież bardzo blisko… – wtrąciła, udając zdziwienie.

Dima na to właśnie czekał. Wiera mieszkała pół kilometra dalej na Bolszej Bronnej, nad McDonaldem. Wziął ten hotel właśnie dlatego, że był blisko.

Tak jak się spodziewał, po chwili milczenia Wiera zapytała:

– Może wpadniesz na kawę… tyle lat… jest o czym pogadać.

– Z największą przyjemnością, Wierka – odparł tak ciepło, jak potrafił. – Wieroczka… dużo o tobie myślałem… bardzo chciałem i…

– Za ile będziesz? – ucięła.

– Czyli wciąż mieszkasz… – niby zapytał Dima, ale zabrzmiało to bardzo naiwnie.

– Tak, na Bolszej Bronnej… tak jak wtedy, cały czas.

– Będę o dwudziestej… czyli… – zawahał się – za… czterdzieści minut.

– Czekam na ciebie… Nawet nie wiesz, jak się cieszę… Dima.

Jeszcze na lotnisku kupił szampana Dom Pérignon Oenothèque 1996 Brut. W hotelu zamówił trzydzieści róż Imperatrice Farah. Włożył szary garnitur Boss z tafty, białą koszulę z kołnierzykiem na guziki i buty na sprzączki. Spryskał się perfumami Creed Aventus i stanął przed lustrem.

Wszystko się zgadzało. Zadbał o każdy szczegół, który Wiera musi rozpoznać i który powinien przywołać dobre wspomnienia. Na koniec pociągnął dłonią po dwudniowym zaroście na swoim sinym greckim policzku i uznał, że nie zapomniał o niczym, co Wiera lubiła najbardziej. Mógł iść. Taksówka czekała.

Już miał nacisnąć przycisk domofonu, gdy drzwi się otworzyły i z klatki schodowej wyszło dwóch rozgadanych chłopców. Wślizgnął się do środka i zatrzymał na parterze. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, na którym piętrze mieszka Wiera, na szóstym czy na siódmym.

Był zdenerwowany i wcale nie myślał o tym, po co tu przyszedł. Niespodziewanie odżyły miłe wspomnienia związane z tym miejscem. Stał z butelką szampana i kwiatami, jak kiedyś, o piętnaście lat młodszy. W jakimś osobliwym sensie kochał wówczas Wierę, ale nigdy jej tego nie wyznał, bo to była miłość osobliwa, trudna do wytłumaczenia. Miłość służbowa.

Na wszelki wypadek wjechał windą na siódme piętro. Od razu trafił dobrze. Stanął na wycieraczce, wziął kilka głębokich oddechów i nacisnął dzwonek. Po chwili zachrzęścił zamek i drzwi się otworzyły.

Najpierw uderzył go znajomy miły zapach perfum zmieszany z kawą, a dopiero potem dostrzegł wyłaniającą się z cienia delikatnie uśmiechniętą Wierę. Choć nie widział jej ponad dziesięć lat, to były te same kształtne usta wokół pięknych białych zębów i te same zielone oczy w delikatnej azjatyckiej oprawie. Kasztanowe włosy wysoko upięte z tyłu, czarna sukienka pod szyję, ale bez rękawów, i połyskujący jak księżyc srebrny wisior między piersiami.

Czas jednak Wiery nie oszczędził, ale tego Dima nie zauważył. Zdawało mu się nawet, że jest jeszcze piękniejsza, i poczuł, jak serce gwałtownie mu przyspiesza.

– Wejdziesz w końcu? – z opóźnieniem dotarł do niego miły głos Wiery. – Creed Aventus – wyszeptała, kiedy całowała go w policzek.

Zauważyła róże i szampana, ale tylko się uśmiechnęła i znikła z nimi w kuchni.

Dima wszedł do salonu.

To nie było to samo miejsce, które pamiętał sprzed lat. Nic nie było już takie samo. Salon wydawał mu się znacznie większy i urządzony w duchu drogiego jasnego modernizmu, tak odległego od gustów zwykłych Rosjan.

Po prawej stronie, pod długą ścianą, stała jasnobeżowa szyfoniera, a na niej galeria zdjęć. Dima podszedł bliżej i zaczął je przeglądać. Od razu rozpoznał generała Kozakina i jego żonę, bo te same zdjęcia stały tu przed laty. Było kilka fotografii z przyjaciółmi, na wakacjach, w Londynie, Paryżu. Roześmiani albo smutni oficerowie w mundurach. Mimo że każde oprawione w inną ramkę, ustawione były w określonym porządku i tworzyły harmonijne tło dla czterech najważniejszych zdjęć umieszczonych pośrodku.

Na wszystkich była twarz tego samego chłopca, tyle że w różnym wieku. Na największym, w srebrnej ozdobnej ramie, uśmiechnięta Wiera obejmowała chłopca, który prężył się z dziecięco nadętą miną, jakby chciał dopasować ducha do czarnego munduru suworowca. Dima dobrze znał miejsce, gdzie to zdjęcie zostało zrobione – nad rzeką Moskwą, z Kremlem w tle.

Wziął je do ręki i obrócił się do światła. W pierwszej chwili pomyślał, że już gdzieś widział tego chłopca, jego twarz wydawała się znajoma, ale nie był podobny do Wiery.

– To Sierioża… – usłyszał jej głos. Weszła do pokoju z wazonem wypełnionym różami. – Mój syn… suworowiec – dodała z wyraźną dumą. – Prymus. Przystojny… prawda?

– Podobny do ciebie. – Dima był tak zaskoczony, że z trudem wydusił z siebie tę banalną uwagę. Powinien był się spodziewać, że przez te lata wiele się zmieniło, a mimo to poczuł się zmieszany i trochę zawiedziony, może nawet rozczarowany, jakby się łudził, że Wiera będzie na niego czekała.

– Wcale nie jest do mnie podobny… to cały ojciec i jego charakter – rzuciła pewnym siebie tonem i wróciła do kuchni. – A ty? Masz żonę, dzieci?

– Nie – odparł.

Odstawił fotografię na miejsce. Nie zapytał, kto jest ojcem Sierioży. Nie zauważył żadnego zdjęcia, które wskazywałoby na to, że wyszła za mąż. Znał ją dobrze i wiedział, że jest nadpobudliwa uczuciowo, zachłanna na miłość, czasami wręcz naiwna i bezbronna, więc ojcem chłopaka mógł być każdy oficer z fotografii stojących na szyfonierze.

Obszedł cały pokój, popatrzył na obrazy, wyjrzał przez okno z widokiem na Kreml i w końcu usiadł na kanapie przy stoliku, na którym stały dwie filiżanki i ciasteczka. Ściemniało się już i dopiero teraz Dima spostrzegł, że na stoliku palą się dwie świeczki, a pod blatem stoi szklaneczka z odrobiną bursztynowego płynu na dnie i śladem szminki na brzegu.

Po chwili weszła Wiera z dwoma kieliszkami w jednej dłoni i szampanem w drugiej.

– To było zawsze twoje zadanie. – Spojrzała filuternie na butelkę. – Miło, że pamiętałeś… Dom pérignon, ale nie ten…

– Wiem.

Wziął od niej butelkę, otworzył kilkoma sprawnymi ruchami, a Wiera podstawiła kieliszki.

– Za spotkanie? – zapytała, kiedy nalał szampana. – Za wspomnienia? Dobre wspomnienia – dorzuciła.

– Za nas – odparł Dima, odstawiając butelkę na ławę.

Wiera zbliżyła się do niego, a on też uczynił delikatny ruch w jej stronę. Trochę niepewnie, jakby niezdecydowani, czy powinni się na to zdobyć, pocałowali się w policzki. Ale Wiera zrobiła to mocniej, tak żeby Dima zrozumiał, co chce mu przekazać.

– Słyszałam, że wróciłeś do Aten – powiedziała, kiedy usiedli. – To na ile lat zniknąłeś? Piętnaście?

– Miałem dość – odparł. – Chyba pamiętasz?

– Mnie miałeś dość?

– Wierka! – Uśmiechnął się niewyraźnie. – Przecież wiesz.

– Dobrze, dajmy temu spokój – rzuciła pojednawczo. – Nieważne. Było, minęło, ale dobrze, że siedzimy tu teraz razem. – Przerwała na chwilę i spojrzała na Dimę nieco zakłopotana. – I czas wcale się nie zatrzymał, jeśli chciałbyś to powiedzieć. Wszystko się zmieniło, ale najważniejsze, że zadzwoniłeś.

– Wyszłaś za mąż? – zapytał i spojrzał w stronę zdjęć na szyfonierze.

– Rozwiodłam się pięć lat temu… Nie chcę o tym mówić. To bolesne… Znów jakiś mężczyzna myślał, że może mnie porzucić jak zużyte rękawiczki, utopić we łzach. Ale mam teraz Sieriożę, jedynego naprawdę wiernego mi mężczyznę, swoją największą miłość. – Też spojrzała w stronę zdjęć. – Jestem teraz silna… bardzo silna… nie ma już tamtej Wiery. A ty? Nie ożeniłeś się? Dlaczego?

– Nie wiem, może dlatego, że nie trafił się nikt odpowiedni. Pewnie też byłbym już po rozwodzie… wolałem tego uniknąć. – Popatrzył na Wierę, która uciekała gdzieś wzrokiem. – Wiesz, dlaczego rozwody są takie kosztowne?

Pokręciła głową.

– Bo są tego warte – dokończył i uśmiechnęli się oboje.

Wzięła pilota, który leżał na stoliku, i po chwili w pomieszczeniu rozległy się pierwsze takty *Walca kwiatów* Czajkowskiego. Dimie zrobiło się żal Wiery, bo wiedział doskonale, że wcale nie jest silna i wciąż jest tą samą Anną, naduczuciową i niedostosowaną do bezwzględnego otoczenia, bo Anną Kareniną kobieta się rodzi i umiera. I wszystko, co robiła, zaprzeczało tej deklaracji, która miała być próbą obrony przed sobą samą i wspomnieniami, jakie jej przyniósł. Ukryta szklaneczka, pocałunek, Czajkowski mówiły o niej wszystko, czego nie potrafiła ukryć, i nagle Dima poczuł się źle, jakby ją zmusił, by się przed nim obnażyła.

Wydawało mu się, że od tej chwili, kiedy wziął do ręki zdjęcie Sierioży, Wiera czeka na to jedno jedyne najważniejsze pytanie, dla którego go zaprosiła – kto jest ojcem jej syna. I rzeczywiście się nie mylił. Chciała, żeby tylko zapytał, i tak nie zamierzała mu tego zdradzić. A on nie chciał wiedzieć.

Poczuł, jakby atmosfera nabrzmiała, i to przez niego. Sprowokował ją z premedytacją, bo przecież doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego kupił kwiaty, szampana i użył jej ulubionych perfum. Poczuł się winny, ale nie mógł się teraz wycofać, bo zraniłby ją jeszcze bardziej. Postanowił powiedzieć jej prawdę.

– Jesteś jeszcze w służbie? – zapytał.

– Już nie. Zwolniłam się rok temu. Dlaczego pytasz?

– Potrzebuję pomocy…

– Wiedziałam… – wtrąciła z domieszką satysfakcji, jakby udał jej się mały podstęp. – Ale mnie to nie przeszkadza. Aaa… o co chodzi? – Uzupełniła kieliszki i spojrzała na Dimę z sympatią i zaciekawieniem. – Jeśli tylko będę mogła ci pomóc… – Przybliżyła się do niego, dotknęła dłońmi jego policzków, tak jak kiedyś, i pocałowała w usta.

38

Kiedy autobus zatrzymał się na przystanku przy domu ze skarabeuszem, golf przytulił się do krawężnika przy Odyńca i czekał. W tym czasie Roman podniósł się ze swojego miejsca i skierował do wyjścia. Po kilku sekundach Monika usłyszała Elę:

– Wysiadło trzech. Mały, łysy, czterdzieści, szara kurtka, średni blondyn w białych adidasach, zielona czapka i czarna torba z logo Nike. Pędzą w kierunku Puławskiej… w waszą stronę. Bardzo nerwowi… chyba nic nie wyłapali… Dobrze!

Przed Romanem wysiadł Wiatrówka i dwie inne osoby, a za nimi Monika. Witek wyskoczył tylnym wyjściem i od razu się skierował na przystanek tramwajowy. Zdążył tam dotrzeć, zanim zmieniły się światła. Na skrzyżowaniu Puławskiej i Odyńca był spory ruch pieszy i samochodowy, ale Witek od razu zauważył trzech opisanych przez Elę facetów i Romana idącego powoli w stronę przejścia dla pieszych, a także Wiatrówkę, który podążał kilkanaście kroków za nim.

– Mam ich. Stoją na przejściu – poinformował przez radio. – Nasz i Wiatrówka też… po drugiej stronie.

– Ruszaj, Ela! – poleciła Monika, która została na przystanku autobusowym. – Szybko!

– Jestem trzecia na światłach.

– Dobrze… czekam. Kompania? – Zamilkła na moment. – *Fuck!* Sytuacja jest już jasna. Dotarło?

– Tak – odpowiedzieli niemal równocześnie Witek i Ela.

– Może być ostro… Witek?

– Tak.

– Uważaj na siebie i nie zbliżaj się do Naszego… czekaj na Elę.

– Tak, szefowo.

Zmieniły się światła i na przystanek tramwajowy niemal równocześnie dotarło trzech mężczyzn z golfa, Wiatrówka i Roman. Rozstawili się równo wzdłuż wysepki, ale Wiatrówka najbliżej Romana. Witek tuż za nimi. W tym samym czasie Ela podjechała na przystanek, gdzie stała Monika, i zabrała ją do samochodu.

– Bardzo duszno – rzuciła od razu, wyraźnie zaniepokojona. – Dużo ich i nie wyglądają na grzecznych chłopców. – Ostro ruszyła z miejsca, włączając się do ruchu.

– *Fuck!* – Monika ściągnęła okulary i perukę, którą rzuciła na tył samochodu. – Kto to jest? Kim oni są? Mam dziwne wrażenie, że to nie Polacy, ale może… – Urwała w pół zdania, bo kiedy ściągała kurtkę, zaplątał jej się rękaw.

– Jak tam, Witek? – zapytała Ela.

– Wsiadam – wyszeptał.

Ela przycisnęła gaz i po chwili była już przy Morskim Oku. Wysiadła, a Monika zajęła miejsce za kierownicą.

– Według planu – rzuciła krótko.

Spojrzały sobie w oczy, uśmiechnęły się. Ela skinęła głową i zatrzasnęła mocno drzwi.

Wyprzedziły tramwaj o dwa przystanki, więc Ela miała czas, żeby spokojnie przejść na wysepkę, ale i tak podbiegła.

Roman siedział w tramwaju w niemal identycznej pozycji jak wcześniej w autobusie. Sprawiał wrażenie spokojnego, pogrążonego w myślach człowieka, obojętnie wpatrzonego w przesuwający się przed jego oczami obraz miasta.

Po raz ostatni zobaczył Monikę na przystanku przy Racławickiej. W pierwszej chwili jej nie poznał, bo czarna peruka i okulary niemal całkowicie skryły jej tożsamość, i pomyślał, że pewnie znów zmieniła wygląd i teraz jedzie z nim tramwajem. Przez moment chciał się nawet rozejrzeć, ale dał sobie spokój, bo Dima jasno go poinstruował, jak ma się zachowywać.

Roman właściwie nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Miał wykonać swoją część zadania i dotrzeć spokojnie do lokalu, reszta była w rękach Moniki. Nie miał pojęcia, czy ma ogon, czy nie, czy coś mu grozi, kim są ci ludzie ani czego chcą. Mimo to nie bał się, był jednak zdenerwowany, bo nie miał kontroli nad tym, co się dzieje. Wiedział, że niewiele mógłby pomóc, bo nie zna się na technice operacyjnej, ale jego wewnętrzny imperatyw porządku i logiki podpowiadał mu, że nikt nie zrobiłby tego lepiej niż on sam.

Przypomniał sobie rozmowę z Dimą, który powiedział mu wprost, dlaczego musi go wyłączyć z kierowania przynajmniej tą częścią operacji, i w szybie tramwaju uśmiechnęła się do niego okrągła twarz Romana Leskiego. Poczuł się pewniej, bo wiedział, że nie jest sam. Są teraz tutaj, gotowi walczyć jeden za wszystkich, więc on też się uśmiechnął do człowieka w szybie.

Kiedy tramwaj zatrzymał się na placu Unii Lubelskiej, Monika wjechała właśnie na podwórko od ulicy Sempołowskiej. Zaparkowała samochód tak, by wejście do bramy było w polu widzenia kamery, i wyszła na Marszałkowską. Podeszła bliżej kina Luna i stamtąd zaczęła obserwować

przystanek, na którym właśnie zatrzymał się tramwaj linii 14. Roman miał przyjść z tej strony.

Pojawił się po chwili. Szedł powoli, noga za nogą, kołysząc się lekko na boki, nawet wolniej niż zwykle, i Monika pomyślała, że musi być zdenerwowany.

– Dochodzę już do bramy. Zaraz gotowa – odezwała się Ela.

– Dobrze – odparła Monika.

– Mamy czterech… – włączył się Witek. – Widzisz ich? Ja cię widzę.

– Mam. Jak na dłoni. Dziwne. – Monika była zaskoczona.

Wiatrówka szedł kilka kroków przed Romanem, a pozostali, rozrzuceni jak wachlarz, od kilku do kilkunastu metrów z tyłu. Monika miała spore doświadczenie w pracy pod obserwacją, ale coś takiego widziała po raz pierwszy. Czterech tęgich facetów, kryjących się niechlujnie, prowadzi mało profesjonalną obserwację za zwykłym człowiekiem sunącym powoli środkiem chodnika. Teraz zrozumiała, dlaczego nawet Roman mógł ich łatwo wyłapać. Od razu poczuła, że dzieje się coś bardzo niepokojącego. Znacznie bardziej, niż wcześniej przypuszczali.

– To nie jest zwykła obserwacja ustaleniowa – poinformowała Witka i Elę. – Szykuje się coś grubszego. Uważajcie! Żadnych głupstw. Bądźcie ostrożni i oczy dookoła. – Żałowała teraz, że nie postawiła się Dimie, kiedy twierdził, że obserwacja natychmiast wyłapie słuchawkę u Romana, i nie dał mu łączności.

– Okej – powtórzyli oboje.

– Też czuję coś złego – odparła po chwili Ela.

Roman zbliżał się do bramy przy Marszałkowskiej 28. Otworzył drzwi kluczem i ledwie przeszedł na drugą stronę, Adidas je przytrzymał i miękko wsunął się za nim. Reszta została na ulicy, w tym Wiatrówka, który sprawiał wrażenie dowódcy grupy. Mężczyźni zrobili się bardziej nerwowi.

Zaczęli rozmawiać. Pomyślała, że powinna teraz wejść do środka za Romanem i go chronić. Bała się, że Adidas może zaatakować bezbronnego człowieka, ale jednocześnie nie chciała złamać schematu operacji. Czuła się rozdarta. Jej serce coraz bardziej przyspieszało. Ścisnął się żołądek i zadrżały kolana. Zaczęło się najgorsze pięć minut w jej życiu.

Jasny gwint! Gdzie jesteś, Dima? Wracaj! – pomyślała i zaczęła robić nerwowe kroczki, nie spuszczając wzroku z tajemniczej trójki.

– Jestem na miejscu – usłyszała głos Witka, ale potrzebowała chwili, żeby się zorientować, kto i o czym mówi.

– Ja też – dorzuciła natychmiast Ela.

– Roman już idzie, ale Adidas wszedł za nim.

Witek czekał na klatce schodowej od alei Wyzwolenia, przytrzymując drzwi od windy. Po chwili pojawił się Roman. Wszedł spokojnie od podwórka. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, drobnymi krokami wbiegł po schodkach na półpiętro, machnął ręką do Witka i zniknął w korytarzu. Po chwili był już na ulicy po drugiej stronie, gdzie Ela zaparkowała swojego opla.

– Mam go – rzuciła i ruszyła ostro w prawo.

Przejechała ledwie sto metrów i zatrzymała się. W chwili gdy Roman wsiadał, do budynku zbliżył się Adidas. Witek widział go przez szybę w drzwiach. Zdążył jeszcze puścić windę i nacisnąć szóste piętro, po czym, tak jak Roman, skierował się do wyjścia na aleję Wyzwolenia.

– Widzimy cię… w prawo – powiedziała Ela i Witek puścił się biegiem w ich stronę.

– Zrobione – rzucił.

– Dobrze – odparła cicho Monika. – Trzech wciąż stoi na ulicy… Czekają chyba na coś… sygnał od Adidasa?

– Włączone? – zapytał Witek, jak tylko otworzył drzwi samochodu.

– Działa dobrze. – Ela podała mu laptop.

– Czy wszyscy mają już obraz na swoich smartfonach? – zapytał zdyszany.

– Ja nie mogę teraz obserwować. Mam tych… tutaj – odparła Monika.

– Okej… będę cię informował. A wy?

Ela i Roman pokiwali głowami znad swoich smartfonów.

Na ekranach pojawił się ten sam obraz, który widzieli poprzednio, z kamerki w wizjerze. Jednak jakość była o wiele lepsza niż poprzednio, bo Witek zainstalował nowe oprogramowanie. Jeśli chcieli osiągnąć, co zaplanowali, musieli mieć wyraźne zdjęcia przeciwników.

Sygnalizacja na wyświetlaczu wskazywała, że winda wciąż stoi na szóstym piętrze. Witek miał w ten sposób zasugerować, że Roman udał się do lokalu konspiracyjnego. Minęły dwie minuty i z klatki schodowej, ostrożnie się rozglądając, wyłonił się Adidas. Wszedł po schodach, bo winda wciąż stała.

– Jest już na szóstym – poinformowała Monikę Ela. – Kręci się… coś sprawdza… czekaj… podszedł do drzwi… nasłuchuje… wyjął coś… Stetoskop? Przyłożył do drzwi… i słucha…

Po półminucie nasłuchiwania Adidas nagle odskoczył od drzwi, jakby się czegoś przestraszył, i natychmiast zniknął na klatce schodowej. Wkrótce zobaczyli na obrazie z kamerki samochodowej, jak wybiega z domu, niespodziewanie zwalnia i dalej szybkim krokiem zmierza w stronę wyjścia na Marszałkowską.

– *Good!* – ucieszył się Witek. – Złapali się! Zaraz do ciebie dojdzie.

– Jest Adidas! – odparła po kilkunastu sekundach Monika. – Naradzają się… Ale amatorszczyzna, w ogóle się już nie kryją! Nerwy, panowie, nerwy, co? – zaczęła ironizować, bo poczuła się pewniej, wszystko dobrze szło. – Półmetek za nami… Muszę zmienić miejsce, bo tu już się palę…

Moment! – Urwała gwałtownie i po chwili dodała: – Właśnie przeszedł obok mnie policjant… ten sam. Idzie w ich stronę… O ja pier… to jest chyba prawdziwy policjant, bo właśnie podjechał radiowóz. Za kierownicą policjantka. Bardzo młoda. Ela, zapisz numery: HPZ B0743, numer boczny Zo67. Mamy ich!

– Zapisałam – zameldowała Ela.

Czterech mężczyzn i policjant z bronią stali kilka metrów od bramy przy Marszałkowskiej 28. Adidas i Nike rozmawiali, żywo gestykulując, policjant i Zielona Czapka tylko się przysłuchiwali. Wiatrówka wyciągnął telefon i odszedł kilka kroków w bok. Monika próbowała przejść obok nich tak blisko, jak to możliwe, nic jednak nie usłyszała. Nawet zatrzymała się na moment, udając, że szuka czegoś w torbie, ale natychmiast poczuła na sobie palący wzrok Wiatrówki. Poszła w kierunku placu Zbawiciela. Odezwała się dopiero, kiedy weszła pod arkady.

– Szykują się do czegoś, to pewne – rzuciła do mikrofonu. – Idę do was… nie mam już miejsca. Wygląda to tak… Wiatrówka to z pewnością szef, który trzyma kontakt ze zleceniodawcą, pozostali to robotnicy, a policjant… jeszcze nie wiem, ale nie pasuje mi do tego zestawu. Tak się przynajmniej wydaje.

Samochód Eli odnalazła przy ulicy Służewskiej. Wsiadła na tylne siedzenie obok Witka i od razu spojrzała na zegarek. Była punkt szesnasta. Sześćdziesiąt dwie minuty od rozpoczęcia operacji na Miłobędzkiej. Znów byli wszyscy razem.

– Jaka sytuacja? – odezwał się Roman, który nie miał słuchawki i nie wiedział, co się dzieje. Zupełnie o nim zapomnieli, choć realizowali jego plan.

– Są na podwórku – odpowiedział Witek. – Idą w kierunku naszej klatki schodowej.

– Wszystko zgodnie z planem – włączyła się Monika. – Za chwilę będziemy mieć finał. – Wzięła laptop i podała go Eli. – Postaw tak, żebyśmy wszyscy widzieli, bo na smartfonach jest niewyraźnie. – Widzisz dobrze, Roman? – zapytała, a on zdjął kapelusz i skinął głową.

Obie szerokokątne kamery z samochodu pokrywały niemal całe podwórko. Czterech mężczyzn rozrzuconych w kilkumetrowych odstępach szło wprost na nich. Wydawało się, że dzieje się coś nienaturalnego, co nie pasuje do tego miejsca. Wyglądali jak banda szykująca się do ataku i absurdalność tej sceny, wyreżyserowanej bez przekonania, potęgowała tylko jej grozę. Na czele kroczył pewny siebie Wiatrówka i spoglądał w górę, dokładnie w kierunku, gdzie na szóstym piętrze było uchylone okno. Policjanta jednak z nimi nie było.

Zniknęli w bramie. Ostatni wszedł Adidas, który obejrzał się jeszcze, nim trzasnęły za nim drzwi.

W samochodzie panowała cisza pełna skupienia i niepokoju. Nie musieli rozmawiać, by wiedzieć, co czują i o czym myślą.

To nie była ich pierwsza akcja, ale emocje towarzyszyły im zawsze takie same. Nic tak nie spaja szpiegów, nie buduje ich braterstwa jak wspólnie przelana adrenalina, bo kiedy poleje się krew, jest już zwykle za późno – mówił ironicznie Dima. Wszyscy wiedzieli, że w tej prostej, nieco pompatycznej metaforze kryje się cała zwykła prawda.

Winda zatrzymała się na szóstym piętrze i wysiedli z niej Wiatrówka i Adidas. Chwilę później dołączyli Nike i Czapka, którzy wbiegli po schodach. Wszyscy już w kominiarkach.

– Dobrzy są – skomentował krótko Witek, który sam był kiedyś wyczynowym gimnastykiem. – Zawodowcy, wyćwiczeni… to nie są zdegenerowani emeryci.

Podeszli do drzwi, wyjęli broń i ustawili się pod ścianą. Adidas jeszcze raz przyłożył stetoskop i po chwili uniósł kciuk. Słychać było, że wszystko robią w ciszy, bo Witek dołożył do kamerki mikrofon.

Z wnętrza mieszkania dochodziły głosy, ale trudno było zrozumieć, kto i o czym mówi. Czapka wyjął z kieszeni podłużny przedmiot przypominający krótki nóż i włożył go do zamka, przekręcił w prawo i pchnął drzwi, które drgnęły. Mężczyźni przyjęli postawę strzelecką, gotowi do wtargnięcia. Odczekali kilka sekund i kiedy Wiatrówka skinął głową, ruszyli naprzód.

Na ekranie laptopa, który leżał na desce rozdzielczej opla, ukazał się wymarzony obraz. Obserwatorzy wstrzymali oddech. To była nagroda za ich profesjonalizm i początek następnego etapu.

Czterej mężczyźni w kominiarkach i z wyciągniętą bronią stali na środku pustego pokoju i jak skamieniali patrzyli przed siebie. Stół, na nim butelka wódki i cztery szklanki oraz wieża z dwoma dużymi głośnikami po bokach. Nad nią metrowy papierowy transparent z czerwonym napisem: SERDECZNIE PANÓW WITAMY. PROSIMY SIĘ OBSŁUŻYĆ.

W oplu nie było jednak wybuchu radości ani nawet poczucia satysfakcji. To był dopiero początek prawdziwej rozgrywki. W dalszym ciągu nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, ale wiedzieli już, że napastnicy przyszli ich zabić.

Kiedy członkowie Sekcji budowali swój plan, zdawali sobie sprawę, że poniżony i przerażony przeciwnik na pewno się nie wycofa.

– Nasza inteligencja przeciw ich sile, ale czas biegnie wszystkim jednakowo szybko – odezwał się cicho Roman. – Mam nadzieję, że zdrajca nie wytrzyma i spanikuje, popełni błąd, a wtedy nasze plany się sprawdzą. Z całą pewnością zdaje sobie teraz sprawę, że to, co zrobiliśmy, to informacja dla niego. Skoro jego ludzie mogli odejść wolno, wie, że to

dopiero wyzwanie na pojedynek, za to my wciąż nie wiemy, kim jest. Wprawdzie dostaliśmy w pierwszym rozdaniu dwa asy, ale to nie znaczy, że wygramy. Jestem pewien, że ci egzekutorzy nie wiedzieli nawet, dla kogo pracują i po co to robią.

– A policjant? – zapytała Monika.

– No właśnie! – Roman się uśmiechnął. – I to jest punkt zaczepienia. Trzeba będzie poinformować Dimę.

– On też jest w niebezpieczeństwie – dodała.

39

Dima miał dobrze przygotowaną historię. Była prosta i wiarygodna, solidnie zalegendowana, skrojona specjalnie pod Wierę. Wprawdzie znał jeszcze kilka osób tkwiących w rosyjskich służbach, ale niecelnym strzałem mógł spalić pomysł, a miał tylko jeden pocisk.

Najważniejsze było, że Wiera dawała mu dobre alibi i była poza wszelkimi podejrzeniami. Miała też kontakty w GRU, które stwarzały nadzieję, że uzyska coś, co pomoże mu uratować Henryka.

– Kilka dni temu – zaczął Dima – talibowie uprowadzili w Pakistanie czterech obcokrajowców i zabrali ich w góry…

– Widziałam w telewizji – przerwała mu Wiera.

– Jest wśród nich Brytyjczyk Oliver Bridges, podróżnik i malarz, który nie ma nic wspólnego z polityką. Rząd w Londynie spisał go na straty i nie będzie prowadził negocjacji ani nie pójdzie na żadne ustępstwa. Talibowie pewnie go zetną i tak zakończy się jego życie. Porwania miał dokonać oddział jakiegoś Tygrysa, ale z mediów prawie nic nie można się o nim dowiedzieć. Mój przyjaciel, grecki dziennikarz, dobrze zna reportera brytyjskiej TV News2, Johna Mayalla, który jest w kontakcie z Bridgesami. Gotowi są wyłożyć milion funtów za Olivera, i to obojętnie w jakiej kombinacji, byle był wolny. Zależy im na jak najszybszej odpowiedzi i zachowaniu całkowitej tajemnicy, bo zdają sobie sprawę, że talibowie wszystkich nie zwolnią, więc chcą być pierwsi. Muszą to ukrywać przed

władzami brytyjskimi, które z oczywistych względów nie akceptują takich transakcji.

Wiera słuchała spokojnie, bez specjalnego zainteresowania, przekładała pusty kieliszek z ręki do ręki i tylko czasami potakiwała głową. Kiedy jednak wspomniał o okupie, zaczęła mu się uważniej przyglądać, jakby chciała zapytać, po co to robi.

Dima starał się sprawiać wrażenie zdystansowanego i wiarygodnie skrywał swoje prawdziwe intencje. Wiera nie była wybitnym oficerem wywiadu, ale wystarczająco dobrze znała słabe strony Dimy, by wyłapać fałsz w jego słowach.

– Po co to robisz? – zapytała w końcu, zgodnie z jego oczekiwaniami.

– Jeśli myślisz, że dla…

– Nie, nie pomyślałam tak – przerwała mu.

– Może warto uratować życie tego młodego człowieka, wyrwać go z tej bezsensownej sytuacji… uchronić od śmierci. Komu ona potrzebna? A może uda się ich wszystkich ocalić. Co o tym sądzisz… Wiero?

Jak na człowieka, który przez lata żył na skraju prawa i uczciwości, brzmiał zbyt ciepło, zbyt ludzko, ale to właśnie wywarło na Wierze największe wrażenie. Już przed laty, kiedy go poznała, uważała, że Dima nie pasuje do środowiska, w którym tkwi.

– Niczego ci nie mogę obiecać, ale milion funtów… powiadasz? – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Może się znaleźć ktoś chętny, kto akurat potrzebuje takiej kwoty. Myślę, że wiem, z kim możesz porozmawiać.

– Z kim?

– Z moim byłym mężem. To wyjątkowo podły człowiek, więc może być bardzo przydatny w takiej sprawie. Nie ma bardziej chciwego Rosjanina niż on. Znam go dobrze… bardzo dobrze.

– To dlaczego za niego wyszłaś?

– Wiesz… prawdziwie kochasz wtedy, kiedy nie wiesz za co – odpowiedziała. – Oleg… Oleg Dunin… pułkownik. Został szefem Batalionu „Jug” GRU dzięki mojemu ojcu, który jednak nie zdążył go już odwołać, bo przed naszym rozwodem odszedł ze służby i dostał wylewu. A poza tym Oleg był dobrym ojczymem dla Sierioży. Usynowił go… łączą ich bardzo dobre relacje.

– „Jug”?

– To jednostka, która działa w Syrii… Oleg ciągle tam siedzi. Razem z ludźmi Kadyrowa zajmują się islamskimi radykałami, ale szczegółów nie znam. Teraz jest w Moskwie. – Sięgnęła po telefon, który leżał na stoliku. – Umówię was na jutro, chcesz? – I nie czekając na odpowiedź, dodała: – A ty idź do lodówki i przynieś następnego szampana.

Dima podniósł się energicznie, demonstrując swoją wysportowaną, chłopięcą sylwetkę. Spostrzegł, że Wiera odprowadza go lekko zamglonym, jakby zachęcającym wzrokiem. Kiedy więc przechodził obok niej i poczuł, że delikatnie musnęła palcami jego dłoń, zrobiło mu się przyjemnie.

Rozumiał te sygnały, a propozycja drugiej butelki szampana nie pozostawiała złudzeń co do tego, jak ma się skończyć wieczór. Mimo to nie był pewien, czy powinien się zgodzić.

A jeśli Sierioża jest moim synem? – przeszło mu znów przez myśl i zaniepokoił się jeszcze bardziej. Nie chciał tego usłyszeć, nie był na to gotowy, ale nie mógł jej przecież powstrzymać. Wydawało mu się nawet, że jeżeli teraz odrzuci jej zaproszenie i powie, że dziękuje za następnego szampana, to sprowokuje ją do wyznania prawdy.

Nie poszedł prosto do kuchni. Najpierw wstąpił do łazienki.

Wyjął z kieszeni telefon. Aktywował apkę Calculator i z zapisanego w pamięci file’a wbił numer Tamary. Wybrał opcję Text. Klawiatura

kalkulatora zmieniła się w alfabetyczną. Dima wpisał: *Płk Oleg Dunin z GRU. Szef Batalionu „Jug” do zadań specjalnych. Działa w Syrii z ludźmi Kadyrowa. Co wiesz? Niegdyś pupil gen. Kozakina. Może mieć namiar na talibów.*

Nacisnął klawisz Send, ale wyświetlił się czerwony napis *no internet* i dopiero teraz Dima zdał sobie sprawę, że nie podłączył się do wi-fi Wiery. Nacisnął przycisk Save i wyłączył telefon.

Wziął z lodówki szampana i wrócił do pokoju.

– Co tak długo, Dima? – Wiera udała zaniepokojenie. – Oleg przyjdzie jutro o dziesiątej. Pasuje ci?

– Gdzie?

– Tutaj… u mnie. Chcesz, żebym była obecna?

– Okej… pasuje. A twoja obecność chyba nie zaszkodzi – odparł, otwierając szampana. – Zdecyduj sama. Nie znam go przecież…

– Wydaje mi się, że znasz. Spotkałeś go kiedyś u mnie. Pracowałam z nim przez jakiś czas. Ale rzeczywiście… lepiej, jeżeli będę przy tej rozmowie.

Zanim Dima odstawił butelkę, uniosła swój kieliszek. Jego brzeg był umazany szminką i Dimie wydało się to bardzo podniecające.

– Chcę się dzisiaj upić – oznajmiła.

– Uwielbiam cię po alkoholu, te twoje zamglone oczy – odpowiedział tak jak kiedyś, a jej bardzo się to spodobało, bo tylko przy nim czuła się bezpieczna.

– Dopiero podczas rozwodu kobieta się dowiaduje, za kogo wyszła za mąż. I dziś mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że Oleg to podły i niebezpieczny człowiek… morderca i sadysta o uroczym, zniewalającym uśmiechu, nałogowy mag kłamstwa. Czyli dokładnie ktoś, kogo szukasz. Ale sam nie dasz sobie z nim rady, jesteś zbyt delikatny i uczciwy. Taki jak

ja. Oleg nigdy mnie nie skrzywdzi, ani Sierioży, dla mnie to więcej niż pewne. Za to ty potrzebujesz przewodnika, który poprowadzi cię za rękę i da ci alibi, a ja jestem do tego stworzona. – Wiera poczuła moc szampana i zrobiła się sentymentalnie gadatliwa. – Czyż nie? – Z kieliszkiem w dłoni szeroko rozłożyła ramiona i jak szansonistka seksownie wypinając piersi, uśmiechnęła się lubieżnie. – Popatrz tylko!

– Widzę, że bez ciebie nie mam żadnych szans – odparł Dima wymijająco. – Czy on… o nas wie?

– Nie… nikt o nas nie wie. Jeśli o to ci chodzi. Oczywiście jeżeli ty…

– Ja nie…

– To wszystko w porządku.

Stuknęli się kieliszkami.

– Powiedziałam mu, że jesteś znajomym, którego spotkał u mnie przed laty, a który ma poważną sprawę… prywatną sprawę do załatwienia. Nie pytał kto i co. To dobry znak.

Dima wyciągnął swój telefon.

– Powinienem sprawdzić pocztę. Czekam na wiadomości z Londynu w sprawie tego chłopaka. Mogę się podłączyć do twojego wi-fi?

– Szczerze mówiąc… – Wiera spojrzała na Dimę nieco zaskoczona – powinieneś wiedzieć, że ktoś taki jak Oleg, zanim ci cokolwiek obieca, sprawdzi cię w naszych rejestrach. Od razu mu wyjdzie, że byłeś moim źródłem informacji, bo nie mogłam tego zatrzeć, a potem sprawdzi wszystkie logowania do sieci na moim adresie… i od razu zauważy, że zostałeś u mnie na noc. – Uśmiechnęła się w sposób niepozostawiający złudzeń, że tak się właśnie stanie, i Dima odpowiedział jej spojrzeniem, które ją wyraźnie usatysfakcjonowało. – Wyczesze ci cały komputer, pocztę, Facebooka i gdziekolwiek tam żyjesz w sieci, i będzie o tobie wiedział wszystko, więcej, niż ty sam wiesz o sobie. Nie oszukasz go, ale

on ciebie z łatwością. Zabierze ci pieniądze, oskubie Anglików i nic nie załatwi. Więc lepiej nie loguj się u mnie i nie dzwoń z mojego mieszkania.

– Wierka! – Dima obruszył się, udając naiwnego. – To jak mam z nim rozmawiać, skoro dajesz mu taką rekomendację? Jaki to ma sens? Nie masz kogoś bardziej… albo mniej…

– Dimka, co z tobą? Zapomniałeś? To czym ty się teraz zajmujesz? – wystrzeliła serią pytań. – Chcesz rozmawiać z normalnym oficerem GRU? Po co ci to? Normalny nic nie załatwi, tylko sprzeda cię FSB. Oleg jest wprost idealny do tego pomysłu, tak bardzo zepsuty i chciwy, że aż niedowidzi i niedosłyszy z tego powodu, a nas jest dwoje, więc mamy przewagę. Jego obchodzi tylko forsa, my zaś chcemy zrobić coś dobrego.

– My?

– A nie? – odparła bez zastanowienia. – Sam nic nie możesz. Ja chętnie ci pomogę, wciąż mam kontakty… tu i tam. – Spojrzała na zegar ścienny. – Jest dziesiąta. Zjedź na dół do McDonalda. Mają tam darmowy dostęp do wi-fi. I przy okazji kup coś do jedzenia. Zupełnie zapomniałam o kolacji.

– Energetyczny big mac na noc? – zapytał, wstając, ale Wiera tylko się uśmiechnęła. – Bardzo romantyczne. Jak kiedyś…

40

Od początku zakładali, że ten dzień musi się zakończyć jakąś niespodzianką.

Wróg sprawiał wrażenie zdeterminowanego. Na scenie pojawiła się broń i było już tylko kwestią czasu, kiedy wypali. I chociaż to przewidzieli, opróżnili lokal na alei Wyzwolenia i przygotowali zasadzkę, to w głębi duszy nie podejrzewali, że na tym sprawa się zakończy. Było dla nich oczywiste, że mają do czynienia nie z wynajętymi policyjnymi emerytami, lecz z profesjonalnymi zabójcami. Ich odwaga, metodyka działania, znajomość technik operacyjnych jednoznacznie wskazywały na służby specjalne. Nie wiedzieli jednak, co sprawiło, że stali się celem tak brutalnej akcji, która przecież, gdyby się powiodła, musiałaby wstrząsnąć całymi polskimi służbami i przyciągnąć uwagę partnerów. Morderstwa czterech oficerów polskiego wywiadu w ich lokalu konspiracyjnym nie dałoby się ukryć. Musiał się z tym liczyć każdy, kto miał w tym cel.

Jakie służby mogły za tym stać? Wybór był duży, zgodnie twierdzili Roman i Monika. Pewne było jedynie to, że w Centrali na Miłobędzkiej jest zdrajca. Stamtąd płynęło największe zagrożenie, szczególnie dla Romana, który nie mógł już wrócić do swojego mieszkania na Ochocie.

Początkowo ustalili, że byłoby najbezpieczniej, gdyby Ela przeniosła się do Moniki, a Roman zamieszkał z Witkiem na Kabatach. Wydawało im się, że w ten sposób łatwiej zmylą przeciwnika, który będzie musiał włożyć

więcej pracy w ustalenie dwóch kryjówek. Ostatecznie jednak wybrali wariant „inteligentnej i ergonomicznej obrony”, jak to określił Roman, i zorganizowali sztab na Kabatach.

Była pogodna, gwiaździsta sobota, minęła dwudziesta. Cała czwórka w sennych, półleżących pozycjach odpoczywała w salonie z widokiem na Las Kabacki. Kartony po pizzy, niedopita butelka półtoraprocentowego mleka, dwie puste zielonkawe puszki po napoju aloesowym, na ławie rozsypane orzeszki, dwa pudełka po chińszczyźnie, a wszystko przyozdobione szklankami, kubkami i zmiętymi serwetkami. Na żółtej komodzie przy drzwiach leżały dwa glocki.

– Boli mnie głowa – odezwała się Monika, ale nikt nie zareagował. Po kilku godzinach nieustannej dyskusji każdego bolała głowa, nawet Romana, który w wielkim fotelu wyglądał jak monument Abrahama Lincolna zatroskanego losem kraju. – Elu, masz jakieś środki?

– Nie – odparła Ela, nie otwierając oczu, z głową miękko opartą na ramieniu Witka. – Ale mam czerwone wino.

– Ja chętnie… kieliszek – wciął się cicho Roman, nie czekając na reakcję Moniki.

Wszyscy jak na komendę przebudzili się z letargu i spojrzeli w jego stronę. Nigdy dotąd nie widzieli, żeby Leski pił alkohol, ani nawet nie słyszeli, by mówił o winie czy piwie, jakby te w ogóle nie istniały, więc nieraz żartowali sobie z jego abstynencji, robiąc najróżniejsze zakłady.

Witek poderwał się, jakby startował do skoku przez kozła, i klucząc między wyciągniętymi nogami, pobiegł do kuchni.

– A ja bym jeszcze chętnie zapaliła papierosa – dołączyła się Monika. – Jak ból głowy, to na całego.

Niepotrzebnie się tłumaczyła. Po prostu czasami lubiła zapalić, ale nigdy się do tego nie przyznawała i robiła to w ukryciu. Poza tym miała nadzieję

ich rozruszać, rozbudzić i przygotować do nowych wyzwań, ale się nie spodziewała, że przy okazji sprowokuje Romana do takiej deklaracji. Wszyscy czuli dla niego ogromny szacunek, dla jego przenikliwości i mądrości, bo to on był autorem planu, dzięki któremu uniknęli najgorszego.

Ale ten dzień jeszcze się nie zakończył.

W Moskwie trwało spotkanie Dimy z Wierą i wszyscy czekali na jego telefon, ale tylko Monika czuła dziwne kobiece zaniepokojenie graniczące z zazdrością. Przez chwilę pomyślała nawet, że to nie był dobry pomysł, by Dima odświeżał kontakt z Wierą, i to w sprawie, dla której gotów był się poświęcić. Nie powiedział tego przed wyjazdem, ale wiedziała, do czego jest zdolny i jakie metody potrafi stosować, żeby osiągnąć swój cel. Sama nigdy by się na to nie zdobyła. Nie ma takiej sprawy, dla której mogłaby złamać swoje zasady.

Prawie całą sobotę przeleżeli na fotelach, rozkładając na czynniki pierwsze każdy szczegół, analizując, co może się jeszcze wydarzyć, a co należy wykluczyć. Ale za każdym razem, kiedy dochodzili do jakiegoś wniosku, decyzji, pomysłu na następny ruch, wracali do konkluzji, że wróg w tej chwili robi dokładnie to samo, a może nawet już wyprzedza ich o krok. Zaczynali się powoli gubić i obraz stawał się coraz bardziej nieczytelny.

Tak nie możemy pracować – pomyślała Monika.

– Masz internet w telewizorze? – zwróciła się do Witka, który właśnie skończył rozstawiać kieliszki do wina. Skinął głową i podsunął jej pilota. – Muszę pokazać wam coś, co powinno zdyscyplinować wasze myślenie, a przynajmniej wyczyścić, a potem uporządkować wyobraźnię. Siadać, wszyscy!

Wyjęła papierosa z paczki, którą przyniosła Ela, i włożyła go do ust, ale nie zapaliła. Pilotem włączyła zawieszony na ścianie czterdziestocalowy telewizor. Sprawnie, kilkoma ruchami przestawiła go na internet. Następnie wpisała w wyszukiwarce *małżeństwo arnolfinich*.

Po chwili na ekranie pojawił się barwny obraz z trzymającą się za ręce parą w średniowiecznych strojach.

– To jest *Portret małżonków Arnolfinich* namalowany w tysiąc czterysta trzydziestym czwartym roku przez flamandzkiego artystę Jana van Eycka. Klasyczna zagadka… rebus, a może nawet rodzaj kabalistycznej szarady – zaczęła Monika, wodząc kursorem po ekranie. – Tak czy inaczej, żeby ją rozwiązać, trzeba się porządnie skoncentrować. Połączyć wiedzę i logikę, czyli zrobić badanie SWT… tak, tak… Czyli… – Ściszyła nieco głos, wciąż z niezapalonym papierosem w kąciku ust. – Wyobraźcie sobie, że przechadzacie się po muzeum i oglądacie obrazy… Tu autoportret Rembrandta, tam rodzina królewska Velazqueza, dalej *Maja naga* Goi… i nagle taki van Eyck. I zatrzymujecie się, bo urzekła was ta para o urodzie zombi, w klaustrofobicznym pokoiku i z pieskiem jak małe monstrum. Dlaczego to wisi w National Gallery? – Spojrzała na Elę i Witka. – Co widzicie?

– Chorowity gość w kapeluszu jak sagan na ziemniaki i futerku à la Sophia Loren ma zamiar przybić piątkę nieletniej panience w ciąży – odezwał się Witek i wszyscy wybuchnęli śmiechem. – A tak poważnie…

– Małżonkowie, jak powiedziałaś… portret we wnętrzu… – włączyła się Ela, kończąc nalewanie wina do kieliszków. – Jak rysunek z komiksu albo plakat filmowy Olbińskiego… Wydaje się, że ten mężczyzna przysięga coś tej kobiecie o urodzie dziecka i z dzieckiem w brzuchu. Wyglądają na ludzi zamożnych. Kim są dla siebie? Chyba jednak parą… Chcą nam coś powiedzieć, ale co chce powiedzieć van Eyck? Nie wiem. Podoba mi się,

nic więcej… – Spojrzała na Romana, który przyglądał się uważnie obrazowi i sprawiał wrażenie, jakby go analizował, żeby za chwilę wydać wyrok.

Mimo to po słowach Eli zaległa cisza.

Cała czwórka wpatrywała się w obraz na ekranie telewizora, dopóki Roman nie sięgnął po wino. Dopiero wtedy wszyscy przenieśli wzrok na niego. Chcieli zobaczyć, jak podnosi kieliszek do ust. Ale on tylko oparł go na poręczy fotela, trzymając dwoma palcami za nóżkę.

– Dobra! – odezwała się w końcu Monika. – Widzę, że nie dacie rady tej zagadce, którą rozwiązują studenci ASP na pierwszym roku. I tym właśnie różnią się artyści od reszty ludzkości: widzą lepiej, dalej, wyraźniej. Dlatego pchają ten świat do przodu… – Zamilkła, bo poczuła, że się zagalopowała.

Spojrzała na Witka i Elę, którzy siedzieli na kanapie i patrzyli na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

– Okej – rzuciła spokojnie, wręcz z pokorą. – To włoski kupiec Arnolfini i jego żona Giovanna podczas ceremonii zaślubin. Nie ma księdza, bo wtedy można było brać ślub tylko przy świadkach. Ci ostatni odbijają się w lustrze, które widzicie między młodymi, a samo lustro to symbol Marii i Niepokalanego Poczęcia. Z kolei miotła i różaniec na ścianie oznaczają pracę i modlitwę. Ale to jest dzieło o tematyce świeckiej. Popatrzcie! – Przesuwała kursorem po obrazie. – On stoi przy oknie, które symbolizuje otwartość na świat, a ona przy łóżku, co nie oznacza rozkoszy seksualnej ani wypoczynku, jak byśmy dzisiaj pomyśleli, tylko kontynuację rodu, chociaż… natury nie omamisz… łóżko jest też miejscem śmierci. – Uśmiechnęła się, ale nikt nie zareagował. – I panienka oczywiście wcale nie jest w ciąży, bo przed ślubem w tamtych czasach to… wiecie. Ona po prostu tak podtrzymuje suknię. I dalej… płonąca świeca to Bóg, pies –

wierność, rozrzucone buty oznaczają, że to uroczystość religijna, a jedyny element symbolizujący ludzką burzę hormonów to czerwone draperie, czyli namiętność. Ale żeby im się nie poprzewracało od niej w głowie, na stole i oknie leżą owoce, symbol czystości i niewinności, jaka istniała w raju przed grzechem pierworodnym. – Wyjęła papierosa z kącika ust, jakby nagle sobie przypomniała, że cały czas tam tkwi, i sięgnęła po kieliszek.

– Imponujące… rzeczywiście… – skomentował Witek. – Ile można wyczytać…

– Teraz to widzę zupełnie inaczej! – dodała Ela. – Noo… niezwykłe, jak łatwo… rzeczywiście sztuka wyprzedza naszą percepcję, kształtuje wyobraźnię…

– Sztuka to umiejętność takiego manipulowania tworzywem i odbiorcą, by artysta mógł osiągnąć cel, do którego dąży – odezwał się po raz pierwszy Roman i umoczył usta w winie. – Czyli dokładnie to, co i my robimy. Podsumujmy wypowiedź Moniki, opierając się na informacjach z innych źródeł. Włoski kupiec Arnolfini ożenił się w tysiąc czterysta czterdziestym czwartym roku, czyli dziesięć lat później, a obraz przedstawia brugijskiego muzyka Arnoldusa de Fin, który uniósł dłoń nie w geście przysięgi małżeńskiej, tylko zaproszenia dla wchodzących do pomieszczenia mężczyzn odbijających się w lustrze. Przedmioty nie mają żadnego symbolicznego znaczenia i są naturalnymi elementami w pomieszczeniu, a świece zapalano nie jako symbol Boga, ale dlatego, że tak zwykło się czynić, gdy przychodzili goście.

Trzy osoby w bezruchu wpatrywały się szeroko otwartymi oczami w Romana, który wciąż siedział jak posąg i z ironicznym uśmieszkiem popijał wino. Nie wyglądał już jak Lincoln, lecz jak londyński marszand i koneser wina w chwilę po zakończonej aukcji dzieła van Eycka w Sotheby’s.

To był dla nich szok. Nie mogli uwierzyć, że Leski nie okazał się zaprzysięgłym abstynentem, co było przedmiotem licznych zakładów. Jego profesjonalna wiedza na temat sztuki, lekkość, pewność siebie i sposób, w jaki zbił wywód Moniki, wprost idealnie pasowały do stylu trzymania kieliszka i unoszenia go do ust.

Roman… Leski… Roman… – pomyślała Monika, bardziej zaszokowana niż zdumiona, bo poczuła się niemal obnażona w swojej naiwności i arogancji. Miałeś rację, Dima, miałeś rację… Szacun!

Dopiero teraz zrozumiała, o czym Dima myślał, kiedy mówił, że to nie ona wybrała pracę w wywiadzie, żeby nadać życiu nową wartość, jak uważała, tylko wywiad wybrał ją, bo była mu potrzebna.

Gdzieś w głębi duszy zawsze jej się wydawało, że jest inna, wyjątkowa, ma to trzecie oko, a teraz okazało się, że Roman po prostu wyłuskał ją spośród studentów ASP, bo potrzebował kogoś takiego. To było tak zwykłe, prozaiczne, codzienne, że aż zrobiło jej się przykro. Ale najbardziej ją zabolało, że Dima cały czas o tym wiedział.

Sięgnęła po zapalniczkę i już miała jej dotknąć, gdy obok zadzwonił telefon i na ekranie pojawił się napis *Dima*. W Moskwie była dziesiąta piętnaście.

41

W poniedziałek Leski przyjechał do pracy na siódmą, podrzucony samochodem przez Witka na skrzyżowanie Wołoskiej i Racławickiej. Resztę drogi pokonał pieszo i chociaż przez teren szpitala MSW było mu bliżej, wolał przejść się ulicą.

Minął tydzień od uprowadzenia Henryka Olewskiego.

Członkowie Sekcji zdawali sobie sprawę, że ten drugi tydzień będzie decydujący. Jeżeli w tym czasie nie uczynią postępu, nie ujawnią zdrajcy w Agencji, nadzieja na uwolnienie majora spadnie do zera, tym bardziej że wróg próbuje ich powstrzymać, sięgając po broń.

Roman otworzył swoją szafę pancerną. Najpierw sprawdził zabezpieczenia wewnętrzne, a dopiero potem wyjął teczkę zapinaną na zamek szyfrowy. Wrócił do biurka, zabierając po drodze kubek z herbatą, i zasiadł w fotelu.

Wyciągnął z teczki niebieską okładkę, a z niej kartkę z napisem SCHEMAT ZDRADY.

– Ośmiu aktorów, osiem miast, minęła sobota i niedziela, w Agencji wciąż siedzi zdrajca, ktoś usiłował zamordować czterech oficerów wywiadu i nie mam żadnej nowej linii, która mogłaby połączyć cokolwiek… – wymruczał Roman i siorbnął herbaty ulung. Przesunął palcem od dołu po liście nazwisk i zatrzymał go na jedynce. – Szef Korycki… Czy to możliwe? – zapytał. – Możliwe.

Spojrzał na zegar. Minęła ósma trzydzieści. Wszyscy zastępcy szefa byli już w pracy. Pański miał być od rana w MSZ, a Błaszczyk pewnie nawet nocował w swoim biurze. Minęła niedziela i nikt nie dzwonił, jakby nic się nie działo. Cisza. Leski nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, ale wiedział, co ma teraz zrobić. Zadzwonić do Bronka i czekać na telefon od Dimy.

Wziął telefon i wybrał z pamięci kontakt „Kula”.

– Cześć. – Bronek odezwał się pierwszy.

– Cześć – powtórzył Roman. – Mam sprawę. Na cito. Zjawi się u ciebie Marta Górska, wysoka brunetka o orientalnej urodzie, lat trzydzieści pięć. Będzie miała policyjną blachę CBŚP. Powie ci, czego potrzebuje…

– Niech przyjedzie po dwunastej. Zaraz mam naradę – odparł Bronek.

– Nic z tego. Ona już czeka na dole. Odwołaj.

– Kurwa, Roman! – rzucił Bronek przez zęby. – W chuja lecisz? Nie mogłeś wcześniej?

– Mogłem, ale tego nie zrobiłem.

– Kurwa, co ja z tobą mam! Ja pier…

– No?

– Dobra! – odezwał się po chwili Bronek. – Mogę przesunąć naradę o pół godziny… Wystarczy?

– Powinno. Idź po nią.

– Okej. Oby to było naprawdę ważne. – Był wyraźnie niezadowolony.

– To jest ważne, Bronku… bardzo ważne. – Roman mówił cicho, ale zdecydowanie.

– Okej, okej… – Jego rozmówca wyraźnie zmienił ton. – No wiem… wiem przecież. – Rozłączył się.

Nadinspektor Bronisław Walczak, zastępca dyrektora Biura Spraw Wewnętrznych w Komendzie Głównej Policji na ulicy Puławskiej, od piętnastu lat był współpracownikiem Romana. A tak naprawdę od

pięćdziesięciu lat był jego przyjacielem. Odkąd usiedli w jednej szkolnej ławce, przyjaźń trwała nieprzerwanie, niezmącona i sprawdzona. Nigdy nie odpuścili sobie dwóch letnich tygodni na wspólne wczasy w Bieszczadach.

Bronek był bratem Hani i jako jedyny znał historię kapelusza trilby.

Kiedy Roman Leski został szefem Sekcji i zaczął budować swoją sieć, uznał, że Bronek, który piął się szybko po szczeblach kariery w policji, będzie jednym z ważniejszych trybów w jego maszynie bezpieczeństwa. Nigdy nic przed sobą nie ukrywali, więc Roman powiedział Bronkowi prawdę, a on bez wahania zgodził się dla niego pracować.

Wprowadzając elementarne zasady konspiracji, ograniczyli kontakty bezpośrednie do niezbędnego minimum, bo ujawnienie ich związku mogło być bardzo kosztowne dla nich i dla sprawy.

Roman potrzebował w policji kogoś oddanego, komu mógł zaufać bardziej niż premierowi, politykom czy nawet swojemu szefowi. Jego zadaniem było szukanie zdrajców we własnych szeregach i podejmował się zleceń ponad prawem. A zaufanie to sprawa względna, uważał, bo tylko ci, którym ufasz, mogą cię zdradzić.

Nie miał obsesji na tym punkcie, dlatego zawsze starał się, by jego współpracownicy mogli mu zaufać, a on im, lecz kto nadzieję żywi, w strachu żyć musi. Każdy człowiek może wydać ograniczoną liczbę licencji na zaufanie – powtarzał swoim ludziom.

Bronek podszedł do wysokiej, szczupłej brunetki z krótkim końskim ogonem, w dżinsach i zielonej budrysówce.

– Marta?

Skinęła głową.

– No to chodźmy. Mam mało czasu.

– Więc może od razu powiem, czego potrzebuję – odparła Ela, gdy wręczał jej kartę magnetyczną. – Mam numery rejestracyjne radiowozu,

zdjęcie policjanta i musimy ustalić, kto to jest… – Przerwała na chwilę, kiedy przechodzili przez bramkę. – Jego dane, gdzie mieszka… telefon…

– Idziemy do mnie – rzucił Bronek i przyspieszył kroku, ale nie udało mu się wyprzedzić wyższej o głowę Eli.

Przeszli przez sekretariat tak szybko, że sekretarka nawet nie zdążyła zapytać, czy ma coś podać.

– Proszę mi nie przeszkadzać przez piętnaście minut – rzucił Bronek i zatrzasnął za sobą drzwi.

Ela wyjęła z torby kartki i podała Walczakowi, który zdążył już zasiąść w fotelu i stukał palcami w klawiaturę. Założył okulary, przesunął je na koniec nosa i zaczął przepisywać numer rejestracyjny radiowozu. Ela od razu zauważyła, że nadinspektor Walczak nieczęsto korzysta z komputera.

– Radiowóz jest z komendy na Wilczej – odczytał z monitora. – Teraz ci policjanci… policjanci… gdzie to jest… Aaa. – Wziął kolejne kartki do ręki. – Chodź tu bliżej! – Skinął palcem na Elę. – Pomożesz. Będzie szybciej. – Spojrzał na zegarek. – Albo siadaj tutaj i przeglądaj. Masz już wybranych policjantów z komendy na Wilczej. – Wstał i odwrócił swój fotel w kierunku Eli. – Tu – dotknął ekranu – robisz klik i przeskakuje ci kolejna kadrowa fiszka.

Ela odsunęła fotel od biurka i stukając w klawisz Enter, zaczęła przeglądać akta funkcjonariuszy. Na ekranie pojawiały się karty personalne opatrzone zdjęciem. Ela doskonale pamiętała twarze policjanta towarzyszącego napastnikom i policjantki, która w sobotę prowadziła radiowóz.

Wyłapała ich w pół minuty. Najpierw odnalazła starszą posterunkową Magdę Kozak, a po chwili ukazała się twarz sierżanta Waldemara Burskiego.

Wydrukowała obie karty.

– Mam, czego szukałam – rzuciła, chowając kartki do torby.

– To wszystko? – zapytał Walczak i nerwowo spojrzał na zegarek.

– Chyba nie – odparła. – Musimy się do nich zbliżyć…

– Rozumiem. Ale powinienem cokolwiek wiedzieć. Mam dzwonić do Romana, tak? – zapytał niepewnie. – Będę mógł dopiero po naradzie – dodał.

– Są podejrzewani o szpiegostwo i usiłowanie zabójstwa naszych ludzi – poinformowała go Ela zgodnie z zaleceniem Romana.

Twarz Walczaka skamieniała.

– O… kurwa! – wymknęło mu się. – Przepraszam, ja pier… Trzeba było tak od razu. – Przysiadł na rogu biurka. – No i co teraz?

– Musimy się do nich dobrać i prosimy o pomoc – odparła chłodno Ela.

– O kurwa… przepraszam – skomentował ponownie Walczak i wychylił się do interkomu. – Małgosiu, przesuń, proszę, naradę o pół godziny.

– Dobrze, szefie – odparła sekretarka.

– Okej. – Tym razem powstrzymał się od przekleństwa. – Mam pomysł. – Spojrzał na Elę i podniósł krzaczaste, zrośnięte brwi. – Mam tam na komendzie swojego człowieka… rozumiesz?

– Rozumiem. Ma pan swojego agenta.

– No właśnie. To mój człowiek do zadań specjalnych. Rozpracowuje pewną grupę… sprawa związana z korupcją. Zamieszanych jest kilku funkcjonariuszy, ale nie ci wasi… o ile pamiętam. Zrobimy tak. Zaraz cię umówię z aspirantem Markiem Oławskim. Zadzwonisz do niego i spotkacie się gdzieś poza komendą. Powiesz, że jesteś policjantką z BSW na przykryciu i prowadzisz sprawę, w której uczestniczą ci policjanci. Coś tam wymyślisz. Oławski nie będzie się dopytywał, bo zna zasady i jest inteligentnym, pryncypialnym policjantem. Mam nadzieję, że dasz sobie radę. – Walczak spojrzał pytająco, jakby nie ufał Eli.

– Dam – odparła krótko.

Wyszła na ulicę i natychmiast zadzwoniła do Romana. Zdała mu szczegółową relację ze spotkania z Walczakiem. Za chwilę miała zadzwonić do aspiranta Oławskiego, który uprzedzony przez Walczaka czekał już na jej telefon. Zaproponowała, że przepyta go najpierw w sprawie Burskiego w typowy wywiadowczy sposób, by nie ujawniać właściwego powodu zainteresowania, a dopiero potem zajmie się tą Magdą Kozak. O dalszym przebiegu rozmowy zadecydują informacje, które uda jej się uzyskać. W tym czasie Witek pojedzie na ulicę Polaka 5 na Imielinie i zrobi rozpoznanie w miejscu zamieszkania Burskiego.

Roman wysłuchał relacji Eli bez słowa komentarza, tak jakby przyjmował jej raport o zgodę na realizację zadania. Na koniec potwierdził, że wszystko zrozumiał, podziękował za dobrą robotę i polecił, by zachowali szczególną ostrożność.

Witek i Ela byli uzbrojeni, a wróg niebezpieczny, więc Roman nie czuł się z tym dobrze. Miał poważne wątpliwości, czy ma prawo ryzykować ich życie. Do tej pory nie stawał twarzą w twarz z tym dylematem, ale teraz sytuacja zmieniła się diametralnie. Wcześniej mógł ich zawsze w odpowiednim momencie wycofać, a gdy zagrożenie było zbyt duże – po prostu przerwać operację. Tym razem jednak już się nie ścigali, lecz trwali w klinczu z nieznanym przeciwnikiem, któremu nie mogą poluzować, bo zginą. Czuł się jak ojciec z czwórką dzieci w szalupie na środku oceanu. Niczego nie żałował teraz bardziej niż tego, że nie nauczył się strzelać.

Odłożył telefon komórkowy i sięgnął po stacjonarny. Wybrał z listy nazwisko „Walewski” i nacisnął przycisk.

Rozmówca odebrał natychmiast.

– Co nowego, Romanie? – zapytał od razu, a Leskiemu się wydało, że Walewski jest bardziej uprzejmy niż zwykle.

– Pamiętasz, w sobotę u szefa mówiłeś o sprawie… takiej jakiejś sprawie w RPA, z naszym współpracownikiem, który tam zniknął…

– Tak, pamiętam, o sprawie Lola. A co?

– Chciałbym ją przejrzeć.

– Po co?

– Nic takiego – odparł lekko znudzonym głosem Roman. – Coś mnie tam zaciekawiło. A masz coś przeciwko… uważasz, że nie warto?

– Nie… no skąd! Teczka może być teraz u Pańskiego, ale zaraz sprawdzę, czy do nas wróciła. Jak jest, to zaraz ktoś ci ją przyniesie, a jak u Pańskiego, to będziesz musiał poczekać, aż wróci z MSZ.

– Jest teraz na komisji?

– Tak… byłem rano u szefa i coś się wydarzyło w Islamabadzie… ale nic więcej nie wiem.

– Ciekawe. W porannych depeszach nic nie było. Okej. To czekam.

– Może wpadnij na kawę. Masz czas?

– Wpadnę za pół godziny – odparł Roman i pomyślał, że Walewski chce mu coś powiedzieć.

42

Wzięli razem prysznic i po ósmej, w szlafrokach, zasiedli do śniadania. Wiera wyczarowała słodkie naleśniki z borówkami, pszenne pieczywo z czekoladą i świeży twarożek z morelami. Kuchnię wypełnił aromat porannej kawy z kardamonem.

Dima nie lubił śniadań na słodko, ale nie dał tego po sobie poznać i zjadł dwa naleśniki.

Zastanawiał się tylko przez chwilę, w jaki sposób Wiera potrafi utrzymać tak smukłą sylwetkę. Siedzieli naprzeciw siebie i dyskretnie się obserwowali. To było ich pierwsze wspólne śniadanie po piętnastu latach. Zauważył, że Wiera bez makijażu wygląda znacznie lepiej.

Jej naturalna uroda nie wymaga poprawiania, ale ona tego i tak nie zrozumie – pomyślał. Rosjanka w końcu… i przecież zawsze taka była.

Pił już drugi kubek kawy i zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do hotelu, żeby się przebrać i ogolić, bo Wiera miała tylko depilator. Pociągnął dłonią po policzku i pomyślał, że wygląda jak grecki powstaniec albo – co gorsza – kaukaski buntownik.

Przede wszystkim jednak chciał skorzystać z hotelowego wi-fi i sprawdzić, czy przyszły jakieś wiadomości. Niewiele wiedział o Olegu Duninie i trochę go to denerwowało. Wprawdzie informacje o jego charakterze, jakie przekazała mu Wiera, przygotowały go do planowanej rozmowy, ale niepokoiła go świadomość, że nie wie, co to jest Batalion

„Jug” GRU. Według słów Wiery była to jednostka, która działała w środowisku islamskich ekstremistów, więc Dunin powinien mieć kontakty z talibami i prawdopodobnie był odpowiednią osobą, tylko czy na pewno? Dima nie miał czasu na puste przebiegi.

Do spotkania z Duninem pozostały dwie godziny, więc szansa, że Monika czy Tamara zdobędą jakieś dane, była niewielka. W Tel Awiwie była siódma, a w Warszawie dopiero szósta.

Zrezygnował ze spaceru do hotelu i odpuścił sobie schodzenie do McDonalda. Postanowił wykorzystać czas, by lepiej przygotować Wierę. Zamierzał zastosować technikę kłamstwa kwadratowego, a w tej sztuce manipulacji zawsze można się było łatwo pomylić i zdekonspirować. Musiał razem z Wierą tak zmanipulować oficera GRU, którego za chwilę miał zobaczyć po raz pierwszy, by ten kupił jego słabą historię.

To nie było łatwe zadanie. Zdawał sobie sprawę, że Rosjanin to inteligentny i twardy przeciwnik. Znał zresztą kilku oficerów GRU i wiedział, że niełatwo ich obejść. A obraz Dunina, który malowała mu Wiera, nie napawał optymizmem.

Wiera lubiła do porannej kawy zapalić mentolowego papierosa. Wyjęła z kieszeni szlafroka paczkę i najpierw podsunęła ją Dimie, choć dobrze wiedziała, że odmówi. To było jej małe kobiece alibi na mały nałóg. Paliła tylko jednego papierosa dziennie i tylko w domu. Robiła tak zawsze, odkąd pamiętał. Chwilami nawet sprawiała wrażenie odrobinę zawstydzonej, ale Dima to lubił.

Wyprostowała się na kuchennej ławie, wysuwając nieco do przodu na wpół odkryte piersi, i założyła nogę kostką za kolano, odsłaniając uda. Zrobiła to celowo.

– Przyjdzie punktualnie o dziesiątej. Ani minuty wcześniej czy później – zaczęła Wiera. – Zdajesz sobie sprawę, że rozmowa będzie krótka? –

zapytała, a właściwie oznajmiła, wypuszczając dymek w bok.

– To oczywiste.

– Ale to najważniejsza rozmowa, bo Oleg musi wyjść przekonany, że propozycja jest poważna, od poważnego pośrednika…

– Słaby cel, słaby plan, słaby rezultat – wtrącił Dima filozoficznie.

– Otóż to! – potwierdziła Wiera. – Liczyć się będzie każde słowo, ton, spojrzenie, ruchy rąk, mikromimika, nawet twój oddech. On od tego zaczyna – mówiła z głębokim przekonaniem, czym trochę rozśmieszyła Dimę, bo to oznaczało, że on dobrze gra. – Jeśli weźmie sprawę, to zaryzykuje swoje życie, a zatem i twoje nie będzie już nic warte. Tak wygląda zawieranie dżentelmeńskich umów w Rosji, a to są umowy na śmierć i życie. – Spojrzała na Dimę poważnie, nawet z lekkim niepokojem, zmrużyła oczy i zapytała: – Na pewno tego chcesz? Zastanów się jeszcze. Jeśli Oleg da jutro znać, że wchodzi w ten biznes, już nie będziesz miał odwrotu… i on pewnie też. To takie… sprzężenie zwrotne.

Wiera przedstawiła scenariusz rozmowy z Duninem w tak barwny i żywy sposób, że wydawać się mogło, jakby sama wszystko zaplanowała i wyreżyserowała.

Zna Dunina z pracy, domu i procesu rozwodowego, był jej mężem i ojczymem Sierioży, wciąż są blisko, więc margines jej pomyłki jest niewielki – pomyślał Dima w przypływie optymizmu.

– Patrząc prosto w oczy, dłonie będzie trzymał splecione na kolanach. Nie przerwie ci ani razu, wysłucha, co masz do powiedzenia, potem zada kilka prostych pytań i oznajmi krótko, że się odezwie. Nie będzie żadnej dyskusji ani monologów, nie powie, że zadzwoni jutro, że da znać wkrótce, ale nie będzie ani miły, ani ostentacyjnie obojętny. Dopije wodę i spojrzy na zegarek. Potem, kiedy już stanie przy drzwiach, trochę jeszcze pożartuje, opowie jakiś dowcip, zapyta o Sieriożę i wyjdzie, tłumacząc się natłokiem

zajęć. Wszystko potrwa piętnaście minut. Opuści moje mieszkanie przekonany, że mamy romans, ale to oleje. Przynajmniej tak sądzę – zakończyła Wiera.

Rzeczywiście pułkownik Oleg Dunin przyszedł punktualnie, jakby czekał pod drzwiami, aż kuranty na Kremlu wybiją dziesiątą. To był dobry znak, bo wyglądało na to, że jest poważnie zainteresowany.

Przywitał się serdecznie z Wierą, z Dimą chłodno, wszedł do salonu i usiadł w miejscu, które zawsze zajmował. Odmówił kawy i herbaty, ale poprosił o wodę.

Dima nie mógł go sobie przypomnieć, chociaż Wiera twierdziła, że spotkali się u niej na jakiejś imprezie. Dunin był przystojnym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, o gęstych blond włosach zaczesanych do tyłu, co ujawniało głębokie zakola. Jasne, wąskie, świdrujące oczy, ostry nos i szpiczasty podbródek sprawiały, że niepokojąco przypominał drapieżnego ptaka. Był typem dominującego i aroganckiego mężczyzny, który jednak mógł się podobać kobietom, szczególnie gdy był w mundurze. Ale tego dnia miał na sobie stalowy garnitur i czarny golf.

Spotkanie trwało siedemnaście minut i przebiegło dokładnie tak, jak przewidziała Wiera. Dunin był może trochę bardziej nerwowy niż zwykle i chaotyczny, ale jego obraz nie odbiegał znacząco od opisu Wiery. Mocny uścisk dłoni na pożegnanie i delikatny uśmiech, jaki przemknął mu przez twarz, dawały nadzieję, że sprawa ma szansę powodzenia.

Dima poczuł jednocześnie rodzaj strachu, bo i bez ostrzeżeń Wiery wiedział aż nadto dobrze, jak niebezpieczną grę rozpoczął. Z GRU nie ma żartów, żadnych żartów. To nie są ludzie, których można łatwo oszukać, a już na pewno nie bezkarnie. Dima zaś nie miał żadnego planu i polegał na intuicji. Improwizować przed Rosjanami było dość niebezpiecznie.

Dunin zjechał windą na dół, wsiadł do swojej potężnej toyoty patrol, którą zaparkował na miejscu dla inwalidów, i przez telefon zlecił swoim ludziom ustalenie, kim naprawdę są Dimitrios Calderón i Oliver Bridges. Był zbyt doświadczonym szpiegiem, by nie podejrzewać, że sprawa musi mieć drugie dno. Nie ma człowieka, którego życie byłoby aż tyle warte, kombinował Dunin, kiedy jechał ulicą Twerską na Tagankę.

O Tygrysa, czyli Issę Ułajewa, nie musiał nikogo pytać. Szkolił go osobiście przed wojną z Gruzją i wiedział, że jest teraz w Afganistanie. Znał go dobrze. Wprawdzie za odpowiednią sumę można było się dogadać z każdym kaukaskim kozłem, ale akurat ten Czeczen był nieprzewidywalny. Wyjątkowo pobożny, ciągle zmieniał sojuszników i – co gorsza – nie był chciwy. Nieustannie chciał o coś walczyć.

Ale i na tego dżygita jest sposób – pomyślał Oleg z entuzjazmem, włączył silnik i spojrzał w lusterko. Za milion funtów? Zaśmiał się do siebie. Warto zagrać, ale nie warto ginąć.

Zrobił szybkie podsumowanie biznesu, który zaproponował mu Grek. I wyszło, że albo zrobi to sam i weźmie wszystko dla siebie, albo będzie musiał wciągnąć w to swoich ludzi, a może nawet przełożonych, ale wtedy kasa pójdzie do podziału i milion to będzie za mało. Pierwszy wariant mniej realny, ale bezpieczniejszy. Drugi – dokładnie na odwrót.

Issa Ułajew miał tajemnicę i był przekonany, że nikt jej nie zna. Dbał o nią, chronił, ukrywał, bo inaczej jego wierna służba w armii Allaha straciłaby sens.

Dunin odkrył tę jego tajemnicę zupełnie przypadkowo kilka lat temu, kiedy szkolił go przed wyjazdem do Gruzji, ale wówczas nie przywiązywał do niej żadnej wagi. Zachował ją ze szpiegowskiego nawyku, czyli na wszelki wypadek.

Nie miał pojęcia, że list, który znalazł w namiocie Issy, może mieć kiedyś znaczenie. Utrwalił go na zdjęciach, zapamiętał treść i zapisał adresata, a oba te elementy ani trochę do siebie nie pasowały. I to było najcenniejsze odkrycie. Gdy Grek powiedział, że to oddział Tygrysa stoi za porwaniem, i przedstawił swoją ofertę, Dunin od razu zrozumiał, że powinien iść tym tropem. Nagle cena tej bezwartościowej wcześniej informacji skoczyła do miliona funtów.

To jest mój dzień – pomyślał i z niedowierzaniem pokręcił głową. Kochana Wieroczka. Jak ona potrafi wszystko pięknie ustawić. Mądra dziewczyna.

43

Roman ledwie odłożył słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon i wyświetlił się kontakt *Błaszczyk*. Od razu pomyślał, że naczelnik musi wiedzieć, co się wydarzyło w Islamabadzie, i z pewnością dzwoni w tej sprawie.

Podniósł słuchawkę.

– Widział pan już? – spytał zaniepokojony Błaszczyk.

– Nie – odparł Roman.

– To niech pan włączy telewizor, jest nowe nagranie z uprowadzonymi, a potem do mnie zadzwoni.

Błaszczyk wyłączył się bez słowa.

Roman przez chwilę szukał pilota, który w końcu znalazł w szufladzie, włączył kanał NTV24 i obrócił się w fotelu, by lepiej widzieć.

Na ekranie pojawił się jakiś komentator, który z przejęciem mówił coś o islamie, a w tyle za nim, na wielkim monitorze, cztery klęczące postacie, skrępowane i z czarnymi opaskami na oczach. Wyżej rozwieszony zielony sztandar z arabskimi napisami.

Obraz zniknął i na ekranie z napisem *na żywo* pojawił się minister Grobelny, którego przed wejściem do ministerstwa otaczał tłum dziennikarzy.

– Panie ministrze, panie ministrze… – tubalny głos dziennikarza z logo NTV24 przebijał się przez krzyki pozostałych – co w tej sytuacji zamierza zrobić ministerstwo, polski rząd? Kiedy możemy się spodziewać

rozwiązania problemu… uwolnienia naszego obywatela? Czy rząd przystanie na warunki terrorystów? Czy w ogóle ma z nimi kontakt? Tydzień to bardzo mało…

– Rząd robi wszystko co w jego mocy, by doprowadzić do uwolnienia naszego obywatela – oświadczył pewnym siebie głosem minister. – Jesteśmy też w stałym kontakcie z władzami Pakistanu oraz Niemiec, Wielkiej Brytanii i Japonii…

– Czy nasze służby prowadzą jakieś działania? – zapytała dziennikarka z lewej strony ekranu, przekrzykując innych i wysuwając swój mikrofon do przodu.

– Rząd robi wszystko co w jego mocy – powtórzył Grobelny, mrużąc powieki – by rozwiązać ten problem, nie możemy jednak jeszcze ekstrapolować zaistniałej sytuacji. – Odwrócił się w stronę wejścia do budynku, po czym przy wsparciu umundurowanych funkcjonariuszy ochrony, którzy próbowali utorować mu drogę, zaczął się energicznie przepychać przez rozgorączkowany tłum dziennikarzy, zasłaniając oczy przed światłem kamer.

Witold Grobelny nigdy się nie uśmiechał, marszczył brwi, kiedy słuchał, i czasami unosił palec wskazujący w geście mającym potwierdzać wagę jakiegoś wypowiedzianego słowa. Liczył, że w ten sposób zaimponuje widowni, więc zbierał różne maksymy i mało znane słowa, które zapisywał na żółtych samoprzylepnych karteczkach. Swój wizerunek miał dopracowany do najdrobniejszego szczegółu. W końcu był już w polityce dwadzieścia pięć lat i – jak mówił prywatnie po wódce – potrafił „kręcić suwerenem”. Chciał być postrzegany jako człowiek samotnie dźwigający brzemię odpowiedzialności za los Polski i każdego obywatela z osobna. Musiał się odróżniać od premiera Boleckiego, który miał na stałe przyklejony do twarzy uśmiech klauna i prawił komunały. Grobelny był od

niego lepszy – tak przynajmniej uważał – ale nie miał zaplecza w partii i ciągle musiał rozpychać się łokciami.

Ledwo wyrwał się z tłumu i miał już tylko kilka kroków do drzwi ministerstwa, gdy niespodziewanie zastąpił mu drogę nieznany młody dziennikarz z logo telewizji Kontakt24 na mikrofonie.

– Panie ministrze, czy potwierdza pan, że porwany Henryk Olewski jest oficerem polskiego wywiadu? – zapytał na tyle głośno, żeby pozostali mogli go usłyszeć.

Grobelny stanął jak wryty. Dziennikarze za jego plecami na moment zamilkli, jakby nie wierzyli w to, co właśnie usłyszeli. Wszystkie kamery skierowały się na ministra.

– Mamy świadków, którzy są gotowi potwierdzić, że Henryk Olewski jest majorem Agencji Wywiadu i w Pakistanie realizował zadania szpiegowskie, podobnie jak wcześniej w Moskwie. Potwierdza pan te informacje? – Dziennikarz mówił pewnym tonem. Wyglądało na to, że wie więcej, niż powiedział.

Grobelny był przygotowany na to pytanie, a jednak poczuł się zaskoczony. Nie przypuszczał, że dziennikarze odkryją prawdę tak szybko. To bardzo komplikowało sytuację. Teraz w ciągu paru dni media będą mogły wszystko ustalić.

– Bzdura! – zdecydowanym głosem odparł minister i uniósł palec. – Oficjalnie zaprzeczam takim insynuacjom! To prowokacja! Ktoś celowo wprowadził pana w błąd, by utrudnić nam pracę. Wzywam wszystkich dziennikarzy… – odwrócił się do zebranych wokół – żeby zachowali umiar, zasady, odpowiedzialność i nie dawali się manipulować i prowokować nieodpowiedzialnym podpowiadaczom.

Na ekranie znów pojawił się komentator. Roman wyłączył głos w telewizorze i sięgnął po komórkę. Już miał nacisnąć numer dwa, gdy

telefon zadzwonił.

– Widziałam – odezwała się w słuchawce Monika. – Co teraz?

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Za chwilę rozpęta się piekło – odparł Roman. – Musimy działać szybko, o wiele szybciej niż dotąd… nawet intuicyjnie… – Zawiesił głos i po chwili dodał: – To jest kontrolowany przeciek…

– Przeciek? W jakim celu? – zapytała zdziwiona Monika.

– Żeby wyłączyć ze sprawy Sekcję. Nie dali rady fizycznie w sobotę, więc realizują plan B. To działa ten sam kret. Teraz nie mam już żadnych wątpliwości, że to ktoś z Agencji.

– Rzeczywiście! – Monika uniosła lekko głos. – To ma sens.

– Ustal, co to za telewizja Kontakt… nigdy nie słyszałem, i spróbuj się dowiedzieć, kto za tym stoi. Kim jest ten dziennikarz, co wie i kto mu to zlecił. Nie mamy czasu, więc wszystkie środki dozwolone. – Roman przerwał i czekał na reakcję Moniki, która spóźniała się z odpowiedzią. – Rozumiesz? – zapytał w końcu.

– Jasne! Dowiem się, to nie jest trudne – odparła zdecydowanie. – Wiem nawet jak, bardzo prosto. Myślę tylko, że gdyby to była duża stacja, jak NTV, tobym zrozumiała, że mogli coś wyniuchać, ale Kontakt? Też nigdy nie słyszałam.

– No więc właśnie – podsumował krótko Roman. – Informuj mnie na bieżąco.

Rozmowa trwała półtorej minuty. Leski wiedział, że za chwilę zadzwoni szef Korycki i zwoła natychmiastową naradę. To było oczywiste. Zastanawiał się jedynie, jak powinien rozegrać to spotkanie, bo był już niemal pewien, że zdrajca jest w kierownictwie Agencji.

Wstał z fotela i z szafy pancernej wyjął zieloną teczkę, a z niej kartkę. Położył przed sobą Schemat Zdrady. Wziął czerwoną kredkę i dotknął nią

cyfry 5, Wiktor Braun + 1. Nacisnął lekko i już miał pociągnąć kreskę, ale się zawahał. Pomyślał o ojcu Wiktora i uznał, że może jednak za wcześnie, i przesunął kredkę niżej, na cyfrę 6. Pociągnął zdecydowanie grubą kreskę przez nazwisko Błaszczyk. Czuł, że musi zrobić jakiś krok do przodu i kogoś wykreślić.

Zadzwonił telefon na biurku. Roman wiedział, że to sekretariat szefa, chociaż wolałby, żeby to był Błaszczyk. Potrzebował inspiracji, a rozmowy z naczelnikiem pozytywnie na niego wpływały. Za chwilę miał pójść na spotkanie ze szpiegiem i nie miał pojęcia, jak go sprowokować do dekonspiracji.

Podniósł słuchawkę.

– Szef prosi pana do siebie – zakomunikowała sekretarka.

– Idę – odparł i spojrzał na zegar nad drzwiami.

Minęło siedem minut od chwili, kiedy dziennikarz ujawnił, że Olewski jest oficerem.

Ciekawe, kogo zabraknie u szefa? – pomyślał Roman i ruszył w stronę drzwi.

Przejście do bloku A i przejazd windą zajęły mu cztery minuty.

Roman zastanawiał się, czy szef organizuje nadzwyczajną naradę, czy chce rozmawiać tylko z nim. I kiedy szedł korytarzem na siódmym piętrze, nagle do niego dotarło, że przecież spotykają się z szefem codziennie, ale nic z tych spotkań nie wynika. Nawet jeżeli uczestniczą w nich jego zastępcy, Pański czy Błaszczyk, to szef nie kieruje, nie wydaje poleceń, nie rzuca pomysłów, wciąż tylko wzdycha, narzeka i przelewa z pustego w próżne. Wypowiada wiele słów, z których nic nie wynika. Jakby cała energia uchodziła gdzieś bokiem, nie mogła znaleźć odbiorcy i rozpływała się w sztucznej mgle jego poświęcenia.

Chwilami Roman odnosił wrażenie, że Korycki w gruncie rzeczy musi należeć do obozu hipokrytów, a tylko udaje rozgoryczonego dowódcę, który walczy o sprawę i o swoich ludzi. Czas uciekał, a sytuacja majora Olewskiego była coraz gorsza.

Leski zatrzymał się, żeby wyrównać oddech i wytrzeć twarz, bo zaczął się pocić. Zdarzało mu się to najczęściej, kiedy czuł, że traci kontrolę nad myślami. Bał się wtedy swojej podświadomości, jakby stawał się nagle innym, obcym człowiekiem, którego wciąga ciemność.

Schował chusteczkę do kieszeni marynarki i dopiero teraz zauważył, że stoi obok zdjęcia Koryckiego w alei portretów.

Poprzednik, człowiek pełen kompleksów i profesjonalnych braków, nie mogąc znieść przykrych komentarzy na swój temat, kazał zdjąć galerię szefów. Natomiast Korycki przywrócił ją nazajutrz po powrocie do służby.

Jest więc pierwszym szefem Agencji, który codziennie przechodzi koło własnego portretu – pomyślał Leski i uznał, że może wcale nie traci nad sobą kontroli.

Kiedy wszedł do gabinetu, wszyscy już byli – Korycki, jego obaj zastępcy i Pański. Tak jak poprzednio, każdy siedział na swoim miejscu, ale Leski nie wiedział, czy to przypadek, czy zasada. Nigdy dotąd w takich naradach nie uczestniczył. Od razu jednak zauważył, że spotkanie musiało się zacząć, zanim została ujawniona prawda o Olewskim, bo ich filiżanki były już puste.

– Siadaj, Roman – zaczął Korycki, ale nie wskazał mu miejsca. – Wiesz już?

– Wiem. Dopiero co widziałem w telewizji – odparł spokojnie. – Grobelny dobrze zareagował. To było uzgodnione?

– Oczywiście! – wtrącił Pański tonem dowódcy pułku. – Poinstruowałem go, co ma mówić. Sam by tego przecież nie wymyślił

i szybciej zesrałby się w gacie, niż zareagował, jak przystało na prawdziwego ministra spraw zagranicznych.

– Panie pułkowniku! – przerwał mu Korycki. – Trochę więcej powściągliwości, proszę.

Roman usiadł tam gdzie ostatnio, czyli na końcu stołu, obok Walewskiego i naprzeciwko Pańskiego.

– Za chwilę jadę do Boleckiego – zaczął Korycki, wyraźnie przejęty. – Mamy być u niego razem z Grobelnym o trzynastej. Premier jest wściekły, ale to i tak łagodne określenie jego obecnego stanu. Przypuszczam, że zarzuci nam niedopełnienie obowiązków, a przynajmniej brak profesjonalizmu.

– Przecież tego i tak nie dałoby się utrzymać w tajemnicy – włączył się Walewski. – Mówiliśmy o tym i Grobelny postąpił tak, jak było uzgodnione. Premier nie był tego świadomy? Stało się to wcześniej, niż przypuszczaliśmy, więc…

– Był świadomy – odparł Korycki. – Ale prowadzenie sprawy oddał w ręce Grobelnego, a to uderza bezpośrednio w premiera. Liczył pewnie, że sprawa się zakończy, nim media odkryją, kim jest Olewski, a dyplomata Grobelny zakryje temat lepiej niż my. Problem w tym, że za chwilę kłamstwo Grobelnego wyjdzie na jaw. Bolecki po południu ma wizytę premiera Wielkiej Brytanii i konferencję prasową, więc zdajecie sobie sprawę, w jakiej jest sytuacji, szczególnie przy jego tchórzostwie. Będzie musiał potwierdzić to, co powiedział publicznie Grobelny, i to przy premierze Macmillanie… który też ma tam uwięzionego swojego obywatela.

– Krótko mówiąc, Bolecki jest w czarnej dupie – skomentował Pański. – Co to dla nas oznacza dobrego? – zapytał z domieszką właściwej sobie

arogancji i uśmiechnął się, jakby się cieszył. – Za kilka dni media ustalą, jaka jest prawda.

– Media mu tego nie darują, a opozycja będzie go grillować miesiącami – dodał Hurman.

Roman słuchał tej rozmowy i nie mógł zrozumieć jej sensu.

Czyżby Korycki czekał z tą informacją, aż przyjdę? – zastanawiał się. Dlaczego? O czym w takim razie rozmawiali przedtem? Chcą coś ukryć? Mają jakąś wspólną tajemnicę? Ani razu nie wspomnieli, że ujawnienie Olewskiego to kontrolowany wyciek… na coś przecież obliczony. A dla każdego z nich jest to bardziej niż oczywiste. Dlaczego? Prakseologia bezużyteczna. Bo wszyscy czują ulgę, że teraz sprawa szybko się zakończy. Każdy z nich kalkuluje własne korzyści, ale tylko jeden jest źródłem przecieku i to on musi wygrać rozdanie. Wielki zdrajca wie, że zbliżam się do niego, ale zabić mnie już nie może. Jest za późno, bo Sekcja mu się wymknęła i jest poza jego zasięgiem.

– Co sądzisz? – Korycki zwrócił się do Romana.

– Nie znam się na polityce ani rozgrywkach gabinetowych – odparł cicho Leski. – Uważam jednak, że Grobelny nie miał wyboru i odpowiedział tak, jak powinien. Teraz najważniejszy jest czas, bo jeśli talibowie się zorientują, kogo mają, to na negocjacje będzie już za późno. Jak rozumiem, wtedy wysuną niewykonalne żądania i śmierć majora Olewskiego będzie pewna, a to powinno chyba martwić premiera najbardziej. – Odwrócił się w stronę Pańskiego i zapytał: – A jakie są wyniki pracy komisji w MSZ? Nawiązano kontakt z talibami? Znamy ich prawdziwe żądania czy tylko te z telewizji? Mówił pan, pułkowniku, że przejmiemy komisję od środka.

Leski miał więcej trudnych pytań, ale powstrzymał się, bo nie chciał przedwcześnie ujawniać swojego zaangażowania, które mogło być

nieadekwatne do jego miejsca przy stole, a zatem podejrzane. Chciał tylko przetestować Pańskiego. Wielki zdrajca, ktokolwiek nim był, i tak znał prawdę.

– Opór materiału jest nie do pokonania – odpowiedział Pański. – Opór ludzi MSZ przed zrobieniem czegoś z głową, odważnie… i przed wzięciem odpowiedzialności. Spotykają się, dzwonią, piszą nieustannie od rana do nocy, z zerowym skutkiem, i dobrze, bo boją się nieprzewidzianych konsekwencji. Są też oporni na moje sugestie. Strach ściska im dupy.

– W takim razie po tym, co zaszło, szybko się zorientują, że Henryk jest od nas, i już zupełnie oleją sprawę, bo uznają, że to wyłącznie nasz problem – włączył się Walewski.

– Właściwie możemy gasić światło – dodał Hurman.

– Jadę do premiera. – Korycki podniósł się, dając znać, że spotkanie zakończone.

Wszyscy wstali z widocznym ociąganiem i powoli ruszyli do wyjścia.

– Zostań, Roman, na chwilkę – rzucił Korycki.

– Niech ktoś przyniesie mi teczkę Lola – zwrócił się Leski do Walewskiego, tak by wszyscy mogli go usłyszeć. – Nie zdążę po nią przyjść.

Wszyscy trzej zatrzymali się na moment, ale tylko Pański pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że Leski zajmuje się głupotami, kiedy on musi walczyć z kryzysem.

– Jak sobie życzysz – odparł Walewski.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Korycki postał jeszcze chwilę i powoli, ciężko stąpając, przeszedł przez gabinet. Przysiadł na swoim biurku, podpierając się rękami. Wyglądał na zmęczonego. Roman nie bardzo wiedział czym, bo przecież nie robił nic specjalnego, jeśli nie liczyć rozmów od czasu do czasu.

– No i co? – zapytał szef.

– Nic… bo… – odrzekł trochę niepewnie Roman.

– Mieliście w sobotę odbyć jakąś ważną naradę, czyż nie? Jakieś decyzje, pomysły, plany? – dopytywał się Korycki. – Miałeś mnie poinformować. Dobrze pamiętam?

– Nic się jednak nie posunęliśmy – skłamał Roman.

– Co ty, kurwa, lecisz ze mną w chuja?! – niemal krzyknął naczelnik, aż Leski uniósł brwi ze zdziwienia. – Coś ukrywasz?

– A ty? – zapytał krótko Roman. – Czy na pewno mówisz mi o wszystkim?

– To ty masz mnie informować, a nie ja ciebie. Coś ci się popierdoliło, Roman. Zapomniałeś, że to ja jestem szefem? Nie muszę ci mówić o wszystkim, choć i tak wiesz więcej niż ktokolwiek. – Korycki przeszedł na drugą stronę biurka i opadł ciężko na fotel. – Przepraszam – zaczął pojednawczym tonem. – Ponoszą mnie nerwy. Nie mam żadnej pomocy od zastępców ani od Pańskiego, co gorsza… wygląda na to, że nie życzą mi dobrze i w coś grają. Jakby chcieli pokazać, że Agencja pod moim kierownictwem jest do dupy i nic nie może. Jesteś moją jedyną nadzieją, Roman. Przepraszam i nie gniewaj się – powtórzył jeszcze bardziej miękko. – Nie wiem, co powiedzieć premierowi. Żadnej linii obrony Agencji, nas…

– Okej. Rozumiem, Filipie, ale nie mam żadnych nowych informacji. – Leski skopiował ton szefa. – Kiedy tylko zorientuję się w sytuacji, natychmiast o wszystkim się dowiesz. Zaufaj mi.

– Przecież ci ufam – odparł zrezygnowany Korycki. – Pamiętasz? Mówiłem ci, że po zakończeniu tej sprawy mam zamiar podać się do dymisji, ale to nie koniec. Sytuacja jest znacznie gorsza. Bolecki chce nas zreformować, czyli sparaliżować na pół roku, bo ma ambicje międzynarodowe i boi się, że Agencja może zrobić coś, co mu tę karierę

złamie… podrzucić jakiegoś kolejnego Olewskiego. W rzeczywistości to cios w polską rację stanu. A korzyść odniesie tylko Rosja. Wiem już, że wykorzysta do tego śmierć Olewskiego. Wprost idealne gówno, żeby się na nim poślizgnąć. – Szef wstał zza biurka, podszedł do Romana, wziął go za ramiona i spojrzał mu w oczy. – W tobie nadzieja. Musimy rozwiązać problem, nim Bolecki zbierze siły – wycedził przez zęby.

Leski nic nie odpowiedział, nie lubił takich scen, a szczególnie gdy ktoś robił to tak koturnowo, jakby nie doceniał jego inteligencji ani – co gorsza – wrażliwości.

To nie było poważne – pomyślał Roman, ale nie był już taki pewien, czy Korycki rzeczywiście tylko gra.

44

Andriej mieszkał w drewnianym domku we wsi Aleksandrowka siedemdziesiąt kilometrów od Moskwy, między brzozowym lasem, zarośniętym bajorem, które miejscowi nazywali jeziorem łabędzim, i stodołą ślepego Trofima. Domek należał wcześniej do Czarnej Baby, czyli Zinajdy Krupinej, która zmarła na wiosnę.

Zinajda miała osiemdziesiąt pięć lat. Gruba, brudna, wiecznie pijana, nienawidziła ludzi, a najbardziej tych z Aleksandrowki. Złorzeczyła całemu światu, wszystkim świętym, carom i sekretarzom, z wyjątkiem Stalina, chociaż do partii nigdy nie należała. Kiedy więc przestała przychodzić po wódkę do sklepu i zamilkł jej donośny skrzek, wszyscy wiedzieli, że zmarła i na pewno leży w łóżku, bo zawsze tam leżała.

I przeleżała w nim od wiosny do jesieni.

Przez kilka tygodni jej zniknięcie było stałym fragmentem rozmów mieszkańców, ale nikt nie kwapił się zawiadomić władz. Jakby uznali, że to dodatkowa, ale słuszna kara za wszystkie wyzwiska i bluźnierstwa, jakich musieli wysłuchiwać od niej przez lata.

Zinajda była najstarszą siostrą Fiodora, ojca Galiny, pierwszego i jedynego męża jej matki Łarisy, którego nigdy nie poznała, bo kiedy się dowiedział, że ma córkę, zapił się ze szczęścia i utonął w rzece Moskwie. Dwaj późniejsi partnerzy Łarisy nigdy nie zdecydowali się na małżeństwo,

więc Galina wciąż nazywała się Krupina i ku swojemu zaskoczeniu została jedyną spadkobierczynią domku Zinajdy.

Od jej śmierci domek stał niezamieszkany. W okolicy podobnych było mnóstwo, bo zostali tam tylko ludzie starzy, nieporadni, chorzy i alkoholicy. Cała młodzież przeniosła się do Moskwy, więc o żadnym wynajęciu ani sprzedaży nie było mowy. Tym bardziej że cuchnęło w nim trupem Zinajdy i żadne wietrzenie ani odkażanie nic nie pomagało. Tak przynajmniej wydawało się Galinie, chociaż miejscowi twierdzili, że za życia Czarnej Baby cuchnęło w domu jeszcze bardziej.

Andriej Trubow nic nie czuł, bo po czterech miesiącach w śpiączce stracił zupełnie węch i smak. Znacznie gorsza była jednak częściowa utrata pamięci i bezsenność. Toteż w ramach rekonwalescencji psychicznej i fizycznej zamieszkał w Aleksandrowce, w domku swojej byłej partnerki Gali, i zajął się oczyszczaniem pobliskiego bajora.

Kiedy odzyskał przytomność w sztokholmskim szpitalu, przesłuchiwany był wielokrotnie przez Szwedów, ale nie rozumiał, czego od niego chcą i dlaczego został trzykrotnie postrzelony. Nie miał pojęcia, skąd się wziął w Szwecji, co to jest Gotlandia, kim jest Rudolf Doronin, którego miał zastrzelić, ani pułkownik Michaił Popowski. Z dumą się przyznał, że jest chorążym rosyjskiego specnazu, ale zaprzeczył, jakoby uczestniczył w strzelaninie na jakiejś Gotlandii i kogoś zabił.

Trubow nigdy nie kłamał, zawsze mówił prawdę, co szwedzcy psychiatrzy potwierdzili odpowiednimi dokumentami, więc śledczy zrezygnowali z dalszych przesłuchań. Sąd w Visby umorzył jego sprawę, a sam chorąży, kiedy doszedł do siebie, został odesłany do Rosji wraz z obszerną kartą chorobową.

Prosto z samolotu pojechał do szpitala wojskowego w Domodiedowie. Lekarze i śledczy w Moskwie chcieli się przekonać, czy opis stanu zdrowia

jest zgodny z faktami, i na dwa miesiące zamknęli Trubowa na oddziale psychiatrycznym.

Szybko się okazało, że szwedzki opis jest w pełni wiarygodny i logiczny, chociaż z medycznego punktu widzenia niemal nieprawdopodobny. Obrażenia wewnętrzne, spowodowane przez trzy postrzały, były śmiertelne, i to każde z nich z osobna, a jednak Trubow przeżył. Dlatego stał się obiektem intensywnych badań medycznych w klinice Karolinska w Solnie.

Dochodzenie w Rosji nie wykazało jednak żadnych manipulacji, a utratę pamięci potraktowano jako dobrodziejstwo dla wszystkich i zamknięto sprawę, w której materiałach znalazła się też dziwna odręczna notatka szwedzkiego psychiatry.

Charakterystyka pacjenta Andrieja Trubowa

Pacjent jest kwintesencją rosyjskiej literatury i natury i bez znajomości tego tła opis stanu jego zdrowia psychicznego należy uznać za praktycznie niemożliwy. W swojej prostocie uosabia charakter i psychikę czystego Rosjanina. Jest syntezą hrabiego Piotra Biezuchowa, księcia Anrieja Bołkońskiego, chłopa Iwana Denisowicza i poety Iwana Bezdomnego. Czas w Rosji nie ma odwzorowania w Greenwich, podobnie jak przestrzeń w Sèvres. W Rosji obowiązuje miara czasoprzestrzeni określona przez Lwa Tołstoja w Wojnie i pokoju, *wielostronicowo-wiorstowe opisy przyrody, tęgich brzóz, smukłych świerków, pól i bagien ciągnących się wzdłuż drogi, którą jechał zamyślony hrabia Biezuchow. Rosyjski heroizm ukazuje w postaci księcia Bołkońskiego w bitwie pod Borodino na długo przed ideologizacją zwycięstwa dokonaną przez system sowiecki. Lew Tołstoj opisał rosyjską duszę, dla której nowe środowisko znalazł Sołżenicyn w* Archipelagu GUŁag. *System przetrawił dawnego Rosjanina i wypluł człowieka*

sowieckiego w postaci poety Bezdomnego z Mistrza i Małgorzaty *Bułhakowa. Niestety, trzeba przeczytać te trzy dzieła, by zrozumieć, kim jest nasz pacjent Andriej Trubow z omskej guberni.*

Chorąży Trubow otrzymał rentę wojskową i wyjechał do domku w Aleksandrowce, który Gala udostępniła mu z litości. Potraktowała to też jako okazję do powolnego wyślizgania się z tego związku, bo Andriej przez pół roku był martwy, a po powrocie też jakby nie do końca żywy.

On sam rozumiał Galę i nie robił trudności. Był jej wdzięczny za Aleksandrowkę i bliski kontakt z rosyjską naturą, ziemią, powietrzem i wodą, jakiego doznał, przywracając do życia łabędzie jezioro.

Właściwie Trubow byłby bardzo szczęśliwy, gdyby nie potężne blizny na plecach po wylocie dziewięciomilimetrowych kul, które w istotnym stopniu zdeformowały mu smoka, zabijając de facto sens jego powstania i duszę. Smok stracił kawałek głowy, lewy szpon i sporo piór, czyli stał się bezużyteczny w walce, ale i tak budził szacunek u mieszkańców Aleksandrowki, którzy stojąc na brzegu, wspierali Andrieja werbalnie i duchowo podczas oczyszczania bajora.

Trubow odzyskał zdrowie fizyczne, ale pamięć nie wracała i wcale mu na tym nie zależało. Coraz częściej zapominał już nawet, że stracił pamięć.

Tego dnia padało nad Aleksandrowką od samego rana, chociaż na wschodzie niebo było błękitne. Trubow cieszył się, że nad Moskwą świeci słońce. Czyścił dubeltówkę, spoglądał w okno i nucił z Olegiem Gazmanowem *Gospoda oficery*, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

– Zastrzeżony – stwierdził Trubow, spoglądając na wibrujący na stole telefon. – Z Jasieniewa pewno… oni tacy tajni zawsze… Śmiech! Znowu o coś zapomnieli zapytać. Gapy, bladź! Spadajcie. – Jeszcze raz spojrzał na telefon, który przestał już dzwonić i odezwał się sygnałem przychodzącego esemesa.

Zadzwoń, Jagan. Pilna sprawa, prywatna.

– A coś ty za jeden, że mam do ciebie dzwonić? – rzucił Andriej, delikatnie odkładając na stół dubeltówkę.

Prywatna sprawa? Pilna? – pomyślał i zawahał się. No chyba, że prywatna.

Wziął telefon i wybrał numer, który wyświetlił mu się na displayu. Po chwili usłyszał w słuchawce głos mężczyzny.

– Tak… słucham?

Ale nie odpowiedział, tylko czekał. Zawsze tak robił, kiedy nie znał rozmówcy.

– To ty, Trubow? – zapytał ten sam głos. – Tu Dunin… pamiętasz? Gudermes… dziewięćdziesiąty siódmy? Chasawjurt?

– Pamiętam, a bo co? Pamięć mam dobrą – odparł nieco obrażony Jagan. – Dunin, kapitan? GRU? – strzelił na chybił trafił.

– Teraz pułkownik…

– No i chuj, że pułkownik. Pułkowników dzisiaj jak psów. Czego chcesz?

– Chcę pogadać. Mam ważną sprawę.

– To przyjedź.

– Wolę, żebyś ty przyjechał do Moskwy. To pilne – rzucił Dunin przekonująco. – To ważne też dla ciebie, Andriej. Nooo… rusz dupę!

Trubow próbował sobie przypomnieć Dunina, ale nic mu nie przychodziło na myśl. Nie potrafił skojarzyć twarzy z nazwiskiem ani jakimkolwiek wspomnieniem. Nic. A w Gudermesie i Chasawjurcie pełno wtedy było chłopaków z GRU.

Trochę się speszył, więc żeby nie wyjść na kalekę, postanowił jechać do Moskwy i spotkać się z tym Duninem. Dobrze się złożyło, bo

w Aleksandrowce padało, a on miał do załatwienia w stolicy kilka zaległych urzędowych spraw. A poza tym kochał Moskwę i tęsknił.

– No… dobra… Będę za dwie godziny.

– Zadzwoń, jak dojedziesz. Czekam w restauracji Jar przy prospekcie Leningradzkim.

– Zapamiętam – odparł Jagan i zapisał adres na gazecie.

45

Monika była w mieszkaniu na Kabatach, kiedy zadzwonił Roman i zlecił jej zająć się dziennikarzem telewizji Kontakt.

Potrzebowała nie więcej niż piętnaście minut, by ustalić jego nazwisko i numer telefonu.

Okazało się, że nie jest to żadna prawdziwa telewizja, tylko kanał wideo w internetowym portalu Kontakt24, który powstał rok wcześniej i nie zajmował się polityką, tylko sportem, modą i plotkami. Materiały wideo pojawiły się na nim dopiero przed dwoma miesiącami i rozmowa z ministrem Grobelnym była pierwszą transmisją na żywo. Właścicielem portalu była czeska spółka Vinograd. Więcej Monika nie zdążyła wygrzebać, ale już to wystarczyło, by nabrać podejrzeń. Pytania dziennikarza nie mogły być przypadkowe.

Zadzwoniła do redakcji i nie przedstawiając się, poprosiła o kontakt z redaktorem Michałem Frąckiewiczem. Nie podała swojego numeru telefonu, stwierdziła jedynie, że ma bardzo ważne informacje dotyczące uprowadzonego Henryka Olewskiego. Powiedziała krótko, że oddzwoni za pięć minut i to będzie jej ostatni telefon, więc decyzja musi być szybka.

Odczekała równo pięć minut. Odebrał inny mężczyzna i próbował ją wypytać, jakie ma informacje, ale Monika ucięła krótko:

– Nie kręć, człowieku. Daj ten numer albo spierdalajcie.

Rozmówca od razu podał jej numer.

Wiedziała, że od tej pory jej rozmowy będą rejestrowane. Co więcej, może się spodziewać dziennikarskiej prowokacji. Trochę ją to nawet bawiło, że będzie mogła utrzeć nosa tym nadętym bufonom. Widać było, że z premedytacją igrają z życiem oficera wywiadu, a tego nie zamierzała im darować. Była tak na nich wściekła za to, co zrobili, że mogła zabić. Tak jej się przynajmniej wydawało, ale nie próbowała dusić w sobie tej myśli. Czuła, jak wzbiera w niej nienawiść i determinacja, a wtedy mogła być naprawdę niebezpieczna. Mimo to działała efektywnie, logicznie i szybko.

Kontakt24 mógł się okazać ważnym śladem i nie wolno jej było zmarnować okazji.

– Michał Frąckiewicz? – zapytała, kiedy usłyszała w słuchawce mocny męski głos.

– Tak. Kto mówi?

Monika pomyślała, że to nie może być ten sam człowiek, którego widziała w telewizji.

– To ty byłeś dzisiaj rano przed MSZ?

– Nie, to był mój reporter. Jestem redaktorem prowadzącym kanał i wydawcą. Podobno ma pani jakieś informacje o Henryku Olewskim?

– Tak. Ale nie na telefon.

– To zrozumiałe. Możemy się spotkać?

– O dziesiątej na stacji benzynowej przy Trzeciego Maja. Masz być sam i żadnych kamer ani innych numerów. Jak chcecie mieć temat na pierwszą stronę, to bez wygłupów. W ręku gazeta.

– Oczywiście. Pieniądze?

– Nie. Sprawa osobista. Ktoś musi zapłacić za to, co się stało.

Najpierw sprawdziła temperaturę. Miało być pochmurnie, ale ciepło.

Włożyła luźne dżinsy, sportowe buty i trykotową koszulkę. W rzeczach Eli znalazła granatową bluzę kangurkę z jakimś napisem na plecach.

Musiała być jeszcze nieużywana, bo dyndały przy niej metki. Była trochę za luźna, ale Monika podwinęła rękawy i sprawdziła, czy nie krępują jej ruchów. Za to rękawiczki Witka i zielona bejsbolówka pasowały idealnie. Włożyła ciemne okulary i stanęła przed lustrem.

Najpierw zatknęła pistolet za pasek z tyłu i kilka razy sprawdziła, czy ręka ma wygodny dostęp. Bluza była dosyć długa i luźna, więc Monika zdecydowała się jednak wsunąć pistolet z przodu. Usiadła na taborecie. Trzeba będzie stać w metrze – pomyślała, czując w podbrzuszu ucisk broni.

Metrem dojechała do stacji Centrum. Przesiadła się do tramwaju i wkrótce była na moście Poniatowskiego. W poniedziałek przed południem ruch był niewielki. Monika znała to miejsce bardzo dobrze, bo przystanek na moście i nadwiślański bulwar były częścią jej studenckich wspomnień.

Do spotkania z Frąckiewiczem pozostało piętnaście minut. Monika zeszła z mostu na ulicę Trzeciego Maja i obeszła najpierw stację benzynową. Potem wzdłuż zaparkowanych samochodów ruszyła w stronę ulicy Solec. Nie zauważyła nic podejrzanego. Pod wiaduktem przeszła na drugą stronę Solca i wróciła na most drugą basztą, a potem na wysokości stacji benzynowej zatrzymała się przy barierce. Z góry miała idealny widok na wszystko, co dzieje się na dole.

Monika już po raz trzeci wykorzystywała to miejsce do organizacji zabezpieczonego spotkania. Dobrze się sprawdzało, bo duża liczba dróg, przejść, ulic jednokierunkowych, zmiana organizacji ruchu, trudności z parkowaniem – wszystko to razem dawało wiele możliwości dobrego zaplanowania i bezpiecznego odejścia. Ułatwiało narzucenie własnego scenariusza spotkania i pozostanie niewidocznym.

Tak było i tym razem. Monika wychyliła się nieco do przodu i zobaczyła z góry białego opla astrę, który zbliżył się do stacji, ale na nią nie wjechał. Spojrzała na zegarek. Była dokładnie dziesiąta dwie. Kierowca posunął się

parę metrów do przodu, potem próbował wycofać, ale ulica była jednokierunkowa, więc zatrzymał się na poboczu. Oczywiste było, że chce zaparkować. Nie znał więc miejsca i nie sprawdził go wcześniej. W końcu wjechał na chodnik w niedozwolonym miejscu. Z opla nikt jednak nie wysiadł. Dopiero wtedy Monika zauważyła mężczyznę w garniturze, z gazetą w dłoni, który od strony Solca zmierzał spokojnym krokiem ku stacji benzynowej.

– Ale amatorszczyzna! – wyszeptała.

Ustawili samochód, żeby sfilmować Frąckiewicza, jak dostojnie kroczy na spotkanie z tajemniczą kobietą, która wie coś ważnego o uprowadzonym Polaku. Pewno im się zdaje, że to będzie jakiś hit. Za kretynkę mnie mają? – pomyślała z ironią, ale była na to przygotowana i dlatego wybrała akurat to miejsce.

Było pięć po dziesiątej, kiedy mężczyzna stanął przed stacją, na wprost bagażnika opla, i zaczął się rozglądać. Monika poprawiła pistolet i wyjęła telefon.

– Widzę, że już jesteś – rzuciła oschle.

– Jestem – odparł Frąckiewicz i zaczął się rozglądać, ale na most nawet nie spojrzał. – A pani gdzie jest?

– Blisko. Wiesz, jak wejść na przystanek tramwajowy? Ten na moście.

– Noo… nie…

– Popatrz przed siebie. Po lewej zobaczysz pod mostem schody na górę i oznaczenia, jak dojść. Czekam na przystanku.

– Ale gdzie pani jest? – Frąckiewicz był wyraźnie zaniepokojony.

– Chodź już, człowieku. Wszystko w porządku. Zaraz pogadamy. Popełniłeś jeden błąd, ale teraz to olewam. Wiedziałam, że tak będzie. Pospiesz się, człowieku, bo nie mam czasu, chyba że nie chcesz się dowiedzieć prawdy o Henryku…

– Chcę, chcę… już idę…

Rozejrzał się i ruszył w stronę schodów. Monika zbiegła na dół do przejścia, którym za chwilę miał iść Frąckiewicz. Nim tam dotarł, była już na schodach, które rozdzielały się na dwa skrzydła.

Dopiero teraz mogła zobaczyć, jak wygląda, bo z góry obraz był niewyraźny. Frąckiewicz miał około pięćdziesiątki, niski szatyn z gęstymi włosami zaczesanymi na czoło. To nie była sympatyczna postać i Monika nabrała jeszcze więcej determinacji, by z nim poważnie porozmawiać. A właściwie zadać mu jedno pytanie.

Zaczął wchodzić po schodach prawego skrzydła, a Monika zeszła na półpiętro i szybko obeszła go od tyłu. Zrobiła roszadę, ale Frąckiewicz był amatorem i nie potrafił patrzeć za siebie. Na to liczyła. Nie miał za sobą ogona. Na schodach byli sami. Spojrzała jeszcze na prawo i kątem oka dostrzegła opla, w którym siedzieli dwaj mężczyźni ciągnący wzrokiem za Frąckiewiczem. Nie wyglądali na dziennikarzy.

Dźwiękowcy! Są na nasłuchu – pomyślała z pełnym przekonaniem. Nic dziwnego.

Frąckiewicz wspinał się po schodach, a Monika była kilka metrów za nim. Zauważyła, że wchodzi z trudem, przechylając się na boki, jakby miał zdeformowane stopy. Przytrzymywał się brudnej poręczy i cicho stękał. Zaliczyła tę obserwację na swoją korzyść. Obawiała się wcześniej, że Frąckiewicz może być żwawym, silnym mężczyzną, który mógłby jej utrudnić realizację planu. Obejrzała go sobie w internecie, ale zdjęcia mogły mylić, wyglądał na nich na twardziela.

Dotarł w końcu do szczytu schodów i kładką nad ulicą Wioślarską przeszedł do tunelu, który prowadził do przystanków tramwajowych na moście i ciągów pieszych nad Wisłą. To był prawdziwy labirynt, idealny na organizację spotkania operacyjnego.

Frąckiewicz wszedł do tunelu upstrzonego nędznym graffiti i oświetlonego dwiema słabymi jarzeniówkami. Czuć było silny odór moczu i wymiocin zmieszanych z piwem i stęchłym ptasim gównem. Na ziemi walały się kawałki szkła, puszki i buteleczki po małpkach. Szedł powoli w stronę wyjścia na przystanek, a Monika tuż za nim. Była zaskoczona, bo okazało się, że jest niższy od niej.

Przybliżyła się. Frąckiewicz najwyraźniej poczuł za sobą jej obecność i próbował się obejrzeć przez lewe ramię, ale gruby kark ograniczał mu ruchy, więc zrezygnował. Monika jednak na wszelki wypadek przesunęła się delikatnie w prawo.

W tunelu było pusto, ale w tym miejscu przechodnie mogli się pojawić w każdej chwili. Musiała się spieszyć. Naciągnęła kaptur na głowę, założyła okulary i wyjęła pistolet, który ukryła w kieszeni kangurki. Zrobiła dwa szybkie kroki i poczuła w sobie siłę. Chwyciła Frąckiewicza lewą ręką za ramię i jednocześnie niemal przytknęła mu pistolet do nosa. Dziennikarz stanął jak wryty, ale się nie odwrócił.

– Powąchaj! I ani drgnij! – wyszeptała tak twardo, jak tylko potrafiła.

Dopiero teraz spostrzegła, że Frąckiewicz ma w uchu słuchawkę. Szarpnęła za przewód, aż zasyczał, a z kieszeni wyciągnęła mu telefon. Włożyła rękę pod marynarkę i od razu wyczuła kabel kamerki.

– Miałeś być grzeczny – rzuciła, zabierając mu dyktafon. – Nie można ufać takim gnidom. Wiedziałam. Nie odwracaj się – popchnęła go pistoletem – bo ci odstrzelę łeb. Naprzód!

– Ale o co chodzi? – odezwał się w końcu wystraszony Frąckiewicz. – Przecież to pani do mnie zadzwoniła.

Wyszli z tunelu na zewnątrz. W dni powszednie przejście na drugą stronę mostu było prawie nieużywane. Monika o tym wiedziała, bo w latach studiów połowę czasu spędzała na wiślanych bulwarach.

Frąckiewicz szedł potulnie i chociaż prawie nie miał szyi, to potrafił jeszcze bardziej wcisnąć głowę w ramiona. Wygląda jak żółw – pomyślała nieco rozbawiona Monika.

Zatrzymali się za rogiem, w martwym punkcie. Monika wciąż stała za plecami dziennikarza. Przyłożyła mu mocno pistolet do podbródka, aż uniósł głowę.

– Co pani robi? – wymamrotał przez zęby. – Proszę zabrać ten pistolet. O co chodzi? Ja nic nie rozumiem.

– Kto ci kazał mówić, że Olewski to oficer wywiadu? – zapytała Monika pewnym głosem. – Przecież sam tego nie wymyśliłeś. Mów szybko, bo ci zaraz rozpierdolę czachę! – Docisnęła pistolet. – Tylko nie kłam, bo nie mam ani czasu, ani cierpliwości. Wpierdoliliście się na całego… nawet nie wiesz jak i w co. No? Gadaj, bo znajdą cię tu za chwilę z mózgiem na chodniku.

– O matko! – wydusił z siebie Frąckiewicz. – Co pani robi… czego pani ode mnie chce… ja… ja nic nie wiem.

– Nie rób ze mnie wariatki z pistoletem, bo pociągnę. – Monika naprawdę poczuła się poniżona. – Przylazłeś z kamerą i mikrofonem… – Zawahała się, bo dotarło do niej, że może nie chodziło o zwykły materiał dziennikarski, tylko ustalenie, kim ona jest. – Po co? – zakończyła nieco niepewnie.

– Jak pani zabierze ten pistolet, to wszystko powiem – wydusił z siebie Frąckiewicz.

– Mów! – Włożyła mu pistolet pod pachę, tak by go czuł, i jednocześnie ukryła, bo usłyszała za sobą jakieś głosy. – Nie ruszaj się, bo odpalę! – dodała.

Po chwili z tunelu wyszli dziewczyna i chłopak. Byli weseli, głośno mówili. Kiedy zobaczyli parę w dziwnej pozycji, jakby ona obejmowała

mężczyznę od tyłu, na chwilę zamilkli. Minęli ich w milczeniu, wyraźnie powstrzymując się od śmiechu. Dziewczyna spojrzała na bluzę Moniki i złapała się dłonią za usta. Po kilkunastu sekundach znikli za rogiem i słychać było, jak się śmieją, komentując widok, którego przed chwilą byli świadkami. Dzieciaki z ASP – od razu pomyślała Monika – mają teatr i życie w jednym, Starowieyski jak żywy.

– No? – zapytała. – Szybko!

– Bo… bo… ja pierdzielę… stracę pracę – oznajmił w końcu normalnym głosem. – Dostaliśmy takie polecenie… a raczej informację…

– Co ty pierdzielisz, człowieku? Od kogo dostaliście polecenie? – Monika opuściła dłoń z pistoletem i schowała go w rękawie, bo uznała, że terror spełnił swoje zadanie.

– Od właściciela naszego portalu…

– Czyli kogo?

– Kubiaka.

– Kurwa, którego Kubiaka? Nie denerwuj mnie! – Szarpnęła go za ramię.

Frąckiewicz był blady i spocony. Przerażony, spojrzał niepewnie na zakapturzoną kobietę w ciemnych okularach.

– No?! – niemal krzyknęła.

– Jak to? Pani nie wie?

– Pani nie wie, kurwa!

– Tego posła z Narodu i Wolności… No… tego od soku jabłkowego… spółki Vinograd.

– Józefa Kubiaka?

– Tak jest. – Frąckiewicz wyraźnie się uspokoił. – Jeśli pani dochowa tajemnicy, to powiem, co wiem. To dziwna sprawa. Ale, na litość boską…

– Mów, nie pierdol, to będzie dobrze – rzuciła ostro Monika, bo wulgarny styl rozmowy, jaki sobie zaplanowała, najwyraźniej działał zmiękczająco na Frąckiewicza.

– Kubiak wezwał mnie wczoraj w nocy do swojego biura poselskiego i polecił, bym wybrał dziennikarza i wysłał go rano przed MSZ. Chłopak miał wyłapać Grobelnego i zadać mu pytanie, które dostał od Kubiaka. – Przerwał. – To wszystko.

– Wszystko? – zapytała z niedowierzaniem Monika. – Kłamiesz!

– Powiedział jeszcze, że wkrótce dostaniemy nowe, jakieś rewelacyjne informacje o tym uprowadzonym Polaku. To wszystko, nic więcej, jak Boga kocham.

– Powiedziałeś mu o spotkaniu ze mną?

– Tak. Polecił, żebym panią nagrał i sfilmował. Nagranie miałem mu dostarczyć zaraz po spotkaniu.

– A ci dwaj w samochodzie na stacji?

– Jacy dwaj? W jakim samochodzie? – zapytał zdziwiony Frąckiewicz.

Spojrzała na zegarek. Minęło siedem minut i do tej pory nikt się nie pojawił. Nie śledzili Frąckiewicza. A powinni, jeżeli chcieli ją zidentyfikować.

Monika natychmiast zrozumiała i poczuła się, jakby ktoś jej napluł w twarz. To było najwstrętniejsze upokorzenie, jakiego doświadczyła od lat. Myślała, że lekko się przejedzie po jakimś dziennikarzynie, a tymczasem dała się złapać jak początkujący szpieg, a nie oficer Sekcji.

A może tylko mi się wydawało i widziałam duchy? – pomyślała z niepokojem, patrząc w twarz dziennikarza, który najwyraźniej się zorientował, że jest zaskoczona tym, co usłyszała.

– Morda w kubeł! – Pogroziła mu pistoletem. – Powiesz, że nie przyszłam. – Rozejrzała się wokół. – I nie rób nic głupiego, bo odstrzelimy

ciebie i całą twoją rodzinę. Nie wiesz, w co się wpakowałeś, gruby. Uważaj! – Jeszcze raz mu pogroziła pistoletem, odwróciła się i natychmiast zniknęła w tunelu.

Wyszła schodkami na przystanek tramwajowy na moście i dopiero wtedy zobaczyła Wiatrówkę, który nerwowo kręcił się po drugiej stronie ulicy i dawał znaki Adidasowi biegnącemu od strony baszty.

– O, w mordę… – mruknęła po nosem. – Pogubili się w tym labiryncie. No to miałaś fart, dziewczyno. Uff… – odetchnęła i dopiero wtedy się zorientowała, że w rękawie wciąż trzyma glocka.

Chwilę później jechała już tramwajem w stronę centrum, pozostawiając za sobą zdezorientowanych Wiatrówkę i Adidasa.

Było sporo wolnych miejsc, ale nie mogła usiąść, bo czuła, że drżą jej kolana. Nie chciała się przyznać do przegranej. W gruncie rzeczy nie bała się tych mężczyzn, chociaż wiedziała, że to zabójcy. Była gotowa walczyć. Najgorsze, że dała się zaskoczyć i tylko cudem wyszła z tego cało. Przypadek, którego nie zaplanowała.

Wysiadła na przystanku przy Nowym Świecie i przeszła na drugą stronę ulicy. Przez chwilę się zastanawiała, co powinna teraz powiedzieć Romanowi. Nie był to dobry dzień. Najwyraźniej Wielki Zdrajca nie rezygnował i wszystko wskazywało na to, że jest inteligentniejszy, niż sądzili, i zdeterminowany, by sprowokować Sekcję.

Monika miała wrażenie, że jeżeli zginie Henryk Olewski, to cała odpowiedzialność spadnie na nią, ponieważ popełniła niewybaczalny błąd. Nie wykazała się profesjonalizmem i wrażliwością. Zaczęła układać sobie słowo po słowie, co powinna powiedzieć za chwilę Romanowi, by obraz zdarzenia był wyraźny i prawdziwy.

Stała z telefonem w dłoni na ruchliwym skrzyżowaniu wśród ciągnących w obie strony przechodniów, gdy nagle do niej dotarło, że przecież powinna

była dojechać do Marszałkowskiej i przesiąść się do metra.

Kiedy ruszyła z powrotem na przystanek tramwajowy, poczuła, jak w dłoni zawibrował jej telefon. Odczytała esemesa: *Czy masz sobowtóra, który chodzi po Wawie w naziolskiej bluzie?* – pytał Robert.

Monikę zmroziło. Dopiero teraz sobie uzmysłowiła, że stoi na Nowym Świecie, gdzie przecież jej facet ma kancelarię. Rozejrzała się wokół i po chwili dotarł do niej sens jego pytania. Kiedy wkładała bluzę, wiedziała, że na plecach jest jakiś biały napis. Ściągnęła ją natychmiast i zobaczyła: śmierć wrogom ojczyzny.

Nie zwracała uwagi na to, co nosi Ela, chociaż jako kobieta wrażliwa na sztukę powinna była. Wydawało jej się nawet, że Ela jest muzułmanką, więc skąd w jej garderobie taka bluza, i to jeszcze z metkami?

Kolejna duperelka, nad którą nie zapanowałam – pomyślała. Kurwa mać!

Pierwszy raz tego dnia zaklęła całkiem prywatnie. Przewróciła bluzę na lewą stronę i wciągnęła przez głowę.

46

Umówili się w kawiarni na rogu Marszałkowskiej i Hożej. Oławski był jedynym gościem, siedział rozparty w rogu sali i sprawnie grzebał palcem w smartfonie. Udawał, że nie widzi Eli, chociaż kiedy zbliżała się do kawiarni, przyglądał jej się uważnie przez okno. Od razu nabrała do niego dystansu.

Aspirant Marek Oławski był łysiejącym trzydziestolatkiem w okularach i niemodnym garniturze bez krawata.

– Marek? – zapytała, kiedy stanęła przed nim, a on podniósł głowę znad stolika.

– Tak. Marta? – Wstał, wyciągając rękę, i okazało się, że jest od niej niższy o co najmniej dwadzieścia centymetrów. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Najpierw zamówię sobie kawę. Pozwolisz?

– Jasne – odparł i opadł na krzesełko.

Ela zamówiła cappuccino, wróciła do stolika i zdjęła kurtkę. Oławski wciąż grzebał w telefonie, jakby chciał zademonstrować swoją obojętność, ale wyglądał na zwykłego gbura.

To ma być człowiek do zadań specjalnych? *Fuck!* – pomyślała, przysuwając się do stolika.

– Możesz odłożyć ten telefon? Czy mam zadzwonić do dyrektora? – zapytała w końcu. – Nie jesteśmy na randce.

– Okej, okej… – odpowiedział pokornie. – Przepraszam, ale mam właśnie pilną sprawę online… już kończę.

Po chwili odłożył telefon i zaczął szukać czegoś w kieszeniach. Trwało to kilkanaście sekund i Ela pomyślała, że aspirant musi cierpieć na jakąś nerwicę natręctw. Zaczęła się zastanawiać, jak w takim razie poprowadzić z nim rozmowę.

Marek Oławski nie sprawiał wrażenia kogoś, komu można zaufać, nie mówiąc już o wspólnym działaniu operacyjnym czy konspiracji. A przecież był to człowiek, który miał im pomóc w rozwikłaniu zagadki Magdy Kozak i Waldemara Burskiego, jedynego śladu, jaki prowadził do napastników. Fałszywy ruch, drobny błąd mógł spalić sprawę i ich ostrzec. Gorzej, przyspieszyć kontruderzenie, a wtedy straciliby przewagę.

Przez chwilę Ela pomyślała, żeby zadzwonić do Romana, ale w końcu opanowała się i uznała, że musi sama rozwiązać ten problem.

Oławski skończył przeszukiwać kieszenie, ale nic nie znalazł. Oparł się na przedramieniu i zdjął okulary.

– To w czym mogę pomóc? – zapytał.

– Magda Kozak i Waldemar Burski.

– Co z nimi?

– Co o nich wiesz?

– A co chcesz wiedzieć?

– Przestań się ze mną kiwać, tracisz czas – zareagowała twardo Ela. – To nie jest sprawa jakichś lewizn czy podbierania ze służbowej kasy. Ktoś może dać głowę. Albo będziesz ze mną współpracował, albo dzwonię do dyrektora. – Sięgnęła do kieszeni.

– No dobrze, ale co chcesz o nich wiedzieć? – Oławski zrobił zdziwioną minę. – Burskiego znam bardzo dobrze, ale o Kozak prawie nic nie wiem. Jest u nas dopiero od miesiąca. Praktykuje.

– A Burski?

– Burski to normalny policjant. Od początku w wydziale wywiadowczo-patrolowym. Porządny człowiek. Żadnych kar, zastrzeżeń, podejrzeń… dobry kolega. Kawaler, sportowiec, apolityczny zupełnie… Nie wiem, co może być punktem zaczepienia. – Oławski sprawiał wrażenie szczerego, mimo to Ela pomyślała, że przecież mogą być w zmowie i nie powinna mu ufać.

– A jego kontakty? Koledzy w pracy, poza pracą? Pieniądze? Używki, narkotyki, kobiety? Skąd pochodzi? Rodzina?

– Poza pracą? Nie wiem… Wolny czas spędza na siłowni i biega na Kabatach. Nie pali, nie pije i nie wygląda na to, żeby parł na kasę. Wiem, że miał dziewczynę, ale ostatnio chyba już nie. Pochodzi skądś spod ukraińskiej granicy czy coś w tym stylu…

– Policjant idealny! – skomentowała Ela. – Dziwne? Dużo takich u was na komendzie?

– Właściwie… to wyjątek. – Oławski wyglądał na zaskoczonego własnym odkryciem. – Rzeczywiście… dobry kolega i wzorowy policjant, ale… może… jest w nim coś innego, trochę stroni od ludzi, albo teraz się zasugerowałem. Ludzie go lubią. Może trzeba przejrzeć jego akta personalne, są u nas w wydziale kadr, ale to może załatwić tylko dyrektor. Komendant ci ich nie da.

– Załatwimy to… – nie dokończyła, bo poczuła, że w jej kieszeni wibruje telefon.

Dzwonił Witek.

– Poczekaj chwilę – rzuciła do słuchawki i wyszła z kawiarni. – Co tam?

– Jestem pod jego domem. – Witek mówił ściszonym głosem. – Zadzwoniłem domofonem, nikt nie odbiera. Telefon komórkowy wyłączony. Mieszka na drugim piętrze. To mieszkanie dwupokojowe

w bloku z wielkiej płyty, okna wychodzą na aleję KEN. Przez lornetkę widać, że w jednym pokoju okno jest rozbite. Ela… to nie jest normalne. Coś tu się dzieje. Mur-beton!

– Poinformuj Romana – odparła. – Jestem na spotkaniu z tym policjantem i badam grunt. Czekaj na sygnał i nic nie rób.

– Nie robię! – obruszył się Witek. – Za kogo mnie masz, kochanie?! To, że byłaś przedostatnia na roku, a ja ostatni, nie znaczy, że możesz…

– Daj spokój. Nie mam ochoty na żarty.

Wróciła do stolika. Oławski znów grzebał w smartfonie i kątem oka zauważyła, że siedzi na Facebooku.

– Burski jest dzisiaj w pracy? – zapytała, kiedy tylko usiadła.

– Nie wiem… nie widziałem go.

– A możesz sprawdzić?

Oławski wykonał kilka ruchów palcami i przyłożył smartfon do ucha. Odczekał chwilę.

– Ma wyłączony telefon – oznajmił. – A nie powinien. Zaraz sprawdzę… – Znów przebiegł palcami po ekranie. – Waldek ma dzisiaj służbę? – zapytał kogoś. – Tak? Tak… tak… hm… Rozumiem. Tak… dziwne… – Wpatrywał się w Elę z coraz większym zdziwieniem, w końcu się rozłączył. – Nie przyszedł jeszcze do pracy i nie odbiera telefonu. Szef jest wściekły. Waldek miał służbę w sobotę, ale wolne planował wziąć w przyszłym tygodniu. Dziwne to trochę… Znajdzie się.

– Okej! – Ela zaczęła się zbierać. – Na razie wystarczy mi to, co już wiem. Na pewno się znajdzie. Dziękuję za czas i pomoc. – Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Na Imielin dojechała w ciągu kilkunastu minut. Dwukrotnie przecięła pasy na czerwonym świetle i kilka razy zajechała innym drogę. Witek stał

po drugiej stronie alei KEN, na trawniku pod drzewem, więc zaparkowała, wbrew znakom zakazu, przy krawężniku obok stacji metra.

– Dzwoniłaś do Romana? – zapytał, kiedy przy nim stanęła.

– Tak. Mamy wchodzić.

– Okej.

– No to do dzieła. – Klepnęła Witka w plecy. – Daj jeszcze… popatrzę.

Przyłożyła lornetkę do oczu, a Witek wskazał jej okno na drugim piętrze.

– Wybite… jakby ktoś rzucił kamieniem, ale nie widać, czy od środka, czy z zewnątrz. Dziwne. – Przeniosła wzrok na okna balkonowe piętro niżej i zakratowane na parterze. – Sprawdziłeś?

– Tak. A co myślałaś?

– Nie denerwuj się, skarbie. Wystarczy, że ja… co dwie głowy… i tak dalej…

– Na parterze jest jakaś staruszka… siedzi w kuchni… ooo… tam. – Wskazał ręką. – A na pierwszym piętrze nie ma nikogo.

– Wejdziesz? – zapytała Ela i spojrzała na Witka.

– Ruszajmy, bo sytuacja w każdej chwili może się zmienić. Załóż słuchawki do radia i idź pod klatkę schodową z drugiej strony.

Włączyli radiostację. Sprawdzili, czy się słyszą. Przeładowali broń. Ela zatknęła glocka za pasek z przodu, zakryła kurtką i ruszyła w lewo. Witek wcisnął swój pistolet z tyłu i poszedł w prawo.

W ciągu minuty oboje zajęli pozycje po obu stronach bloku przy ulicy Polaka 5. Ela przed klatką schodową, a Witek pod balkonami. Odczekał chwilę, aż przejdzie kobieta z wózkiem, i rozejrzał się.

– Ruszam – rzucił.

– Uważaj na siebie – odpowiedziała natychmiast Ela.

Witek wybił się z obu nóg i chwycił mocno za barierkę balkonu na parterze. Starał się być tak blisko lewej strony, by nie wejść w światło okna,

ale najważniejsze było możliwie szybko wspiąć się na drugie piętro. Przedłużanie groziło przypadkową dekonspiracją.

Mimo że już od lat nie uprawiał gimnastyki wyczynowo, to jednak wciąż ćwiczył, żeby utrzymać kondycję. Był to rodzaj silnego uzależnienia, które dawało mu poczucie harmonii, spokoju, odpowiedzialności, ale przede wszystkim pewności siebie.

Spiął się z całych sił, naprężył ciało i skoncentrował do skoku. Chwycił poręcz, jakby zaczynał ćwiczenie na drążku, podciągnął się na niej i wspiął błyskawicznie po kratach balkonu na pierwsze piętro. Kryjąc się za barierką i wisząc na zewnątrz, zajrzał dyskretnie do mieszkania. Wewnątrz było ciemno, ale firanki i tak uniemożliwiały obserwację wnętrza. Nie czekał, wspiął się po murku i chwycił dolną część barierki na drugim piętrze. Przerzucił ciało przez balkon Burskiego i skulony skrył się pod oknem.

– Jestem – wyszeptał.

– Czekam – odpowiedziała Ela. – Uważaj! Mam złe przeczucia.

– Nie kracz. Na razie… cicho… nic. – Witek mówił spokojnie, był skoncentrowany i zwarty.

Wyciągnął pistolet. Na balkonie stały jakieś kartony, leżak i dwie skrzynki z uschniętymi roślinami. Było brudno. Dopiero teraz zauważył, że szkło z rozbitego okna leży na zewnątrz, ale nigdzie nie widział przedmiotu, którym można to było zrobić.

Bardzo ostrożnie, powoli uniósł się i zajrzał do środka. Wewnątrz było ciemno, a firanki zasłaniały widok i mógł dostrzec tylko niewyraźne kształty. Spojrzał przez barierkę w dół i ocenił, że w najgorszym wypadku będzie mógł skoczyć na nieduży świerk, który rośnie pod balkonem.

Włożył rękę przez rozbite okno i otworzył drzwi balkonowe. Pistoletem przesunął firankę. Zajrzał do wnętrza i przez chwilę się wsłuchiwał, próbując wyłowić jakikolwiek dźwięk, znaleźć coś, co odbiegałoby od tła.

W skromnie urządzonym mieszkaniu panowała zupełna cisza. Witek wślizgnął się do salonu. Rozejrzał się, mierząc z pistoletu, ale nie zauważył nic niepokojącego, poczuł jedynie dziwny, słodkawy zapach podobny do stęchlizny. Popatrzył w prawo i dopiero teraz zauważył, że na rozbitym oknie firanka jest zakrwawiona, tak jakby ktoś się zranił, uderzając pięścią w szybę.

– Jestem w środku – wyszeptał. – Cisza… pusto…

– Wpuść mnie – usłyszał w słuchawce.

– Czekaj.

Przeszedł przez salon i ostrożnie wychylił się do przedpokoju, skąd prowadziły otwarte drzwi do kuchni, drugiego pokoju i zamknięte do łazienki. Najpierw wsunął się do sypialni.

Porządek, zaścielone łóżko, na którym ułożone było ubranie – spodnie, koszulka, skarpetki, bokserki, jakieś kolorowe pisma. Na podłodze hantle, a obok ławeczka do ćwiczeń, żadnych książek. Cofnął się do korytarza. Obrócił do tyłu, zrobił trzy kroki i stanął w drzwiach do kuchni. Na stoliku stał kubek, talerzyk i pusta butelka po wodzie mineralnej.

Witek spojrzał na zamknięte drzwi do łazienki. Miał wrażenie, że nie powinien ich otwierać, że nie chce wiedzieć, co jest w środku. Ta cisza, ten zapach i krew na firance… czuć było aurę śmierci.

Dotknął pistoletem klamki, nacisnął ją powoli, a drzwi zaskrzypiały i ustąpiły. Pchnął je lekko. Przed nim ukazało się szare wnętrze, ale mógł rozróżnić poszczególne kształty. Już wiedział, co zobaczy.

– Jest – powiedział. – Chodź na górę. – Lufą pistoletu włączył światło w łazience i aż się cofnął. – Może jednak lepiej nie wchodź – dorzucił.

Kiedy dotarła na drugie piętro, otworzył jej drzwi, dotykając zamka przez chusteczkę.

– Uważaj… mocne… uff… – ostrzegł. – Trzeba poinformować Romana. – I zrobiło mu się niedobrze.

Stanęli oboje w drzwiach do łazienki. Ela zakryła usta.

W wannie pełnej czerwonej wody leżały nagie zwłoki uśmiechniętego mężczyzny z zamkniętymi oczami. Lewa ręka zwisała swobodnie na zewnątrz, wierzchem dłoni dotykając podłogi. Trzymała luźno strzykawkę. Ciało było wychylone głęboko na bok. Wyglądało, jakby wysuwało się z wanny. Głowa, obwiązana ręcznikiem, miękko opadała na prawe ramię i ukazywała dużą brunatną wyrwę w górnej części czaszki. Ściany i sufit były obryzgane zakrzepłą krwią, a z tyłu nad wanną kleiły się do kafelków i lustra żółtobrązowe gęste kawałki mózgu i drobne kości.

Na taborecie obok wanny stała opróżniona do połowy butelka johnniego walkera, rozsypane tabletki i kolejna strzykawka. Na podłodze rozrzucone w nieładzie zdjęcia i kolorowe pisma.

– Policjant leży rozwalony w wannie. – Witek poinformował przez telefon Romana i dodał z przejęciem: – Masakra… horror!

– Niczego nie dotykajcie – usłyszał po chwili milczenia. – Zróbcie zdjęcia, sfilmujcie i zostawcie wszystko tak, jak było. Żadnych śladów.

– Jasne, szefie!

– Zamordowany?

– Trudno powiedzieć… – Witek się zawahał. – Wygląda na samobójstwo… strzał w brodę, ale broni nie widzę…

– Na pewno jest w wodzie – wtrąciła się Ela, która wsunęła się głębiej do łazienki. – Narkotyki? Gejowskie pisma?

– Słyszałem – powiedział Roman. – Zróbcie, co powiedziałem, i zmywajcie się stamtąd.

47

Wsunął przez głowę zieloną wojskową pelerynę i żeby nie powiewała, zacisnął ją paskiem z gwiazdą na klamrze, potem założył czołgowy hełmofon i zapiął pod brodą sprzączkę, na oczy nasunął gogle i z pierwszego kopa odpalił motocykl Ural M-72 z 1951 roku. Tetetkę wsunął do kieszeni.

Motocykl znalazł w szopie za domem, kiedy robił pierwszy obchód posesji w Aleksandrowce. Zielony, w niemal idealnym stanie, miał przejechany niecały tysiąc kilometrów. Dobrze schowany przed deszczem i nasmarowany, jakby czekał, aż ktoś godny się nim zajmie. Stał tak sześćdziesiąt cztery lata, jak ustalił Jagan na podstawie gazety „Krasnaja Zwiezda” z piątego marca, która leżała obok w skrzynce z narzędziami.

Poświęcił motocyklowi całe swoje serce i przez zimę przywrócił do życia ten symbol wolności i wielkości ZSRR. Nazwał go Rusłan i przetestował na podmoskiewskich bezdrożach, wyciskając z silnika krew.

Na prawdziwym uralu, w powiewającej pelerynie, hełmofonie i goglach, wyglądał, jakby przybył z zaginionego świata czerwonych sztandarów. Ciężki, miarowy turkot czterosuwowego silnika sprawiał magiczne wrażenie. Z daleka oznajmiał, że oto nadjeżdża niepokonany Związek Radziecki, i wszystkie suvy, lexusy, beemki i merce ustępowały mu drogi, ni to z szacunku, ni to ze strachu. Jagan niczym nie przypominał oklejonych kolorowymi wyszywankami, upozowanych członków klubów

motocyklowych, którzy na chińskich replikach udawali radzieckich patriotów albo zbierali się na stacjach benzynowych, małpując amerykańskie gangi.

On sam jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie miał pojęcia o motocyklowej kulturze Moskwy. Po prostu jeździł motocyklem Ural M-72, który przywrócił do życia po sześćdziesięciu czterech latach hibernacji. Nie zauważał nawet, że wzbudza zainteresowanie, ignorował oznaki sympatii czy żołnierskie saluty. Zwyczajnie parł do celu przez zatłoczoną Moskwę.

Przejazd zajął mu nieco ponad godzinę.

Dunin już czekał przed restauracją. W eleganckim szarym garniturze i czarnej koszuli bez krawata, stał oparty plecami o drzwi i namiętnie palił papierosa. Ciemne okulary przesunął w stylu włoskim na czoło, wystawił twarz do słońca, zamknął oczy. Wygląda jak żigolak w Portofino, a nie pułkownik GRU – pomyślał Jagan, chociaż nigdy nie był we Włoszech i tylko lubił tę nazwę.

Z początku miał nadzieję, że to nie on. Kiedy jednak Dunin spojrzał w jego stronę i uniósł rękę na powitanie, wątpliwości się rozwiały i pozostało tylko splunąć.

Podali sobie dłonie. Jagan poczuł męski, pełny i prawidłowy chwyt. Spojrzał Duninowi w oczy, a ten odpowiedział mu chłodno. Najgorsze było jednak to, że w żaden sposób Jagan nie mógł sobie przypomnieć twarzy. Rozumiał, że pamięć to dzisiaj jego najsłabszy punkt, i bał się, że ktoś może to wykorzystać, zwłaszcza że pierwszy raz od powrotu ze Szwecji zdecydował się na takie spotkanie.

Poprawił i dyskretnie odbezpieczył tetetkę w kieszeni, po czym ruszył za Duninem do restauracji. Postanowił zachować szczególną ostrożność i milczeć, dopóki Dunin się nie uwiarygodni.

– Fajny masz motor. Napijesz się? – zapytał Dunin, kiedy usiedli za stołem, ale Jagan nie odpowiedział. – Zjesz coś? – dopytał, lecz Jagan wciąż się nie odzywał. – Nic nie chcesz? – rzucił w końcu, lekko poirytowany. – Dobrze… słyszałem o tobie sporo i wiem, że… – Nie dokończył, bo Jagan wydął usta i zmarszczył czoło. – Okej, okej… – dodał niepewnie. – Trochę cię podszedłem z tą naszą znajomością, ale chyba nie będziesz się sądził z tego powodu. Wolę od razu oczyścić atmosferę, bo zależy mi na twojej pomocy i co gorsza… nie mam, kurwa, czasu. Powiem ci, jak jest, okej? – Spojrzał pytająco na Jagana, który siedział jak posąg, z rękami pod stołem. – Jestem dowódcą oddziału specjalnego GRU w Syrii i możesz to łatwo sprawdzić, jak będziesz chciał. Wykonujemy tam różne… nooo… trudne zadania… dla podtrzymania pokoju światowego. – Dunin uśmiechnął się ironicznie. – Możesz się domyślić, ale szczegóły ci niepotrzebne… O! – Przerwał nagle i sięgnął do kieszeni. – Coś ci pokażę. – Wyjął dwa zdjęcia i rzucił na stół. – To z Syrii.

Jagan wychylił się delikatnie do przodu, ale fotek nie dotknął. Zobaczył na nich mężczyznę w ciemnych okularach, z automatem w dłoni i nagim torsem. Przypominał Dunina, nie uśmiechał się. Pod jego nogami leżały skłębione pokrwawione ciała.

– Nie jestem zboczeńcem i nie noszę tego ze sobą – wyjaśnił, kiedy Jagan się wyprostował. – Przyniosłem to dla ciebie… żebyś wiedział, z kim gadasz. To na ziemi to islamskie ścierwo, obcinacze głów… mieli pecha i natknęli się na naszych chłopaków ze specnazu. Wiem, jaki z ciebie kozak, chociaż nigdy razem nie działaliśmy. Wiesz, jak jest… sława nasza mołojecka… – Dunin po raz pierwszy uniósł brwi, jakby dopiero teraz włączył twarz. – Mam dla ciebie dziesięć tysięcy euro. Robota łatwa, szybka, bezpieczna. Prywatna oczywiście, bez podatku. – Machnął ręką na kelnera i wyjął papierosa. – Ty nie palisz? – zapytał, ale Jagan wciąż

siedział milczący, z rękami pod stołem. – Wiem, że międlisz tam gnata, ale niepotrzebnie. Nic ci nie grozi. Wchodzisz w biznes albo nie. Sprawa prosta. Nie wiesz jeszcze, o co chodzi… zaraz ci wyjaśnię… – Urwał, bo podszedł kelner i podał im karty.

Jagan przeczytał na okładce wytłoczony w skórze i pyszniący się piękną złotą cyrylicą napis: *Restauracja Jar, założona w 1826 roku*.

Spojrzał na kelnera. Nigdy wcześniej nie widział na żywo tak eleganckiego pana.

Dyrygent? – pomyślał.

Kelner miał czarne spodnie z mankietami, zaprasowane w idealny ostry kant. Do tego błyszczące lakierki bez śladu załamań. Bordowy frak z satynowymi wyłogami, złotą kamizelkę z dewizką, białą koszulę i zieloną jedwabną muchę. Na rękach cienkie białe rękawiczki.

Jagan jeszcze raz rzucił okiem na kartę.

– Tysiąc osiemset dwudziesty szósty? – przeczytał na głos i spojrzał na kelnera, który odsunął się kilka metrów od stołu i stał wyprostowany, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, jak gwardzista na placu Czerwonym. – To który rok mamy teraz?

– Co? – zapytał Dunin.

– Zuch! – Jagan wydął usta w wyrazie podziwu dla kelnera.

– Kto? – zapytał znów Dunin, wyraźnie nie mogąc się połapać, o czym Jagan mówi. – To co chcesz? – dorzucił, wciąż kartkując menu.

Jagan rozejrzał się wokół i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że są sami i że nie jest to zwykła restauracja. Była to duża sala na trzysta miejsc, wysoka na prawie dwadzieścia metrów, ze sceną zasłoniętą kotarą. Po lewej wysokie okna z eleganckimi storami, po prawej antresola. Marmurowe kolumny otaczały pomieszczenie ze wszystkich stron, a wysokie lustra dodawały wnętrzu rozmachu i światła. Wszystko skomponowane ze

smakiem i bogato zdobione złotą sztukaterią w stylu rosyjskiego empire'u. Jagan podniósł głowę i spojrzał w górę.

– Ja… pier… ożeż ty… – wymruczał na widok bajkowego dzieła artystów i rzemieślników, jakie wisiało nad jego głową. – Piękne! – powiedział całkiem głośno.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż siedzi w motocyklowej pelerynie, ściśnięty wojskowym paskiem, a jego stary czołgowy hełmofon leży na śnieżnobiałym atłasowym obrusie.

Dunin z satysfakcją zauważył, że Jagan jest pod wrażeniem tego miejsca, zdziwił się tylko, że reaguje z takim opóźnieniem. Mówili, że ma wrażliwą rosyjską duszę bezwzględnego zabójcy, i nie mylili się. Na taki właśnie efekt liczył, zapraszając go tutaj. Twarz Jagana mówiła wszystko.

– Przychodził tutaj Rasputin i jego zabójca, książę Jusupow – powiedział Dunin cicho, z wyczuciem i po chwili dodał: – Puszkin, Czechow, Turgieniew, Tołstoj…

– Uch… ożeż ty… bladź… – skomentował Jagan.

– Jak zrobimy ten interes, to będziesz mógł jeść tutaj codziennie do końca życia… nawet w tej pelerynie… a ten tam książę… – wskazał głową na kelnera – będzie ci podawał solankę na pierwsze, a bliny z kawiorem i śmietaną na drugie. To co ci zamówić?

– Herbatę – spokojnie odparł Jagan.

– Czyli zaczynamy?

– Dawaj, pułkowniku.

W rzeczywistości Jagan nawet nie zamierzał czytać menu restauracji Jar, bo z góry zakładał, że jedzenie w muzeum staroci nie może być smaczne. Przecież patrzeć i jeść to nie to samo – myślał. Wolał kociołek z ziemniakami, cebulą i słoniną niż solankę i kawior.

Jesiotr, ikra czy raki nie dadzą narodowi siły, tylko cukier i kartofle. Taki Czechow, Puszkin, Tołstoj… jedli byle co i o mało Rosji na zatracenie nie wydali – doszedł do wniosku, trzymając dłoń na zamkniętym menu ze złotymi literami.

Szanował rosyjskich pisarzy, bardziej jednak malarzy, ale za prawdziwych artystów uważał cyrkowców. Ojczyzny bronił skutecznie tylko Generał Kałasznikow, którego twórczość – w odróżnieniu od dzieł Turgieniewa – znał osobiście.

Dziesięć tysięcy euro było dla Jagana sumą abstrakcyjną, bo nie potrafił sobie wyobrazić, by potrzebował czegoś bardziej wartościowego niż motocykl Ural czy dubeltówka. Wprawdzie łódka, którą pływał po jeziorku, była już spróchniała, ale jeszcze jeden sezon wytrzyma. I wojskowa renta też wystarczała na życie, a nawet trochę z niej zostawało.

Ciekawiło go, czy propozycja Dunina ma jakąś wartość duchową albo patriotyczną. Po powrocie ze szwedzkiego szpitala Jagan zbliżył się do Boga i nawet był dwa razy w cerkwi. Potrzebował kontaktu z kimś, kto zna odpowiedzi na pytania, które od wybudzenia ze śpiączki kłębiły mu się w głowie, powodując bolesny zamęt. Nie mógł przecież cały czas przyjmować na czczo tabletek przeciwbólowych, które go tylko ogłupiały. A smok poszarpany kulami był już martwy.

Może jakaś nowa robota mi pomoże – pomyślał niepewnie, patrząc, jak Dunin zamawia herbatę.

– Świetnie, chorąży! – zaczął pułkownik, kiedy kelner się oddalił. – Pamiętasz Czeczena Muhamedowa?

Jagan poczuł się, jakby ktoś strzelił go otwartą dłonią w twarz, bo akurat sprawę Muhamedowa pamiętał. Można by pomyśleć, że wydarzyła się wczoraj.

– W czasie puczu Lebiedzia pracowałeś dla Popowskiego z SWR, tego zdrajcy, z którym postrzelałeś się w Szwecji, pamiętasz?

– Pamiętam Muhamedowa – odparł pewnym siebie głosem Jagan. – Lekarz mi powiedział, że jeśli człowiek coś pamięta, musi to być prawda. Nie pamiętam tylko, co się zdarzyło w Szwecji. Mam papiery na amnezję i dostałem na nią rentę, ale tego śmierdzącego capa pamiętam bardzo dobrze. Zatłukła go w górach jego osobista ochroniarka i teraz gnije gdzieś w dole to ścierwo islamskie. Zostawiłem jej truchło, żeby mogła się nim nacieszyć. Zginęli tam moi bracia. – Jagan wyraźnie się ożywił.

– A Issę Ułajewa znasz? – zapytał Dunin, ale Jagan pokręcił głową i wydął usta. – To zbój z klanu Muhamedowa… A Ismaila Guzowa? Też z jego klanu, kuzyn Issy.

Jagan znów pokręcił głową.

– Nastrzelałem sporo tych capów od Muhamedowa i w górach, i u niego w domu, ale w papiery im nie patrzyłem. Jedna bladź. Martwy to już tylko ścierwo. – Uderzył palcami w blat stołu.

– To dobrze, chorąży, że coś tam pamiętasz. Bo już się obawiałem, że możesz mieć pełną amnezję. – Dunin zrobił grymas, jakby chciał się uśmiechnąć. – Bo widzisz, ten biznes to…

48

Zapadał zmierzch i było coraz zimniej. Od dwóch dni nad górami Waziristanu wisiały deszczowe chmury, a w nocy temperatura spadała do pięciu stopni. Za to w dzień szybko rosła i robiło się bardzo wilgotno. W powietrzu czuć było łajnem.

Tygrys wydał im dodatkowe koce, ale nie zgodził się na wstawienie piecyka. Od trzech dni nie wychodzili na zewnątrz, nie myli się i z menu zniknął ser. Tygrys też gdzieś się zapodział, nie przychodził, żeby posiedzieć na skrzynce i pogawędzić. Skończyły się również spotkania pod akacją.

Na zewnątrz przy drzwiach, okryty peleryną, przycupnął jeden z talibów. Śpiewał jakąś modlitwę albo pieśń przerywaną wesołymi okrzykami w urdu, na które odpowiadali mu inni talibowie, po czym wszyscy wybuchali śmiechem.

Jürgen, zawinięty w koc, siedział pod ścianą. Oparł się rękami o kolana, położył na nich swoją wielką kwadratową głowę i wyglądał, jakby drzemał.

Po przeciwnej stronie leżał na cienkiej macie Oliver. Kaszlał głośno i co chwila jego ciałem wstrząsały spazmatyczne skurcze. Talibów nie interesował jego stan, byli ostentacyjnie obojętni i udawali, że nie rozumieją próśb o lekarstwo.

Tygrysa nigdzie nie było.

Henryk bardzo polubił młodego Anglika i oddał mu swój drugi koc. Po problemach żołądkowych, na które narzekali również pozostali więźniowie, Oliver znów się rozchorował. Był spośród nich najmłodszy, najbardziej delikatny, wrażliwy na jedzenie i klimat, więc wszyscy czuli się przybici jego cierpieniem, ale nie mogli nic zrobić. Kazuo okazywał mu współczucie jedynie werbalnie, bo ani koca, jak Henryk, ani wody, jak Jürgen, nie chciał odstąpić. Wciąż siedział skulony w swoim rogu i coś notował.

Początkowo Jürgen przestrzegał Henryka, że bez dodatkowego koca i on może się rozchorować, a wtedy nie będą w stanie już nic zrobić. Mimo to opiekował się Anglikiem najlepiej, jak mógł, i w końcu też oddał mu swój koc. Co jakiś czas moczył ręcznik w zimnej wodzie i kładł go chłopakowi na rozpalone czoło. Wymieniał i suszył przepocone koce.

W końcu Oliver zasnął i przestał kaszleć.

Henryk, który siedział dotąd przy drzwiach i przez szparę obserwował, co się dzieje na zewnątrz, przesunął się w stronę Jürgena. Przysiadł obok, dotykając go ramieniem.

– No i co? – pierwszy zapytał po rosyjsku Jürgen, nie podnosząc głowy.

– Nie ma go – odparł Henryk trochę niewyraźnie, bo potężna opuchlizna ściskała mu szczękę. – Na zewnątrz jest ich trzech, a dwóch jeszcze w tym domu po lewej. Samochód stoi, nie używają go.

– To co robimy? – Jürgen uniósł głowę. – Niby dobry moment… – Urwał, patrząc na Kazuo, który z kocem na głowie, notatnikiem w dłoni i pisakiem w drugiej rzucał w ich stronę ukradkowe spojrzenia.

– Niby dobry… – potwierdził Henryk. – Niby. Tygrysa nie ma, więc ci zbóje są sami i pewnie bez dowódcy będą mniej skuteczni. Ciągle pada… – Zasyczał, skrzywił się i chwycił dłonią za spuchnięty policzek. – To działa na naszą korzyść.

– Albo niekorzyść – odparł Jürgen zdecydowanie. – Oni znają te góry, a my nie. Mają łączność… I jak, kurwa, uruchomimy ten pierdolony samochód?

– Strażnika możemy załatwić od razu… tego, co siedzi tu pod drzwiami. Zyskamy wtedy jeden automat i jak dobrze pójdzie, od razu odstrzelimy tych dwóch po drugiej stronie podwórka. Wtedy będziemy mieli już trzy automaty. – Henryk szturchnął Jürgena.

– Myślisz, że on w ogóle potrafi strzelać? – Niemiec spojrzał na Kazuo. – Mam obawę, że jak damy mu pepeszę, to najpierw wygarnie do nas. – Uśmiechnął się kwaśno. – A poza tym co zrobimy z Oliverem? Zostawimy go w takim stanie?

– No nie… nie możemy. To co? Czekamy, aż mu się poprawi? W tym czasie pewnie wróci ten bandzior i… – zawahał się – i dobrze, bo mam ochotę mu odpłacić.

Jürgen spojrzał na zasinioną i zniekształconą twarz Henryka.

– Mściwy Polaczek, oj… mściwy – rzucił z uśmiechem Jürgen. – Ale rozumiem cię, nawet jeżeli nie widziałeś się jeszcze w lustrze.

– Tracimy dobrą okazję… Trudno… – Henryk wypuścił głośno powietrze, aż Kazuo podniósł głowę.

– Gdybym mógł zajrzeć do kabiny tej ciężarówki, to może bym znalazł sposób na jej uruchomienie. W końcu to jakaś stara maszyna… – odezwał się niespodziewanie Jürgen. – Niemcy robią najlepsze samochody na świecie i najlepsze zabezpieczenia przed kradzieżą, ale sami nie potrafią kraść. Od tego są inni… – Spojrzał z rozbawieniem na Henryka.

– Chyba ci przypierdolę… – odparł całkiem serio Henryk. – Jak możesz… w takich okolicznościach?

– Okej. – Jürgen objął go ramieniem jak konarem. – Nie denerwuj się. Niemcy nie znają dobrych żartów.

– Nie widzisz, kurwa, że tracimy czas? Zmieni się pogoda i pewnie wróci Tygrys. Chociaż… – Henryk się zawahał – wcale nie jest wykluczone, że on tu jest, tylko nie ma już o czym z nami gadać. I na pożegnanie walnął mnie kolbą w łeb.

– Może pojechał negocjować warunki naszego uwolnienia – podsunął Jürgen i wydął mięsiste usta. – No bo gdzie miałby się teraz wybrać? Wziął zaległy urlop czy co? Ma coś ważniejszego do roboty? Jakieś nowe porwanie, ścinanie głów? Pogniewał się na nas?

– Daj spokój, Jürgen. I ty mówisz, że Niemcy nie mają poczucia humoru! Macie poczucie czarnego humoru jak nikt inny. Jesteśmy wciąż w czarnej dupie i wydaje mi się, że coś się szykuje. Mam złe… bardzo złe przeczucie… bo…

Henryk nie dokończył, bo niespodziewanie otworzyły się drzwi i do środka wtargnął Tygrys, a za nim dwóch talibów. Był blady, miał wyraźnie zamglony wzrok i Henryk pomyślał z przerażeniem, że jest pod wpływem narkotyków. Patrzył na nich z pogardą, a może nawet nienawiścią. To nie był ten sam człowiek, którego znali.

Przemoczony, stał okrakiem i po chwili powolnym ruchem ręki odciągnął z chrzęstem zamek automatu. Wyglądał, jakby chciał pociągnąć po nich serią. Henryk zamknął oczy i wstrzymał oddech. Czekał na huk wystrzałów. I nagle poczuł się dziwnie, ogarnął go spokój, jakby ulga, że za chwilę to wszystko nareszcie się skończy i już nie będzie musiał nic planować z Jürgenem, martwić się o Olivera czy Kazuo, będzie mógł rozpocząć nowy etap życia, bez nich, gdzieś tam daleko. Bał się tylko kul rozszarpujących ciało, więc skulił się, zakrywając głowę rękami.

Konnichiwa – usłyszał spokojny głos Kazuo.

Uniósł głowę i zobaczył, że Japończyk stoi przed Tygrysem, pochylony głęboko, z dłońmi opartymi o uda i ze wzrokiem wbitym w ziemię. Henryk

spojrzał na Jürgena, na Olivera, który właśnie się obudził, i znów na Kazuo.

To był absurdalny widok, niezrozumiały, jakby przeniesiony z czarno-białego filmu Kurosawy, i gdyby nie przerażająca twarz Tygrysa, jak z teatru kabuki, mógłby być nawet śmieszny.

Czeczen zamarł wpatrzony w Japończyka, wciąż tkwiącego w ukłonie, i sprawiał wrażenie zdezorientowanego, może nawet wściekłego. Kazuo nigdy wcześniej nie wykonywał przed nim tego gestu szacunku.

– *Allah akbar!* – wrzasnął Tygrys i pomieszczenie wypełnił huk wystrzałów.

49

Była czternasta dziesięć, kiedy Dima wrócił do hotelu. Przed wejściem stały trzy wielkie autobusy, z których wysypywali się rozgadani turyści w starszym wieku, zastawiając bagażami każdy metr chodnika, więc by dostać się do drzwi obrotowych, musiał niemal siłą przepchnąć się do przodu.

W westybulu też było ciasno i wypełniały go nawoływania w języku angielskim z wyraźnym amerykańskim zaśpiewem.

Dima jednak nie wszedł na górę, tylko zasiadł w jedynym wolnym fotelu i wyjął telefon. To był idealny moment, by bezpiecznie skorzystać z hotelowego wi-fi. Sieć musi wyglądać jak ławica szprot – pomyślał i włączył swój smartfon.

Nacisnął ikonkę Kalkulator i po chwili w miejscu, gdzie pojawiają się cyfry, zobaczył symbol *# 12.11*, który oznaczał, że jest dla niego wiadomość pozostawiona o tej godzinie.

Po chwili w słuchawce usłyszał głos Tamary:

Cześć, braciszku. Odebrałam twoją wczorajszą wiadomość. Oleg Dunin jest nam dobrze znany. Działa w Syrii, nie jest utajniony i występuje nawet pod prawdziwym nazwiskiem, jakby chciał… albo raczej jego szefowie chcieli, żeby cały świat wiedział, że GRU tu jest. Sam czasami przesłuchuje w więzieniu Sajdnaja i ma na koncie sporo ofiar, więc

uważaj. Dowodzi mieszaną grupą dziesięciu agentów, Czeczenów od Kadyrowa i Rosjan z GRU, i to jest ten Batalion „Jug”. Dunin jest nam znany, ale dokładnie czym się zajmuje, niestety jeszcze nie wiem. Dopiero rozpracowuję temat… chyba jest celem dla Amalu. Potrzebuję jednak trochę więcej czasu. Tyle udało mi się ustalić stąd. Rozumiem, że potrzebujesz czegoś ekstra? Zadzwoń za dwie godziny, a najlepiej we wtorek, jak już wrócę. Całuję.

Mało! – pomyślał Dima. Nie mam czym zagrać.

Spojrzał na zegarek: minęły dwie godziny od nagrania.

Na fotelu obok siedziała czarna kobieta z chorobliwą otyłością i z zaangażowaniem pisała coś w smartfonie, który ginął w jej pękatej dłoni. Najwyraźniej poczuła na sobie wzrok Dimy, bo gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę i posłała mu uśmiech. Gdy tylko pokazała rząd dużych białych zębów otoczonych mięsistymi ustami, jej oczy natychmiast zamieniły się w szparki. Dima odpowiedział jej delikatnym uśmiechem i puścił oko, co kobieta przyjęła widocznie jako wstęp do flirtu i pokręciła głową.

Patrzył na nią i zastanawiał się, czy powinien już zadzwonić do Warszawy, czy jeszcze zaczekać. A może najpierw do Tamary? Nie miał Romanowi wiele do zakomunikowania, bo przecież nie opowie mu o nocy z Wierą. Mógłby co najwyżej potwierdzić, że spotkał się z Duninem, a każdy telefon z Rosji to było jednak ryzyko. Tym bardziej że Dunin z pewnością będzie go rozpracowywał. Musiał cały czas zachować wyjątkową ostrożność, tak jak radziła mu Tamara, ale o tym sam dobrze wiedział.

Nawet nie miał pojęcia, czy Dunin w ogóle jeszcze się odezwie, czy ma jakąkolwiek drogę dotarcia do talibów. Ale informacja Tamary napawała go ostrożnym optymizmem. Nie mógł tego jednak ujawniać w Warszawie.

Postanowił porozmawiać z Tamarą, która wciąż była w Atenach. Po raz pierwszy miał zadzwonić przez Kalkulator.

– Cześć, braciszku – odezwała się niemal natychmiast, bez żadnego sygnału oczekiwania. – Odsłuchałeś?

– Tak… no…

– Wiem, wiem, że to mało, ale teraz nic więcej nie mogę, mój drogi. Dopiero gdy wrócę do Tel Awiwu. Jak powiesz, czego potrzebujesz, to będzie mi łatwiej szukać.

– Właściwie to sam jeszcze nie wiem, czego potrzebuję – odparł Dima. – Dunin wygląda poważnie i Wiera to potwierdza…

– Wierzysz tej kobiecie? – zapytała Tamara. – Tyle lat jej nie widziałeś, więc jak możesz jej ufać? Jesteś oficerem wywiadu… kalkuluj chłodno… fakty…

– Ja to wszystko wiem – przerwał jej Dima, nie wspomniał jednak o Sierioży. – Ratujemy człowieka…

– Dla mnie ty jesteś najważniejszym człowiekiem… nie chcę cię… – Nie dokończyła.

– Będzie dobrze. – Dima się uśmiechnął. – Jeśli mi pomożesz…

– Ty szantażysto! – rzuciła Tamara i Dima poczuł, że ona też się uśmiechnęła. – Cóż… sam tkwiłeś kiedyś w tym środowisku, więc chyba wiesz, gdzie się czai zagrożenie. GRU to nie SWR, a ten Dunin to morderca. Oni nie odpuszczają i to nie są durnie. Kiedy zrozumie, że go oszukałeś… zabije cię. I to nie jest sprawa jego honoru, tylko czysty biznes. Gdyby żył ktoś, kto mógłby potwierdzić, że Dunin został wykiwany, on sam straciłby wiarygodność, a to dla niego byłoby najgorsze. Możesz się jeszcze wycofać bez ryzyka… Dima?

– Co?

– Wracaj do Polski… zostaw to!

– Nie mogę… muszę to zrobić. Dla zasady… Może kiedyś ja… – Zamilkł na chwilę i Tamara też, bo oboje wiedzieli, jak należy postąpić.

– Masz broń?

– Nie.

– Załatwię ci. Potrzebujesz?

Dima potrafił posługiwać się bronią, ale nigdy nie czuł, że pistolet może mu uratować życie. Zawsze uważał, że najlepszą obroną szpiega jest dobry plan ucieczki, spokój i intuicja. Tym razem jednak musiał polegać tylko na intuicji i doświadczeniu, a to zdecydowanie za mało, gdy przeciwnikiem jest ktoś taki jak pułkownik Oleg Dunin.

Pomimo tych ostrzeżeń Dima nigdy wcześniej nie czuł, by tak mocno wzbierały w nim emocje. Nie chciał być bezduszną szpiegowską maszyną. Tym razem lepiej posunąć się za daleko niż za wcześnie wycofać – przypomniało mu się, jak mówił czasami Roman.

– Przydałaby się… – odparł z ostentacyjną obojętnością. – A jak…?

– Dam ci znać, gdzie ją odbierzesz. To proste… Mamy systemy bezpieczeństwa dla naszych ludzi. Są i w Moskwie. Gdzie się zatrzymałeś?

– W hotelu na Twerskiej, ale…

– Ale co? Masz wątpliwości, to mów.

– To pewny kanał łączności? – zapytał Dima.

– Daj spokój, braciszku – odpowiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Korzystamy z niego i jest dobrze.

– Tamaro… – Dima zawiesił na moment głos. – Potrzebuję czegoś, czym mógłbym go przycisnąć do muru, jakby pojawiły się kłopoty, czegoś innego niż kasa. Czegoś, co jest dla niego ważniejsze niż milion funtów…

– Tyle mu obiecałeś za informacje czy uwolnienie Polaka? – zapytała z niedowierzaniem. – Uff… dużo, dużo… za dużo…

– Wiem, rozbudziłem jego apetyt, ale w gruncie rzeczy o to mi chodziło. Musiałem uderzyć od razu, bo nie mam czasu na negocjacje. Wiem też, że dla takiej sumy gotowy będzie na każde kłamstwo, najgorsze świństwo, ale to jedyna droga… na skróty przez bagna, ale jedyna. I obiecałem nie za Polaka, tylko za Brytyjczyka. To zasłona.

– Uff… – Tamara wyraźnie była zmartwiona. – Wiem, co zamierzasz, ale nie wiem, jak to chcesz zrobić, i założę się, że sam też jeszcze nie wiesz, nie masz żadnego planu. Zostaw to, proszę cię – powtórzyła z mocnym akcentem, ale Dima milczał. – Zadzwonię później i powiem ci, gdzie masz przesyłkę do odebrania. W sprawie Dunina zrobię, co będę mogła – zakończyła zasmucona. – Błagam… bądź ostrożny.

– Cześć, siostra.

Dima schował telefon do kieszeni. Rozejrzał się wokół i dopiero teraz zauważył, że westybul opustoszał, zrobiło się cicho i zniknęła filuterna Murzynka z fotela obok. Popatrzył na zegar nad recepcją i porównał czas ze swoim zegarkiem. Była piętnasta pięć, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Co tam słychać w Vauxhall? – usłyszał nad sobą obcy głos i ktoś poklepał go po ramieniu.

50

Na biurku leżała zielona teczka, którą kilka minut wcześniej przyniósł major Kwiecień. Napis na niej głosił: ROZPRACOWANIE OPERACYJNE nr 235 733, *krypt. „Rzeźbiarz”*, ale sprawa dotyczyła współpracownika wywiadu o pseudonimie „Lolo”.

Jeszcze nim usiadł, rzucił okiem na Wykaz Osób Znających Sprawę. Od razu zauważył, że Kwiecień nie jest wpisany jako prowadzący.

Wszedł do pokoju, gdy na biurku odezwał się telefon komórkowy. Dzwonił Witek. Spokojnym, ściszonym głosem poinformował o odkryciu ciała policjanta i wszystkim, co razem z Elą zobaczyli. Rozmowa była konkretna, krótka i treściwa, chociaż wyjątkowo dramatyczna.

Jak tylko skończyli, Roman wydał szczegółowe instrukcje, co mają robić, i kiedy się rozłączyli, natychmiast zadzwonił do Bronka, którego wyciągnął z jakiejś konferencji.

– To nie jest samobójstwo – powiedział na wstępie. – Burski został zamordowany, ale dla dobra sprawy nie mogę powiedzieć ci więcej przez telefon. Jeżeli chcesz, to spotkamy się wieczorem i wszystko ci… – Przerwał na moment. – Musisz mi zaufać – dorzucił natychmiast. – Na tym etapie i tak nic jeszcze nie ustalicie. Proszę cię jedynie, żebyś osobiście dopilnował, by nic nie wyciekło, a dochodzenie było ukierunkowane na samobójstwo, czyli tak, jak to zostało upozorowane. W przeciwnym razie wywiad zainteresuje się Burskim, co utrudni mi dochodzenie i straty dla

państwa będą większe. Co gorsza, ktoś następny może zginąć. To nie są zwykli przestępcy. Potrzebuję jeszcze kilku dni. Potem dostaniesz wszystkie informacje. Rozumiesz mnie?

Bronek ani razu mu nie przerwał, nie przeklął, nie skomentował. Trzy razy głośno wypuścił powietrze i dwa razy głęboko westchnął w momentach, w których powinien zadać pytanie, i to było dla Romana wystarczająco wymowne. Nie musiał nic mówić. Siedzieli obaj po dwóch stronach linii w przedłużającej się ciszy, jak niezdecydowani sekundanci przed rozpoczęciem pojedynku. Roman nie miał już nic więcej do dodania i czekał na odpowiedź, a Bronek nie wiedział, jak zareagować, bo przyjaciel mu tłumaczył, że musi złamać prawo.

– Rozumiem – odparł w końcu z wyraźnym niezadowoleniem i wyłączył się.

Roman wiedział, że może polegać na Bronku. Nigdy go nie okłamał, jednak tym razem musiał poprosić o nieco większy kredyt zaufania i postawić na szali ich przyjaźń. Zabolało go to, ale odpowiadał za życie swoich ludzi, a to było zadanie ponad jakąkolwiek przyjaźń.

Na wykazie jako prowadzący wciąż figurował kapitan Wiktor Braun i nie było zapisu, jakoby przed wyjazdem komuś tę sprawę przekazał. Nadzór: Pański, Hurman, Walewski, szef Korycki.

– Dziwne, że nikt na to nie zwrócił uwagi. – Roman pokręcił głową.

Gdyby było to tylko zwykłe niechlujstwo albo pomyłka, można by to zrozumieć, ale w tej sytuacji Roman musiał zakładać najgorsze. Sierżant Burski nie popełnił samobójstwa, to pewne, dlatego zaginięcie Lola najprawdopodobniej też nie jest przypadkowe. Teraz wszystkie szczegóły miały znaczenie i powoli zaczynały do siebie pasować.

Spojrzał na cienką teczkę, która przed nim leżała, i poczuł, jak zachodzi w nim jakaś dziwna przemiana, następuje synteza faktów i emocji ostatnich

dni, jakby nastąpił początek abstrakcyjnego olśnienia.

Wszystkie ślady prowadzą do Moskwy? – pomyślał. A Dima milczy. Niedobrze – zaniepokoił się. Dwa zabójstwa? O czym wiedział Adam Fint, że musiał zniknąć? A może żyje i tylko gdzieś się ukrył… W takim razie dlaczego to zrobił?

Roman otworzył pierwszą stronę akt i od razu spojrzał na niego Lolo. Było to kolorowe zdjęcie formatu A6 zrobione w Moskwie. W tle – kremlowska baszta ozdobiona rubinową gwiazdą. Adam Fint, uśmiechnięty blondyn o rozwianych bujnych włosach, w zielonej koszulce z symbolem jeźdźca polo na piersi. Delikatny, cienki wąsik, jakby zamoczony w mleku, nad szczerym uśmiechem ujawniającym proste białe zęby. Czterdziestolatek o kształtnej twarzy, zdecydowanym podbródku, prostym nosie i wyrazistych ciemnych brwiach nad jasnymi niebieskimi oczami.

Typ nordycki? Tylko te brwi… – pomyślał Roman i wziął szkło powiększające. Co ci ta twarz mówi? Nazista? Zaczął oglądać zdjęcie, jakby badał znaczek pocztowy. Nie zaufałbym mu… Przełożył następną stronę. Pojawiła się notatka zatytułowana *Charakterystyka* i w tym samym momencie zadzwonił telefon komórkowy.

– No to mamy kolejny klocek do tej popieprzonej układanki – odezwała się Monika. – Jest jakiś kierunek, ale prowadzi prosto w ciemność. Rozmawiałam z tym fiutem… dziennikarzem z Kontakt24. To kit, a nie stacja telewizyjna…

– Co z tobą? – przerwał jej Roman.

– A co?

– Klniesz!

– A? – zdziwiła się Monika. – A… jestem wkurzona… Przepraszam.

Rzeczywiście była zła na siebie, bo podpatrzył ją Robert. Włożyła bluzę i nie sprawdziła, co ma na plecach. Ale najgorsze było to, co miała za

chwilę powiedzieć.

– No więc? – rzucił krótko Leski.

– No więc… dałam się wpuścić w maliny. To była zasadzka. Zwyczajna, prosta, tandetna zasadzka… wpuścili nas jak dzieci. – Coraz bardziej podnosiła głos. – No… wciąż w to nie wierzę! Niewiele brakowało, a rozłożyliby nas na łopatki… *Fuck!*

– Uspokój się! Po kolei… Co się stało?

– Byli tam Wiatrówka i Adidas.

– Oj! – Roman tak wyrażał swoje najwyższe zaskoczenie.

– Wystawił nas niejaki Józef Kubiak… poseł z Naród i coś tam, król soku jabłkowego. On jest właścicielem portalu Kontakt24. I to on przyniósł informację, że Henryk jest oficerem wywiadu, kazał wysłać ekipę pod MSZ i przed kamerami zapytać o to Grobelnego. Dziennikarze dostali polecenie bezpośrednio od niego. A gnojek, który przyjechał na spotkanie ze mną, robił za przynętę. Wcześniej miejsce obstawili Wiatrówka i Adidas. Byli w nowym wcieleniu, ale ich poznałam. Jak się zorientowali, że stracili kontrolę na sytuacją, dostali wścieklizny. Krótko mówiąc, ślad prowadzi do tego Kubiaka. Ktoś mu to wrzucił, przecież sam tego nie wymyślił. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że gość siedzi w tym po uszy i jest świadomy, co robi i w jakim celu. Nie wierzę, że to inspiracja. Skurwiel jest w zmowie z tym kimś. – Monika przerwała, nieco już uspokojona. – Co ty na to?

– Jesteś wspaniała! – odparł miło Roman i chciał dodać „odważna”, ale się powstrzymał, bo wolał jej nie nakręcać. – Wciąż grozi ci niebezpieczeństwo. Uważaj na siebie. Gdzie jesteś?

– W centrum… Bracka… na ulicy.

– Zrób trasę, sprawdź się i wracaj na Kabaty. Musisz odpocząć. Ten dziennikarz… tak łatwo ci to wyjawił… o Kubiaku? Nie wydaje się to

trochę podejrzane? – Roman był dociekliwy, ale nie zaniepokojony.

– Nie, skąd! – odparła twardo. – Wzięłam go na swój kobiecy urok i inteligencję. Kulturalnie… wiesz. Spoko!

– To dobrze. A o Kubiaku coś wiem…

– Mogę się nim zająć? Na pewno się dogadamy. Wiem, jak miło podejść takich facetów…

– Pomyślę – przerwał jej Roman. – Skontaktuj się z Dimą, bo się niepokoję.

Skończyli rozmowę i Leski wrócił do sprawy Lola. Zaczął czytać charakterystykę i kiedy po kilku minutach doszedł do końca dokumentu, zorientował się, że nic nie rozumie. Był zdenerwowany, ale nie chciał się do tego przyznać.

Nie powiedział Monice o morderstwie policjanta, bo nie chciał jej jeszcze bardziej denerwować. Znał ją dobrze i wiedział, że tym, co się stało, przejmuje się o wiele bardziej, niż gotowa jest się przyznać. Wiatrówka i Adidas przyszli za dziennikarzem nie po to, żeby ustalić z kim się spotka, ale po to, by porwać Monikę i dotrzeć do Sekcji, albo nawet po to, by ją zlikwidować. Jaki inny powód mogli mieć? Wiedzieli przecież, że nie dadzą rady pociągnąć za nią obserwacji. Monika zakładała, że tak mogło być, ale Roman to wiedział. Zabójstwo Burskiego nie pozostawiało żadnych złudzeń.

Wziął komórkę i oddzwonił do Moniki, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Odczekał chwilę, zadzwonił jeszcze raz i znów nie uzyskał połączenia. Zaniepokoił się. Podszedł do okna. Nad szpitalem krążyły ptaki. Nie lubił tego widoku. Spróbował ponownie i nadal bez skutku.

Dlaczego wyłączyła telefon? – pomyślał, coraz bardziej zdenerwowany.

Stał tak kilkanaście minut, obserwując ptaki i dzwoniąc co chwila, jakby w ten sposób chciał ją zmusić, żeby odebrała. Skłębione dotąd myśli

o Koryckim, Fincie, Olewskim, Kubiaku, Pańskim, Kwietniu, Hurmanie, Walewskim czy Burskim odpłynęły gdzieś w niebyt, a na scenę wyszedł demon lęku.

Roman Leski był człowiekiem wyjątkowo opanowanym, zawsze potrafił logicznie wytłumaczyć sobie nawet najbardziej skomplikowaną sytuację i pomóc innym. Miał też zdolność patrzenia w przyszłość, wyczuwania zagrożenia i opisywania niebezpieczeństwa. Dlatego zawsze wiedział, kiedy powiedzieć „stop” i się wycofać, a nawet uciec.

Wszyscy myśleli, że to wyłącznie efekt doświadczenia, inteligencji i niezwykłej intuicji. Nikt w Sekcji nie podejrzewał, że przenikliwość Romana jest skutkiem jego nadwrażliwości, którą głęboko ukrywał. Dlatego czasami przychodził do niego w nocy demon lęku, później zastępowany przez potwora strachu, ale tym razem oba pojawiły się w dzień i przyjęły postać Moniki i Dimy.

Nagle szarpnęła nim jakaś potężna siła i dopiero po chwili się zorientował, że w spoconej dłoni wibruje jego telefon. Zjawy znikły. Nie musiał sprawdzać, wiedział, że to Monika.

– Coś się stało? – zapytała zaniepokojona. – Dwadzieścia telefonów w siedemnaście minut? Byłam w metrze… jestem na Kabatach.

– Nie, nic – odparł Roman tak spokojnie, jak tylko potrafił, ale Monika i tak się zorientowała, że jest zdenerwowany. – Jest pilna sprawa do załatwienia… bardzo pilna. Polecisz do Kapsztadu… pierwszym samolotem… natychmiast!

– Cooo…? – popłynęło ze słuchawki. – Po co? – zapytała z wyraźnym, nieco reżyserowanym zaskoczeniem. – Sprawa tego zaginionego, o którym mówiłeś? Co to ma do rzeczy? Roman?! Mamy na to czas. Zostaniesz sam z Witkiem i Elą. Co ty kombinujesz? – zakończyła rozgoryczona.

– Pojedziesz go odnaleźć albo sprawdzić, co się z nim stało, i ustalić dlaczego. Adam Fint to jedyna osoba, która znała osobiście Mocarza i pośredniczyła w nawiązaniu kontaktu z Olewskim w Moskwie. Musisz ustalić, gdzie w tej sprawie jest strefa zmierzchu. On to może wiedzieć. Jak widzisz, to bardzo ważne – tłumaczył Roman bez przekonania.

– Nie wydaje mi się. Powinnam się zająć raczej tym Kubiakiem. To jest wyraźny ślad. A nie jakimś gogusiem o pseudonimie „Lolo” – odparła pewnym siebie głosem Monika. – I sam w to chyba nie wierzysz, z tego nic nie będzie, bo niby od czego mam zacząć, jako kto? Ale jeżeli chcesz…

– To ważne – powtórzył Roman. – I dzwoń do Dimy.

– Okej. Porozmawiamy wieczorem – rzuciła oschle i wyłączyła się.

Roman jeszcze nawet nie przeczytał akt sprawy „Rzeźbiarz” i nie miał żadnych podstaw, by uważać, że zniknięcie Adama Finta w Kapsztadzie ma jakikolwiek związek z porwaniem Henryka Olewskiego, a już na pewno nie wiedział, czy rozwiązanie tamtej zagadki pomoże w jego uwolnieniu. Za to o jednym był całkowicie przekonany: Monika będzie tam znacznie bezpieczniejsza niż w Warszawie. I tak naprawdę tylko o to mu chodziło.

Wbrew swoim zasadom wykorzystał podstęp, a nawet skłamał, by tylko usunąć Monikę ze strefy zagrożenia, jaką teraz była Warszawa.

Wiedział, że inaczej nie mógłby tego zrobić, bo ona nigdy by się nie poddała i byłaby gotowa zginąć na próżno. Wprawdzie Monika miała trzecie oko i widziała więcej, bo była artystką, ale właśnie dlatego zawodził ją czasem instynkt samozachowawczy. Roman nie mógł pozwolić, żeby coś jej się stało. Przecież była jego córką.

51

Wyładował cały magazynek w ściany i sufit, aż pomieszczenie wypełnił gęsty kurz, latające kawałki drewna i kamienia. Pocisk albo odłamek drasnął Jürgena w dłoń, a dwie kule utkwiły w ścianie kilka centymetrów od głowy Henryka, więc wyglądało na to, że Tygrys tylko przypadkiem nikogo nie zabił.

Gdy skończył strzelać, wykrzyczał coś, wyraźnie zdenerwowany, ale przerażeni i ogłuszeni hukiem wystrzałów nic nie zrozumieli. Tylko Jürgenowi, który twardo zniósł to zdarzenie, wydawało się, że nawet nie mówił po angielsku.

Tygrys rzucił swój automat stojącemu obok talibowi i wyszedł.

Potrzebowali kilku minut, żeby się opanować.

– Co to było? – Pierwszy odezwał się Jürgen, kiedy tylko opadł kurz. – Zdenerwowałeś go Kazuo… sprowokowałeś. Już cię nie lubi czy co? Może myślał, że chcesz go zaatakować. – Ironizował, próbując rozluźnić atmosferę, ale Japończyk wciąż stał jak zahipnotyzowany. – Co z tobą, Kazuo? Żyjesz? Ogłuchłeś?

Dopiero teraz Japończyk drgnął.

– Wszystko w porządku. Okej – odparł niepewnie, włożył palce do uszu i potrząsnął nimi, jakby chciał sprawdzić, czy są na miejscu. – Strasznie mi piszczy w uszach.

– Wy tam w Japonii zapomnieliście już, jak brzmią wystrzały, nie? – odezwał się całkiem przytomnie Oliver spod góry koców. Wszyscy spojrzeli na niego z zainteresowaniem, bo wyglądał, jakby ten szok zadziałał na niego ozdrowieńczo. – Przydałaby się wam jakaś orzeźwiająca wojenka co jakiś czas, a nie tylko tsunami.

– Był chyba na haju – włączył się Henryk. – Nie wyglądał normalnie… te oczy… twarz… – Zawiesił na moment głos. – Walił na oślep, to cud, że nas nie pozabijał. To bardzo dziwne, nie uważacie?

– Dziwne… dziwne – potwierdził Jürgen. – Miałby cztery bezwartościowe trupy i cały wysiłek, negocjacje, okup jak psu w dupę. Moim zdaniem wiedział, co robi…

– Czyli coś się szykuje – podsumował Henryk. – Jak z tobą, Oliver? Lepiej?

– Jakby trochę lepiej, przestałem się trząść, ale wciąż mi zimno.

– To efekt szoku – odezwał się Kazuo, choć wcześniej prawie nie uczestniczył w rozmowach. – Wkrótce febra wróci.

Henryk przysunął się do Jürgena, który wysysał krew ze zranionej dłoni.

– To żeby nie dostać zakażenia – rzucił, wypluwając na ziemię czerwoną ślinę. – Nie pamiętasz z dzieciństwa?

– Daj spokój – skomentował cicho Henryk. Wyczuł, że mimo zewnętrznego opanowania i pozornego chłodu Jürgen jest mocno zdenerwowany. – Musimy działać! Teraz… już… natychmiast! – wyszeptał po rosyjsku. – Widzisz, co się dzieje! Talib jest teraz naprany. Może by go obezwładnić i wziąć jako zakładnika, co ty na to? My w Polsce mówimy… złapał Kozak Tatarzyna… – Nie dokończył, bo nie wiedział, jak to dalej przetłumaczyć. – Wiesz, zasadzka w zasadzce… – Spojrzał na Olivera, który szklistymi oczami obserwował ich spod koca. – No i Anglik ma się lepiej. Popatrz!

– A co z nim? – Jürgen spojrzał na Kazuo, który od razu wyczuł jego wzrok. – Kurwa, ma jakieś nadprzyrodzone zdolności? – skomentował. – Pewnie rozumie wszystko, co mówimy, i donosi temu zbójowi. Może chce się w ten sposób wykupić.

– Przecież teraz jest głuchy – rzucił Henryk i obaj uśmiechnęli się niewyraźnie. Kazuo też. – No, kurwa… chyba masz rację! Trzeba go będzie obezwładnić i związać jakoś… tym przewodem od żarówki najlepiej.

– To co, ruszamy? – zapytał Jürgen bez przekonania. – Dzisiaj?

– Uff… – westchnął Henryk. – Chyba tak.

– Mówimy Oliverowi? Trzeba go przecież przygotować – wyszeptał Jürgen i spojrzał na Anglika, który zamknął oczy. – Powiesz mu?

– Powiem.

– To co? Zaczynamy? – Jürgen był wyraźnie przejęty. – Uff… mam stracha!

– Ja też – wyszeptał przez zaciśnięte zęby Henryk. – Nie mamy chyba wyjścia… wygląda na to, że okazja jest dobra… noc. Zmusimy Tygrysa, żeby nam pokazał drogę. Kurwa, może się udać.

– Najpierw trzeba związać Kazuo – rzucił pewnym siebie głosem Jürgen. – Ja to zrobię, ale ty pogadaj wcześniej z Oliverem i jak dasz mi znak, że jest okej, zwiążę Japońca. Mały jest, nie będzie problemu. – Niemiec pokazał swoją wielką dłoń. – Najpierw dostanie tym w łeb.

– Miejmy nadzieję, że to nie jest prowokacja Tygrysa – zakończył rozmowę Henryk i zaczął się przesuwać w stronę Anglika.

Kazuo odłożył swój notatnik, który tylko trzymał w dłoniach, i popatrzył na Henryka. Po chwili przerzucił wzrok na Jürgena. Przyglądał mu się z zainteresowaniem, jakby widział go po raz pierwszy i chciał się dowiedzieć, kim jest i co tutaj robi. To musi być sygnał – pomyślał Jürgen i zaniepokoił się, bo nie rozumiał mimiki Japończyka. Miał wrażenie, że

Kazuo przejrzał ich zamiary albo usłyszał, o czym rozmawiają, i stara się ich teraz ostrzec. Jürgen czuł, że powinien zrezygnować z zaplanowanego ataku, bo tracił przewagę zaskoczenia. Spojrzał na Henryka, który szeptał coś do Olivera, i Japończyk natychmiast podążył za jego wzrokiem.

Zorientował się – pomyślał z niepokojem Jürgen. Czysta amatorszczyzna! Nawet nie zaczęliśmy.

Wypuścił powietrze i westchnął.

Japończyk rzucił w jego kierunku dziwne spojrzenie, podniósł się energicznie i podszedł do drzwi. Uderzył w nie kilka razy pięścią i zawołał:

– Mister Tygrys! Mister Tygrys! Muszę z panem porozmawiać… Natychmiast!

Henryk spojrzał na Kazuo, potem na Jürgena, który spuścił wzrok i zamknął na moment oczy. Skinęli sobie głowami na znak, że myślą tak samo. Po chwili drzwi się otworzyły i do środka wszedł talib, który wyprowadził Japończyka na zewnątrz.

Kiedy zostali sami, Jürgen dołączył do Olivera i Henryka.

– Co teraz? – zapytał. – Tego nie przewidzieliśmy. Może trzeba było od razu dać mu w łeb, a nie czekać.

– Daj spokój. Nie mieliśmy na to wpływu. Stało się i już – odparł Henryk, zrezygnowany. – Taki terrorysta jak Tygrys od początku zakładał, że będziemy kombinować z ucieczką, to oczywiste. Nie ukarze nas za to, co jest nam z góry przypisane. Zresztą o czym mówimy… jaka kara? W naszej sytuacji? Praktyczny skutek będzie taki, że albo nas skrępują, albo rozdzielą, co dla nich okaże się tylko kłopotliwe.

– To co dalej? – zapytał Oliver.

– Nic. Czekamy na żółtka i trzeba mu podziękować, jak wróci – odezwał się Jürgen. – Kurwa… chętnie bym mu… – Ścisnął wielką łapę w potężną jak bochen pięść.

– Miejmy nadzieję, że wyjdziemy z tego, wtedy się z nim policzymy… prywatnie – skomentował Henryk.

– Znam jednego Hindusa na East Endzie… właściwie to Gurkha… który może nam pomóc – włączył się Oliver, wyraźnie nieświadomy tego, co wywołało smutne uśmiechy na twarzach Henryka i Jürgena. – Serio, to poważny gość, nie lubi tych Paki i zna się na robocie! – dodał cichym, ale pewnym siebie głosem.

52

Dima obejrzał się i zobaczył nad sobą uśmiechniętego niskiego blondyna po czterdziestce, w szarym garniturze, ciemnych okularkach Silhouette i z krótko przyciętą bródką goatee.

– Cześć, Dima! – Mężczyzna usiadł w fotelu po Murzynce. – Cóż to… nie pamiętasz mnie?

– Nie – odparł chłodno Dima.

– Aaa… tak? – Tamten się uśmiechnął, zdjął okulary i zakrył dłonią brodę. – Wyglądałem wtedy inaczej… w końcu masz prawo. Minęło chyba piętnaście lat, a może więcej… Steve Conoley. – Wyciągnął rękę. – Dalej mnie nie pamiętasz?

– Nie. – Dima pokręcił głową i nie podał mu ręki. – O co chodzi z tym Vauxhallem? Kim pan jest?

– Pozdrowienia z Langley – odparł blondyn i uśmiechnął się dwuznacznie, chowając dłoń.

– Czyli niby z CIA. – Dima bardziej stwierdził, niż zapytał. – Pozdrowienia i co? Jakiś prezent też masz? A może jakieś hasło czy co? Z kimś mnie mylisz, człowieku… i nie przypominam sobie, bym miał znajomych w CIA.

Z twarzy mężczyzny uśmiech spłynął bez śladu, ale on sam nie wyglądał na przejętego ani zaskoczonego ostrą reakcją. Dima od razu się

zorientował, że to zawodowiec, ale podejście było mało profesjonalne, sklecone spontanicznie.

Tak jest, jak się podchodzi na wariata – pomyślał i od razu założył, że to prowokacja.

Na początku trochę się zaniepokoił, bo nie był pewien, o co chodzi, ale nie dał tego po sobie poznać. Poziom zdenerwowania, jaki musiał zaprezentować prowokatorowi, powinien być stosowny do sytuacji. Dima był przygotowany na takie przypadki, ale zaskoczenie zawsze osłabiało opór. Miał duże doświadczenie i wiedział, jak postąpić, by się nie zdekonspirować.

Prowokator najczęściej nie ma żadnych skomplikowanych planów. Przez narzucenie inicjatywy chce uzyskać przewagę i potwierdzić swoje założenie. Steve Conoley próbował się dowiedzieć, czy Dima jest z wywiadu brytyjskiego, co z góry go dekonspirowało, oznaczało bowiem, że jest nieprzygotowany i idzie na żywioł. Mimo pozornej naiwności tego chwytu operacyjnego oficerowie nieraz dają się na niego złapać. Można też w ten sposób zdemaskować amatora. A Dima to potrafił.

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że to robota Olega Dunina. Wysłał oficera, który zagrał Amerykanina wprost idealnie, był nie do odróżnienia.

Dziwne jedynie, że Dunin zdecydował się działać tak szybko. Z jednej strony był to dobry znak, bo dowodził, że zależy mu na pieniądzach i – co ważniejsze – że Dima nie jest rozpracowany, skoro przypisują mu przynależność do MI6. Z drugiej strony Dunin wysyłał mu poważne ostrzeżenie: uważaj, z kim masz do czynienia, z GRU nie ma żartów! Widzimy cię.

– Jak to nie masz znajomych? – obruszył się mężczyzna. – Nie udawaj idioty i nie rób ze mnie wałka. A broń dla FARC to kto organizował? Poznaliśmy się u Kubańczyka Jorge Alvareza…

– Nie znam żadnego Alvareza… więc nie mogliśmy się tam poznać. – Dima udawał zdenerwowanego. – O co ci chodzi, człowieku?

– Jesteś niegrzeczny, gnojku! – wycedził mężczyzna. – Znam cię dobrze, więc nie śmieć na moim terenie, bo ci przypierdolę. – Uchylił marynarkę i pokazał kolbę pistoletu. – Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Podniósł się, poprawił marynarkę i już miał się oddalić, gdy Dima rzucił za nim:

– Powiedz pułkownikowi Duninowi, że zrozumiałem. Ale to nie było potrzebne.

Mężczyzna, odwrócony do Dimy plecami, na chwilę się zatrzymał, po czym bez słowa ruszył przed siebie.

Dima był zadowolony z tego, co się stało.

Dunin jest wyraźnie nerwowy i popełnia błędy – pomyślał, śledząc wzrokiem nieznajomego, który oddalał się w kierunku wyjścia. Może dzieje się tak dlatego, że robi to nielegalnie i nie ma możliwości wykorzystania wszystkich instrumentów, jakie posiada GRU, więc szyje robotę tym, co ma. Najważniejsze jednak, że kupili ten angielski wątek.

Wrócił do swojego pokoju na piątym piętrze. Nie zostawił żadnych zabezpieczeń, więc nie musiał nic sprawdzać. Wychodził z założenia, że Rosjanie są na tyle dobrzy, że jeżeli będą chcieli zrobić mu przeszukanie, to zrobią, a on tego nie zauważy. A przygotowywanie zabezpieczeń zawsze dekonspiruje, szczególnie gdy nie ma się niczego, co może wzbudzać podejrzenia.

Zrzucił buty, zdjął garnitur i koszulę. Podszedł do lustra i obejrzał zadrapania na plecach. Przez chwilę jeszcze się zastanawiał, czy wziąć prysznic, ale szybko zrezygnował.

Był głodny i postanowił zjechać do restauracji i zjeść porządną porcję uchy.

Szybko przebrał się w dżinsy, wciągnął przez głowę zieloną koszulkę polo i rękami zaczesał włosy. Wcisnął do jednej kieszeni telefon grecki, do drugiej operacyjny i zjechał na dół.

Już w westybulu było tłoczno. Amerykanie opanowali bufet i Dima od razu uznał, że nie ma szansy dopchać się do stołu. Postanowił zatem pójść na kanapkę do Starbucksa, którego widział obok hotelu przy Twerskiej. To było dobre miejsce, by sprawdzić warszawski telefon.

Nie miał ochoty rozmawiać teraz z Moniką, bo dotąd nie zdarzyło się nic, co mogłoby posunąć akcję, ale sprawdzić musiał. Bał się o Sekcję. Miał wrażenie, że bez niego są łatwym celem dla zawodowców.

Wiedział oczywiście, że to tylko projekcja strachu, bo Monika jest twarda i rozsądna, Witek i Ela zdyscyplinowani, a Roman nigdy by nie pozwolił na niepotrzebne ryzyko. Mimo to nie potrafił się pozbyć męczących myśli o śmierci przyjaciół ani widoku Wiatrówki, Adidasa i Czapki.

Nie bał się o siebie, przekonany, że poradzi sobie z pułkownikiem Duninem. Rosjanin był mało finezyjny, nawet toporny, przewidywalny i za bardzo napalony na pieniądze. To nie był typ cichego manipulatora, który rozdaje znaczone karty. Chciał za to sprawiać wrażenie niebezpiecznego. Podstawienie prowokatora tylko potwierdzało te oceny, uważał Dima i żywił coraz mocniejszą nadzieję, że może mu się udać.

Był niemal pewny, że Dunin zadzwoni jeszcze tego dnia.

Wyszedł na Staropimienowski pierieułok, sprawdził się na przejściu dla pieszych i już po chwili dotarł na Twerską. W Starbucksie było prawie pusto. Nikt za nim nie wszedł. Głośna grupka młodzieży w rogu i kobieta z dzieckiem. Nic niepokojącego.

Wziął dużą kanapkę z tuńczykiem i średnie latte. Usiadł na wysokim stołku przy okiennej ławie, twarzą do ulicy, i położył przed sobą telefon.

Z kieszonki w pasku do zegarka wysunął kartę SIM. Sprawnie włożył ją do środka i po chwili telefon złapał sieć. Niemal natychmiast pojawiły się na ekranie informacje o nieodebranych esemesach i rozmowach. Przeleciał esemesy i przeszedł do rozmów. Były dwa nieodebrane połączenia od Moniki. Jedno po drugim, co oznaczało, że powinien natychmiast skontaktować się z Warszawą. Zaniepokoił się i już miał wybrać numer Moniki, gdy zadzwonił jego grecki telefon. Wyświetliła się Wiera. Zawahał się, czy odebrać. Pomyślał o Monice.

– Tak, Wierka? – zapytał.

– Wiesz, Dima… tak sobie pomyślałam, że… że… – Wierze rwał się głos – że po co masz mieszkać w hotelu… żebyś tylko nic sobie nie myślał, to nic zobowiązującego… ale przecież mógłbyś przenieść się do mnie, co?

Dima zamilkł na chwilę. Zacisnął dłoń i uderzył nią w kolano. Nie był przygotowany na taką propozycję. Szybko kalkulował, co to dla niego oznacza, jakie niebezpieczeństwa i jakie korzyści, ale najbardziej był wkurzony, że tego nie przewidział.

– Nooo… nie wiem, czy to jest dobry pomysł… – Próbował grać na czas, by jeszcze się zastanowić. – Twój syn… i Dunin… no wiesz.

– Daj spokój, Dima! – Wiera zmieniła ton. – Szybka męska decyzja! No?

– Wiesz… – zaczął miękko i w tym momencie zaczął wibrować na stole warszawski telefon. Od razu wiedział, że to Monika. – No… dobrze… Zgoda! Fajnie!

– Spakuj się – rzuciła szybko. – Jadę po ciebie.

Błyskawicznie się rozłączyła, więc Dima zdążył jeszcze odebrać telefon od Moniki.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Co u was? Coś się stało?

– Tata się niepokoi i pyta, co nowego. U nas same niespodzianki. Dzisiaj miałam nieoczekiwane spotkanie z Wiatrówką i Adidasem, ale uciekłam. Wiesz… szybka jestem. Wypuścił ich na nas jeden ważny narodowiec, taki, co lubi cydr i najprawdopodobniej ma kontakt z tym, którego szuka ojciec. A o tym, o co pytałeś, to nic jeszcze nie mam i chyba nie dam już rady, bo jadę na wczasy. – Monika mówiła typowym szpiegowskim slangiem, tak by dekoder głosu nie wyłapał słów kluczy i związków frazeologicznych, a automat miał trudności z przetłumaczeniem. – Kumasz?

– Ten ważny?

– Taki mały łysy chłop ze wsi i z orłem na plecach – odparła Monika.

– Aaa… tak. A gdzie się będziesz kąpać?

– No, bardzo nie chcę jechać, bo tam teraz zimno i nie mam ubrania, ale pamiętasz, jak ojciec martwił się o naszego kuzyna…

– Pamiętam.

– To ojciec zaczął martwić się jeszcze bardziej i chce, bym z nim porozmawiała i przy okazji tam sobie odpoczęła. Czujesz? No, wkurw mam potężny!

– Nie podoba mi się to. Dzieci nie mogą zostawiać starego, niedołężnego ojca, i to jeszcze z wnukami pod opieką. Jak się wkurwię, to zaraz tam przyjadę i zrobię porządek. – Dima rzeczywiście był wściekły. Zrozumiał doskonale, o czym mówi Monika, i tak jak ona uważał pozostawienie Romana samego w Warszawie za wielki błąd.

Coraz większa determinacja przeciwnika świadczyła o tym, że są już bliscy ustalenia tożsamości zdrajcy. Dima od początku miał wątpliwości, czy powinien zostawiać ich samych w stanie zagrożenia. Gdyby nie to, że Dunin może być teraz jedynym pośrednikiem w dotarciu do talibów, którzy uprowadzili Olewskiego, rzuciłby to wszystko i wrócił do Polski.

– Kiedy jedziesz? – zapytał.

– Jak najszybciej… chyba jutro – odparła zrezygnowana. – Nie mam tam żadnego zaczepienia, nic. Zanim zdążę się rozejrzeć, będzie już po ptakach. To jakiś absurd!

– Ojciec bardzo cię kocha, to dlatego – rzucił z przekonaniem, bez cienia fałszu, jakby wyznawał jej miłość, ale Monika nic nie odrzekła, wiedziała, że to prawda. – Znam chyba kogoś w tym hotelu – dodał. – Dam ci znać jutro.

– Cześć. – Monika się rozłączyła.

Dima nie znał nikogo w Kapsztadzie. Ale wiedział, że w RPA mocno siedzi Mosad, i to jeszcze od czasów apartheidu. Mówiła mu o tym Tamara, która jako młody oficer wywiadu sama kiedyś tam pracowała.

Wyciągnął swój grecki telefon i przez Kalkulator zadzwonił do Tamary.

– To znów ja, siostrzyczko. Potrzebuję pomocy – zaczął wprost. – Szukam dobrego kontaktu w Kapsztadzie. Kogoś, kto wszystko wie, wszystkich zna, może wszystko i jest chętny do współpracy. Na pewno znasz tam kogoś takiego, bo jeśli nie wy, to kto…?

– Chyba znam… może nawet na pewno, ale muszę to jeszcze sprawdzić. – W głosie Tamary można było wyczuć nutę niepewności. – Nie pytam, o co chodzi, ale byłoby dobrze, gdybyś jednak coś powiedział, będzie mi łatwiej.

– W Kapsztadzie zaginął nasz współpracownik, który jest umoczony w sprawę uprowadzonego… i jutro leci tam Monika, żeby ustalić, co się stało, gdzie on jest. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia… nic! Pustynia.

– Okej. Czuję temat. Jeśli tak, to na pewno kontakt z policją nic nie da. Dziewczyna zatonie w procedurach i nikt nie potraktuje jej poważnie. Bo jak rozumiem, leci tam goła i na wariata?

– W rzeczy samej – odparł Dima.

– Oddzwonię – obiecała i wyłączyła się.

Dopiero teraz mógł spróbować kanapki z tuńczykiem. Siedział w oknie moskiewskiego Starbucksa i przez chwilę ciągnął wzrokiem za przesuwającym się powoli sznurem samochodów.

Spojrzał na zegarek. W ciągu piętnastu minut odbył rozmowy z trzema kobietami. Każda była inna, ale każda z nich jakże mu bliska. Dopiero teraz to zrozumiał. Wszystkie razem spełniały jego wyobrażenie o kobiecie idealnej, która byłaby kwintesencją miłości, rodziny i pracy.

Wiera, matka Sierioży. Tamara, jedyna siostra. Monika, prawdziwa przyjaźń.

Aż się zawstydził, że jest taki sentymentalny, dziecinny.

Po minucie wpatrywania się w szyld eleganckiego sklepu Konsul po drugiej stronie Twerskiej i przeżuwania bułki doszedł do wniosku, że to tylko chwilowe załamanie, spowodowane pewnie nadmiarem emocji w ostatnich dniach.

Za dużo tych kobiet wokół mnie i ciągle trzeba się z nimi liczyć, a one przecież mają swoje kalkulacje na życie – pomyślał i zmiął papier po kanapce w kulę, którą bezbłędnie trafił do kosza oddalonego o dwa metry. Trzeba być twardym, bo jak nie, to tak cię zakręcą, że się nie zorientujesz, kiedy będzie po tobie!

Na zegarze nad bufetem dochodziła szesnasta.

Dima zorientował się, że za chwilę powinna przyjechać Wiera, a on nie jest jeszcze spakowany. Dopiero teraz pożałował, że zgodził się u niej zamieszkać.

Jak mogłem tak łatwo dać się podejść? Utrudni mi to łączność z Moniką i Tamarą… – pomyślał. Ale przecież – zastanowił się – Wiera jest najlepszym przewodnikiem po rosyjskich służbach, daje dobre alibi i co najważniejsze, ochronę przed Duninem.

Wyszedł na Twerską i od razu przyspieszył kroku. Po kilkudziesięciu metrach skręcił w Staropimienowski pierieułok i od razu zobaczył Wierę stojącą przed hotelem. Ubrana w czerwone spodnie i niebieską wiatrówkę, opierała się plecami o dwudrzwiowego srebrnego mercedesa SL cabrio i rozmawiała przez telefon. Nie zauważyła go, wpatrzona w wyjście z hotelu. Dima zdziwił się trochę, że nie dała znać, kiedy przyjedzie, i spojrzał na swój telefon. Miał nieodebranego esemesa. To była Wiera, która kilka minut wcześniej pisała, że właśnie podjeżdża.

Podszedł do niej od tyłu. Zbliżał się powoli w nadziei, że usłyszy, o czym rozmawia, ale Wiera jakby wyczuła jego obecność i nagle się odwróciła. Oderwała telefon od ucha i szybko go wsunęła do kieszeni kurtki. Dopiero teraz, z kilkusekundowym opóźnieniem, na jej twarz spłynął szeroki uśmiech.

– Myślałam, że jesteś w hotelu – rzuciła zaskoczona. – Nie dostałeś mojego esemesa? – Zbliżyła się do Dimy, delikatnie musnęła jego dłoń i pocałowała go w usta. Wydawało mu się, że drży.

– Dostałem – odparł obojętnie, trochę prowokacyjnie, bo chciał sprawdzić reakcję. Spojrzał jej w oczy i dopiero teraz odpowiedział delikatnym uśmiechem. – Byłem coś zjeść w Starbucksie, bo w hotelu tłum. Na pewno chcesz, żebym do ciebie pojechał? A twój syn… a Dunin? Czy to na pewno rozsądne?

– Czegoś się obawiasz? – Pogładziła go po policzku. – Boisz się mnie czy może bardziej Dunina?

Jej uśmiech zmienił odcień i stał się lekko ironiczny, dokładnie taki, jaki pamiętał z czasów, kiedy pracowała jeszcze w GRU. Wydawało mu się, że Wiera coś ukrywa. To nie był dobry znak, ale też się zastanawiał, czy nie jest zbyt przewrażliwiony.

– Obawiam? – odparł zdziwiony. – Skąd takie wrażenie? Nieee… chodzi mi tylko o ciebie, nie chcę sprawiać ci problemów…

– Nie musisz się do niczego zmuszać, Dimka! – Teraz w czarnych oczach Wiery zalśnił wesoły uśmiech i Dima poczuł się dziwnie, jak dziecko, które pomyliło rodziców. – Nie będę płakać, jeżeli znów znikniesz na następne piętnaście lat. Jest miło. Potrzebujemy czegoś więcej. – Uniosła poczernione brwi. – Nie sądzisz?

– Okej. Za chwilę będę – rzucił Dima i ruszył w kierunku hotelu.

– Iść z tobą?! – zawołała za nim, ale on tylko pomachał ręką i zniknął za obrotowymi drzwiami.

Zaraz potem na ulicę zaczęli się wysypywać rozgadani amerykańscy turyści obwieszeni plecakami.

53

To był wyjątkowo zły dzień, może nawet najgorszy poniedziałek, jaki przeżyłem, no i jeszcze się nie skończył. Co ty na to, panie Fint?

Roman usiadł przy biurku i przyciągnął bliżej kubek z zimną już herbatą.

Nim zaczął czytać charakterystykę Lola, spojrzał na podpis autora, który ją sporządził. Pułkownik Zenon Pański postawił swoją niebieską parafę nieco ponad rok wcześniej.

Nie był to obszerny dokument ani też specjalnie profesjonalnie napisany. Trochę ogólników, typowych ocen, żadnych negatywnych, ale też żadnych wybitnych. Roman odniósł wrażenie, że Pański po prostu odwalił robotę, a przecież uchodził za bardzo dobrego oficera, zatem stać go było na więcej. To arogancja sprawiała, że nie przejmował się opinią innych i czasami olewał swoje obowiązki, świadomy, że ujdzie mu to płazem.

Roman przeczytał akta sprawy „Rzeźbiarz” w ciągu pół godziny. Skupił się na raportach operacyjnych. Było ich osiem, wszystkie napisane przez Pańskiego. Od pierwszego, w którym szczegółowo opisał Finta i uzasadnił celowość jego pozyskania do współpracy z wywiadem, aż po ostatni, z propozycją wyprowadzenia go ze sprawy „Mocarz” i przeniesienia do RPA. Pozyskanie zatwierdził poprzedni szef AW, lecz obok jego podpisu widniała parafa Koryckiego i data, taka sama jak na wykazie osób. Roman nie musiał jej sprawdzać. Doskonale pamiętał, kiedy Korycki objął urząd.

Czyli Pański podrzucił sprawę nowemu szefowi już drugiego dnia jego urzędowania. Ciekawe… bardzo ciekawe. Czyżby dano jej taki priorytet dlatego, że Fint był partnerem córki Mocarza? To stanowczo za mało, ale kto wie… A może to Korycki o nią poprosił? A w ogóle czy to ma jakieś znaczenie? W końcu parafy szefa to normalna sprawa.

Roman podniósł się zza biurka i podszedł do szafy. Wyjął teczkę sprawy „Mocarz”. Przekartkował, aż doszedł do papierów datowanych od piętnastego października poprzedniego roku, kiedy to Korycki objął stanowisko. Przejrzał wszystkie raporty Pańskiego i Brauna z dwóch tygodni: na żadnym nie było parafy Koryckiego. Pierwsza pojawiła się szesnastego dnia.

– Dziwne – powiedział na głos Leski. – Wygląda, jakby najpierw przeczytał „Rzeźbiarza”, a dopiero potem „Mocarza”. Bez sensu. Przecież wszystko ważne, co dotyczy Lola, przepisane jest w raportach sprawy Mocarza. To się nie trzyma kupy. Co ciekawsze, Hurman i Walewski zapoznali się ze sprawą przed Koryckim. Czy to coś ci mówi pułkowniku Leski? – zapytał i zaraz sam sobie odpowiedział: – Nic. Szef musi postawić parafę, że się zapoznał, ale gdyby jej nie postawił, to co, ktoś by go upomniał? Pański? Braun? Hurman? Ależ skąd! Tylko dlaczego ominął procedurę? Miał jakiś powód? Każdy by się zorientował, że szef coś kręci. Prowadzący sprawę może napisać notatkę, że udostępnił szefowi dokumenty, a on oddał je bez podpisu.

Leski włożył akta Lola do swojej osobistej teczki. Jako jedyny w Agencji, obok szefów, nie podlegał kontroli przy wyjściu, więc postanowił wziąć ją ze sobą na Kabaty i pokazać dokumenty Monice. Może ona znajdzie jakiś punkt zaczepienia – pomyślał, ale sam w to nie wierzył.

Podszedł do stolika, przy którym parzył sobie herbatę. Włączył wodę i udał się do toalety, żeby wylać fusy. W tym momencie na biurku odezwała

się jego komórka. Roman od razu pomyślał, że to Monika po rozmowie z Dimą, więc odstawił kubek i podreptał szybko do pokoju.

To rzeczywiście była Monika.

– Rozmawiałam z Dimą – rzuciła bez wstępu. – Od spotkania z Wierą nie posunął się ani o krok. – Ale Wierę na pewno posuwa, pomyślała z wściekłością. – Wciąż czeka i da znać, jak coś się… posunie… Uprzedziłam go, że nie damy rady zebrać informacji o Batalionie „Jug” i tym Rosjaninie, ale powiedział, że już ich nie potrzebuje. Odniosłam wrażenie, że chyba nie chce nas dodatkowo obciążać.

– Mówiłaś mu, że jedziesz?

– Tak.

– I co on na to?

– Też tego nie rozumie – odparła, ale nie powiedziała Romanowi, że po prostu nie chce zostawiać go w Warszawie pod opieką wyłącznie Witka i Eli. Nie wspomniała też, jak wściekły był Dima, kiedy o tym usłyszał. – Przemyśl jeszcze ten mój wyjazd, bo…

– Temat zamknięty. Wykonuj moje polecenia! – Roman tylko udawał twardego, bo w gruncie rzeczy bał się, że jej ulegnie. – Przygotuj się do wyjazdu. Porozmawiamy w domu – zakończył, nim zdążyła zareagować.

Wstał i podszedł do ściany.

Obok okna wisiał nieduży obraz w grubej renesansowej ramie zdobionej liśćmi dębu i winorośli. Była to reprodukcja *Ambasadorów* Holbeina Młodszego, którą dostał od Sekcji na gwiazdkę dwa lata temu. Obraz wybrała i oprawiła Monika. Pełen zagadek i tajemnej symboliki miał inspirować Romana do poszukiwania odpowiedzi na trudne pytania i pobudzać do refleksji. Tak przynajmniej brzmiała dedykacja na mosiężnej tabliczce przykręconej do ramy. I rzeczywiście pobudzał, chociaż Roman nigdy nikomu się do tego nie przyznał.

Teraz stanął przed podwójnym portretem Jeana de Dinteville i Georges'a de Selve, ambasadorów króla Francji na dworze Henryka VIII, którzy surowym i nieprzeniknionym wzrokiem dawnych szpiegów zaglądali do jego biura na Miłobędzkiej, również pełnego zagadek i tajemnic. Powrócił myślą do wcześniejszej rozmowy z Moniką, w której powiedziała mu o pośle Kubiaku, „królu soku jabłkowego", jak go wtedy określiła, i zaczął się zastanawiać, dlaczego tak szybko skojarzył jego nazwisko z czeską spółką Vinograd.

Przez chwilę ambasadorowie i pułkownik Leski w milczeniu mierzyli się wzrokiem, jakby czekali, kto pierwszy ma strzelić. W końcu Jean, wyraźnie zniecierpliwiony, wskazał mu wzrokiem, gdzie ma szukać. Roman podziękował delikatnym skinieniem głowy i podszedł do swojej szafy pancernej.

Po dłuższej chwili poszukiwań w stercie nieuporządkowanych dokumentów, które zalegały na najniższej półce, znalazł kartonowy skoroszyt z odręcznym napisem *Fundacja*. Gdy się wyprostował, usiadł w fotelu, by odczekać, aż pozbędzie się mroczków przed oczami, i dopiero po kilkudziesięciu sekundach pochylił się nad teczką.

Ponad sto – ocenił, trzymając się za nadgarstek.

Wiedział, czego szukać, więc chciał się już tylko upewnić. Wyjął pierwszy dokument, który był kopią wyciągu bankowego donatorów Fundacji Atlantic. Zjechał palcem na pozycję „Vinograd" i przesunął go w bok na kwotę – dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych. Po chwili odnalazł jeszcze dwie donacje, każda po sto tysięcy.

– No to mamy problem, panowie pułkownicy – oznajmił na głos i przekartkował resztę dokumentów.

Wyciągnął kolejny papier. Była to kopia wypisu z KRS sprzed dwóch lat, na którym widnieli Marek Hurman jako wiceprezes fundacji i Michał

Walewski jako członek zarządu.

– No, proszę bardzo… hm… – zamruczał Leski. – Zastępcy szefa do spraw informacyjnych i operacyjnych brali pieniądze od króla soku jabłkowego i posła Narodu i Ojczyzny. Co ci to sugeruje, Romanie? Sok jabłkowy… ulubiony sok Władimira Władimirowicza przecież. To pan, panie Hurman, wystawił mnie w sobotę, czy pan Walewski? A może obaj? Czy to nie za proste?

Wyciągnął się wygodnie w fotelu i założył ręce za głowę. Dopiero teraz przypomniał sobie, że miał zaparzyć herbatę i zostawił nieumyty kubek w toalecie. Przez moment zawahał się, czy powinien zachować porządek zaplanowanych czynności i najpierw dokończyć parzenie herbaty, czy wbrew swoim zasadom pofantazjować o zastępcach szefa.

Postanowił jednak pofantazjować, bo po raz pierwszy wydało mu się, że ważniejsza jest intuicja niż zasady. Wątek Hurmana i Walewskiego go zaskoczył, bo trudno było uwierzyć, żeby ktoś taki jak oni mógł być Wielkim Zdrajcą.

To byłoby duże rozczarowanie – pomyślał z lekką ironią. Zastępca do spraw informacyjnych, bez żadnego doświadczenia operacyjnego ani zagranicznego, nie może być przecież kretem. Pański, Walewski to co innego, ale Hurman…? Wprawdzie bliski człowiek Koryckiego, lecz to jeszcze za mało.

Zrobił szybką analizę. Już na pierwszej naradzie po odebraniu wiadomości o uprowadzeniu majora Olewskiego Korycki zlecił Hurmanowi współpracę ze służbami partnerskimi, ale ten ani razu nie informował o jakichkolwiek postępach. Nic. Ale – co ważniejsze – szef Korycki o żadne postępy nigdy nie pytał.

Nooo… Hurman mógł informować tylko szefa. Ale dlaczego w takim razie szef nie poinformował mnie? – zastanawiał się Roman. Dlaczego to

właśnie Hurman przyniósł wiadomość o zaginięciu Lola? No właśnie, dlaczego on?

– Zaraz, zaraz…

Ostatnie słowa powiedział na głos. Poderwał się z fotela, aż znów zrobiło mu się ciemno w oczach, i powoli podszedł do obrazu Holbeina.

Jean… ty dobrze dzisiaj radzisz, nie to co Georges, on wciąż śpi… więc powiedz mi jeszcze, dlaczego Hurman podał zafałszowaną charakterystykę Adama Finta. I co ważniejsze, nikt wtedy nie zaprzeczył, nie zaprotestował, chociaż wszyscy zapoznali się ze sprawą Lola, postawili parafy i znali prawdę. Czyżby chcieli, żebym i ja zajrzał do teczki? Naiwne. Zaginął człowiek, od którego zaczęła się sprawa „Mocarz”. Nawet Pański, który przecież napisał tę charakterystykę, dorzucił jeszcze, że Fint to narkoman. A w aktach nie ma o tym ani słowa. I co pan na to, panie ambasadorze? No i dlaczego Korycki zwołuje narady beze mnie, chociaż to moja Sekcja ma rozwiązać sprawę uprowadzenia?

Wrócił na swój fotel i otworzył teczkę Schemat Zdrady. Wziął kartkę, na której wcześniej wypisał podejrzanych, przekreślił ją na skos czerwoną kredką i wsunął do niszczarki.

Krąg okazuje się znacznie mniejszy, niż wcześniej zakładałem. Wielkim Zdrajcą jest jeden z nich… albo dwóch… a może wszyscy…

Wziął nową kartkę. W lewym górnym rogu napisał *Wielki Zdrajca* i pod spodem: *Korycki*, *Pański*, *Hurman*, *Walewski*. Na środku *Miejsca*: *Warszawa*, *Moskwa*, *Islamabad*, *Kapsztad*. I po prawej stronie *Pogromcy*: *Sekcja*, *Błaszczyk*, *Kwiecień* i na końcu *Braun* ze znakiem zapytania. Na samym dole – dużymi drukowanymi literami – Motyw?

Przez chwilę przyglądał się temu, co napisał.

Był rozczarowany stanem swojej wiedzy. To nie żaden schemat, który miał coś wyjaśniać, tylko zwykły wykaz aktorów, nawet bez rozpisania na

role.

Mimo to spróbował coś z tego wycisnąć. Zastanawiał się, któremu z nich powinien powierzyć misję zdrajcy. Zawsze mu się wydawało, że w chwilach niepewności potrafi jak za naciśnięciem tajemniczego przycisku uruchomić odmienny stan swojej świadomości i znaleźć w niej odpowiedzi na najtrudniejsze pytania. I nawet nie dokończył myśli, bo niemal mechanicznie postawił cyfrę pięć przy nazwisku Korycki. Odczekał chwilę, wstrzymał oddech i kiedy poczuł, że świadomość nie sprzeciwia się wyborowi, którego właśnie dokonał, dopiero wtedy wypuścił powietrze.

Nawet przyjmując założenie, że jednak się mylę i Korycki nie jest Wielkim Zdrajcą, to i tak jest on co najmniej nieuczciwy w relacjach ze mną. Rozgrywa coś, do czego jestem mu potrzebny, i informuje Zdrajcę… świadomie lub nie… bo Wielki Zdrajca wie, co robię. Czyli Korycki może wiedzieć, kto nim jest, i go chroni. A jeśli czyni to nieświadomie, w jaki sposób Zdrajca uzyskuje informacje z naszych rozmów?

Roman spojrzał w stronę ambasadorów, ale nie oczekiwał już ich pomocy, bo wiedział, jakie pytanie ma zadać sobie.

Co ty, Romanie, byś zrobił w takiej sytuacji? Czterech podejrzanych spotyka się tylko w jednym miejscu, gdzie zapadają decyzje. Tylko w tym miejscu rozmawiam z Koryckim i wszyscy o tym wiedzą…

Czy to możliwe? W gabinecie szefa jest pluskwa?

54

Dima spakował się w dwie minuty. Postawił torbę przy drzwiach i rozejrzał się po pokoju. Doszedł jednak do wniosku, że nie musi jeszcze zjeżdżać na dół. Usiadł na łóżku, by przez chwilę pomyśleć, co się właściwie dzieje, co ma robić.

Po spotkaniu z Wierą przed hotelem miał dziwne wrażenie, że coś idzie nie tak. Najpierw niespodziewana propozycja, by przeniósł się do niej, a potem ten telefon. I te prowokacyjne spojrzenia. Miał wrażenie, że w jej zachowaniu jest coś dziwnego, niepokojącego. Jakby spontaniczny urok wczorajszego spotkania niespodziewanie zniknął, a na jego miejsce weszło wyrachowanie albo nawet premedytacja. Nie potrafił tego udowodnić i trudno było mu znaleźć jakiś wiarygodny motyw, ale poczuł zbliżające się powoli zagrożenie.

Miłość? – pomyślał. Recydywa uczuć? Czy to możliwe? A może to Sierioża. Albo Dunin. Albo zwykła pułapka. A może to wszystko ci się tylko wydaje.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Spojrzał w dół na ulicę. Zobaczył Wierę, która znów stała oparta o samochód i rozmawiała przez telefon. Po kilku sekundach jakby wyczuła jego wzrok i spojrzała w górę, wprost w jego okno. Dima cofnął się gwałtownie i schował za firanką.

– *Fuck!* – rzucił cicho.

Miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje i cały czas informuje Wierę o każdym jego kroku. Rozejrzał się po pokoju. Szukał ukrytej kamery, ale od razu zdał sobie sprawę z absurdalności tych podejrzeń.

Potrząsnął głową, jakby chciał wytrzeźwieć, i wziąwszy torbę podróżną, ruszył w stronę drzwi. Wyciągnął kartę z kontaktu, po czym otworzył drzwi i spojrzał za siebie. Nie zdążył ich zamknąć, gdy usłyszał w swoim greckim telefonie dźwięk przychodzącego esemesa. Wiedział, że to Tamara, więc domknął drzwi, zawiesił na klamce wywieszkę NIE PRZESZKADZAĆ i przeszedł do najbliższego miejsca wypoczynkowego.

Otworzył Kalkulator i przeczytał:

Saleh Bregge, tel. 27 82 653 5511. Niech powie: „Pozdrowienia od Heleny z Talesu”, ale nic więcej, ani słowa o Tobie. On w Kapsztadzie może wszystko i wie wszystko. O nic nie będzie pytał. Polecam Wikipedię, choć nie ma tam najważniejszego, jak rozumiesz ;) Czeka na kontakt, ale uważajcie na siebie. Powodzenia.

– Dzięki, siostrzyczko – rzucił cicho i wyjął polski telefon.

Włożył do niego kartę, aktywował i przepisał tekst Tamary, zmieniając przy tym formę na drugą osobę. Wyciął *ani słowa o Tobie* i *choć nie ma tam najważniejszego*. Dopisał natomiast: *Kontakt mojego znajomego z Aten, ale w żadnym wypadku nie powołuj się na niego. To bardzo ważne.*

Wysłał esemesa i dezaktywował telefon, a kartę SIM wsunął z powrotem do paska od zegarka.

Kiedy wyszedł przed hotel, Wiera stała obok samochodu, ale nie rozmawiała już przez telefon. Na widok Dimy uśmiechnęła się karminowymi ustami, jakoś tak nienaturalnie.

Wrzucił torbę na tylne siedzenie i wsiadł.

– Nowy? – zapytał. – Pachnie fabryką. Automat?

– Mam go dopiero od miesiąca. Podoba ci się?

– Owszem. Drogi?

– Zapłaciłam prawie dwieście tysięcy. Wersja limitowana – dodała z odrobiną nadęcia.

– Rubli?

– No co ty? Zwariowałeś? Euro – rzuciła, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Kredyt? Leasing? – zapytał, ale spojrzała na niego, jakby była obrażona, więc uciekł wzrokiem gdzieś w bok.

– Co ty? – odparła. – Tylko *cash*.

Ostro skręciła w prawo w Twerską i sprawnie włączyła się do ruchu.

– Dobrze ci się powodzi na emeryturze.

– Nie narzekam.

Ulica Twerska bardzo się zmieniła, odkąd Dima wyjechał z Moskwy. Przybyło eleganckich sklepów, wiele domów zostało wyremontowanych, poprawiono chodniki, pojawiły się wypożyczalnie rowerów. Ale najbardziej zmieniły się samochody, od zawsze ciągnące się nieprzerwanym strumieniem ku Kremlowi i w przeciwną stronę.

Mercedes SL cabrio Wiery nawet specjalnie się wśród nich nie wyróżniał, niemniej Dima, kiedy go zobaczył, zaczął się zastanawiać, skąd ona ma pieniądze. Była tylko emerytowanym oficerem GRU, a nie bizneswoman czy politykiem. Dobrze wiedział, ile jej kiedyś płacono, ale teraz przecież nawet nie pracowała. Mieszkanie również miała urządzone drogo i ze smakiem.

Niespodziewanie do niego dotarło, że dał się wciągnąć w pułapkę. Podstawienie Dunina mogło być zaplanowaną zagrywką, chociaż ten nie wyglądał na zwykłego oszusta. Kim jest, potwierdziła przecież Tamara.

Dima poczuł ogarniający go niepokój. Miał wrażenie, że bezmyślnie, siłą bezwładu brnie w to bagno coraz głębiej. Pożałował ostatniej nocy z Wierą, wszystkiego, co jej powiedział, a zwłaszcza – że jej zaufał.

Po raz pierwszy zdał się na emocje zamiast na intuicję. Uwierzył, że razem zdołają okiełznać Dunina. A teraz przyszło mu nawet do głowy, że Sierioża to tylko dobrze zagrana mistyfikacja. Ale czy Wiera mogła być tak podła? Nie chciał dopuścić do siebie tej myśli.

Posuwając się powoli w ciasnym korku, Wiera cały czas mówiła, ale on jej nie słuchał, zatopiony w rozmyślaniach. Wszystko zaczynało mu się układać w całkiem logiczny ciąg wydarzeń. Samochód za dwieście tysięcy euro mógł tylko świadczyć, że razem z Duninem tworzyli sprawny duet oszustów. Dima nie miał jednak żadnych dowodów na potwierdzenie swoich podejrzeń. Nie wiedział też, w jaki sposób zamierzają go omotać.

Przypomniał sobie, że Tamara proponowała mu broń. Był sceptyczny, ale teraz poczuł, że jest mu potrzebna bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Choć ze Staropimienowskiego pierieułku na Bolszą Bronną było ledwie sześćset metrów, przejazd zajął im dwadzieścia minut. Wiera otworzyła bramę pilotem i wjechała na wewnętrzny strzeżony parking.

Dochodziła siedemnasta, kiedy weszli do mieszkania.

Wiera wzięła jego torbę i zaniosła do sypialni. Dima usiadł w salonie, w tym samym miejscu, które zajmował rano podczas spotkania. Po chwili wstał, podszedł do szyfoniery i zaczął się przyglądać zdjęciom Sierioży. Wybrał duży portret w mundurze suworowca i starał się dostrzec, co mówią oczy chłopca, do kogo jest podobny – do niego czy do Dunina?

– Moja duma – usłyszał z kuchni głos Wiery. – Dobrze mu w mundurze, prawda?

Zrozumiał, że go podpatrywała.

– Zrób nam drinki – dorzuciła. – Za chwilę przyjdę… Głodny jesteś?

– Nie – odparł i zaraz zapytał: – Jakie masz hasło do wi-fi?

– Mówiłam ci, żebyś się u mnie nie podłączał… – Tym razem jej głos dobiegł z przedpokoju.

Dima doskonale pamiętał, co mówiła wczoraj o zagrożeniu ze strony Dunina. To był ten prawdziwy i twardy element, który nie pasował do koncepcji spisku. Teraz Wiera to potwierdziła, odpowiedziawszy natychmiast, bez wahania, bez nutki fałszu. I to była ważna deklaracja jej intencji, przynajmniej w tym momencie.

Gdyby Dunin miał dostęp do greckiego telefonu Dimy, mógłby spenetrować całą jego aktywność w internecie i szybko by się połapał, że oferta od Anglików to zwykły blef.

A może Wiera się zorientowała, że to propozycja bez pokrycia? Pomyślał, że może zbyt pochopnie ją podejrzewał, i poczuł ulgę, a nawet lekki wstyd. Ale skąd mogłaby to wiedzieć? – przyszło mu do głowy w następnej chwili.

Spojrzał w stronę zastawionej zdjęciami szyfoniery i pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się do siebie.

Wyjął grecki smartfon i włączył funkcję wyszukiwania sieci wi-fi. Pojawiła się lista pięciu zablokowanych stacji. Najsilniejszy sygnał miała stacja „Wiera”, ale zaraz za nią był użytkownik pod nazwą „Kola13”.

– Nie zrobiłeś drinków? – odezwała się nad nim Wiera.

– Masz sąsiada imieniem Kola? – zapytał, trzymając telefon w dłoni.

– Tak. Kola Winogradow… Sąsiad z prawej, malarz… – Spojrzała na Dimę i posłała mu uśmiech. – Potrzebujesz hasła?

Skinął głową.

– No, to jest jakiś pomysł… hm… Oby był w domu. Poczekaj – odparła i po chwili zniknęła w przedpokoju.

Przez moment Dima pomyślał, że gdyby był na miejscu oszustów, to zrobiłby identyczny manewr. Najpierw ostrzegł, zdobył zaufanie, potem potwierdził, że jest uczciwy, i dopiero wtedy wpuścił ofiarę w pułapkę. Sukces murowany, czyli szach podwójny.

– Co za absurd! – wymamrotał. – Jakbyś tak zawsze kombinował, tobyś w życiu żadnej sprawy nie zrobił. Wyluzuj, człowieku, i zaryzykuj.

Wiera wróciła po kilku minutach, machając żółtą samoprzylepną karteczką.

– Hasło do sieci – rzuciła wesoło i przykleiła mu ją do piersi. – Powiedziałam, że zepsuł mi się router.

Dima nie zdążył wpisać hasła, kiedy zadzwonił telefon. Na ekranie pojawiła się informacja *numer ukryty*. Od razu wiedział, kto dzwoni, i odczytał napis na głos. Wiera skinęła głową na znak, by odebrał.

– Cześć – odezwał się sucho Dunin.

– Cześć – powtórzył Dima i włączył głośnik.

– Musimy porozmawiać.

– Jestem gotów. Kiedy?

– Dzisiaj.

– Okej. Gdzie?

– Będę o ósmej.

– Ale gdzie?

– Możesz robić z siebie idiotę, Greku, ale nie ze mnie – rzucił twardo Dunin. – Niech Wiera wyjmie ogórki, które zrobiłem jesienią. Słyszałaś? – Wyraźnie zwrócił się do niej i przerwał połączenie.

Spojrzeli na siebie. Wiera nie wyglądała na zaskoczoną. Usiadła naprzeciwko i skryła twarz w dłoniach, ale nie był to gest zakłopotania. Dima czekał na jej reakcję. Westchnęła głęboko i w końcu uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Ogórki mam – rzuciła. – Rzeczywiście… Oleg robi wyśmienite ogórki. Kwas, czosnek… koper…

– Skąd wiedział, że będę u ciebie? – Dima znów nabrał podejrzeń, że Wiera nie wszystko mu mówi. – Rozmawiałaś z nim?

– Nie, nie rozmawiałam – odparła zdecydowanie. – Mówiłam ci przecież, że Oleg to bezwzględny, ale inteligentny facet. Sprawdzi twoją teczkę i szybko się zorientuje, jaka jest sytuacja. Nie denerwuj się, nie jest zazdrosny, a w teczce nie ma nic o nas.

– Podstawił mi dzisiaj prowokatora w hotelu. Wiedziałaś?

– Nie, ale to typowe dla niego – wyjaśniła spokojnie, bez cienia emocji. – Tak się czasami robi, żeby sprawdzić opór materii. Nie przejmuj się tym, to teraz bez znaczenia. Zauważ, że oddzwonił jeszcze tego samego dnia. To jest ważne. Znaczy, że coś ma i bardzo mu zależy. A ogórki…? – Uśmiechnęła się ironicznie i puściła oko. – Przygotuj się na poważne przesłuchanie. – Podniosła się z fotela, pogładziła Dimę po policzku i wyszła z pokoju.

Nie powiedziała nic, czego by nie wiedział, i to był dobry znak.

Spojrzał na zegarek. Zostało trzy i pół godziny. Wziął telefon i dokończył łączenie z wi-fi „Kola13”. Wszedł do Kalkulatora i wpisał: *Potrzebuję broni. Szybko. Spotkanie z Duninem o 20. Mieszkam teraz u Wiery*. Odpowiedź przyszła po dwóch minutach: *Już zleciłam. W recepcji hotelu będzie przesyłka dla Ciebie. Jak odbierzesz, zadzwoń. Podam ci, co dalej. Uważaj na siebie. Nie podoba mi się ta kobieta.*

Zajrzał do kuchni, gdzie Wiera szykowała półmisek z zakąskami.

– Nie byłam przygotowana, więc będzie, co jest – rzuciła, nie odwracając się.

Podszedł od tyłu, przytulił ją całym ciałem, odsunął delikatnie włosy i pocałował w szyję. Zamknęła oczy i zamarła z nożem w jednej

i pomidorem w drugiej dłoni.

– Muszę wyjść – wyszeptał jej do ucha. – Wrócę przed ósmą.

– Kup wodę i colę – odparła i nie zapytała o nic więcej.

55

Minęła ponad godzina, odkąd zniknął Kazuo. Tak przynajmniej przypuszczali, bo nie mieli zegarków i nie znali dokładnego czasu. Jürgen twierdził, że jest trzecia po południu, a Henryk – że piąta.

Anglik nie włączał się do rozmowy. Leżał osowiały na boku przykryty kocami i sprawiał wrażenie, jakby się tylko przysłuchiwał. Wyglądał źle. Był blady, miał mocno podsinione oczy i spierzchnięte usta, ale temperatura już mu spadła i przestał się pocić. Henryk przypuszczał, że choroba Olivera może mieć podłoże psychosomatyczne, związane z przeżyciami i ogromnym stresem, który musiał go wypalać.

Z początku wydawało się, że pogodny artysta z Londynu dość dobrze znosi sytuację, w jakiej się znalazł. W rzeczywistości był wrażliwym i delikatnym młodym człowiekiem, który nie ma pojęcia o polityce. Z opóźnieniem przyswajał to, co się wokół niego dzieje, i nie do końca rozumiał grozę sytuacji.

To musiało być ponad jego siły, uważał Henryk. Podobnie jak Jürgen. Chwilami Oliver sprawiał wrażenie, jakby tracił nad sobą kontrolę i nie potrafił właściwie ocenić rzeczywistości. Mówił niewiele, ale kiedy odważył się coś powiedzieć, wygłaszał żałosne absurdy. W końcu przestał się ruszać i bezwiednie oddawał mocz.

– Jest z nim coraz gorzej – powiedział po rosyjsku Jürgen. – To się może źle skończyć. Chory zakładnik jest mało wartościowy dla porywaczy.

Biedny chłopak…

– Chcesz wody, Oliver? – zapytał Henryk. – Potrzebujesz czegoś? – Podszedł do niego z butelką w dłoni i przyklęknął. – Jak się czujesz, młody? – Pogładził go po zlepionych brudnych blond włosach.

– Bardzo dobrze, Henry, doskonale – wyrzucił z siebie Anglik całkiem wyraźnie. – Dziękuję, ale nie chcę wody. Może masz fantę albo piwo? Powinno być tam… w pokoju… – Lekko poruszył głową. – Podasz? Nie chce mi się wstawać.

Henryk westchnął cicho i poklepał Olivera po policzku. Chwilę później wrócił do Jürgena, który obserwował go zmartwiony, i usiadł obok.

– Jest zimny. To dziwne, że taka wysoka gorączka ustąpiła tak gwałtownie, nie sądzisz? – zapytał.

– Chłopak jest wrażliwy – odparł Jürgen. – Co w tym dziwnego? A my…? Przecież Japończykowi też odbiło. Nie powiesz mi, że jest normalny. Jaki więzień donosi na innych…?

– Jaki? – przerwał mu Henryk. – Za życie można kupić każdego. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby talib obiecał mu wolność w zamian za donoszenie, co robimy… planujemy. Za samą nadzieję na życie ludzie są gotowi do największego skurwysyństwa i jest to… jakby normalne. Tobie proponował?

– Nie.

– A mnie przywalił kolbą w łeb. Myślę, że on nie miał żadnego konkretnego celu w robieniu z Kazuo kapo. To inteligentny sadysta, chciał zdołować nas psychicznie jeszcze bardziej. Popatrz na Olivera… Tygrys przyniósł nam środek na pchły, ale aspiryny młodemu już nie dał. Wie, że będzie dla nas bolesne oglądać go w takim stanie. Dręczył nas kiblem, spleśniałym kozim serem i brakiem higieny, do tego strzelanie nad głową, miłe nocne pogadanki pod akacją… i tak dalej. Może chce, żebyśmy

bardziej zapragnęli śmierci niż życia i z uśmiechem wystąpili w jego show, które pójdzie na cały świat. – Henryk przerwał na moment i popadł w zamyślenie. – Chce nam pokazać – odezwał się w końcu – że stąd nie ma wyjścia. Zabija w nas to co najcenniejsze: wiarę, nadzieję. Wybrał Kazuo, bo Japończyk jest inny niż my, i coś mu obiecał, dał właśnie nadzieję, ale jedynie po to, żeby jeszcze mocniej go zabolało, kiedy mu ją odbierze. Jestem dziwnie pewny, że to tylko jakaś okrutna gra.

– A może Kazuo zna rosyjski?

– Teraz bym tego nie wykluczał…

Henryk zamilkł, bo otworzyły się drzwi i do środka weszło trzech talibów.

Dwóch, z automatami gotowymi do strzału, stanęło po bokach, a trzeci, najbardziej nerwowy, podszedł do Jürgena i dał mu znak, żeby wstał i się odwrócił. Niemiec zrobił tak, jak mu kazano, bez pośpiechu, spokojnie, dumnie. Nie bał się, spojrzał z uśmiechem na Henryka i zamknął oczy.

Talib wyciągnął z kieszeni spodni grube plastikowe spinacze i szybko skrępował Niemcowi z tyłu ręce, dokładnie, ale nie za mocno zaciskając pętle. Następnie zrobił to samo z Henrykiem i mimo protestów obu więźniów związał również Olivera.

– Czyli zna rosyjski – rzucił z przekonaniem Jürgen, jak tylko zostali sami.

– Na to wychodzi. – Henryk pokiwał głową. – Zrobił nas talib w chuja, i tyle.

– Henry? – odezwał się Oliver. – Dlaczego jestem związany? Coś się stało? Bolą mnie ręce… Pomożesz?

– Nie pomogę ci, chłopcze, bo też jestem związany.

– Też? Dlaczego?

– Nie wiem.

– Okej – odparł Oliver i zamilkł.

Henryk i Jürgen też się nie odzywali.

Ich sytuacja nagle się pogorszyła i nadzieje na mityczną ucieczkę, którymi żyli przez ostatnie dni, prysły jak bańka mydlana. Deprymująco działał na nich stan zdrowia Olivera i szarpiąca serce bezsilność zmieszana z wściekłością. Nie mogli go już nawet dotknąć, by dodać mu choć odrobinę otuchy.

Henryk poczuł, jak łzy cisną mu się do oczu. Nawet nie mógł ich zetrzeć, więc żeby Jürgen niczego nie zauważył, odwrócił się i schował głowę między kolana.

– Nie wstydź się – wydusił przez zaciśnięte gardło Niemiec. – Też się tak czuję.

– Kurwa mać! Wściekłość, bezsilność i rozczarowanie… Jak to wszystko razem nazwać?

– Rozpacz?

– Sam już nie wiem, ale chyba nie powinniśmy sami się dołować. To głupie. – Henryk pociągnął nosem, odchrząknął i podniósł głowę. – Okej. Głowa do góry, towarzyszu Kahel. Powinniśmy tę rozpacz zmienić w wolę walki. Prawda, Jürgen? My… Polacy i wy Niemcy zawsze walczymy do końca…

– Waszego albo naszego – dorzucił Jürgen i obaj się roześmiali.

56

Roman wyszedł z Agencji o szesnastej dwadzieścia. Skręcił w prawo i po stu pięćdziesięciu metrach dotarł do ulicy Gimnastycznej, która rozcinała willowe osiedle między szpitalem i Racławicką. Szedł powoli prawą stroną jezdni wzdłuż gęsto zaparkowanych samochodów, ale na ulicy było pusto, żadnego ruchu, jakby trwała kolacja wigilijna.

Doszedł do ulicy Oszczepników i po lewej stronie zobaczył zaparkowanego w rzędzie innych samochodów popielatego opla kadetta. Stał w tym samym miejscu co w sobotę. Kiedy go mijał, dostrzegł za kierownicą Witka. Wymienili spojrzenia i poszedł dalej.

Przeszedł jeszcze siedemdziesiąt metrów i dotarł do następnej przecznicy. Skręcił w prawo i zniknął za rogiem. Po chwili opel go dogonił. Witek otworzył drzwi, a Roman spróbował wskoczyć do środka tak szybko, jak tylko potrafił. Uderzył jednak mocno głową o karoserię i chciał już zakląć, gdy zsunął mu się kapelusz z głowy. Zdążył go jednak złapać, nim spadł na ziemię, więc tylko zasyczał groźnie. W końcu odetchnął z ulgą i jakby za karę mocno trzasnął drzwiami.

Wyjechali na Racławicką. Witek skręcił ostro w prawo i przycisnął mocno gaz, by zdążyć przed zmianą świateł. Zrobili jeszcze improwizowaną trasę sprawdzeniową po Mokotowie i za kwadrans piąta byli już na Kabatach.

Ela i Monika czekały niemal przy drzwiach, wyraźnie pobudzone ostatnimi wydarzeniami, więc kiedy tylko wszedł, zasypały go lawiną pytań. Ale Roman spokojnie zdjął płaszcz, odwiesił kapelusz, machnął ręką jakby na odczepnego i poszedł się przebrać. Wrócił po kilku minutach, w czerwonym dresie i z zieloną teczką w dłoni, którą od razu wręczył Monice.

– Przeczytaj – rzucił krótko i widząc jej zdziwioną minę, dodał: – To sprawa Lola. Potem porozmawiamy. – I zwrócił się do Eli: – Zamówiliście coś do jedzenia?

– Czekaliśmy na ciebie – odparła. – Co ci zamówić?

– To co sobie.

– Mam już bilet do Kapsztadu – wtrąciła Monika, wyraźnie podenerwowana zachowaniem Romana. – Lecę jutro o szóstej rano…

– Świetnie! – zawołał z ożywieniem. – Więc zapoznaj się ze sprawą, bo może trzeba będzie ją przedyskutować. Jeżeli myślisz, że ten wyjazd to mój kaprys, to się mylisz – zakomunikował oficjalnym tonem, żeby ukryć, że początkowo chciał tylko ją chronić, ale teraz to się zmieniło. – To ważna sprawa, bo…

– Jest coś ekstra! – przerwała mu. – Dima przysłał mi naprowadzenie na kontakt w Kapsztadzie. To niesamowite. Skąd on ma takie znajomości w RPA? – Była wyraźnie pobudzona. – Czytaj! – Podsunęła mu swój telefon niemal pod nos.

Roman poprawił okulary. Przeczytał tekst i zapytał:

– Kto to jest ten Saleh Bregge? – Był wyraźnie zdziwiony. – Nigdy nie słyszałem, by Dima miał takie kontakty, ale…

– No właśnie! – Monika znów się wcięła. – Według Wikipedii Saleh Bregge ma teraz siedemdziesiąt trzy lata i przez ponad czterdzieści on i jego brat bliźniak Ismail byli szefami czołowego kapsztadzkiego gangu

Americans. Ismail zginął piętnaście lat temu, zamordowany przez konkurencyjną grupę. Dzisiaj Saleh formalnie jest na emeryturze, ale jego wpływy w mieście wciąż są ogromne i cieszy się nieukrywanym autorytetem w mafijnym półświatku. Jest Koloredem, czyli mieszaniną Bura, Malaja i Afrykańczyka, ale nie jest kalwinem, tylko muzułmaninem. – Monika spojrzała Romanowi w oczy, w których odbijało się zaskoczenie, jakże rzadkie u niego! – Dobre, co?

– Skąd u Dimy… – Leski się zawahał. – Pisze, że to kontakt od jego znajomego z Aten, ale dodaje, żeby się na niego nie powoływać. Co on kręci?

Przeszli do salonu i zasiedli na fotelach. Ela w kuchni zamawiała jedzenie, a Witek usiadł do komputera. Monika trzymała na kolanach zieloną teczkę i czekała, co powie Roman. Nie zapytawszy o zgodę, zapaliła papierosa.

Roman krążył wzrokiem między nią a Witkiem, jakby gdzieś tam pośrodku znajdowała się odpowiedź na pytanie, które przed chwilą sam sobie zadał. To nie było dla niego normalne zachowanie i Monika się zaniepokoiła.

– Co się dzieje, Roman? – zapytała.

– Dima nie mówi nam prawdy – odparł, wyraźnie zasmucony. – Co gorsza, nawet nie próbuje tego ukryć. Jakby mu na tym wcale nie zależało albo traktował nas jak… – Zamilkł.

– Nie rozumiem… Roman?! Co się dzieje, na litość boską? Powiesz w końcu? – Monika tak bardzo uniosła głos, że aż Witek odwrócił się od komputera i Ela wyjrzała z kuchni. – Odezwij się!

– Nie wydaje ci się zastanawiające, że Dima w tak krótkim czasie odnajduje ważny kontakt w RPA, i to przez jakiegoś znajomego z Aten, a stary gangster od razu godzi się na spotkanie z nieznajomą osobą,

w niewiadomym temacie, za pośrednictwem hasła „Pozdrowienia od Heleny z Talesu”? – Spojrzał pytająco i rozłożył ręce. – Przecież ten gangster wykazuje oczywistą agenturalną dyspozycyjność. To jest jak operacyjne nawiązanie kontaktu, nie widzisz tego? To nienormalne. Nie chodzi mi o to, że ma w RPA ten kontakt, o którym nie wiem, bo przecież miał bogate życie i poznał mnóstwo ludzi… szpiegów i bandytów, więc ma w czym wybierać i na tym polega jego ogromna wartość. Problemem jest to, że żaden znajomy z Aten nie istnieje, a on ukrywa przed nami prawdę. Dlaczego? Co się dzieje w tej Moskwie?

Witek i Ela stanęli za Moniką i teraz wszyscy wpatrywali się w Romana, który błądził wzrokiem po pokoju. Po raz pierwszy widzieli go tak zmartwionego, zawsze potrafił powstrzymać emocje, dlatego tym razem jego stan natychmiast im się udzielił. Roman po raz pierwszy zakwestionował lojalność Dimy, czyli sens istnienia Sekcji i – co najgorsze – ich przyjaźń.

Monika poczuła, jakby coś uwięzło jej w gardle, i przez moment nie mogła złapać oddechu. Była wściekła na Romana, że powiedział o swoich wątpliwościach, i to przy młodych, ale po chwili zrozumiała, że to nie podejrzliwość ani zła wola były powodem jego wybuchu, tylko szczerość i uczciwość, którym nie potrafił się przeciwstawić.

Roman zorientował się, jakie wrażenie wywarły na nich jego słowa, i pożałował swojej reakcji. Nie zapanował nad sobą, a powinien był okazać wątpliwości inaczej, lżej, spokojniej. Ale traktował Dimę jak syna i nie mógł okłamywać ich, jego i siebie.

– Zapytam go o to, jak wróci – odezwał się w końcu powściągliwym, ciepłym tonem. – Nie zrozumcie mnie źle, nie mam wobec Dimy żadnych podejrzeń, to tylko pytania i wątpliwości, na które na pewno ma jakieś proste wytłumaczenie. Większość życia spędził jako nielegał i odpowiadał

tylko sam za siebie, żył w swoim świecie i gdyby nie potrafił zagrać cynika, hipokryty, egocentryka, dawno by już poległ. Po latach takiego życia nie jest łatwo zabić w sobie księdza Dalla Piccola. Nikt przecież nie powie o sobie, że jest zły, bo zawsze wytłumaczy zasadność swojego postępowania. Ale o wszystkim decyduje słuszność wyboru. A wybór Dimy jest taki jak nasz i na zawsze taki zostanie. Przepraszam. – Roman przesunął okulary na czoło i zakrył twarz dłońmi.

Monika znów poczuła ucisk w gardle, ale tym razem zrobiło jej się żal Romana. Najbardziej zabolało ją słowo „przepraszam”, które z jego ust usłyszała po raz pierwszy. Zabrzmiało jak przyznanie się do winy. Jakby ojciec prosił dzieci o przebaczenie za to, że miłość, jaką im okazuje, nie jest wystarczająco silna.

Wiedziała, że nie powiedział tego, by szukać w ich oczach usprawiedliwienia. Czuł się winny, że okazał słabość w trudnym momencie, gdy powinien zadbać o dyscyplinę i motywację. Tak jej się wydawało i nie była daleka od prawdy.

Roman rzeczywiście posunął się za daleko i poczuł do siebie obrzydzenie, jakby z niskich pobudek zawiódł najbliższego przyjaciela. Wydarzenia ostatnich dni pędziły jak szalone, ale ten poniedziałek był najgorszy.

Chwilami Leski miał wrażenie, że nie nadąża, traci dystans, oddech, wzrok i gubi sens swoich myśli, jakby został czymś zatruty. A stawką było życie człowieka, które – jak się okazało – stanowiło tylko scenę do nierozpoznanej rozgrywki. Czas uciekał, a Wielki Zdrajca zagnieździł się w jego podświadomości i jak wirus zżerał go od środka. Teraz, za jego pośrednictwem, zaczął też infekować Sekcję.

– Roman… Roman… – dobiegł go stłumiony głos Moniki i dopiero po chwili zobaczył jej twarz, a za nią Witka i Elę. – Co z tobą? Dlaczego nie

odpowiadasz?

– A co… co się stało? – zapytał całkiem spokojnie.

– Myśleliśmy, że odjechałeś.

– Dokąd?

– No, tak się mówi… jak ktoś… tego…

– Wszystko w porządku.

– Nie masz za co przepraszać. Dima to Dima, znamy go dobrze – ciągnęła Monika. – Dobrze wiemy, że coś tam ukrywa. Każdy coś ukrywa i to jest normalne. Nawet piękne, że mamy tajemnice tylko dla siebie. A jeśli o czymś nie mówimy, to nie znaczy, że ukrywamy. – Spojrzała na Elę i Witka. – Nooo… jakie macie sekrety? Przyznać się!

– To o której lecisz? – Roman zmienił temat.

– O szóstej rano KLM przez Amsterdam i o dziewiątej wieczorem jestem w Kapsztadzie. Zadzwonię do tego Bregge jutro z Amsterdamu i możliwie jak najszybciej umówię spotkanie.

– Przeczytaj najpierw sprawę Lola. Potem porozmawiamy. – Roman wyraźnie się ożywił. – Pogadamy o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Potrzebuję waszej rady. Ale najpierw zjemy. – Spojrzał na Elę. – Zamówiłaś?

– Tak.

– Masz naładowany skaner? – zapytał Witka.

– Nie.

– To go podłącz. Będzie nam jutro potrzebny.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Tak, potrzebny – powtórzył. – A ty – zwrócił się do Moniki – idź poczytać o Adamie Fincie.

Nie zdążyła wstać, kiedy zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

– Dima! – rzuciła krótko i poderwała się z fotela.

57

Dochodziła dwudziesta pierwsza.

Gardermoen to wyjątkowo chimeryczne lotnisko, jakby wikińscy bogowie nie godzili się, by zakłócać im spokój w Walhalli, i od czasu do czasu złośliwie zakrywali je gęstymi mgłami.

Samolot wylądował dziesięć minut przed czasem. Zaraz potem lotnisko zostało zamknięte i wszystkie loty przekierowano na Torp, sto dwadzieścia kilometrów od Oslo.

Jaganowi i tak było wszystko jedno, bo cały lot przespał. Obudził się dopiero, kiedy samolot dobił do rękawa i ktoś nadepnął mu na stopę, którą trzymał w przejściu. Zaklął głośno po rosyjsku i rozejrzał się wokół, ale sprawcy nie znalazł. Zarzucił na ramię zieloną wojskową torbę i przepchnął się do wyjścia między złorzeczącymi mu w różnych językach pasażerami.

Kontrolę paszportową przeszedł bez problemu. Nazywał się teraz Vladimiras Zukas i był litewskim Rosjaninem z Kłajpedy. Nie był zadowolony, że znów musi udawać jakiegoś Bałta, ale nie miał wyboru, bo Dunin wręczył mu gotowy już paszport na to nazwisko. O Norwegii przeczytał sobie w Wikipedii i wiedział o tym kraju wszystko, co było mu potrzebne.

Po raz pierwszy był na robocie zagranicznej sam i w dodatku nieuzbrojony.

Brak towarzystwa wcale mu nie przeszkadzał, bo dziwnym zrządzeniem losu wszyscy jego partnerzy, z którymi jeździł na robotę, ginęli w tajemniczych okolicznościach. A niejakiego Rudolfa podobno nawet sam zabił. Tak twierdzili policjanci w Szwecji, ale Jagan uważał, że to zwykła bujda. Nie pamiętał żadnego Rudolfa.

Natomiast brak broni był poważnym problemem praktycznym i psychologicznym. Jagan bez giurzy czuł się nagi i słaby, chociaż zadanie miał tym razem łatwe. Na szczęście była to prywatna robota i nie musiał się liczyć z żadnymi generałami w Moskwie. Ważne było tylko dobre imię Matuszki Rossii i kasa. Właściwie nie potrzebował pieniędzy dla siebie, ale renta inwalidzka podoficera i brak oszczędności powodowały, że nie mógł kupić nowej łodzi do oczyszczania jeziora łabędziego i przystąpić do budowy przystani dla dzieci.

W kiosku nabył pakiet aktywacyjny do telefonu, a w automacie bilet na szybką kolejkę Flytoget. Po chwili siedział już w pociągu i aktywował telefon. Wysłał do Dunina wiadomość: *Jestem*, ten zaś natychmiast potwierdził odbiór: *Dobrze*.

Podłączył się do internetu i uruchomił aplikację Maps. Adres hostelu Anker na Storgata 55 miał wpisany do pamięci, więc tylko odnalazł swoje położenie i zobaczył trasę dojścia.

Z dworca powinno mi to zająć około dziesięciu minut – pomyślał i schował telefon.

O wpół do dziesiątej wysiadł na Dworcu Centralnym i chwilę później wyszedł przed budynek.

Zapadał zmrok, ale było pogodnie, choć zimno. Jagan stanął na schodach i mocno wciągnął nosem powietrze, aż zabolały go rany na brzuchu, wstrzymał na chwilę powietrze i wypuścił je z głośnym gwizdnięciem.

Czuć morzem – pomyślał. Lubił ten zapach.

Rozejrzał się uważnie.

Na dużym placu kręciło się sporo ludzi, w większości zmierzających na dworzec lub z niego wychodzących. Wyjął smartfon, spojrzał na mapę i ruszył przed siebie. Po lewej stronie zauważył grupki okupujące granitowe bloki, które pełniły funkcję ławek miejskich. Gdy się nieco zbliżył, od razu się zorientował, że to skupisko miejscowych meneli.

Tutaj też to gówno oblepiło dworzec – pomyślał ze wstrętem. Degeneraci i narkomani!

Kiedy ich mijał, od jednej z grup odłączył się chudzielec w zniszczonej skórzanej kurtce i z mnóstwem kolczyków w uszach. Podbiegł do Jagana, chciał mu zastąpić drogę, ale nie mógł nadążyć. Zaczął mówić coś głośno po norwesku. Rosjanin słyszał w tym jedynie agresywne charczenie, więc się cały spiął. Mężczyzna wyciągnął rękę i złapał go za kurtkę.

– Spierdalaj i nie dotykaj mnie! – wymamrotał Jagan po rosyjsku przez zaciśnięte zęby. – Bo jak ci zaraz jebnę, śmieciu jeden… to na Sachalin polecisz.

Zaskoczony mężczyzna puścił jego kurtkę, przystanął i dalej mówił coś po norwesku, w końcu zrezygnował i wrócił do grupy.

Najbogatszy kraj na świecie, a ludzkie łajno takie samo jak wszędzie – pomyślał Jagan i splunął. Norwegia, bladź jedna! Ładny początek.

Poprawił torbę na ramieniu i skręcił w prawo.

Do hostelu miał kilometr. Zanim pojedzie na Grønland, czyli Lille Pakistan, chciał zostawić bagaż i trochę odpocząć. Bolały go plecy i czuł ucisk w brzuchu. Chciał też zjeść bliny, które kupił na lotnisku w Moskwie. Na Gotlandii kula przebiła mu żołądek na wylot, robiąc dwie wielkie dziury. Od tego czasu zdarzały mu się napady głodu kompulsywnego i natychmiast musiał się posilić. Ale nie chciał jeść na ulicy, bo tak robią

tylko mięczaki i cipy. Uważał, że jedzenie na ulicy poniża świętość chleba – daru ziemi i Boga. Człowiek ideowy posila się zawsze na siedząco. Lekarze mówili, że te napady nie są spowodowane postrzałem, ale on wiedział lepiej.

Hostel okazał się bardzo skromny, lecz czysty. Najważniejsze, że był blisko Lille Pakistan, gdzie Jagan miał sprawę do załatwienia.

Zjadł trzy zimne bliny i popił kefirem, który kupił po drodze w Narvesen. Trzy pozostałe i drugi kefir zachował na noc, na wypadek gdyby dostał ataku. A jak nie, będą na śniadanie – pomyślał. Ze zdziwieniem musiał uznać norweski kefir z rysunkiem cebulki cerkiewnej na opakowaniu za bliski rosyjskiego. Położył się na łóżku i włączył w swoim smartfonie program Google Earth. Jeszcze raz chciał zrobić za dnia wirtualny spacer po Grønland. Na róg Motzfeldts gate i Breigata miał z hostelu ledwie siedemset metrów, więc nie musiał pożyczać samochodu ani korzystać z komunikacji miejskiej. To dawało większe poczucie bezpieczeństwa, w razie gdyby coś poszło nie tak.

W ceglanym domu pod numerem 9 naprzeciwko pakistańskiego grilla i sklepu warzywnego mieszkał Ismail Guzow, znany teraz jako Ismail Sulejmanow, kuzyn Issy Ułajewa, Tygrysa. Ale ani w Oslo, ani w Moskwie nikt oprócz pułkownika Dunina o tym nie wiedział.

Teraz wiedział też Jagan.

Ismail Sulejmanow był niskim, chudym czterdziestolatkiem, inwalidą wojennym bez prawego oka, ze sparaliżowaną połową twarzy, bez genitaliów i prawej ręki, w której nigdy nie trzymał broni. Wprawdzie był pobożnym muzułmaninem, ale nie religijnym ortodoksem, nie miał w sobie duszy wojownika i palił dwie paczki papierosów dziennie. Uznawał tylko dżihad wewnętrzny. Lubił za to książki podróżnicze i amerykańskie filmy.

Oglądał właśnie *Dawno temu w Ameryce*, kiedy do pokoju wpadł granat. Zabił mu siostrę, a jego okaleczył. Ismail nigdy się nie dowiedział, kto wrzucił ten granat, i nawet nie próbował. Wkrótce, gdy nieco wyzdrowiał, już jako Sulejmanow przez obóz w Polsce wyjechał do Norwegii, która przygarnęła inwalidę, dała mu mieszkanie na Grønland i utrzymanie. Nauczył się norweskiego i dostał pracę jako nocny portier w Muzeum Muncha. Nie był szczęśliwy, bo ciągle marzł i tęsknił za Czeczenią, ale był zadowolony, bo władze miasta i komunikacja miejska były życzliwe dla inwalidów, więc wiódł spokojne życie wśród książek i kolekcji filmów.

Jagan jednak nie znał historii Ismaila, nie wiedział nawet, jak on wygląda. I nie mógł tego wiedzieć, bo Dunin nic mu nie powiedział, podał jedynie imię, nazwisko i adres w Oslo. Jagan miał teraz ustalić, czy Ismail Sulejmanow w ogóle istnieje, a jeśli tak, to kim jest i jakie stwarza zagrożenie dla realizacji ich głównego zadania.

Dochodziła jedenasta. Było już ciemno.

Jagan wypoczął na tyle, że gotów był do pierwszego etapu. Do plecaka spakował lornetkę i latarkę, a nóż stołowy, który wziął z bufetu przy recepcji, wsadził do kieszeni kurtki.

Lepsze to niż nic – pomyślał. Chociaż… jednego kozła to i palcem mógłbym wyeliminować.

Wyszedł przed hostel. Było pogodnie i zimno. Spojrzał na rozgwieżdżone granatowe niebo.

– Jak na Kaukazie – powiedział, wydął usta i z uznaniem pokiwał głową. Nareszcie coś dobrego w tej Norwegii.

Naciągnął cienką granatową czapkę, zapiął zamek kurtki pod szyję, zarzucił plecak na jedno ramię i ruszył w prawo. Żadnego ruchu, cisza, ostre powietrze.

Lubił działać w nocy, ale od zdarzenia na Gotlandii miał kłopoty ze słuchem i wzrokiem, więc trochę się obawiał, czy sobie poradzi. Tym bardziej że była to pierwsza robota od wyjścia ze szpitala. Na szczęście Oslo było dobrze oświetlone.

58

Ruch na Twerskiej zgęstniał jeszcze bardziej. Pojawiło się więcej pieszych, a samochody stanęły stłoczone w czterech rzędach. Dima szedł szybkim krokiem, sprawnie wymijając przechodniów.

Nie wymeldował się z hotelu, bo chciał mieć zapasowe miejsce na nocleg. Sytuacja była dynamiczna i wszystko mogło się zmienić. Po drodze jeszcze się sprawdził. Zrobił to bardzo delikatnie, by niepotrzebnie nie wyciągać obserwacji. Prowokator w hotelu był wyraźnym sygnałem od Dunina: „Uważaj! Mam cię na oku”.

Z recepcji odebrał zwykłą białą kopertę, w której była kartka, a na niej napis: *C34/4587*. Wyszedł przed hotel i wyjął grecki telefon.

– Odebrałem – rzucił krótko, gdy usłyszał głos Tamary.

– Przechowalnia bagażu na Dworcu Białoruskim – odpowiedziała. – Nie podoba mi się to wszystko. Wiem, że źle robię, ale nie mam chyba wyboru. Bądź ostrożny. Przesyłkę wyrzuć potem do rzeki.

– Dobrze – odparł i Tamara się wyłączyła.

Wsiadł do hotelowej taksówki i kazał zawieźć się na dworzec.

Sporo wiedział o tym, jak działa Mosad, ale sposób dostarczenia pistoletu przeszedł jego najśmielsze wyobrażenie. Z jednej strony prostotą realizacji, a z drugiej – odpowiedzialnością, jaką za swoich ludzi ponosi izraelski wywiad.

Oczywiste było, że musiała zrobić to wbrew własnym zasadom. Teraz trochę pożałował, że poprosił ją o pomoc, a ona nie mogła mu odmówić. Ale niepotrzebnie sama złożyła mu taką propozycję.

Oboje wiedzieli, że jeżeli na scenie pojawia się broń, to w końcu musi wystrzelić. Dunin nie pozostawiał mu jednak swobody wyboru i był na tyle niebezpieczny, że Dima nie mógł wykluczyć starcia w ostatnim akcie. Ani też tego, że Dunin i Wiera cały czas blefują, dążąc do przejęcia żywej kasy. Wiedzą, że rodzina młodego Anglika zrobi wszystko, żeby go ratować.

Prawdziwy problem był jednak taki, że to Dima blefował: nie miał żadnego miliona funtów i nawet nie chodziło o Anglika. Cały czas liczył na to, że intuicja mu podpowie, jak rozegrać sprawę i przechytrzyć Dunina. Brnął coraz dalej, z nadzieją na szczęśliwy przypadek.

Ze względów bezpieczeństwa sala z boksami do przechowywania bagażu była po prawej stronie od wejścia, odgrodzona od hali dworcowej i zabezpieczona kamerami. Dima wiedział doskonale, że przechowalnie są pod kontrolą.

Otworzył boks i wyjął plastikową torbę z logo Carrefoura. Wewnątrz była ryza papieru A4 ze Swietogorska. Dima sprawdził jeszcze raz numer boksu, ale wszystko się zgadzało.

Na dworcu panował duży ruch, więc nie było warunków, by się upewnić, co właściwie odebrał. Wrócił do taksówki i kazał się zawieźć wprost na Bolszą Bronną. Nie wszedł jednak na górę do Wiery, tylko skierował się do McDonalda.

Poszedł do toalety. Odczekał chwilę, aż się zwolni kabina, po czym zamknął się od środka i wyjął z torby ryzę. Rozerwał opakowanie. Wewnątrz w równo uformowanych korytach umieszczone były dwa czarne podłużne elementy. Wyglądały jak rozcięty na dwie części pistolet.

Dima wyjął najpierw lufę i od razu się zorientował, że jest zrobiona z kompozytu. Przeliczył amunicję w magazynku: było osiemnaście sztuk kalibru 6,5. Bez trudu połączył obie części, które dopasowały się idealnie. Przez chwilę potrzymał pistolet w dłoni, jakby chciał go zważyć, i ze zdumieniem stwierdził, że gdyby nie wiedział, od kogo jest ta przesyłka i do czego służy, pomyślałby, że to zwykła zabawka.

Broń jednorazowego użytku – pomyślał i schował ją z tyłu za pas.

Wrócił na salę. Nie było kolejki, więc od razu zamówił cheeseburgera. Znalazł stolik przy oknie, skąd mógł kontrolować salę i wejście. Było czysto.

Wyjął polski telefon i kartę SIM z paska. Zalogował się do internetu.

– Dzieje się – oznajmił, jak tylko usłyszał głos Moniki. – Dzisiaj będę już wiedział, na czym stoję… co on może.

– Tak – odpowiedziała Monika. – Czyli?

– Za dwie godziny mam z nim spotkanie. To jego inicjatywa. Niespodziewana.

– Tak… a gdzie?

– U Wiery w domu.

– Hm… hm…

– Przeniosłem się do niej.

– Tak?

– Ale hotel trzymam cały czas, może być mi potrzebny.

– Rozumiem.

– Myślę, że tak będzie lepiej dla sprawy.

– Hm… tak?

– Mam w ten sposób wszystko pod kontrolą, a Wiera mi pomaga. Można nawet powiedzieć, że działamy razem.

– Tak? – zapytała z ironią.

– To przecież był jej pomysł… Wie, jak z nim rozmawiać. – Głos Dimy nie zabrzmiał wiarygodnie i Monika natychmiast to wyczuła.

– Tak? Masz do niej zaufanie, to działaj.

– No wiesz… mam, ale ograniczone…

– Rób, jak uważasz – przerwała mu i ściszyła głos. – Jesteś dorosły i chyba potrafisz rozmawiać z kobietami, chociaż… mam wątpliwości. Tylko się znowu nie zakochaj, bo to ona cię wtedy wykorzysta.

– Daj spokój… wiem, co robię…

– Tak? Okej.

– W tym nie ma nic osobistego, wszystko jest pod kontrolą. A poza tym to nie ona jest ważna, tylko on. Coś się jej tak uczepiła?

– Uczepiła? Dobre! Liczy się sprawa i byłoby nieźle, gdybyś zrobił coś pożytecznego w tej Moskwie.

Na chwilę zamilkli.

– Ale uważaj na siebie – dodała innym już tonem. – Lecę rano.

– A ty na siebie – odparł Dima. – Dam znać jutro, jak poszło, ale zapowiada się, że będzie ciężko. Wygląda na to, że chce mnie sprawdzić, po rosyjsku, więc…

– Tym bardziej uważaj. Cześć.

– Cześć.

Dima wyłączył telefon, wyjął kartę i wsunął ją do paska. Rozmawiał z Moniką minutę pięćdziesiąt sekund. Rozwinął kanapkę, spojrzał na pomarańczową bułkę i dopiero teraz przypomniał sobie, że przecież nie znosi jedzenia z McDonalda. Zawinął je z powrotem i odsunął od siebie.

– Nie będziesz jadł? – usłyszał ściszony męski głos z prawej strony. Obejrzał się i zobaczył, że przy stoliku obok siedzi zgarbiony staruszek w mocno wytartej brązowej marynarce z dzianiny. Wsparty jedną dłonią na lasce, w drugiej trzymał papierowy kubek z herbatą.

– Nie… możesz wziąć… – Dima podał mu kanapkę. – A może coś ci kupić? – zapytał. – Jesteś głodny?

– Dziękuję. Nie trzeba – odparł nieznajomy. – Zjem, bo oni wyrzucą… zmarnuje się. – Wyciągnął drżącą rękę po kanapkę i odsłonił pierś, na której w dwóch rzędach, na kolorowych wstążkach, wisiały złote, srebrne i brązowe medale i gwiazdy.

– Weteran? – zapytał Dima.

– Tak. W zwiadzie… od Moskwy, przez Berlin, aż na Kuryle dotarłem. – Dotknął laską medali, które zadzwoniły. – I żadnej rany. Szczęściarz jestem. – Uśmiechnął się, ukazując srebrne zęby.

– Powodzenia, żołnierzu – rzucił Dima i podniósł się do wyjścia.

– Powodzenia, Polaku, i dziękuję. – Staruszek na znak wdzięczności uniósł cheeseburgera.

Muszę jednak bardziej uważać – pomyślał Dima, ale nie poczuł zagrożenia.

Postanowił pospacerować jeszcze godzinę. Pogoda była ładna, więc zdecydował się na trasę do Patriarszych Prudów.

Znał ten rejon Moskwy bardzo dobrze. Stara nieregularna zabudowa z licznymi przejściami i ciemnymi zaułkami stwarzała atmosferę tajemniczości. Dlatego kręciło się tam wielu szpiegów i artystów.

Odległość w sam raz, by przynajmniej przygotować się psychicznie do spotkania z Duninem – pomyślał, bo planu żadnego nie miał. Przede wszystkim jednak chciał trochę ostudzić swoje podejrzenia względem Wiery. Musiał znaleźć dla niej właściwe miejsce, ocenić uczciwie, po której stronie stoi. Wbrew temu, co powiedział Monice, Wiera musiała grać ważną rolę, bo Dunin to był jej pomysł.

Natłok wydarzeń ostatnich dni, emocje i stres zaciemniały obraz i Dima doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Co więcej, czuł wyraźnie, że Tamara

i Monika w trosce o jego bezpieczeństwo próbują nim manipulować i chcą go nastawić negatywnie do Wiery. Dwie kobiety z wywiadu starają się ostrzec go przed trzecią, jakby miały jakiś niezwykły dar wyczuwania trujących feromonów, śmiertelnej broni, którą same też się posługiwały.

Możliwe, że mężczyzna, nawet szpieg, nie jest w stanie tego zrozumieć – pomyślał Dima, mijając kawiarnię Margarita – ale powinien umieć się obronić. „Baby łżą na każdy temat… po prostu, żeby nie wyjść z wprawy” [2] – przypomniał sobie słowa Raymonda Chandlera z *Żegnaj, laleczko* i uśmiechnął się do siebie.

W parku nie było prawie nikogo. Minął trzech mężczyzn niemo wpatrzonych w szachownicę i kobietę z wózkiem. Obszedł staw i powoli ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł.

Zapadał zmrok. Do spotkania z Duninem została godzina.

W sklepiku na Małej Bronnej, nieopodal miejsca, gdzie został zgilotynowany przez tramwaj profesor Berlioz, kupił dwie butelki fanty i dwie coli.

Dima lubił to miejsce, chociaż nigdy nie widział, by jeździły tamtędy tramwaje.

Kiedy w końcu dotarł pod dom Wiery, czuł, że nabrał sił. Nie wymyślił wprawdzie żadnego nowego gambitu, ale ogarnęła go prawdziwa wola walki. Trochę się zawstydził, że poprosił Tamarę o pistolet i narobił zamieszania. Wyglądało, jakby spanikował albo co najmniej przecenił zagrożenie, bo kiedy podsumował sprawę, wyszło mu, że właściwie nie ma się czego bać. Zbyt dosłownie zasugerował się opiniami Wiery i wprowadził Tamarę w błąd.

Do spotkania zostało pół godziny. Dima poprawił pistolet i stwierdził, że kompozytowa broń jest znacznie wygodniejsza od metalowej.

Wszedł na klatkę schodową. Wjechał windą i po chwili był już pod drzwiami mieszkania. Dotknął klamki, ale było zamknięte. Nacisnął dzwonek. Po kilkunastu sekundach jeszcze raz i przytrzymał nieco dłużej. Przez moment wydawało mu się, że słyszy jakieś dźwięki po drugiej stronie, ale nadal nikt nie otwierał.

Nacisnął dzwonek po raz trzeci.

59

Wiktor Braun był już u kresu wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Sytuacja stanowczo go przerastała, a wszyscy domagali się od niego coraz więcej. Nie nadążał i nie rozumiał, co się właściwie dzieje na Miłobędzkiej.

Błaszczyk bombardował go codziennie depeszami, zlecając coraz to nowe zadania i stawiając pytania, na które nie było odpowiedzi. Chwilami odnosiło się wrażenie, jakby robił to złośliwie, bo przecież obaj rozumieli, że Braun nie ma pojęcia o Pakistanie, a depesze wysyła, żeby kierownictwo Agencji widziało, kto trzyma rękę na pulsie. Błaszczyk jednak nawet się nie domyślał, jaka jest prawdziwa misja Brauna w Islamabadzie ani że osobiście nadzoruje ją Pański, poza tym nie miał na szczęście uprawnień, by dzwonić na telefon służbowy, który i tak był rozgrzany do czerwoności.

Dzwonili szefowie z Warszawy, a każdy wydawał inne dyspozycje i domagał się natychmiast nowych informacji. Braun nie mógł się pochwalić niczym wartościowym, więc mówił wszystkim mniej więcej to samo, a żeby mieć święty spokój i zaspokoić ich głód, zaczął powoli szyć sprawę. Nie zmyślał, ale swoje interpretacje sprzedawał jako potwierdzone wiadomości.

Na Miłobędzkiej nikt się nie przejmował, że w Islamabadzie jest trzy godziny później. Każdy dzwonił, kiedy chciał. Dlatego czasami Braun musiał posłusznie odbierać telefony po północy.

Najbardziej denerwujący był Hurman, bo dzwonił najczęściej. Odpowiadał za kontakty ze służbami, więc ciągle zadawał to samo pytanie, tyle że inaczej opakowane. Czy Pakistańczycy i Amerykanie wiedzą już, kim jest Olewski i po co przyjechał do Islamabadu prosto z Moskwy? Mówił długo, agresywnym tonem, nieustannie o coś się dopytywał i coś sugerował, jakby chciał ustawić Brauna i wcisnąć mu swój punkt widzenia. I coraz częściej mu się to udawało, bo Braun nieraz łapał się na tym, że chwilami zaczyna myśleć tak jak on.

Zupełnie inaczej postępował Walewski. Dzwonił dwa razy dziennie. Tylko formalnie interesował się tym, co się dzieje na miejscu, jakby chciał pokazać, że jest dobrym szefem, który pilnuje sprawy i przejmuje się tragicznym losem uprowadzonego, choć tak naprawdę – co sugerował między wierszami – jest realistą. Ubolewał nad trudną sytuacją młodego Brauna i oferował mu bezgraniczną pomoc. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zapracować w jego oczach na opinię dobrego i ludzkiego szefa, by później wyjść z tego kryzysu z twarzą. Braun jednak wiedział, że Walewski jest zwykłym cynikiem, który liczy, że na tej sprawie ugra coś dla siebie, i znacznie lepiej od Hurmana pamięta, czyim on, Wiktor, jest synem.

Najlepiej współpracowało się Braunowi z pułkownikiem Pańskim, chociaż nie ufał mu do końca. Czasami nawet się go bał, chociaż nie potrafił wyjaśnić dlaczego.

Pański jako jedyny znał od początku sprawę Olewskiego i Mocarza, bo sam ją założył i potem cały czas nadzorował. Był nie tylko najbardziej profesjonalny i doświadczony z całej trójki, ale też odpowiednio zdystansowany i spokojny. Potrafił przekonująco zagrać każdą rolę. Dzwonił wieczorem i Braun zdawał mu szczegółowe relacje dzienne. W zamian dostawał instrukcje, co ma robić, jak rozmawiać z Walewskim i Hurmanem, co pisać do Błaszczyka i jak ustawiać ambasadora i radcę.

I każdą rozmowę kończył tak samo: „O nic się nie martw, chłopie, my tu nad wszystkim czuwamy”. Wiktor miał wrażenie, że gdyby nie opieka Pańskiego, chyba zwolniłby się ze służby.

Najważniejsze były dla niego rozmowy z ojcem, który wprawdzie nie miał szpiegowskiego przygotowania, ale rozumiał ten świat lepiej niż inni.

Rozmawiali przez prywatny telefon i Wiktor aż nadto dobrze wiedział, że słyszą ich wszyscy. Robił to wbrew przepisom, ale czerpał z tego swoistą satysfakcję, jakby tylko w ten sposób mógł zakomunikować wszem wobec, co naprawdę myśli, dostać rozgrzeszenie i skonstruować logiczne alibi.

W sprawie Olewskiego Braun senior nie był optymistą. Utrzymywał stały kontakt z Pańskim, z którym się przyjaźnił, wiedział więc, co się dzieje, i nie musiał syna instruować. Udzielał mu wsparcia moralnego, a to było dla młodego Wiktora bardzo ważne. Kiedy rozeszła się wiadomość o uprowadzeniu, ojciec od razu mu powiedział, że niezależnie od tego, jak się ta sprawa zakończy, to on i tak będzie bohaterem. A to dobry start do nowego etapu, życia w polityce – powtarzał z pełnym przekonaniem. Nie po to tyle zainwestował w studia syna na Uniwersytecie Stanforda i ustawienie go w wywiadzie, by teraz zmarnować jego talent i misję.

Wiktor nie bardzo w to wierzył i nie miał rozbudzonych ambicji politycznych, ale było mu lżej, kiedy słyszał pogodny i pewny siebie głos ojca.

Szef Korycki zadzwonił po raz pierwszy dopiero w niedzielę wieczorem i była to krótka rozmowa. Rzucił kilka zgrabnie wycyzelowanych służbowych frazesów, których sensu Braun nie zrozumiał, i na koniec zadał jedno pytanie: „Czy dzwonił pułkownik Leski?”.

Wiktor wiedział, kim jest pułkownik Roman Leski, minął go kilkakrotnie na korytarzu, ale ani razu z nim nie rozmawiał. Znał mnóstwo plotek na jego temat, anegdot, mitów, czyli nic konkretnego i pewnego,

zresztą tak jak wszyscy. Kiedyś dopytywał się o niego ojciec, ale Wiktor nie umiał mu powiedzieć nic istotnego.

Tym razem jednak pytanie szefa oznaczało, że Leski wkrótce do niego zadzwoni, więc musi być na to przygotowany. Braun odebrał to jak ostrzeżenie i zaczął się przygotowywać psychicznie, choć nie bardzo potrafił zrozumieć na co. Częściej się zastanawiał, dlaczego nie powiedział mu o tym Pański, który przecież wiedział najlepiej, co się dzieje na siódmym piętrze. „My tu nad wszystkim czuwamy" – brzmiało mu w uszach. Dlatego Braun potraktował pytanie Koryckiego bardzo poważnie i nie wspomniał o tym Pańskiemu. A niczego tak się nie bał jak prowokacji.

Zastanawiał się, jakie tematy mogłyby interesować Leskiego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. I to było najgorsze. Obawiał się tej rozmowy, a właściwie jej drugiego dna.

W Islamabadzie minęła dwudziesta trzecia.

Braun miał jeszcze umówione spotkanie ze Steve'em Sinsterem, który obiecał mu przekazać najświeższe informacje, jak to ujął w rozmowie telefonicznej. Za każdym razem wyglądało to tak samo: spotykali się w ambasadzie USA przy Mountain Valley Spring Water, w zabezpieczonym pokoju CIA. Jankes obiecywał pomoc, ale zaraz się zastrzegał, że są obiektywne trudności, których nie może pokonać. I sugerował od razu, by Warszawa naciskała bezpośrednio na Departament Stanu.

Sinster, mimo że wyznaczył tak późną godzinę spotkania, spóźnił się kilkanaście minut i sprawiał wrażenie przepracowanego. Braunowi jednak się wydawało, że to tylko dobrze zagrana poza, obliczona na wymuszenie dystansu i nadanie rozmowie odpowiedniego tonu.

– Przepraszam za spóźnienie i tę nocną porę, ale sam rozumiesz… – rzucił już w drzwiach. – Po prostu urwanie jaj. – Usiadł naprzeciwko i nalał sobie wody mineralnej. – Co nowego, Wiktor?

– Myślałem, że ty mi powiesz – odezwał się Braun. – Nic nowego. Brytyjczycy i Niemcy też nic nie mają. Z Japończykiem dzisiaj nie rozmawiałem, a Amin nabrał wody w usta. Czterej ambasadorowie byli dopiero co u szefa MSZ, ale efekt podobny, pierdu-pierdu… dużo słów o staraniach i wysiłkach na wszystkich frontach, i tyle. Warszawa ciśnie, bo u nas medialna histeria, nie tak jak w Berlinie czy Londynie… Wiesz, jak jest.

– Histeria? – zapytał zdziwiony Amerykanin, chociaż Braun już mu to wcześniej tłumaczył. – Co się dzieje?

– Ludzie myślą, że nas… że Polski terroryzm nie dotyczy, i jak teraz coś pierdyknęło, to zaczęła się wewnętrzna awantura. Polityczne rozgrywki i każdy prze na szkło…

– Przecież nikt was do Iraku i Afganistanu nie ciągnął na siłę – odparł z nutką ironii Sinster. – Porwany Polak to koszt i tak… między nami… nieduży.

– Koszt?

– A co myślałeś? Wojna to zawsze bilans kosztów i zysków. To oczywiste. Jesteś oficerem wywiadu, powinieneś to wiedzieć. – Popatrzył na Brauna z mieszaniną niedowierzania i politowania. – Dobrze, polski kolego. Pogadajmy *off the record*. Powiem ci, jak jest, to może zrozumiesz lepiej i poczujesz ulgę, bo widzę, że z trudem łykasz ten problem. Nie myśl, że przemawia do ciebie jakiś arogancki jankes. Przyjmij to, co ci powiem, jak radę starszego kolegi, który trochę prochu wąchał i wie, co tu się dzieje.

– Okej. – Braun posłał mu lekki uśmiech. – Przecież cię nie osądzam. Mów.

– Atak na Pir Sohawa to sprawa wewnętrzna Pakistanu. Chodziło o kilkanaście osób spośród zamordowanych, to byli ludzie związani nie z tym, z kim powinni. Proste, prawda? – Sinster popatrzył na niego spod

zmrużonych powiek. – Uprowadzenie czterech obcokrajowców to bonus. Za atakiem na hotel najprawdopodobniej stoi ISI i kiedy się zorientowali, że mają koty w worku, zaczęli się zastanawiać, co mogą na tym ugrać. Kalkulację robią na kilku poziomach: ile zyskają na zaspokojeniu politycznych celów radykalnych islamistów, a ile w relacjach z krajami, z których pochodzą porwani… może też coś pośrodku… albo jedno i drugie. Wiedzą natomiast, że od nas niczego nie wyciągną. Bo my możemy wysłać drony, dwa chinooki i Deltę, jeśli są takie możliwości… a nie ma… ale negocjować nie będziemy. Talibowie najprawdopodobniej nikogo nie uwolnią, bo ISI ma w tym swój interes. Cuchnący oddech Moskwy też czuć z daleka. Nakładają się na to rozgrywki plemienne w Waziristanie… to trochę skomplikowane. – Przerwał, wypuścił powietrze i kręcąc delikatnie głową, dodał: – No… może Japończyka wymienią na solidną kwotę. Pozostałych, niestety, zabiją… i trzeba się liczyć, że będzie to spore przedstawienie. Niemcy i Brytyjczycy je przełkną, ale Polacy niekoniecznie, prawda? Szczególnie w obecnej sytuacji w Europie. Sam mówisz, że trwa u was histeria medialno-polityczna… – Pokiwał głową. – Pamiętam… pamiętam… Pakistańczycy wiedzą, że śmierć Polaka będzie wstrząsem dla opinii publicznej, więc również tematem dla polityków, a wasze media napompują ją do rangi męczeństwa w imię wiary. Zacznie się głośne kwestionowanie udziału Polski w operacji afgańskiej. Po śmierci kilku hiszpańskich oficerów wywiadu w Iraku Madryt wycofał swoje wojska. Słyszałeś? Na śmierci waszego oficera też ktoś zrobi karierę. Takich okazji politycy nie przepuszczają.

– Dlaczego mówisz, że to jest…

– Wiem – przerwał mu Sinster. – My wiemy, ale ISI nie wie… jeszcze.

Braun nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Przyjechałeś tutaj prosto z Moskwy, prawda? – zapytał Amerykanin.

– Zostawmy to teraz. Dzięki za szczerość. To ma wartość… doceniam. Rozumiem, że to twoje spojrzenie na sprawę, a nie stanowisko CIA?

– Oczywiście, ale zrobisz z tym, co zechcesz. Obaj wiemy, jak kręci się ten świat.

– Dzięki, Steve. Pójdę już.

Braun podniósł się z fotela i poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon.

– Będziemy w kontakcie. – Sinster pierwszy wyciągnął rękę, ale Braun przez moment jakby tego nie zauważył. – Dam znać, jak coś się zmieni. – Uścisnęli sobie dłonie. – Możesz na mnie liczyć.

Liczyć na ciebie? – pomyślał Wiktor i uśmiechnął się służbowo. Nie wiem, w co gracie, jednak liczyć na ciebie to jak oczekiwać, że pierwszego kwietnia powiesz prawdę.

Sinster odprowadził Brauna do bramy ambasady. Poklepał go po ramieniu i obiecał dzwonić, jak tylko dowie się czegoś nowego, po czym wrócił do pokoju przyjęć, gdzie czekał już na niego ostrzyżony na jeża starszy mężczyzna w koszuli bez krawata i z podwiniętymi rękawami. Na czole miał grube okulary, a za uchem ołówek.

– Co sądzisz? – zapytał.

– Wygląda na to, że dalej nic nie rozumieją… i dobrze.

– Znasz przecież Warszawę… Co mam napisać?

– To, co ci już mówiłem – odparł Sinster, zblazowany. – Oni tam mają w dupie tego uprowadzonego i będą się szarpać jak buldogi pod dywanem… Nie ma tematu… pierdolić to.

– Tak mam napisać?

– Kurwa! Co ty… od dzisiaj robisz w science fiction? – obruszył się Sinster. – Opakuj ładnie, zrób z tego czekoladkę i puszczaj… byle dzisiaj, bo rano lecę na Hawaje.

– A może tak po cichu dać im informację, gdzie są przetrzymywani? I nie kryć się z wiedzą, że to ich oficer? – z ironicznym wyrazem twarzy rzucił starszy. – Jak się nazywa ta dziura? Tarhan…

– Tragun w dolinie Śam – poprawił Sinster. – Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby się dowiedzieli, że znamy miejsce, w którym ci czterej są przetrzymywani? Może pokazać jeszcze film z drona? Zaczęłaby się histeria na całego: wysłać Deltę i całą Flotę Pacyfiku… a dla nas Pakistańczycy są ważniejsi niż jakiś tam Polak.

Kiedy tylko Braun opuścił budynek ambasady, sprawdził, kto dzwonił. Tak jak przypuszczał, to był Pański.

Idąc do samochodu, zastanawiał się, co powinien powiedzieć pułkownikowi po spotkaniu z Sinsterem. Nie był zaskoczony, że Amerykanie dowiedzieli się, kim naprawdę jest Olewski, bo to było tylko kwestią czasu. Nie brak w Polsce polityków i szpiegów, którzy sami donoszą CIA. Istotne było, czy Amerykanie wiedzą o Mocarzu. Wykład Steve’a nie był dla niego żadnym zaskoczeniem. Zdziwiło go natomiast, z jaką przenikliwością i sceptycyzmem agenci CIA oceniają polską politykę.

Kiedy wsiadł do samochodu, miał już gotową wersję. Wiedział, co ma powiedzieć i jak przedstawić rozmowę z Amerykaninem. Nie miał też wątpliwości, że Pański zapyta go o wnioski. A wniosek był prosty. Dla CIA nie ma żadnej sprawy Olewskiego, to sprawa wewnętrzna Polski.

Wyjechał z terenu ambasady USA, pokonał kilometr i dopiero wtedy zjechał na pobocze. Zatrzymał się obok sklepu tekstylnego. Miał już wyjąć z kieszeni telefon, gdy ten zadzwonił i Braun pomyślał, że musiał przywołać Pańskiego myślami.

– Nie mogłem odebrać, panie Zenku – rzucił od razu do słuchawki. – Byłem na spotkaniu z jankesem.

– Dobry wieczór – odezwał się nieznajomy głos i Braun odruchowo spojrzał na wyświetlacz. Nie znał tego numeru. – Mówi Roman Leski. Pomylił mnie pan z pułkownikiem Pańskim?

– Tak… – Braun był zaskoczony. – Tak… panie pułkowniku. Czym mogę…

– Jak pan sobie radzi z ambasadorem Kruczkiem i radcą Malinowskim? – zapytał Leski z lekką ironią. – Znam obu… współczuję.

– Daję radę, panie pułkowniku. – Braun poczuł, że Leski jest zdystansowany, i podchwycił jego nastrój. – Gwardia nie pęka przed cywilami. Obaj spacyfikowani, więc nie przeszkadzają.

– Rozumiem – skwitował krótko Leski i dopytał: – Widział się pan z Sinsterem?

– Tak. Wszystko opiszę w depeszy. Właśnie jadę do ambasady – odparł Braun, choć początkowo wcale nie zamierzał niczego opisywać, bo nie wiedział, jak ma streścić to spotkanie. Ale teraz nie miał wyjścia. – Nic ciekawego, pocieszającego, nowego…

– Tak, to zrozumiałe – niejasno skomentował Leski. – Dzwonię, ale mam tylko jedno pytanie, które chciałbym, żeby pan zachował wyłącznie dla siebie… nawet przed ojcem i pułkownikiem Pańskim… Czy pan mnie rozumie? – zapytał takim tonem, że Braun nie miał żadnych wątpliwości, co ma na myśli. Widać było, że wie, z kim on rozmawia. Zaniepokoił się, bo zaczął podejrzewać, że Leski kontroluje Pańskiego i ojca.

Czyli słucha moich telefonów – przeleciało mu natychmiast przez myśl.

– Tak, oczywiście, rozumiem, panie pułkowniku – odparł zdecydowanym głosem.

– To dobrze, że pan zrozumiał. Nie dzwonię przecież w prywatnej sprawie. Idzie o życie ludzi. – Leski mówił sucho, tu i ówdzie kładąc lekki akcent. Wiedział, jak to robić, i cenił sobie telefoniczną manipulację oralno-

sensualną. Rozmówca nie widzi twojej twarzy i musi pracować wyobraźnią, uważał. – Wiem, że dzwoni do pana kilka osób… prawda?

– Tak… służbowo! – ubezpieczył się Braun.

– Oprócz ojca… – wrzucił Leski, ale Wiktor nie zareagował. – Nieważne teraz… Proszę mi powiedzieć, czy ktoś pytał… pytał pana o mnie?

W słuchawce zaległa cisza. Dotąd Braun rozmawiał płynnie, swobodnie i szybko odpowiadał na pytania, jakby nie musiał się zastanawiać. A teraz zamilkł i te kilka sekund, które nie pasowały do obrazu, mówiły więcej niż cała rozmowa. Był kompletnie zaskoczony i rozważał w myślach odpowiedź, podczas gdy Leski czekał. Jakby mentalnie siłowali się na rękę.

– Szef Korycki – wydusił z siebie w końcu Braun.

– Tylko?

– Tak.

Leski wiedział, że Braun mówi prawdę. Nie przełknąłby kłamstwa, gdyby to nie był szef. Tym samym zadeklarował swoją lojalność i gotowość do współpracy. Potwierdził własną uczciwość, mimo że był synem starego Brauna, wyjątkowego cynika i politycznego manipulatora, na którego Leski od dawna miał oko. Teraz spokojnie mógł wykreślić młodego z kręgu podejrzanych, choć nie dałby głowy, że nie jest on narzędziem w rękach Wielkiego Zdrajcy.

Najważniejsze były jednak te dwa słowa, które wypowiedział, i właśnie dlatego, że uczynił to z takim oporem. Leski pomyślał, że może to być ważny punkt w jego dochodzeniu.

– Gdzie pan teraz jest? – zapytał.

– W samochodzie… po spotkaniu z jankesem u nich.

– Niech pan jedzie do ambasady i opisze w szczegółach… bardzo dokładnie… kto z Agencji dzwoni do pana i w jakiej sprawie. Proszę to

przesłać natychmiastową depeszą tylko do mnie… – Urwał na chwilę. – Muszę ją mieć najpóźniej do ósmej rano mojego czasu. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem.

– To bardzo ważne. O rozmowach z ojcem nie musi pan pisać.

– Tak jest, panie pułkowniku. Zrozumiałem.

60

Monika odeszła na bok i odwróciła się plecami do pozostałych. Zawsze tak robiła, kiedy miała prowadzić ważną rozmowę. Dotknęła kciukiem zielonej słuchawki.

– Cześć! – odezwała się pierwsza.

Rozmowa była krótka, nie mogła trwać dłużej niż dwie minuty, jeżeli chcieli zachować bezpieczeństwo. Monika zdążyła jednak w tym czasie przejść sześć razy od okna do drzwi, a jedenaście razy powiedzieć „tak” i zamruczeć „hm”. Roman obserwował ją i liczył. Monika zawsze rozmawiała z Dimą całą sobą, więc bez trudu mógł śledzić jej emocjonalną przemianę i nawet wyczuć, o czym rozmawia.

– Wszystko w porządku – zakomunikowała, gdy się rozłączyła, ale Roman od razu zauważył, że coś się stało, bo miała minę numer dwa, czyli mieszaninę wściekłości bliskiej płaczu. – Dima ma spotkanie z Duninem o ósmej jego czasu… – Spojrzała na zegarek. – To za dwie godziny. Wygląda na to, że złapał kontakt i może, może…

– Szybko – skomentował krótko Roman.

– Coś za szybko… nie?

– Zobaczymy. – Spojrzał na Monikę, która najwyraźniej gdzieś na chwilę odpłynęła. – To wszystko?

– Właściwie…

– Nooo… ?

– Aaa… tak, zapomniałam – zagrała nieudolnie. – Mieszka teraz u tej Wiery, czy jak jej tam. Wyniósł się z hotelu, ale się nie wymeldował.

Roman dobrze wiedział, że Monika jest zazdrosna o Dimę. Nigdy nie potrafiła tego ukryć. Kiedy miała wykonać zadanie, potrafiła przemienić się w wampira, ale Dima ją rozbrajał. Łączyła ich najmocniejsza przyjaźń, ale oboje mieli odrębne życie osobiste, które wzajemnie przed sobą skrywali. Obserwował ich uważnie i określał uczucie Moniki do Dimy jako zazdrość platoniczno-patologiczną, czyli miłość nieuzmysłowioną.

Sam kochał tylko raz, miłością, która wciąż w nim trwała, więc nie był autorytetem w tych sprawach, ale lubił to swoje semantyczne odkrycie. Bał się jedynie, że ta nieuzmysłowiona miłość Moniki do Dimy doprowadzi kiedyś do dramatu.

Ela rozstawiła na stole kartonikowe pudełka z chińszczyzną, butelki z colą i wodą. Witek przyniósł ręcznik jednorazowy i każdemu urwał po dwa kawałki. Monika usiadła naprzeciwko Romana. Wciąż miała spięty wyraz twarzy, więc kiedy ich spojrzenia się spotkały, poprawił na nosie okulary i uśmiechnął się najcieplej, jak potrafił. Podziękowała mu delikatnym uśmiechem, jakby zrozumiała, co chciał jej powiedzieć.

W Islamabadzie jest dwudziesta druga. Za wcześnie – pomyślał, patrząc na zegar ścienny.

– Najpierw zjem – oznajmił na głos i wszyscy na niego spojrzeli. – I poproszę o widelec. – Wyciągnął rękę z pałeczkami.

To był wyjątkowo ciężki dzień. Monika mocno przeżyła spotkanie z Wiatrówką i Adidasem. Dla Eli i Witka odkrycie ciała policjanta też było traumatycznym doświadczeniem.

Dlatego Roman zwolnił ich z obowiązku czuwania i o wpół do dziesiątej mimo słabych protestów poszli spać.

Monika przeczytała akta sprawy „Rzeźbiarz” i zrobiła sobie notatki. Nie znalazła jednak nic, co mogłoby wzbudzać jakieś podejrzenia czy nawet wątpliwości, więc wciąż nie mogła zrozumieć, po co Roman wysyła ją do RPA.

Widziała, że Roman z coraz większym trudem znosi napięcie. Wydarzenia ostatnich dni jak deszcz meteorów bombardowały jego psychikę. A on musiał je przeanalizować, połączyć i znaleźć odpowiedź na pytanie, co dalej robić i jakie wydać polecenia. Dla Moniki oczywiste było, że to, o czym wiedzą, co widzą i o czym im mówi, to tylko wierzchołek góry problemów, na którym tak naprawdę siedzi samotnie. Roman był przecież klasycznym introwertykiem.

Spakowaną torbę postawiła w przedpokoju i wróciła jeszcze do łazienki, żeby umyć zęby. Samolot do Amsterdamu miała o szóstej, więc chciała do minimum ograniczyć poranne czynności, o niczym nie zapomnieć i mieć spokojną głowę. Czekał ją cały dzień w podróży, więc miała szansę odespać tę noc.

Ubrana w zielno-czerwony dres weszła do dużego pokoju. Chciała jeszcze chwilę porozmawiać z Romanem. Miała dziką gonitwę myśli, ale najbardziej nurtowało ją proste pytanie: jakie znaczenie dla sprawy Olewskiego mają parafy, o których mówił wcześniej? Nigdy nie pracowała w Centrali i nie rozumiała systemu obiegu dokumentów ani tym bardziej zasad poświadczania czynności. Roman próbował jej to wytłumaczyć, ale w końcu uznał, że to zbędne i tylko zaburza harmonię obrazu.

Teraz siedział plecami do wejścia i rozmawiał przez telefon. Sprawiał wrażenie, jakby jej nie zauważył. Spojrzała na zegar. Minęła dwudziesta druga.

Najpierw pomyślała, że rozmawia z Dimą, ale zaraz sobie przypomniała, że przecież Roman nie może prowadzić rozmów zagranicznych. Stała

w drzwiach, ale nie słyszała, co mówi. Już chciała wyjść, gdy Roman wyłączył telefon i jakby wyczuwając jej obecność, dał znak ręką, by weszła.

– Dima? – zapytała wbrew sobie.

– Nie – odparł i odwrócił się. – Braun.

– Braun? W Islamabadzie? – Monika była zaskoczona. – Coś się stało? Dzwonisz za granicę?

– Niestety. Musiałem złamać zasady, ale się opłaciło. – Posłał jej uśmiech i Monika poczuła się raźniej.

– Co się stało?

– Jeszcze nic, ale wciąż się zbliżam do rozwikłania tej sprawy…

– Mogę odwołać lot – przerwała mu. – Zajęłabym się posłem Kubiakiem. Mam wielką ochotę na tego mizogina i nawet wiem, jak go podejść. – Pomyślała o swoim glocku.

– Mam dziwne wrażenie, że jedna z dróg do rozwiązania zagadki prowadzi przez Kapsztad – odparł Roman zgodnie ze swoim przekonaniem. – Lolo musi znać prawdę. Dobrze mu patrzy z oczu, czyż nie?

– Naziol – skomentowała krótko Monika. – Znajdę go. Powie wszystko, tak jak ten żurnalista od Kubiaka.

– Kubiakiem ja się zajmę – rzucił pewnym siebie tonem. – Poseł jest związany z Hurmanem…

Otworzyła szeroko oczy.

– Ale nie wiem jeszcze – kontynuował Roman – czy to on był źródłem przecieku. Ich kontakt nie jest tajemnicą, więc ktoś mógł go łatwo wrobić. To proste, zajmę się tym. A ty myśl teraz wyłącznie o rozmowie z bossem południowoafrykańskiej mafii.

– No… dobrze – odparła bez przekonania. – Ale bardziej mnie ciekawi, co się dzieje w Moskwie. Pewnie już skończyli. – Spojrzała na zegar. – Tam

jest po pierwszej. – I pomyślała, że pijany Dima śpi z tą Rosjanką, której nawet nie widziała. – Zadzwoni pewnie z rana… do mnie albo do Eli…

– Nie – przerwał jej Roman. – Przekaż mu, że przejmuję bezpośrednią łączność z nim. Zwiększymy efektywność kosztem bezpieczeństwa. Sprawy zaszły za daleko i nie mamy czasu na łączność pośrednią. Czuję, że to będzie decydujący tydzień. Jestem nabrzmiały dowodami, poszlakami, przypuszczeniami, mitami i wszelkimi bzdurami jak bomba wodorowa. Potrzebuję tylko czegoś, co mnie zdetonuje, ale nie wiem, co to mogłoby być. Liczę na ciebie w Kapsztadzie i Dimę w Moskwie. Tu… w Warszawie dam sobie radę przy pomocy Eli i Witka.

– Jak uważasz – skwitowała Monika. – Zrobię, co się da, na Czarnym Lądzie.

– Pomyliłem się co do Khana… Wiktora Brauna, i pomyliłem się co do naczelnika Błaszczyka. Chociaż może nie tyle pomyliłem, ile raczej zbyt późno się zorientowałem. Błaszczyk, mimo że jest specjalistą w sprawach afgańskich i pakistańskich, nie dał żadnych wartościowych informacji, chociaż robił wszystko, by sprawiać wrażenie niezastąpionego. Nienawidzi Brauna od czasu Kiejkut i zazdrości mu kariery. Robi wszystko, żeby go wykończyć i samemu pojechać do Islamabadu na jego miejsce. Przechodzą przeze mnie depesze, które pisze do Khana, i od razu widać, że redaguje je tak, by przypodobać się kierownictwu i pokazać, że Braun jest słaby, bo nie potrafi odpowiedzieć na proste z pozoru pytania. Błaszczyk nie wie jednak, dlaczego Braun został tam wysłany, nie wie o sprawie „Mocarz” ani o „Rzeźbiarzu”. Jest za to w grupie tych, którym zależy na śmierci Olewskiego, bo ciężar odpowiedzialności z pewnością pogrąży też Brauna. Potem, kiedy zacznie działać komisja poszukująca winnych zaniedbań w sprawie Olewskiego, będzie krzyczał: „A nie mówiłem!”. Oni wszyscy już się przygotowują na tę okoliczność, bo każdy chce zarobić na tragedii. –

Leski ciągnął wywód, lecz Monika miała wrażenie, że mówi do siebie, jakby chciał na głos utrwalić swoje myśli. – Ale Błaszczyk nie jest Wielkim Zdrajcą, jest zwykłą gnidą i możemy go wykluczyć z panteonu. Natomiast Braun okazał się uczciwym i sprawnym oficerem, więc jego też możemy wykreślić.

– To kto nam został? – zapytała niepewnie Monika.

– Korycki, Hurman, Walewski, Pański i stary Braun – odparł Leski i pokiwał głową jak Budda. – Jutro rano będziemy wiedzieli więcej. Od Dimy też. Od ciebie…

– Chodźmy już spać – zarządziła Monika.

Sprawdziła jeszcze swój prywatny telefon, ale nie było żadnej wiadomości od Roberta i zrobiło jej się trochę smutno.

Dochodziła pierwsza.

Trzy i pół godziny później było jeszcze ciemno. Ela i Witek wstali o czwartej i uwinęli się szybko z poranną toaletą, żeby nie blokować następnych. Zrobili kilka kanapek z serem i szynką i zaparzyli kawę, której zapach obudził Monikę i Romana.

Oboje spali słabo, a właściwie spędzili noc w stanie czuwania. Monika zawsze źle spała przed podróżą i miała nieustanną gonitwę myśli, w której uporczywie powracał Dima.

Leski zasnął dopiero około trzeciej. Leżał z zamkniętymi oczami, ale co chwila zerkał na seledynowy zegar w wieży Sony. Wydawało mu się, że w pokoju jest duszno. Ale się nie pocił. Martwił się, że nie może znaleźć Wielkiego Zdrajcy, i był pełen obaw, że nigdy mu się to nie uda, więc kolejny raz próbował uporządkować myśli. Kiedy się w końcu zmęczył, przywołał obraz Hani w letniej sukience w róże i odpłynął.

Monika była już gotowa do drogi. Stała w kuchni przy oknie i kawą popijała kanapkę. Roman ogolił się i wziął prysznic, ale wciąż wyglądał

źle. Był blady, a pod zapadniętymi oczami pojawiły się sine worki.

– Nie wyspałeś się? – zapytała na jego widok. – Musisz się przebadać, masz pewnie coś z krążeniem. Nie dbasz o siebie i wygląda na to, że będziemy musieli zawlec cię tam siłą.

Zignorował jej słowa

– Skaner naładowany? – zapytał.

Witek skinął głową i wskazał ręką na nieduży futerał obok krzesła.

– Dobrze. – Roman, zadowolony, wziął kanapkę dwoma palcami. – Za kwadrans piąta… Czas na nas.

Ela została w domu.

Najpierw zawieźli Monikę na lotnisko. Witek odczekał, aż sprawnie przejdzie kontrolę bezpieczeństwa, i dopiero kiedy była już po drugiej stronie i dała mu znak, że wszystko jest okej, wrócił do samochodu.

Na Gimnastyczną dojechali w kilka minut.

Warszawa dopiero budziła się do życia, ale centrala AW była jeszcze martwa. Dyżurował tylko wydział szyfrów i ochrona. Krzątały się jedynie sprzątaczki, które do szóstej trzydzieści, nim zaczną się schodzić oficerowie, musiały skończyć pracę.

Było ich piętnaście i każda miała swoje pokoje.

Nie ma na świecie szpiega, który by nie wiedział, że sprzątaczka to jeden z najwartościowszych celów werbunkowych, a sprzątaczka w centrali wywiadowczej – szczególnie. Dlatego były to osoby dobierane według specjalnych kryteriów. Musiały mieć wysoko rozwinięty zmysł obserwacji, dyskrecji i lojalności. Sprzątaczka, która stale obsługuje pokój oficera, czasami wiedziała o nim więcej niż on sam o sobie. Śmieci są zwierciadłem duszy człowieka. Zdarza się, że ktoś zapomni zamknąć szafę albo zostawi na biurku ściśle tajne dokumenty, nie zmyje szklanek.

W każdym WBW każdej służby jest oficer, który nadzoruje tajny wymiar ich pracy.

Z tego systemu wyłączone były w Agencji Wywiadu dwie sprzątaczki, które obsługiwały siódme piętro. Podlegały wyłącznie sekretarkom szefów i to one formalnie wydawały im polecenia. Ale nieformalnie pieczę sprawował pułkownik Roman Leski, który przed laty wybrał je i zatrudnił na piętrze z gabinetami szefów. Wszyscy podejrzewali, że tak jest, ale nikt tego nie wiedział na pewno. Nie wiedzieli też sami szefowie, którym wydawało się, że to oni decydują o losie sprzątaczek, a zatem żadna z nich nie może być nielojalna. Częste zmiany w zatrudnieniu tych kobiet też nie wchodziły w grę, co wymuszała ich dyskretna wiedza o życiu na siódmym piętrze. Każdy zostawia śmieci, czyli ślady.

61

Jagan podszedł pod dom na Breigata 9. Pociągnął za klamkę. Drzwi były zamknięte. Przeskoczył na drugą stronę ulicy i stanął za kolumną arkady, skąd miał widok na cały budynek.

Był to pięciopiętrowy ceglany dom z jednym wejściem od ulicy i sporymi loggiami. Wzdłuż krawężnika stały zaparkowane samochody, w większości stare i zdezelowane. W wielu oknach paliło się światło.

Jagan nie wiedział, na którym piętrze mieszka Ismail, bo w adresie nie było numeru mieszkania, więc musiał dostać się do środka, by to sprawdzić.

Na pewno jest drugie wejście od tylu – pomyślał. A mieszkanie ma okna z przeciwnej strony. Trzeba obejść dom.

Wyszedł spod arkady i od razu natknął się na dwóch Pakistańczyków w czapkach modlitewnych, salwar kamiz i grubych kurtkach zarzuconych na ramiona. Starszy, o ciemnej karnacji, z długą białą brodą, przystanął na moment i spojrzał na obcego z mieszaniną zaskoczenia i niechęci, ale młodszy pociągnął go za rękaw i poszli dalej.

– Rosjanina nie widział, bladź, czy co? – powiedział cicho Jagan i splunął.

Zobaczył, że z lewej strony nadciąga jeszcze kilku mężczyzn z książkami w dłoniach, i przypomniał sobie, że przecież wcześniej minął na tej ulicy meczet. Przeszedł szybko na drugą stronę i stanął kilka metrów

od wejścia do budynku. Liczył, że któryś z mężczyzn będzie wchodził do tej bramy i wtedy uda mu się wślizgnąć za nim. Po chwili jednak okazało się, że wszyscy przeszli dalej.

Postanowił zatem obejść dom. Musiał poznać wszystkie drogi dojścia i ewakuacji, przydatne zakamarki, jak również sprawdzić, czy nie ma w pobliżu posterunku policji. W końcu nie wiedział, kim jest Ismail ani czego się po nim spodziewać. Nie bał się. Tylko dziwnie się czuł, jakby był nagi, bo nie miał broni.

Przeszedł sto metrów do końca ulicy, ale nie natrafił na żadne przejście, więc skręcił w lewo. Po kolejnych stu metrach również nic nie znalazł. Zabudowa była zwarta. Google mówią prawdę – pomyślał. Jedyne pewne wejście było od głównej ulicy Grønlandsleiret. Przyspieszył kroku i dotarł tam w ciągu pół minuty. W Lille Pakistan mimo późnej pory kręciło się kilku śniadych mężczyzn i białych alkoholików. Nie dostrzegł żadnej kobiety. Ze zdziwieniem odnotował, że dzielnica jest czysta i schludna.

Skręcił w lewo i wszedł między budynki. Na końcu drogi była metalowa brama, a za nią podwórko bloku przy Breigata 9. Podszedł bliżej i zobaczył zadrzewiony plac zabaw dla dzieci, ławki, grill, drewniany domek, a wszystko w cieniu, słabo oświetlone. Najważniejsze jednak było to, że domy miały przylegające do siebie loggie. Nic nie mogło go teraz bardziej ucieszyć.

Droga odejścia była wprost idealna. Mógł się łatwo ewakuować nawet z piątego piętra, przebiec podwórko, jednym skokiem przesadzić bramę i po chwili znaleźć się na ruchliwej Grønlandsleiret. Miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał realizować najgorszego wariantu.

Rozejrzał się wokół. W zaułku było pusto i ciemno, więc błyskawicznie pokonał bramę, która zadzwoniła metalicznie, i miękko zeskoczył po drugiej stronie. Wejście do bramy domu pod numerem 9 było w prawym

rogu podwórka. Jagan podszedł do ściany, żeby skryć się w głębszym cieniu, i szybkim krokiem dotarł do drzwi wejściowych. Były otwarte.

Kiedy wszedł, zobaczył zawieszoną po lewej stronie listę lokatorów. Jego wzrok od razu zatrzymał się na samym dole, gdzie pod numerem 12 na czwartym piętrze widniało nazwisko SULEJMANOW ISMAIL. To była bardzo dobra wiadomość, więc Jagan wyjął smartfon i zrobił zdjęcie. Musiał teraz sprawdzić, który to lokal – od ulicy, od podwórka, czy wychodzi na obie strony.

Klatkę schodową wypełniała mieszanina zapachów wschodnich przypraw, grillowanej baraniny, smażonej cebuli i starego oleju.

Wszedł na górę, chociaż była winda. Gdyby przyszło mu się wycofywać, musiałby użyć schodów, takie są zasady. Na każdym piętrze były po trzy mieszkania, a na drzwiach tabliczki z nazwiskiem lokatora przymocowane do skrzynek pocztowych. Takie same Jagan widział w Szwecji i wiedział, że jak się którąś z nich uchyli, to można zajrzeć i posłuchać, co się dzieje w środku. Na tabliczkach widniały różne nazwiska, które Jaganowi nic nie mówiły, bo nie potrafił odróżnić norweskich od pakistańskich. Ale trzy nazwiska miały znajomą końcówkę „ski”.

Ismail Sulejmanow mieszkał na ostatnim piętrze po prawej stronie, co oznaczało, że jego okna wychodzą na podwórko. To była kolejna bardzo dobra wiadomość.

Jagan przez chwilę stał przy windzie i nasłuchiwał. Na klatce schodowej i na piętrze panowała głucha cisza. Zbliżył się do drzwi i przyłożył ucho. Nic nie słyszał. Wyjął nóż stołowy, przykucnął i delikatnie, powoli, najciszej jak potrafił, uchylił klapkę na listy. Wewnątrz paliło się przytłumione światło i słychać było jakby głos z telewizora. Obejrzał podłogę przy drzwiach i wycieraczkę. Stały na niej dwie pary męskich

butów, sportowych i wyjściowych. Zajrzał głębiej w bok. Nie dostrzegł żadnych butów kobiecych ani dziecięcych.

To była zła wiadomość. Powoli cofnął nóż i zamknął klapkę.

Po chwili był już na ulicy Breigata. Odszedł kilkadziesiąt metrów i wyjął telefon.

– Wygląda na to, że ich tam nie ma – powiedział, kiedy tylko Dunin odebrał.

– Pewny jesteś?

– Nie jestem. To po wstępnym rozpoznaniu. Jest już późno. – Jagan był spokojny. – Trzeba jutro potwierdzić, sprawdzić jeszcze raz, zweryfikować. Zacznę z samego rana i dam znać.

– Kurwa mać! To mi mocno komplikuje sprawę. Mamy mało czasu – rzucił trochę niewyraźnie Dunin i Jagan od razu się zorientował, że jest pijany. – Ich tam może nie być… Zakładałem to przecież… Musisz ich odnaleźć.

– No… tak – odparł Jagan.

– Ale on musi wiedzieć, gdzie są. Dlatego przecież posłałem tam ciebie, Andriusza, czyż nie? – Dunin mówił nerwowo, bełkotliwie. – Weź to załatw, bo klient się niecierpliwi. – Kurwa mać… Musisz ich znaleźć, inaczej utoniemy.

– Dobrze – rzucił Jagan, ale Dunin już się wyłączył.

Jagan się zorientował, że ta robota w Oslo wcale nie musi być taka prosta i bezpieczna, jak mu się na początku wydawało. Miał coraz więcej podejrzeń, że Dunin o czymś mu nie powiedział. I to musiało być coś bardzo ważnego, bo od pułkownika na kilometr czuć było fałszem. Jagan, odkąd wyszedł ze szpitala, miał kłopoty z pamięcią, wzrokiem i słuchem, ale nie dawał się już tak łatwo nabierać, bo umysł mu się wyostrzył.

I jak tu, kurwa, wierzyć tym szpiegom? – pomyślał z refleksją i splunął. Zawsze to samo, bladź jedna. Kręcą nieustannie. Prawdę powiedzą, jak się pomylą. Myślą, że jak chorąży, to zaraz tuman jakiś, czy co?

Szedł energicznie przed siebie ciemną ulicą. Nie wiedział, dokąd idzie ani która jest godzina. Kiedyś nie potrzebował zegarka ani mapy, ale teraz ciągle zerkał na telefon. Była dwudziesta trzecia czterdzieści osiem.

Jagan stał na pustej ulicy przed niedoświetlonym i kiedyś zielonym szyldem Café Viking zawieszonym na domu przypominającym garaż w Aleksandrowce. W środku paliło się blade światło i widać było jakieś cienie. Poczuł swojski podmoskiewski klimat i postanowił się napić. Wprawdzie już się uspokoił, a podejrzenia w stosunku do Dunina osłabły, ale stakańczyk wódki na koniec dnia powinien dobrze zrobić – pomyślał z nadzieją i wszedł do środka, czemu towarzyszył dźwięk dzwoneczka nad drzwiami.

Wewnątrz było siwo od dymu, cuchnęło moczopiwem, paliło się białe światło nad barem i czerwone nad toaletą. Potrzebował chwili, by przyzwyczaić wzrok. Dostrzegł dwóch mężczyzn w rogu sali pochylonych nad butelką, kobietę śpiącą na krześle w drugim rogu i odwróconego plecami mężczyznę przy barze. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na niego, choć Jagan kroczył przez środek lokalu prosto do baru.

Siwy barman po sześćdziesiątce, z tłustymi włosami zaczesanymi do tyłu, najwyraźniej zajęty rozmową z mężczyzną obok, tylko spojrzał na przybysza z niechęcią, jakby ten mu przeszkadzał.

– *Wodka!* – rzucił Jagan i pokazał dwoma palcami pięciocentymetrowy rozmiar.

Barman jakby od niechcenia skinął głową, sprawnymi ruchami odmierzył dwie setki wódki, wlał do szklanki i pchnął ją w kierunku Jagana. Mężczyzna przy barze spojrzał dyskretnie na szklankę i miękko

przeniósł wzrok na nowego klienta. Uśmiechnął się do barmana i coś wyszeptał. Siedział na stołku, zgarbiony i oparty o bufet, ale nic nie pił. Ubrany był w czarną luźną skórzaną kurtkę, ale Jagan od razu zauważył, że na wysokości biodra odstaje mu kant kolby.

Policjant – pomyślał. To mam fart!

Wychylił wódkę i podał barmanowi pięciusetkoronowy banknot. Dostał resztę, ale nie sprawdził ile, tylko wcisnął do kieszeni, obrócił się w miejscu i ruszył w kierunku wyjścia.

Od razu znalazł odpowiednie miejsce. Nieczynny kiosk z grillem wydawał się idealną kryjówką. Kilka metrów od lokalu, a przed samochodami zaparkowanymi przy krawężniku. Na ulicy było pusto.

Jeśli nie będzie się głupio stawiał i wszystko dobrze pójdzie, to będę miał pistolet, a nie jakiś nóż kuchenny – pomyślał z satysfakcją i poczuł, jak wódka miło miesza mu w głowie.

62

Obudził go krzyk taliba prosto do ucha i szturchanie lufami automatów, ale zanim zdążył w czymkolwiek się połapać, nagle zapadła ciemność. Założyli mu worek na głowę.

Czuł ostry ból w barkach i mocno skrępowanych dłoniach. Otaczały go podniesione głosy talibów. Po chwili ktoś chwycił go za ramię i jednocześnie szarpnął za kołnierz. Henryk próbował najpierw usiąść, ale pociągnięty w bok upadł na plecy. W końcu klęknął i powoli stanął na nogach.

– Co się dzieje, Henry? – usłyszał wystraszony głos Olivera. – Co oni robią?

– Wszystko w porządku, chłopcze – odparł tak spokojnie, jak tylko potrafił. – Nie stawiaj oporu i rób, co każą.

– Zabiją nas teraz?

– Nie – odezwał się Jürgen. – Chcą nas tylko nastraszyć.

– Okej.

– Idź – warknął po angielsku talib.

Henryk poczuł pchnięcie w plecy i ucisk dłoni na karku. Wychodząc, uderzył głową we framugę.

Na zewnątrz było zimno. Wydawało mu się, że Jürgen idzie tuż za nim, czuł jego ciężki oddech.

– Jesteś tam? – zapytał po rosyjsku.

– Tak – odparł Jürgen. – Przenoszą nas w nowe miejsce?

– Chyba tak.

Henryk wcale tak nie myślał, chciał tylko uspokoić Jürgena. Miał wrażenie, że za chwilę stanie się coś złego. Czuł narastający niepokój, choć jeszcze nie strach. Drżały mu nogi. Nie bał się o siebie, myślał o Oliverze, lecz nie wiedział, jak mógłby go pocieszyć.

Nagle poczuł szarpnięcie za ramię. Zatrzymali się.

– Jak się czujesz, Oliver? – zapytał spokojnie po angielsku.

– Bolą mnie ręce… – usłyszał z odległości kilku metrów – prawie ich nie czuję. Boję się, Henry.

– Nie ma czego, chłopcze. Przenoszą nas w nowe miejsce, więc to normalne, że zakrywają nam twarze.

– Jasne! – włączył się Jürgen, który stał tuż obok. – Nie ma czego się bać.

– Znów się zmoczyłem.

Na dźwięk cichego, smutnego głosu Olivera ścisnęło Henryka w gardle. Chłopak był przerażony.

– Spokojnie – rzucił twardo Jürgen. – Masz chory pęcherz od leżenia na ziemi, ja też.

Wokół coś się działo. Słychać było głosy kilku talibów i uderzenia jakichś przedmiotów. Henryk nie potrafił uporządkować tych dźwięków. Przez chwilę sądził, że talibowie zwijają obóz.

Cały czas drżały mu nogi i co kilkanaście sekund jakby promieniowały falami dreszczy na całe ciało. Nie dopuszczał do siebie myśli, że to może być strach, więc zrzucał winę na zimno. Ale wiedział, że to strach ciemności i że talibowie też muszą to widzieć. I chociaż nikt go już nie trzymał, słyszał ich głosy wokół siebie i niemal czuł ciepło, kiedy przechodzili obok. Wydawało mu się, jakby stał przed nimi nagi,

skrępowany, bezbronny, przerażony, z czarnym kapturem na głowie, i nagle uzmysłowił sobie, że już gdzieś taką scenę widział, zapisała mu się w zakamarkach podświadomości.

– Co z tobą, Oliver? – zapytał, ale odpowiedziało mu milczenie. – Oliver? – powtórzył głośniej. – Oliver! – krzyknął.

– Henry? – doleciało z oddali.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął jeszcze raz i poczuł silne uderzenie czymś twardym w brzuch.

Usłyszał wypowiadany łamaną angielszczyzną nakaz, żeby się zamknął, i dopiero po chwili głos Olivera:

– Nie wiem.

Wokół wciąż trwała krzątanina, talibowie rozmawiali w urdu. Nagle Henryk poczuł, że znów ktoś chwycił go mocno za kark i pchnął do przodu. Odniósł wrażenie, że to samo dzieje się z Jürgenem. Przeszedł może dwadzieścia metrów, gdy talib kazał mu się zatrzymać.

– Siadaj – rzucił.

Henryk usiadł na ziemi. Rękami wyczuł gruby dywan.

– Jesteś tu? – zapytał.

– Jestem – odparł Jürgen. – Co oni kombinują?

– Nie wiem. Zabrali gdzieś Olivera.

– Jestem tutaj – odezwał się Anglik całkiem blisko.

– Uff… dobrze… – nie wytrzymał Henryk. – Trzymaj się, młody, będzie dobrze.

Nagle usłyszeli znajomy głos. Tygrys mówił po arabsku, jakby wygłaszał jakieś emocjonalne przemówienie. Unosił głos, obniżał, robił przerwy, przyspieszał i zwalniał. Trwało to może trzy minuty i w pewnej chwili Henryk zrozumiał, co się dzieje. Świat nagle się zatrzymał, a on siłą bezwładności uniósł się w powietrze i poczuł mdłości.

– *Allah akbar!* – Mowa dobiegła końca.

Ktoś gwałtownie zerwał mu kaptur.

Była noc. Siedział na niewysokim podeście w świetle reflektorów. Obok niego klęczał Jürgen. Przed nimi, w odległości kilku metrów, bokiem do nich siedział skrępowany Oliver, wciąż z czarnym workiem na głowie. Za nim na tle flagi ISIS stało dwóch talibów w nowych salwar kamiz, z automatami na piersi i w kominiarkach. Po prawej dostrzegł kamerę na statywie.

Wiedział, co się zaraz stanie. Kątem oka spojrzał na bladego Jürgena, który zacisnął powieki. Za kamerą stał Tygrys.

Byli na scenie śmierci. Wszystko starannie wyreżyserowane. Noc, światło, talibowie stojący nieruchomo jak posągi, biało-czarna flaga i oni dwaj jako świadkowie. Nagle z głośników zabrzmiał po arabsku męski chór a cappella.

Henryk też zamknął oczy. Wiedział, że Oliver za chwilę zginie, choć on sam jeszcze o tym nie wie. Poczuł w sobie przerażającą pustkę i bezsilność, żadnego strachu ani żalu. Nie myślał o rodzinie, nie wspominał dzieciństwa, nie myślał też o śmierci czy Bogu. Było mu obojętne, że niewinny chłopak umrze na oczach całego świata, a on będzie następny. Że różni dewianci będą się podniecać tym widokiem i udostępniać go innym, nie bacząc na majestat śmierci i rozpacz rodziny.

Otworzył oczy. Zobaczył, że Oliver niespokojnie kręci głową, jak ślepiec, który się boi, bo wyczuwa niebezpieczeństwo, ale nie wie, skąd może ono nadejść. Strasznemu obrazowi towarzyszył przerażający, niezrozumiały śpiew. Dopiero teraz Henryk poczuł, jak bardzo jest mu żal młodego życia, które zaraz się skończy.

W tym momencie zza rozpostartej wielkiej flagi wyszedł Kazuo. W prawej ręce trzymał połyskujący miecz, długi i cienki. Był zupełnie

spokojny. Ubrany w świeży salwar kamis, uczesany i ogolony, wyglądał jak aktor, który za chwilę będzie deklamował swoją rolę.

Dopiero teraz dotarło do Henryka, jak okrutny los zgotował im Tygrys. Za przejście na islam i obietnicę życia Kazuo zabije niewiernych… chrześcijan. To miał być teatr śmierci, jakiego jeszcze nie było, poniżenie łacińskiego Zachodu i buddyjskiego Wschodu. Objawienie wyższości islamu. Tygrys wiedział, że tę scenę obejrzy cały świat i poruszy ona wszystkich, ale najważniejsze, że da satysfakcję cierpiącym w imię Allaha. Potężny głos chóru odbijał się od gór i ginął w ciemnej nocy.

Japończyk zbliżył się od tyłu do Olivera i stanął między dwoma talibami. Spojrzał przed siebie, na Tygrysa, razem z resztą bojowników obserwującego scenę spoza kamery. Nie patrzył na Henryka ani Jürgena. Z opuszczonym mieczem w dłoni, wyprostowany i z podniesioną głową, czekał na sygnał.

Tygrys skinął głową. Kazuo pochylił się, wyciągnął lewą rękę i chwycił za czubek worka. Na chwilę się zatrzymał, spojrzał w prawo na Henryka, delikatnie uśmiechnął się i szarpnął.

Ukazała się zdezorientowana twarz Olivera, który zaskoczony zmrużył oczy od światła reflektorów. Kazuo cofnął się dwa kroki, jakby robił miejsce do zadania ciosu. Chwycił miecz oburącz, uniósł powoli wysoko nad głowę po prawym skosie i zrobił delikatny obrót w lewo. Henryk miał już zamknąć oczy, gdy nagle usłyszał rozdzierający krzyk Kazuo i zobaczył, jak miecz jednym cięciem ścina głowę stojącego obok taliba, błyskawicznie obraca się w prawo i wbija w pierś drugiego. Fontanny krwi zalały Olivera, który nawet nie zdążył się odwrócić i zobaczyć, co się stało.

W tej samej chwili męski chór zagłuszyła kanonada wystrzałów i nim Henryk padł na ziemię, zobaczył, jak grad kul rozszarpuje ciała Kazuo i Olivera.

63

Wiera otworzyła drzwi, kiedy Dima uniósł rękę, by znów nacisnąć dzwonek. Od razu zauważył, że jest zdenerwowana. Zrobiła ruch głową, który oznaczał, że nie jest sama.

Wszedł do przedpokoju i zobaczył, że w salonie siedzi Dunin: rozparty w fotelu, z nogą założoną na kolano, trzymał w dłoni szklankę z przezroczystym płynem i uśmiechając się ironicznie, spoglądał na przybysza.

– Napijesz się, Greku? – zapytał, unosząc szklankę. – Trzeba pogadać, nie?

– Miałeś być…

– Przyszedłem wcześniej – przerwał mu. – Chyba nie popsułem ci planów?

– Nie…

– Wierka! – krzyknął do byłej żony, która zniknęła w kuchni. – Daj Grekowi szklankę.

Dima usiadł w fotelu naprzeciwko. Dunin wciąż się uśmiechał, ale teraz Dimie wydawało się, że z jego twarzy znikła zwykła ironia i zastąpiła ją satysfakcja, jak u gracza, który chce zablefować, że ma pokera. Sprawiał wrażenie, jakby już wiedział, że może wypełnić swoje zobowiązanie, i oczekiwał teraz na ruch Dimy.

Wiera postawiła na stole kryształową szklankę i półmisek z wędlinami. Po chwili doniosła jeszcze jeden półmisek, z sałatką z pomidorów, rozstawiła talerzyki, sztućce i szklanki. I znów zniknęła w kuchni.

Dunin wyciągnął zza fotela wielką, dwuipółlitrową butelkę smirnoffa i napełnił do połowy szklankę Dimy.

– Ogórki, Wierka! – krzyknął. – Byłeś na spacerku? – zapytał. – Gdzie?

– Tu i tam… – odparł krótko Dima. – To ty podesłałeś mi tego prowokatora w hotelu? Po co? Chciałeś mnie nastraszyć?

– Nic nie wiem – odparł Dunin, ale nie zabrzmiało to przekonująco. – Jakiego prowokatora? Coś ci się popartoliło, Greku… No to zdrowie! – Uniósł szklankę. – No, gdzie te ogórki, Wiera?! – ryknął w chwili, gdy wchodziła do salonu, niosąc dużą miskę.

– Nie drzyj się – odparła hardo i usiadła na kanapie. – Nie jesteś u siebie.

– Nie napijesz się z nami? – zapytał.

– Nie.

– Jak chcesz. – Wydął usta. – To gdzie chodziłeś? – znów zwrócił się do Dimy. – Na zdrowie! – Wychylił całą zawartość i zagryzł ogórkiem. – Ogórek, król zakąsek – rzucił przez zaciśnięte gardło.

Dima wypił z opóźnieniem i też zakąsił ogórkiem. Spojrzał na Wierę, która siedziała wpatrzona posępnie w pustą przestrzeń. Miał nieodparte wrażenie, że przed jego przyjściem musiało między nimi coś zajść. Nie mógł też wykluczyć, że nakłada się na to jeszcze jego urażona męska duma albo nawet zazdrość. A może nienawiść, za Sieriożę… Dima nie znał Dunina, ale przypomniał sobie obraz, jaki wyłaniał się z opowiadań Wiery, i zrozumiał, że może być trudniej, niż się spodziewał.

Dlaczego przyszedł wcześniej? – dotarło do niego niespodziewanie. Chciał pomówić z Wierą? Wiedział, że mnie nie ma? Śledzi mnie? Jak?

– To gdzie byłeś? – dopytywał się Dunin. – To chyba nie jest tajemnica?

– Nie… ale dlaczego tak cię to interesuje? – Dima od razu pomyślał, że chce go sprawdzić. – Byłem na Patriarszych Prudach…

– Tak lubisz Bułhakowa? – przerwał mu Dunin z wyraźnym niesmakiem. – Co takiego ci wszyscy obcokrajowcy w nim widzą? Nie rozumiem.

– Jakbyś przeczytał Orwella, tobyś zrozumiał – odparł Dima.

Dunin nie zareagował. Spojrzał tylko na Wierę, która wyraźnie unikała jego wzroku.

– No dobrze… W takim razie wypijemy jeszcze po jednym i przejdziemy do interesów.

Nalał wódki do szklanek i nałożył sobie na talerzyk wędlin oraz górę pociętych w ćwiartki pomidorów z cebulką. Jakby się uspokoił.

Dima nie wątpił, że musiał go śledzić i dlatego tak się dopytywał, gdzie był. Przed rozpoczęciem rozmowy Dunin chciał się upewnić, czy on mówi prawdę, a cała sprawa nie jest prowokacją. Sam postąpiłby podobnie.

Zastanawiał się jednak, jak to możliwe, że nie wykrył obserwacji. Kilkakrotnie się sprawdził, i to bardzo ostro, ale nic nie zauważył. Mógł tak zrobić, bo nie wykonywał żadnych czynności operacyjnych. Dunin musiałby ustalić, że był w hotelu, odebrał kopertę z recepcji i pojechał na Dworzec Białoruski. Dowiedziałby się też, że wyjął coś ze skrytki bagażowej.

– No to na zdrowie – zarządził Dunin. – Jak to jest po grecku?

– *Stin ygeia mas.*

– Może być.

Wiera wyciągnęła papierosa i zapaliła. To nie było normalne, bo paliła tylko rano do kawy. Dima był już pewny, że coś poważnego musiało zajść przed jego przyjściem i że to on musiał być tego powodem. To jednak byłby

też dobry znak – pomyślał – bo to by oznaczało, że Wiera nie jest wspólniczką Dunina.

Wypili wódkę. Dunin przełknął ją jak wodę, ale Dimie weszła z trudem.

– Zjedz coś, bo się upijesz. – Wiera bez pytania nałożyła mu na talerz potężną porcję.

– No więc… – zaczął Dima i wziął widelec.

– Sprawa zostanie załatwiona w ciągu maksimum dwóch dni. Anglik będzie wolny, ale najpierw kasa. – Dunin nie patrzył Dimie w oczy, tylko dziobał widelcem talerz, jakby nie mógł się zdecydować, co wziąć. – Kto będzie wypłacał? Ty?

– Tak, ja – odparł Dima. – Tutaj, w Moskwie.

– Musisz wiedzieć, że już uruchomiłem swoich ludzi i tej maszyny nie da się zatrzymać. Mamy koszty i trzeba będzie je pokryć. Najważniejsze jednak jest… i żebyś miał tego pełną świadomość… że z tej sprawy nie można się już wycofać. To jest najwyższy koszt. Rozumiesz?

Dunin wciąż grzebał w talerzu, ale jego słowa brzmiały pewnie, nawet groźnie. Dima znał ten ton rosyjskich gangsterów.

– Rozumiem.

– No, nie wiem – Dunin podniósł głowę – czy na pewno rozumiesz. Ale wyjaśnię ci to prosto. Nie wchodzi w grę, żeby rodzina wycofała się teraz. Jak wiem, jest dwóch pośredników, a w takich sytuacjach ktoś może chcieć coś zakręcić albo zabawić się w głuchy telefon. To też nie wchodzi w grę. W chwili gdy powiem, że Anglik będzie wolny, otwierasz walizkę i dajesz mi forsę. Rozumiesz już, jak to działa?

– Rozumiem. – Dima zjadł po kawałku szynki i pasztetu, ale z trudem je przełknął.

– Chyba jednak nie do końca. – Dunin spojrzał na niego zimnym wzrokiem jak kat na ofiarę. – Nie wyjedziesz stąd, jeżeli sprawa nie

zostanie załatwiona. Od dzisiaj jesteś moim wekslem. Wolę takie bardziej biznesowe określenie niż jakieś paskudne, bandyckie. Wiesz o mnie, o Wierce, a ta wiedza nie może ot tak sobie wyjechać z Moskwy do Aten czy Londynu. Wyjedziesz stąd tylko wtedy, kiedy sprawa będzie załatwiona. A będzie może nawet jutro. Rozumiesz teraz?

Dima skinął głową.

– To się staraj. No… możemy się w końcu napić jak prawdziwi partnerzy w biznesie. – Dunin nagle zmienił ton i puścił do Dimy oko.

Dima znał te metody i nie był zaskoczony. Dunin nie musiał nic mówić, by Dima wiedział, że będzie jego zakładnikiem. Dlatego był usatysfakcjonowany sprawnością swojej intuicji. Poczuł miły ucisk za paskiem na plecach i absurdalność swoich wątpliwości względem Tamary. Ten kompozytowy pistolet bez oznaczeń był teraz jego jedynym kluczem do drzwi wyjściowych.

Wiedział też, że Dunin podbija stawkę i straszy na wyrost. Zagrożenie z jego strony jest jak najbardziej realne, ale na pewno nie aż takie, jakie stara się sztucznie stworzyć. I to był jego słaby punkt, bo Dima gra va banque i nie ma żadnego miliona funtów, Dunin zaś blefuje, budując atmosferę tajemniczości i siły struktury, która rzekomo za nim stoi. Ma najwyżej dwóch wspólników i Wiera do nich nie należy, ocenił Dima. Dla miliona funtów nikt wyżej postawiony nie ryzykowałby głowy, a Dunin jest zbyt chciwy, by dzielić się taką sumą. Im mniej ludzi, tym mniejsze ryzyko.

Dlatego z pewnością nie wysłał za mną profesjonalnej obserwacji. To musiał być bikon – pomyślał Dima z przekonaniem. Dopiero teraz do niego dotarło, że transmiter mógł mu podrzucić hotelowy prowokator. Czyli wie, gdzie chodziłem, ale nie wie, co robiłem.

Wypili trzecią szklankę wódki. Dunin nareszcie zaczął jeść. Dima poczuł, że alkohol zaczyna go powoli rozkładać, więc też wziął się do

jedzenia. Wiera z podciągniętymi nogami siedziała na kanapie i obserwowała ich uważnie. Nie odzywała się ani nie jadła. Zapadła cisza, przerywana stukaniem sztućców o talerze.

– Co robisz w tej Syrii? – zapytał Dima.

– Powiedziałaś mu? – Dunin zwrócił się do Wiery.

– Ja też muszę wiedzieć, z kim robię biznes – rzucił szybko Dima. – Nie przeszkadza mi to, a nawet uznałem, że cię uwiarygadnia. Dlatego za radą Wiery wybrałem właśnie ciebie, chociaż mam w Moskwie też inne kontakty.

– W porządku – odparł pojednawczo Dunin. – To mi się nawet podoba. Jesteś w porządku, Greku. Wypijemy?

Wlał po raz czwarty po pół szklaneczki i od razu wypił, zakąszając ogórkiem. Dima chwilę się ociągał, ale ponaglony pytającym spojrzeniem Dunina poszedł w jego ślady.

– Chcesz wiedzieć, co robię w Syrii? Powiem ci. – Dunin miał już zamglony wzrok, ale mówił sprawnie. – Rozwalamy tę waszą Unię Europejską. Wy rozwaliliście nam ZSRR, to my wam teraz rozpierdolimy ten wasz związek, a potem sami już się zagryziecie. Jak zresztą zawsze… Bo rosyjski wywiad jest najlepszy na świecie. Zrzucamy na was najpotężniejsze bomby, przed którymi nie można się ukryć. – Dunin uniósł palec wskazujący, jakby chciał podkreślić wyjątkowe znaczenie swojej metafory.

– Jakie znowu bomby? – odezwała się Wiera. – Nie pij, Oleg, bo już bredzisz.

– Ty, Wieroczka, nie wpierdalaj się do wojny i polityki. Nie wiesz, jak jest, to się zamknij! – Dunin był chamski, chociaż jemu się wydawało, że jest rubaszny.

Wiera nie zareagowała, spojrzała tylko na Dimę, a on zrozumiał, że ma nie reagować i nie podgrzewać atmosfery. Tak jak się wcześniej umawiali.

Dima dobrze wiedział, jaki styl rozmowy ma po alkoholu pułkownik Oleg Dunin, i był na to przygotowany. Mimo to miał ochotę strzelić go w pysk. Patrzył na jego czerwoną twarz i obiecał sobie, że jeżeli wszystko się dobrze ułoży, zrobi to jako bonus dla Wiery.

– To bomba demograficzna! – Dunin znów uniósł palec i się roześmiał. – A właściwie imigracyjna. Póki był Kaddafi, Saddam… to powstrzymywali napór biedoty z przeludnionego Południa. A jak CIA ich wyeliminowała, bo chciała ropy, to przy okazji otworzyła nam front. Wojna w Syrii, Państwo Islamskie… i rozkręciliśmy falę migracyjną na Europę jak się patrzy. Internet zalały sceny mordów, palenia, ścinania, topienia, miażdżenia, wysadzania mężczyzn, kobiet, dzieci i obudziły się w Europie demony nienawiści… a internet to wynalazek Zachodu, smartfony Windows, Sony, Apple… ani śladu Mahometa. Podlało się to kilkoma zamachami terrorystycznymi, wsparło robotą naszej agentury… i Europa pękła jak orzeszek. Równiutko! –Uśmiechnął się. – No i zdarzają się na tej wojnie takie sytuacje jak z tymi waszymi uprowadzonymi w Afganistanie, chociaż… – Przerwał na chwilę, jakby chciał się nad czymś zastanowić. – To są nieduże koszty… ofiary tej wojny, jakie ponosimy. We współczesnej wojnie to muzułmanie mordują się między sobą, ale to jest nasza wojna, to my zwyciężamy albo przegrywamy. Koszt nie jest duży, już nie trzeba nacierać dywizjami czołgów. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej i zmrużył mętne już oczy. – Głupi ci muzułmanie, nic nie rozumieją z tego swojego Koranu. To my lepiej wiemy, jak go czytać, a przynajmniej wyciągać wnioski i czerpać korzyści. Ale nie martw się, Greku… Wojna to… Wiesz, co to wojna? To przyjemność bezkarnego mordowania ludzi… ale głównie

biznes, i właśnie dlatego ocalimy tego twojego Anglika. Wszyscy na tym skorzystamy. – Wyciągnął rękę. – No!

Miał mocną, kościstą i spoconą dłoń. Pomyślał, że poci mu się pewnie wtedy, kiedy myśli o swojej pracy, jakby go podniecało, że uczestniczy w podboju świata i ma wpływ na historię ludzkości. Dima odnosił wrażenie, że Dunin jest w transie albo za dużo wypił. A mimo to Rosjanin mówił z sensem i nie były to alkoholowe zwidy jakiegoś sierżanta, tylko wykład pułkownika GRU o wojnie, więc Dima brał to poważnie.

– No! – powtórzył i puścił dłoń Dimy. – To co, Greku? Nalej! – zarządził i dodał: – Nie jesteś zbyt rozmowny.

– Słucham, co mówisz. To ciekawe, ale upraszczasz… – Urwał w pół zdania, bo przypomniał sobie, co radziła Wiera: żeby nie prowokować Dunina po alkoholu.

– Co ty tam możesz wiedzieć! Jesteście naiwni jak dzieci, lewactwo i pedalstwo w tej Europie… Ale tobie… tobie się dziwię, bo przecież długo mieszkałeś w Rosji. – Uniósł szklaneczkę, czekając na wciąż opóźniającego się Dimę.

– Miałem swój pogląd na te sprawy, ale dzisiaj mało mnie to już obchodzi. Nie oglądam telewizji i nie używam Facebooka. Mam to w…

– W dupie! Chciałeś powiedzieć „w dupie” – dokończył Dunin, już lekko bełkocząc. – Właśnie dlatego, że ciągle coś tam sobie wpychacie, przegrywacie z nami, bo…

W jego kieszeni zamruczał telefon. Dunin wyjął go z trudem i spojrzał na ekran. Podniósł się energicznie, lekko zachwiał i wyszedł do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

– Śledzi cię – wyszeptała Wiera i zerknęła w tamtą stronę. – Wie, że masz pieniądze…

– Pieniądze? – zapytał ze zdziwieniem.

– Odebrałeś na dworcu.

Dima zrozumiał, co się dzieje. Wszystko ułożyło się niespodziewanie w logiczną całość. Wiedział już, dlaczego nie wykrył obserwacji. Bo jej po prostu nie było.

Podłożyli mu bikon. Stąd przedstawienie z prowokatorem, by mogli się zbliżyć i wsunąć mu transmiter do kieszeni. Dlatego Dunin wiedział, że pojechał z Wierą do jej mieszkania i był tam, kiedy dzwonił. Dima odruchowo włożył rękę do bocznej kieszeni marynarki, ale nic nie znalazł.

Ustalili potem, że pojechał na Dworzec Białoruski. Przechowalnie bagażu zawsze są pod kontrolą kamer, więc bez trudu mogli zobaczyć, że odebrał ze skrytki torbę, którą wzięli za pakiet z pieniędzmi. Rzekoma ryza papieru musiała ich nieźle zmylić.

Zrobił prawie dwugodzinny spacer do Patriarszych Prudów i gdzieś ukrył kasę, bo dobrze zna ten rejon. Do Wiery wrócił tylko z zakupami. Nie było obserwacji pieszej, więc nie byli w stanie zlokalizować schowka.

Taki powstał obraz i Dima nie miał już najmniejszych wątpliwości, że taką właśnie wizję wydarzeń tego dnia ma Dunin. To wiele wyjaśnia – pomyślał i uśmiechnął się do Wiery, która była jeszcze bardziej zaskoczona.

– To prawda? – zapytała cicho. – Dlaczego mi nie powiedziałeś? – Zdziwiona rozłożyła ręce. – Widzisz, jaki jest teraz napompowany. Poczuł krew.

– W porządku, Wierka. Zaufaj mi. Wszystko jest pod kontrolą – odparł szeptem i pokiwał głową.

Otworzyły się drzwi do kuchni. Wiera i Dima odwrócili głowy i zobaczyli Dunina, który z zaciętą miną wkroczył do salonu. Od razu było widać, że dostał złe wiadomości. W milczeniu przeszedł obok i opadł ciężko na fotel. Nie czekając na Dimę, wypił wódkę, która stała już w szklaneczkach.

Dopiero po chwili się zorientował, że Wiera i Dima przyglądają mu się z uwagą.

– Coś się stało? – zapytała nieśmiało Wiera, ale on nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się oschle i spojrzał podejrzliwie na Dimę.

– Pokaż mi swój paszport.

– Po co?

– Pokaż! – Wyciągnął rękę. – Chcę się upewnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz. – Dunin miał już kłopoty z mową, ale zdania składał logicznie. – Ukrywasz coś? Partnerzy w biznesie tak nie postępują.

– Potrzebny ci do tego mój paszport? – próbował się bronić Dima, bo poczuł, że pojawiło się jakieś nowe zagrożenie, którego nie znał, albo Dunin po prostu zaczyna odpływać i bredzi. Nie mógł mu ulec w pozornie błahej sprawie. – Nie rób ze mnie idioty, pułkowniku! Kombinujesz coś, ale sam jeszcze nie wiesz co. Rozumiem, że dostałeś wiadomość, która cię wkurwiła, i próbujesz teraz załatać jakąś dziurę w swoim planie. Ale w biznesie… szczególnie takim jak ten nasz, nic nie wygrasz, stosując syryjskie metody GRU.

Dunin znowu się uśmiechnął i wyglądało na to, że szczerze, chociaż oczy miał już mocno zatopione w alkoholu.

– Albo działamy razem, albo się rozchodzimy. Decyduj, Oleg! Teraz! – Dima postawił sprawę jasno, bo nie mógł pozwolić, by Dunin dyktował mu warunki. Wtedy misja zapewne zakończyłaby się porażką i zniknęłaby ostatnia szansa na uratowanie majora Olewskiego.

– To nie takie proste, Greku, jak ci się wydaje.

Dunin wstał i zdjął marynarkę. Rzucił ją niedbale na kanapę obok Wiery i kiedy się odwrócił, Dima zobaczył, że ma za pasem pistolet. To był tylko wstęp do tego, co Dunin chciał mu powiedzieć, i Dima, rzecz jasna, zrozumiał ten banalny w swojej wymowie przekaz. Wsunął rękę pod

marynarkę i delikatnie sprawdził, czy jego kompozytowy pistolet jest na miejscu.

64

Jagan włożył rękawiczki, naciągnął na głowę kaptur i skrył się w cieniu pod zadaszeniem kiosku. Wódka działała rozluźniająco, a świadomość, że za chwilę będzie miał pistolet, wyzwalała w nim radość. Wydawało mu się, że nóż stołowy, który musiał ukraść z hostelu, pali go w kieszeni, jakby był rozżarzony do czerwoności. On, właściciel kizlyara z dedykacją Putina, musiał wziąć do ręki zwykły stalowy nóż. Dla żołnierza specnazu to gorzej niż śmierć w hańbie – pomyślał i splunął przez zęby. Wolałby już walczyć gołymi rękami.

Wyjął niegodny przedmiot z kieszeni i mocnym zamachem cisnął go w ciemną toń. Kiedy usłyszał metaliczny brzęk, poczuł ulgę, ale jednocześnie przemknęło mu przez myśl, że może jednak powinien był zwrócić nóż do bufetu.

– Aaa tam… – powiedział na głos i machnął ręką, bo akurat usłyszał dzwoneczek.

Otworzyły się drzwi i wyszedł mężczyzna, którego zauważył wcześniej w rogu sali. Rozejrzał się, zapalił papierosa i powoli zszedł po schodkach na ulicę. Skręcił w lewo, prosto w stronę kiosku. Jagan wstrzymał oddech i przywarł plecami do ściany, jakby chciał się w nią wtopić. Nieznajomy, paląc, przeszedł spokojnym krokiem tuż obok. Najwyraźniej nie zauważył człowieka w kapturze i równym krokiem oddalił się w głąb pustej ulicy.

Minęła minuta, gdy znów odezwał się dzwoneczek przy drzwiach. Tym razem ukazał się policjant, który siedział przy barze. Zatrzymał się jednak na schodkach i ukrył za framugą tak, że był niewidoczny z boku. Ostrożnie się wychylił i popatrzył za mężczyzną, który wyszedł wcześniej.

Jagan od razu zrozumiał, że policjant śledzi tego człowieka. To dobry znak, bo też będzie musiał przejść obok kiosku – pomyślał natychmiast, ale sytuacja go rozbawiła. Ściągnął kominiarkę na twarz.

Po chwili wahania policjant zszedł ze schodków i skierował się w lewo. Do kiosku miał kilkanaście metrów. Powinien iść środkiem chodnika, ale zbliżył się do jezdni, gdzie stały zaparkowane samochody i gdzie było ciemniej. W ten sposób znikał z pola widzenia kogoś, kto jeszcze mógłby wyjść z lokalu.

Obszedł kiosk z drugiej strony. Jagan ucieszył się z tego manewru. Przesunął się metr w prawo do rogu, wypuścił powietrze, wstrzymał oddech i gdy tylko policjant wyszedł zza kiosku – błyskawicznie założył mu od tyłu krawat i ścisnął. Tamten nawet nie próbował się bronić. Najpierw zesztywniał, a po chwili zwiotczał i Jagan ostrożnie położył go na ziemi. Wyciągnął mu broń i odnalazł legitymację policyjną. Wyczuł pod palcami telefon i portfel, ale ich nie wziął. Policjant poruszył głową i westchnął głęboko, więc Jagan szybko się podniósł, po czym błyskawicznie skrył się za kioskiem.

Zaczął biec przed siebie, ale nie wiedział dokąd. Wiedział jedynie, że musi jak najszybciej oddalić się od tego miejsca. Bawiła go myśl, że napad pójdzie na konto pierwszego mężczyzny i jakichś kryminalnych porachunków.

Biegł zaułkami, potem przez park, aż dotarł do szerokiej oświetlonej ulicy, gdzie zauważył pierwszych przechodniów. Zdjął kominiarkę. Zatrzymał się na przystanku autobusowym i próbował się zorientować,

gdzie jest. W końcu wyciągnął telefon. Nie mógł się jednak pozycjonować, bo nie miał internetu. Zza rogu dobiegł go sygnał syreny i po chwili przemknął obok radiowóz policyjny. A potem jeszcze jeden.

Na ulicy w zasięgu wzroku było ledwie kilka osób. Jagan zdawał sobie sprawę, że policja będzie poszukiwać konkretnego mężczyzny, ale on też przecież był w Café Viking. I chociaż policjant na pewno nie widział napastnika, to jednak należało zachować ostrożność i jak najprędzej wrócić do hostelu. Miły ciężar pistoletu w kieszeni dodawał mu otuchy i budził nadzieję na szybkie zakończenie misji, bo teraz Jagan mógł już wszystko.

Znów był żołnierzem specnazu, a nie jakimś kelnerem z nożem stołowym w kieszeni. I choć w razie potrzeby dałby radę załatwić przeciwnika nawet gołymi rękami, to jednak pistolet nadawał jego zadaniu powagi i uduchowienia. Miał też praktyczne znaczenie, bo Jagan wciąż nie wiedział, kim jest Ismail Sulejmanow i czego można się po nim spodziewać. Tym bardziej że cała dzielnica Grønland, gdzie mieszkał, wyglądała jak Grozny i jak już się zorientował, nie mógł oczekiwać, że ktokolwiek mu pomoże. Zawsze liczył tylko na siebie, ale odkąd wyszedł ze szpitala, nie był już taki pewny swoich możliwości, więc zrobił się o wiele bardziej ostrożny. Kiedyś w Aleksandrowce cały dzień chodził w dwóch różnych butach, zanim to zauważył. Dlatego musiał więcej myśleć.

Rozejrzał się i na ścianie przystankowej wiaty zobaczył naklejony plan miasta. Dopiero teraz przypomniał sobie ze zdziwieniem, że istnieje coś takiego jak papierowe mapy. Od razu odnalazł miejsce, w którym stał, bo było zaznaczone czerwoną kropką z napisem: *Du er her*.

Okazało się, że hostel jest dwie przecznice dalej, i Jagan trochę się zmartwił, że tego nie zauważył.

65

Helenka miała pięćdziesiąt pięć lat i była sprzątaczką na siódmym piętrze niemal od zawsze. Jej mąż Józek pracował na parterze od dwunastu lat i był kierowcą wszystkich kolejnych szefów Agencji. Bezdzietni, skromni, dyskretni, małomówni, bardzo uprzejmi. Warszawiacy od pokoleń. Oboje wyjątkowo spostrzegawczy.

Witek wszedł pierwszy do budynku.

W holu było jeszcze ciemno i pusto. Miał iść do poczekalni ambulatorium i tam czekać na Leskiego. Ale kiedy tylko przeszedł przez bramki kontrolne, od razu natknął się na znajomego strażnika w mundurze.

– Nooo… sto lat cię nie widziałem – odezwał się tubalnym głosem strażnik. – Myślałem, że jesteś out razem z całym tym Q… Wolskim… Korską… Co się dzieje z Lutkiem?

– Jestem na przykryciu… wiesz… jak jest… – odparł Witek pewnym siebie głosem. – Nuda… byle latka odsłużyć. Aaa… z nimi? Nie wiem, co z nimi. Nie mam kontaktu…

– Co tak wcześnie?

– Do lekarza.

– Chłopie! – Strażnik spojrzał na wielki zegar. – Lekarz będzie dopiero o ósmej. Co ty… nie wiesz? Chodź… pogadamy. – Położył Witkowi rękę na ramieniu i skierował się do stolika dyżurnego. – Coś ci się popierdoliło, czy co?

– No nie… chcę być pierwszy, bo zaraz wyjeżdżam nad morze… i wiesz, Stasiu… – Witek próbował wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

Nagle usłyszeli za sobą głos Leskiego.

– Panie Stanisławie, wydaje mi się, że ktoś się kręci przy ogrodzeniu. Niech pan sprawdzi.

Strażnik obrócił się na pięcie jak na rozkaz i pobiegł do dyżurki, gdzie był drugi ochroniarz. Witek wykorzystał sytuację i błyskawicznie zniknął w ciemnym korytarzu. Leski ruszył za nim. Spotkali się za rogiem przy windach, w przejściu łączącym dwa budynki. W tym miejscu nie było kamer.

– Robimy tak… – zaczął Roman. – Pojadę teraz na siódme, a ty czekasz tutaj… – Spojrzał na zegarek. – Odczekasz pięć minut i jeżeli nie zjadę wcześniej, jedziesz za mną.

Witek skinął głową, a Roman wcisnął przycisk i drzwi windy się otworzyły, wydając pojedynczy, krótki dźwięk dzwonka.

– A co ze Staszkiem? – rzucił jeszcze Witek, ale Roman machnął tylko ręką i puścił do niego oko.

Kiedy wysiadł na siódmym piętrze, od razu zobaczył otwarte drzwi do sekretariatu szefa i usłyszał szum pracującego odkurzacza. Podszedł bliżej. W sekretariacie Helenka w przepisowym niebieskim fartuchu z białym kołnierzykiem płynnie, z wprawą prowadziła szczotkę. Kątem oka dostrzegła, że ktoś stoi w drzwiach, i nieco przestraszona gwałtownie poruszyła głową.

Roman dał jej znak ręką, by wyłączyła odkurzacz, chociaż wcale głośno nie pracował.

– Dużo ci zostało? – zapytał.

– Kończę… A co?

– Muszę wejść do gabinetu szefa.

– Rozumiem – odparła bez wahania. – To ja teraz zrobię gabinet Walewskiego – dodała z lekkim uśmieszkiem.

– Okej. – Roman też się uśmiechnął. – Ale potrzebuję twojego odkurzacza.

– Dobrze. Ściągnę kurze z biurka szmatką.

Ruszyła w stronę otwartych drzwi gabinetu Walewskiego. Ledwo za nimi zniknęła, na piętrze pojawił się Witek. Roman bez słowa wskazał mu gabinet szefa. Sam zamknął sekretariat i podążył za podwładnym.

Gabinet szefa Agencji miał ponad siedemdziesiąt metrów kwadratowych i kształt kwadratu, którego cały prawy bok zajmowało okno z białymi wertikalami. Po lewej stał częściowo oszklony wiśniowy regał, a w nim mnóstwo służbowych gadżetów, trochę książek i ceramiki. Część regału była zakryta. Wielkie wiśniowe biurko, nad którym wisiało godło, usytuowane było na wprost wejścia. Za nim, przed drzwiami do małego pokoju wypoczynkowego, dumnie się prezentował wysoki czarny skórzany fotel. Dla oficerów, którzy przychodzili do szefa służbowo, przeznaczone były dwa foteliki ustawione bokiem przed biurkiem. Pod oknem po prawej stronie umieszczono gustowną szklaną ławę i cztery fotele wypoczynkowe. To tam szef przyjmował ważniejszych gości w mniej formalnych sprawach, dlatego tuż obok był barek z alkoholami z całego świata. Wokół, na podłodze, sporo dużych roślin: juki, palmy, cytrynowiec i dwa potężne, smukłe kaktusy. Miejsce bliżej wejścia, po prawej stronie, zajmował stół konferencyjny na sześć osób – świadek wszystkich ważnych narad kierownictwa. Krypta Faradaya, mieszcząca się na tym samym piętrze, miała bardziej psychologiczne niż praktyczne znaczenie i była wykorzystywana głównie wtedy, gdy zbierało się większe grono.

Roman wszedł, zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz i włączył odkurzacz.

Witek postawił futerał na krześle i odpiął zamki. Wewnątrz na czarnej gąbce leżał srebrny skaner Mz78n, z wyglądu przypominający metalową suszarkę do włosów. Był to dar dla Sekcji od francuskiego wywiadu za zdobycie żyra do rosyjskiej rakiety Widmo. Skaner uchodził za unikatowy, ponieważ wyłapywał wyłącznie mikrofony, nawet nieaktywne, i wskazywał miejsce odbioru. Serce skanera stanowił czip, którego nie dało się zdemontować, bo był ściśle tajnym produktem francuskich naukowców.

Witek włączył urządzenie, które wydało przeciągły pisk i po kilku sekundach zamilkło.

– Zaczynamy? – zapytał, ruszając bezdźwięcznie ustami. – Od którego miejsca? – zatoczył ramieniem, jakby zamiatał powietrze.

– Teraz pan tu dowodzisz, panie poruczniku – odparł bez słów Roman, unosząc palec. – Byle szybko! – wskazał ręką na zegar ścienny.

– To chyba zaczniemy od stołu? – Witek spojrzał pytająco na Romana.

Zbliżył się, popatrując to na pokój, to na mały ekran skanera. Miał widok na cały stół i powoli przesuwał skanerem w powietrzu. Roman stał przy drzwiach i obserwował Witka, który pracując w pełnym skupieniu, wyglądał jak szaman odczyniający czary.

Minęło kilkadziesiąt sekund i Witek się zatrzymał. Spojrzał na wyświetlacz, coś przełączył, cofnął się kilkanaście centymetrów, znów przełączył i rozległ się prawie niesłyszalny gwizd, jak z dziecięcej kolejki.

Witek z wyraźnym przejęciem popatrzył na Romana.

– Tu coś jest! – oznajmił ruchem głowy.

Roman wstrzymał oddech. Nie skomentował. Czekał, aż Witek da znak, że się jednak pomylił. Nie mógł się zdecydować, czy chce, żeby to było prawdą, czy nie. Jeżeli to jest prawda, to teraz już na pewno nie zdąży zdekonspirować Wielkiego Zdrajcy, bo śmierć Olewskiego bezowocnie zakończy całe śledztwo. Ale to samo może też wskazywać, że jego

podejrzenia wobec Koryckiego są nieuzasadnione, a to byłaby dobra wiadomość.

Witek wyszedł spod stołu.

– Jest!

Jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, co tam zobaczył. Ruchem ręki przywołał Romana, który z trudem się pochylił i ostrożnie zajrzał pod stół. Do blatu od spodu była przyklejona srebrną pakową taśmą czarna pluskwa, z której zwisała kilkucentymetrowa antenka. Więcej nie musieli szukać.

Witek położył się na plecach i zrobił kilka zdjęć telefonem. Wykonał jeszcze dodatkowe pomiary, które zapisał w pamięci skanera, i spakował urządzenie do futerału. Wkrótce pojawią się pierwsi oficerowie, więc musiał jak najszybciej opuścić budynek. Oficjalnie zniknął z wywiadu po likwidacji Wydziału Q, więc gdyby natknął się na kogoś znajomego, miałby kłopot z odpowiedzią na proste pytanie, co tutaj robi.

Obserwowany przez Staszka na ekranie monitoringu, po kilku minutach opuścił siedzibę Agencji.

W tym czasie Roman zajrzał do Helenki, która sprzątała gabinet Walewskiego. Skinął głową, a ona odpowiedziała mu tym samym. W ciągu paru minut był już w swoim biurze na ostatnim piętrze. Słońce właśnie wzeszło i wypełniło całe pomieszczenie jadowitym światłem. Najpierw więc zasłonił okno, które wychodziło na wschód, i dopiero potem postawił teczkę na biurku. Opadł ciężko na fotel. Wciąż był w kapeluszu i płaszczu, ale nawet tego nie zauważył. Krew tętniła mu w skroniach, a ciężki kamień zaległ pod mostkiem. Poczuł suchość w ustach. Palcami chwycił za przegub prawej dłoni i zmierzył sobie tętno.

– Sto dziesięć – powiedział. – Może być… jak na taki poranek.

Wciągnął głęboko powietrze, aż poczuł, jak kamień pod mostkiem się poruszył.

– Podsłuch w gabinecie szefa – oznajmił takim tonem, jakby chciał przekonać sam siebie. – Tak… w gabinecie szefa. Czy to może być prawdą? A może to tylko wytwór mojej wyobraźni. Podsłuch w gabinecie szefa polskiego wywiadu? To musi się źle skończyć… Państwo, które nie ma tajemnic, państwo teoretyczne, ugór… władza, władza, chciwość, zdrada jako cnota…

Był wściekły i rozgoryczony.

W końcu wstał, odetchnął głęboko i poszedł do łazienki. Stanął przed lustrem. Dopiero teraz zobaczył, że jest w kapeluszu. Przyjrzał się swojemu odbiciu i dotknął palcem nabrzmiałych worków pod oczami. Poczuł do siebie wstręt. Odkrył coś, o czym nie chciał wiedzieć.

– Co z tym zrobisz? – zapytał człowieka w kapeluszu. – Powiesz Koryckiemu? – Spojrzał na zegarek. – Niedługo Józek przywiezie szefa, a on wejdzie do pomieszczenia, w którym tkwi mała pluskwa z ogonem. Czyja? Od kiedy?

W przedpokoju zostawił płaszcz i kapelusz, po czym wrócił do pokoju, ale nie usiadł. Najpierw stanął na środku i po chwili zaczął chodzić od okna, za którym był szpital, do ściany z reprodukcją *Ambasadorów*. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej, jakby chciał rozładować nagromadzoną energię.

Musiał się uspokoić, bo nie mógł zebrać myśli, znaleźć punktu, od którego powinien zacząć tworzenie nowego obrazu. Rozpierała go wypalająca wnętrzności gorycz, bo uświadomił sobie, że życie majora Olewskiego jest jak przecinek postawiony w niewłaściwym miejscu. Najgorsze było jednak to, że nie potrafił odczytać tego jednego zdania prawdy. Nie mógł mu pomóc, bo miejscowi krętacze – politycy

napompowani własnym ego, oficerowie wywiadu bez doświadczenia i krzty szacunku dla kraju – zmącili obraz tak, że nie sposób było odróżnić zdrajcy od hipokryty i cynika.

Zatrzymał się przy oknie i rozsunął wertikale. Nad szpitalem krążyło stado ptaków. Nikogo teraz nie potrzebował bardziej niż Dimy i Moniki. Sama ich obecność dodawała mu otuchy i pewności siebie, inspirowała. Monika widziała świat inaczej, a Dima myślał spokojnie i logicznie. Dlatego dopiero wszyscy razem, z Elą i Witkiem, byli prawdziwą Sekcją, która mogła rozwiązać najtrudniejsze zagadki, zrealizować prawie każde zadanie. A teraz został sam, z podsłuchem w gabinecie szefa wywiadu i pytaniem, kim jest ten, który wie wszystko. Kim jest Wielki Zdrajca?

Z przedpokoju doleciał stłumiony sygnał telefonu komórkowego. Roman potrzebował chwili, by sobie przypomnieć, że zostawił go w kieszeni płaszcza.

– To ja – odezwał się w słuchawce Witek. – Jest coś dziwnego, Roman. Nawet bardzo.

– Znaczy?

– Wprawdzie nie wiemy z całą pewnością, jakiego typu jest ta pluskwa, bo była cała zaklejona taśmą, podwójnie na krzyż, żeby nie odpadła, ale to właśnie jest dziwne – ciągnął spokojnie Witek.

– Czyli?

– Podsłuch… pod stołem… zaklejony taśmą do pakowania…

– Czyli co? – Roman wyczuł już, do czego Witek zmierza. – To, co myślę?

– Tak. Zamontował ją kompletny amator. Podsłuch pod stołem, do tego oblepiony nieprzepuszczalną taśmą z tworzywa, jest mało użyteczny. Zapewnia bardzo słaby odbiór, a przy tej wielkości… jakieś pięć na pięć

milimetrów… podobnie rzecz się ma z zasilaniem, czyli wzmocnienie odbioru jest niewystarczające. Tak wykazał skaner. Siła sygnału jest marna.

– Czyli amator, powiadasz. – Roman zadumał się na chwilę. – Amator.

– Tak to wygląda, ale… mogę się mylić. Profesjonalne podrzutki montuje się na specjalnej taśmie samoprzylepnej. Szybko, łatwo i siedzi pewnie… No i nie trzeba nosić ze sobą rolki z taśmą, ciąć, urywać…

– Czyli wygląda na to, że ktoś musiał mieć swobodny dostęp do gabinetu szefa – rzucił niepewnie Roman. – Robi się ciekawie.

– No, tak mi się wydaje. Zawodowiec mógłby podkleić pluskwę nawet podczas narady przy stole, nogą, ale na pewno nie za pomocą zwykłej taśmy z rolki. Bo niby jak?

– Rzeczywiście. Musi mieć dostęp do klucza, a to bardzo zawęża poszukiwania. – I od razu pomyślał o Helence. Czy na pewno może jej ufać?

– Zawęża, owszem, ale to nie koniec, comandante Romano. – Witek używał tego zwrotu, kiedy był przekonany, że ma coś wyjątkowo ważnego do powiedzenia.

– Noo… Mów!

– Punkt odbioru nie mógł być gdzieś w pobliżu. Resztę możesz sobie dopowiedzieć.

– To wszystko? – zapytał Roman.

– Tak.

– Niemało, niemało… – Rozłączył się. – Co to znaczy? – powiedział na głos.

66

Samolot linii KLM wylądował na Schiphol punktualnie o siódmej pięćdziesiąt pięć, a kołowanie do rękawa zajęło mu kolejne dziesięć minut.

Monika zasnęła, gdy tylko zapięła pasy, i obudziła się już w Amsterdamie. Czuła się świetnie, rześko, jakby do szczęścia brakowało jej właśnie tych dwóch godzin snu. Wstąpił w nią nowy euforyczny duch, chociaż nie stało się nic takiego, co by uzasadniało aż taką zmianę. Było to o tyle dziwne, że przecież zdawała sobie sprawę, że zostawiła w Warszawie Romana, którego niebezpiecznie zasysał wir wydarzeń.

Leciała do RPA z pełną świadomością bezsensowności tej misji, straconego czasu, który mogła dobrze spożytkować w Polsce. A jednak gdzieś głęboko w podświadomości słyszała głos, który jej mówił, że może właśnie tam, na drugiej półkuli, stanie się coś, co pomyślnie zakończy całą sprawę. I im bardziej było to absurdalne, tym bardziej narastał w niej irracjonalny entuzjazm. Pomyślała nawet, że to pewnie jakaś patologia psychiczna i jak wróci, będzie musiała zbadać temat bliżej. Ale na razie było jej z tym dobrze.

Odlot samolotu KLM do Kapsztadu miała za niespełna dwie godziny z bramki numer 142, czyli ledwie dziesięć numerów dalej.

Czekało ją dwanaście godzin lotu, a dawno już nie miała tak wyśmienitej okazji, by w ciszy i spokoju poświęcić się rysowaniu. Poszła więc do

dużego marketu i kupiła blok rysunkowy oraz komplet ołówków różnej twardości.

Potem odnalazła Starbucksa. Wzięła średnią americano z mlekiem i usiadła na skraju kafeterii.

W Kapsztadzie była ósma trzydzieści. Monika uznała, że to odpowiednia godzina, by obudzić pana Bregge. Najpierw jednak sprawdziła esemesy i nieodebrane rozmowy. Nie było nic nowego. Robert też milczał i trochę ją to zmartwiło.

Żadnych pytań z rana? – pomyślała, wybierając numer Saleha Bregge.

– Tak? – usłyszała niemal natychmiast miękki męski głos.

– Pan Bregge?

– A kto pyta?

– Pozdrowienia od Heleny z Talesu – powiedziała Monika, mocno sylabizując, jakby się bała pomylić.

– Słucham – odezwał się po chwili Bregge.

– Chcę się z panem spotkać. Możliwie najszybciej. Mam ważną sprawę. Będę dziś w Kapsztadzie około dwudziestej drugiej, więc gdyby…

– Tak… dobrze… – zawiesił głos, jakby się zastanawiał. – Kiedy będzie już pani na miejscu, proszę zadzwonić. Spotkamy się.

– Dziękuję.

– Do zobaczenia.

Monika wyczuła w jego głosie nutkę sympatii. Bregge był uprzejmy, miał miły głos i w pierwszej chwili sprawiał wrażenie człowieka kulturalnego. Jeszcze przed wyjazdem znalazła w internecie jego zdjęcia sprzed ponad czterdziestu lat, kiedy szefował gangowi Americans, i nie wyglądał na nich na intelektualistę, więc się trochę zdziwiła. Był wysoki, szczupły, o ciemnej karnacji, ostrym nosie i azjatyckich oczach.

Przeczytała też trochę o Koloredach, ale stanowczo za mało, by wyrobić sobie zdanie i zaplanować coś sensownego. A mimo to ta krótka rozmowa miała dla niej pozytywną aurę. Perspektywa spotkania z emerytowanym gangsterem z Południowej Afryki pobudzała i była wyzwaniem, z jakim dotąd Monika nie miała okazji się zmierzyć.

Sprawia dobre wrażenie… więc może, zamiast tracić czas, od razu powinnam mu wyjaśnić, w czym rzecz – pomyślała, patrząc na telefon.

Po kilku sekundach nacisnęła ostatnie połączenie.

– To jeszcze raz ja – zaczęła standardowo. – Przepraszam, że znów zawracam panu głowę.

– Nie ma problemu – odparł z nutką rozbawienia. – W czym mogę pomóc?

– Wie pan, pomyślałam, że może już teraz powiem panu, o co chodzi, no i… zyskam trochę czasu, bo sprawa jest pilna…

– Proszę bardzo. To tylko od pani zależy.

– Zwłaszcza że jest dosyć prosta… Ale nie wiem, czy mogę.

– Może pani, może.

– Tydzień temu zaginął w Kapsztadzie pewien Polak, Adam Fint, który pracował dla brytyjskiej firmy Townsend z… Buitengracht… przeliterować?

– Nie trzeba. Znam.

– To syn naszego zleceniodawcy, a ja jestem z Polski. – Monika udawała, że pracuje dla biura detektywistycznego.

– Dobrze – odparł Bregge. – Zobaczę, co da się zrobić – zakończył i Monika miała wrażenie, że się uśmiechnął.

Spotkanie z SB dzisiaj wieczorem – natychmiast wysłała esemesa do Romana i zaraz napisała drugi, do Roberta: *Całusków z rana sto* plus emotikon z sercem. Zawahała się jednak, popatrzyła na czerwone serduszko

i je skasowała. Po chwili skasowała całą wiadomość i napisała: *Wszystko w porządku?* Wylogowała telefon i schowała do kieszeni.

Wyjęła z bagażu blok, usiadła przy oknie i położyła go sobie na kolanach. Nie rysowała już od dawna, zagubiona gdzieś między sztuką i szpiegostwem. Czasami była nawet zła na siebie, że tak łatwo daje się zdominować jednej opcji swojego „ja”.

Od czasów Akademii to była jej ulubiona technika, a właściwie coś znacznie ważniejszego. Rysowanie wyzwalało w niej koncentrację, która szybko przechodziła w kontemplację, a w efekcie osiągała stan podobny do medytacji. Kiedy Monika brała ołówek do ręki i stawiała na białym papierze pierwszą kreskę, świat wokół zaczynał powoli wirować jak galaktyczna mgławica, a ona coraz szybciej zapadała się w swoje emocje, przeżycia, impresje i odświeżała najlepsze wspomnienia. W końcu traciła kontakt z rzeczywistością i uwalniały się wszystkie pokłady jej podświadomości, które ożywały barwami i kształtami. Dokonywała syntezy świateł świata, który obserwowała teraz swoim trzecim okiem. W takich chwilach była wyłącznie artystką.

67

Roman odebrał esemesa od Moniki. Dobra wiadomość: gangster zgodził się na spotkanie. Była nadzieja, że uzyskają jakieś wartościowe informacje o zaginionym Polaku.

Zniknięcie Finta w tych dniach nie mogło być przypadkowe. W sprawie „Mocarz” zapewne odegrał inną, ważną rolę, której nie znał nikt oprócz Wielkiego Zdrajcy. Po ostatnich analizach Roman był coraz bardziej o tym przekonany, nie wiedział jednak, jak to powiązać z uprowadzeniem Olewskiego ani z tym, co się dzieje w Warszawie.

Jednego był pewien: Wielki Zdrajca pracował dla Moskwy.

Z rozmyślań wyrwał go sygnał z komputera. Dźwięk podobny do dzwonka oznaczał, że przyszła depesza oznaczona klauzulą „pilne”.

Czekał na nią od chwili, kiedy przyszedł do biura. Uderzył w klawisz Enter i przesunął kursor na ikonę z czerwonym kółkiem. Ukazała się oznaczona numerem 00279 depesza z Islamabadu, podpisana kryptonimem „Khan”. Przyszła minutę wcześniej. Roman nawet nie próbował jej czytać, tylko od razu wrzucił do drukarki. I kiedy już wyjął zadrukowany papier, wcisnął klawisz Delete. Roman miał uprawnienia administratora sieci i mógł zarządzać depeszami. Mógł je zdejmować z edytora, ale nie mógł ich wyrzucać z systemu. Spadały do archiwum i zawsze, kiedy zaszła taka potrzeba, można było po nie sięgnąć. Jednak każde odświeżenie dokumentu było odnotowywane w systemie.

Szef Agencji i obaj jego zastępcy mieli stały podgląd tajnej korespondencji wydziałów z rezydenturami na całym świecie, a system zapisywał każde otwarcie pliku. Nie zawsze mieli jednak czas przeglądać tak dużą liczbę dokumentów, więc czytali głównie te oznaczone przez rezydenta specjalnym symbolem, który odpowiadał zaleceniu, by się z nimi zapoznali. Taka depesza wyświetlała się automatycznie na komputerze szefa.

Ale adresatem depeszy 00279 był wyłącznie Roman. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek inny miał do niej dostęp, więc natychmiast ją zarchiwizował.

To był długi dokument, lecz Roman wiedział, czego w nim szukać. Od razu przeszedł do fragmentu dotyczącego Koryckiego. Wziął czerwony ołówek i zaczął podkreślać tekst.

Szef zadzwonił tylko raz, w poniedziałek o trzynastej trzydzieści, co samo w sobie już było dziwne, bo przecież miał od tego zastępców i Pańskiego. Jak wynikało z opisu, cała rozmowa była tak zaaranżowana, by przykryć jedyne pytanie, jakie wtedy zadał. Korycki nie był oficerem wywiadu i nie znał technik operacyjnych, więc nawet młody Braun łatwo go rozszyfrował.

Roman wyjął swój czarny notatnik i otworzył na poniedziałku. Przejechał palcem po drabince godzin.

– Do dwunastej czterdzieści byłem u Koryckiego w gabinecie – powiedział na głos. – Tak… to była bardzo dziwna i nerwowa rozmowa… A dlaczego?

Pamiętał ją dobrze. Miał zwyczaj, że po spotkaniu zapisywał pytania, na które nie znał odpowiedzi. Teraz jednak, w obliczu wykrycia podsłuchu w gabinecie szefa i w świetle informacji od Brauna, musiał je wykreślić, bo stały się już nieaktualne.

Zachowanie Koryckiego w czasie spotkania z zastępcami było naturalne, nie wzbudzało podejrzeń, nie odbiegało od poprzednich, ale już rozmowa w cztery oczy wydawała się bardzo dziwna.

A zatem ten, kto założył podsłuch, uzyskał ważne informacje o stanie psychicznym Koryckiego i o tym, że Sekcja pracuje nad tą sprawą. Najważniejsza jednak była wiadomość o planach premiera Boleckiego, który zamierzał wykorzystać uprowadzenie Olewskiego do rozwalenia wywiadu. Śmierć majora miała posłużyć za pretekst.

Czyli Korycki nie może być Wielkim Zdrajcą, bo przecież nie podsłuchiwałby sam siebie – pomyślał Leski. Zostają Hurman, Walewski i Pański. Korycki miał zaplanowane spotkanie w kancelarii premiera o… – zajrzał do notatnika – o trzynastej. Razem z Grobelnym.

Wziął swój telefon komórkowy i odszukał w pamięci numer do Józka, kierowcy szefa.

– Możesz mówić? – zapytał.

– Tak. Jadę teraz po szefa.

– Wiozłeś wczoraj Koryckiego do premiera?

– Nie.

– Na trzynastą, w Aleje… a może ktoś inny?

– Ja wiozłem, ale nie w Aleje, tylko na Szucha. Miał umówione spotkanie z Grobelnym. Już rano mi o tym powiedział. Zresztą premier był chyba na jakiejś konferencji, bo słyszałem go w radiu, jak czekałem pod MSZ.

– Czyli cały czas był u Grobelnego?

– Cały czas… wyszedł tuż po czternastej.

– Dziękuję, Józek. Wiesz…

– Jasne, pułkowniku.

Roman wyłączył telefon i odłożył go na bok.

Czyli Korycki skłamał, mówiąc, że jedzie do premiera. Od początku wiedział, że ma spotkanie tylko z Grobelnym. Czy w związku z tym jego wzburzenie na naradzie z zastępcami i wypowiedziane później w cztery oczy mocne słowa nie były autentyczne? To zbyt prymitywne, za bardzo przyciąga uwagę, by mogło być częścią jakiejś zaawansowanej gry czy manipulacji.

Roman złapał Koryckiego na prostym kłamstwie.

Wielki Zdrajca, który założył mu podsłuch, też musi o tym wiedzieć – pomyślał z niepokojem. To wszystko nie trzyma poziomu.

Spojrzał jeszcze raz na depeszę Brauna. Trzynasta trzydzieści czasu warszawskiego. Wygląda na to, że Korycki dzwonił do Islamabadu w czasie spotkania na Szucha. Czyli zapytał Brauna o mnie w obecności Grobelnego, a przecież podobno się nie lubią.

Czy zrobił to, ponieważ chciał wiedzieć, czy coś przed nim ukrywam? Nie uwierzył mi wczoraj i poniósł go strach? Dlaczego się mnie boi? Miał umówione spotkanie z Grobelnym i liczył na to, że wcześniej dowie się ode mnie czegoś konkretnego i wartościowego, a ja tymczasem nic takiego mu nie powiedziałem. Działają razem, spiskują, a tylko udają wrogów? Wpadli w panikę i postanowili zadzwonić do Brauna, bo nie mają żadnego solidnego planu działania. A może Braun po prostu pomylił godziny? To by w jakiś sposób tłumaczyło całą sprawę. Korycki skłamał, mówiąc na zebraniu o spotkaniu z premierem, ale to można mu darować, a nawet wytłumaczyć i uzasadnić. Spotkanie z Grobelnym… cóż, znalazłyby się setki powodów. Ale jeśli Braun nie myli się co do czasu i Korycki dzwonił w obecności Grobelnego, to wszystko wygląda inaczej… rzekłbym, bardzo poważnie. Wielki Zdrajca tak by nie postąpił, to zbyt głupie.

Wybrał numer szyfrowanej komórki. Braun odebrał zaspany, najwyraźniej musiał pisać długo w nocy.

– Dziękuję za depeszę – zaczął Roman. – Jest bardzo dobra, profesjonalna i wyczerpująca – chwalił na wyrost. – Mam jednak jedno pytanie uzupełniające…

– Tak, panie pułkowniku. – Braun już się wybudził.

– Chodzi mi o czas, kiedy dzwonił szef… To nic ważnego, ale do czegoś mi nie pasuje, może to przez różnicę czasu… – ciągnął obojętnym głosem Roman. – Może pan potwierdzić?

– Mogę potwierdzić, to było o szesnastej trzydzieści mojego czasu, czyli trzynastej trzydzieści polskiego. A poza tym mam tę rozmowę zapisaną w pamięci telefonu. Nie pomyliłem się, panie pułkowniku. Jestem pewien. – Głos Brauna brzmiał przekonująco, więc Roman podziękował i się rozłączył.

Czyli Korycki i Grobelny grają w jednej drużynie – pomyślał, odkładając telefon. Co ciekawsze, to tajna drużyna. Amatorszczyzna. Spisek pędraków?

Wstał i podszedł do stolika, gdzie przygotowywał sobie herbatę. Wsypał dwie czubate łyżeczki i włączył wodę. Wyjrzał przez okno. Nad szpitalem nie było ptaków.

– To będzie ładny dzień – powiedział i uśmiechnął się do swojego odbicia w szybie.

Woda się zagotowała, więc zalał herbatę w kubku i nakrył go talerzykiem. Spojrzał na zegar. Zawsze parzył herbatę siedem minut. Włożył ręce do kieszeni i przeszedł przez pokój. Zatrzymał się przed *Ambasadorami*.

– Tylko po co ten podsłuch? – zapytał na głos. – Rozumiesz coś z tego, Jean? Kto podsłuchuje Koryckiego? Wielki Zdrajca… tak po prostu… pluskwą z taśmą samoprzylepną?

68

Dima obudził się z potężnym bólem głowy. Leżał na boku, z podkulonymi nogami, otwartymi ustami i językiem suchym jak kawałek drewna. Miał na sobie spodnie z rozpiętym paskiem, wygniecioną koszulę i skarpetki. Z trudem otworzył zapuchnięte oczy.

Przez zasłonięte zielonymi storami okno wpadało blade światło, ale w pomieszczeniu było ciemno. W pierwszym momencie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest.

To przecież pokój Sierioży!

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, nagle wytrzeźwiał. Sięgnął ręką za plecy. Nie miał pistoletu!

Poderwał się, chciał wstać, ale zakręciło mu się w głowie, więc przysiadł na skraju łóżka. Czuł, jak ogarnia go przerażenie.

– Ja pier… katastrofa… – wymamrotał z trudem.

Wstał i rozchylił zasłony. Do pokoju wpadło szare światło. Spojrzał na zegarek. Była za dziesięć ósma. Znów usiadł na łóżku.

Powoli… powoli… – pomyślał zaniepokojony. Co się stało? Gdzie jest Dunin? Gdzie Wiera? Gdzie jest…

Zobaczył na podłodze swoją marynarkę i natychmiast po nią sięgnął.

Jeśli pijak chce się napić, to nie ma sposobu, by mu w tym przeszkodzić – pomyślał z sarkazmem i przeklął.

– Kurwa… jestem jeszcze pijany.

Szybko przejrzał kieszenie marynarki. Odnalazł oba swoje telefony i portfel. Zegarek miał na ręce, więc odetchnął. Z wolna powracały fragmenty wczorajszego spotkania z Duninem, wciąż poszarpane, bezładne, ale najgorsza była przytłaczająca świadomość, że nie ma pistoletu. Nie potrafił jeszcze ocenić, co to oznacza, ale gdzieś w podświadomości czuł, że jest w poważnych kłopotach. Zawsze się kontrolował, wiedział, ile może wypić, z kim, gdzie i w jakich okolicznościach. I nigdy nie doprowadzał się do stanu, w którym tracił pamięć. Od razu pomyślał, że czegoś mu dosypali. Był wściekły na siebie i przerażony.

Na środku pokoju zobaczył rozrzucone w nieładzie buty.

Znaczy, że rozbierałem się sam – stwierdził i poczuł lekką ulgę. W takim razie pistolet na pewno gdzieś schowałem… schowałem blisko… Gdzie?

Sięgnął pod poduszkę, ale nic nie znalazł.

Musiałem go gdzieś schować… na sto procent… instynkt przecież nie mógł mnie zawieść.

Rozejrzał się po pokoju i zaczął się zastanawiać, gdzie ukryłby pistolet, gdyby musiał to zrobić teraz. Wstał i stanął przy drzwiach przodem do pokoju, tak jakby właśnie tu wszedł. Po prawej miał szafę i biurko, ale od razu uznał, że na pewno nie ukryłby tam broni. Za daleko od łóżka.

Jest gdzieś w pobliżu… – pomyślał. Przecież musiałem mieć do niej dostęp.

Podszedł do łóżka i ściągnął narzutę. Przegrzebał je dokładnie, ale bez rezultatu. Sprawdził pod łóżkiem, w szafce i w komodzie. Usiadł na krześle. Wyglądało na to, że pistolet musi być gdzie indziej.

Możliwe, że wzięła go Wiera… albo Dunin.

To by mocno skomplikowało moją sytuację – pomyślał zaniepokojony i zaczął się zastanawiać, jaką podać legendę.

Paszport! Gdzie jest mój paszport?

Natychmiast sięgnął po marynarkę. Przejrzał dokładnie wszystkie kieszenie, ale paszportu nie znalazł. Odruchowo włożył palce do brustaszy. Wyczuł mały metalowy przedmiot. Wyjął go i położył na dłoni. Było to cylindryczne, połyskujące metalicznie urządzenie, nieco większe od bateryjki do aparatu słuchowego. Obejrzał je uważnie. Nie miało żadnych oznaczeń ani napisów.

To jest ten bikon – pomyślał Dima i włożył go z powrotem do kieszonki. Jego podejrzenia co do sposobu, w jaki Dunin prowadził za nim obserwację, właśnie się potwierdziły.

Ale gdzie jest paszport? I ten pierdolony pistolet…

– Kurwa – rzucił cicho po polsku.

Zerwał narzutę, poduszki i pościel. Rzucił to wszystko na podłogę i odsunął łóżko, które głośno zaskrzypiało. Zajrzał za nie, ale nic nie znalazł.

– Co ty wyprawiasz? – usłyszał za sobą ściszony głos Wiery, która zaspana stała w drzwiach. Miała na sobie biały szlafrok. – Jest ósma trzydzieści.

– Szukam… szukam… paszportu – odparł niepewnie. – Gdzieś zgubiłem…

– Ja go mam… – przerwała mu Wiera i cicho zamknęła za sobą drzwi. – Nie pamiętasz? – Popatrzyła nań nieco zdziwiona.

– No tak… Dunin chciał zobaczyć mój paszport…

– Mów ciszej – upomniała. – Śpi w salonie.

– W salonie?

– Tam, gdzie padł.

– A ja?

– Odprowadziłam cię tutaj… też byłeś martwy.

– Kurwa, nic nie pamiętam. O której skończyliśmy?

– Po czwartej. Wszystko ci przypomnę, ale miejmy nadzieję, że Oleg też niewiele pamięta. Choć nie byłabym taką optymistką. Znam go dobrze. – Usiadła na łóżku obok Dimy i pocałowała go w kącik ust. – Ale cuchniesz! – Pokręciła głową – Chciał ci zabrać paszport jako zabezpieczenie, że go nie oszukasz i nie wyjedziesz niespodziewanie. Upierał się przy swoim, a ty przy swoim. Było już bardzo ostro.

– Coś zaczynam sobie przypominać.

– Mówił, że wciągnął w tę robotę poważnych partnerów i nie może nawalić, bo musiałby sam zapłacić im całą sumę, a takich pieniędzy nie ma – ciągnęła Wiera, szepcąc do ucha Dimy. – Twierdził, że zapłaciłby życiem.

– Kurwa, nie zna się ten twój Oleg na biznesie… no…

– Nie jest żaden mój. – Znów pocałowała go w policzek.

– No i dałem mu ten paszport?

– Nie chciałeś dać i zagroziłeś, że w takim razie wycofujesz się z operacji. Podniosłeś się i chciałeś wyjść. Byłeś już w przedpokoju… On wyciągnął broń i chciał strzelać. Krzyczał, że wie o pieniądzach, które odebrałeś na Dworcu Białoruskim. Przyłożył ci pistolet do głowy i powiedział, że puści cię, jak oddasz kasę. Było gorąco. Chciałeś się bić. Wtedy ja wkroczyłam. Powiedziałam, że skoro was poznałam… – przerwała na chwilę, zaczęła nasłuchiwać i jeszcze bardziej ściszyła głos – to w takim razie wezmę odpowiedzialność na siebie i sama zdeponuję twój paszport. Musiałam długo was przekonywać, nim w końcu się zgodziliście.

– Czyli ty go masz?

– Tak.

– Tylko paszport?

– A co jeszcze?

– Nie… nic, nic – wycofał się Dima.

Pomyślał, że awantura o paszport była bezsensowna. Był wściekły na siebie, że wypił tyle alkoholu i dał się wciągnąć w niebezpieczny konflikt ze zdenerwowanym Duninem. Mógł przecież dać mu ten paszport, a w razie gdyby miał jakieś poważniejsze trudności, Warszawa i tak by go eksfiltrowała. Mają przećwiczone procedury na taką sytuację.

Gdzie jest ten pierdolony izraelski pistolet? – pomyślał i uśmiechnął się do Wiery, patrząc jej w oczy.

– Przyniosę ci wody – odpowiedziała. – Źle wyglądasz. Połóż się.

– A o czym jeszcze rozmawialiśmy?

– Groziliście sobie nawzajem, a potem Oleg kazał puścić Gazmanowa i zmuszał cię, żebyś śpiewał razem z nim, ale ty stanowczo się sprzeciwiałeś.

– Mówił coś o Angliku?

– Tak, że dzisiaj sprawa będzie załatwiona… – Wiera popatrzyła na niego z niepokojem. – Na litość boską, nic nie pamiętasz? Mówiłam ci, że z Olegiem nie będzie…

– Nie… zaczynam sobie przypominać. I co?

– Dzisiaj już będzie wolny i masz dać pieniądze, ale ty mu odpowiedziałeś, że dostanie kasę, jak tylko rodzina potwierdzi, że Anglik jest bezpieczny.

– I co on na to?

– W końcu się zgodził.

Nie jest źle – pomyślał Dima. Ale bez pistoletu, kurwa, sprawy nie zakończę.

Tymczasem Wiera podniosła się i ruszyła do wyjścia. Przytrzymując klamkę, otworzyła delikatnie drzwi i po chwili za nimi zniknęła.

Dima znowu zaczął szukać pistoletu. Przez chwilę pomyślał, że Wiera jednak może być w zmowie z Olegiem. Spili go, pewnie nawet czegoś mu

dosypali, zabrali paszport i pistolet, i teraz mają go w garści. Właściwie jest uwięziony.

Wydawało się to logiczne, wręcz bardzo prawdopodobne, bo o wszystkim miał zadecydować na końcu pistolet, którego teraz nie ma. Ale Dima zdawał też sobie sprawę, że po alkoholu raczej nie myślał logicznie. Częściej się zdarzało, że konfabulował i tracił dystans do siebie samego. Ale tym razem osiągnął stan pełnego zamroczenia i nie mógł zrozumieć, jak do tego dopuścił.

Pomyślał, że najlepsze, co mógłby teraz zrobić, to po prostu wstać i wyjść, póki Dunin jeszcze śpi. Pieprzyć paszport.

Pistoletu nigdzie nie było. Przypomniał sobie jednak, że kilka razy chodził do toalety, więc może tam go ukrył.

Idąc w samych skarpetkach, starał się zachowywać cicho, by nie obudzić Dunina, ale czuł, że jest jeszcze pijany, ma niezborne ruchy i może coś potrącić. Mimo to zaczynał myśleć coraz sprawniej.

Zamknął się od środka. Najpierw spojrzał w lustro. Wyglądał źle. Podsinione oczy i spuchnięta twarz z alkoholowym rumieniem nie pozostawiały złudzeń. Czuł się tak, jak wyglądał.

Puścił zimną wodę i oburącz kilkakrotnie zmoczył twarz, ale jej nie wytarł, pozwolił, żeby wyschła. Oddał mocz. Zrobiło mu się trochę lepiej.

Zaczął się rozglądać za miejscem, w którym mógłby ukryć pistolet. Wybór nie był duży: szafka pod umywalką albo wywietrznik.

Nie zdążył jeszcze sprawdzić, gdy ktoś szarpnął za klamkę.

– Jesteś tam, Greku? – zapytał Dunin.

– Tak, zajęte – odparł Dima i zaczął pospiesznie przeglądać szafkę.

69

Obudził się o piątej, tak jak planował. Zegar biologiczny pracował sprawnie, zupełnie jak przed wypadkiem na Gotlandii, więc Jagan był w doskonałym nastroju.

Bez trudu odnalazł wczoraj dom Ismaila Guzowa, napił się wódki na sen i zdobył policyjny pistolet. Nareszcie wszystko tylko na własny rachunek – pomyślał, kiedy otworzył oczy.

Założył ręce za głowę i zdecydował się poleżeć jeszcze dziesięć minut, żeby powtórzyć plan dnia. Jest krótki i prosty, ale powtórzyć nie zaszkodzi – doszedł do wniosku, patrząc w ciemne okno. Problemy zaczynały się tam, gdzie plan się kończył. A kończył się na samym początku i trochę go to denerwowało. Zwłaszcza że wczoraj Dunin mocno naciskał i Jagan odniósł wrażenie, że może on mieć jakieś kłopoty. Nie lubił farbowanych twardzieli, bo tacy zawsze wymiękają, kiedy pojawiają się pierwsze problemy. Dunin wprawdzie na takiego nie wyglądał, ale gdyby miało być inaczej, Jagan mógłby winić tylko siebie, bo sam zgodził się wziąć tę robotę, i to denerwowało go jeszcze bardziej.

Brak czujności u inwalidy specnazu to śmierć – pomyślał i nastrój nieco mu się pogorszył.

Wstał i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pobiegać, zanim weźmie prysznic. W końcu uznał wczorajszą przebieżkę za zaliczoną, więc

ruszył wprost do łazienki. Ogolił policzki, głowę i ze szczoteczką do zębów wszedł pod strumień wody.

O piątej dziesięć siedział już przy stole i jadł blina, popijając kefirem. Przed nim leżał pistolet Glock 17. Jagan dobrze znał tę broń, lecz jej nie cenił. Nie było na świecie lepszego pistoletu niż rosyjska Giurza, uważał.

Ale na taką dziecinną robotę wystarczy i glock – pomyślał, wsuwając go za pasek.

Włożył kurtkę i wełniankę, wyciągnął na wierzch kaptur. Do tego ciemne okulary. Przejrzał się w lustrze. Obrócił się prawym bokiem, potem lewym, opuścił czapkę bardziej na czoło i stwierdził, że może ruszać do pracy.

Była piąta dwadzieścia pięć, kiedy wyszedł na ulicę. Głęboko wciągnął przez nos rześkie poranne powietrze, przetrzymał w płucach, jakby chciał je ogrzać, i wypuścił jak parowóz parę.

Do Breigata 9 na Grønland dotarł w ciągu kilku minut. Już delikatnie szarzało, ale Jagan nie spotkał po drodze żadnego przechodnia. Minęły go jedynie dwa samochody, rowerzysta i biegacz. Oslo dopiero się budziło.

Pobożni muzułmanie z Grønland szykowali się do pierwszej porannej modlitwy. Ismail Sulejmanow był pobożny, więc Jagan liczył na to, że zastanie go w domu i będzie mógł z nim porozmawiać. Ustali, gdzie jest kobieta z dzieckiem, sfotografuje ją, wyśle zdjęcia do Dunina, odczeka godzinę, dwie, aż ten potwierdzi zakończenie roboty, i następnego dnia będzie z powrotem w Aleksandrowce. Miał już nawet wykupiony bilet na samolot.

Taki był plan, prosty i łatwy. Zbyt prosty i łatwy, by mógł się spełnić – Jagan o tym wiedział, ale nie miał awaryjnego. A właściwie miał jeden: jeśli się okaże, że Ismail nie wie, gdzie jest kobieta Tygrysa, to go

zlikwiduje i wróci do Rosji. Ale jeśli wie, to powie na pewno. W to akurat Jagan nie wątpił. Potrafił przesłuchiwać Czeczenów.

Stanął przy żelaznej bramie i przez chwilę obserwował okna na czwartym piętrze, które zgodnie z jego obliczeniami musiały należeć do mieszkania Ismaila. Były ciemne. W całym domu światło paliło się tylko w dwóch oknach.

Sprawnie wspiął się na bramę i wylądował po drugiej stronie. Na torze przeszkód był najlepszy w kompanii i potrafił zeskoczyć z sześciu metrów bez przewrotki, ale teraz, kiedy dotknął nogami ziemi, poczuł ostry ból w plecach i zrobiło mu się ciemno przed oczami, jakby otworzyły się rany.

Podbiegł szybko do ściany i kucnął. Zaczął głęboko oddychać, próbując opanować ból, który dotarł już do mózgu. Jeszcze nigdy nie czuł się tak źle. To nie był dobry znak – jakby smok wspiął się pazurami – i Jagan nieco się zaniepokoił.

Odczekał, aż ból zacznie się rozchodzić. Wstał i oparł się rękami o ścianę. Stał tak całe dwie minuty, plując pod nogi, zanim uznał, że może już iść. Na wszelki wypadek wziął dwie tabletki przeciwbólowe. Sprawdził jeszcze, czy podczas skoku nie zgubił pistoletu, i ruszył w stronę bramy numer 9.

Tak jak poprzednio drzwi były otwarte. Na klatce schodowej panowała cisza. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nic nie słyszał, żadnych niepokojących dźwięków. Wsiadł do windy i nacisnął czwórkę. Powinien wejść po schodach, ale wciąż jeszcze czuł w plecach ból, więc chciał zaoszczędzić trochę siły.

Na czwartym piętrze podszedł do drzwi z napisem Ismail Sulejmanow. Stanął tak blisko, jak tylko mógł, położył na nich dłonie i na moment zamknął oczy. Wsłuchiwał się w ciszę, próbował wyczuć, czy po drugiej stronie nie czai się zagrożenie. Wcześniej potrafił przewidzieć

niebezpieczeństwo, uratować własne życie i ostrzec towarzyszy, ale po wyjściu ze szpitala jeszcze tego nie próbował. To był pierwszy raz, kiedy znów miał zaryzykować.

I nie czuł nic, zupełnie nic. Zwykła pustka i kłujący ból w trzech miejscach. Żadnego drżenia smoka. Ale to nie oznaczało, że jest bezpieczny.

Może to dlatego, że cała ta misja to jakaś dziecinada… nic poważnego – pomyślał i nacisnął sprężynowy dzwonek, który zaterkotał głucho.

Po kilkunastu sekundach zachrzęścił zamek i drzwi otworzyły się na oścież.

Stanął przed nim niski, chudy, rozczochrany mężczyzna we flanelowej piżamie w paski. Patrzył jednym okiem. W miejscu drugiego miał zasklepiony pusty oczodół, który wyglądał jak odbyt. Jagan zaniemówił. Poczuł najpierw wstręt i od razu pomyślał, że ten człowiek powinien nosić przepaskę. Pierwszy raz ktoś tak na niego patrzył. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jednooki nie może wyrazić swoich emocji tak jak ci, którzy mają oboje oczu. Nie był w stanie się zorientować, czy Ismail jest zły, zaspany, zaskoczony, czy wie, kim jest gość.

– Ismail Sulejmanow? – zapytał po rosyjsku i spróbował się uśmiechnąć.

– Przecież jest napisane na drzwiach – odparł hardo Ismail. – A ty kto taki?

– Ja od Issy Ułajewa…

– Nie znam.

Ismail chciał już zamknąć drzwi, ale Jagan spodziewał się takiej reakcji i wcześniej wsunął stopę w szczelinę.

– Nie pierdol, koźle! – Pchnął drzwi tak mocno, że aż starca odrzuciło do tylu. Dopiero gdy Ismail oparł się o ścianę, zobaczył, że on nie ma też ręki. – Nie stawiaj się, bo będę musiał zrobić ci krzywdę. A nie chcę.

Zamknął za sobą drzwi i wziął Czeczena za kark. Weszli do pokoju, który miał pełnić funkcję salonu. Stare skórzane meble, wytarty perski dywan, wielki telewizor na ścianie i sięgający sufitu regał z filmami DVD. To wszystko zatopione w powietrzu przetrawionym przez tani turecki tytoń.

Posadził Ismaila w fotelu i sam usiadł naprzeciwko.

– Załatwimy sprawę i sobie pójdę. Naprawdę nie chcę zrobić ci nic złego… nic do ciebie nie mam…

Jagan mamrotał, bo nie mógł zebrać myśli. Nie wiedział, jak ma się zachować wobec bezbronnego kaleki. Pierwszy raz miał takiego przeciwnika i na samą myśl, że może będzie musiał go przydusić, robiło mu się niedobrze.

Ten pierdolony Dunin na pewno wiedział, że Sulejmanow to jakaś pomyłka, zabaweczka… i mnie wypuścił, bladź! Co ja tu robię? – pomyślał, unikając wzroku Ismaila. No… trzeba jakoś dokończyć robotę.

– Issa Ułajew to przecież twój kuzyn – zaczął – więc nie kręć, capie, bo ci obetnę drugą rękę.

– Nie znam żadnego Ułajewa…

– Nie denerwuj mnie – przerwał mu Jagan i wyciągnął pistolet. – Nie bądź taki szejtan. Dżygit jesteś? Skąd te rany?

– Jestem inwalidą, ale to nie twoja sprawa – odparł twardo Ismail, wyciągnął chusteczkę higieniczną i wytarł nos.

– No i chuj! Ja też jestem inwalidą. Może to ja cię tak urządziłem. Trochę nastrzelałem tych waszych dżygitów.

– Czego ty chcesz, Ruski? Wojna już dawno się skończyła. Pokój na Kaukazie…

– No! – Jagan uśmiechnął się niewyraźnie. – Zaczynasz w końcu mówić do rzeczy. Po to przyjechałem, żeby przypieczętować pokój.

– To po co ci ten pistolet? Grozisz mi? Z jakiego powodu? Nigdy nie byłem bojownikiem i nawet nie umiem strzelać – próbował się bronić Ismail.

– Dobra, dobra… wy wszyscy tak mówicie, a za plecami w drugiej ręce kindżał…

– Człowieku, ja mam tylko jedną rękę. Mów, po co tu przylazłeś z pistoletem, źle się czuję… chory jestem.

– Muszę porozmawiać z żoną Issy, a ty masz z nią kontakt i mi pomożesz, bo nie znam jej numeru. – Jagan przeszedł do sedna sprawy. – Daj mi swój telefon.

– Nic nie wiem o żonie jakiegoś Issy. Nie mam pojęcia, kto to jest. Mylisz mnie z kimś. – Ismail wciąż się bronił, ale Jagan słyszał fałsz w jego głosie.

Jasne było, że nie potrafi kłamać i jest słabym, wrażliwym człowiekiem. Ktoś, kto ogląda tyle filmów i ma jedno oko, nie może być wojownikiem, który wie, czego chce, i potrafi zawalczyć o siebie – pomyślał Jagan i postanowił przycisnąć Ismaila.

– Gdzie masz telefon? – zapytał i rozejrzał się wokół. – No gdzie? – Spojrzał na Czeczena, który milczał, ale z jego twarzy wciąż nie można było nic wyczytać. – Nooo… dawaj!

Ismail siedział nieporuszony i z każdą upływającą sekundą Jagan był coraz bardziej pewny, że dobrze trafił. Telefon był kluczem do rozwiązania sprawy.

– Żaden z ciebie konspirator, szejtan. – Jagan był zadowolony ze swojego odkrycia. – Ale to właściwie dobrze, bo załatwimy sprawę i wszyscy będą zadowoleni. Nikomu nic się nie stanie. To gdzie on jest? – Obejrzał się w stronę drugiego pokoju. – Na pewno ładuje się przy łóżku. Tam śpisz?

Jagan wstał i Ismail natychmiast też się poderwał.

– Siadaj i nie ruszaj się, bo… – Rosjanin pogroził mu pistoletem.

Wyszedł tyłem, wciąż obserwując stojącego Ismaila. Tak jak przypuszczał, na stoliku obok rozgrzebanego łóżka leżał między lekami smartfon. Chwycił go i czym prędzej wrócił do salonu.

– Mówiłem, żebyś usiadł. – Podszedł do Ismaila i pchnął go lufą pistoletu. – Nie nosisz opaski na tym oku? – zapytał, ale Czeczen nie odpowiedział.

Jagan wrócił na swoje miejsce. Położył pistolet na kolanach i włączył smartfon.

– Miałem taki sam Iphone7 – stwierdził zaskoczony. – Hasło czy palec? Na pewno palec, bo masz tylko jedną rękę.

Podszedł do Ismaila od tyłu, chwycił go za przegub dłoni i drugą ręką wykręcił mu kciuk. Czeczen, choć był słaby, próbował stawiać opór, ale kiedy Jagan zacisnął na jego palcu swoją stalową dłoń, zasyczał tylko i się poddał. Telefon się zalogował.

Jagan usiadł na fotelu i stwierdził, że zabezpieczenie dostępu nie jest włączone.

– Błąd. Nooo, leniuszek jesteś… Ale to ci tylko pomoże, bo szybciej sobie pójdę. Odnajdziemy żonkę twojego kuzyna, a ty będziesz mógł się obwiniać jedynie o to, że nie zabezpieczyłeś telefonu. Drobiazg, nie? Taka drobna wina tylko… Zaczniemy… zaczniemy… zaczniemy od esemesów… O! – Jagan przesuwał palcem po ekranie. – Na pewno piszecie do siebie po rosyjsku. Świetnie!

Nacisnął zieloną ikonkę Wiadomości i na ekranie wyświetliła się lista korespondencji. Zaczął sunąć palcem w dół. Pojawiły się nazwiska, imiona, nazwy zapisane alfabetem łacińskim oraz po norwesku. Jagan założył jednak, że dwoje Czeczenów będzie pisać do siebie po rosyjsku, i zaczął od

szukania cyrylicy. Liczba esemesów była niewielka i nie znalazł wśród nich nic ciekawego. Spojrzał na Ismaila, który siedział sztywno jak posąg, śledząc uważnie każdy jego ruch i raz po raz pociągając nosem.

– Nie gap się tak. I załóż sobie opaskę na to ślepe oko, bo mnie denerwujesz i nie mogę się skupić.

Ismail ani drgnął.

Jagan przesunął stronę w telefonie i znalazł aplikację WhatsApp do rozmów szyfrowanych. Dostrzegł zapisaną cyrylicą niejaką Ałłę, która używała norweskiego numeru. Ismail rozmawiał wyłącznie z nią, i to czasem po kilkanaście razy dziennie. Jagan otworzył korespondencję. Było tylko pięć zapisanych informacji, wszystkie z wczorajszą datą. Dwie przychodzące i trzy wychodzące. Ałła pytała, czy kupił ryż, a Ismail potwierdzał, potem przypominała mu, że Asa ma za tydzień urodziny, a on dwukrotnie odpisywał, że pamięta i że już kupił jej prezent. Nic więcej. Jagan od razu się zorientował, że Ismail musiał wykasować pozostałą korespondencję.

Częstotliwość rozmów z Ałłą wskazywała na zażyłość tych dwojga, więc powinna też być korespondencja esemesowa. Zrozumiał, że Ałła to kobieta, której szuka, bo Ismail ją ukrywa, a Asa musi być ich córką.

– Bingo! – oznajmił z wyraźnym zadowoleniem. – Ałła… to żona Issy, ale to nie jest muzułmańskie imię. Dlaczego ją ukrywasz? No i widzisz, szejtan, sam wszystko w pięć minut ustaliłem, bo zapomniałeś zabezpieczyć telefon. Zresztą i tak byś mi to zdradził, i to szybko. A teraz mi powiedz, gdzie ona mieszka, bo muszę z nią porozmawiać. To pilne, więc się nie ociągaj. – Jagan wycelował pistolet w Czeczena i wydał dźwięk mający imitować wystrzał. – No?

– To moja koleżanka z pracy…

– Tak? A gdzie pracujesz?

– W muzeum.

– Ty w muzeum? – zdziwił się Jagan. – A jakie to muzeum?

– Muncha… to taki malarz.

– Znam się trochę na malarstwie – odparł Jagan pewnym siebie głosem. – Ale o takim malarzu nie słyszałem. Zresztą co oni tu mogą wiedzieć o malarstwie? W tej całej Norwegii mieszka mniej ludzi niż u nas na Chimkach. I co? Z jednym okiem cię przyjęli? Coś kręcisz albo to takie muzeum. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju. – No, to gdzie mieszka ta twoja koleżanka? Tak do siebie dzwonicie w pracy? Nie rób ze mnie idioty.

Ismail zamilkł i zaczął kasłać. Ze spuszczoną głową wyglądał jak dziecko przyłapane na kradzieży czekoladek. Przestał się wpatrywać ślepym okiem, więc Jagan poczuł się trochę pewniej. Stanął za nim, położył mu ręce na ramionach i mocno ścisnął. Ismail drgnął, jakby poczuł ból, i Jagan pomyślał, że próbuje się wymsknąć, więc zacisnął dłonie jeszcze mocniej.

Zwykle miał do czynienia z ludźmi, którzy nie okazywali strachu, więc wiedział, jak z nimi postępować. Potrafił przełamać każdy zespolony opór psychiczny i fizyczny człowieka, ale tym razem czuł pod swoimi dłońmi rachityczne, suche, drobne ciało inwalidy. To było bardzo nieprzyjemne. Przez chwilę zaczął się zastanawiać, co ma zrobić z tym opornym Czeczenem, jak zmusić go do współpracy, lecz nie miał żadnego pomysłu, choć w takich sytuacjach zawsze wiedział, co robić.

Poluźnił nieco uścisk.

– Nie chcesz powiedzieć? – zapytał w końcu. – Zastanów się, ale nie mamy czasu, więc się pospiesz. Nie chcę cię skrzywdzić. Przyjechałem tu, żeby porozmawiać z Ałłą, nic więcej.

Wrócił na swój fotel i wyjął smartfon Ismaila, który wcześniej schował w kieszeni. Spojrzał na zegar. Było dziesięć po szóstej i dom przy Breigata

9 zaczynał się budzić.

– Mogę zapalić? – zapytał Ismail.

– Pal – odparł Jagan, przeglądając smartfon. – To szkodliwe. Allah ci nie powiedział?

Znów otworzył aplikację WhatsApp i zaczął sprawdzać, w jakich godzinach dzwoniła Ałła.

Ona musi mieszkać gdzieś tu blisko… kup to, kup tamto… nie zapomnij… przynieś mi to… Jagan przechodził to samo, kiedy mieszkał z Galą, więc był przekonany, że się nie myli. Przejrzał jeszcze raz telefony i zauważył, że to głównie Ałła dzwoni do Ismaila. Czasami nawet bardzo wcześnie.

– Wydmuchuj w bok, bo ci przypierdolę – rzucił do Czeczena, nie podnosząc głowy.

I nagle do niego dotarło, że Ałła przecież może w każdej chwili zadzwonić. Sprawdził. Bywały dni, że odzywała się już o wpół do ósmej.

Właściwie to wystarczy nie odbierać telefonów i sama tu przyjdzie. Przecież jej przyjaciel jest chory – pomyślał Jagan i aż się zdziwił, jakie to proste. Od razu widać, że są sobie bliscy, więc kobitka na pewno się zaniepokoi, dlaczego przyjaciel milczy. No bladź, nie może być inaczej! Eeech… Andriusza! Ty to masz łeb!

Spojrzał na Ismaila, który nerwowo palił papierosa.

Denerwuje się, cap jeden. Wie, co wymyśliłem.

Położył smartfon na stoliku przed sobą, a pistolet na kolanach.

Ismail zgniótł niedopałek w popielniczce i po chwili wahania sięgnął po następnego papierosa. Włożył do ust, ale nie zapalił. Wyprostował się w fotelu i wyglądał teraz, jakby trochę urósł, nabrał siły i pewności siebie. Spojrzał na Jagana, który natychmiast uciekł wzrokiem, ale zaraz znów na niego zerknął i odniósł wrażenie, że Czeczen coś szykuje.

Na pewno nie zamierza atakować – pomyślał – bo raczej nie jest durniem samobójcą, skoro ogląda tyle filmów i pracuje w muzeum. Pewnie będzie negocjował. Myśli, że jestem ruskim kołkiem i łatwo mnie wyrucha. Oni tak zawsze kombinują, jak nie mogą inaczej. Podstępny, głupi naród i nic się nie uczy.

– Dobrze, Ruski. Tak, Ałła to żona mojego kuzyna. Wiesz, kim on jest? – zaczął Ismail poważnie i znów wyjął chusteczkę.

– A chuj mnie to obchodzi – odparł spokojnie Jagan. – Może sobie być szejkiem, wezyrem, Bin Ladenem, Kadyrowem… mam to w dupie. Zrobię, co mam zrobić, i spierdalam do domu.

– Jak ją skrzywdzisz, zapłonie pół Moskwy i twoje plemię wyginie w mękach. Nie opłaci się nikomu – ciągnął Ismail z przekonaniem.

– Mam to w dupie. Mnie się opłaci – rzucił Jagan i po chwili dodał: – Nie zamierzam jej skrzywdzić, ale i tak się nie boję. Nie nastraszysz mnie. Pudło! A jeśli nawet…

Nie dokończył, bo smartfon Ismaila zadzwonił i pokazał się napis Ałła. Obaj zamarli, wpatrzeni w świecący i wibrujący na stole przedmiot. Jagan spojrzał na Czeczena, a on na niego i tak przerzucali się wzrokiem, dopóki telefon nie zamilkł. Nie zdążyli nic powiedzieć, kiedy odezwał się sygnał esemesa.

Dobrze się czujesz? Dzwoniłam, bo pali się u ciebie światło – przeczytał Jagan i pokiwał z aprobatą głową.

Ałła mieszka w tym domu – pomyślał. Jak nie dostanie odpowiedzi, to na pewno przyjdzie.

Spojrzał na Ismaila i po raz pierwszy miał wrażenie, że twarz starca coś wyraża. I było to przerażenie.

– To co? Teraz czekamy? – zapytał. – Zadzwoni jeszcze raz i jak nie odbierzesz, to przyjdzie sprawdzić, co się dzieje, prawda?

Wziął telefon i wstał. Wyszedł do przedpokoju i zajrzał do łazienki, cały czas mając Ismaila na oku.

– Chodź tutaj! – rozkazał.

Czeczen zgarnął ze stołu paczkę chusteczek, papierosy i zapalniczkę. Wiedział, co Jagan chce zrobić. Wszedł do łazienki i usiadł na wannie. Jagan pomyślał przez moment, że może powinien go związać, ale nie wiedział, jak skrępować jednorękiego, więc zamknął drzwi i zaryglował je krzesełkiem. Wszedł do sypialni i wyrwał przewód elektryczny od lampki, który zwinął i włożył do kieszeni.

Wrócił do pokoju, zasiadł na fotelu i wyjął z kieszeni smartfon Ismaila, a pistolet położył na kolanach. Czekał na drugi telefon od Ałły. Wszystko poszło o wiele łatwiej, niż się spodziewał. Spojrzał na ekran telefonu i odruchowo dotknął ikony Zdjęcia. Od razu się skarcił, że dotąd tam nie zajrzał.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie, a na nim kobieta w ciemnych okularach i czapce, obejmująca małą, może sześcioletnią dziewczynkę. Drobne postacie, piękne niebieskie niebo, zima, w tle statek, woda, wysoka budowla z czerwonej cegły, z wielkim zegarem. Podpis: *Aker Brygge*. Zrobione w lutym. Przerzucił dalej. Ta sama kobieta trzyma dziewczynkę za rękę. Idą zaśnieżoną aleją między szpalerem rzeźb nagich postaci. Podpis: *Park Vigelanda*.

To ona – pomyślał i przerzucił następne zdjęcie.

Na ekranie znów pojawiła się kobieta, ale tym razem bez okularów, a zdjęcie wykonano z mniejszej odległości. Jagan wstrzymał oddech, powoli powiększył obraz i poczuł, jak smok rozdziera mu skórę na plecach. Wciągnął powietrze i zamknął oczy.

– To niemożliwe… – zdążył z siebie wydusić, kiedy usłyszał dzwonek w przedpokoju.

70

Roman miał przeczucie, że to będzie nie tylko ładny, ale też ważny dzień. Może nawet przełomowy, bo sytuacja tak już nabrzmiała od faktów, że lada moment powinno dojść do eksplozji. Nie mógł jednak pozwolić, by był to proces spontaniczny, poza jego kontrolą. To on musiał być zapalnikiem, zdemaskować Wielkiego Zdrajcę i uratować majora Olewskiego.

Wstał z fotela i podszedł do *Ambasadorów*.

– Jak to mówicie? – zapytał na głos. – Posłać na czas to taktyka. Posłać tam, gdzie trzeba, to strategia. Posłać na czas tam, gdzie trzeba, i tego, kogo trzeba, to już talent. – Pokiwał głową i uśmiechnął się. – Dima jest w Moskwie, Monika w Kapsztadzie. Wszystko zrobiłem, jak trzeba, ale widać nie mam talentu.

Zadźwięczała jego komórka. Od dzisiaj to on był centralą telefoniczną całej Sekcji i musiał pilnować każdego sygnału.

– Zaraz wyślę ci link – odezwała się Ela. – Samobójstwo policjanta wyciekło już do mediów.

– Oni tam nic nie utrzymają w tajemnicy. Nie pierwszy raz…

– Co innego jest ważne. Informację podają wszystkie portale, ale źródłem jest… nasz Kontakt24. Ciekawe?

– Bardzo ciekawe, drogie dziecko. Bardzo! – odparł zadowolony Roman. – Strzał w odpowiednim momencie, w dziesiątkę, i to z naszej broni. Masz talent, Elu… masz, powiedziałby Jean.

– Kto?

– Przygotuj mi najlepsze dostępne zdjęcia tych wojowniczych kompanów policjanta. Najlepiej jakieś zrobione na ulicy, by nie dało się zidentyfikować naszego lokalu. – Roman wręcz tryskał radością. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś. Ja czekam na Dimę i Monikę, a tu Ela wyważa bramę.

– Aj tam… coś kręcisz, Roman – odparła, lekko zawstydzona. – Zaraz wybiorę ci te zdjęcia i prześlę.

Kiedy się rozłączyli, Roman usiadł przed komputerem i włączył telewizję internetową Kontakt24. Na ekranie pojawił się młody dziennikarz z mikrofonem w dłoni. Stojąc na ulicy przed jakimś blokiem, informował z zadęciem o odkryciu w ursynowskim mieszkaniu ciała młodego policjanta. Sugerował samobójstwo, uzależnienie denata od narkotyków i problemy psychiczne.

Roman wybrał numer Bronka.

– Przeciekacie – powiedział z lekkim przekąsem. – Widziałeś?

– Czytałem. Sprawdzamy, kto za tym stoi. Ale wiesz…

– Wiem. Sprawdzajcie. Wydaje mi się jednak, że nie musiało być żadnego przecieku. Informacja pochodzi z dobrze znanego mi źródła, które jest powiązane z tą sprawą.

– Jak to? – przerwał mu Bronek. – To dawaj!

– To akurat niczego ci nie ułatwi, za to mnie utrudni dochodzenie. Dam ci coś znacznie, znacznie ważniejszego… – Przerwał na moment, bo jeszcze raz chciał się zastanowić, czy nie działa pochopnie i nie komplikuje sobie pracy, ale szybko uznał, że w tej chwili nie może zrobić nic lepszego.

To będzie początek prawdziwej kontrofensywy – pomyślał, trzymając słuchawkę przy uchu.

– Co mi dasz, do jasnej cholery? – odezwał się zniecierpliwiony Bronek. – Jesteś tam, dziadu?

– Jestem, jestem, stary glino – odparł Roman. – Zaraz ci prześlę fotografie i film z zabójcami twojego policjanta, potencjalnymi zabójcami. A właściwie też jego wspólnikami. Znajdź ich! Najlepiej, żeby te zdjęcia poszły szeroko w mediach…

– Ja pierdolę! – Walczak był mocno poruszony. – Dopiero teraz mi to dajesz? Przecież oni… skąd to… jak…

– Dopiero teraz zrozumiałem, że to może być dobry sposób na zdenerwowanie i sprowokowanie Wielkiego Zdrajcy. Nie muszę ci mówić, że ci ludzie są bardzo niebezpieczni i najprawdopodobniej nawet nie są Polakami.

– Jakiego zdrajcy? No dobrze… dawaj…

– Sam musisz ukryć pochodzenie tej informacji. Znajdź jakiegoś słupa…

– Dawaj! Nie pouczaj mnie, wiem, co trzeba zrobić.

– Dałem ci zwłoki, dałem zabójców, awansujesz i zostaniesz komendantem głównym. Teraz ty zrób coś dla mnie. – Roman mówił z czytelną ironią. – Zrobisz?

– Wolałbym, żeby nie zginął żaden policjant i nie potrzebuję żadnego awansu, więc mnie nie denerwuj. Czego chcesz?

– No dobrze… przepraszam. – Roman zmienił ton. – Na miejscu twojego policjanta, który nie był dobrym gliną, leżeliby teraz podziurawieni moi oficerowie, a ty jeździłbyś w Bieszczady sam. – Przerwał na chwilę. – Potrzebuję porozmawiać z pewnym człowiekiem. Chciałbym, żebyś pod jakimś pretekstem wezwał go na jutro do komendy. I najlepiej, żeby na przesłuchanie został dowieziony przez dwóch rosłych i wyjątkowo gburowatych policjantów. Niechby poczuł zagrożenie…

– Da się zrobić, trochę takich mamy. Ale po co to?

– Zamierzam go przesłuchać.

– Ty?

– Tak. W związku z tym zabójstwem.

– Dobrze. Zrobimy to na Wilczej, ale muszę trochę wtajemniczyć komendanta. To porządny policjant, nie zadaje niepotrzebnych pytań, ale na wszelki wypadek coś wymyślę.

– Tylko ani słowa, że jestem z wywiadu. Mam policyjną blachę.

– Jasne. Ale kto to ma być?

– Józef Kubiak, poseł…

– O ja pier… – nie wytrzymał Walczak. – To ten król soku jabłkowego z… Narodu i Wolności? – I po chwili dodał: – A wiesz… zrobimy to z przyjemnością, nawet jeżeli trzeba będzie nagiąć trochę prawo. Mają tam na komendzie taką zasadę: nie Paryż, nie Wiedeń, tylko Wilcza dwadzieścia jeden.

– To zadzwoń, jak będzie gotowe.

– Okej.

W skrzynce e-mailowej była już wiadomość od Eli. Otworzył po kolei każdy z dziesięciu załączników. Siedem zdjęć i trzy filmy. Zajęło mu to kilka minut, ale przejrzał wszystko uważnie, choć wiedział, że Ela nie popełniłaby błędu. Chciał sobie przypomnieć twarze tych mężczyzn, poczuć atmosferę tamtych chwil. Zauważył, że jego umysł zaczyna coraz szybciej i dokładniej syntetyzować fakty i emocje, więc postanowił odświeżyć ten wątek. Był niemal pewny, że żadnego nie uda się ująć. Byli profesjonalistami i musieli liczyć się z tym, że zostaną zidentyfikowani, więc z pewnością przygotowali się na taką okoliczność. Poza tym, że kontaktowali się z policjantem, który popełnił samobójstwo, nie było powodów, by ich ścigać. Bo o włamaniu do tajnego lokalu Agencji Wywiadu nie mógł Bronkowi powiedzieć.

Mail od Eli przekierował do Walczaka. Kątem oka spojrzał na tabliczkę połączeń swojego telefonu stacjonarnego. Przy nazwisku Walewski zapaliła się czerwona lampka. Odczekał chwilę, aż zgaśnie, i sięgnął po słuchawkę.

– Jesteś teraz wolny? – zapytał, gdy tylko pułkownik odebrał.

– Za godzinę – odparł Walewski i dopytał: – Coś się stało?

– Nic takiego… nic specjalnego, ale chciałem pogadać. Mam kilka pytań w sprawie Rzeźbiarza i chciałem się z tobą skonsultować. Zwyczajnie…

– To wpadnij za… pół godziny. Tylko coś załatwię i możemy wypić kawę.

– Dobrze. – Roman odłożył słuchawkę. – Chyba tylko on jeden nie wie, że nie pijam kawy – powiedział na głos.

Dobrze wybrałem pierwszy cel. Walewski to najsłabsze ogniwo, kruchy charakter, cynik i karierowicz… słaby gracz, łatwy do przejrzenia. Taki szybko się spala w swoim płomieniu. Od razu widać, jakie karty dostał na rękę. Opinia Brauna bardzo dobra… celna… chłopak daleko zajdzie… Walewski chciwy… a pragnienia często zaślepiają człowieka, więc jest podstawa do zdrady… – kombinował Leski i coraz bardziej był przekonany, że zmierza we właściwym kierunku.

Przyciągnął do siebie grubą teczkę z napisem *Mocarz*. Znał ją już niemal na pamięć, ale tym razem postanowił nie czytać dokumentów, tylko je obejrzeć. W raportach i notatkach nie znalazł nic, co budziłoby podejrzenia. Nie mógł postawić ani jednego pytania, na które nie udzieliłby logicznej odpowiedzi. Wszystko miało swój początek i koniec, jak w prostym kryminale. Mimo tak skomplikowanej fabuły.

I nagle poczuł, że w tej teczce kryje się jakaś tajemnica. Już sam jej wygląd nie dawał mu spokoju. Sprawiała wrażenie, jakby została wyprodukowana w drukarni na zlecenie wydawnictwa. Pomyślał, że gdyby nie wiedział, jakim człowiekiem jest major Kwiecień, to nie uwierzyłby, że

można układać, wpinać i opisywać dokumenty z takim pietyzmem. Górne i dolne rogi każdej kartki przylegały do siebie z taką dokładnością, jakby były przycięte przez introligatora.

Chwycił ostrożnie za górny prawy róg kartki, lecz nawet nie zdążył jej przewrócić, bo zadzwonił służbowy telefon i przy nazwisku Walewski zapaliła się czerwona dioda.

– Już jestem wolny, więc… – zakomunikował miłym głosem zastępca szefa.

– Zaraz przyjdę – odparł Roman obojętnie i odłożył słuchawkę.

Spojrzał na zegar. Minęło dziesięć minut od poprzedniej rozmowy.

Denerwuje się – pomyślał z satysfakcją. Najpierw godzina, potem pół godziny, a teraz dziesięć minut. W takim razie przetrzymam go jeszcze kwadrans, żeby porządnie dojrzał.

Wrócił do kartkowania sprawy „Mocarz”, jednak ten telefon wybił go z rytmu. Roman zapomniał, o czym myślał.

71

Naciągnął kominiarkę na twarz i wyszedł do przedpokoju. Minął drzwi łazienki, w której Ismail mówił coś po czeczeńsku i nerwowo szarpał za klamkę.

Dzwonek odezwał się drugi raz. Jagan przekręcił zamek, który cicho zachrzęścił. Drzwi otworzyły się natychmiast i do środka weszła energicznie kobieta o czarnych włosach spiętych w długi koński ogon. Ubrana w czarny sweter i dżinsy, w dłoni trzymała pęk kluczy i telefon.

– Co się…

Nie dokończyła, bo Jagan, ukryty za drzwiami, zacisnął jej ramię na szyi i przystawił do głowy pistolet.

– Ani drgnij! – rzucił cicho, pchnął plecami drzwi i szybko przekręcił zamek. – Rób, co mówię, a nic ci się nie stanie.

Kobieta nie stawiała oporu, ale wyraźnie spięła ciało i Jagan wiedział, co to znaczy. Musiał być bardzo ostrożny, nawet bardziej niż wtedy, kiedy krył się w górach przed ludźmi Muhamedowa.

Trzymał ją za szyję i powoli przesuwali się razem do pokoju.

Wszystko miało pójść gładko, pokojowo, bez rozlewu krwi. I szło do tej chwili. Ale teraz Jagan nie był już taki pewny, że wyjdzie z tego cało. Przez chwilę pomyślał, że może po prostu powinien ją puścić i wyjść. Nie widziała jego twarzy. Ale widział ją Ismail. Tak czy inaczej, byłoby to

zwykłe tchórzostwo, na które jako żołnierz specnazu nie mógł sobie pozwolić, szczególnie przy Czeczenach.

Najgorsze okazało się jednak to, że nie była to żadna Ałła, Czeczenka jak inne.

Jagan trzymał za szyję Aminę Bogajewą, najdzielniejszą wojowniczkę Kaukazu, która od zawsze żyła w jego świadomości. Ale po raz pierwszy jej dotykał i miał wrażenie, jakby niespodziewanie odnalazł zagubioną część własnego ciała i dopiero teraz był całym sobą. Czuł poranny zapach jej wilgotnych włosów, ciepło ciała i pod ramieniem spokojnie falujące piersi. Nie bała się.

Weszli do salonu. Z łazienki wciąż dochodziły odgłosy szarpaniny Ismaila, który próbował sforsować drzwi. Jagan położył Aminę na kanapie plecami do góry i dociskając kolanem, wykręcił jej do tyłu ręce, po czym związał je przewodem elektrycznym. Wyjął jej z dłoni pęk kluczy. Następnie chwycił ją za ramiona i posadził na kanapie. Dopiero teraz mógł zobaczyć jej twarz.

To była ta sama Amina, którą zostawił kiedyś w opuszczonej kaukaskiej wiosce. Patrzyły na niego te same błyszczące nienawiścią oczy, które pierwszy raz ujrzał w zburzonej wsi na Kaukazie, kiedy miała kilkanaście lat. Była teraz kobietą i nienawiść w jej oczach już dojrzała, a teraz wyrażała wściekłość matki, która zostawiła swoje potomstwo bez opieki. Jagan musiał się spieszyć, bo wiedział, że Amina za chwilę zaatakuje, a nie mógł jej przecież zabić. Nie chciał. Mógł zabić każdego, tylko nie ją, i to nie dlatego, że Dunin nie pozwolił jej skrzywdzić, ale dlatego, że ją kochał. Jagan nie wiedział zbyt dokładnie, co to jest miłość, lecz nikt nie był mu tak bliski jak Amina. Zrozumiał to dopiero teraz, kiedy siedziała związana naprzeciw niego, patrzyła nań wzrokiem pełnym nienawiści, a on mierzył do niej z pistoletu. Przez chwilę pomyślał, że powinien zdjąć kominiarkę

i pokazać jej twarz, żeby sobie przypomniała Andrieja Trubowa, ale uznał, że na to jest jeszcze za wcześnie. Nie wiedział, jak Amina zareaguje na jego widok, a do tego bał się, że straci nad sobą kontrolę, zrobi coś wbrew swojej woli i ją skrzywdzi.

– Czego chcesz? – zapytała hardo.

– Nie bój się… – odparł niepewnie Jagan. – Nie skrzywdzę cię. Zrobię ci tylko zdjęcie, wyślę je do jednego gościa w Moskwie, poczekamy na odpowiedź i potem sobie pójdę.

– Po co to wszystko?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. – Takie mam polecenie, a reszta mnie nie obchodzi. Gdzie jest twoja córka? Zostawiłaś ją w domu? Samą? No tak…

Nagle z twarzy Aminy znikło spojrzenie twardej wojowniczki i zastąpił je zatrwożony wzrok matki. Jagan zrozumiał, że trafił w dziesiątkę i zneutralizował zagrożenie. Musiał teraz mądrze to rozegrać.

– Tak – przyznała po chwili drżącym głosem.

– Gdzie mieszkasz? Pewnie w klatce obok, skoro widziałaś światło w oknie. Trzeba po nią pójść, bo się na pewno denerwuje. Ile ma lat?

– Pięć.

– Przyprowadzę ją… – zaproponował spokojnie i widząc przerażenie na twarzy Aminy, zorientował się, że przecież ma na sobie kominiarkę, więc dodał: – Zdejmę to, oczywiście.

– Nie pójdzie z tobą, nie zna rosyjskiego – odparła. – Ja pójdę…

– Nie – przerwał jej Jagan. – Zaczekasz tutaj, a ja pójdę z wujkiem Ismailem. Sama rozumiesz, że głupio by wyszło, gdybyś uciekła albo zaczęła coś kombinować. Rozumiesz? Jaki jest numer twojego mieszkania? – Wycelował w nią pistolet.

– Sto trzydzieści… czwarte piętro – odparła niespiesznie.

Jagan schował broń za pasek. Jednym ruchem zgarnął ze stołu jej klucze i telefon, które wsunął do kieszeni. Spojrzał w stronę Aminy. Pomyślał, że może powinien skrępować jej nogi i zakneblować usta, bo z taką Czeczenką jak ona nigdy nic nie wiadomo, ale rozpaczliwe spojrzenie, jakie mu posłała, wskazywało, że na pewno nie będzie ryzykować życia dziecka.

Odsunął krzesło i otworzył drzwi do łazienki. Ismail siedział na krawędzi wanny.

– Jakie ona ma nazwisko? – zapytał.

– Sulejmanow – odparł starzec po chwili wahania.

– Takie jak ty?

– Bo to moja siostra.

– Łżesz jak każdy Czeczen. Jej bracia nie żyją. A tu pewnie udaje twoją siostrę, żeby dostać pobyt. Cwaniaki kaukaskie, tak ją tutaj ukrywacie.

Jagan cofnął się kilka kroków, żeby sprawdzić, co robi Amina, i kiedy się upewnił, że spokojnie siedzi w tym samym miejscu, wrócił do Ismaila.

– Jaki jest numer jej mieszkania? – zapytał. – Pójdziemy po małą, żeby się nie denerwowała. Uzgodniłem z Aminą, że przyprowadzimy ją tutaj…

– Pięćdziesiąt pięć – odparł pewnym głosem Ismail.

– Nic nie kombinuj, baranie, bo cię zaraz odstrzelę – spokojnie rzucił Jagan. – Numer! Piętro?

– Czwarte piętro… – odpowiedział Czeczen i po chwili dodał: – Sto trzydzieści.

– Teraz się zgadza. Idziemy. Zawsze tak kłamiesz, capie? Co za człowiek…

Ismail wyszedł z łazienki, ale Jagan nie pozwolił mu się cofnąć i zobaczyć Aminy. Pchnął go w stronę drzwi. Wyjął klucze z zamka i wyszli na klatkę schodową. Zamknął drzwi od zewnątrz. Ściągnął kominiarkę.

Asa jeszcze spała. Była ładną dziewczynką o długich czarnych włosach, z grzywką opadającą na wyraziste brwi nad okrągłymi wesołymi oczami. Ucieszyła się na widok Ismaila i objęła go za szyję, ale kiedy dostrzegła stojącego za nim Jagana, natychmiast spoważniała. Ismail powiedział do niej coś po czeczeńsku, wziął dziewczynkę za rękę i przeszli do drugiego pokoju. Po chwili wrócili z dużym brązowym misiem. Asa sama włożyła różową puchową kurtkę i wsunęła nogi w zielone botki.

– Możemy iść – oznajmił Ismail.

Wrócili w ciągu kilku minut. Jagan naciągnął kominiarkę i Asa zaczęła płakać. Kiedy weszli, Amina stała już przy drzwiach. Uklękła przed dziewczynką, mówiąc coś szybko po czeczeńsku i całując ją po twarzy. Jagan przekręcił klucz w drzwiach. Podniósł opierającą się Aminę i rozwiązał jej ręce.

– Idźcie do salonu – rozkazał. – I bez wygłupów. Zrozumiano?! – rzucił głośniej i pchnął Ismaila pistoletem w plecy. – Wszyscy na kanapę.

Wszedł za nimi. Asa usiadła na kolanach Aminy, schowana w jej ramionach, a Ismail obok. Jagan spojrzał na nich i zrobiło mu się dziwnie, poczuł ucisk w gardle, jakby olbrzym złapał go dłonią za szyję i próbował przydusić. To było tak niezwykłe doznanie, że aż przełknął ślinę i odruchowo dotknął dłonią twarzy.

Inwalida patrzący ślepym okiem, wojowniczka pozbawiona honoru i przerażone dziecko. Żałosny widok, właściwie poniżający. Jagan czuł się w kominiarce jak zwykły bandyta, a nie żołnierz specnazu. Żałował, że dał się wciągnąć Duninowi w tę aferę, ale zaszedł już za daleko i musiał dokończyć robotę. Obiecał sobie jednak, że jak wróci do Moskwy i odbierze kasę, to spuści pułkownikowi wpierdol. Nie lubił szpiegów, bo zawsze go oszukiwali. Tak było i tym razem.

– Teraz nakręcimy krótki film z pozdrowieniami dla Issy Ułajewa, wyślemy go i będziemy spokojnie czekać. Zrozumieli? – zapytał Jagan. – Pan Issa to mąż Aminy Bogajewej, która udaje Ałłę Sulejmanową, ojciec Asy i kuzyn Ismaila Guzowa, który udaje Sulejmanowa, czyli zrobiliście bajzel, jak przystało na rasowych Czeczenów. Wypada, byście pozdrowili pana Issę, gdziekolwiek teraz jest. Na pewno ucieszy go wasz widok.

Jagan wyjął swój smartfon i zrobił im kilka zdjęć. Potem przełączył na program wideo. Ustawił smartfon na półce i sprawdził, czy kadr dobrze obejmuje pokój. Przeszedł na drugą stronę, tak by znaleźć się w obiektywie, i przysiadł na kanapie obok Ismaila. Wyciągnął przed siebie rękę z pistoletem.

– Najserdeczniejsze pozdrowienia od rodziny z Norwegii – oznajmił. – Możecie pozdrowić waszego męża, brata i tatę – rzucił wymuszony tekst, bo choć długo się zastanawiał, co ma powiedzieć w takiej chwili, nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Nie jestem przecież jakimś kaukaskim bandziorem, porywaczem, zbójem przydrożnym, tylko żołnierzem – pomyślał i poczuł, jak wzbiera w nim coraz większa nienawiść do Dunina.

Nikt się nie odezwał ani nie poruszył, nawet Asa przestała płakać. Jagan miał wrażenie, że wszyscy troje wykazują więcej charakteru i hardości niż on. Wydawało mu się, że Amina musi na niego patrzeć jak na ostatniego śmiecia z okolic stacji elektryczki Sierp i Młot, i ta świadomość bolała go najbardziej. Czeczenka była jego jedynym przeciwnikiem godnym prawdziwego szacunku, jeśli nie miłości, a teraz musiał ją tak poniżyć. Poczuł smak krwi w ustach i wstręt do siebie. Pomyślał, że byłoby najlepiej, gdyby ją jednak zastrzelił i w ten sposób ulżył jej i sobie. Na przeszkodzie stało jednak dziecko, które też musiałby zastrzelić, no i inwalida, więc odrzucił tę myśl jako chwilowo niewykonalną.

Sprawdził, czy film się nagrał i jak wyszły zdjęcia, po czym wysłał je do Dunina. Załączył podpis: *Czekam na sygnał. Tylko szybko*. Sprawdził czas. Była siódma dziesięć, czyli w Moskwie ósma dziesięć, więc dopisał *bo cię zajebię!* i wysłał.

Wszystko poszło znacznie łatwiej, niż się spodziewał, ale wcale go to nie uspokoiło. Przerażona Amina z dzieckiem była nieobliczalna i bardzo groźna.

72

Spotkanie z Walewskim, zastępcą szefa do spraw operacyjnych, trwało dobrze ponad godzinę. Roman nigdy wcześniej nie miał okazji rozmawiać z nim sam na sam, nie licząc przelotnych spotkań na korytarzu albo w bufecie, więc znał go słabo. Dlatego nie był w stanie zweryfikować własnego wyobrażenia i informacji na jego temat z rzeczywistością. Ale po tym spotkaniu mógł sobie szczerze powiedzieć, że wciąż może polegać na intuicji.

Dopiero teraz zauważył, że pod oprawkami okularów Walewski ma grube czarne brwi, i w pierwszej chwili pomyślał, że musi je chyba farbować, bo nie pasowały do rzadkich mysich włosów na głowie.

Na naradach u Koryckiego zastępca sprawiał wrażenie człowieka inteligentnego, wręcz błyskotliwego, o głębokiej wiedzy i dużym poczuciu odpowiedzialności. Wypowiadał się z dystansem i spokojnie, czasami nieudolnie udając sfinksa. Po godzinnej rozmowie Roman był już pewien, że Walewski jest za cienki na Wielkiego Zdrajcę. Do listy jego słabości mógł spokojnie dołożyć dwa nowe punkty – tchórzostwo i mimikrę. A właściwie jeden, ponieważ w jego przypadku obie te cechy były ze sobą nierozerwalnie złączone, jakby tworząc osobliwy genotyp.

Roman był trochę zły na siebie, że nie przejrzał wcześniej Walewskiego wystarczająco wnikliwie, bo gdyby wiedział, że ten gotów jest zrobić

wszystko, byle tylko nie bolało, miałby znacznie ułatwioną sprawę i posuwałby się szybciej do przodu.

Walewski od początku wiedział, po co Leski do niego przyszedł, ale nawet o to nie zapytał, co już wystarczająco mówiło o jego charakterze. Przez pół godziny Roman tylko opowiadał mu o swoich wrażeniach i pomysłach w sprawie Rzeźbiarza, które wymyślał na poczekaniu. Były tak absurdalne, że aż sam się zdziwił, skąd ma taką wyobraźnię. Jednak Walewski podchwytywał wątki i nawet próbował je rozwijać. Gestykulował w celu poparcia swoich wywodów i zdejmował okulary, kiedy chciał pokazać zadumę. Starał się przy tym sprawiać wrażenie poważnego rozmówcy i to najbardziej zainteresowało Romana. Walewski nie potrafił grać, zastępca do spraw operacyjnych, który zatwierdzał i oceniał werbunki agentury i operacje specjalne, w rzeczywistości był dobrze zamaskowanym ignorantem. To dlatego jego wpisy na dokumentach oficerów były takie lakoniczne. Na tym polegała sztuka mimikry. Bał się dekonspiracji i śmieszności.

Po półgodzinie Roman przeszedł do pytań i Walewski nagle zaczął się kontrolować. Chociaż starał się udzielać w miarę dokładnych odpowiedzi, to jednak dalej nic z nich nie wynikało. Najwyraźniej wietrzył podstęp i próbował się wycofywać na bezpieczną pozycję, by przypadkiem nie obciążyć samego siebie.

Jednak spotkanie można było uznać za bardzo udane. Żaden Wielki Zdrajca nie przyjąłby takiej roli, bo wydałaby mu się zbyt trudna do zagrania i poniżająca. Roman był niemal pewny, że ten człowiek nie założył podsłuchu u Koryckiego. Ale znacznie bardziej go zastanawiało, dlaczego szef Korycki, człowiek wyjątkowo inteligentny, zrobił swoim pierwszym zastępcą do spraw operacyjnych, czyli najtrudniejszej strony pracy wywiadu, kogoś tak niekompetentnego. Przecież rozumiał, że skoro sam się

na czymś nie zna, to może tylko polegać na doświadczonym profesjonaliście. Walewski nim nie był i Korycki musiał o tym wiedzieć.

Walewski skończył Kiejkuty w 1992 roku i przez trzy lata pracował na Węgrzech. Kiedy Korycki pojawił się pierwszy raz jako szef wywiadu i kompletował sobie kierownictwo, awans Walewskiego wzbudził spore poruszenie, bo był to pierwszy skok z zastępcy naczelnika na stanowisko zastępcy szefa. Wszyscy typowali Pańskiego, który jednak dziwnie lekko przełknął tamtą nominację i przeszedł nad nią do porządku dziennego. I tak był szarą eminencją u boku Koryckiego, który bez konsultacji z nim nie podjął żadnej ważniejszej decyzji.

Roman też tak postrzegał ten awans. Popierał promowanie młodych i zdolnych oficerów, ale przede wszystkim miał zaufanie do Koryckiego. Zresztą to nie było przedmiotem jego zainteresowań, miał inne zadania.

Aż do teraz, kiedy wszystko runęło. Pewnie nie musiałby się tym w ogóle zajmować, gdyby nie porwanie majora Olewskiego i Wielki Zdrajca, który niespodziewanie ujawnił się na Miłobędzkiej. Nic dotąd nieznaczące zdarzenia nabrały nagle nowego wyrazu, a proste słowa zmieniły sens.

Roman wrócił do swojego pokoju i zaległ w fotelu. Spojrzał w okno. Nad szpitalem nie było ptaków. Podszedł do wieży Sony i wcisnął przycisk Play. Po chwili pomieszczenie wypełniły pierwsze takty *VII symfonii* Beethovena. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy za najlepszą uważają *IX symfonię*. Żaden utwór muzyczny nie wyzwalał w nim takich pokładów emocji i inspiracji jak właśnie siódemka. Dlatego słuchał jej oszczędnie, najwyżej dwa razy z rzędu i tylko w ważnych momentach, tak by się nie zdewaluowała jej tajemnicza wartość. Miał godzinę i szesnaście minut.

Po chwili przeszedł do stolika i zaparzył sobie herbatę w kubku, przykrył talerzykiem i przytrzymując go dłonią, wrócił za biurko. Otworzył swój kołonotatnik i dużymi drukowanymi literami napisał: Błaszczyk, Braun, Walewski. Po czym przekreślił żółtą kartkę na skos, wyrwał i włożył do niszczarki.

Na biurku leżała teczka sprawy „Mocarz” rozłożona na stronie 246, czyli tam, dokąd dotarł, zanim wyszedł na spotkanie z Walewskim.

Była to pierwsza strona raportu, w którym pułkownik Pański przeprowadzał analizę kontaktów majora Olewskiego z generałem Jewgienijem Kowalowem. Roman znał treść niemal na pamięć i nie musiał czytać. Obszerny, odtwórczy i nudny dokument, ozdobiony parafami wszystkich szefów, nie wnosił do sprawy nic nowego, a przecież powinien. Dogłębna analiza i wnioski na przyszłość, taki był cel sporządzania tego typu raportów. A ten porządkował jedynie fakty i co najwyżej ułatwiał zrozumienie następstwa zdarzeń. Pański potrafił pisać na tyle niejednoznacznie, by nie wziąć na siebie zbyt dużej odpowiedzialności, a jednocześnie zabłysnąć, więc szefowie też byli zadowoleni, bo dzięki niemu nie musieli podejmować żadnych decyzji.

Roman nie znał nikogo, kto umiałby lepiej lawirować między słowami, gdyby chciał coś ukryć. Pański był profesjonalistą w każdym calu. Fałsz czuło się od niego na odległość, ale był zbyt inteligentny i przebiegły, by dać się na czymś przyłapać.

Poza tym zajmował gabinet na czwartym piętrze, więc trudno byłoby mu obsłużyć podsłuch u Koryckiego.

Numer 246 u dołu strony raportu Pańskiego, tak jak wszystkie pozostałe otoczony czerwonym kołkiem, wpisany był ręcznie przez majora Kwietnia. Idealnie równe niebieskie cyferki z zakręconymi ogonkami sprawiały wrażenie małego dzieła sztuki i na tle komputerowej czcionki Georgia były

prawdziwą ozdobą. Roman dopiero teraz to zauważył i uśmiechnął się do siebie. Miał wrażenie, jakby major Kwiecień chciał okazać szacunek przełożonym i ożywić swoimi kolorowymi rysunkami poważne, gęsto zapisane dokumenty.

„Numerki stron wykaligrafowane przez tego majora są jak barokowanie gotyckiej budowli" – przypomniał sobie słowa Moniki, kiedy oddawała mu sprawę.

Był to drobiazg bez znaczenia, więc zatopiony w analizie dokumentów Leski nie zwracał na niego uwagi, ale teraz z lekkim rozbawieniem sobie przypomniał, że odniósł podobne wrażenie.

Przełożył następną stronę, by zobaczyć, jak major Kwiecień wyrysował cyfrę 7. I rzeczywiście to nie była siódemka jak inne. Miała falisty daszek i dodatkową kreskę w połowie nóżki.

Nikt już tak nie pisze – pomyślał i uznał, że Kwiecień jest bardziej infantylny, niż przypuszczał.

Cofnął się na pierwszą stronę raportu Pańskiego i postanowił przerzucić jedną do tyłu, by zobaczyć, jak Kwiecień wystylizował cyfrę 5, która jest przecież bardzo kształtna. Strona numer 245 powinna zamykać notatkę kapitana Brauna ze spotkania z Lolem w Moskwie.

Roman dobrze znał ten dokument.

Jak zawsze palcem serdecznym i kciukiem chwycił górny róg kartki i przerzucił ją wstecz.

W czerwonym kółeczku widniała niebieska liczba 244.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że to tylko złudzenie, omam, zwykła pomyłka. Nie uwierzył swoim zmysłom, docisnął kciukiem okulary na nosie i natychmiast przerzucił stronę w przód.

To nie było jednak złudzenie. Szybko przewertował kilka kartek w przód, kilka w tył i wszystko się zgadzało. Z jednym wyjątkiem.

Brakowało numeru 245.

Od razu skoczyło mu ciśnienie i poczuł, że czerwienieją mu policzki. Na czole pojawiły się kropelki potu, więc poluzował krawat i z trudem rozpiął o numer za mały kołnierzyk z lat osiemdziesiątych.

Oparł się w fotelu i zamknął oczy.

– Właściwie dlaczego tak się przejąłeś tym odkryciem? – zapytał na głos, przecierając dłonią czoło. – Brak jednej strony… i co z tego? Może to zwykła pomyłka majora Kwietnia podczas wpisywania, a ty zaraz myślisz, że ktoś majstrował przy dokumentach, bo chciał coś ukryć. Wychodzi na to, że ze sprawy „Mocarz” ubyła jedna strona… dwieście czterdziesta piąta. Powoli… powoli… sprawdźmy to spokojnie jeszcze raz…

Zamknął teczkę. Odczekał, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym niemal z namaszczeniem otworzył ją ponownie na pierwszej stronie. Ukazała się tabela, czyli Spis Dokumentów wypełniony tym samym kaligraficznym kolorowym pismem majora Kwietnia. Spojrzał na koniec spisu. W teczce było czterysta siedemnaście kart.

Każdy dokument miał wpisaną swoją nazwę i w rubryce obok liczbę stron, z których się składał. Roman przejechał palcem w dół i zatrzymał się na notatce Brauna. Składała się z pięciu kart. Przesunął palec niżej: w następnej linii wpisana była *Analiza kontaktów Olewskiego i Kowalowa*, czyli raport Pańskiego. Liczyła dwadzieścia jeden kart. Między notatką Brauna a raportem Pańskiego nie było jednak wpisanego żadnego dokumentu.

Notatka Brauna kończyła się na stronie 244, a raport Pańskiego zaczynał się od 246.

Jak to możliwe? – pomyślał Roman i poczuł, że krew ponownie napływa mu do twarzy.

Znowu otworzył notatkę Brauna i przeliczył karty ręcznie. Było ich pięć, liczba zgadzała się z zapisem w Spisie Dokumentów. Następnie przeliczył starannie karty w raporcie Pańskiego i tu również wszystko się zgadzało.

– Wychodzi na to, że niczego nie brakuje – powiedział zaskoczony. – To jeszcze dziwniejsze… bardzo dziwne… Trzeba przeliczyć wszystkie karty w sprawie… po kolei… jedna po drugiej… – zastanawiał się na głos. – No tak… jeżeli jest ich czterysta siedemnaście, to będzie oznaczało, że major po prostu popełnił błąd, numerując strony. Dziwne… major nie wygląda na takiego, który by się w ten sposób mylił.

Roman zawsze chwytał za górny róg karty, jakby brzydził się dotykać dolnego, uważając, że jest zbrudzony cudzą śliną. Z przyzwyczajenia robił tak nawet ze swoimi własnymi książkami, których dlatego nigdy nie pożyczał.

Przełożenie jednej karty zajmowało mu kilka sekund. Z uwagą sprawdzał poprawność numeracji każdej strony. Obawiał się, że może ich brakować więcej, więc przeliczenie całości zajęło mu prawie pół godziny.

– Czterysta szesnaście! – rzucił podniesionym głosem, chwytając ostatnią kartę, i na moment wstrzymał oddech. – Mogłem się przecież pomylić… – dodał po chwili niepewnie. – Nie wiem… Liczyć jeszcze raz? Prawdopodobieństwo, że się pomylę, jest takie samo jak poprzednim razem, więc może lepiej zadzwonię po majora Kwietnia. I tak muszę się z nim skonsultować… w końcu to on jest autorem tego wybryku archiwisty i tylko on może mi powiedzieć, co się właściwie stało.

Kwiecień odebrał natychmiast.

– Major Filip Kwiecień melduje się, panie pułkowniku – oznajmił służbiście.

– Jest pan teraz u siebie? – zapytał Roman.

– Tak jest!

– Zaraz do pana przyjdę.

73

Dima przeszukał toaletę, ale pistoletu nie znalazł. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Dunin stał z rękami w kieszeniach, oparty o ścianę, i kiwał się na boki. Bez butów, z wypuszczoną na spodnie pogniecioną koszulą i z zapuchniętą twarzą wyglądał jak kopia Dimy.

– Masz przecież łazienkę – rzucił Dima oschle.

– Wiera zajęła – odparł równie ponuro Dunin i wszedł do toalety, trącając go ramieniem.

Kiedy zamknął się od środka, Dima natychmiast poszedł do salonu.

Na stole było już posprzątane.

Położył się na podłodze, żeby zajrzeć pod fotel, na którym siedział cały wieczór. Sprawdził też pod kanapą i pod drugim fotelem. Wstał i rozejrzał się po salonie, zastanawiając się, gdzie mógł ukryć broń, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Twoja woda – usłyszał za plecami głos Wiery. – Gdzie Oleg?

– W toalecie.

– Zrobię wam śniadanie. – Podała Dimie szklankę i wychodząc, dorzuciła jeszcze: – I mocną kawę.

Dima znowu zaczął się rozglądać. Wyobrażał sobie, że siedzi naprzeciwko Dunina, i starał się ożywiać strzępki pamięci zamazane oparami alkoholu. Próbował odtworzyć atmosferę tamtej rozmowy i miał

nadzieję, że w ten sposób przypomni sobie, co zrobił z pistoletem, a właściwie dlaczego zdecydował się go ukryć. Co takiego się wydarzyło, że zrezygnował ze swojej jedynej gwarancji bezpieczeństwa? Nie wierzył, by mógł stchórzyć.

Z zamyślenia wyrwał go zachrypnięty głos Dunina.

– Jak się czujesz, Greku?

Dopiero teraz Dima zdał sobie sprawę, z jakim opóźnieniem działają jego zmysły. Postanowił najpierw poczekać na kawę i porozmawiać z Duninem, który właśnie rozsiadał się na kanapie. Pomyślał, że jeśli pułkownik zauważył, że on jest uzbrojony – albo nawet odebrał mu ten pistolet – powinien się w jakiś sposób zdekonspirować.

– Tak jak ty – odparł. – Co dalej? – zapytał obojętnie.

– Twardy jesteś, ale nie dość, by robić poważne interesy w Rosji – rzucił z lekką emfazą Dunin i sięgnął pod poduszkę.

– Pierdolisz coś, pułkowniku, i nadymasz się jak spróchniały kondom…

– Uuu… jaki język… fe! – przerwał mu Dunin. – Biznesmen z Zachodu… z kolebki kultury i cywilizacji… – Wyciągnął spod poduszki rękę, w której trzymał swój pistolet. – Po rosyjsku to nie brzmi dobrze – dodał. – Trzeba umieć bluzgać w naszym języku… a to piękny język, by bluzgać, a bluźnić jeszcze bardziej. Taka nasza historia, bracie. Rosyjski wulgaryzm jest bogaty i wielopłaszczyznowy jak diament. W zależności od światła, kąta widzenia i właściciela może zabłysnąć wszystkimi fasetami lub zamilknąć pośród kurzu. Może wywyższyć i uwielbić, a może też zniszczyć i otruć… A wy macie pięć tysięcy lat i co? Chuj, kląć nie potraficie tak pięknie jak my. – Położył pistolet obok siebie na kanapie, mimowolnie, obojętnym ruchem, jakby przekładał książkę.

Dima obserwował go uważnie i nagle zrozumiał, że Dunin czuje się bardzo bezpiecznie, skoro zostawił go w pokoju ze swoim pistoletem pod

poduszką.

Chyba że też jeszcze nie myślał racjonalnie – zaświtało mu w głowie. Ale gdyby rzeczywiście odebrał mi broń, z pewnością wykorzystałby to przeciwko mnie. Sam kompozytowy pistolet był na tyle dziwaczny, że musiałby wzbudzić podejrzenia w pułkowniku GRU.

– No dobrze. Nie denerwuj się, Greku. – Dunin uśmiechnął się półgębkiem. – Przecież wczoraj się dogadaliśmy… – Spojrzał w stronę kuchni i wrzasnął: – Prawda, Wierka?!

– Prawda – doleciało z oddali.

– Dzisiaj… najdalej jutro… sprawa będzie załatwiona, więc musisz przygotować kasę. Wiesz… Anglik odzyska wolność, ale jak coś pójdzie nie tak, to ty będziesz miał kłopoty i wtedy nie talibowie Anglikowi, ale my tobie urżniemy głowę. – Zmrużył blade, zapuchnięte powieki i nie był to miły widok. Niepokojąca nieprzewidywalność i chciwość oraz arogancja zmieszana z przebiegłością rosyjskiego szpiega tworzyły razem masę krytyczną, przeciwko której Dima nie miał odpowiedniej broni ani tym bardziej planu.

– Powtarzasz się. Pamiętam – odparł Dima, ale wcale dobrze nie pamiętał.

W drzwiach pojawiła się Wiera i oznajmiła, że śniadanie na stole. Dunin poderwał się pierwszy i wciskając nieporadnie koszulę w spodnie, zgarnął z kanapy pistolet, który wsunął z tyłu za pasek. Pod ławą odnalazł buty. Włożył je, ale sznurowaniem nie zawracał sobie głowy.

– Ty też włóż… – zwrócił się do Dimy. – Trzeba okazać szacunek gospodyni, prawda?

Kiedy po chwili Dima wszedł do kuchni, pułkownik siedział już przy zastawionym stole i właśnie nalewał wódkę do szklanek.

– Czeka nas trudny dzień. – Uniósł swój stakan. – Trzeba wypić na wzmocnienie. – Wskazał wzrokiem na drugą szklankę. – Nooo… Greku?!

Dimie zrobiło się niedobrze i Wiera natychmiast to zauważyła.

– Daj spokój, Oleg – włączyła się zdecydowanym głosem. – W ten sposób nie skończysz żadnego biznesu. Dimitrios nie jest Rosjaninem, więc chyba nie chcesz, żeby nawalił? Jest wcześnie rano!

Dunin spojrzał na Wierę z mieszaniną zdziwienia i rozczarowania. Przerzucił wzrok na Dimę i przez chwilę jeszcze trzymał szklankę w górze, jakby pytał, czy się zgadza, aż w końcu odstawił ją na stół. Chciał coś jeszcze powiedzieć, kiedy odezwał się jego telefon. Otrzymał wiadomość. Spojrzał na wyświetlacz i jego zaczerwieniona, zapuchnięta twarz nagle zmieniła wyraz. Znów pojawił się ironiczny półuśmieszek, którym cały wieczór tak denerwował Dimę, ale tym razem nie był skierowany do niego.

Dunin podniósł się żwawo, potrącił stół i szybkim krokiem wyszedł z kuchni.

Dima i Wiera spojrzeli na siebie nieco zaskoczeni, ale oboje wiedzieli, że coś się zaczęło dziać. Reakcja Dunina nie pozostawiała wątpliwości.

Po chwili gdzieś z głębi mieszkania dobiegł jego stłumiony głos. Zamarli w bezruchu, starając się wyłowić choć fragmenty, pojedyncze słowa. Dima zrobił nawet kilka kroków w stronę drzwi, ale Dunin zasłonił dłonią mikrofon. Rozmowa trwała kilkanaście sekund.

Pułkownik wrócił do kuchni, zajął miejsce, na którym siedział wcześniej, i jednym haustem wychylił wódkę. Dopiero teraz spojrzał na Dimę. Wwiercał się w niego wzrokiem, jakby chciał przebić go na wylot. Tak patrzy człowiek bezwzględny, który wie, co robi. Takim Dima go jeszcze nie widział. Wytrzymał to spojrzenie, ale zrozumiał przekaz. Musiało się stać coś, co odmieniło ich relacje, a wszystko, co się dotąd

między nimi wydarzyło, było już nieaktualne. Dima nagle pojął, że właśnie spełniły się groźby Dunina, które zbyt lekkomyślnie bagatelizował.

Niczego teraz nie potrzebował bardziej niż pistoletu Tamary. Poczułby się pewniej i miałby ostateczną odpowiedź na to, co za chwilę usłyszy. Ponura groteska, którą odgrywał Dunin, nie wróżyła niczego dobrego. Znał ten styl dobrze. Rosjanin grał ciężko, koturnowo, bez cienia finezji, właśnie tak, jakby mu zależało, żeby Dima nie miał wątpliwości, z kim ma do czynienia.

Z zamyślenia wyrwał go głos Wiery.

– Co się stało, Oleg?

Dopiero teraz Dima zauważył, że zapadł się w sobie na kilkanaście sekund, choć jemu się wydawało, że trwa to znacznie dłużej. Wciąż nie miał pomysłu, co robić dalej, jakby intuicja zawiodła go w momencie, kiedy najbardziej jej potrzebował. Był wściekły na siebie.

Dunin przeniósł wzrok na Wierę i uśmiechnął się złośliwie.

– Wzięłaś odpowiedzialność za Greka, więc dobrze pilnuj jego paszportu, bo jeśli coś się stanie nie po mojej myśli, ty też zapłacisz…

– Nie groź mi w moim domu! – przerwała mu zdecydowanie Wiera.

– Ja nie grożę, ja uprzedzam.

– Mniej pij! – nie ustępowała.

– Co się dzieje? – włączył się Dima. – Dostałeś jakieś wiadomości? To podziel się nimi. Pomartwimy się razem.

Dunin znów wlepił w niego wzrok. Wyglądał teraz inaczej. Dzięki wódce najwyraźniej się rozluźnił, ale to mogło być złudne i Dima wiedział, że powinien zachować ostrożność.

– Przygotuj pieniądze, Greku – odezwał się Dunin. – Wygląda na to, że dzisiaj zakończymy sprawę. Nie będzie kasy… – urwał na moment – nie

wyjedziesz i ktoś będzie musiał za ciebie zapłacić. Mówiłem ci już… pamiętasz?

Dima miał rację, kiedy pomyślał, że Dunin się odmienił, i słusznie przeczuwał, że sytuacja jest napięta. Pułkownik odebrał informacje z Oslo, obejrzał zdjęcia i film. Był zaskoczony, że Jaganowi tak szybko udało się odnaleźć rodzinę Tygrysa. Kiedy jednak zobaczył zamaskowanego i uzbrojonego weterana specnazu i zaciętą twarz Aminy, która tuliła przerażoną dziewczynkę, zrozumiał, jaką moc ma ten obraz. Po raz pierwszy poczuł prawdziwy strach. Dobrze znał Issę Ułajewa, szkolił go przecież, uczył, że walczyć trzeba do końca, walczyć za braci, gardzić wrogami i nie bać się śmierci. I Issa taki był, kiedy walczył w Gruzji. Ale przeszedłszy przez Syrię, zradykalizował się i wstąpił na drogę dżihadu. Od tej pory nikt już nie miał nad nim kontroli.

Dunin wiedział doskonale, że widok Aminy z córką i kuzyna inwalidy doprowadzi Tygrysa do furii. Jeśli więc nie zdarzy się nic, co pokrzyżuje plany, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko uwolnić Anglika. Na to liczył Dunin, ale teraz poczuł niepokój i pierwsze sygnały paniki. Sprawa nabierała tempa, a on nie był pewien, czy nad nią panuje.

Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłby się ukryć przed Tygrysem. Jeżeli coś pójdzie nie tak, popełni błąd, talib go dopadnie i zabije wszystkich, którzy są mu bliscy. Wierę i Sieriożę też. No, chyba że on wcześniej zabije Tygrysa.

Jagan jest nie mniej niebezpieczny, więc jeżeli nie dostanie pieniędzy i uzna, że został wystawiony do wiatru, też mu z pewnością nie daruje.

Dunin siedział teraz w kuchni. Czuł, jak wódka przywraca mu powoli jasność myślenia, i żałował, że dał się namówić Wierze na ten biznes i skusił na milion funtów. Patrzył na nich teraz i się zastanawiał, czy naprawdę zdają sobie sprawę, w jakim są niebezpieczeństwie.

Ale największą wściekłość czuł do Greka – za to, że musiał patrzeć na ich romans, dusić w sobie zazdrość. Znienawidził Dimę, gdy tylko się zorientował, co go łączy z Wierą, i poczuł, że z jego strony nadchodzi największe zagrożenie. Obiecał sobie, że kiedy wszystko się już skończy, odstrzeli Greka.

Ale na razie jedynym sposobem na to, by wszyscy wyszli z tego żywi, było dokończenie sprawy i doprowadzenie do uwolnienia Anglika.

Dunin wiedział, jak skontaktować się z Tygrysem. Już wcześniej przygotował sobie kanał łączności. Miał dotarcie do talibów przez swoją agenturę w kierownictwie ISI oraz przez byłych oficerów irackiego Al-Muchabaratu, którzy teraz pracowali dla GRU. Musiało to jednak zająć kilka godzin, więc uznał, że już najwyższy czas wysadzić wrota piekieł.

Podniósł się, zgarnął ze stołu kawałek kiełbasy, kromkę chleba i ogórek. Nie wziął talerzyka. Popatrzył na Wierę i skierował się do salonu.

– Zaczynamy – rzucił już w drzwiach.

74

Gdy Kazuo wbił miecz w pierś jednego taliba i ściął drugiego, Henryk nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Nigdy nie widział niczyjej śmierci na żywo i przez ułamek sekundy pomyślał, że to tylko scena z jakiegoś filmu grozy albo wytwór jego udręczonej wyobraźni. Głowa taliba w kominiarce groteskowo uderzyła o ziemię, kiedy ciało, jakby zdumione, wciąż trwało w miejscu, z automatem na piersi, wyrzucając z siebie fontannę krwi.

Dopiero gdy Henryk zobaczył, jak kule, rozrywając ubranie, przeszywają ciała Kazuo i Olivera, a podest zabarwia się na czerwono, rzucił się na ziemię.

Nie mógł sobie przypomnieć tylko odgłosu wystrzałów. Widział je w całym majestacie śmierci, ale ich nie słyszał.

Po chwili poczuł gwałtowne szarpnięcie i dotarły do niego przeraźliwe okrzyki talibów. Ktoś chwycił go za włosy, zaczął ciągnąć po ziemi. Kątem oka Henryk zauważył, że Jürgena dwóch talibów wlecze za nogi.

Przed podestem, na którym leżały we krwi cztery skręcone ciała, stał w rozkroku Tygrys z automatem uniesionym nad głową. Jak w amoku krzyczał zachrypniętym głosem do biegających bojowników i strzelał w powietrze.

Na jego znak talibowie zaczęli bić Jürgena, który leżał na ziemi kilka metrów od Henryka. Niemiec skulił się i zasłaniał przed ciosami. To był

rozdzierający widok. Nie mieściło się w głowie, że równie potężny mężczyzna może być tak bezbronny wobec uzbrojonych ludzi.

Kiedy nadeszło pierwsze uderzenie, Henryk był już na nie przygotowany. Najpierw poczuł mocny cios w nerki, potem kopnięcie w pierś, w twarz i zaraz słodki smak krwi wypełnił mu usta. Talibowie biegali wokół, nerwowo pokrzykując. Bili mocno, kolbami, nogami, pięściami, ale każde kolejne uderzenie bolało Henryka coraz mniej, aż w końcu wypełniła się granatowa ciemność i wszystko ucichło.

Ocknął się, gdy strumień zimnej wody uderzył go w twarz. Doszedł do siebie, ale nie wiedział, ile czasu był nieprzytomny. Najbardziej bolały go nerki i głowa, chociaż podobne sygnały dochodziły też z innych części ciała. Leżał jeszcze chwilę na plecach, po czym otworzył oczy i przekręcił się na bok. Podparł się na przedramieniu, podciągnął nogi i powoli usiadł. Otarł twarz z wody, rozmazując zaschniętą krew. Rozejrzał się, ale wszystko widział podwójnie.

Talibowie się uspokoili. Chodzili wokół, zupełnie nie zwracając na niego uwagi. Spojrzał za siebie. Cztery metry za nim siedział na ziemi Jürgen. Całą twarz miał we krwi, ale kiedy zobaczył Henryka, uśmiechnął się delikatnie i zasalutował po polsku dwoma palcami. Henryk odpowiedział mu pełną dłonią i też spróbował się uśmiechnąć.

Nagle ich uwagę zwróciło światło, które zapaliło się na podeście. Talibowie z bronią stali w półkolu i patrzyli w tę samą stronę. Przed nimi na statywie znów umocowana była kamera wideo.

Henryk musiał zmrużyć oczy, żeby poprawić ostrość widzenia. Na jasno oświetlonej scenie, na której przed chwilą rozegrał się dramat i zginęli ludzie, siedział Tygrys w turbanie, z zakrytą twarzą i z arabskim mieczem na kolanach. Za nim rozpostarta była czarna flaga, a obok stało dwóch bojowników. Henryk miał wrażenie, że to jakaś wyreżyserowana diorama.

Znów zmrużył oczy i dopiero wtedy dostrzegł, że przed Tygrysem stoją na ziemi odcięte głowy Olivera i Kazuo.

Poczuł, jak zaciska mu się gardło i do opuchniętych oczu napływają zimne łzy. Próbował się powstrzymać, nawet zamknął powieki, jednak po chwili jego twarz ściągnął skurcz płaczu, a ramionami wstrząsnął szloch.

Chciał spojrzeć w stronę Jürgena. Nie mógł.

Nie myślał już o ucieczce, nie planował walczyć. Paraliżowało go przerażenie i świadomość, że najbliżsi zobaczą jego egzekucję, a potem zbezczeszczone ciało. Poddał się i był gotów na śmierć, byle szybko.

75

Ambasador Kruczek skończył rozmawiać przez telefon. Postał jeszcze chwilę zadumany i dopiero potem opadł na swój wielki skórzany fotel.

Z ministrem Grobelnym zawsze rozmawiał na stojąco. Braun kilkakrotnie miał okazję obserwować ambasadora w takiej sytuacji i za każdym razem dziwił się, skąd u niego tyle wazeliny, bo przecież wszyscy wiedzieli, że Grobelny go nie widzi.

Ale dopiero teraz zrozumiał, że to musi być przedstawienie obliczone na niego i Malinowskiego. Kiedy jest sam w gabinecie, siedzi pewnie rozparty w fotelu, z nogami na biurku i po rozmowie z ministrem spluwa przez ramię. Kruczek był z poprzedniej ekipy i w każdej chwili mógł się spodziewać odwołania. I wiedział aż nadto dobrze, że sprawa Olewskiego będzie wymarzonym pretekstem, by go zatopić. Dlatego nienawidził Grobelnego.

Wrócił na fotel przy ławie, gdzie siedzieli Braun i Malinowski, czyli zespół kryzysowy ambasady RP w Islamabadzie, który poza codziennymi naradami nic dotąd nie załatwił. Kruczek i Malinowski spotykali się z dyplomatami państw, których obywatele zostali porwani, z miejscowym MSZ, z dziennikarzami, potem pisali sążniste tajne depesze do Warszawy, w których nie było ani jednego tajnego słowa. Wszystkie miały wspólny motyw, choć nieudolnie uzgodniony, to jednak wyraźny: całą winę za to, że

Olewski nie został dotąd uwolniony, ponosi niekompetentny i leniwy radca Wiktor Braun.

Braun siedział teraz naprzeciwko Kruczka i Malinowskiego, obserwując, z jaką powagą piją kawę w służbowych filiżankach z godłem, i zastanawiał się, czy rzeczywiście są takimi idiotami, czy tylko udają. Nie mógł uwierzyć, by nie zdawali sobie sprawy, że rezydent zawsze czyta wszystkie depesze.

– Szkoda, że nam odwołali pułkownika Guzika – zaczął ambasador. – Wojsko to wojsko, oni zawsze wiedzą, co robić – ciągnął wyraźnie pod Brauna. – To był wyjątkowo kompetentny człowiek…

– Tak… – wtrącił się Braun. – No to dlaczego go odwołali i od półtora roku nie mamy attaché wojskowego? Znaczy, że mało mają w MON kompetentnych, czy co? – Chciał jeszcze dodać, że pułkownik Guzik został odwołany właśnie za niekompetencję, ale w jego kieszeni odezwał się telefon komórkowy.

Dzwonił Sinster. Braun poderwał się z fotela i odszedł na bok, odprowadzany wzrokiem przez Kruczka i Malinowskiego.

Rozmowa była krótka.

Amerykanin zaproponował spotkanie za pół godziny na stacji benzynowej przy skrzyżowaniu Czwartej Ulicy i Constitution Avenue.

Braun nawet nie zapytał, o co chodzi. Od razu zdał sobie sprawę, że to coś bardzo ważnego, bo Sinster jeszcze nigdy nie zaprosił go na spotkanie w ciągu dnia. Ale znacznie bardziej zastanawiające było to, że chce się z nim widzieć poza swoją ambasadą.

Co takiego mogło się stać, że oficer CIA złamał procedury dla jakiegoś Polaka? – zastanawiał się Braun, wychodząc z gabinetu i ignorując natarczywe pytania ambasadora Kruczka. Czuł, że nastąpił jakiś przełom,

ale nie wiedział jeszcze, w którą stronę. Mimo wszystko miał nadzieję, że za chwilę będzie mógł przekazać do Warszawy dobre wiadomości.

Wyszedł z budynku i ruszył biegiem na parking. Spojrzał na zegarek. Zostało mu jeszcze sporo czasu. Nagle poczuł sympatię do Sinstera, który robił dotąd wszystko, by nie dać się polubić.

Braun jechał powoli szeroką Constitution Avenue i kiedy zbliżył się do skrzyżowania, zwolnił i spojrzał w głąb stacji benzynowej. Było jednak za daleko i nie mógł dostrzec, czy Sinster już jest. Miał w zapasie pięć minut, więc pojechał kilometr dalej i zawrócił. Zbliżała się piętnasta trzydzieści, kiedy się zatrzymał na skraju parkingu przy stacji. Rozejrzał się, ale nie zauważył żadnego wozu, który mógłby należeć do Sinstera. Włączył radio i zamknął drzwi od wewnątrz.

Minęło kilka minut, ale Amerykanin się nie pojawiał. Na wszelki wypadek Braun sprawdził jeszcze telefon. Nie zdążył go odłożyć, gdy usłyszał nagłe uderzenie w boczną szybę. Odblokował drzwi i do środka wślizgnął się Sinster. Spocony i zdyszany.

– Przybiegłeś z ambasady?

– Prawie – odparł, rozglądając się wokół.

– Co się dzieje? Śledził cię ktoś?

– Posłuchaj, Wiktor… – zaczął niepewnie. – Postanowiłem ci pomóc, tak jak obiecałem, ale robię to poza… poza ambasadą. Rozumiesz? – Mówił, jakby bał się powiedzieć wprost, że działa na własną rękę.

– Rozumiem – odpowiedział Braun.

Amerykanin wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął maleńki pendrive. Wręczył go Braunowi.

– To nie jest przyjemny obraz – oznajmił. – Masz tutaj nagranie, które zrobili talibowie jakiś czas temu. Mają je wrzucić do sieci, kiedy przyjdzie

odpowiedni moment, a mówiąc wprost, kiedy ktoś z pakistańskich służb uzna to za korzystne.

– Nie rozumiem – odparł Braun. – Obraz?

– Tygrys stracił Anglika i Japończyka…

– O kur…!!!

– Zobaczysz na filmie. Stawiają teraz wysokie żądania…

– A nasz? A Niemiec?

– Chyba żyją. Nie wiemy na pewno, bo też nie wiemy, kiedy nagrano ten film. W każdym razie ich na nim nie widać. Talibowie domagają się wycofania polskich i niemieckich wojsk z Afganistanu i grożą publicznym ścięciem zakładników.

– Skąd masz ten film… i dlaczego mi go… – Braun rozłożył ręce w geście zdziwienia.

– Tego nie mogę ci wyjawić, ale jeśli pomyślisz chwilę, to na pewno znajdziesz odpowiedź. Jesteś inteligentnym oficerem wywiadu, dasz radę. W końcu ukończyłeś Stanforda – odparł Sinster z charakterystycznym uśmieszkiem, wciąż jednak uważnie lustrując otoczenie. – A dlaczego ci to daję? Żebyście wiedzieli, jaka jest sytuacja, i mogli się przygotować na następny krok. Gdybyś chciał zapytać, czy dałem to też Niemcom, to odpowiedziałbym, że nie. A jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, to odpowiem, że bardziej lubię Polaków. Jesteście wystarczająco szaleni i czasami postępujecie wbrew logice. Generalnie to głupota, ale bywa też jedyną drogą wyjścia z sytuacji bez wyjścia. Rozumiesz mnie, Wiktor?

– Mniej więcej – rzucił niepewnie Braun. – Czyli… co masz na myśli?

– Zastanów się. To nagranie jeszcze się nie ukazało w sieci. Może to nastąpić w każdej chwili i do tego czasu ma ono ogromną moc… moc, którą można wykorzystać. Myślę, że potraficie namówić Niemców do wspólnego działania lepiej niż oni was.

– Dobrze, Steve – wtrącił Wiktor. – Popraw mnie, jeżeli się mylę. Nagranie uzyskaliście od swojego źródła w pakistańskim wywiadzie. To jasne. Co oznacza, że mają kontrolę nad Tygrysem. A zatem jeśli pokażemy Pakistańczykom, że mamy to nagranie, tym samym udowodnimy, że wiemy, kto stoi za porwaniem. Ceną za milczenie ma być wolność Polaka i Niemca. Sprawę załatwicie naszymi rękami, a CIA zachowa dziewictwo i dobre kontakty z ISI. Dobrze kombinuję?

– To ma sens, ma. – Sinster z lekką ironią pokiwał głową.

– Nie wierzę, Steve, że robisz to z sympatii do nas. Całe to spotkanie na stacji benzynowej jest dosyć topornie szyte. To decyzja Langley, prawda?

– Umówmy się jednak, że robię to z sympatii do Polski, z której wspomnienia wciąż mi towarzyszą. – Sinster po raz pierwszy spojrzał Braunowi w twarz. – I jako przyjaciel sugeruję szybkie działanie. Jeżeli film zostanie opublikowany, stracicie jedyny środek nacisku na Pakistańczyków. Wtedy wasz oficer i Niemiec… już…

– Nasz oficer? – zapytał zaskoczony Braun.

Sinster puścił oko, poklepał Wiktora po ramieniu i wysiadł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Braun siedział w samochodzie i zastanawiał się, czy powinien jechać już do ambasady i wysłać szyfrogram, czy raczej posiedzieć jeszcze chwilę i zastanowić się nad tym, co powiedział Sinster. A właściwie co chciał powiedzieć.

Wiedzą, że Olewski jest naszym oficerem – pomyślał. Na dobrą sprawę nie ma w tym nic dziwnego, to w końcu CIA. Czyli mogą też wiedzieć, że działaliśmy pod ich flagą w Moskwie…

– …a to już byłaby, kurwa, gigant katastrofa! – Ostatnie słowa wypowiedział na głos.

Nie mógł uwierzyć w sympatię Sinstera do Polski, ale byłoby też dziwne, gdyby robił to na polecenie Langley. Takie sprawy załatwia się na szczeblu szefów. Mógł się przecież tym zająć szef stacji CIA w Warszawie – zastanawiał się Braun. Chyba że z jakiegoś powodu nie mają zaufania do kierownictwa AW i wolą wrzucić sprawę na niskim szczeblu, żeby ożyła, wędrując do góry. Wtedy zawsze mogą się wyprzeć, jeżeli coś pójdzie nie tak.

Otworzył dłoń, w której cały czas trzymał pendrive, i doszedł do wniosku, że powinien udać się do ambasady i sporządzić notatkę, dopóki wszystkie słowa i myśli są jeszcze świeże. Silnik cały czas pracował, więc wrzucił jedynkę i puścił hamulec.

Pułkownik Pański go ostrzegał, że zawsze trzeba się zastanowić dwa razy, zanim się powtórzy to, co mówią oficerowie CIA, a trzy razy, nim sporządzi się z tego notatkę. Świat widziany z Langley nigdy nie wygląda tak jak z siódmego piętra na Miłobędzkiej, ale czasami można się nabrać. Pański nie lubił ludzi z CIA, może dlatego, że znał ich jak nikt inny w AW. Ale Braun lubił Amerykanów, mieszkał wśród nich i miał wielu przyjaciół.

Przecież nigdy nie mówiłem Sinsterowi, że studiowałem na Stanfordzie – pomyślał ze zdziwieniem. Wygląda na to, że jednak całe to spotkanie było wyreżyserowane. Wybrali mnie do wypuszczenia przekazu. Tylko gdzie jest to trzecie dno? Bo drugie widzę. Czy jest coś, czego nie zauważyłem?

Wiktor Braun pędził szeroką Constitution Avenue toyotą na dyplomatycznych tablicach, przekraczając dopuszczalną prędkość. Chciał jak najszybciej być w ambasadzie.

Powoli w myślach dopracowywał kształt notatki, wiedział, od czego zacząć, jakie zarysować wnioski, ale jednocześnie nabierał coraz więcej wątpliwości, czy powinien wysyłać ją do wszystkich szefów, czy tylko do

Pańskiego. Nie chciał przez brak wystarczającej wrażliwości zawalić sprawy. Życie Henryka było teraz najważniejsze.

Nie minęło piętnaście minut, gdy wjeżdżał już na parking ambasady. Wbiegł po schodach na pierwsze piętro. Zamknął się w pokoju i zasiadł za biurkiem. Gdy tylko laptop ożył, wsunął pendrive do kieszeni USB.

Na ekranie ukazała się czarna flaga talibów i rozległ chóralny śpiew po arabsku. Przez kolejne kilkadziesiąt sekund, z tym samym podkładem dźwiękowym, przesuwały się propagandowe sceny obrazujące walkę talibów, po czym znów pojawiła się flaga, umilkł śpiew, a ekran wypełnił przerażający obraz.

Na ziemi siedział mężczyzna z zasłoniętą twarzą, w czarnym turbanie i z mieczem na kolanach. Przed nim na ziemi, z rozchylonymi ustami i smutnie przymkniętymi oczami, stały dwie ludzkie głowy. Braun od razu rozpoznał Kazuo i Olivera. Poczuł, jak zaciska mu się gardło, jak ogarnia go wściekłość, bezsilność i przerażająca rozpacz. Teraz chciał już tylko zabijać.

76

Jagan zajmował krzesełko pod ścianą. Na stoliku obok położył trzy telefony i pistolet. Obserwowali się od kilku minut, udając obojętność. Nawet ukryta w ramionach Aminy mała Asa, jakby wiedziała, że tak właśnie trzeba, w milczeniu spoglądała ukradkiem na człowieka z zakrytą twarzą.

– Masz jakieś rosyjskie filmy? – niespodziewanie zapytał Jagan, spoglądając na regał z płytami. – Wojenne… nasze…

– Mam – odparł Ismail.

– To wrzuć coś, bo jeszcze trzeba nam tu razem posiedzieć jakiś czas. Daj *9 Kompanię*.

– Nie mam.

– Jak to nie masz?

– Nie mam.

– A taki… ma tytuł *Wojna*…

– Nie mam.

– To co masz? Masz taki o Afganistanie… stary taki… *Mroczny Afganistan* z tym Włochem. Masz?

– *Morderczy Afganistan* z Michele Placido – odparł hardo Ismail. – Nie mam.

– To co, kurwa, masz? – Spojrzał na Aminę i zapytał: – Mała nie zna rosyjskiego, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Mam *Wojnę i pokój* – rzucił Ismail.

– O czym to? Brzmi dobrze.

– O wojnie z Francuzami.

– Francuzami? – Jagan na moment się zadumał. – Aaa… z Napoleonem? – niemal wykrzyknął. – Co to za wojna była… Chuj, nie wojna. Nie chcę.

Obrócił głowę w stronę Aminy i nagle ich spojrzenia się spotkały. To było dziwne doznanie i Jagan trochę się zaniepokoił. Zamilkł i uciekł wzrokiem w bok, mimo to czuł, że Amina wciąż go obserwuje.

– Może zrobisz coś do jedzenia, herbatę… albo… – rzucił do niej, wciąż klucząc gdzieś wzrokiem. – Mała na pewno jest głodna.

– Ja zrobię – wtrącił się Ismail.

– Jedną ręką? Pół dnia będziemy czekać. Niech ona zrobi, wie, czego trzeba małej.

Na stoliku odezwał się telefon Ismaila. Jagan spojrzał na wyświetlacz.

– Kto to jest Roger? – zapytał.

– Mój szef.

– Czego chce?

– Nie przyszedłem do pracy. Niepokoi się.

– Trudno – powiedział Jagan z lekką ironią. – Taki dzień dzisiaj. Wszyscy się niepokoimy, co będzie dalej.

Telefon przestał dzwonić.

– Idziesz zrobić to śniadanie? – uniósł głos i spojrzał na Aminę, która wciąż się w niego wpatrywała, jakby chciała coś powiedzieć.

Podniosła się z wyraźnym ociąganiem. Wyszeptała coś do Asy, która zgodnie pokiwała głową i przytulając misia, przesunęła się bliżej Ismaila. Starzec czule objął ją ramieniem.

– Tylko nic tam nie kombinuj, bo… – Jagan wskazał wzrokiem na broń, ale Amina nawet nie spojrzała w jego stronę.

Znów odezwał się sygnał telefonu Ismaila i pojawił się napis *Roger*.

– Co on taki nerwowy ten twój szef? – zapytał Jagan. – Nie może żyć bez ciebie. A ty gdzie pracujesz?

– W muzeum. Mówiłem już.

– W jakim muzeum? Co tam robisz?

– Jestem w ochronie… w monitoringu. Muzeum Muncha.

– Co to?

– Edvard Munch… malarz… norweski… To też już mówiłem.

Telefon przestał dzwonić. Jagan w końcu wyłączył go, bo uznał, że Roger jest zbyt natarczywy i może zacząć się interesować, dlaczego jego pracownik nie odbiera.

– Jeden malarz ma muzeum? – zapytał – Znam się trochę na malarstwie. Moja dziewczyna Gala… – Jagan urwał w pół zdania, bo zorientował się, że może się zdekonspirować. – I co on malował ten Munch?

Ismail podniósł się z kanapy, a Jagan natychmiast sięgnął po pistolet. Spojrzał pytająco, ale Czeczen wskazał palcem na regał z książkami i ostrożnie ruszył w jego stronę. Podszedł, otworzył drzwiczki i wyjął duży album, po czym zawrócił i rzucił go Jaganowi na kolana. Znowu usiadł na kanapie i przytulił Asę. Jagan odprowadził go wzrokiem i pomyślał, że w widoku kalekiego mężczyzny przytulającego dziecko jest coś wstrętnego, nawet zboczonego, i w ostatniej chwili się powstrzymał, żeby nie splunąć.

Odłożył pistolet na stolik i zaczął kartkować album.

Po kilku minutach wróciła Amina. Rozstawiła talerzyki, koszyczek z chlebem i półmisek z warzywami przełożonymi serem. Jagan obserwował każdy jej ruch, zerkając jednocześnie do albumu. Amina była od niego na odległość skoku, ale po pistolet nie sięgnął. Pomyślał, że w ten sposób pokaże, że się nie boi i ma do niej zaufanie. Ale kiedy zobaczył, że Amina

ściska w dłoni sztućce, uznał, że to jednak nieostrożność, i przysunął pistolet bliżej.

Doskonale wiedział, że Amina nawet bez kuchennego noża w dłoni jest śmiertelnie niebezpieczna. I od razu pomyślał, że na pewno wybrała sobie w kuchni jakieś odpowiednie narzędzie walki i ukryła je gdzieś przy sobie. Uderzy w odpowiednim momencie.

Uspokoił się nieco, gdy rozstawiła szklanki z herbatą i usiadła na kanapie. Przerzucił jeszcze kilka stron albumu i odłożył go na stolik.

– Wynaturzone te obrazy. Ponure i jakieś popierdolone – rzucił krótko, ale Ismail nie zareagował.

Wzięli kalekę bez oka i ręki do pilnowania takich popapranych psycholskich bohomazów. Kto by chciał to ukraść? Pasują do siebie idealnie – pomyślał, patrząc na Ismaila, który zaczął już jeść.

Sięgnął po swój telefon i sprawdził, czy przypadkiem nie przeoczył wiadomości od Dunina. Bał się, że mógł nie usłyszeć sygnału. Zdarzało mu się to często, chociaż lekarze twierdzili, że nie ma uszkodzonego słuchu. Mówili, że to zmiany w mózgu, ale Jagan im nie wierzył, chociaż tyle się nawypisywali w jego historii choroby. To byli szwedzcy lekarze i nie miał podstaw, by im ufać. W każdym razie w telefonie nie było żadnej nieodebranej wiadomości, więc trochę się pocieszył i przeczytał znowu ostatniego esemesa od Dunina: *Spisałeś się świetnie. Działam. Wytrzymaj jeszcze*.

Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta, czyli w Moskwie jedenasta. Pięć godzin jestem na akcji – powiedział do siebie i poczuł, że znów zaczynają boleć go blizny. Sięgnął do kieszeni i wyjął puste opakowanie po lekach przeciwbólowych. To nie był dobry znak, bo bez tabletek robił się nerwowy. Ale na razie panował nad sobą i nad sytuacją.

Cała Rosja już na nogach – pomyślał i postanowił zdyscyplinować Dunina do działania.

Co się dzieje? Pospiesz się! Trzymam ich do wieczora, potem rób, co chcesz, ale kasa ma być na jutro – wystukał kciukiem wiadomość i wysłał.

77

Major Kwiecień włożył okulary i uważnie obejrzał notatkę Brauna i raport Pańskiego. Pochylony i skupiony, wyglądał jak biegły, który bada autentyczność cennego znaczka pocztowego. Nie ślinił palców, lecz jak przystało na dobrego urzędnika pocztowego, używał nawilżonej poduszeczki w zamykanym pudełku. I podobnie jak on, chwytał każdą kartkę na środku górnej krawędzi palcem wskazującym prawej ręki i dociskał serdecznym.

Leski siedział na krzesełku pod ścianą i obserwował go z sympatią. Pomyślał, że są do siebie trochę podobni. Zrobiło mu się przyjemnie, bo było między nimi trzydzieści pięć lat różnicy. Miał nadzieję, że major, który od piętnastu minut liczył na głos kartki, znajdzie proste i logiczne rozwiązanie zagadki strony 245. Postanowił, że nie będzie go pospieszał.

– Czterysta szesnaście! – oznajmił Kwiecień, zamykając teczkę. – Nieprawdopodobne! Jak to możliwe?! Przecież wpinałem dokumenty tak, jak je otrzymywałem, i na bieżąco uzupełniałem spis. Mógłbym się pomylić i jakiś dokument ponumerować podwójnie… – zawiesił głos – ale to… nie… to niemożliwe.

Siedział za swoim biurkiem wpatrzony w Romana, lecz nie czekał na jego reakcję. Zastanawiał się jedynie, gdzie szukać odpowiedzi na pytanie, jak to się mogło stać. Trudno mu było uwierzyć, że popełnił błąd, ale jeszcze bardziej go dziwiło, że tego nie zauważył.

Leski patrzył na zadumaną, nieco groteskową twarz majora i zadawał sobie dokładnie te same pytania. Wprawdzie teczka nieustannie krążyła między szefami, więc Kwiecień miał do niej ograniczony dostęp, ale kiedy do niego wracała, musiał ją dokładnie przejrzeć i uzupełnić spis dokumentów. Nie powinien był przeoczyć takiej zmiany.

Im dłużej się przyglądał milczącemu Kwietniowi, tym bardziej nabierał przekonania, że nie dowie się niczego nowego. Twarz majora wskazywała wyraźnie, że nie jest on w stanie posunąć się dalej i za chwilę skapituluje. Kwiecień zaczął błądzić oczami po pokoju, jakby się wstydził przyznać, że nic z tego nie rozumie, i powiedzieć to na głos. Roman wiedział, że musi go o to zapytać, jeśli chce ruszyć z miejsca, bo Kwiecień sam z siebie nie wykaże inicjatywy i będzie czekał na rozwój sytuacji. Prędzej skłamie, jeśli będzie musiał, niż przyzna się do błędu lub winy.

– Dobrze, majorze… – zaczął uprzejmym tonem Leski. – Spróbujmy razem rozgryźć tę zagadkę. Może odpowiedź jest prostsza, niż nam się wydaje. Musimy to tylko zrozumieć… znaleźć początek sprawy. Nie możemy tego przecież tak zostawić, prawda? – Próbował zmobilizować majora do współpracy i intelektualnego wysiłku.

– Absolutnie, panie pułkowniku – odparł Kwiecień, wyraźnie uspokojony.

– Myślę, że nie popełnił pan żadnego błędu i nie musi sobie nic zarzucać. Jest pan bardzo solidnym i uczciwym oficerem. – Roman uśmiechnął się szczerze, bo rzeczywiście tak uważał. – Będę teraz zadawał pytania… proste pytania, a pan będzie odpowiadał krótko, po zastanowieniu. Dobrze?

Kwiecień skinął głową. Uśmiechnął się szeroko i zaraz spoważniał, jak dziecko, które czeka na ulubiony quiz. Tymczasem Roman przysunął krzesełko do biurka i usiadł naprzeciwko.

– Pali pan? – zapytał.

– Czasami, ale… nigdy tutaj… dym szkodzi papierom… więc…

– Pan da. Zapalimy.

Major nie był zadowolony. Wyjął z szuflady cienkie papierosy L&M, zapałki i postawił spodek jako popielniczkę. Otworzył szeroko okno.

Roman zapalił pierwszy. Trzymał papierosa między dwoma palcami, jakby miał za chwilę salutować na defiladzie. Wciągnął dym do ust i wypuścił z siebie wielką gęstą chmurę. Nie potrafił palić. Kwiecień popatrzył na niego ze zdziwieniem i sam też zapalił.

– Czyli tak… – odezwał się Leski. – Nie wiemy, czego brakuje, jeżeli w ogóle czegoś brakuje. Nie wiemy, kto to zrobił ani dlaczego. Nie wiemy też kiedy.

– No tak… – odezwał się Kwiecień i chciał coś jeszcze powiedzieć, ale spojrzał na Leskiego i urwał.

– Może właśnie odpowiedź na to ostatnie pytanie pomoże nam ustalić, kto to zrobił. Zastanówmy się teraz. Podejrzanych jest czterech. Korycki, Hurman, Walewski i Pański…

– A Braun? – wtrącił Kwiecień. – Napisał notatkę.

– Kapitana Brauna wyłączam – odparł Leski, puszczając kłęby dymu.

Major pokiwał głową i zaczął rozgarniać chmurę, która przesłaniała mu pułkownika.

– Nie ma koniunkcji między autorem zafałszowanego dokumentu a fałszerzem – rzucił Roman.

– Problem w tym, że nie wiemy, który jest fałszywy – uściślił natychmiast major.

– Ano właśnie! – niemal wykrzyknął Leski. – Świetnie, majorze!

Zgasili niedopalone papierosy i Kwiecień odstawił spodek na parapet.

– Zbadajmy zatem przypadek kapitana Brauna. Zakładamy, że nie potrzebował fałszować swojej notatki, czyli mógł sfałszować tylko raport Pańskiego. Sprawdźmy daty dokumentów. – Leski poruszył głową i Kwiecień od razu otworzył teczkę *Mocarz*.

Sprawdzał coś, przewracając pospiesznie kartki, i po chwili zakomunikował:

– Notatkę Braun sporządził drugiego listopada ubiegłego roku. Tak jest na dokumencie i taką datę wstawiłem do spisu.

– A jaka jest data na raporcie Pańskiego? – zapytał Roman.

Kwiecień zajrzał do teczki.

– Piętnasty listopada – odpowiedział po chwili.

– Czyli prawie dwa tygodnie później… – zastanowił się Roman. – Tak?

– No… tak.

Leski wyjął z bocznej kieszeni marynarki gruby notatnik Moleskine zapinany na gumkę. Otworzył na stronie zaznaczonej tasiemką.

– Braun musiał napisać swoją notatkę, kiedy przyjechał z Moskwy do kraju. Łączność w sprawie Mocarza nie była prowadzona za pośrednictwem rezydenta w ambasadzie, lecz bezpośrednio przez Brauna jeżdżącego często do Polski, z użyciem szyfru rezydenckiego, który miał do dyspozycji. Były podejrzenia, że w naszej ambasadzie w Moskwie może być kret. A zatem we wrażliwej sprawie generała Kowalowa z GRU podjęto szczególne środki bezpieczeństwa. I słusznie! – ciągnął, wciąż kartkując notatnik. – Tak… – Spojrzał na majora. – Braun przebywał w Polsce niecały tydzień. Od trzydziestego pierwszego października do czwartego listopada. Czyli?

– Czyli… nie mógł sfałszować raportu Pańskiego! – oznajmił Kwiecień bardzo z siebie zadowolony.

– Tak, majorze. Dlatego wyłączyłem Brauna z grupy podejrzanych. Ale z tego wynika inna supozycja: że to właśnie odręcznie napisaną notatkę

kapitana sfałszowano. I pytanie następne: dlaczego i czy on o tym wie? – Zajrzał do notatnika. – Braun, nim wyjechał do Pakistanu, przebywał w Polsce jeszcze trzy razy. Proszę sprawdzić, czy w tym czasie pobierał od pana teczkę Mocarza.

– Pamiętam, że nie pobierał… – Mimo to Kwiecień zajrzał do wykazu. – Nie pobierał!

– Czyli zgadza się pan, że mamy czterech podejrzanych?

– Tak jest, panie pułkowniku! Ale… – Major spojrzał na rozmówcę szeroko otwartymi oczami. – Czy ja… dobrze… myślę…

– Dobrze pan myśli, majorze – odparł Leski i wyprostował się na krześle, wypinając okrągły brzuch. – Podejrzewam, że w Agencji jest zdrajca.

– O kur… – Kwiecień złapał się za głowę. – Ja pier… Tak coś czułem, jak pan z tym przyszedł? Któryś z szefów? No nie wierzę!

Roman pokiwał głową i przymknął oczy. Musiał wtajemniczyć majora, bo ten, pozostawiony z podejrzeniami, mógł nieświadomie się wysypać i zdekonspirować odkrycie. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że go nie docenił. Pomysł z odpytywaniem okazał się naiwny. Musiał teraz mieć Kwietnia po swojej stronie.

– Zobaczmy w takim razie, którzy z szefów pobierali od pana teczkę Mocarza po piętnastym listopada, czyli po napisaniu raportu przez Pańskiego, i jak długo trzymali ją u siebie.

– Od razu mogę powiedzieć, panie pułkowniku, że sprawa była prawie cały czas w szafach szefów i wpisy terminów wypożyczeń są takie… takie z grubsza… Wie pan… co ja mogłem? Brał jeden, oddawał drugi, wkur… mnie to bardzo, bo to wbrew przepisom… ale w końcu to szefowie. – Kwiecień wyglądał na mocno zakłopotanego, a nawet zdenerwowanego, i to się Leskiemu bardzo spodobało. Wiedział, że ktoś taki nie da się łatwo

oszukać w biurowych przekrętach. – Ja wiem, że nie wolno robić żadnych prywatnych dokumentów, ale… wie pan, panie pułkowniku, człowiek jest niedoskonały.

Roman obserwował, jak major podnosi się zza biurka i idzie w stronę swojej szafy pancernej. Nie pomylił się. Kwiecień wyjął gruby notatnik, otworzył i podał Leskiemu.

– Tu zapisywałem, kto i kiedy pobrał ode mnie teczkę oraz kiedy i kto mi ją zwrócił. To tylko taki mój prywatny notatnik. Nic znaczącego, prawda? – Spojrzał nieco zakłopotany.

– Prawda! – stanowczo potwierdził Leski, licząc na nowe odkrycie.

Spojrzał na perfekcyjnie wyrysowaną tabelkę, wypełnioną kolorowymi, kaligraficznym cyframi i literami. Czas wydania i zwrotu akt opisany był w każdym przypadku co do minuty. Ostatnim pobierającym był on, Leski, a poprzednim pułkownik Walewski, w dniu uprowadzenia Olewskiego.

Dziwne – pomyślał Roman. Choć może nie całkiem. W końcu zastępca do spraw operacyjnych miał dobry powód. Właściwie to… Chyba że się czegoś wystraszył, bo wiedział, że sprawa będzie teraz analizowana, i chciał szybko coś ukryć lub zmienić. Nasłał tych bandytów, by powstrzymać nasze śledztwo i zyskać na czasie? Liczył, że jak tylko zginie Olewski, nikt już się tą sprawą nie będzie zajmował.

Spojrzał na Kwietnia i zapytał:

– Niech pan sprawdzi na wykazie, czy Walewski wpisał się, że pobrał akta.

– Tak, wpisał się…

– Aha…

– Czwartego.

– Czwartego?

– Tak. Sam mu zanosiłem sprawę.

– Porwanie było szóstego. – Roman spojrzał zaskoczony na majora.

– No… tak…

– A w pana zeszycie jest, że pobrał szóstego o dwunastej czterdzieści jeden.

– Jak to? – zdziwił się Kwiecień.

Leski podał mu zeszyt.

– Ktoś się pomylił? – zapytał, ale wiedział już, że to nie mógł być major.

– Nooo… kur… Jak to możliwe? Pomyliłem się? Kur… – Kwiecień był autentycznie zakłopotany. – No… panie pułkowniku, nooo… ja teraz nie pamiętam… nie sprawdziłem wtedy…

– Nic nie szkodzi, majorze. Nic się nie stało, w końcu pana zeszyt to nie jest dokument służbowy – uspokajał go Leski z uśmiechem. – Zdarza się, ludzie nie są doskonali, a szefowie czasami tak zajęci, że też popełniają błędy. To bez znaczenia – zakończył.

Kwiecień odetchnął.

Roman uśmiechał się jednak nie po to, by uspokoić majora, tylko dlatego, że odkrył właśnie zdrajcę, a przynajmniej miał pierwszego solidnego podejrzanego.

Wstał, obszedł biurko i stanął obok zaskoczonego Kwietnia tak, że mógł widzieć otwarty zeszyt i akta sprawy. Chciał się upewnić, że się nie myli. I zanim spojrzał na punkt „Walewski”, jego wzrok zatrzymał się linię niżej. W pozycji „zwrócił” widniał wpis i podpis Hurmana. W zeszycie Kwietnia zapis był identyczny. Wskazał palcem.

– Nooo… co ja mogę? Szefowie, panie pułkowniku – odezwał się zasmuconym głosem major.

No to mam teraz dwóch podejrzanych. Błąd czy przypadek? Akta wziął Walewski i wpisał fałszywą datę pobrania, a zwrócił Hurman, podając prawdziwą. Nie wiadomo, kiedy je sobie przekazali. Dwaj przyjaciele

z Fundacji Atlantic i poseł Józef Kubiak z Wolności i Narodu? A może nie przyjaciele, tylko wrogowie – pomyślał Roman, ale nie był pewien, czy ma być z tego odkrycia zadowolony, czy nie. Poczuł jednak dziwny niepokój i jak najszybciej chciał zostać sam.

Niespodziewanie chwycił akta z biurka, wsunął pod pachę i szybkim krokiem skierował się do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze na moment, jakby o czymś sobie przypomniał, ale tylko machnął ręką i wyszedł, niechcący trzasnąwszy drzwiami.

Dotarł do swojego gabinetu, rzucił akta na biurko i od razu opadł na fotel. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła, puchnie i odbiera powietrze. Wziął kilka głębokich wdechów i zamknął oczy.

Gdy już poczuł się lepiej, spojrzał w okno. Nad szpitalem nie było ptaków. Popatrzył na *Ambasadorów*.

– O nic was nie pytam – rzucił, udając obrażonego, i odwrócił wzrok od obrazu. – Wiem, co mam teraz zrobić. – Spojrzał na telefon komórkowy, który leżał na biurku. – Zadzwonić do przyjaciela.

78

Dunin od godziny siedział w salonie i co jakiś czas rozmawiał z kimś przez telefon. Mówił cicho, spokojnie, a słuchawkę zakrywał ręką, więc w kuchni nie można było nic usłyszeć.

Dima wytrzeźwiał już na tyle, że zaczął powoli odtwarzać w pamięci zajścia ostatniej nocy. Dalej jednak nie mógł sobie przypomnieć, gdzie schował pistolet, a musiał przystąpić do realizacji drugiej części planu. Bez broni mogło się nie udać. A wszystko wskazywało na to, że Dunin ma już kontakt z porywaczami i lada moment będzie chciał zobaczyć pieniądze.

Nagle poczuł w kieszeni sygnał wiadomości przychodzącej. Wyjął telefon. Na ikonce Kalkulator pojawiła się czerwona kropka z cyfrą 1. Otworzył wiadomość: *Mam niepotwierdzoną informację, że Anglik i Japończyk nie żyją. Zadzwoń, jeśli możesz*.

Dima poczuł, jakby mu się ziemia usunęła spod nóg. Cały plan się zawalił, a przecież i tak był słaby. Kompletna katastrofa.

– Coś się stało? – zapytała zaniepokojona Wiera. – Zbladłeś.

– Nic takiego – odparł, siląc się na obojętność. – Sprawy biznesowe. Muszę zadzwonić i spokojnie porozmawiać.

– Idź do pokoju Sierioży.

Dima podniósł się ociężale, jakby był niezadowolony, że musi odbyć rozmowę, na którą nie ma ochoty, ale naprawdę był załamany. Od razu pomyślał, że Dunin też może już o tym wiedzieć i teraz będzie próbował go

oszukać. Zrobiło się bardzo niebezpiecznie, a on nie miał ani pistoletu, ani nawet żadnego pomysłu. Tego nie przewidział.

Tamara odebrała natychmiast.

– Mamy informację, wprawdzie niepotwierdzoną i z jednego źródła, że talibowie ścięli Anglika i Japończyka. Źródło jest wiarygodne.

– Kiedy?

– Tego nie wiemy. Podobno zostało to sfilmowane, ale w sieci nic się jeszcze nie pokazało.

– Dlaczego?

– Podejrzewamy, że blokuje ich wywiad pakistański, bo zrobili to bez jego zgody. Polak i Niemiec żyją. – Była spokojna, mówiła krótko i bez emocji. – Co teraz zrobisz? W każdej chwili może się to ukazać w internecie.

– Nie wiem. Muszę pomyśleć.

– Rzuć to wszystko. Wracaj. Nic już nie wskórasz. Jak się zorientują, że Anglik nie żyje, będą chcieli cię oskubać z pieniędzy i zabiją. Dunin nie pozwoli, żebyś wyniósł to na zewnątrz. Będzie się bał, że go wysypiesz. Wyjedź już dzisiaj. Masz broń?

– Mam – skłamał Dima. – Muszę to szybko przemyśleć. Coś wykombinuję. A może to właśnie dobra okazja na przejęcie inicjatywy. Każdą porażkę trzeba umieć przekuć w sukces. – Uśmiechnął się do siebie.

– Daj spokój, Dima! Nie pieprz! Wracaj! – Tamara miała już dość. – Nie pomogę ci.

– Spróbuję coś wymyślić. Jak nie wyjdzie, to wracam. Mam jedną prośbę…

– Jaką?

– Dasz mi znać, gdy talibowie opublikują ten film? Muszę to wiedzieć natychmiast.

– Dobrze. Dam znać, jak dowiem się czegoś nowego. Coś jeszcze?

– Nie.

– Kocham cię, braciszku – rzuciła na koniec i rozłączyła się.

Dima usiadł na krzesełku i zaczął analizować sytuację. Podświadomość mówiła mu, że powinien przejść do ataku, wykorzystać obecną przewagę, nawet tak niewielką i iluzoryczną, bo za chwilę może stracić i ją. Najlepszą obroną szpiega jest ucieczka, ale musi być dobrze zaplanowana. Tak mu zawsze powtarzał podczas kursu oficerskiego major Adam Bednarski i to samo chciała mu powiedzieć Tamara. Ale Dima nie miał ani czasu, ani planu ucieczki, a chaotyczny, nieprzemyślany odwrót to pewna śmierć. Postanowił jednak posłuchać podświadomości i zaatakować, narzucić Duninowi swój sposób rozwiązania klinczu, w którym właśnie obaj uwięźli.

Musiał mieć po swojej stronie Wierę. Wprawdzie nie wiedział jeszcze, jaką miałaby odegrać rolę, ale czuł, że bez niej byłby słabszy.

Dunin nie wychodził z salonu i wciąż rozmawiał przez telefon, jakby dowodził jakąś wielką operacją wojenną. Od razu było widać, że chce zrobić wrażenie, ale potwierdzało to tylko jego determinację i fałsz.

Kiedy Dima wszedł do kuchni, Wiera siedziała na krzesełku pod oknem, paliła papierosa i coś pisała na smartfonie. Wziął taboret i się do niej przysiadł. Wychylił się, jakby chciał ją pocałować w policzek, i wyszeptał:

– Oliver Bridges… Anglik, nie żyje.

Spojrzała na niego zaskoczona i dopiero po chwili wypuściła dym.

– Talibowie zamordowali go razem z Japończykiem – dodał.

– O Boże! – jęknęła. – Kiedy? Co teraz? – Popatrzyła w kierunku zamkniętych drzwi. – On jeszcze nie wie?

– Nie.

– Uciekaj! – rzuciła nieco za głośno i poderwała się z krzesełka. – Poczekaj… dam ci zaraz paszport i odwrócę uwagę Olega.

– Nie trzeba, muszę to pociągnąć… – Przerwał na moment. – I mam plan, pomysł.

– Dunin nie odpuści tych pieniędzy, za bardzo się umoczył. Zabije cię, bo będzie się bał, że go wydasz, jak wyjedziesz z Rosji. – Usiadła i złapała się za głowę. – Po co ja się tego podjęłam?! Boże, co ja narobiłam?! Uciekaj, Dimka! – Wzięła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta. – Jeszcze jest czas!

– Spróbuję jednak coś zdziałać – odparł pewnym głosem, choć dopiero rodziły mu się w głowie pierwsze pomysły. – Zaufaj mi tylko. Nie musisz nic robić, tylko obserwuj, co się dzieje… obserwuj Dunina.

– Jesteś szalony.

Pokręciła głową, jakby niepewna, czy może zaakceptować to, co powiedział, ale po chwili skinęła na znak zgody. Dima pomyślał, że może powinien jej powiedzieć prawdę, kim jest i z jaką misją przyjechał do Moskwy. Wydawało mu się, że mogłoby to rozwiązać problem i ułatwić rozmowę z Duninem, jednak natychmiast do niego dotarło, że złamałby życie Sierioży. Wiera nigdy by tego nie zaakceptowała.

– Idę z nim porozmawiać – oznajmił zdecydowanie, wstając. – Przyjdź za piętnaście minut.

Kiedy wszedł do salonu, Dunin tak jak wczoraj siedział na kanapie i rozmawiał cicho przez telefon. Na stoliku przed nim leżał otwarty notatnik, ale Dima nie mógł dostrzec, co w nim jest. Wyglądał na gęsto zapisany.

Dunin szybko pożegnał się z rozmówcą i natychmiast zamknął notatnik.

– No co, Greku? – zapytał jakby od niechcenia.

– To ja jestem ciekaw – odpowiedział Dima. – Kiedy Anglik będzie wolny? Bierzesz pieniądze i rozchodzimy się jak przyjaciele. Do następnego razu oczywiście, bo ciągle gdzieś kogoś porywają. A ludzi

trzeba ratować, prawda? – Stał z rękami w kieszeniach i wyglądał na pewnego siebie. – Powiem ci, pułkowniku, krótko: jeżeli do wieczora nie załatwisz sprawy, to wychodzę z tego interesu i wyjeżdżam. W dupie mam twoje groźby i strachy. Jakieś pierdolenie z paszportem. Nie tylko ty się zabezpieczyłeś. Miałeś mnie za idiotę? – Wyjął swój smartfon. – Znam Rosję i Rosjan od lat, nie zapominaj. Robiłem tu interesy, i to nie z takimi jak ty, więc na wszelki wypadek od początku wszystko nagrywałem, a pliki już wysłałem w odpowiednie miejsce.

Dunin siedział wyprostowany na kanapie i z kamienną twarzą obserwował Dimę. Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Takie moje małe zabezpieczenie na kogoś takiego jak ty – ciągnął Dima. – Byłbyś milszy, nie byłoby tej rozmowy. Żal mi tylko Wiery.

– Nie sadź się, człowieku – odezwał się w końcu Dunin. – Nie spiesz się i nie podskakuj. Od razu widać, że chuj wiesz o Rosji. Możesz się zabezpieczać do usranej śmierci, ale jak będziesz próbował nas kiwać, to cię po prostu walniemy i już. Nie ma człowieka, nie ma problemu. Rzeka Moskwa chętnie przyjmie takiego jak ty. To nie jakaś zasrana kolebka cywilizacji, tylko Rosja, rozumiesz? I odpierdol się od Wiery.

– To uzgodniliśmy stanowiska – rzucił sucho Dima.

– Tak jakby… – Dunin wziął telefon ze stolika. – Wyjdź teraz, bo chcę zadzwonić. – Spojrzał dziko spode łba.

Jakby się pogubił, zauważył Dima. A zatem to najlepszy moment, żeby uderzyć.

– Odłóż ten telefon, pułkowniku, i przejdźmy do konkretów – rzucił bardziej pojednawczym tonem.

Obszedł powoli stolik z prawej strony i już miał usiąść, gdy z kuchni wyszła Wiera.

Za wcześnie, nie wytrzymała – pomyślał, widząc jej zaniepokojone i rozbiegane oczy.

Przeszła przez salon i zajęła miejsce w rogu kanapy naprzeciwko Dunina. Podciągnęła nogi i zapaliła papierosa. Dopiero wtedy Dima usiadł w swoim fotelu.

Od razu poczuł, że coś twardego uwiera go w udo. Wsunął delikatnie rękę między siedzenie i oparcie, ale już wiedział, co to jest. Poczuł, jak wypełnia go radość, i nawet uśmiechnął się delikatnie.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że w nocy wsunął tam broń, bo obawiał się, że jest zbyt pijany, by nad sobą zapanować, i może popełnić jakiś błąd. Dunin stawał się coraz bardziej agresywny, więc pistolet w zasięgu ręki mógł się okazać przydatny.

Wiera zauważyła jego rozpogodzoną twarz i też się delikatnie uśmiechnęła, zakrywając usta dłonią z dymiącym papierosem między palcami.

79

– Miałem do ciebie zadzwonić. – Pierwszy odezwał się Bronek. – Namierzyliśmy tych podejrzanych. Mamy ich fotografie. Dobrze, żebyś to zobaczył.

– Nie aresztowaliście ich? – zapytał zdziwiony Roman.

– No nie… tylko patrol wypatrzył dwóch z nich na ulicy, ale nic więcej. Nie wiemy jeszcze, kim są i gdzie są. Przeglądamy nagrania… wiesz… Przyjedziesz?

– Nie przyjadę – odparł Roman. – Nie mam czasu.

– To po kiego dzwonisz? – obruszył się Bronek. – Pewnie znów czegoś chcesz. To ci odpowiem, że też nie mam czasu.

– Nie zmuszaj mnie do użycia środków nacisku. Nie lubię szantażować przyjaciół. Wolę, jak pracujesz dla mnie z własnej woli i z entuzjazmem – oznajmił Roman poważnym tonem i obaj się roześmiali.

– Czego znowu chcesz?

– Za pół godziny przyjedzie do ciebie ta sama dziewczyna co poprzednio. Potwierdzi identyfikację podejrzanych, bo widziała ich na żywo i w plenerze…

– O! – przerwał mu Bronek. – I to jest prawdziwa pomoc policji państwowej.

– Przywiezie też pewne dokumenty, które trzeba przebadać w laboratorium kryminalistycznym poza protokołem i pod naszym

nadzorem. Wyjaśni dokładnie, o co chodzi.

– To z tym nie do mnie, tylko w Aleje Ujazdowskie, do centralnego laboratorium. Zadzwonię, gdzie trzeba, i uprzedzę. Zgłosi się bezpośrednio do komisarz Hanny Bielskiej, tylko niech weźmie policyjną blachę. Ale najpierw identyfikacja tych zbójów.

– Nie – zaprzeczył twardo Roman. – Najpierw badanie, potem identyfikacja.

– Nie! Nie zgadzam się! – Bronek nie ustępował.

– Dobra. Na identyfikację przyślę ci kogoś innego. Zgłosi się do ciebie za godzinę taki niewysoki młody człowiek. Witek ma na imię. Też zna tych ludzi. Gra?

– Gra. Wszystko?

– Nie.

– Co jeszcze… kur…

– Potrzebuję tego Kubiaka na dzisiaj, na już.

– Tego nie mogę ci zagwarantować. Nie mogę doprowadzić go siłą, tylko po dobroci. Już rozmawiałem z komendantem. Dobrze… dam ci znać co i jak. Może być tak, że ty do niego pojedziesz w asyście.

– Jak się nie da inaczej, to zgoda. Teraz to już wszystko. Aha… jeszcze jeden drobiazg.

– Uff…

– Będę potrzebował spozycjonować dwa numery telefonów. Zapiszesz?

– Dasz mi później.

– Dzięki, przyjacielu – rzucił Roman.

– No co ty, Romciu… jasna sprawa. Będziemy w kontakcie.

Leski już miał wybrać połączenie do Eli, kiedy na ekranie komputera pojawiła się informacja o pilnej depeszy od Khana z Islamabadu.

Od razu mu zaświtało, że w tej klauzuli mogą być tylko dwie informacje. Albo Henryk został zamordowany, albo uwolniony. A jednak poczuł wyraźny smutek. Zdawał sobie sprawę, co podpowiada mu podświadomość. Przez chwilę się wahał, czy na pewno chce otworzyć tę depeszę. To był jeden z tych dni, kiedy Roman żałował, że jest w swoim biurze na Miłobędzkiej, a nie w kinie. Czasami nienawidził tego, co robił. Czuł się wtedy brudny i winny.

W końcu otworzył depeszę i zanim ją przeczytał, poszukał wzrokiem słów kluczy – Olewski, śmierć, talibowie, oficer. Nie znalazł i od razu poczuł przypływ optymizmu. Zaczął czytać. Depesza przeznaczona była dla całego kierownictwa Agencji i Roman nie wątpił, że w tym momencie wszyscy ją czytają, ale każdy widzi w niej coś innego. Leskiego najbardziej interesowało, co z niej wyczyta Wielki Zdrajca.

To był długi tekst. Szczegółowa i klarowna relacja Brauna ze spotkania z Sinsterem. Roman ucieszył się, że Henryk i Jürgen prawdopodobnie jeszcze żyją. Przeczytał tylko informację o załączonym pliku filmowym, która wstrząsnęła nim tak, że nie odważył się go otworzyć. Wnioski i uwagi Brauna były wyjątkowo celne i logiczne. Jedynym zaskoczeniem było to, że Amerykanie cały czas wiedzieli, kim jest Henryk.

Oczywiście o sprawach najważniejszych dla Romana nie mogło w tej depeszy być mowy. Dima znajdował się teraz w poważnym niebezpieczeństwie, a miał wyłączony telefon. Nie wiadomo było, jaki dokładnie plan realizuje, ale Roman mógł to sobie łatwo wyobrazić. Z pewnością wciągnie Rosjan w grę i obieca pieniądze. A korumpowanie pułkownika GRU jest bardzo niebezpieczne.

Najgorsze było to, że nie mógł się skontaktować ani z nim, ani z Moniką. Za wszelką cenę musiał go powiadomić, co się stało w Afganistanie, i możliwie szybko wycofać z Moskwy.

Zadzwonił telefon służbowy na biurku i zapaliła się lampka z napisem *Szef*.

– Widziałeś? – zapytał Korycki.

– Tak.

– I co ty na to?

– Uwagi i wnioski Brauna oraz sugestie Sinstera są bezbłędne. Trzeba iść tym torem, i to bez zwłoki. Miejmy nadzieję, że Olewski i ten Niemiec jeszcze żyją. Teraz musi się poważnie ruszyć MSZ i osobiście Bolecki.

– Też tak uważam… Jadę zaraz do Grobelnego i zobaczymy, co można zrobić. Trzeba rozmawiać z Berlinem i zgodnie z radą Sinstera nacisnąć Islamabad. Potem pojedziemy razem do premiera. Już go uprzedziłem. Jeśli nic złego się nie wydarzy, zwołuję naradę na jutro o dwunastej, więc nic nie planuj. A ty masz dla mnie coś nowego? – zapytał Korycki z nadzieją w głosie.

– Nic specjalnego, ale może jutro na naradzie będę już coś miał – odparł Roman.

– Świetnie! – rzucił Korycki i się rozłączył.

Roman był niemal pewny, że Korycki jest zadowolony z tego, co się stało, bo na horyzoncie majaczył już finał, jakiego oczekiwał. Oczywiste było, że jedzie do Grobelnego nie po to, by ustalać plan ratunkowy. Musieli opracować nową strategię: jak wykorzystać śmierć majora Olewskiego przeciwko premierowi.

Narada o dwunastej? – pomyślał Roman. Muszę być gotowy. Zapewne to ostatnia szansa.

Przerwał rozważania na temat Koryckiego, bo miał już jasny obraz jego spisku. Aby zamknąć koncepcję, brakowało mu jeszcze kilku przecinków, ale znalezienie ich było tylko kwestią czasu.

Musiał natychmiast ściągnąć Elę i Witka. To teraz najważniejsze. Czas uciekał, a Dima i Monika milczeli.

80

– Dostałem wiadomość, że Oliver Bridges nie żyje – zaczął Dima z poważną miną, zawiesił głos i przez chwilę obserwował Dunina, który jakby zamienił się w granitowy głaz.

Dima nie potrafił ocenić, czy Dunin jest zaskoczony, czy przerażony. Czy dopiero teraz się dowiedział, czy też wiedział już, co się stało, ale nie liczył na to, że Dima dowie się tak szybko.

Skoro Mosad wie, to i GRU powinno – pomyślał nieco zaniepokojony.

– Nie żyje też Japończyk – ciągnął Dima. – Obu ścięto i nie stało się to dzisiaj.

Dunin wciąż siedział nieporuszony, wpatrując się w stół, i im dłużej to trwało, tym bardziej Dima był przekonany, że szuka jakiegoś rozwiązania.

– A kiedy? – zdobył się na pytanie.

– Tego jeszcze nie wiem, ale wygląda na to, że jakiś czas temu. Albo o tym nie wiedziałeś i ktoś wsadził cię na minę, co mógłbym nawet zrozumieć, gdyby nie wydawałoby mi się to wątpliwe. GRU nie robi takiej partaniny. Albo wiedziałeś i chciałeś mnie zwyczajnie wydymać, a wszystkie twoje oferty, zapewnienia i cały ten deal to czysta mistyfikacja.

Dunin sięgnął po telefon, podniósł się z kanapy i odszedł w stronę okna. Połączył się z kimś i przez chwilę rozmawiał, zakrywając usta dłonią.

Wiera zdusiła papierosa w popielniczce. Wciąż siedziała w tej samej pozycji, ale widać było, że choć milczy, jest ważnym uczestnikiem

rozmowy. Dima co chwila przerzucał na nią wzrok, jakby chciał się upewnić, czy dobrze robi, a ona odpowiadała mu zmrużeniem powiek. To było wystarczające. Czuł się pewniej.

Dunin skończył rozmawiać i wrócił na swoje miejsce.

– Przynieś, Wiera, wódki – zarządził, a ona spojrzała na Dimę, który dał jej znak, by posłuchała. – Tak… to nie jest potwierdzona informacja, ale to i tak niewiele zmienia. Przychodząc z tą prośbą do mnie, wiedziałeś, jakie jest ryzyko. Poniosłem koszty i muszę uregulować rachunki. Mówiłem ci to od początku, więc teraz nie masz wyjścia. Musisz zapłacić. Ten twój szantaż z nagraniami jest zwyczajnie śmieszny i naiwny. Chuja wart! – Wyjął pistolet i położył tuż obok.

– Nie strasz – powiedział Dima spokojnie. – Nie boję się ciebie…

– Nie straszę – przerwał mu ostro Dunin. – Ta sprawa nie może mieć innego zakończenia.

– Może, i ja wiem, jak ją zakończyć, żeby wszyscy byli zadowoleni i nikt nikogo nie musiał zabijać – ciągnął Dima pewnym głosem.

Do salonu weszła Wiera z tacą, na której stała butelka, szklaneczki i półmisek z wędlinami. Obaj zamilkli, czekając, aż postawi tacę i usiądzie, ale w rzeczywistości każdy z nich zastanawiał się nad następnym krokiem.

Dima uznał, że na razie nic nie uzyskał, chociaż ton Dunina radykalnie się zmienił. To dawało nadzieję.

– Skoro nie żyje Anglik… wykupię zamiast niego dwóch pozostałych, Niemca i Polaka – rzucił z przekonaniem. – Jeżeli jeszcze żyją… – dodał. – To chyba uczciwa propozycja.

Dunin spojrzał na niego, jakby zobaczył ducha, i po chwili uśmiechnął się z przekąsem.

– A to dobre! – Zaczął nalewać wódkę sobie i Dimie. – To rodzina z Londynu taka hojna? Niby dlaczego?

– Pieniądze, jak wiesz, są tutaj. Rodzina odbije to sobie w Berlinie i Warszawie, na pewno zapłacą.

– Nooo… Warszawa niewątpliwie – odparł Dunin. – Ale ty nie masz takich pieniędzy, jakich wart jest Polak.

– Milion funtów to mało?

– On pracuje dla polskiego wywiadu, chociaż udaje, że jest z CIA. Znają go u nas bardzo dobrze. Taki ptaszek kosztuje specjalnie.

– Szpieg? – zapytał Dima, żeby zyskać choć chwilę, bo nie mógł uwierzyć, że się nie przesłyszał.

Dunin mówił coś jeszcze, ale Dima się wyłączył. Jakby w ciemnym zaułku dostał pięścią prosto w twarz. Powoli jednak dotarło do niego, że musi natychmiast poinformować Romana.

– I co ty na to, Greku? – dotarł do niego z oddali głos Dunina, ale Dima nie wiedział, o co chodzi.

– Czyli?

– Polacy dorzucają milion euro i ich szpieg jest wolny jeszcze dzisiaj – odparł Dunin. – Ogłuchłeś? Wypij w końcu.

Dima dopiero teraz zauważył, że Dunin trzyma szklankę w uniesionej ręce. Wypili.

– Nie mam kontaktu z Polakami…

– To jakiś problem? – zdziwił się Dunin. – Jak chcesz, to zaraz ustalę, do kogo masz zadzwonić. Na pewno Polaczki będą chciały uratować swojego arcyszpiega, bo Amerykanie pewnie nie… – Roześmiał się. – Ambasada polska musi mieć taką kwotę w gotówce na czarną godzinę albo może pożyczyć od swoich bogatych sojuszników. Co to jest bańka euro! Pójdziesz, weźmiesz i przyniesiesz. Proste?

Dima doskonale wiedział, że pomysł Dunina to czysta fikcja i pewne samobójstwo. Bo nikt w Warszawie nie podejmie decyzji tylko na

podstawie tego, co powie jakiś pułkownik Roman Leski, który działa poza prawem.

Bolecki, Grobelny, Korycki będą chcieli informacji, dowodów, potwierdzenia, będą radzić, dyskutować. Tymczasem Dunin daje ledwie kilka godzin. A tak naprawdę nikomu nie zależy na majorze Olewskim, który jest tylko źródłem problemu. Co więcej, rosyjski kret w Agencji z łatwością się zorientuje, że Leski ma w Moskwie kogoś, kto pracuje nad sprawą. A wtedy ludzie z GRU w pięć minut ustalą, że stoją za tym Dima Calderón, Oleg Dunin i Wiera Kozakina. Wtedy ich los będzie przesądzony. Major Henryk Olewski też nie przeżyje.

Dima wyjął telefon i spojrzał na Kalkulator. Nie było żadnej informacji.

Musiał teraz wybrać. Zadzwonić do Romana i powiedzieć mu całą prawdę, zaufać, że nie zrobi błędu? To mogłoby się zakończyć oddaniem losu swojego, Wiery i Sierioży w ręce obcych, może drani, może zdrajców, może pospolitych tchórzy. Czy też działać na własną odpowiedzialność? Zawierzyć intuicji?

Spojrzał na Dunina, który wpatrywał się w niego, oczekując odpowiedzi. Przeniósł wzrok na Wierę, ale z jej twarzy nie mógł nic wyczytać, jakby chciała zachować neutralność, i trochę go to zaniepokoiło. Pomyślał, żeby zadzwonić do Tamary, ale wiedział, co mu odpowie. A Monika była gdzieś wysoko nad Afryką.

– Zrobimy tak, panie pułkowniku… – zaczął Dima.

81

Poseł Kubiak zdecydowanie odmówił udania się na komendę i miał do tego prawo, więc policjanci grzecznie ustąpili. Zgodził się natomiast na rozmowę z oficerem dochodzeniowym. Nie zapytał w jakiej sprawie, ale z góry zapowiedział, że będzie mógł mu poświęcić tylko kwadrans, a i to pod warunkiem, że spotkanie rozpocznie się punktualnie o dwunastej w kawiarni hotelu Sheraton.

Taką informację przekazał Bronek.

Roman spojrzał na zegar. Miał piętnaście minut, by dojechać na ulicę Prusa. Wziął samochód służbowy z kierowcą i zdążył stawić się w wyznaczonym miejscu dwie po dwunastej.

Poseł Kubiak siedział sam przy stoliku i rozmawiał przez telefon. Był otyłym mężczyzną pod sześćdziesiątkę, ze skłonnością do gwiazdorzenia. Mówiło się nawet, że założył portal Kontakt24 tylko po to, by się w nim przeglądać. Gościł we wszystkich programach politycznych w radiu i telewizji, bo był wyszczekany, bezczelny, arogancki i zawsze kogoś atakował za niedostatek patriotyzmu.

Teraz, rozparty w fotelu, też sprawiał wrażenie, jakby pozował przed kamerami. Miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę z apaszką i okulary przesunięte na czoło. Zaczeska zakrywała rozległą łysinę na baloniastej głowie.

– Dzień dobry, panie pośle. Inspektor Zbigniew Bielski. – Roman wyciągnął rękę z legitymacją policyjną.

– Witam pana – odparł Kubiak, nawet nie zaszczycając jej spojrzeniem. – O co chodzi? Tylko szybko, bo nie mam dla pana dużo czasu.

– Mogę usiąść?

– Proszę. Więc?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie nadużyć w Fundacji Atlantic, której był pan donatorem.

– Wszystkie donacje zostały zgłoszone do urzędu skarbowego… – obruszył się Kubiak.

– Ależ oczywiście! – uspokoił go Roman. – Nie mamy żadnych uwag, wszystko jest w porządku. Zwracamy się do pana, polityka, biznesmena, człowieka godnego zaufania, z prośbą o pomoc. Chodzi o poprzedni zarząd fundacji. Zrobił pan w tym czasie trzy bardzo duże donacje… na prawie pół miliona złotych.

Kubiak spojrzał na Romana.

– No i co z tego?

– Nie, nic… – Roman starał się być uprzejmy. – Po prostu zakładamy, że jeżeli ktoś powszechnie znany daje tak duże pieniądze na uruchomienie fundacji, choć nie jest nawet członkiem jej zarządu, to musi mieć zaufanie do kierujących nią ludzi, czyż nie?

– Do czego pan zmierza? – W głosie Kubiaka pojawiła się nutka zdenerwowania.

– Czy zna pan panów Walewskiego i Hurmana? – zapytał Roman, wpatrując się w Kubiaka przez swoje niemodne okulary. – Zna pan? – powtórzył, nieznacznie podnosząc głos.

I tak jak się spodziewał, Kubiak zamilkł, bo nie miał gotowej odpowiedzi. Świetnie radził sobie w mediach, gdzie zawsze mógł

powiedzieć, że nie wie, nie był tam, nie czytał, i wyślizgać się z każdego niewygodnego pytania, ale teraz miał naprzeciw siebie policjanta, z którym nie mógł pogrywać w ten sposób. Już po pierwszych jego słowach zorientował się, że coś mu grozi, ale nie przypuszczał, że padnie pytanie o Walewskiego i Hurmana.

– Czy pan wie, o kogo pan pyta? – Kubiak wyraźnie próbował zyskać na czasie.

– Oczywiście, że wiem – rzucił sucho Roman. – Czy pan ich zna?

– Tak, znam… Musi pan wiedzieć, że pana Koryckiego też znam. A tak w ogóle to o co panu chodzi? Nie podoba mi się ta rozmowa.

– Nie pytałem pana o szefa wywiadu, tylko o tamtych dwóch panów. Nie widzę w tym nic złego i nie rozumiem, dlaczego nie chce pan odpowiedzieć. Ma pan jakiś powód? – Roman powoli zmierzał do finału. – Przecież dał im pan pół miliona. Nie wie pan, komu daje pieniądze?

– Tak… oczywiście znam obu panów. – Kubiak wydął usta, udając, że bagatelizuje sprawę, ale wyszło odwrotnie. – Niech się pan streszcza, bo nie mam czasu – spróbował pójść za ciosem.

– Kiedy ostatni raz miał pan z nimi kontakt? – ciągnął spokojnie Roman.

– Nie pamiętam… chyba dawno. Czy coś… – Kubiak wyraźnie się speszył.

Roman pomyślał, że chciałby zobaczyć go takim w telewizji. W każdym razie był to dobry znak.

– Myślę, że nie tak dawno. Nawet nie myślę… wiem. Nie wiem tylko, czy to Walewski, czy Hurman poinformował pana o tym, że porwany w Pakistanie Polak to oficer polskiego wywiadu, i polecił, by zajęła się tym pańska telewizja. No więc który, Walewski czy Hurman? Zdaje pan sobie sprawę, że może się pan przyczynić do śmierci polskiego obywatela?

– A co ma do tego policja? – Kubiak był coraz bardziej poruszony.

– Zobaczy pan.

– Pan wie, inspektorze, że dobrze znam komendanta głównego i szefa Koryckiego? Rozumie pan…

– Mam w dupie, kogo znasz, gnojku – przerwał mu spokojnym głosem Roman, aż Kubiak otworzył usta z wrażenia. – Możesz sobie nawet być prezydentem. Jeżeli coś złego stanie się uprowadzonemu Polakowi, upierdolę ciebie i ten twój jabłkowy biznes. Nie zaproszą cię nawet do *Teleranka*. – Spojrzał wymownie na zegarek. – Piętnaście minut minęło. Możesz spierdalać, gnojku!

Wstał i ruszył do wyjścia, zostawiając przy stoliku kamienny posąg Kubiaka.

Wsiadł do samochodu służbowego i wrócił prosto na Miłobędzką.

Spotkanie z Kubiakiem nie przebiegło dokładnie tak, jak sobie zaplanował, ale osiągnął to, co chciał. Od początku wiedział, że Kubiak nie powie mu prawdy i będzie kluczył, dlatego zamierzał go tylko sprowokować. Był ciekaw, kto z Miłobędzkiej zareaguje: Walewski, Hurman czy Korycki? Tym bardziej że każdy z nich natychmiast się połapie, kim w rzeczywistości jest inspektor Bielski.

Chwilami Roman miał wrażenie, że cała trójka działa w porozumieniu, chociaż nie mógł uwierzyć, by wszyscy świadomie pracowali dla Rosjan. Tak się już nie szpieguje. Niestety, Pański był poza grupą i nie było nic, co mogłoby go wiązać z tym wątkiem. A pasowałby idealnie – pomyślał.

– Może warto z pułkownikiem zawrzeć sojusz? – powiedział do siebie i spojrzał na *Ambasadorów*. – Pański widzi wszystko, a jeszcze więcej wie…

Postanowił zadzwonić do niego rano i umówić się na rozmowę przed naradą u Koryckiego. Uzależniał to jednak od tego, co ustalą Monika, Dima, Ela i Witek. To miał być decydujący wieczór. Roman czuł, że jeśli

nie zdetonuje tej masy krytycznej teraz, to już nigdy nie uda mu się zdemaskować Wielkiego Zdrajcy. Będzie musiał powiedzieć wszystko, co wie, bez twardych dowodów. Falstart spali sprawę.

Była pierwsza piętnaście. Wyjął z teczki kanapkę z szynką i serem, którą zrobiła mu Ela, i poszedł zaparzyć sobie herbatę.

82

– Najpierw powiedz mi, w jaki sposób chcesz zmusić Tygrysa do uwolnienia zakładników. Jeśli nie zyskam choć odrobiny pewności, że to w ogóle jest realne, nie będę w stanie działać dalej – zaczął Dima. – To chyba zrozumiałe, prawda?

Dunin uśmiechnął się tajemniczo i sięgnął po swój smartfon.

– Mogę ci to powiedzieć, a nawet pokazać – odparł pewny siebie. – Trzymamy jego rodzinę jako zakładników i możemy im obciąć głowy, jak to oni robią, albo utopić w kiblu, jak to my robimy. Na takiego pierdolonego i nawiedzonego islamistę nic nie działa, tylko szantaż śmiercią najbliższych. Dobry dżihadysta poświęci życie dla sprawy, ale nie poświęci rodziny. Dlatego jeśli któryś ma rodzinę, to ją ukrywa. A ten kozojebca akurat miał wyjątkowego pecha.

Pogrzebał palcem w smartfonie i podał go Dimie.

– To są zdjęcia z dzisiejszego ranka. Jego żona, córka i kuzyn. Widzisz? Ułajew już je dostał i wie, czego od niego oczekujemy. Musimy jednak zaktualizować nasze żądania i zmienić przedmiot handlu. – Uśmiechnął się szyderczo. – Zadowolony? Teraz twój ruch, Greku. Byle szybko. Czas jeszcze nigdy nie był tak cenny. Dla zakładników, samego Ułajewa, jego rodziny, dla ciebie i co najważniejsze, dla mnie też, ale inaczej. Jeden twój błąd i wszyscy zginą. Jedynie Tygrys przeżyje, a wtedy niech nas Trójca Święta ma w opiece, bo Allah nam nie daruje. – Wziął od Dimy smartfon

i uniósł go w teatralnym geście. – To jest jedyny telefon, którym można załatwić sprawę i zadzwonić do Pana Boga Wszechmogącego… i akurat jest w mojej dłoni, jak widzisz. – Do drugiej ręki wziął pistolet, który cały czas leżał obok niego na kanapie, i też go uniósł. – A w tej trzymam włócznię świętego Jerzego… i nie zawaham się jej użyć… – skierował broń w stronę Dimy – w imię boże.

– W porządku – odparł Dima. – Dzwonię do Londynu, a ty załatwiaj zwolnienie zakładników. I nie mierz do mnie.

Uznał, że teraz powinien już poinformować Romana o sytuacji w Moskwie. Musiał jednak wyjść z mieszkania, bo Leski nie znał żadnego obcego języka i trzeba było rozmawiać z nim po polsku. Bał się, że Wiera albo Dunin mogą go usłyszeć, a to by oznaczało dekonspirację.

Wcisnął pistolet głębiej w fotel i ruszył w stronę kuchni. Dał znak Wierze, żeby poszła za nim.

– Boję się – wyszeptała, kiedy byli już sami. – Oleg zrobił się bardzo dziwny… Nigdy wcześniej nie mówił o Bogu. Jest bardzo zdenerwowany. Dimka, boję się o ciebie, czuję, że stanie się coś złego…

– Będzie dobrze – próbował ją uspokoić. – Muszę wyjść, żeby porozmawiać… bo tu nie mam warunków. Powiedz mu, że będę przed domem, i przypilnuj, żeby nie robił głupstw.

– Może idź… do pokoju Sierioży – zaproponowała, ale tylko pokręcił głową.

Wyszedł z mieszkania tak cicho, że Dunin nawet tego nie zauważył. Zjechał na dół i usiadł na ławce obok piaskownicy, skąd miał widok na wejście do budynku i bramę wjazdową. Wymienił kartę SIM i wybrał z pamięci numer Romana.

Spojrzał odruchowo do góry. W oknie stał Dunin. Przyglądał mu się, rozmawiając przez telefon. Uniósł rękę, jakby chciał dać znak, że go widzi

i pilnuje jednocześnie. Dima nie odpowiedział.

– Martwiłem się już o ciebie – pierwszy odezwał się Roman. – Co się dzieje?

– Wszystko w porządku – odparł spokojnie Dima. – Mam mało czasu, więc będę się streszczał i nie będę kodował, żeby nie było przekłamań. Musisz wszystko dobrze zrozumieć. Kret w Agencji to nie wszystko. Sprawa „Mocarz” jest grą operacyjną Rosjan, GRU dokładnie. Od początku wiedzieli, że robimy to pod amerykańską flagą. Wiem to od Dunina i jest mało prawdopodobne, żeby mnie podpuszczał. Nie ma w tym interesu i nie kojarzy mnie z Polską, zresztą zbyt wiele ryzykuje. A tę informację sprzedał mi właściwie przy okazji, żeby podbić cenę. Nic więcej nie wiem.

– Rozumiem – wrzucił Roman zdecydowanie. – Mów dalej.

– W sprawie Henryka… – Urwał na moment i znów spojrzał w górę. Dunin ze smartfonem przy uchu wciąż stał w oknie, jakby podsłuchiwał jego rozmowę. – Jest nadzieja, jest. Ale nie wiem jak realna… Będę wszystko wiedział dzisiaj, do wieczora…

– Anglik i Japończyk zamordowani – wtrącił się Roman. – Wiemy od dwóch godzin, ale nie miałem możliwości cię poinformować. To pewne, choć jeszcze nie zostało upublicznione.

Dima chciał już powiedzieć, że wie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, bo musiałby ujawnić źródło.

– Ach tak? – udał zaskoczenie. – Ale tutaj to nic nie zmienia. Dunin…

– Nie wiemy, kiedy zostali straceni, ani nie wiemy, czy dwaj pozostali jeszcze żyją. Jeśli Rosjanin coś ci obiecuje, to znaczy, że cię wkręca. Oni na pewno też już wiedzą. Obiecałeś mu pieniądze?

– Tak… dwa miliony euro.

– Tego się obawiałem. – Roman westchnął głęboko. – Posunąłeś się za daleko! Masz natychmiast zostawić to wszystko i wracać do kraju.

Przerywam operację. – Zabrzmiało to bardzo ostro. – To rozkaz! Jest zbyt niebezpiecznie! Nie wyciągniemy Henryka, trzeba być realistą. Talibowie wcale nie zamierzają negocjować… stoją za tym ludzie z pakistańskich służb. Ale to, co powiedziałeś o GRU, układa mi się w pewną całość i jestem już bardzo blisko… – Urwał i zaraz dodał: – Wracaj! Wystarczy!

– Dobrze… – odparł niepewnie Dima.

– Nic nie kombinuj!

– Dobrze, wracam jutro! – powtórzył zdecydowanie. – Ale do mojego powrotu nie wypuszczaj nic z tego, co ci powiedziałem. Bo… mnie… tutaj…

– Rozumiem. Nie martw się… i natychmiast wracaj. – Roman był wyraźnie przejęty. – Coś jeszcze?

– A co z Moniką?

– Jest w drodze.

– Dam znać! – Dima zakończył rozmowę.

Spojrzał w okno. Dunina już tam nie było. Jego miejsce zajęła Wiera.

Odsiedział jeszcze pół godziny na ławce, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić.

Jednego był pewien: musi tak poprowadzić rozmowę i ustawić Dunina, by doczekać do uwolnienia Henryka. Do głowy przychodziły mu najbardziej absurdalne pomysły, nawet taki, że sterroryzuje Dunina swoim kompozytowym pistoletem, zwiąże, odbierze mu broń i ucieknie z Rosji. Problemem była Wiera, która musiałaby wziąć w tym udział.

I dopiero teraz sobie uzmysłowił, że Wiera jest największą niewiadomą i przeszkodą w zakończeniu tej sprawy. Bo jeśli znajdzie się sposób na zneutralizowanie Dunina, to Wiera poniesie tego konsekwencje. W końcu ona tu zostanie. Nie wyjedzie z Rosji, nie zostawi Sierioży. Wcześniej miał chwile zwątpienia, kiedy ją podejrzewał, że gra z Duninem przeciwko

niemu, więc teraz był na siebie jeszcze bardziej zły. Nie docenił jej oddania i lojalności, choć powinien był. Jak tchórz bał się nawet pomyśleć, że kieruje nią miłość, ale nie bał się tego wykorzystać. Poczuł do siebie wstręt.

Spojrzał do góry. W oknie nie było nikogo.

Miał wybór. Mógł teraz po prostu wstać i pójść. Wykonać polecenie Romana. Zadzwonić do Warszawy i gdzieś w bezpiecznym miejscu czekać na eksfiltrację. Zapomnieć o wszystkim, o Henryku, którego już nie da się uratować, i zamiast niego ocalić Wierę.

A jeśli Henryk jeszcze żyje i można go uwolnić? Jeśli później się okaże, że on, Dima, wycofał się za wcześnie, że się wystraszył, że nie zaufał intuicji, nie zrobił wszystkiego, co powinien? Wystraszył się miłości kobiety i uciekł? Zdradził towarzysza broni, którego nawet nie znał, czy stchórzył przed kobietą, której przecież nie kochał?

Lepiej być tchórzem czy zdrajcą? – pomyślał zaniepokojony. Z tchórzostwa można wyjść, ze zdrady nigdy.

Znów spojrzał do góry. W oknie stali Wiera i Dunin.

83

Henryk leżał skulony pod ścianą, z czarnym workiem na głowie. Ręce i nogi miał skrępowane grubym rzemieniem. Na szyi ciasno zapięty łańcuch, którym był przykuty do ściany.

Na początku czuł ostry ból, głównie w rękach, nogach i w czaszce. Łzy płynęły mu po opuchniętej twarzy, ale nawet nie mógł ich zetrzeć, bo przeszkadzał w tym łańcuch. Mimo to sprawiały mu ulgę.

Później nie czuł już żadnego bólu. Jakby to nie jego ciało leżało na ziemi. Miał wrażenie, że może chodzić swobodnie po pomieszczeniu i przyglądać się skulonej sylwetce jakiegoś nieznanego człowieka z czarnym workiem na głowie.

Najbardziej jednak dokuczał mu smród moczu i odchodów, które zostawiał na sobie. Trochę się dziwił, że ma tak wyostrzony zmysł zapachu. Głodu też już nie czuł. Co jakiś czas przychodził talib i poił go smaczną, orzeźwiającą wodą z butelki.

Nie był już właścicielem swojego ciała, nie mógł nad nim zapanować, nie chciało wykonywać jego poleceń. Uznał zatem, że ból nie jest rzeczywisty i istnieje tylko w jego świadomości. Chwilami odzyskiwał jasność umysłu i wtedy próbował się zastanawiać, co się wydarzyło, ale nie potrafił sobie odpowiedzieć. Najważniejsze było, że już nic go nie boli.

Nie cierpiał fizycznie, lecz powracający obraz ściętych głów Olivera i Kazuo powodował znacznie gorszy ból. Henryk nawet nie próbował z tym

walczyć. To wspomnienie wciąż się tliło, jakby zostało wypalone w jego duszy.

Z coraz większym trudem odróżniał jawę od snu. Nie wiedział, jaka jest pora dnia, i nie czuł upływu czasu. Ale najbardziej brakowało mu Jürgena. Razem byłoby im raźniej. Nie robił żadnego rachunku sumienia ani nie prosił o przebaczenie. Żył chwilą i czekał, dopóki mógł oddychać.

Tygrys też się nim nie interesował i przestał przychodzić. Henryk nie słyszał już jego głosu i nawet nie potrafiłby go rozpoznać, bo dźwięki zaczęły mu się zlewać, tworząc denerwujące abstrakcyjne kompozycje.

Czasami jednak przychodziły chwile przebudzenia, a wtedy myślał tylko o samobójstwie. Wydawało mu się, że gdyby mógł to zrobić, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Zadać sobie śmierć z własnego wyboru, nie dać się zarżnąć na oczach internetowej gawiedzi.

Uderzył głową o ścianę, ale tylko poranił się i stracił przytomność. Gdyby nie był skrępowany z tyłu, mógłby przegryźć sobie żyły. Tak działa hormon śmierci – myślał.

– Jürgen! – krzyknął z całej siły, ale nie był pewny, czy w ogóle wydał z siebie jakiś dźwięk. – Jürgen! – powtórzył i dopiero teraz poczuł drżenie w gardle.

– Henryk! – odpowiedział mu stłumiony głos znikąd.

– Żyjesz? – zapytał po rosyjsku i poczuł, jak ogarnia go euforia. To jedno słowo było ważniejsze niż śmierć, niż ciemność, w której był uwięziony. Poczuł, że nie jest sam i chce żyć. Wszystko się nagle odmieniło, powróciła nadzieja, wola walki. Nikt nie był mu bliższy niż Jürgen, jakby był jego lustrzanym odbiciem, brakującą alternatywą życia.

– Żyję… żyję… a ty? Jak tam?

Głos zdawał się dochodzić z bliska.

– Gdzie jesteś?

– Nie wiem. Mam zakrytą głowę i jestem przywiązany do jakiegoś słupa.

– Ja też. Jürgen? Bardzo cię lubię…

– Ja ciebie też, Polaku.

– Jak się czujesz?

– Boli mnie prawe oko, ale nie wiem, czy dobrze na nie widzę, bo ten worek na głowie… Mam złamane żebra i coś z nogą, więc chyba nie dam rady teraz uciec.

Obaj się uśmiechnęli, chociaż nie mogli tego widzieć.

– A ty? – dorzucił Jürgen.

– Identycznie, tyle że lewe oko…

Od razu zrobiło im się raźniej.

– Chyba mają jakiś schemat bicia zatwierdzony przez tego Tygrysa. Nie mam dwóch zębów. A ty?

– Złamaną jedynkę, ale nie boli… – Henryk zamilkł na moment, nasłuchując. – Coś się dzieje na zewnątrz czy mi się wydaje? Słyszysz?

– Tak… tak… – Jürgen zawiesił głos. – To ten morderca… na pewno… to on… Idą tu!

Henryk też słyszał zbliżających się mężczyzn i rozpoznał podniesiony głos Tygrysa. Z trzaskiem otworzyły się drewniane drzwi i poczuł, że ktoś się zbliża. Wiedział, co się za chwilę stanie.

– Jürgen! – krzyknął tak głośno, jak potrafił, ale gardło miał zaciśnięte.

Jürgen nie odpowiedział.

Henryk chciał krzyknąć jeszcze raz, już wziął oddech, ale w tej samej chwili potężna siła szarpnęła jego głową, a powietrze przeszył ostry gwizd.

84

Monika siedziała w samolocie linii KLM siedem i pół tysiąca metra nad Czarnym Lądem. Skończyła właśnie szósty szkic mandali. Czuła się odprężona i miała miłe wrażenie, jakby jej talent jeszcze się wyostrzył. Pomyślała, że w takim razie może spróbuje narysować portret Dimy. Nigdy wcześniej tego nie robiła i sama była ciekawa, jaki jego obraz tkwi w jej pamięci. Wzięła się do pracy.

Kiedy skończyła, popatrzyła na gotowe dzieło i zamknęła oczy.

Obudził ją niski głos stewardesy, która oznajmiła, że samolot zaczął schodzić do lądowania i za piętnaście minut dotknie płyty lotniska w Kapsztadzie. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści pięć. Siedemnaście stopni ciepła.

– Bardzo piękne. – Zaczesany do góry blondyn o nordyckich rysach i niebieskich oczach, mówiący po angielsku z afrykańskim akcentem, wręczył Monice jej blok rysunkowy. – Spadły na podłogę, kiedy pani zasnęła. Przepraszam, ale pozwoliłem sobie… – Uśmiechnął się szeroko, demonstrując rząd równych białych zębów.

– Aaa… pan… tu… – Też uśmiechnęła się niepewnie.

– Tak, przesiadłem się. Więcej miejsca na nogi. – Pokazał na fotel i Monika pożałowała, że nie przesiadł się wcześniej, chociaż wyglądał na etnicznego rasistę. – Pani maluje?

– No tak – odparła, lekko zawstydzona.

– Najbardziej podoba mi się ten portret. Twarz pełna wyrazu… ciekawa, oryginalna. Czuć pani emocje. To ktoś realny?

– Nie, skąd! – Pokręciła przecząco głową.

Nie spodobała jej się uwaga nieznajomego. Nie lubiła, kiedy amatorzy oceniali jej prace, a poza tym, opisując portret człowieka, którego nie znał, zachował się arogancko.

Odwróciła się do okna i zaczęła udawać, że obserwuje, jak samolot zatacza krąg nad oświetlonym miastem.

Mężczyzna najwyraźniej zrozumiał, że Monika nie życzy sobie rozmawiać, i kulturalnie zamilkł, udając, że przegląda folder pokładowy.

Samolot usiadł miękko i po chwili już kołował do rękawa. Była dwudziesta druga. Monika czuła się wypoczęta i pełna energii.

Zanim samolot zacumował, włączyła telefon komórkowy, który natychmiast zalogował się do sieci Virgin. Nie miała żadnych nowych wiadomości i trochę jej ulżyło, bo niepokoiła się sytuacją w Warszawie i Moskwie. Znaczy, że nic nowego, nic ważnego – pomyślała – i dobrze.

Nie chciała tracić czasu, więc od razu wybrała z pamięci numer pana Bregge.

– Właśnie wylądowałam – oznajmiła.

– Jak pani wygląda? – zapytał.

– Krótko obcięta blondynka, niebieski sweter, dżinsy, plecak i walizka kabinowa.

– Proszę czekać pod wypożyczalnią Avis. Ktoś tam panią odbierze.

– Zrozumiałam – odparła i rozmowa się skończyła.

Po chwili pasażerowie jak na komendę zaczęli wstawać i wyciągać bagaże. Monika i jej sąsiad spokojnie czekali, bo siedzieli pośrodku.

– Pani na długo do Kapsztadu? – zapytał blondyn.

– Na kilka dni – odparła obojętnie, bo znowu trafiła na faceta, który ciągle zadaje pytania.

– Jeśli będzie pani miała wolną chwilę, zapraszam na kawę. – Wyciągnął zadbaną smukłą dłoń z wizytówką.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się, bo musiała, i rzuciła okiem na wizytówkę. Nawet nie przeczytała, co jest na niej napisane, zauważyła tylko, że jest bardzo elegancka. Wsunęła ją do kieszeni dżinsów i podniosła się do wyjścia.

Pożegnali się grzecznościowymi uśmiechami i skinieniem głowy. Mężczyzna był szczupły, wysoki i przystojny. Zrobił na Monice wrażenie i trochę pożałowała, że była taka obcesowa. Ale teraz co innego miała na głowie. Wiedziała, że musi się skoncentrować na rozmowie z panem Bregge, bo chciała ją przeprowadzić sprawnie i szybko. Po to leciała dwanaście godzin.

Zarzuciła plecak i szła rękawem w kierunku wyjścia. Kątem oka zauważyła, że blondyn minął ją z lewej, pozdrowił uniesioną dłonią i nim zdążyła mu odpowiedzieć, zniknął w tłumie wychodzących pasażerów.

Zatrzymała się dopiero w kolejce przed kontrolą paszportową. Dwie minuty później była już po drugiej stronie. Odnalezienie wypożyczalni samochodów Avis zajęło jej kolejne kilka minut.

O dwudziestej drugiej dwadzieścia stanęła w umówionym miejscu i rozejrzała się po hali. Wokół kręciło się sporo osób. Niemal natychmiast ktoś szarpnął ją za plecak i kiedy się odwróciła, zauważyła niskiego młodego mężczyznę o mieszanej azjatycko-afrykańskiej urodzie. Miał na sobie zieloną kurtkę i czerwone spodnie.

Kolored – pomyślała i już wiedziała, że to ktoś od Saleha Bregge.

Bez słowa chwycił jej walizkę i energicznie ruszył w kierunku ruchomych schodów. Zjechali na parking, gdzie stała duża złota

amerykańska toyota z kierowcą w środku.

Czyli musieli na mnie czekać – pomyślała zaskoczona. Bregge wysłał samochód, nim zadzwoniłam. Ciekawe… bardzo ciekawe. Chyba wydarzy się coś ważnego, bo przecież stary gangster nie przejmowałby się jakąś dziewczyną z polecenia Heleny z Talesu.

Mały Kolored niedbale wrzucił walizkę do bagażnika i elegancko otworzył przed Moniką drzwi samochodu. Sam wskoczył na siedzenie po lewej stronie obok kierowcy. Od razu zauważyła, że pod kurtką ma broń. To był dobry znak. Wolała jasne sytuacje, tym bardziej że pierwszy raz była w Południowej Afryce i udawała się na spotkanie z emerytowanym bossem miejscowej mafii.

– Jak długo będziemy jechać? – zapytała, gdy tylko ruszyli.

– Dwadzieścia minut – odparł kierowca, którego twarzy nie widziała.

– A dokąd?

– Do centrum – dorzucił Kolored.

– A dokładnie?

Żaden nie odpowiedział, ale Monika nie była zaskoczona. Zrozumiała, że nie należy o nic pytać. Wyjechali na szeroką, czteropasmową autostradę i kierowca mocno przyspieszył.

Droga przecinała płaski teren wypełniony po obu stronach gęsto ściśniętymi parterowymi domami. Mimo słabego oświetlenia widać było, że to osiedla biedoty. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym więcej pojawiało się okazałych budynków.

W końcu dotarli do centrum. Jechali wąskimi uliczkami ciasno zabudowanymi dwu- i trzypiętrowymi domami o fasadach zdobionych dziewiętnastowieczną sztukaterią, z podcieniami pełnymi różnokolorowych szyldów, sklepików, barów, galerii. A to wszystko przemieszane ze współczesną architekturą w nijakim stylu. Na chodnikach mnóstwo

przechodniów różnych ras. Monika obserwowała przesuwający się za oknem obraz i miała wrażenie, że znalazła się w krainie Oz. Intensywne pastele i eklektyzm zaczęły sprawiać jej dyskomfort. Nie była w stanie uporządkować tego chaosu i w końcu poczuła nudności.

Na szczęście samochód się zatrzymał i od razu zrobiło jej się lepiej. Mały Kolored wysiadł pierwszy i otworzył przed nią drzwi. Stała naprzeciwko dwupiętrowego narożnego domu w kolorze smoczej krwi, bez jakiegokolwiek stylu i wdzięku. Nad wejściem widniał napis ADDIS IN CAPE – ETHIOPIAN RESTAURANT i malowidło przypominające słoneczną twarz.

Była dwudziesta druga pięćdziesiąt, a lokal był czynny tylko do dwudziestej drugiej trzydzieści. Tak przynajmniej mówiła informacja na drzwiach.

Mały Kolored przepuścił Monikę przodem i zamknął za sobą drzwi na klucz. Weszli na pierwsze piętro.

Restauracja urządzona była w etiopskim stylu, ze smakiem i delikatnością. Gustowne meble dobrze komponowały się z ornamentami na ścianach i drobiazgami, które dopełniały obrazu. Monika od razu to zauważyła, bo znała sztukę Rogu Afryki, i pomyślała, że w takim wnętrzu i wśród takich zapachów kuchnia też musi być sztuką, ale nie była głodna.

85

Roman odłożył telefon. Wiedział, że Dima nie powiedział mu wszystkiego, a to, co powiedział, opakował zgodnie z własnymi potrzebami. I tak zrobi, co uzna za wskazane – pomyślał. Dimie nie można było nic kazać. Można go było najwyżej przekonać, ale tym razem to nie wchodziło w grę i Roman wyczuł to od razu.

Pożałował, że wysłał go do Moskwy, chociaż informacja, którą tam uzyskał, była przełomowa i praktycznie spinała mu rozpracowanie sprawy Wielkiego Zdrajcy. Ale żaden rosyjski agent, choćby największy, nie był wart Dimy i Roman nie darowałby sobie, gdyby coś mu się stało. Chciał jednak być dobrej myśli, bo Dima mimo swojej brawury i krnąbrności zawsze potrafił wyślizgać się z kłopotów.

Roman spojrzał na uśmiechniętych ambasadorów, pozdrowił ich uniesioną dłonią i od razu zrobiło mu się raźniej.

Wyjął z szuflady swój żółty blok i wyrwał wszystkie kartki, które dotąd zapisał. Analizy, schematy, wykresy, jakie sporządzał co pewien czas, były już nieaktualne, a nawet wydawały się naiwne, wręcz śmieszne. Włożył do niszczarki zgięty na pół plik i maszyna przełknęła go z trudem.

Zdobyta przez Dimę informacja wskazywała kierunek i modus operandi Rosjan, a więc uwiarygodniała również dotychczasowe ustalenia. I chociaż lista podejrzanych była wciąż taka sama, to po raz pierwszy poszlaki ustąpiły dowodowi bezpośredniemu.

Najważniejsze było jednak źródło informacji.

Prawdopodobieństwo, że pułkownik Oleg Dunin został podstawiony przez GRU, było znikome, uznał Roman. Rosjanie nie mogliby zaplanować gry operacyjnej, nie mając określonego celu. Tak się nie robi. Co więcej, musieliby zdawać sobie sprawę, że informacja Dunina doprowadzi do dekonspiracji ich agenta w Warszawie. Owszem, czasami pali się agenta, by ratować ważniejsze źródło, ale w tym przypadku trudno było w to uwierzyć.

Im dłużej Roman analizował informację od Dimy, tym bardziej był przekonany, że wykrycie Wielkiego Zdrajcy jest już tylko kwestią godzin.

Ocknął się z silnym bólem w karku i poczuł, że zdrętwiały mu nogi. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy zasnął. Natychmiast spojrzał na zegar, który wisiał nad drzwiami. Była dwudziesta druga piętnaście. Nagle przypomniał sobie, że przez sen słyszał swój telefon. Przeklął jak jeszcze nigdy, bo poczuł, że zawalił. Był wściekły na siebie, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że powinien w końcu pójść do lekarza.

Miał trzy nieodebrane połączenia, dwa nagrania na sekretarce i jednego esemesa. Najpierw szybko sprawdził, kto dzwonił, i od razu mu ulżyło, kiedy zobaczył, że nie byli to ani Dima, ani Monika.

Dzwonili Ela, Bronek i Staś. Esemes był sprzed godziny. Witek informował, że jest już wolny i czeka na sygnał, kiedy go odebrać z Gimnastycznej. Na sekretarce dwa razy nagrał się Bronek. Domagał się pilnego kontaktu. Ostatni raz dzwonił piętnaście minut temu.

Ale Roman najpierw zadzwonił do Eli. Okazało się, że wciąż jest w laboratorium i badanie potrwa jeszcze co najmniej pół godziny. Stwierdziła, że widać już koniec, ale o wszystkim opowie, jak się zobaczą na Kabatach. Roman nie dopytywał się o szczegóły, ale z głosu Eli wyczuwał, że znalazła coś ciekawego.

Następny telefon wykonał do Staszka, kierownika ochrony Agencji.

– Nie mogłem odebrać – usprawiedliwił się na początku. – Masz? – dopytał.

– Tak. Niech pan zapisze, pułkowniku – odparł Staszek.

– Dawaj.

– Numer jeden: od trzynastej pięćdziesiąt do piętnastej pięć. Numer dwa: od czternastej do czternastej trzydzieści pięć… swoim samochodem. Numer cztery: od czternastej trzydzieści do szesnastej osiem… służbowym. Numer pięć: dopiero o siedemnastej i już bez powrotu.

– Pewne? Nie pomyliłeś się? – zapytał z wahaniem Roman. – To ważne.

– Ja? Nigdy! – oburzył się Staszek. – Podaję zapis z kamery, ale równie dobrze mógłbym to zrobić z pamięci. Nie muszę sprawdzać, bo wiem, kto jest jeszcze w budynku i kto wychodzi ostatni, a kto przychodzi rano.

– W porządku.

Roman uśmiechnął się do siebie, bo w Agencji się mówiło, że Staszek widzi wszystko i ma pamięć absolutną, a systemy bezpieczeństwa są tylko uzupełnieniem.

Zapisał dane pod hasłem „Kubicki” na żółtej kartce oznaczonej numerem 4. Była to jednak dopiero połowa informacji. Drugą część, która pozwoli na stworzenie pełnego obrazu, miał dostarczyć Bronek.

Sięgnął po telefon. Bronek odebrał natychmiast, jakby czekał w pogotowiu.

– Co z tobą? – zaczął zdenerwowany. – Dzwonię od godziny…

– A… miałem małe problemy…

– Źle się czujesz? Kiedy w końcu…

– Nie, to nie to. – Roman próbował się wykręcić, ale nie zabrzmiał wiarygodnie. – Masz te telefony?

– Jeszcze nie, będą jutro. Ale mam coś bardzo ważnego…

– Co? – wtrącił Roman.

– Adidas, Czapka i Nike wylecieli dzisiaj o dwudziestej z Polski do Stambułu. Czyli możemy już o nich zapomnieć. Wszyscy mieli bułgarskie paszporty. Wyślę ci kopie. Sprawdzamy je teraz, ale na kilometr czuć, że były fałszywe.

– Dlaczego ich wypuściliście? Jak to możliwe? – Roman nie krył rozczarowania.

– Wylecieli, zanim rozpoczęliśmy poszukiwania. To informacja z monitoringu i ustaleń na Okęciu. Bez pomocy twojego Witka nawet tego byśmy jeszcze nie wiedzieli. To on ich zidentyfikował na lotnisku. Zapytamy Turków, ale nie byłbym optymistą.

– Było ich trzech? – zapytał Roman.

– Tak.

– A Wiatrówka?

– Było tylko trzech i udawali, że nie są razem. Czwartego nie zauważyliśmy, ale to nie znaczy, że nam gdzieś nie umknął i nie wyjechał inną drogą. Obecnie kończymy akcję, ale będziemy się rozglądać za Wiatrówką. Nic więcej teraz nie zrobimy.

– Tak… możliwe, że wyjechał – zgodził się Roman. – Ale szukajcie go dalej. To ważne… bo…

– Roman! – przerwał mu Bronek. – Zrobiłem, co było możliwe, ale powiem szczerze: więcej nie dam rady. Nie wiemy, kogo szukamy i dlaczego. Nie mamy na nich nic, żadnych śladów prowadzących do miejsca zbrodni.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Nie, teraz już nic. Zadzwonię rano w sprawie tych telefonów.

Roman znał Bronka jak siebie samego i od razu wyczuł w jego głosie nutkę zawodu. Zrobiło mu się trochę przykro. Obiecał sobie, że kiedy

skończy się ta operacja, pojadą w Bieszczady i wszystko mu wytłumaczy. Teraz jednak musi się skoncentrować na bieżących wydarzeniach.

Wszystko wskazywało na to, że „bułgarskie komando” ewakuowało się w pośpiechu. Jakby ktoś ich ostrzegł. Czyżby Wielki Zdrajca się zorientował, że jestem na jego tropie? Są już niepotrzebni? Poddają się, wycofują, rezygnują? Niemożliwe! Czterech obcokrajowców jest cztery razy łatwiej namierzyć. A może nawet wiedzą, że ich szukamy. Zmieniają plan. Tak, na pewno coś kombinują.

Wiatrówka nigdzie nie wyjechał. Został tutaj, jest w Warszawie, gdzieś się ukrył, czeka na sygnał i to on ma zakończyć sprawę. Czyżby to oznaczało, że Wielki Zdrajca jest teraz w niebezpieczeństwie?

Roman coraz bardziej czuł, że gubi sens wątku, popada w skrajności, jakby następowała nagła dekompozycja obrazu, który od jakiegoś czasu miał już utrwalony w pamięci. Dlaczego Rosjanie zrezygnowali z wyeliminowania Sekcji, a teraz chcą zlikwidować swojego agenta? Tego nie przewidział.

Zaniepokojony pomyślał, że musi chwilę odpocząć. Zdystansować się od otoczenia, wyciszyć choć na godzinę, dwie. Czuł, że tętno znów mu przyspiesza i w skroniach narasta ucisk, który za chwilę przejdzie w ból. Musiał temu zapobiec.

Zadzwonił do Witka i poprosił, by za piętnaście minut przyjechał po niego na Gimnastyczną.

Umył kubek po herbacie, wylał wodę z czajnika, sprzątnął wszystko z biurka, przekręcił zamek szyfrowy w szafie pancernej i zamknął okno. Włożył płaszcz, kapelusz, zabrał teczkę, wyłączył światło, wcisnął alarm, przekręcił klucz w zamku. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, żeby sprawdzić w pamięci, czy wszystko wykonał we właściwej kolejności, i kiedy uznał, że się nie pomylił, ruszył w kierunku windy.

86

W restauracji panował ciepły półmrok i było pusto. Mały Kolored wprowadził Monikę do drugiej sali i natychmiast gdzieś się rozpłynął.

– Dobry wieczór pani – z rogu sali dobiegł znajomy głos i dopiero teraz Monika zobaczyła, że przy stoliku siedzi dwóch mężczyzn. – Zapraszam do nas.

Siwy mężczyzna o bardzo ciemnej karnacji, nordyckich rysach i lekko skośnych oczach podniósł się zza stołu i wyciągnął szczupłą rękę. Był wysoki, uśmiechnięty i zupełnie niepodobny do Saleha Bregge z młodości i ze zdjęć, które znalazła w internecie.

Od razu poczuła do niego niezwykłą sympatię, bo mimo że był szefem mafii i miał wyjątkowo zaszargane sumienie, w jego spojrzeniu było coś hipnotyzującego i podniecającego jednocześnie. Nabrała jeszcze większej ochoty na rozmowę. Uwielbiała wyzwania i wyzywających mężczyzn, z którymi lubiła się mierzyć, nawet jeśli miała to być walka na niby.

– Dobry wieczór, panie Bregge. – Mocno ścisnęła szczupłą męską dłoń, która kiedyś zabijała. – Mam na imię Monika i jestem Polką. Firma Doubleye. – Nazwę wymyśliła w samolocie.

– Witam panią w Kapsztadzie i zapraszam do stołu. – Wskazał ręką kierunek.

Przy stole, ze szklaneczką whisky w dłoni, siedział spocony, łysiejący pyknik w grubych okularach. Nawet nie wstał, kiedy Monika podeszła do

stolika, tylko z ociąganiem podał jej pękatą, wilgotną dłoń. W drugiej trzymał dopalające się grube cygaro z centymetrowym popiołem. Od razu było widać, że jest tu służbowo.

– Ralf Hagsten – przedstawił się.

– Jest pani głodna, zmęczona, mogę coś zaproponować? Kieliszek naszego wina, coś mocniejszego? – zapytał afrykańską angielszczyzną Bregge.

– Dziękuję, jadłam w samolocie i nie jestem zmęczona. Ale chętnie wypiję herbatę. – Monika chciała jak najszybciej przejść do sedna. Okoliczności spotkania, pośpiech wskazywały wyraźnie, że sprawa Adama Finta nabiera mocy. – Dziękuję, że odpowiedział pan tak szybko na moją prośbę. To bardzo ważna sprawa i zależy mi na czasie.

– Helenie się nie odmawia. Powiedziałbym nawet, że jej prośby spełniam z prawdziwym entuzjazmem. Rodzina! – Ostatnie słowo rzucił z wyraźną emfazą i podkreślił szerokim uśmiechem.

Dima jego rodziną? – pomyślała Monika, ale na wszelki wypadek też się uśmiechnęła.

Bregge dał znak ręką i natychmiast przy stoliku pojawił się etiopski kelner, który z pokorą przyjął zamówienie na herbatę.

Ralf Hagsten siedział jakby nieobecny, pykał z obślinionego cygara i nerwowo kręcił kostkami lodu w szklance.

– A więc zaginął Adam Fint – zaczął Bregge. – Ralf jest szefem policji w Blouberg. Zaraz pani opowie bardzo ciekawą historię o tym człowieku. No… Ralf.

– Dobra… po kolei. – Hagsten odłożył cygaro. – Dostaliśmy wezwanie do podejrzanej awantury w domu na Brander. To porządna dzielnica, spokojna, bez patologii, trochę niesfornej dzieciarni… Dobra… podjeżdża nasz patrol… i dalej nie mamy pewności, co się stało, ale ustalenia są mniej

więcej takie. Przed domem, pod oknem, znaleźliśmy nagie ciało Adama Finta…

– Nagie? Martwe? – zapytała zaskoczona Monika, wyjęła szkicownik i zaczęła robić notatki.

– Bez głowy, bo pocisk z pompki rozerwał ją na strzępy. Dobra… wiemy, że to on, bo w końcu ustaliliśmy na podstawie daktyloskopii i DNA. Tym bardziej że jego zaginięcie zgłosił pracodawca. Przed domem, w wyniku strzelaniny, zginęło też dwóch naszych policjantów. Dobra… Fint rzeczywiście był nagi, na ciele miał wiele obrażeń, ale głównie spowodowanych torturami, poranił się też, wyskakując przez okno…

– Adama Finta torturowano? Dlaczego? – Monika była coraz bardziej zdziwiona. – Nie był przestępcą. – Spojrzała dyskretnie na pana Bregge.

– Owszem, w tutejszym środowisku zupełnie go nie znano – odpowiedział jakby wywołany do tablicy. – Sprawdziliśmy to dokładnie.

– Fint przebywał w Południowej Afryce dopiero od miesiąca. Nie był narkomanem. Żadnych związków ze światem przestępczym. Ale na rękach i nogach miał rozerwaną taśmę. Był silnym mężczyzną i prawdopodobnie napastnicy niezbyt solidnie go skrępowali. Wyrwał się i wyskoczył przez okno. Sprawcy weszli do domu nielegalnie. Musieli wiedzieć, że jest do wynajęcia. Niestety, nie pozostawili po sobie prawie żadnych śladów. Dobra… niewątpliwie byli zawodowcami. Było ich dwóch i poruszali się na motocyklu. Nosili kaski, więc nie wiemy, jaki mieli kolor skóry.

– Czy to znaczy, że został porwany? Przez kogo, dlaczego? – Monika powoli zaczynała rozumieć, co się mogło stać, i dopiero teraz zauważyła, że stoi przed nią herbata.

– Mamy świadków i nagrania z CityCam, że Fint przyjechał do tego domu dobrowolnie, i oceniamy nawet, że musiał znać sprawców. Dobra… idziemy dalej…

– Czyli Fint nie został porwany? – wtrąciła zaskoczona Monika.

– No właśnie… no właśnie… to wszystko jest bardzo dziwne – skomentował Bregge. – Fint musiał znać morderców.

– Dobra… z analizy sprawy wynika, że śmierć Finta nie ma nic wspólnego z naszym krajem i motyw jego śmierci przyjechał do Kapsztadu razem z nim. Ale nie wiemy skąd. Najprawdopodobniej z Polski, dlatego zwróciliśmy się już oficjalnie do waszej ambasady. Zginęło dwóch naszych policjantów i zrobimy wszystko, by rozwikłać tę sprawę. – Ralf zaczął się mocno pocić. – Ale stoimy w martwym punkcie, ambasada polska milczy… Dobra… może w takim razie pani nam pomoże.

– Nie wiem… muszę się zorientować. – Podniosła głowę znad szkicownika. – Pracuję dla prywatnej firmy detektywistycznej… – Spojrzała ukradkiem na pana Bregge, który się delikatnie uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć, że wie, jaka jest prawda. – Ale mam znajomych i spróbuję coś zrobić. Tak czy inaczej, jestem bardzo zaskoczona tym, co się stało… – Zamyśliła się na moment.

– Powiedz o telefonie, Ralf – odezwał się Bregge.

– Dobra… – Hagsten wyjął chusteczkę wielkości małego prześcieradła i otarł pot z twarzy, chociaż w lokalu było chłodno. Monika pomyślała, że musi mieć problemy z krążeniem. – Nie znaleźliśmy jego telefonu komórkowego, co oznacza, że zabrali go sprawcy. Ostatni sygnał został wysłany z tamtego domu na godzinę przed zdarzeniem. Dobra… przejrzeliśmy wszystkie jego połączenia, odkąd kupił telefon, czyli od miesiąca. Miał tylko jedno niezidentyfikowane, dwa dni przed zdarzeniem, z telefonu prepaid kupionego w Manenberg, więc nie do namierzenia. Wszystkie pozostałe były dobrze uzasadnione. Ale z tego prepaida wykonano tylko to jedno połączenie, po czym zamilkł. Rozmowa trwała trzy minuty, więc nie mogła być pomyłką. Dobra… – Przestał się pocić

i uniósł pustą szklaneczkę, dając znak kelnerowi. – Pomoże pani tam w Polsce? Zamordowany został wasz obywatel i dwóch naszych policjantów, moich ludzi. Pomoże pani? Czas ucieka, a my coraz bardziej oddalamy się od sprawców.

– Zrobię, co się da – odparła Monika, odkładając ołówek. – Mam znajomych wysoko w naszej policji. Rano zadzwonię – obiecała, choć była przekonana, że policja nic nie pomoże, bo motywu śmierci Adama Finta należy szukać nie w Polsce, tylko w Rosji, a rozwiązanie całej zagadki jest na Miłobędzkiej. – W takim razie czy jest jeszcze coś, co powinnam wiedzieć, by nadać sprawie tempo?

– Dobra… są jeszcze różne szczegóły, ale one teraz nic nie wnoszą. Potrzebujemy pomocy, by znaleźć motyw, bez tego będziemy gonić własny ogon. Dobra? – Hagsten wyraźnie zakończył swoje wystąpienie, stawiając znak zapytania po ulubionym słowie.

– Dobra, Ralf – odpowiedział mu Bregge. – Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. – Puścił do niego oko i policjant zaczął się podnosić. – Muszę jeszcze porozmawiać z panią Moniką, a jest już bardzo późno, więc rozumiesz.

Hagsten odszedł kilka kroków i natknął się na kelnera niosącego dla niego whisky. Zatrzymał go jedną ręką, a drugą chwycił szklaneczkę i wlał do gardła bursztynowy płyn. Odchrząknął głośno i nie oglądając się, ruszył do wyjścia.

– Nie będę o nic pytał – zaczął Bregge, gdy zostali z Moniką sami. – Ale oboje czujemy, co się za tym kryje. Pomagam policji, bo to leży w moim interesie. Gdyby jakikolwiek miejscowy diler czy złodziej maczał palce w zabójstwie dwóch policjantów, wiedziałbym o tym pierwszy. – Przestał się uśmiechać, był niemal ponury.

Monika pomyślała, że dopiero teraz jest autentyczny. Spodobał jej się jeszcze bardziej.

– Zależy mi na jak najszybszym wyjaśnieniu tej sprawy. Policja widzi, że się staram. Już wcześniej wiedziałem, o kogo chodzi, i spodziewałem się, że pani…

– Skąd pan wiedział? – Monika była zaskoczona.

– No przecież mamy wspólną znajomą, Helenę… – uśmiechnął się, ale zupełnie inaczej niż poprzednio – czy jak tam się ona nazywa. To zresztą bez znaczenia, prawda?

– Powiedzmy – odparła obojętnie, choć w rzeczywistości bardzo ją to interesowało, bo nie miała wątpliwości, że Dima nie mówił całej prawdy. Ale teraz ważne było to, co powiedział Ralf Hagsten. Musiała uporządkować całą uzyskaną wiedzę i przekazać ją do Warszawy.

– Ja wiem, że polska policja nie da sobie rady z tą sprawą, dlatego nadzieja w… firmie Doubleye. – Dotknął delikatnie jej dłoni i spojrzał przez połyskujące refleksem okulary. – Prawda?

Było już zupełnie jasne, że Bregge wie, kim ona jest i jaką wypełnia misję. Nie mogła się jednak przyznać ani nie było takiej potrzeby. Musiała konynuować tę grę pozorów.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona, jakby uszło z niej powietrze. Długi lot, napięcie, mnóstwo wrażeń i rozmowa z Ralfem Hagstenem musiały w końcu pokonać nawet najtwardszy organizm. Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ.

– Dziękuję bardzo za wszystko, panie Bregge. Bardzo mi pan pomógł…

– W sumie to oboje powinniśmy podziękować naszej Helenie – wtrącił.

– Oczywiście, oczywiście… Zrobię to po powrocie. Muszę teraz jechać do hotelu i jeszcze popracować, a jest już bardzo późno i nie chcę też pana…

– Nie męczy mnie pani. Chodzę spać późno. Gdzie się pani zatrzymała?

– Hotel… – Monika zaczęła szukać w telefonie.

– Zatrzyma się pani w moim hotelu… Bel Ami… tu niedaleko, i będzie pani moim gościem.

– Ależ… nie mogę… – próbowała protestować.

– Proszę zrozumieć… Nie miałem wyboru. Nie pomógłbym ani pani, ani sobie, gdybym nie wtajemniczył policji. A skoro Ralf Hagsten wie o pani przyjeździe, to mogą się też dowiedzieć inni, niekoniecznie zainteresowani wyjaśnieniem sprawy. Hagsten nie jest głupi i czuje, że ma ona drugie dno. W moim hotelu będzie pani bezpieczna.

Monika była zaskoczona szczerością pana Bregge, ale powstrzymała się od komentarza, bo musiałaby zadać pytanie, które by ją ostatecznie zdekonspirowało. Uznała jednak, że ostrzeżenie od kogoś takiego jak Saleh Bregge powinna potraktować poważnie.

– Dobrze. Bardzo dziękuję – odpowiedziała. – A gdzie to jest?

Fajny facet – pomyślała. O nic nie pyta.

87

Dima wrócił do mieszkania i od razu zaczął tryskać optymizmem. Starał się zrobić jak najlepsze wrażenie, aż Wiera zaczęła mu się podejrzliwie przyglądać.

– Wszystko załatwione – oznajmił uroczyście. – Rodzina Bridgesa zgodziła się na kompensację okupu od władz niemieckich. Z Polakami nie mam kontaktu, ale Niemcy biorą za tę cenę obu w pakiecie… Polaka też. Nie będzie żadnych negocjacji i Berlin zaprzeczy, by kiedykolwiek zgodził się na wypłacenie okupu terrorystom…

– I bardzo dobrze! Przecież nie płacą terrorystom! – Dunin się roześmiał. – Czy ja wyglądam na kozojebcę? To ja… pułkownik rosyjskiego GRU, za niewygórowaną sumkę ratuję życie białej cywilizacji. Nie jakieś tam CIA, nie nadęte MI6, nie BND czy kto tam jeszcze… Tylko ja! I ani jeden cent z tej sumy nie trafi na dżihad. Rosja rządzi! No kurwa… powiedz, Wiera, czy ja nie jestem mistrzem? Dobre! Bańka euro! – Był w entuzjastycznym nastroju, ale Wiera wyglądała na mocno zaniepokojoną.

Dima od razu to zauważył. Podejrzewał, że podczas jego nieobecności musiało się coś stać, ale nie miał możliwości z nią porozmawiać. Dunina rozsadzała energia. Był wyraźnie pod wpływem alkoholu, ale zachowywał się zbornie i logicznie. Nawet bardziej, niż kiedy był trzeźwy. Nie okazywał już agresji, a nawet zaczął się uśmiechać. Dima podejrzewał, że to może

być gra obliczona na uśpienie czujności, ale gdyby nawet tak nie było, i tak musiałby zachować ostrożność. Dunin mógł się zmienić w każdej chwili.

– No to świetnie! – włączyła się niespodziewanie Wiera. – To już za długo trwa… kończymy… jestem tym bardzo zmęczona… mam teraz tyle spraw na głowie, a wy ciągle… – mówiła drżącym głosem, trochę niespójnie.

Jej zachowanie mocno kontrastowało z zadowoleniem Dunina i Dima nie mógł tego nie zauważyć.

– To co teraz, panie pułkowniku? – zapytał. – Czekamy?

– Ułajew już wie, czego się po nim spodziewam – odparł pewnym głosem Dunin. – Nie ma wyboru. Wie, co czeka jego rodzinę. A jak się będzie ociągał, to mamy sposób, żeby go pogonić.

– Czyli…

– Czekamy. A jak Rosjanie czekali, to się napili – zarządził zadowolony Dunin. – Wiera, zrób nam coś do jedzenia i idź po wódkę, bo nie starczy na toast. – Spojrzał na zegarek. – No, idź już!

Wiera stała, rozglądając się z wahaniem, jakby nie wiedziała, co ma zrobić.

– Nooo…? – obruszył się Dunin. – Co tak stoisz jak niemota?! Idź! – ryknął.

W końcu obróciła się w miejscu i bez słowa zniknęła w kuchni.

– Oficer GRU, córka generała, matka suworowca, ładna dupa, a czasami jak nie podniesiesz głosu, to nie zrozumie – wyrzucił z siebie Dunin, jakby jej nienawidził.

Dima był już pewny, że pod jego nieobecność coś między nimi musiało zajść i że stało się to z jego powodu. Nie wiedział jednak, czy poszło o ustalenia w sprawie okupu, czy też był to problem trójkąta. A może wszystko razem – pomyślał. To byłoby jeszcze gorzej.

Musiał porozmawiać z Wierą.

– Pójdę po wódkę – oznajmił i ruszył w stronę kuchni.

– Siadaj, bladź! – wrzasnął Dunin, aż Dima zaskoczony stanął w miejscu. – Niech ona idzie! Ty wyjdziesz tylko ze mną i tylko po pieniądze. – Zmazał uśmiech z twarzy i dotknął pistoletu. – Siadaj! Teraz sobie pogadamy. Opowiesz mi o Grecji. Może kupię dom na jakiejś wyspie.

Dima zignorował go i ruszył dalej. Nie zamierzał się poddawać jego woli, szczególnie teraz. Dunin mógłby mu strzelić w plecy, ale wtedy straciłby wszystko. Na pewno zdaje sobie z tego sprawę – pomyślał.

Doszedł do drzwi i mimowolnie się obejrzał. Dunin mierzył do niego z pistoletu. Dima zobaczył twarz, jakiej dotąd nie widział – pełną nienawiści, z zaciśniętymi mocno ustami, wysuniętym podbródkiem, o martwych, zimnych oczach. To było spojrzenie mordercy, człowieka, który zabijał. Mimo to Dima odwrócił się bez słowa i pchnął drzwi do kuchni.

Przez ułamek sekundy pomyślał, że powinien skorzystać z okazji i zanim Wiera wyjdzie, zastrzelić Dunina. Powiedziałby jej później, że tamten go zaatakował.

Wiera stała przy uchylonym oknie i nerwowo paliła papierosa. Kiedy zobaczyła wchodzącego Dimę, zdusiła niedopałek w talerzyku i dała mu znak, by podszedł.

– Masz i natychmiast uciekaj – wyszeptała drżącym głosem, wsuwając mu paszport do kieszeni.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony.

– On nie zostawi świadka. Zabije cię, jak tylko dostanie pieniądze. Albo cię zmusi, żebyś powiedział, gdzie je schowałeś, jeżeli ten Czeczen nie wypuści zakładników.

– Tak ci powiedział?

– On… – Urwała i spojrzała wystraszona w kierunku drzwi. – On jest szalony… Uciekaj, Dimka! Co ja narobiłam! – Wyglądała na załamaną.

Jej oczy zamieniły się w dwa błyszczące jeziora łez, które po chwili wylały się na policzki.

– Chodzi o nas? – wyszeptał.

Wiera skinęła głową, wycierając dłonią policzki.

Dima dotknął jej ręki, odsunął ją od policzka i otarł łzy własną dłonią. Pocałował mokre usta.

– Idź po tę wódkę, jak chce. Dam sobie radę… nie martw się…

– Upijemy go i wtedy uciekniesz, prawda?

– Dobrze. – Uśmiechnął się, by dać jej choć trochę nadziei, ale miał już inny plan.

Wrócił do salonu.

Dunin stał tyłem przy oknie i wyraźnie podenerwowany rozmawiał przez telefon, zakrywając dłonią usta. Nawet się nie odwrócił. Sprawiał wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie widział kremlowskich wież i właśnie zdawał komuś relację z tego, co zobaczył.

Dima usiadł na fotelu. Wsunął dłoń za siedzenie. Kiedy pod palcami poczuł twardy kształt pistoletu, na moment pociemniało mu w oczach. Wstrzymał oddech, żeby zapanować nad gwałtownym przyspieszeniem serca, i obserwując plecy Dunina, objął dłonią kolbę pistoletu, wyciągnął wyżej i przytrzymał między plecami a oparciem fotela. Mijały sekundy, ale jemu wydawało się, że czas stanął w miejscu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż wstrzymuje oddech.

Dunin obejrzał się przez ramię, jakby wyczuł, co Dima chce zrobić, ale po chwili wrócił do rozmowy. Być może zamierzał w ten sposób pokazać, że się nie boi. Stał na tle wielkiego okna i swoimi szerokimi plecami niemal prowokował do strzału.

Siedem… osiem metrów – pomyślał Dima. Nigdy nie strzelałem z tej broni. Co ja robię?

Przez chwilę jakby znalazł się w matriksie. Wydawało mu się, że to zbyt realistyczny sen, z którego powinien natychmiast się obudzić, najlepiej u siebie na Pindarou, napić się wody i pójść na taras. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego zdecydował się wrócić do mieszkania Wiery, ale wiedział, co chce teraz zrobić. Nie myślał o konsekwencjach, ale też nie mógł tak po prostu strzelić człowiekowi w plecy. Jakiś potężny imperatyw podpowiadał mu, że chociaż atmosfera nabrzmiała już do ostatnich granic, to jednak musi czekać, aż Dunin wyciągnie broń. Mógł jeszcze wyjść, a jednak o tym nie pomyślał. Liczył, że Dunin się podda.

Czuł kształt kolby pistoletu w dłoni i nasłuchiwał trzasku zamykanych drzwi. Nie mógł zrobić tego przy niej i czekał, żeby wyszła.

Kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza. Wciąż była w mieszkaniu. Dunin skończył rozmawiać, ale nadal stał wpatrzony w moskiewski pejzaż. Wreszcie włożył ręce do kieszeni i się odwrócił. Za paskiem miał swój pistolet. Oparł się o parapet.

– Coś cię gnębi, Greku? – zapytał i przechylił na bok głowę, jakby chciał mu się lepiej przyjrzeć. Nigdy dotąd tak nie robił.

Dima zaprzeczył.

– Coś wiesz? – zapytał.

– Czekam. To trwa… może nawet są już wolni, ale… – Dunin nie dokończył, tylko ruszył w stronę kanapy.

Usiadł na swoim miejscu. Można było sądzić, że nagle wytrzeźwiał. Dima pomyślał, że Dunin w jakiś sposób przejrzał jego zamiary, może nawet usłyszał rozmowę z Wierą, a teraz zauważył, że za plecami trzyma pistolet. Wpatrywał się w Dimę, jakby chciał mu powiedzieć „zaczynaj” i sprowokować go do działania. Kto pierwszy wyciągnie broń?

Z przedpokoju doleciał dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Dunin spojrzał w tamtą stronę, a Dima zaczął liczyć.

Pięć… – powiedział w myślach.

Nagle twarz Dunina zaczęła się zmieniać, oczy się powiększyły, otworzył usta i jak w zwolnionym tempie jego prawa ręka zaczęła się przesuwać w kierunku kolby pistoletu zatkniętego za pasek. Dima przechylił się w prawo i zobaczył, że Dunin unosi lewą rękę, podrywa się z kanapy i prześlizguje wzrokiem gdzieś ponad jego głową.

Ścisnął kolbę własnej broni i już miał ją wyciągnąć zza pleców, gdy ogłuszył go huk wystrzału. Na moment się skulił, tracąc orientację.

Zobaczył, że Dunin zamarł zgięty wpół, z dłonią na pistolecie tkwiącym wciąż za paskiem. Z jego twarzy spłynęło zaskoczenie, a wypełniło ją groteskowe zdziwienie, jakby nie zrozumiał, co się stało. Osunął się powoli na brzeg kanapy, wyprostował, dotknął zakrwawionej piersi, po czym bezwładnie runął na ziemię, pociągając za sobą nakrycie z ławy. Dima obejrzał się i zobaczył Wierę stojącą w drzwiach, z bronią w wyciągniętej ręce.

– Musiałam – wyszeptała martwym głosem. – Musiałam… Dimka – powtórzyła i upuściła pistolet.

88

Było już ciemno, kiedy Roman wyszedł na opustoszałą Miłobędzką. Zrobiło się zimno i zaczynało mżyć. Przeszedł na drugą stronę jezdni. Wokół cisza, żadnego ruchu, szlaban przy wjeździe do szpitala zamknięty, ciemna budka strażnika, a za ogrodzeniem szare gmaszysko, w którym umierają ludzie. Ponura enklawa pośrodku wielkiego miasta tętniącego życiem, napięciem, konfliktami.

Roman miał wrażenie, jakby znalazł się na bezludnej wyspie i nagle wszystkie potężne emocje, którymi nabrzmiewał, okazały się bez znaczenia. Wszystko straciło sens, nie było ani przeszłości, ani przyszłości, tylko próżnia i cisza.

Postawił kołnierz i nacisnął mocniej kapelusz. Włożył lewą rękę do kieszeni płaszcza, w prawej trzymał teczkę. Szedł powoli wąskim, krzywym chodnikiem, uważnie stawiając stopy. Zawsze dręczyła go myśl, że może tutaj złamać nogę. Bał się bólu, którego nie znał. Ale jeszcze bardziej się bał, że może wtedy trafić do szpitala, który jest tuż za ogrodzeniem.

Przeszedł połowę drogi do skrętu w Gimnastyczną, kiedy z bramy szpitala wyszedł mężczyzna w kapturze i szybkim krokiem ruszył za nim. Roman go nie widział, bo był zbyt zajęty obserwacją chodnika. Nie zdawał więc sobie sprawy, że nieznajomy w kapturze i z rękami w kieszeniach zaczyna coraz bardziej przyspieszać.

Zbliżył się do rogu Gimnastycznej i za chwilę miał skręcić w lewo. Zatrzymał się, by przepuścić samochód, który właśnie wyjechał. Mężczyzna zauważył to i przyspieszył jeszcze bardziej. Był pięćdziesiąt metrów za Romanem, kiedy ten skręcił w lewo.

Szedł jezdnią, bo po obu stronach ulicy zaparkowane ciasno samochody zajmowały chodnik, ale nie musiał już patrzeć pod nogi. Wypatrywał samochodu Witka, który zawsze dawał mu znak światłami, bo Roman miał trudności z rozpoznawaniem marek.

Jak tylko wyszedł zza rogu, Witek natychmiast go zobaczył. Było już ciemno, ale drepczącej niskiej, korpulentnej postaci w płaszczu i kapeluszu, z teczką w dłoni, nie dało się pomylić z nikim innym. Roman był siedemdziesiąt metrów od samochodu.

Kiedy zmniejszył dystans do czterdziestu, Witek dostrzegł wynurzającą się za nim sylwetkę osobnika w kapturze. Przyjrzał się jej uważniej i od razu uderzyło go w niej coś nienaturalnego. Zrozumiał, że nieznajomy idzie za Romanem. Oczywiste było, że kaptur ma ukryć jego tożsamość. Witek wiedział już, że Roman jest w niebezpieczeństwie.

Włączył silnik, ale nie zapalił świateł. Roman zbliżył się jeszcze bardziej, a nieznajomy wyraźnie skracał dzielącą ich odległość. Przeszedł na prawą stronę jezdni. Dopiero teraz Witek rozpoznał charakterystyczną postać Wiatrówki, którą oglądał na nagraniach.

To na pewno był on. Mógł zaatakować Romana w każdej chwili. Witek wyjął broń, ale nie mógł jej użyć, ponieważ Roman był na linii strzału, zaledwie piętnaście metrów przed maską samochodu.

Witek wcisnął sprzęgło, wrzucił jedynkę i wykręcił kierownicę w lewo. Włączył światła. Roman i Wiatrówka przystanęli. Witek powoli wyjechał z rzędu zaparkowanych aut i kiedy był już na jezdni, wypuścił sprzęgło i wcisnął mocno gaz. Samochód z piskiem opon wyrwał do przodu. Minął

zaskoczonego Romana i skierował się na stojącego w świetle reflektorów Wiatrówkę.

Mężczyzna natychmiast się zorientował, że został zaatakowany, i wyciągnął broń. Zdążył oddać jeden strzał w przednią szybę i sprawnie odskoczył w bok. Upadłszy plecami na maskę samochodu, przerzucił przez nią ciało i upadł na jezdnię. Witek się wycofał i dopiero teraz wypadł na zewnątrz, by oddać trzy strzały w kierunku kryjącego się za innym pojazdem Wiatrówki. Ten odpowiedział krótką serią, która ugrzęzła w karoserii samochodu.

Przestali strzelać. Witek obejrzał się, ale nie dostrzegł Romana. Na szczęście na jezdni nie było ciała.

Teraz zajmę się Wiatrówką – pomyślał szybko i schylony przeskoczył na drugą stronę rzędu samochodów. Wychylił się ostrożnie i spojrzał tam, gdzie spodziewał się zobaczyć napastnika, ale nikogo nie zauważył. Wysunął się jeszcze bardziej i zaczął ostrożnie się przesuwać wzdłuż linii pojazdów. Sprawdził dokładnie po obu stronach. Zajrzał też pod spód. Wiatrówki nigdzie nie było.

– Roman?! – krzyknął.

– Jestem tutaj – doleciał go drżący głos gdzieś z drugiej strony jezdni.

– Zostań tam.

89

W Oslo zapadł zmierzch, ale Jagan długo nie pozwalał zapalić światła. Wprawdzie pogorszył mu się wzrok i nie widział już tak dobrze w ciemności jak kiedyś, mimo to wciąż potrafił wyczuć zagrożenie. Tak mu się przynajmniej wydawało. Dopiero kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, na prośbę małej Asy, która bała się mroku, zgodził się na zapalenie lampki przy zasłoniętych storach.

W końcu dziewczynka zasnęła na kolanach matki. Amina czule gładziła małą po policzku, co jakiś czas spoglądając w stronę Jagana. On to widział i był pewny, że Czeczenka coś knuje, więc obserwował ją uważnie, chociaż udawał obojętność.

Ale znacznie bardziej niepokoiło go milczenie Dunina. Od dwóch godzin pułkownik nie odbierał telefonu ani nie odpowiadał na esemesy. Nie odzywał się też telefon Aminy. Dodatkowo denerwowała go kominiarka na twarzy i nawracające coraz częściej bóle w plecach.

Norweski środek, który dał mu Ismail, nie działał i Jagan, chociaż próbował nad sobą panować, zrobił się nerwowy. Nie chciał ich zabić, ale bał się, że sytuacja może mu się wymknąć spod kontroli, a w takich chwilach broń sama strzela. Spojrzenia Aminy nie wróżyły nic dobrego.

Postanowił zaczekać jeszcze godzinę. Jeżeli w tym czasie nie dostanie żadnej wiadomości od Dunina, uzna umowę za zerwaną z jego winy. Wróci do Moskwy, odbierze kasę, a jak Dunin będzie coś kręcił, to dostanie kulkę

w łeb. Jagan obiecał sobie, że już nigdy nie wejdzie w interesy ze szpiegami. Od dawna wiedział, że nie można im ufać, ale tym razem sądził, że będzie inaczej, bo na robotę miał jechać sam.

No i znowu! Cwaniak z tego pułkownika, jak oni wszyscy. Myślą, że jak jestem chorąży, to można mnie w dupę wyruchać jak śmiecia jakiegoś. Niech no tylko wrócę do Moskwy. Bladź pierdolona! Jak się nie odezwie, wychodzę stąd i niech się dzieje, co chce. Na chuj mi to wszystko! W końcu nic do nich nie mam… Czeczeni i tyle. A Amina? Prawdziwa wojowniczka.

Ich spojrzenia znów się spotkały.

Sięgnął po telefon i jeszcze raz wybrał numer Dunina, ale operator poinformował, że abonent jest niedostępny.

Jagan spojrzał na zegar. Zostało pół godziny do czasu, jaki sobie wyznaczył. Potem zwyczajnie wychodzi z mieszkania i wraca porannym samolotem, czyli tak, jak to wcześniej zaplanował.

W sumie czuł teraz więcej sympatii do Aminy i kalekiego Ismaila, a szczególnie dzielnej małej Asy, niż do pułkownika Olega Dunina, który okazał się zwykłym partaczem i oszustem. Ale najbardziej dręczyła Jagana świadomość, że go wcześniej nie przejrzał. Nie mógł sobie darować, że połaszczył się na pieniądze, nawet jeśli chciał je wydać na oczyszczenie jeziora.

Już samo zaproszenie do restauracji Jar na prospekcie Leningradzkim powinno dać mu do myślenia. Tatar, Batyszkin, Popowski ani nawet Doronin nigdy by tak nie postąpili. Dobrze wtedy czuł, że nie pasuje do tego wnętrza, a Dunin sprawiał wrażenie, jakby chciał mu zaimponować, otumanić go, okłamać. Jagan nie mógł zrozumieć, dlaczego nie przewidział zagrożenia. Dotąd nie dopuszczał do siebie myśli, że kontuzje, którym uległ na Gotlandii, zmieniły go na zawsze.

Wciąż mu się wydawało, że jest tym samym żołnierzem, który walczy na Kaukazie z oddziałem Muhamedowa i potrafi okpić śmierć. A jednak dał się nabrać na prywatę jakiemuś nieznajomemu pułkownikowi z GRU. Podjął się nędznego, poniżającego zadania i jak zwykły bandzior musiał stanąć twarzą w twarz z Aminą, jedyną osobą, którą naprawdę szanował.

Zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz, kiedy ona, trzymając w ramionach małą Asę, patrzyła na niego z taką czystą i szczerą nienawiścią. Doskonale pamiętał, że był jej jeńcem, i pamiętał cierpienia, jakich doznał od braci Bogajewów, mimo że byli wtedy dziećmi. Oni już nie żyją, a Amina ma córkę i wciąż to samo spojrzenie, pełne miłości i śmierci.

Ona nie kłamie, nie kręci, nie oszukuje, zabiłaby go bez wahania, ale właśnie dlatego Jagan zrozumiał, że nie było w jego życiu nic bardziej prawdziwego niż Amina. Jakby była jego odbiciem. Wtedy, na Kaukazie, gdy w nocy uciekł z jej niewoli, narodził się nieśmiertelny Jagan. I od tego czasu żyła w nim jak część jego ciała, a może nawet duszy.

Patrzyli na siebie i Jaganowi się wydawało, że Amina słyszy jego myśli. I nagle, jakby na jej rozkaz, wbrew woli dotknął dłonią policzka, na którym kiedyś miał bliznę od nosa do ucha.

– Wiem, kim jesteś – usłyszał jej cichy, niewyraźny głos. – Nazywasz się Andriej Trubow, chorąży specnazu, i pochodzisz ze wsi Krasnojarka pod Omskiem. Urodziłeś się dziewiątego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku w drewnianym domu bez ciepłej wody i sracza. Wychowywała cię ociemniała matka, która zaharowała się, piorąc zasrane i zakrwawione szmaty w szpitalnej pralni, bo ojciec, alkoholik bez nogi, porzucił was i zapity zamarzł na śmierć w śmietniku na Padole, prawda?

– Prawda – zdziwił się Jagan. – Skąd ty to wszystko wiesz? Jak mnie poznałaś? Przecież jestem w kominiarce.

– Poznaliśmy się piętnaście lat temu na Kaukazie. Byłeś moim jeńcem. Trzymałam cię w piwnicy pod podłogą jak psa. Pamiętasz?

– Oczywiście! – odparł pewnym siebie głosem. – Był tam też żołnierz bez oczu.

– To nieprawda. Byłeś tam tylko ty. Wbrew swoim braciom wypuściłam cię w nocy i odszedłeś wolny. Pamiętasz?

– Pamiętam tego żołnierza dobrze… i pamiętam, że uciekłem… sam! – Jagan obruszył się. – Byłem ranny w twarz, miałem nawet bliznę, ale mi ją usunęli w Moskwie. O tu! – Zdjął kominiarkę i pociągnął palcem po gładkim policzku.

W tym samym momencie zdał sobie sprawę, że to było tylko złudzenie i że wcale z nią nie rozmawiał. Amina wbijała w niego wzrok, z początku jakby lekko się wahając. Pobladła twarz zastygła w wyrazie zdumienia, które przydało jej ponurego piękna woskowej maski. Do Jagana dotarło, że został rozpoznany, wiedział, co się za chwilę stanie, i nie zamierzał się bronić. Po raz pierwszy i ostatni.

Amina chwyciła nóż, który leżał na stole, wzięła głęboki zamach i wciąż trzymając śpiącą Asę, z całej siły rzuciła nim w Jagana. Nawet nie drgnął, tylko zamknął oczy, jakby czekał, aż ten zwykły kuchenny nóż wbije mu się w serce.

90

Wiatrówka zniknął. Zostawił jednak ślad. Na karoserii volvo, za którym się skrył, tuż obok dwóch otworów po pociskach Witek znalazł smugi rozmazanej krwi. Ale pamiętał, że strzelił trzy razy, co oznaczało, że trzeci pocisk musiał trafić napastnika i teraz jest on ranny.

– To był Wiatrówka – rzucił przez zaciśnięte gardło zdenerwowany Witek.

– Widziałem – odparł Roman, łapiąc oddech.

Strzelanina na Gimnastycznej trwała ledwie kilkanaście sekund. Roman zebrał na chusteczkę próbki krwi, po czym wsiedli do samochodu i szybko odjechali, nim ktoś powiadomi policję.

Nie odzywali się, wciąż zdenerwowani tym, co się przed chwilą stało. Witek krążył po uliczkach Mokotowa, a Roman obserwował ruch z tyłu, choć było wręcz nieprawdopodobne, by ktoś ich teraz śledził. Działali w szoku, ale instynktownie.

– Skąd on wiedział, że jesteś w biurze? – zapytał w końcu Witek.

– Wystarczyło, że z terenu szpitala obserwował okno – odparł Roman. – Zamknąłem je, a potem zgasiłem światło. Proste?

– No tak… proste – przyznał Witek. – Jak tam z tyłu?

– Czysto. Możemy jechać do domu. Musiał porządnie oberwać, bo było sporo krwi, a jest sam.

– Może powiadomić policję? Niech sprawdzą szpitale… albo…

– To nic nie da. Jeżeli nie poradzi sobie sam, a na pewno jest dobrze wyszkolony, to ma wybranego lekarza, który mu pomoże, co zresztą potem przypłaci życiem… Z zawodowcami nie ma żartów. Ale łuskę i pocisk trzeba znaleźć. – Roman dotknął palcem otworu w przedniej szybie. – Musi być gdzieś w środku.

– Jak się czujesz, szefie? – zainteresował się Witek.

– Dobrze. – Leski sam był zdziwiony, że nic mu nie dolega.

– A ty?

– Już mi wkurw przeszedł.

Witek wyjechał z Malczewskiego i bez kierunkowskazu skręcił ostro w Puławską. Jechali w stronę Ursynowa. Po kilku minutach, kiedy minęli Wałbrzyską, Roman uspokoił się już na tyle, że zaczął na głos analizować, co się stało.

– A ja zakładałem, że zostawili Wiatrówkę w Polsce, by uciszyć Wielkiego Zdrajcę. Okazuje się jednak, że jest im do czegoś potrzebny… Jest pewnie bardziej cenny, niż mogłem przypuszczać. Ale to też oznacza, że nie mają pojęcia, jak głęboko ich rozpracowaliśmy. Boją się, chociaż nie wiedzą jeszcze czego. Możliwe, że chcieli mnie zlikwidować na wszelki wypadek, a potem sprawdzić, czy w ten sposób uda im się zamknąć sprawę…

– Ale gdzie on, kurwa, zniknął? – odezwał się Witek, jakby w ogóle go nie słuchał.

Roman stracił wątek.

– Co ja chciałem… Aha, to może być efekt mojej wizyty u Kubiaka – kontynuował po chwili, mrucząc. – Zakotłowało się w kwadracie. To bardzo dobrze, bardzo dobrze, świetnie! Myślę, że Wielki Zdrajca wpadł w panikę przed jutrzejszą naradą i może wprowadzać Moskwę w błąd. Na pewno próbuje przejąć kontrolę nad biegiem wydarzeń, obawiając się, że

GRU może go poświęcić i porzucić albo nawet zlikwidować, żeby chronić grę z Mocarzem. Jeżeli napuścił Rosjan na mnie, to teraz będzie przerażony, gdy się dowie o strzelaninie. Tak… tak… tak… – mruczał pod nosem, ale Witek w ogóle go nie słuchał, tylko wciąż sprawdzał się w lusterkach. – Tak! – głośno i z wyraźną emfazą rzucił Roman. – Teraz zdrajca będzie naprawdę przerażony. Zacznie się bać o swoje życie… i słusznie! To najlepszy moment, żeby go zaatakować… kimkolwiek jest. Korycki, Walewski, Hurman, Pański?

Nawet się nie zorientował, kiedy samochód wjechał do garażu. Witek delikatnie szarpnął szefa za ramię i zaraz wyskoczył na zewnątrz, trzaskając za sobą drzwiami. Roman ocknął się i stwierdził, że wielkie imadło ściska mu skronie, a serce utkwiło w gardle. Znał dobrze to uczucie. Wiedział, że to efekt stresu, bo zdarzało mu się to ostatnio dosyć często, ale po raz pierwszy pomyślał o lampce czerwonego wina.

Wjechali windą na czwarte piętro.

– Może jednak powinniśmy poinformować policję? – zapytał Witek, otwierając drzwi mieszkania. – W końcu go postrzeliłem, a on zniknął. Może powtórzyć próbę.

– To teraz nic nie da, a mnie utrudni działanie. Chyba już jutro będziemy wszystko wiedzieli i zagrożenie zniknie. – Roman rozejrzał się po mieszkaniu. – Zadzwoń do Eli… Gdzie ona jest?

Zdjął płaszcz, odwiesił kapelusz i ściągnął buty, nie rozwiązawszy sznurowadeł. Wsunął na nogi kapcie i poszedł do salonu. Na szafce stała otwarta butelka czerwonego wina, której nie dopili poprzednio. Nalał sobie cały kieliszek. Było kwaśne i ciepłe, więc się skrzywił.

Po raz pierwszy w życiu wypił tyle wina i poczuł do siebie wstręt. Za słabość. Bo to było tak, jakby się poddał albo stchórzył w obliczu wroga, a przecież musiał zachować zimny umysł. Słabość prowadzi do błędu, a za

błąd często się płaci najwyższą cenę. Wiatrówka rzeczywiście może się gdzieś czaić – pomyślał.

– Ela zaraz będzie! – krzyknął Witek z kuchni. – Ja bym jednak poinformował policję – dodał ciszej, już jakby do siebie, ale Roman usłyszał.

– A jeżeli Rosjanie mają jakiegoś agenta w policji? – zastanowił się na głos. – Każdy porządny wywiad ma taką agenturę wsparcia. Trzeba robić przecież ustalenia, obserwację, pomagać… No i ten martwy policjant Burski mógł być ich agentem. To, co powiedział o nim Oławski, i analiza Eli raczej to potwierdzają. Zlikwidowali go, bo był już tylko zagrożeniem. Wiedzieli przecież, że ich wykryliśmy. A może jest w policji jeszcze ktoś? Ktoś wysoko… W końcu tych trzech ewakuowało się z Polski, jak tylko policja zaczęła ich szukać.

Przez moment pomyślał o Bronku, ale zaraz otrząsnął się ze wstrętem.

Jak w ogóle coś takiego mogło ci przyjść do głowy?! Nie bądź bydlakiem! To przez to wino!

Odstawił ze wstrętem kieliszek i usiadł w fotelu. Ból głowy ustąpił, ale wraz z fizycznym rozluźnieniem pojawiła się gonitwa myśli. To był wyjątkowo ważny wieczór, bo Roman musiał się przygotować do jutrzejszej narady, zebrać wszystkie fakty, uporządkować je i posklejać, a tymczasem, łamiąc swoje zasady, bez sensu napił się wina i pobudził fantazję.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał z pamięci numer Bronka, który zgłosił się natychmiast.

– No i co? – zapytał pierwszy.

– U was jest rosyjski szpieg – rzucił Roman.

– Ty chyba jesteś pijany, Leski – odparł pobłażliwym tonem Bronek. – Ruskiego szpiega to ty masz w tej swojej Agencji na Miłobędzkiej. –

Przerwał na moment, po czym zapytał: – A niby kto jest u nas tym szpiegiem?

– Tego jeszcze nie wiem, ale na pewno ktoś jest. – Roman czuł, że mówi płynnie jak nigdy dotąd, i nawet mu się to spodobało. – Najpierw złapię tego u nas, potem zabiorę się za waszego.

– Roman! – zaniepokoił się Bronek. – Dziwny jakiś jesteś. Nie poznaję cię. Co z tobą?

– Ten czwarty, Wiatrówka, który wam zniknął, strzelał do nas godzinę temu pod Agencją…

– Co ty mówisz? – niemal krzyknął Bronek. – Jak to? Dopiero teraz dzwonisz? Oszalałeś?!

– Jest ranny. Postrzelił go mój Witek, ale nie wiemy, czy poważnie, czy nie. Mamy jego krew i mamy pocisk, ale wątpię, by to się do czegoś przydało. Obława i tak nic by nie dała, bo skoro tamtych ostrzegł ktoś z policji i dlatego udało im się wyjechać na czas, to ostrzeże też i jego. A swoją drogą, on nie dałby się wziąć żywcem i tylko zginęliby ludzie. Trzeba będzie porządnie zająć się tym samobójcą Burskim, ale to później. To był rosyjski kret w policji. Tylko nie rób na razie nic beze mnie, rozumiesz? – zapytał Roman, ale w słuchawce zaległa cisza. – Rozumiesz, przyjacielu? – powtórzył mocniej.

– Rozumiem – odparł w końcu Bronek. – Ufam ci… a mam wyjście? Jak tam poszło w laboratorium? – zmienił temat.

– Zaraz będę wiedział. Potrzebuję tych telefonów. To pilne! Pamiętasz?

– Będą na rano – odparł Bronek. – Coś jeszcze? Bo mnie dzisiaj wkurwiasz.

– Nie.

– To cześć.

Rozłączyli się i w tym samym momencie zazgrzytał zamek w drzwiach. Po chwili z przedpokoju dobiegł podniesiony głos Eli.

– Jesteście? Mam już wszystko. Będzie ciekawie.

91

Wiktor Braun poszedł do łazienki i wziął środek nasenny. Popił szklanką wody i nim zgasił światło, dotknął jeszcze drżącymi palcami sinych worków pod oczami.

Kurwa! Trzydziestoletni facet – pomyślał.

Zaczęło się już w Moskwie, ale teraz noce stały się prawie bezsenne. Kiedy kładł się do łóżka, miał taki zamęt w głowie, że nie mógł zasnąć, a jak już zasnął, to śnił, jakby był na jawie. I tak zanikała granica między jego świadomością i podświadomością.

Stres podczas snu wcale nie był lżejszy niż ten, który miał w realu. Bywało nawet, że budził się w środku nocy zlany potem, przerażony realizmem tego, co wyśnił. Alkohol skutecznie pomagał zasnąć. Solidna szklaneczka whisky działała jak maczuga, ale na krótko, bo często budził się po godzinie, dwóch i resztę nocy miał z głowy. Leżał, patrząc w sufit i rozmyślając. Zasypiał dopiero nad ranem, więc wstawał nieprzytomny.

W końcu poszedł do lekarza i dostał środki nasenne, których jednak nie mógł łączyć z alkoholem. Problem był spory, bo powstała sprzeczność. Za dnia raz po raz musiał wypić whisky, żeby poprawić koncentrację po nieprzespanej nocy lub złagodzić napięcie, więc środek nasenny był bezużyteczny.

Po raz pierwszy, odkąd uprowadzono Olewskiego, zdarzył mu się dzień, w którym nic nie wypił i mógł w końcu zażyć ten lek. Miał nadzieję, że

przełamie błędne koło bezsenności, stresu i whisky. I rzeczywiście, położył się o dwudziestej trzeciej i nawet się nie zorientował, kiedy zasnął.

A śniło mu się, że jego telefony, rozgrzane do czerwoności, dzwonią nieustannie, a on leży sobie na plaży w Dubaju i ma w dupie cały świat – Pakistan, Moskwę, szpiegów, talibów, CIA, a szczególnie Steve'a Sinstera.

Nagle otworzył oczy. Potrzebował chwili, by się zorientować, że nie jest w Dubaju. Spojrzał na zegar. Była punkt druga, a na stoliku nocnym dzwonił jego telefon. Zapalił lampkę. Na wyświetlaczu było nazwisko *Sinster* i niżej oznaczenie siedmiu nieodebranych połączeń.

– *Fuck!* – powiedział Braun i dotknął ikony z zieloną słuchawką. – Cześć!

– Co z tobą? – Sinster był wyraźnie poruszony. – Dzwonię od godziny.

– Zasnąłem… wziąłem…

– Za piętnaście minut tam gdzie ostatnio – przerwał mu Amerykanin.

– Co jest? – zdążył zapytać Braun, ale Sinster już się wyłączył.

Ja chyba jeszcze śnię… Jankes mi rozkazuje! Kurwa…

Usiadł na skraju łóżka, spuścił nogi i zaczął przecierać twarz.

Czuł się, jakby był pijany, i pomyślał, że w szpiegowskim zawodzie nie ma co brać środków nasennych, bo zawsze ktoś może cię obudzić.

W końcu na służbie nawet sny ma się służbowe – pomyślał, nieco już rozbudzony. Dopiero po chwili do niego dotarło, że Sinster musiał dzwonić w sprawie Henryka. Nie mogło być inaczej.

Szybko wciągnął spodnie i koszulę, wsunął buty na gołe stopy. Przy drzwiach złapał sweter i wybiegł z domu. Dopiero przy samochodzie się zorientował, że nie wziął kluczyków i telefonów, więc jeszcze szybciej wrócił do mieszkania.

Otrzeźwiał już zupełnie, więc był coraz bardziej zaniepokojony wezwaniem Sinstera. Spodziewał się najgorszego.

Nie patrzył na zegarek, jechał tak szybko, jak tylko mógł. Było zimno, a Islamabad był jak wymarły, tak mu się przynajmniej wydawało.

Sinster już czekał. Stał z rękami założonymi na piersi, oparty o samochód. Kiedy zobaczył Brauna wjeżdżającego z impetem na pustą stację, uniósł rękę, jakby chciał pokazać, gdzie jest.

– Co się stało? – rzucił Wiktor, wysiadając.

Sinster stał z ponurą miną i czekał, aż ten podejdzie bliżej.

– No… oni? – zapytał Braun, kiedy stanął przed Amerykaninem.

– Oni.

– Czyli?

– Oni… – Sinster nagle się rozpromienił. Uśmiechnął się pierwszy raz, odkąd się poznali, i to było dziwne doznanie.

Braun już się domyślił.

– Są wolni? – zapytał niepewnie.

– Są wolni – potwierdził Sinster.

Braun jak dzieciak rzucił mu się na szyję.

– Kiedy? Jak? Mów!

– Zaraz – odparł, pochylił się i przez otwarte okno wyciągnął z samochodu butelkę whisky i dwa plastikowe kubki. – Oblejemy to! – zarządził.

– Brałem środki… – zaczął Braun, ale machnął ręką. – Aaa… chuj tam! Dawaj!

Sinster wlał po pół kubka i wypili od razu do dna.

– Mów! – niecierpliwił się Braun.

– Talibowie zwolnili waszego oficera i Niemca i przekazali ich pakistańskim służbom. Podobno są w nie najlepszym stanie, mocno pobici, ale pod dobrą opieką medyczną. Nie wiemy, jak to się stało. To wszystko jest bardzo dziwne, bo talibowie nie wypuszczają zakładników. Oficjalnie

Tygrys zwolnił ich dzięki pośrednictwu szejka Rahmana z klanu Owadi. Pakistańczycy mają ogłosić to jutro na konferencji prasowej prezydenta, a szejk też osobiście wystąpi w telewizji. Pachnie mi to wszystko ustawką ISI.

– Czyli będą mówić, że to dzięki ich wysiłkom… władz pakistańskich i jakiegoś szejka Rahmana… uratowano uprowadzonych? – zapytał zdziwiony Braun i poczuł, że alkohol uderza mu do głowy. – Uważasz, że to nie jest prawda? Czyli co?

– Nie powiedziałem, że to nieprawda. – Sinster rozejrzał się niepewnie. – Powiedziałem, że to dziwne, a właściwie że jest w tym jakieś drugie dno. Masakra w Pir Sohawa mogła być ustawiona przez ISI, zakładnicy to dodatkowy bonus, który wykorzystali tak, jak mogli. A teraz zdyskontują go jeszcze bardziej, głównie na potrzeby wewnętrzne, robiąc politykę na terenach plemiennych, w Waziristanie, w Afganistanie.

– Najważniejsze, że są wolni. – Braun poczuł, że kręci mu się w głowie, ale nie wiedział, czy to od alkoholu, czy z przejęcia, więc nie odmówił, kiedy Sinster nalał drugą kolejkę.

– To wielki sukces – ciągnął Amerykanin. – Jutro cały świat będzie mówił tylko o tym, a we wszystkich służbach od Tel Awiwu po Londyn będą się zastanawiać, jak to możliwe, że talibowie puścili zakładników, kto pomógł, co zyskał na tym Pakistan i – najważniejsze – jak Polacy i Niemcy do tego doprowadzili, co dali talibom. Nikt nie uwierzy w przypadek. Teraz wszyscy… – stuknęli się plastikowymi kubkami i od razu wypili – wszyscy będą się starali przekuć ten dramat w sukces i nikt nawet nie wspomni Japończyka i Anglika. Tak też będzie i u was. Zobaczysz. Politycy potrafią uszlachetnić największe kłamstwo, a ty zostaniesz bohaterem narodowym. Zaraz pojedziesz do swojej ambasady i napiszesz relację z naszego

spotkania, a jutro rano dostaniesz szyfrogramem wersję, której masz się nauczyć na pamięć.

– Przecież my nie mamy z tym uwolnieniem nic wspólnego – szczerze przyznał Braun.

– No właśnie! – Sinster znów się uśmiechnął i nalał whisky. – Obaj dobrze o tym wiemy, a najlepiej wiedzą o tym Pakistańczycy. Nie mylę się, Wiktor?

– Nooo… nie… nie mylisz.

– Dlatego warto byłoby spożytkować tę sprawę… – spojrzał Braunowi w oczy – i coś na niej zarobić. Czemu tylko politycy mieliby ją wykorzystać do swoich egoistycznych celów?

– Nie rozumiem – przerwał mu Braun. – Mów wprost!

– Jest delikatna prośba z Langley, a nie chcemy tego załatwiać przez łączników, tylko przez ciebie. Przyjmijmy wersję, że do uwolnienia zakładników doprowadziła nasza Agencja.

Braun otworzył szeroko oczy.

– Nie rozumiem.

– To proste i bardzo ważne. – Sinster uniósł kubek. – Na zdrowie! – powiedział po polsku i wypili. – Załóżmy w ten sposób… – trochę się zapowietrzył – w ten sposób… Polak i Niemiec są już wolni i szczęśliwi, będą wkrótce jeździć po waszych wsiach i miastach i opowiadać o swoich cierpieniach, bohaterstwie, będą udzielać wywiadów, powstaną książki i scenariusze, a potem filmy. Rozumiesz?

Wiktor pokiwał głową.

– No… i teraz dopiero będą mogli zrobić coś dobrego dla ludzkości, bo jakby ich ścięli, to ich śmierć poszłaby na marne.

– Czyli co? Chcecie na tym zarobić? – Braun zaczął się już niecierpliwić. – Nie owijaj w bawełnę. Ja to wszystko rozumiem.

– Okej. – Sinster zmienił ton. – Wiktor, jesteś oficerem wywiadu i chyba nie myślisz, że te wszystkie życiorysy bohaterskich szpiegów, którzy wpadli, są prawdziwe.

– No przecież wiem.

– Każdą porażkę trzeba umieć przekuć w sukces…

– To wy też…

– Też! Inaczej mówiąc, na trupach można czasem zarobić więcej niż na żywych, wystarczy nałożyć zwłokom profesjonalny make-up. Mówiąc krótko i na temat, zależy nam, by świat się dowiedział, ale nie wprost, że do uwolnienia przyczyniła się CIA. Umocni to nasz sojusz, pomoże naszej Agencji, a co dobre dla nas, to i dobre dla Polski, a nawet świata, a co złe dla nas, to dobre dla naszych wrogów, prawda?

Wiktor nie zareagował na tę cyniczną, ale prawdziwą dydaktykę, bo znał ją dobrze.

– Powiem też wprost, że ogromnie nam pomożecie tutaj… w Pakistanie. Co więcej, to bardzo, bardzo ważne. Wiesz… oni mają tu broń atomową i od chuja terrorystów. – Sinster zabrzmiał ironicznie, ale Wiktor doskonale wiedział, że mówi poważnie. – Ujmując rzecz krótko, teraz wszyscy możemy na tym zarobić. Nikt nic nie traci, inwestycja bez nakładów. Byłoby też fajnie, gdyby uwolnieni powiedzieli coś miłego o amerykańskich sojusznikach.

– Dobrze, a Niemcy?

– No właśnie… dotknąłeś drugiego dna. Powiecie im to samo, a my potwierdzimy. Proste? Proste.

– Wiesz, Steve, ja to wszystko rozumiem i nawet uważam, że to ma sens, ale decyduje Warszawa…

– To oczywiste – odparł Sinster. – My o tym wiemy, ale bez ciebie to wszystko poszłoby na marne. Musimy być po jednej stronie mocy i prawdy,

nie? Jutro porozmawiamy bezpośrednio z Koryckim i on może się nie zgodzić, bo trzeba będzie powiedzieć prawdę premierowi. Co ci będę mówił, wiesz przecież, polityka… No i znamy go, ma ambicję i różne pomysły na siebie i swoją przyszłość. My to rozumiemy, ale może by tak tym razem pokusił się o szersze spojrzenie. Możemy premierowi przekazać naszą prawdę, czyż nie?

– Okej, Steve. Wiem, o co chodzi. – Braun czuł się źle i chciał już zakończyć to spotkanie, bo musiał natychmiast skontaktować się z Warszawą. – Coś jeszcze? Bo spieszę się do ambasady.

– Liczę na ciebie – odparł Sinster. – Chcę ci tylko powiedzieć, że zależy nam na szybkiej odpowiedzi, bo jutro prezydent wystąpi na konferencji prasowej i poinformuje o zakładnikach. Mamy mało czasu, więc nie wątpię, że będziesz wiedział, jak przedstawić sprawę Koryckiemu.

– Dlaczego nie robicie tego na szczeblu szefów? – zapytał w końcu Braun.

– Hm… nie wiem, to jakieś meandry polityki czy coś. – Sinster puścił do niego oko, wsiadając do samochodu. – Aha… byłbym zapomniał… – Zgniótł w dłoni kubek i wyrzucił go przez okno. – Powiedz Pańskiemu, że nie pamiętamy już o majorze Henryku Olewskim… oficerze CIA z Moskwy.

Braun był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył pomyśleć, jak ma zareagować. Sinster jednak zamknął okno i odjechał, jakby chciał mu oszczędzić kłopotliwej sytuacji.

Wiktor został sam w środku nocy na zamkniętej stacji benzynowej, z plastikowym kubkiem w dłoni. Czuł w głowie pustkę i wydawało mu się, że zaczyna powoli odpływać, a musiał się przecież natychmiast skontaktować z Warszawą i poinformować, że Henryk jest wolny. Był jednak przerażony, bo musiał jednocześnie zrelacjonować rozmowę

z Sinsterem, a nie był w stanie jej właściwie przeanalizować i wszystko mu się plątało. Szczególny problem miał z ostatnimi słowami Sinstera. Bał się, że coś przekręci, i żałował, że nie nagrał tej rozmowy. Wiedział, że Amerykanin wspomniał o Henryku i CIA w określonym celu, że całe to spotkanie zostało starannie wyreżyserowane, ale nie potrafił zrozumieć po co. Wyczuwał też, że to dla Amerykanów bardzo ważna sprawa i ma trzecie albo i czwarte dno, o którym jednak Sinster nawet nie napomknął.

Wyjął z kieszeni szyfrowany telefon, włączył go i spojrzał na wyświetlacz. Zaczął przewijać kursorem po liście nazwisk – Korycki, Walewski, Hurman, Pański, Leski – i zastanawiać się, do kogo powinien zadzwonić, kto go dobrze wysłucha i zrozumie. Bo że CIA będzie ich podsłuchiwać, nie miał wątpliwości. I nagle dotarło do niego, że przecież musieli przez cały czas kontrolować jego rozmowy, więc zawsze byli na bieżąco.

Tylko po co? – pomyślał. Czyżby od początku byli stroną w tej sprawie?

– A chuj z tym! – rzucił na głos. – Najważniejsze, że Henryk żyje.

Zmiął kubek w dłoni i rzucił go na ziemię obok kubka Sinstera. Wybrał nazwisko z listy i nacisnął ikonkę z zieloną słuchawką.

92

Hotel Bel Ami był dwie przecznice dalej. Pan Bregge odprowadził Monikę do samej recepcji, osłaniany dyskretnie przez małego Koloreda i kierowcę, który niósł jej walizkę.

Nie rozmawiali już o sprawie Adama Finta. Okazało się natomiast, że pan Bregge jest kolekcjonerem i znawcą europejskiego malarstwa vanitas, co pasowało do niego idealnie i dodawało mu uroku, jak pomyślała Monika. Chociaż sama nie lubiła tego gatunku.

Biała recepcjonistka przywitała Monikę jak gościa honorowego i bez żadnych formalności wydała jej kartę magnetyczną.

– Chciałbym zaprosić panią jutro na lunch – odezwał się Bregge, ściskając na pożegnanie dłoń Moniki.

– Oczywiście, ale wszystko zależy od tego, kiedy złapię samolot do Europy. Bardzo mi się spieszy.

– Dobrze zatem. Będziemy w kontakcie. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziała z uśmiechem.

Pan Bregge również się uśmiechnął i Monika poczuła dziwne ciepło w brzuchu. Skinął głową recepcjonistce, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Mały Kolored usiadł w fotelu, z gazetą w ręce.

Dostała duży elegancki apartament urządzony w słonecznych afrykańskich barwach. Od razu wyczuła wyrobiony gust pana Bregge.

Rzuciła plecak na łóżko.

O niczym nie marzyła teraz bardziej niż o kąpieli. Weszła do łazienki i kiedy zobaczyła jej wystrój, od razu puściła wodę do wanny i zaczęła się rozbierać. Nigdy nie widziała pomieszczenia tak wysmakowanego, utrzymanego w ciepłej tonacji i prezentującego spokojne, naiwne tematy bez arogancji i złośliwości. Jak Altamira? – pomyślała. W końcu człowiek wcześniej zaczął malować niż pisać. Rano muszę to sfotografować.

Zrzuciła ubranie i naga wróciła do salonu. Wzięła telefon. Było dziesięć po północy. Wróciła do łazienki i przez moment pomyślała, że pan Bregge jest przecież byłym mafiosem, przestępcą, więc może ją teraz podglądać. Dlatego dał jej ten niezwykły apartament.

Położyła się w wannie. I nagle zrozumiała, że wcale jej to nie przeszkadza, nie krępuje, a nawet poczuła, że jej ciało idealnie uzupełnia kompozycję łazienki, po prostu dodaje sztuce sensu. Uśmiechnęła się tak, by pan Bregge mógł to zobaczyć, jeżeli gdzieś tam był, i włączyła telefon.

Mimo że była zmęczona, doznania estetyczne i artystyczne oraz rozmowa z panem Bregge o malarstwie vanitas wprowadziły ją w nastrój skupienia i analizy, więc był to doskonały moment, by zadzwonić do Romana.

– Cześć! – Leski odezwał się pierwszy, i to całkiem rześkim głosem.

– Nie obudziłam cię? – zapytała.

– Nie. Dużo się tu dzieje. Bardzo dużo… ale… – Przerwał na moment. – Co to za hałas?

– Woda leci. – Nie powiedziała, że leży w wannie.

– Aaa… Dobrze. No i co ustaliłaś? Mów.

– Rozmawiałam z szefem policji z jakiegoś tam posterunku, w obecności Saleha Bregge. Adam Fint nie żyje. Sprawców nie ma, motywu policja też nie zna. Odstrzelili mu głowę i zginęło przy tym dwóch policjantów, więc są tutaj mocno wkurwieni. Wygląda to tak… – Monika zakryła telefon

dłonią – że Fint w dwa dni po tym, jak uprowadzono Henryka, otrzymał telefon z prepaidu kupionego tylko do tej rozmowy. Rozmowa trwała trzy minuty i w tym czasie umówiono z nim spotkanie za dwa dni na parkingu nad brzegiem morza. Tam podjechał do niego motocyklista, za którym Fint udał się swoim samochodem do pobliskiego pustego domu. Po trzech godzinach sąsiedzi powiadomili policję, że w tym domu coś się dzieje. – Przerwała na moment i zakręciła wodę. – Przyjechała policja i rozegrało się coś, co wciąż jest niejasne. Nie udało się ustalić dokładnie co. Policjantów zastrzelili ci, którzy zwabili tam Finta. A on sam dostał w głowę. I teraz najważniejsze… Jesteś tam?

– Tak, tak, słucham – odparł Roman.

– Fint był torturowany i próbował zbiec – powiedziała bardzo cicho. – Rozumiesz coś z tego? – zapytała wyraźnie zdziwiona. – Pojechał z nimi dobrowolnie, a oni go przypalali. Po co? Co więcej, tutejsza policja jest pewna, że motyw zabójstwa przybył za Fintem z Polski. Oni nie wiedzą, gdzie Fint mieszkał przed przyjazdem do RPA. Czy ja dobrze podejrzewam?

– Tak właśnie jest. To wszystko układa się w logiczną całość. – Roman nie krył zadowolenia. – Od początku sądziłem, że Fint nie żyje. Szkoda człowieka, ale zginął na własne życzenie. Czy jest coś jeszcze?

– Detale, ale nie wnoszą nic istotnego…

– Kiedy wracasz?

– Pierwszą okazją.

– To dobrze, bo jutro nastąpi pewnie wielki finał. I albo wygramy, albo to będzie nasz koniec. – Roman nie brzmiał jednak pesymistycznie i Monika od razu to wyczuła.

– Był sens tu lecieć? – zapytała, żeby się upewnić.

– Tak, nawet nie wiesz jak wielki.

– Bardzo sympatyczny ten gangster i taki…

– Opowiesz, jak wrócisz – przerwał jej Roman, bo na ekranie jego telefonu pojawił się napis *Dzwoni Braun*. – Daj znać, o której lecisz – dorzucił i szybko się wyłączył.

Monika z telefonem w dłoni leżała w wannie, bardzo z siebie zadowolona. Nic jeszcze nie zobaczyła w Kapsztadzie, ale już poznała niezwykle uroczego gangstera, który pomógł jej rozwiązać sprawę Adama Finta. I była pewna, że postać pana Bregge już zawsze będzie dla niej uosabiać to miasto, zapachy w etiopskiej restauracji i łazienkę w hotelu Bel Ami. A tak była przeciwna tej podróży! Obiecała sobie nigdy już nie kwestionować poleceń Romana.

Usłyszała dźwięk esemesa. Wiedziała, że to Robert, i nawet się ucieszyła.

Gdzie jesteś?

W Kapsztadzie, leżę w wannie, a przystojny gangster podgląda mnie przez okno ;–)

Naprawdę?

Nie, jestem w Brukseli u Halinki, mówiłam Ci. Wracam jutro :–)

Odebrać Cię?

Nie. Cmok. Dobranoc

93

Roman wysłuchał Brauna na stojąco. Na koniec polecił mu poinformować natychmiast szefa Koryckiego i postępować zgodnie z procedurami, czyli napisać depeszę. Nie powinien jednak nikomu mówić, że najpierw zadzwonił do niego. Roman nawet nie musiał mu tłumaczyć dlaczego. Braun odpowiedział krótko: „Wszystko rozumiem, panie pułkowniku”. I to wystarczyło.

Kiedy się rozłączyli, Roman opadł na fotel. Znów poczuł uderzenie krwi do mózgu i przyspieszone bicie serca.

To była najwspanialsza wiadomość, jaką kiedykolwiek dostał. Właściwie mógłby już zamknąć sprawę, gdyby nie Wielki Zdrajca, który zagnieździł się na Miłobędzkiej. Teraz, kiedy major Henryk Olewski był wolny, wściekłość Leskiego nabrała jeszcze większej mocy. Po raz pierwszy w życiu zauważył, że wypełnia go typowa, spontaniczna chęć zemsty. Nie czuł nienawiści do Rosjan, nawet za to, że chcieli go zabić, tylko do człowieka, który zdradził kraj i robił co w jego mocy, by Olewski nie uszedł z życiem. Do wszystkich pozostałych czuł zwykły wstręt, widząc, że cynicznie wykorzystują cierpienie człowieka do swoich osobistych celów i liczą na szybką śmierć majora, która zakończy sprawę. Obojętne mu było, co chce na tym zyskać CIA dla swoich interesów w Pakistanie. Jednak informacja, że Amerykanie wiedzieli o grze pod obcą flagą z generałem

Kowalowem, mocno go zaniepokoiła. Cokolwiek to znaczyło dla jego dochodzenia, na pewno zaciemniało obraz.

Odczekał chwilę, aż się uspokoi, i dopiero wtedy zawołał Elę i Witka.

– Major Olewski jest wolny – oświadczył najspokojniej, jak tylko potrafił, ale głos i tak mu się załamał, a oczy nabiegły łzami.

– Wspaniale! – rzuciła głośno Ela, chwyciła za uszy uśmiechniętego Witka i pocałowała go w usta. – Kto? Dima? Talibowie sami go puścili? Pakistańczycy? Sojusznicy?

– Tego nie wiemy. – Spojrzał na butelkę wina stojącą na bufecie. – Najważniejsze, że jest wolny. Jest teraz razem z Niemcem w rękach pakistańskiego wojska. Prezydent Sharif ma to ogłosić uroczyście jako sukces tamtejszych służb. Chwileczkę! – rzucił na koniec i podniósł palec wskazujący.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. W tym czasie Witek błyskawicznie przyniósł kieliszki i napełnił je winem.

– Od kilku godzin Dima ma wyłączony telefon. – Roman pokręcił głową. – To do niego niepodobne. Coś się stało? Miał natychmiast wracać do Warszawy, tak mu poleciłem dzisiaj po południu. – Sprawiał wrażenie, jakby rozmawiał sam ze sobą. – Może jest w samolocie… ale tyle czasu?

– Dima nigdy nie wymięka – rzucił Witek, podając mu kieliszek. – Zawsze spada na cztery nogi, a teren zna jak nikt inny.

– Może telefonował do Moniki? – wtrąciła się Ela. – Zadzwonić do niej? Trzeba jej też powiedzieć o Henryku.

– Gdyby Dima się do niej odezwał, od razu by mnie zawiadomiła – odparł Roman. – Zaczekajmy lepiej na oficjalny komunikat o uwolnieniu uprowadzonych. Informacja o Henryku nic jej w tej chwili nie da, za to brak wieści o Dimie niepotrzebnie ją zdenerwuje. Kładźcie się spać, jutro czeka nas ciężki dzień.

– To chociaż wypijmy ten toast – zarządził Witek.

Unieśli kieliszki. Ela i Witek wypili do dna, ale Roman tylko symbolicznie umoczył usta. Musiał jeszcze popracować, a poza tym wino było kwaśne i źle się po nim czuł. Tak mu się przynajmniej wydawało, że to od wina.

Teraz najważniejsze było, czy zadzwoni do niego Korycki. W tej chwili Braun składał szefowi relację z rozmowy z Sinsterem. Roman spojrzał na zegar. Minęło dziesięć minut, czyli mniej więcej tyle, ile on rozmawiał z Braunem. Ale Korycki, jak się wydawało, potrzebował więcej czasu, bo mógł nie zrozumieć wszystkiego wprost i na pewno zadawał dużo pytań.

Roman zaczął układać sobie w myślach schemat rozmowy z szefem, kiedy zadzwonił telefon. Nie był to jednak Korycki, tylko Braun.

– Słucham, panie Wiktorze – zaczął Leski.

– Zrobiłem tak, jak pan kazał. Zadzwoniłem do szefa i zdałem mu dokładnie taką samą relację jak wcześniej panu. Miał trochę pytań, ale w sumie… bez znaczenia. I zakazał mi informowania o tej rozmowie z jankesem kogokolwiek, a co ważniejsze, zabronił wysyłania depeszy do Warszawy. Zagroził mi prokuratorem. Teraz już sam nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że najpierw zadzwoniłem do pana. Powiedział jeszcze, że partnerzy znają oficjalny kanał, więc powinni kontaktować się z nim bezpośrednio. Tak mam im mówić. Był wściekły…

– I to najlepiej dowodzi, że dobrze pan zrobił, dzwoniąc najpierw do mnie. Sam pan widzi, że coś jest nie w porządku…

– No, ma pan właściwie rację – przyznał Braun. – Co mam robić… co powiedzieć Amerykanom?

– Niech pan robi tak, jak polecił szef, i o nic się więcej nie martwi. I niech się pan teraz zajmie Henrykiem. Będzie tego bardzo potrzebował. Na pewno przyleci pan z nim do kraju, wtedy porozmawiamy. Dziś mogę

powiedzieć, panie kapitanie, że nie tylko sprawdził się pan jako oficer wywiadu w ekstremalnie trudnej sytuacji, ale też przede wszystkim dobrze się pan przysłużył ojczyźnie. Wkrótce się pan o tym przekona.

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Braun był wyraźnie zadowolony, bo po raz pierwszy ktoś tak się do niego zwrócił, przywracając mu wiarę we własne siły i w sens służby.

– Niech pan teraz odpocznie i porządnie się wyśpi, bo jutro czeka pana ciężki dzień. Najważniejsze, że Henryk żyje i jest wolny. Dobranoc.

– Dobranoc – odparł Wiktor i pomyślał, że tym razem powinien zasnąć bez problemu.

Roman dobrze wiedział, dlaczego Korycki chce ukryć propozycję Amerykanów. Nawet kosztem pogorszenia stosunków, bo podszywanie się polskiego wywiadu pod CIA w Rosji było ciężkim grzechem. To zawsze mógł zwalić na poprzednika, twierdząc, że zamierzał tę sprawę wkrótce wyczyścić. Miał też w nosie, skąd Langley w ogóle o tym wie, chociaż była to operacja prowadzona w największej konspiracji.

Korycki razem z Grobelnym grają na siebie. Oryginalny plan im nie wypalił, bo Henryk przeżył, więc wdrażają zapasowy. Bedą chcieli pokazać, że to dzięki nim, ich ciężkiej wspólnej pracy wywiadu i dyplomacji, możliwy był ten sukces. Nie mogą pozwolić, by CIA przypisała go sobie. Będą mieć jednak gorszą pozycję startową, niż gdyby Henryka ścięto na oczach świata, bo w polskiej polityce zawsze lepiej sprzedaje się ofiara niż bohater, i trudniej im będzie zahaczyć Boleckiego. Roman wiedział o tym od kilku dni. Teraz oczekiwał już tylko ostatecznego potwierdzenia.

A zatem – telefon do przyjaciela.

– Na litość… – wymamrotał zaspany Bronek.

– Będę potrzebował na jutro rano jeszcze biling Koryckiego i jego pozycjonowanie z nocy.

– Odpieprz się! Zobaczysz… obaj zgnijemy w więzieniu.

– Nie daliśmy się złapać za komuny, to tym bardziej teraz nas nie namierzą. – Roman się roześmiał. – Trzeba tępić zdrajców… a poza tym nigdy nie pozwolę, żeby moje życie zależało od litości jakiegoś drapieżnika – rzucił na koniec i rozłączył się.

94

Wiera upuściła pistolet i nim Dima zdążył do niej podbiec, osunęła się na podłogę.

Zasłabła, ale nie zemdlała.

– Dlaczego? – zapytał, biorąc ją na ręce.

– Nie wiem – wyszeptała. – Bałam się, że cię zabije.

Dima zaniósł Wierę do sypialni i położył na łóżku.

– Zaczekaj tutaj, zobaczę, co z nim.

Nic nie odpowiedziała, tylko zakryła twarz rękami i zaczęła szlochać. Wszedł do salonu i od razu zauważył, że Dunin, z otwartymi oczami i uchylonymi ustami, leży nieruchomo na prawym boku w kałuży krwi.

Nie dotykał go. Wrócił do sypialni. Wiera już nie szlochała, ale nadal zasłaniała twarz.

– Nie żyje? – zapytała.

– Tak.

– Stało się. – Wytarła policzki rękami, rozmazując łzy.

– Muszę zebrać myśli – odparł zdenerwowany Dima. – Trzeba szybko coś postanowić. Ktoś mógł słyszeć strzał.

Zamilkli, trzymając się za ręce.

Dima dochodził już do siebie i zaczynał logicznie myśleć. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Skąd u niej aż taka determinacja?

Od jakiegoś czasu była w coraz gorszym stanie psychicznym, ale żeby sięgnęła po pistolet…?

Patrząc na Wierę, która siedziała na łóżku, zaczął się zastanawiać, co to zabójstwo znaczy dla niego. Wprawdzie strzelała Wiera, ale to on zabił. Gdyby nie wrócił do mieszkania, nic by się nie stało. Przeliczył się w swojej arogancji i pewności siebie. Nie był wystarczająco zdecydowany i dał się omotać Duninowi, który poczuł zapach pieniędzy i krwi. A teraz konsekwencje poniesie Wiera, choć to przecież on planował zastrzelić Dunina.

– Musisz natychmiast uciekać – odezwała się w końcu Wiera. – Ciebie tu nie było. Wrobią cię w to zabójstwo, nawet wbrew mojej woli. – Powoli odzyskiwała jasność myślenia. – Sama z tego wyjdę, tylko muszę natychmiast zadzwonić do ojca. On wie, jakim człowiekiem jest Dunin… nienawidził go.

– Nooo… nie wiem… – Dima był wyraźnie zakłopotany. – Mogę być przecież twoim świadkiem.

– Głupstwa mówisz! – obruszyła się Wiera. Wzięła ze stolika chusteczkę i wytarła nos. – Absurd! Tylko pogorszysz sprawę.

– No tak, bez sensu.

– Myślę, że on i tak by cię zastrzelił, kiedy już dostałby pieniądze. Nie zaryzykowałby pozostawienia świadka – oznajmiła trzeźwo. – To zły człowiek, a ja byłam temu wszystkiemu winna, bo to ja go tutaj ściągnęłam.

– Przestań, Wierka! – zaprotestował Dima. – To przecież ja do ciebie przyszedłem. To moja wina, tylko moja.

– Nie włączaj telefonu, a najlepiej go zniszcz, bo cię namierzą, ustalą, że byłeś w tym czasie u mnie. Oleg na pewno ma wspólników. A ci nie odpuszczą. Będą się bali, że teraz wyjdą na jaw wszystkie ich plany…

Wiera nie dokończyła, bo w salonie zadźwięczał telefon Dunina. Dima pobiegł sprawdzić, kto dzwoni. Numer zaczynał się od 47. Sygnał ucichł, lecz po chwili odezwał się ponownie. Dima się zawahał. Może powinien zabrać telefon i zatrzeć swoje ślady. Dunin był zawodowcem i na pewno używał zabezpieczonego urządzenia.

Dzwonek znów zamilkł. Dima wziął telefon do ręki i sprawdził, czy jest zakodowany, a przekonawszy się, że tak, schował aparat do kieszeni. Nie mógł się powstrzymać, by nie zabrać go do Polski i nie sprawdzić zawartości. Instynkt szpiega był silniejszy niż rozsądek.

– Wyłączyłem jego telefon i… – rzucił w drzwiach, ale nie dokończył, bo Wiera mu przerwała.

– Dobrze. Ten, który leżał na kanapie?

– Tak.

– Ma drugi w spodniach, pewnie służbowy. A tego używał tylko do tej sprawy. Pozbądź się go razem ze swoim, najlepiej wrzuć do wody. – Wiera zaczęła działać, jakby odzyskała nad sobą pełną kontrolę. Nie była już Anną Kareniną, lecz kapitanem GRU. – Ten w spodniach zostaw.

Dima nie przyznał się jej, że telefon ma już w kieszeni. Dla niepoznaki wrócił do salonu.

– Pospiesz się! – rzuciła zdecydowanie. – Idź już.

Kiedy Dima zaczął zbierać swoje rzeczy, zadzwoniła do ojca.

– Tato! Stało się coś strasznego… – zaczęła smutnym głosem. – Przyjedź, zabiłam Olega… Dostał furii i chciał mnie skrzywdzić… Tak, był pijany… – Chwilę słuchała i na koniec rzuciła krótko: – Czekam.

Tymczasem Dima postawił swoją torbę przy drzwiach i wrócił jeszcze do salonu. Spojrzał na Dunina, który leżał między kanapą i ławą. Było w tym widoku coś nielogicznego, co burzyło kompozycję dramatu, jak powiedziałaby Monika. Dopiero teraz się zorientował, że pistolet Dunina

wciąż tkwi za paskiem jego spodni. Wziął ze stołu serwetkę i przez nią chwycił za kolbę. Położył pistolet obok jego głowy. Ze swojej brustaszy wyłuskał bikon i wsunął mu do kieszeni.

– Idź już, Dima! – krzyknęła z przedpokoju Wiera. – Zaraz tu przyjadą ludzie od ojca.

Dima szybkim krokiem przeszedł obok szyfoniery i jeszcze raz spojrzał na zdjęcie Sierioży.

Wiera stała przy drzwiach wejściowych. Trzymała rękę na klamce. Drugą zarzuciła mu na szyję, uniosła się lekko na palcach i pocałowała go mocno w usta.

– Boję się o ciebie – wyszeptał jej do ucha.

– Będzie dobrze. Generał Kozakin dużo może – odparła z lekkim uśmiechem.

– Boję się, jak ty dasz sobie z tym radę.

– Dam, jestem Rosjanką i oficerem – rzuciła z przekonaniem. – Nawet już mi ulżyło. Znasz mój numer telefonu. Zadzwoń za jakiś czas, kiedy będziesz u siebie, i podaj swój, dobrze?

– Dobrze. – Pocałował ją jeszcze raz.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz.

– Wszystko zabrałeś?

– Tak.

– A ten swój pistolet? – Spojrzała mu w oczy.

Poczuł się, jakby dostał cios prosto w twarz. Świat zawirował mu przed oczami. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Zrozumiał, dlaczego to ona pierwsza strzeliła do Dunina. Wbrew temu, co mówiła, doskonale wiedziała, co robi. Dotarło do niego, że po prostu nie miała wyboru. Nie mogła mu zabrać pistoletu, który znalazła w fotelu, bo uczyniłaby go bezbronnym, i nie mogła też pozwolić, by Dunin strzelił pierwszy.

Dima zrozumiał jednak coś jeszcze. Wiera zorientowała się, kim jest naprawdę, bo kompozytowy pistolet nie pozostawiał złudzeń. A jednak stanęła po jego stronie. Nie miał już wątpliwości, że jest ojcem Sierioży.

Wrócił do salonu. Wyjął z fotela pistolet i wrzucił go do torby. Wiera uśmiechnęła się smutno, kiedy ją mijał w drzwiach. Zbiegł po schodach na parter i po chwili był już przed blokiem. Spojrzał jeszcze w górę. Wiera stała w oknie.

Na Bolszej Bronnej wziął taksówkę i kazał się zawieźć nad Kanał imienia Moskwy w Chimkach. W drodze na lotnisko Szeremietiewo to było najlepsze miejsce, gdzie mógł się pozbyć telefonów i pistoletu.

Już w taksówce kilkakrotnie czuł, że telefon Dunina wibruje mu w kieszeni.

Kazał czekać kierowcy, a sam wysiadł obok ośrodka sportowego Dynamo. Znalazł ustronne miejsce w niedużym zagajniku, wyjął oba telefony i rozbił je kamieniem. Potem przeszedł na długi drewniany pomost, gdzie wrzucił szczątki dyskretnie do wody, a pistolet rozłożył i cisnął tak daleko, jak zdołał.

Wyjął telefon Dunina i przez moment się wahał, czy jednak też nie powinien go zniszczyć. Spojrzał na ekran. Było siedem nieodebranych połączeń i dwa nagrania na automatycznej sekretarce. Identyfikował się tylko jeden numer, zaczynający się od 47. Dima pomyślał, że może powinien odebrać, kiedy nadejdzie kolejne połączenie, jest już przecież daleko od mieszkania Wiery. I nagle telefon zawibrował w jego dłoni. Numer zastrzeżony.

Zaryzykował.

– Dlaczego nie odbierasz tyle czasu? Dzwonię piąty raz. – Zdenerwowany mężczyzna mówił po rosyjsku z lekkim kaukaskim akcentem.

– Oleg nie może teraz podejść, ale ja go zastępuję – odparł Dima.

– To przekaż mu, że ich puściłem i są już wolni, w rękach wojska. Zaraz wyślę zdjęcie. Czekam teraz na sygnał od mojej rodziny, i to szybko. Jak coś im się stanie, niech Allah ma was i waszych bliskich w opiece. Zrozumiałeś, psie niewierny? Wypatroszę was osobiście, a już wiem, gdzie mieszkacie, świnie zasrane.

– Przekażę – odparł krótko Dima i pomyślał, że to najpiękniejszy dzień w jego życiu.

Rzucił telefon na ziemię i rozgniótł go obcasem. Pozbierał szczątki i wziąwszy głęboki zamach, rzucił je daleko w wody kanału.

Wrócił do taksówki i w ciągu godziny dojechał na lotnisko. W kafejce internetowej kupił bilet na lot do Warszawy z przesiadką we Frankfurcie.

Nie sprawił sobie nowego telefonu, bo uznał, że o uwolnieniu Henryka Warszawa z pewnością została poinformowana i on już nie musi tego robić. Samolot miał dopiero za cztery godziny, więc siedział w barze na lotnisku i pijąc trzecią metaxę, próbował sklecić jakąś wiarygodną historię o tym, jak udało mu się uwolnić Henryka, ale wszystkie pomysły były na poziomie szpiega amatora. Nie chciał wystawiać się na pośmiewisko przed Sekcją, dlatego przyjął wstępną wersję, jakoby w Moskwie nic nie zdziałał. I w ten sposób nie będzie musiał się z niczego tłumaczyć.

Ale to była tylko część jego rozgrzanych myśli. Bo w Moskwie wydarzyło się także coś, co go odmieniło. Wiera, która uratowała mu życie, zabijając Dunina, i Sierioża, którego widział tylko na zdjęciu, na zawsze pozostaną jego intymnym sekretem, podobnie jak i to, że Wiera już wie, kim on jest.

Spojrzenie, jakim go pożegnała, wspominając o jego kompozytowym pistolecie, nie pozostawiało złudzeń. W końcu Anna Karenina była majorem GRU z dwudziestoletnim doświadczeniem.

Przybyła mu nowa tajemnica, z którą będzie musiał nauczyć się żyć. I ocenić, czy to ona ma władzę nad nim, czy też on nad nią. Bo najniebezpieczniejszy jest szpieg, który okłamuje sam siebie.

95

Roman obudził się o szóstej wyspany i wypoczęty. Żadnego bólu głowy, serce biło równo i mocno. Sprawdził tętno – sześćdziesiąt uderzeń – i pomyślał, że kieliszek wina przed snem nie jest takim złym rozwiązaniem. Poczuł głód. Miał apetyt na bułkę z dżemem truskawkowym i szklankę ciepłego mleka z grubym kożuchem.

Zaczynał się najważniejszy dzień.

Odkąd rozpoczął się kryzys, Roman miewał chwile zwątpienia, czasami gubił się w natłoku wydarzeń, mylił, popełniał elementarne błędy. Ale teraz leżał z rękami pod głową, przekonany, że w końcu wyszedł z cienia, zapanował nad swoimi słabościami i zaraz ruszy do ataku, dobrze uzbrojony i opanowany. Brakowało mu tylko trzech haseł, żeby zamknąć krzyżówkę i odczytać hasło. To miał być wielki dzień dla całej Sekcji.

Niepokoiło go jedynie milczenie Dimy.

Za parę godzin rozpocznie się narada u Koryckiego, będzie już pewnie po konferencji prezydenta Sharifa, a polskie media ogarnie szał przygotowań do powitania Henryka Olewskiego. W studiach radiowych i telewizyjnych eksperci będą dochodzić, jak udało się uwolnić uprowadzonych i ile polski rząd za to zapłacił. Na konferencji prasowej premier w krótkim wystąpieniu podziękuje wszystkim służbom, partnerom, a szczególnie prezydentowi Pakistanu, za doprowadzenie do szczęśliwego zakończenia dramatu.

Roman wiedział jednak, że dla niego i jeszcze kilku osób ten dzień będzie miał inny finał.

Usiadł na skraju kanapy. Spojrzał w stronę kuchni i zobaczył, że za zamkniętymi szklanymi drzwiami krząta się Ela, a Witek siedzi z laptopem na kolanach.

Chciał się już podnieść, gdy zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się dziwny, nieznany numer. Była szósta pięć i Roman zawahał się, czy odebrać. Przemknęło mu przez myśl, że zdesperowany wróg próbuje ustalić miejsce ich pobytu. Może to Wiatrówka – pomyślał z niepokojem.

Mimo to odebrał.

– Jestem na lotnisku we Frankfurcie – usłyszał głos Dimy i poczuł ulgę. – Zaraz mam lot do Warszawy. Dzwonię z automatu…

– Co tak długo? Dlaczego zamilkłeś? – zapytał Roman, lekko podenerwowany, jakby chciał go skarcić. – Miałeś być wczoraj…

– Musiałem się pozbyć telefonów. Rozumiesz, ale… – Urwał na chwilę i w końcu zapytał: – Co z Henrykiem? Coś nowego?

– Henryk jest wolny – oznajmił spokojnie Roman. – Uwolnili go, ale to jeszcze nieoficjalne. Wkrótce ma to ogłosić Sharif.

– Wspaniale! – wykrzyknął Dima, ale nie zabrzmiał przekonująco. – Kiedy? Jak do tego doszło?

– Dokładnie nie wiemy, ale pewnie zadziałały pakistańskie służby albo Niemcy, albo wszystko razem. Mamy dzisiaj konferencję u szefa, więc na pewno sprawa się wyjaśni.

– A kret?

– Porozmawiamy, jak wrócisz, ale jest postęp… – Roman próbował ominąć ten wątek, bo nie chciał teraz wciągać w to Dimy i samemu się nakręcać. Potrzebował spokoju. – Ale mogłeś zadzwonić z automatu – zmienił temat.

– Miałem wczoraj dość ciężki dzień i zasnąłem na lotnisku… tutaj, we Frankfurcie.

Dima próbował się wytłumaczyć, chociaż nie musiał. Miał jednak świadomość, że zawalił i że Roman ma uzasadnione pretensje. Dwa dni zanurzone w alkoholu, euforia i radość zmieszane ze stresem, strachem i smutkiem – wszystko to spowodowało, że gdy tylko maszyna Lufthansy oderwała się od pasa startowego na Szeremietiewie, nakrył głowę marynarką i natychmiast zasnął. Czekając we Frankfurcie na poranny lot do Warszawy, jeszcze trochę się przespał, z butelką po coli napełnioną metaxą.

– Dobrze, że się w końcu odezwałeś – skomentował Roman, ale nie drążył już tematu, bo wiedział, że Dima i tak powie, co uzna za stosowne. Rzadko jednak używał określenia „dość ciężki dzień” i po raz pierwszy zerwał łączność. Dla Romana było jasne, że w Moskwie stało się coś nadzwyczajnego. – Odpoczniesz, to się odezwij – zakończył uspokajająco.

– Tak się cieszę z uwolnienia Henryka, naprawdę… wiesz? A co w Warszawie, jak sprawy… co z Moniką?

– Wszystko w porządku. Monika wkrótce wraca. Odpocznij, wyśpij się – powtórzył Roman. – Potem pogadamy.

Dima się rozłączył.

Mimo że była szósta rano, czuło się, że nie jest całkiem trzeźwy: zjadał końcówki i był niezborny emocjonalnie. A przecież prawie nigdy nie nadużywał alkoholu, bo miał słabą głowę i dobrze o tym wiedział. Musiał więc mieć poważny powód, by doprowadzić się do takiego stanu – pomyślał Roman, nieco zaniepokojony.

Postanowił jednak odsunąć ten temat na później.

Włożył szlafrok i udał się do toalety.

O siódmej byli już po śniadaniu. Usiedli w salonie. Roman na kanapie, a Ela i Witek naprzeciwko, z kubkami kawy w dłoniach, uważnie go

obserwując. Siedział skupiony, w okularach zsuniętych na czubek nosa, i przeglądał swoje notatki spisane na żółtych kartkach. Od czasu do czasu wyjmował zza ucha ołówek i z przejęciem nanosił drobne zapiski, jak nauczyciel poprawiający dyktando prymusa.

Piętnaście po siódmej znów zadzwonił telefon. Tym razem wyświetlił się napis *Kula*.

O tej porze? – zaniepokoił się Roman.

– Czekam na ciebie za pół godziny przed wejściem do szpitala na Wołoskiej… – rzucił surowym tonem Bronek i nie czekając na odpowiedź, dodał: – I zabierz ze sobą tego małego szpiega… jak mu…

– Witka.

– Witka. Zadzwoń, jak już będziesz blisko. I tempo! – Bronek się wyłączył.

Roman wiedział, co się stało, i po pięciu minutach wyjeżdżali już na aleję KEN.

Poranny szczyt dopiero nabrzmiewał, więc całkiem sprawnie przebili się do Woronicza. Minęli Mordor i za dziesięć ósma Witek wjechał na parking przed szpitalem.

Bronek stał już przed wejściem w towarzystwie drugiego mężczyzny, który palił namiętnie papierosa.

– To inspektor Rodziewicz ze stołecznej. – Bronek przedstawił mężczyznę.

– Leski.

– Witek.

Podali sobie ręce.

– Mamy go – rzucił Bronek i ruszył do wejścia, przepychając się między ludźmi.

– Dowiem się w końcu… – zaczął Roman, ale Bronek parł już zatłoczonym szpitalnym korytarzem.

W ciągu kilku minut dotarli na OIOM. Przed wejściem stał policjant w mundurze i drugi w cywilu.

Zatrzymali się z boku i Bronek kazał się wszystkim zbliżyć.

– Mamy go – powtórzył cicho. – Nie jest z nim dobrze, nieprzytomny, stracił dużo krwi. Teraz najważniejsze, byście go rozpoznali, bo wcale nie mamy pewności, czy to on. Arek wszystko wam za chwilę opowie. – Spojrzał na inspektora. – Ale najpierw identyfikacja.

Włożyli fartuchy i ochraniacze na buty. Bronek został na korytarzu. Podeszli do łóżka, na którym leżał blady mężczyzna podłączony do aparatury medycznej, z respiratorem w ustach. Miał około czterdziestu lat. Potężnie zbudowany, z owłosioną klatką piersiową, na której założony był opatrunek w pobliżu serca.

– No i co? – zapytał po chwili inspektor.

– Nie rozpoznamy go w takim stanie – odparł trzeźwo Witek. – Podobny, ale musiałbym zobaczyć jego ubranie, żeby być pewnym.

Inspektor wyjął smartfon, chwilę czegoś w nim szukał i bez słowa podał go Witkowi. Na zdjęciach przedstawione było ubranie rannego, przygotowane już jako dowód, oraz jego broń.

– Teraz mogę potwierdzić na sto procent. To on! – oświadczył zdecydowanie Witek, a Roman pokiwał tylko głową, bo nie był równie pewny. Znał Wiatrówkę jedynie ze zdjęć i filmu.

Wyszli na zewnątrz. Bronek siedział na krzesełku i coś czytał w telefonie. Podniósł się i wszyscy czterej stanęli z boku przy oknie.

– No więc tak… – zaczął inspektor Rodziewicz i spojrzał na zegarek. – Godzinę temu przypadkowy biegacz znalazł w krzakach na Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich nieprzytomnego i zakrwawionego mężczyznę. Tego

tam… – Wskazał ruchem głowy. – Wcześniej mieszkańcy osiedla przy Gimnastycznej zgłaszali, że na ulicy była jakaś strzelanina, ale nic nie ustaliliśmy. Mężczyzna miał ranę postrzałową klatki piersiowej powyżej serca. Próbował zatamować krwawienie opatrunkiem i najprawdopodobniej zemdlał. Znaleźliśmy przy nim berettę, ale nie miał żadnych dokumentów. Nic, co pozwoliłoby go zidentyfikować. Odzież, obuwie również nie naprowadziły nas na żaden trop. Odciski pobraliśmy, ale i to nic nam nie dało. Czekamy na wyniki DNA i resztę procedury. Ranny ma sporo blizn i to nie był jego pierwszy postrzał, ale teraz może z tego nie wyjść.

– Ta strzelanina na Gimnastycznej to my – zaczął Roman. – To myśmy go postrzelili.

– Ja go trafiłem. Zaatakował nas – włączył się Witek.

– Wszystko jest jasne – odezwał się Bronek. – Wszystko wiemy… zgłosiliście przecież to zdarzenie. – Puścił oko do inspektora.

Rodziewicz uśmiechnął się delikatnie.

– Oczywiście – potwierdził. – Na razie mamy niezidentyfikowanego mężczyznę w stanie śpiączki i działamy dalej zgodnie z procedurą. Czekamy, aż się wybudzi i będzie mógł zeznawać. Coś jeszcze?

– To wszystko, inspektorze – odpowiedział Bronek i Rodziewicz oddalił się szybkim krokiem. – Tak się sprawy mają. I co w związku z tym?

– Nie mogłeś mi dzisiaj zrobić lepszego prezentu – oznajmił zadowolony Roman. – Nawet nie wiesz, jakie to ważne. Jutro byłoby już nieaktualne. – Położył Bronkowi rękę na ramieniu. – Mój ty przyjacielu policjancie. A teraz potrzebuję telefonów. Zapomniałeś?

– I ty nazywasz mnie przyjacielem! A co ja mam z tej przyjaźni? – obruszył się Bronek.

– Masz tego tam… – Leski spojrzał w stronę wejścia na OIOM.

– Przecież to wasza robota. – Bronek uśmiechnął się złośliwie.

– Idziemy! – zarządził Roman, bo chciał jak najszybciej wyjść ze szpitala.

Zanim odeszli, spojrzał jeszcze przez okno. W oddali szarzał w porannej poświacie budynek Agencji Wywiadu, a w prawym górnym rogu, na ostatnim piętrze, było jego biuro, tam zaś okno, z którego obserwował ptaki nad szpitalem.

96

Pułkownik Zenon Pański czekał na Romana w swoim gabinecie na czwartym piętrze, w zamkniętej części, do której dostęp miały wyłącznie osoby upoważnione. Było to Biuro Operacji Specjalnych, w którym dowodził zespołem dwudziestu specjalnie dobranych oficerów.

Roman gościł w tym gabinecie wielokrotnie. Zbiór gadżetów, pamiątek, trofeów, dyplomów i zdjęć był tak ogromny, że nie dało się zapamiętać choćby jednego przedmiotu. Wszystkie gabinety dyrektorskie w mniejszym lub większym stopniu odzwierciedlają ego zasiadającej w nim osoby, ale ten był arcymegalomański. Pański wiedział, co robi. Gabinet miał wyzwalać pokorę u podwładnych, a zazdrość u gości, stał się więc ważnym uzupełnieniem budowania autorytetu.

Na Romanie to jednak nie robiło wrażenia. W swoim gabinecie miał tylko obraz *Ambasadorzy*, który dostał od Sekcji.

Siedzieli w głębokich fotelach i czekali, aż sekretarka przyniesie kawę i herbatę. Pański nigdy nie przechodził do sedna spotkania, dopóki sekretarka nie przyniosła mu kawy. Roman cierpliwie czekał i podtrzymywał rozmowę o byle czym.

Pański był wyluzowany, jak zwykle bez marynarki, co miało oznaczać, że jest u siebie, na swoim terenie, i tylko on ustala tu zasady.

Po kilku minutach sekretarka postawiła na stoliku elegancką porcelanową zastawę z symbolami MI6 i talerzyk z pszennymi

ciasteczkami.

– O co chodzi? – zapytał Pański z wyraźną flegmą i od razu było widać, że nie wie jeszcze o uwolnieniu Olewskiego.

– Twoi komandosi są lojalni?

– Komandosi? Lojalni? O czym ty mówisz?

– No dobrze… może źle to ująłem. Mam na myśli twoich ludzi z Biura.

– Pewnie, że są lojalni. Co za pytanie?! A o co ci chodzi? – Pański spojrzał podejrzliwie na Romana.

– O tym za chwilę. Najpierw najważniejsze. – Roman zawiesił głos, bo po raz pierwszy zobaczył na twarzy Pańskiego wyraz szczerego zainteresowania. – Major Olewski jest już wolny – oznajmił nieco teatralnie.

Zaległa cisza. Pański zamarł w bezruchu, z filiżanką w dłoni. Roman zastanawiał się teraz, co za chwilę powie. Jeżeli zacznie od wybuchu radości i odegra Michaela Caine’a, wtedy on będzie musiał zrezygnować ze swojego planu. I Pański pozostanie na liście podejrzanych.

– Dlaczego, kurwa, dowiaduję się o tym od ciebie? – rzucił przez zęby i Roman uśmiechnął się. Na taką reakcję liczył. – Co się w tej, kurwa, szpiegowni dzieje? Ja pierdolę!

Pański odstawił filiżankę z niewypitą kawą.

– Nie interesuje cię, jak został uwolniony? – Roman zadał zaplanowane pytanie.

– A chuj z tym! – obruszył się Pański. – Jest wolny i to się liczy. Jak? Tego przecież zaraz się dowiemy, albo i nie. Ważne jest, skąd ty to wiesz? To jest, kurwa, temat dnia i dlaczego przychodzisz z tym do mnie o ósmej rano, a nie siedzimy u Koryckiego na kawie? I jeszcze pytasz o jakichś, kurwa, lojalnych komandosów? Co tu się, kurwa, dzieje?! – Pański wyraźnie się nakręcał i było to bardzo naturalne.

Przerośnięte ego bywa użyteczne, bo można nim sterować, uważał Roman. Pański nadawał się na Wielkiego Zdrajcę, bo wbrew temu, co o sobie myślał, był przezroczysty.

– Skąd to wiesz? Wyjaśnisz w końcu? – Spojrzał podejrzliwie na Romana. – Braun? – I sam sobie odpowiedział: – Braun! Ma u mnie, kurwa, przejebane! To ja go, kurwa…

– To dobry oficer, Zenek – przerwał mu Roman. – Dobrze go wyszkoliłeś. Myśli samodzielnie i odpowiedzialnie. Nie znasz całości sprawy, więc musisz zaczekać jeszcze chwilę i schłodzić swoje rozpalone ego. Jak się dowiesz, zmienisz zdanie. Nie bez powodu siedzę o ósmej rano u ciebie, jak powiedziałeś, a nie na siódmym piętrze.

Pański wypuścił powietrze, jakby chciał się uspokoić.

– Tak, wiem to od Brauna, a on od Sinstera – ciągnął Roman. – Dowiedział się dzisiaj w nocy i jest to informacja jeszcze niejawna. Niedługo w Islamabadzie ma być konferencja prasowa Sharifa, z udziałem Henryka i tego Niemca.

– O całości jakiej sprawy wspomniałeś? – odezwał się Pański, nieco już uspokojony. – Coś się dzieje za moimi plecami? No… kurwa… nie wierzę. Korycki nigdy by nic przede mną nie ukrył… no, kurwa… nie wierzę własnym uszom! Hurman i Walewski to inna sprawa, ale Filip? – Znów zaczął się denerwować. – Co za sprawa, Roman? Mów! – Wydął policzki, wpatrując się w Leskiego.

– Okej. Po kolei – zaczął Roman. – Korycki też wie o uwolnieniu Olewskiego. Braun zadzwonił do niego w nocy zaraz po telefonie do mnie. Tak mu poleciłem. Sinster zaproponował Braunowi, byśmy oficjalnie przyznali, że to CIA pomogła w uwolnieniu Polaka i Niemca z niewoli talibów. I Khan poinformował o tym Koryckiego. Wtedy on dostał wścieklicy. Zakazał mu informowania kogokolwiek o uwolnieniu Henryka

i dalszych kontaktów z Amerykanami. Do tej pory nie powiadomił nas o zwolnieniu uprowadzonych, ani ciebie, ani mnie. Dziwne? – zapytał na koniec.

– To wszystko? – Pański nagle zmienił wyraz twarzy, jakby usłyszał to, na co czekał.

– Nie, to dopiero początek.

– Dobrze, to na początek kilka uwag – oznajmił Pański tonem mentora. – CIA prowadzi w Pakistanie swoją grę z ISI i po prostu taki chwyt do czegoś im pasuje. Chcą wykorzystać okazję, by coś tam rozegrać, a mają w regionie bigos. To proste. Nie chodzi tu o żadne podpinanie się pod medialny sukces. Znam ich dobrze… aż za dobrze. To akurat mają w dupie. Zaczęli od Wiktora, bo liczyli pewnie, albo nawet wiedzieli, że Filip na to nie pójdzie, jak zaproponują wprost. Wiedzą, kim jest ojciec Wiktora, i uznali, że to najlepszy kanał nacisku. Braun dzwonił do ojca, a oni go przecież słuchali. – Uśmiechnął się ironicznie. – A co do Koryckiego… – zawiesił na moment głos – to powiedzmy sobie szczerze, że rzeczywistość jest inna niż to, co widzisz na obrazku. Szczerość za szczerość dla dobra kraju i naszego. W mojej ocenie Korycki chce wykorzystać zamęt z uprowadzeniem Henia, by wyciągnąć coś ważnego dla siebie. Nic nie wiem na pewno, ale moje myszki donoszą, że skończyła się przyjaźń z Boleckim i od jakiegoś czasu trwają przygotowania do konfrontacji. – Wykrzywił cienkie usta w grymasie rozbawienia. – Mogę się założyć, że dowiemy się dzisiaj z mediów, że to działania Agencji Wywiadu doprowadziły do uwolnienia Olewskiego. Więc CIA mu teraz potrzebna jak gówno przy burcie. A może Langley chce wysadzić Filipa? Tego też bym nie wykluczał. Może wiedzą o szykującym się starciu z Boleckim i obstawiają premiera. – Wstał z fotela, podszedł do okna, włożył ręce do

kieszeni i odwrócony plecami rzucił: – Patrz, kurwa, Roman, jaki ten nasz Henio ważny!

Rozległ się cichy sygnał przychodzącego esemesa. Leski spojrzał na swój telefon. Odczytał wiadomość od Bronka: *Koperta dla Ciebie u mojej sekretarki*.

– Muszę pilnie zadzwonić – rzucił do Pańskiego, który nadal stał zapatrzony w okno, i wybrał numer do Eli.

– Pojedziesz do B. – polecił, kiedy się odezwała – odbierzesz od jego sekretarki kopertę i zrobisz to, co zaplanowaliśmy wczoraj. Daj mi info, co ustaliłaś, najszybciej jak to możliwe.

Pański wciąż obojętnym wzrokiem wpatrywał się w krajobraz, ale Roman doskonale wiedział, co się w nim dzieje. Adrenalina napędzała jego atomowe ego i właśnie przeprowadzał szybką analizę faktów i poszlak, którymi dysponował. Próbował w tym wszystkim znaleźć swoje miejsce i ocenić zagrożenie. Włączył się do gry na z góry ustalonych zasadach, a był zawodnikiem wagi ciężkiej, więc Romana zadowoliły wyniki pierwszego rozdania.

– To był dopiero początek – powiedział.

Pański odwrócił się w jego stronę i spojrzał, jakby czegoś nie zrozumiał.

– To były wstępne didaskalia, a teraz powinniśmy przejść do akcji. Mam kontynuować? – Leski w teatralnym geście spojrzał na zegarek. – O dwunastej zaczyna się narada, więc nie mamy zbyt dużo czasu. Lepiej usiądź, Zenek.

97

Monika złapała samolot do Warszawy przez Frankfurt o dziewiątej rano. Chciała zamówić taksówkę, ale recepcjonistka powiedziała, że kierowca pana Bregge czeka i odwiezie ją na lotnisko.

Kiedy zeszła do westybulu, Mały Kolored stał już przy drzwiach. Zaciągnął jej walizkę do samochodu i tak jak poprzednio bezceremonialnie wrzucił ją do bagażnika.

Na lotnisko dotarli tą samą drogą, którą przyjechali wczoraj. Tym razem Monika zobaczyła Kapsztad za dnia, chociaż padał deszcz. Nie mogła się jednak skoncentrować. Zalany wodą obraz za oknem samochodu przesuwał się niczym jakaś makieta bez barw, kształtów i treści. To było dla niej nowe, dziwne doznanie. Jakby ostygła w niej wrażliwość, a przecież wcale tak nie było.

Chciała jak najszybciej być już w Polsce. Świadomość, że jest na drugim końcu świata w chwili, kiedy jej przyjaciele walczą o życie Henryka, była tak dołująca, że nie pozwalała jej czekać.

Najgorsze było jednak milczenie Dimy. Nie odbierał, nie dzwonił, nie wiadomo było, co się z nim dzieje. Zatelefonowała w nocy do Eli, ale okazało się, że Warszawa też nie ma z nim kontaktu.

W nocy obudziła się spocona i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Śniły jej się koszmary, jakiś pogrzeb, robaki, wypadające zęby. Jak na złość akurat tej nocy wszystko co najgorsze przyśniło jej się jednocześnie.

I chociaż natychmiast wyparła ten obraz z pamięci, miała wrażenie, że nie przeżyłaby, gdyby coś się stało Dimie.

Usiadła na łóżku, wzięła laptop i zarezerwowała najwcześniejszy lot, jaki mogła znaleźć, a dopiero potem poszła do łazienki. Zapomniała, że planowała ją sfotografować.

Teraz siedziała na lotnisku i piła kawę. Była bez śniadania, ale nie czuła głodu. Spojrzała na zegar – minęła ósma – i pomyślała, że nie była w Kapsztadzie nawet dwanaście godzin. Przyleciała w doskonałym nastroju, pełna nadziei i zapału do pracy. Zrealizowała wszystko, co sobie zaplanowała, a teraz siedzi gdzieś na końcu świata nad kubkiem kawy, pogrążona w depresyjnym nastroju. Czy kiedyś będzie mogła powiedzieć, że była w Południowej Afryce, skoro nie ma żadnych wspomnień?

Zawsze bardzo lubiła latać, ale tym razem na samą myśl, że przez trzynaście godzin będzie siedzieć w zamknięciu, bez kontaktu ze światem, dostawała mdłości. Nawet odeszła jej ochota na rysowanie podczas lotu.

Wyjęła telefon i napisała esemesa do Roberta: *Wracam dzisiaj w nocy. Przyjedź do mnie. Zadzwonię, jak wyląduję. Kocham Cię*. Chciała jeszcze zadzwonić do Eli i zapytać o Dimę, ale telefon zgasł. Dopiero teraz sobie przypomniała, że nie zabrała ładowarki, i aż coś nią wstrząsnęło. Miała ochotę rzucić telefonem o podłogę, ale odezwał się głos wzywający podróżnych do rękawa.

W tym samym czasie Dima jechał już taksówką do swojego mieszkania na Kazimierzowskiej. Był głodny, czuł w ustach gorzki smak przetrawionego alkoholu i naszła go chęć zapalenia papierosa. Nie mógł zebrać myśli i nawet się specjalnie nie starał. Cokolwiek teraz postanowi, i tak nie będzie tego pamiętał, kiedy się obudzi za parę godzin.

Nigdy jednak nie zapomni wyrazu twarzy Dunina trafionego w pierś, widoku jego wiotczejącego ciała, które osuwa się na ziemię. Po raz

pierwszy widział z bliska śmierć człowieka. Przed chwilą z nim rozmawiał, kłócił się, razem pili, jedli, a po chwili tamten leżał na podłodze w kałuży krwi, z szeroko otwartymi jasnymi oczami, które nic już nie widziały.

Mimo wszystko Dima nie czuł się winny tej śmierci. Przyjechał do Moskwy, żeby ratować uwięzionych gdzieś w górach Afganistanu ludzi, których nawet nigdy nie widział, a musiał patrzeć na śmierć innego człowieka. Ale to nie był prosty rachunek i Dima wiedział, że kiedyś będzie musiał to sobie wytłumaczyć. Jak wytrzeźwieje.

Uważał się natomiast za winnego katastrofy, jaką ściągnął na Wierę, i z każdym łykiem metaxy czuł, jak coraz bardziej zaciska mu się gardło. Pomyślał nawet, że za nią tęskni. Chciał ją objąć i jeszcze raz wszystko wytłumaczyć. Poprosić o przebaczenie.

Kiedy wysiadał z taksówki, był już znowu pijany. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie ma polskich pieniędzy, a greckich kart nie może tu używać. Kierowca jednak zadowolił się dziesięcioma euro i pustą butelką po rosyjskiej coli na tylnym siedzeniu.

Dima wszedł na czwarte piętro po schodach, chociaż w domu była winda. Dopiero na drugim zdał sobie z tego sprawę, ale uznał, że już nie będzie wracał na parter. Wydawało mu się, że nogi ma odlane z ołowiu, a w torbie na plecach dźwiga kamienie. Dotarł w końcu do drzwi, postawił torbę na ziemi i po dłuższych poszukiwaniach odnalazł w niej klucze.

Najpierw wybrał podwójny od zasuwy i przyłożył go do zamka, ale klucz nie zmieścił się w otworze. Obrócił go i spróbował jeszcze raz. Klucz jednak nie pasował.

– Ja pierdolę… kurwa mać… *re gamoto!* – zaklął na głos w mieszanym polsko-greckim języku i opierając się o drzwi, osunął na wycieraczkę. – To są klucze z Pindarou! A polskie zostały w Atenach. Można ochujeć od tej konspiracji. Wszystko jest tajne, nawet klucze i zamki. Bo cię mogą

zdekonspirować, wiesz, w każdym kraju zamki są inne. – Próbował naśladować głos Romana. – No i co teraz, szefie? – Z niedowierzaniem pokręcił głową.

Siedział na wycieraczce pod swoimi drzwiami i próbował znaleźć jakieś wyjście z małej katastrofy, w której niespodziewanie ugrzązł. I kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma też telefonu i nie może zadzwonić po pomoc, zaczął się cicho śmiać, a po chwili wybuchnął na cały głos, aż po klatce schodowej poniosło się echo.

Zapasowe klucze są u Moniki i jak ją znam, to na pewno nie przekazała ich Eli przed wyjazdem. Ja pierdolę!

– To jakiś kabaret, a nie poważne szpiegostwo – wyszeptał.

– Co się dzieje, panie Olku? – usłyszał kobiecy głos z lewej strony. – Coś się stało? Pomóc panu?

Dima potrzebował chwili, żeby się zorientować, kto do niego mówi i kim jest Olek. W otwartych drzwiach obok stała sąsiadka, właścicielka starego cocker spaniela, z którą czasami flirtował w windzie. I dopiero teraz sobie przypomniał, że nazywa się też Aleksander Głowacki, a przynajmniej pod takim nazwiskiem znają go współlokatorzy.

– Tak… – Z trudem zaczął się podnosić. – Gdyby była pani taka miła… i pożyczyła mi telefon. No kur… zapomniałem kluczy zabrać.

98

Od piętnastu minut Leski siedział z zamkniętymi oczami i czekał. Korycki przyspieszył spotkanie, wyznaczając je na jedenastą, ale Roman się tego spodziewał i był już przygotowany. Zrobił notatki, żeby niczego nie zapomnieć, a szczególnie – w jakiej kolejności ma przedstawić dowody i kiedy zaatakować. Nie mógł spłoszyć zdrajcy ani dać mu czasu na obmyślenie obrony. Jeżeli chciał go pokonać, musiał przejąć pełną kontrolę i doprowadzić do tego, by sam się zdekonspirował.

Otworzył oczy i podszedł do *Ambasadorów*. Najpierw spojrzał w twarz Jeanowi, potem przeniósł wzrok na Georges'a. Tym razem nie miał do nich żadnych pytań, a oni nie mieli dla niego żadnych rad. Potrzebował jedynie znaleźć natchnienie, by się skoncentrować i zrobić sobie test na alzheimera. Pozytywny wynik zawsze poprawiał mu samopoczucie. Dodawał wiary we własne siły i słuszność wyboru.

Przesunął okulary na czoło, zasłonił oczy lewą dłonią, a prawą wysunął przed siebie i zaczął wymieniać z pamięci nazwy wszystkich przedmiotów leżących na regale między Jeanem i Georges'em. Liczył na palcach, zaczynając od lewej strony na górnej półce, potem na dolnej, od prawej do lewej. Było ich dwanaście i nie zapomniał o żadnym.

Odsłonił oczy i mrugnął do ambasadorów, a oni odpowiedzieli mu uśmiechem. Wymienił jeszcze szybko planety Układu Słonecznego, licząc od Plutona, którego wygnania nie uznawał, potem okresy rozwoju Ziemi,

zaczynając od prekambru, i uznał, że jest dobrze przygotowany do spotkania. Nie pomylił się ani razu, wszystkie nieużywane na co dzień nazwy wypowiedział bezbłędnie. Był jak trzeci ambasador i czuł się, jakby miał teraz dwadzieścia siedem lat.

Wrócił do biurka. Wziął metalowy kubek pełen fusów herbaty ulung i wyniósł go do łazienki. Następnie postał jeszcze chwilę na środku pokoju, zmierzył sobie tętno, obserwując sekundnik na ściennym zegarze, i uznał, że może już iść.

Wziął swoją teczkę, a pod pachę wcisnął akta sprawy „Mocarz”.

Za dziesięć minut miała się rozpocząć narada w gabinecie Koryckiego, ale Roman potrzebował tylko pięciu, by tam dotrzeć. Chciał być pierwszy. Stanął w drzwiach, spojrzał jeszcze na swój gabinet i pomyślał, że za godzinę to miejsce nie będzie już takie jak teraz. Coś się zmieni w Agencji na zawsze.

Tak jak planował, przyszedł pięć minut przed czasem.

Był pierwszy. Korycki siedział za swoim rozłożystym biurkiem i czytał depesze. Nawet nie podniósł głowy, kiedy Roman wszedł i usiadł na krześle, które zwykle zajmował Walewski. Z teczki wyjął blok z żółtymi kartkami, a przed sobą położył teczkę sprawy „Mocarz” i przykrył ją pękatymi dłońmi, jakby się bał, że ktoś mu ją zabierze.

Drugi zjawił się Hurman. W marynarce, bez krawata, nieuczesany i blady, ale uśmiechnięty od ucha do ucha. Nie przywitał się, tylko od razu usiadł na swoim miejscu. Wlał sobie pełną szklankę wody i wypił łapczywie, aż kącikiem ust pociekła mu strużka. Wypuścił powietrze i Roman poczuł niestrawioną whisky.

– Co się dzieje, Filipie? – zapytał Hurman. – Będziemy omawiać sprawę Kowalowa? – dorzucił, zerkając na akta, które przyniósł Roman.

– Nie – odparł krótko Korycki.

– Nie? – Hurman wydął usta. – Okej. – Dolał sobie wody.

Nie zdążył odstawić szklanki, kiedy do gabinetu wszedł Walewski, pod krawatem, ale bez marynarki. Miał ze sobą czarną teczkę szyfrową na dokumenty, którą bez słowa położył na biurku Koryckiego. Dopiero kiedy podszedł do stołu, zauważył, że jego miejsce zajął Leski, i stanął zdezorientowany. W końcu usiadł obok Hurmana.

Nalał sobie kawy z termosu i dostrzegł na stole teczkę, z którą kiedyś miał okazję się zapoznać. Wyciągnął w jej stronę rękę, jakby chciał, by Leski mu pokazał, że to rzeczywiście akta sprawy Mocarza.

– Nie widzieliśmy się jeszcze dzisiaj, pułkowniku, czyż nie? – rzucił uprzejmie, ale Roman wyczuł w jego głosie ironię.

– Czekamy na Pańskiego czy zaczynamy? – odezwał się Hurman. – Trochę mi się spieszy, za godzinę mam spotkanie na Rakowieckiej.

– To odwołasz – odpowiedział Korycki. – Czekamy na Zenka.

Było trzy po jedenastej, kiedy do gabinetu wszedł pułkownik Pański, a wraz z nim wpłynął zapach eleganckiej wody kolońskiej. W granatowym garniturze, bordowym krawacie z logo YSL i z czerwoną poszetką wyglądał, jakby szedł na kolację z okazji święta narodowego Francji.

Odsunął krzesło i usiadłszy na swoim miejscu, założył nogę na nogę. Nie wziął sobie ani wody, ani kawy. Zerknął w stronę Leskiego i zaczął strzepywać ze spodni niewidzialne pyłki.

Po kilku minutach Korycki skończył przeglądać depesze. Westchnął, jakby był czymś bardzo przejęty, i podniósł się ciężko z fotela.

– Przepraszam, że musieliście czekać, ale od samego rana mam urwanie głowy – oświadczył, przemierzając gabinet w stronę stołu.

Dopiero kiedy usiadł na swoim miejscu tyłem do okna, wszyscy mogli zauważyć, że rzeczywiście źle wygląda. Był w wygniecionej koszuli z rozluźnionym krawatem, blady, miał podkrążone oczy, a do tego rozpięte

rękawy, co szczególnie rzucało się w oczy, jako że Korycki nigdy nie rozpinał mankietów na spinki.

Byłaby to nic nieznacząca duperelka – pomyślał Roman – gdyby nie to, co ma nam za chwilę oznajmić. Jeżeli ja to widzę, to inni z pewnością też.

– Panowie – zaczął Korycki. – Major Henryk Olewski jest już wolny – Walewski i Hurman zamarli zaskoczeni – i od kilku godzin przebywa pod opieką armii pakistańskiej. Uwolniony został też obywatel Niemiec.

– Świetnie! – niemal wykrzyknął Hurman.

– Ale… kiedy nas poinformowali? – zapytał poruszony Walewski. – Nie widziałem żadnej depeszy.

– Dziwne – dorzucił Hurman.

Roman i Pański przyjęli tę informację bez żadnych emocji. Korycki spojrzał na nich, jakby się zastanawiał, skąd już o tym wiedzą.

– A wy… co wy na to? – zapytał z lekką niepewnością w głosie.

– Wspaniałe, doprawdy wspaniałe – beznamiętnie rzucił Pański, wciąż strzepując pyłek z kolan. – Koniec problemu. Premier się ucieszy, a Grobelny zmartwi, albo na odwrót. A kto będzie autorem tego sukcesu, Filipie?

– Co to za pytanie, Zenek? – odparł zaskoczony Korycki. – Coś sugerujesz?

– Nie… skąd. – Pański był ostentacyjnie obojętny. – A premier już wie? A Grobelny? Kiedy ogłosimy to mediom? Takie mam pytania. To są ważne pytania, prawda, Filipie?

– Dobrze. – Korycki uniósł lekko głos i wypinając pierś, oparł się o krzesło. – Chyba nie liczyliście na to, że w sprawie Olewskiego będę polegał tylko na was. Już dawno byłoby po nim, taka jest ta Agencja dzisiaj. I to twoje Biuro Operacji Specjalnych. Co wy, Jamesy Bondy, zrobiliście

w tej sprawie? Kurwa, nic! Co ty zrobiłeś? Nadymasz się jak paw, masz niby takie kontakty i podobno wielkie doświadczenie, a gówno robisz.

Hurman i Walewski patrzyli na Koryckiego, jakby zobaczyli ducha, i widać było, że ich reakcja jest naturalna. Poczuli uderzenie Koryckiego. Natomiast Pański siedział z obojętnym wyrazem twarzy i delikatnie bębnił palcami po stole. Roman mógł obserwować tę scenę niczym niewidzialny człowiek, bo nim nikt się nie interesował.

– Gówno wiecie i gówno możecie, z tą tajną Sekcją pana pułkownika Leskiego włącznie – ciągnął Korycki. Tak ostrego jeszcze go nie znali. – Sam mam lepsze możliwości niż cały ten wywiad. To dzięki moim współpracownikom jeszcze z Instytutu Azji i Pacyfiku, kontaktom w Pakistanie i w służbach partnerskich doprowadziłem do uwolnienia naszego oficera, który wykazał znacznie więcej hartu niż wy wszyscy razem. W Islamabadzie całą sprawę koordynował pod moim bezpośrednim nadzorem Wiktor Braun, a ambasador Kruczek postępował zgodnie z wytycznymi ministra Grobelnego. Tak to było! Gdybym was w to wprowadził, to jak dwa razy dwa wszystko byście spieprzyli. Za pół godziny… – spojrzał na zegarek – odbędzie się konferencja prasowa ministra Grobelnego. I chociaż nic w tej sprawie nie zrobiliście, to minister powie, że to wspólny sukces Agencji i MSZ. Dlatego teraz oczekuję od was pełnej lojalności bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie jestem chytry. Podzielę się sukcesem, ale musimy mówić jednym głosem. Agencji grozi rozwiązanie, bo premier patrzy na nas inaczej, więc sami rozumiecie…

– Oczywiście, Filipie. To poza dyskusją – pierwszy odezwał się Hurman, a Walewski z przekonaniem pokiwał głową.

– Ale czy premier już wie, że Olewski jest wolny? – dopytywał się Pański. – I dlaczego dowiadujemy się o tym ostatni? – Spojrzał na Romana, który siedział nieporuszony, z dłońmi na aktach i wzrokiem wbitym w stół.

– Grobelny miał go poinformować.

– A dlaczego Pakistańczycy milczą?

– Będzie dzisiaj konferencja prasowa prezydenta Sharifa, ale jeszcze nie wiemy, o której – odparł Korycki pewnym głosem. – Nie usłyszałem jednak, co wy, panowie… – spojrzał na Romana i Pańskiego – zamierzacie dalej. Planujecie podać się do dymisji? Drzwi otwarte. Proszę bardzo, może już czas.

Korycki kłamał jak z nut, brutalnie, ale naiwnie. Widać było od razu, że się pogubił, bo był zbyt inteligentny. Na pewno nie liczył na uwolnienie Olewskiego, ale powinien mieć plan zapasowy. Dlatego nie wiadomo było, ku czemu zmierza, czy motywuje go zwykła arogancja i parcie do władzy, czy też zrobił wcześniej coś, z czego próbuje się teraz wyplątać. Takiego zagrania Koryckiego Roman nie przewidział do końca. Mimo to jego koncepcja rozwijała się w dobrym kierunku. Pański szedł twardo do przodu i skutecznie prowokował Koryckiego.

– Czy to jest jakieś ultimatum? – zapytał po chwili. – Mam się na coś zdecydować? Tak?

– To jest dobra, patriotyczna oferta. Bez żadnej inwestycji i ryzyka dostajesz order. To proste – ciągnął nieco bardziej ugodowym tonem Korycki. – Ważne, żeby zagrać razem teraz.

– Szefie! – wtrącił się Walewski. – Na mnie szef może liczyć. Agencja najważniejsza… i dobro kraju.

– No właśnie – dodał Hurman. – Major Olewski jest już wolny, i to dzięki szefowi. Jak się dowie, na pewno będzie wdzięczny. Rzeczywiście daliśmy dupy, wszyscy, i trzeba to sobie otwarcie powiedzieć.

– Nie zamierzam w tym uczestniczyć, zwłaszcza że to kompletna bzdura. Nie wiem nawet, po co to robisz. – Pański po raz pierwszy spojrzał Koryckiemu w oczy i splótł dłonie na stole. – I nie chcę wiedzieć, bo to jest

zbyt głupie, wręcz prymitywne, poniżej mojej godności oficera wywiadu. Nie przypuszczałem, że zagrasz tak nisko. Wy… – zwrócił się do zastępców – musicie się pchać w dupę szefowi, bo to lubicie i nie macie wyboru, ale ja nie muszę.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Zenek – odezwał się Korycki. – Właśnie się zwolniłeś. Powiem grzecznie: spierdalaj stąd!

– Poczekam, aż napiszesz rozkaz. Na razie nadal jestem tutaj dyrektorem, więc posiedzę jeszcze i posłucham, o czym będziesz pierdolił, knując ten swój kabaretowy spisek. – Pański zrobił się czerwony, ale mówił jak zwykle bardzo spokojnie, z wyjątkową pewnością siebie i od razu było widać, że dobrze się przygotował po rozmowie z Romanem. – Cały czas wiedziałem, że kręcisz razem z Grobelnym, manipulujecie sprawą Henryka, by omotać Boleckiego. Okłamywałeś nas. Udawałeś, że idziesz na spotkanie z premierem, a jechałeś na Szucha. Masz do czynienia z oficerami wywiadu, ale sam jesteś żałosnym amatorem. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, jak ci zależy na władzy. Gówno zachłanności zalepiło ci oczy.

Korycki otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zamarł z głupim wyrazem twarzy, gdy Pański podniósł głos.

– Myślisz, że nie wiem, jakie polecenia wydałeś Braunowi po jego spotkaniu z Sinsterem? Ani co było treścią ich rozmowy? Za kogo ty się uważasz? Komu chcesz wciskać jakieś bzdury o swoich ludziach z Instytutu? Masz mnie za idiotę? Możesz być pewien, że premier jeszcze dzisiaj dostanie relację z tego spotkania i dowie się o Grobelnym i tobie w szczegółach… o tym waszym zasranym spisku. A wy, panowie… – zwrócił się do Hurmana i Walewskiego – macie ostatnią okazję na podjęcie właściwej życiowej decyzji.

Mowa Pańskiego, prosta i skuteczna, była wypowiedzeniem posłuszeństwa Koryckiemu, a właściwie puczem pałacowym, więc zaległa cisza, jakby za chwilę miały przemówić działa.

Roman pomyślał z satysfakcją, że osiągnął swój pierwszy cel. Pański zdemaskował hipokryzję Koryckiego, obnażył go przed zastępcami. Najważniejsze było jednak jego ostatnie zdanie. Przypieczętowało ono przewrót i zmuszało każdego z zastępców szefa do zajęcia stanowiska.

Obaj sprawiali wrażenie zupełnie zdezorientowanych, a nawet przerażonych. W gabinecie szefa zapadały ważne, nieraz dramatyczne decyzje dotyczące bezpieczeństwa państwa, życia ludzi, polityków, ale jeszcze nigdy nie doszło tu do takiego zamachu.

Hurman i Walewski wciąż trwali w milczeniu, nerwowo wymieniając się spojrzeniami z Koryckim. Próbowali zrozumieć, co się dzieje i co mają teraz zrobić, bo musieli dokonać wyboru. Roman na to właśnie czekał.

Nie uzgodnił tego wcześniej z Pańskim. Nie mógł posunąć się zbyt daleko w manipulacji pułkownikiem, bo ten szybko by się zorientował, że jest ustawiany. Sam był mistrzem geszefciarstwa i dezinformacji, więc cały plan Romana spaliłby na panewce. Ale jednocześnie był zbyt dumny i arogancki, dlatego Roman z góry zakładał, że nie powstrzyma się przed atakiem na Koryckiego i pójdzie na całość.

Pański zawsze uważał, że to on powinien być szefem wywiadu, chociaż nigdy tego głośno nie powiedział. Czuć to było jednak w każdym jego słowie i geście. Miał już swoje lata, jego kariera zbliżała się do końca i widać było jak na dłoni, że ma dość wiecznego zajmowania pozycji szarej eminencji. Roman wiedział o tym od dawna i zastanawiał się, czy Pański wytrzyma do emerytury i zapanuje nad swoimi żądzami.

– To twoja robota? – niespodziewanie odezwał się zdenerwowany Korycki, kierując pytanie do Leskiego. – Przecież ten nadęty arogant sam

tego nie wymyślił! Tak, to twoja robota… wiem. Ale dlaczego ty? Tak ci ufałem.

Od początku spotkania Roman siedział w tej samej pozycji, z dłońmi na aktach, i milczał. Tylko czasami zerkał na Hurmana i Walewskiego. Wiedział, że Korycki go zaatakuje, i nie mógł dać się sprowokować.

To on napuścił Pańskiego na szefa, ale na razie musiał zachować neutralność. Jego głos mógł przedwcześnie przeważyć szalę, a do tego nie wolno było dopuścić, dopóki Hurman i Walewski nie opowiedzą się po którejś ze stron. Dopiero wtedy przyjdzie czas na kolejny ruch.

– Uważam spotkanie za zakończone. – Korycki podniósł się gwałtownie, ale nikt nawet nie drgnął.

– Jestem z panem, szefie – odezwał się Hurman. – Dobrze wiem, jak było, i poświadczę to przed premierem. Może pan na mnie liczyć. – Spojrzał na Walewskiego.

– Na mnie też – dodał drugi zastępca zdecydowanym głosem. – Jestem z tobą, Filip.

Na to czekałem – pomyślał Roman bez entuzjazmu. Mam zdrajcę.

Poczuł, że krew mu uderza do głowy i serce zaczyna przyspieszać, ale nie mógł teraz sprawdzić pulsu. Kilka razy dyskretnie zaczerpnął powietrza, poprawił okulary, odsunął się od stołu i wstał. Odczekał chwilę, bo pociemniało mu w oczach. Wszyscy skierowali wzrok w jego stronę.

Roman nigdy nie uczestniczył w jałowych dyskusjach, zabierał głos tylko wtedy, gdy miał coś istotnego do powiedzenia.

Nadszedł moment, kiedy powinien się włączyć.

Pański siedział naprzeciwko Hurmana i Walewskiego, a Roman i Korycki stali po przeciwnych stronach stołu, jak zawodnicy szykujący się do walki.

Leski otworzył swój kołonotatnik i wyjął z niego gęsto zapisaną żółtą kartkę A4. Wyglądał, jakby zaraz miał wygłosić ważne przemówienie. I o to mu chodziło, bo zyskiwał w ten sposób psychologiczną przewagę. Powtarzał sobie te scenę w pamięci od rana nie tylko dlatego, żeby się nie pomylić, ale też po to, by ich jak najskuteczniej sprowokować, obudzić emocje. Za chwilę mieli usłyszeć coś znacznie bardziej szokującego niż to, że Korycki jest zwykłym politycznym krętaczem z przerośniętym ego. Mieli się dowiedzieć, kto spośród nich jest zdrajcą i rosyjskim szpiegiem.

– Nie zamierzam się włączać do tej dyskusji – zaczął cicho, spokojnie, jakby chciał podkreślić swój brak zaangażowania. – Ani nikogo oceniać. Fakty mówią same za siebie. Ważne, że Henryk Olewski jest wolny… – Przerwał, pociągnął po nich wzrokiem, a potem lekko podniósł głos. – Ale żaden z was nie przyczynił się do jego uwolnienia. Wprost przeciwnie, jestem pewien, że ono was zaskoczyło i stało się problemem, bo wasze plany uwzględniały tylko jego śmierć.

– O czym ty mówisz? To absurd! – obruszył się Pański. – Oszalałeś? Henryk to mój oficer, przyjaciel…

– Tak? – zdziwił się Roman. – Zaraz zobaczymy.

– O co chodzi? – włączył się Korycki.

– Od dawna pod twoim nosem – Roman zwrócił się do szefa – działa rosyjski szpieg, tu, w Agencji…

– Co ty pierdolisz, Leski? – zareagował natychmiast mocno poruszony Hurman. – Jaki szpieg? Skąd to wiesz? Zdajesz sobie sprawę, pułkowniku, co mówisz?

– Tak podejrzewałem. Tak myślałem, że… – wyszeptał Korycki wystarczająco głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć. – To by wiele wyjaśniało. – Pokiwał głową. – Nooo… słuchamy cię, Roman, słuchamy uważnie.

– Niby kto jest tym… – Pański nie dokończył pytania.

– …szpiegiem? – dopowiedział za niego Roman. – To jeden z was. I siedzi przy tym stole.

– A może jeden z nas i to ty nim jesteś? – dorzucił z uśmieszkiem Walewski i rozejrzał się po pokoju.

– Dowody! – odezwał się znów Pański, wciąż opanowany, jakby jeszcze bardziej się dystansował. – Masz jakieś dowody, to na stół. Kto?

– Zdajesz sobie sprawę, że to bardzo poważne oskarżenie i jeżeli nie udowodnisz tego tu i teraz, natychmiast, to będzie twój koniec? – Korycki nagle się uspokoił i usiadł. Wyglądał, jakby oskarżenie Romana było mu na rękę. – Będę musiał zadzwonić do ABW, prokuratora, może nawet do premiera. Więc… obyś miał rację. – Zmrużył powieki, ale się nie uśmiechnął, choć wydawało się, że ma na to wielką ochotę. – Bo jeśli masz rację, to właśnie jesteśmy świadkami ostatnich chwil tej Agencji, a jeśli nie, to twoich. Więc dobrze się zastanów, co powiesz.

– Zastanowiłem się dobrze – odparł Roman. – Sprawa generała Kowalowa od początku była dobrze zaplanowaną przez GRU ustawką operacyjną, obliczoną na wciągnięcie nas w ich sidła.

Pański spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Krótko mówiąc – kontynuował Leski – Kowalow został nam podstawiony, a my go łyknęliśmy. Agencja była tylko etapem pośrednim w drodze do CIA, bo w ten sposób Rosjanie mogli ukryć niedoskonałości tej ustawki. Uważali, że nam łatwiej wcisnąć blef i zamazać błędy.

– Skąd ty to wiesz? – wtrącił się Hurman. – Nie słyszałem, byśmy mieli jakiegoś agenta w GRU, chyba że dzwonili do ciebie z Moskwy. – Uśmiechnął się z politowaniem do Walewskiego.

– Informacja jest sprawdzona – odpowiedział Roman. – Mam wiarygodnego świadka, który będzie zeznawał przed prokuratorem.

– Kto to? – zapytał Pański. – Rosjanin, Polak?

– Czyli kto jest tym rosyjskim szpiegiem w Agencji? Może ja? – włączył się Korycki. – Zmierzaj do celu, pułkowniku Leski. Kto?

– Rosyjski agent pojawił się w AW wraz ze zmianą kierownictwa po ostatnich wyborach…

– To od razu wzywaj ABW! – Walewski uniósł głos. – Bo wychodzi, że to ja albo Hurman. Nie?! Oszalałeś, Leski!

– Nie wiem, czy dał się zwerbować, czy poszedł do Rosjan sam, z własnej woli, z ofertą współpracy, ale to teraz bez znaczenia. Jednak sprawa „Mocarz” zaczęła się rok wcześniej, za poprzedniej ekipy, i wtedy nie było jeszcze agenta GRU w Agencji Wywiadu. Rosjanie popełnili jednak błąd. Adam Fint był współpracownikiem GRU i to on wciągnął Olewskiego do gry z Kowalowem. W notatce Brauna, sporządzonej na potrzeby sprawy „Rzeźbiarz”, zapisane jest, że Fint poznał Olgę Wiazinę, siostrzenicę Kowalowa, w pubie Night Flight. A w swoim raporcie w sprawie „Mocarz” Pański, powołując się na wspomnianą notatkę Brauna, stwierdza, że rzecz miała miejsce w pubie Grażdanka. To gdzie odbyło się to spotkanie zapoznawcze Finta i Wiaziny?

– Zwykła pomyłka – odezwał się Walewski. – Zdarza się. Co w tym dziwnego? To zbyt naiwne i słabe, by wyciągać tak radykalne wnioski co do Finta.

– Rzecz w tym, że informacja o pubie Night Flight została podana przez Finta z wcześniejszą datą niż informacja o Grażdance…

– No więc? – odezwał się w końcu Pański. – Fintowi się po prostu pomyliło.

– Nic mu się nie pomyliło. Tak podał dwa dni po spotkaniu z Wiaziną, bo tak było uzgodnione z Rosjanami. Ale zrobili błąd. Pub Night Flight był tego wieczoru nieczynny z uwagi na zabójstwo, do którego tam doszło

poprzedniego dnia. Jest o tym w sieci. Łatwo było to ustalić. Trzeba więc było zmienić miejsce na Grażdankę, ale w notatce Finta był już Night Flight na Twerskiej. Natomiast w notatce Brauna w teczce Mocarza tej nazwy nie ma.

– Bardzo to pokręciłeś, Roman – włączył się znów Pański. – Jak ścisnąć twój wywód, to on nic nie znaczy. Znam się na tym.

– Może i nic by nie znaczył, gdyby nie okoliczności śmierci Finta w RPA.

– Nie żyje? – zapytał zaskoczony Hurman.

– Według posiadanych przeze mnie informacji został zamordowany przez GRU.

– Niemożliwe! – obruszył się Korycki. – Skąd wiesz?

– Od policji w Kapsztadzie i naszego informatora. Fint został zlikwidowany jako ważne, ale najsłabsze, więc i niepewne ogniwo w sprawie. Przed śmiercią go torturowano, by zweryfikować, czy był dotąd lojalny i szczery. Łatwo dał się zwerbować, dlatego też łatwo mógł zdradzić, stara zasada, a tortury to najlepszy wykrywacz kłamstw. Oni tak robią, prawda, Zenek?

– Prawda – odpowiedział obojętnie Pański. – To kto jest tym zdrajcą i rosyjskim szpiegiem w Agencji? Dowiemy się w końcu? Bo sądząc po tym, co nam tutaj opowiadasz, chyba nie mamy się czego bać. Prawda, panowie? – Uśmiechnął się bez wyrazu, ale wszyscy pozostali mieli niewesołe miny.

99

Monika nie wiedziała, że w chwili gdy z wysokości jedenastu tysięcy metrów spoglądała na Afrykę, Roman w gabinecie Koryckiego otwierał ostatni rozdział swojego oskarżycielskiego wystąpienia. Nie wiedziała, że Henryk, o którego życie tak walczyła przez ostatnie dni, jest już wolny. Nie wiedziała jeszcze, że właśnie się skończyła najważniejsza historia jej życia.

Cały czas myślała o Dimie, jakby jego zniknięcie w Moskwie było dla niej teraz największym problemem.

– Przecież to tylko kolega… – powiedziała w końcu do siebie, karcąc się za mazgajstwo, i zaraz dodała: – A właściwie… przyjaciel… najlepszy przyjaciel… I co z tego, że przyjaciel? Da sobie radę.

Uśmiechnęła się do swojego cienia w samolotowym okienku.

Może niepotrzebnie wysłałam tego esemesa do Roberta – pomyślała. Chociaż… to dobry chłopak… i chyba źle go traktuję. Nie zasługuje na to. Ale Skoniecznemu nie daruję! Jak on może się tak do mnie odnosić?! Album wydam, bez niego! Mizogin jeden!

W tym czasie Dima dotarł już na Kabaty. Było tak, jak przypuszczał: Monika nie zostawiła jego kluczy przed wyjazdem do RPA, więc Witek musiał po niego przyjechać. Zanim przybyli na miejsce, wiedział już wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni i jaki plan Roman miał zamiar zrealizować. Mimo barwnej opowieści Witka o strzelaninie na ulicy Gimnastycznej i odnalezieniu rannego Wiatrówki Dima czuł dziwną

obojętność wobec tych dramatycznych wydarzeń. Nie dlatego, że w końcu żadnemu z jego kolegów nic się nie stało, ani z powodu otępienia wywołanego solidnym nadużyciem metaxy, tylko dlatego, że nie mógł nic powiedzieć o wydarzeniach w Moskwie. Bardzo potrzebował z kimś o tym porozmawiać, żeby ktoś wziął na siebie choć odrobinkę odpowiedzialności, a najlepiej powiedział mu: „Dima, inaczej się nie dało”.

Czuł się, jakby ciężki głaz obciążał mu sumienie i sam w żaden sposób nie był w stanie go ruszyć. Cały czas, kiedy przysypiał na lotniskowych krzesełkach, miał przed oczami przesłuchiwaną przez GRU Wierę, która robi wszystko, by ukryć jego udział w zabójstwie Dunina. Nie potrafił sobie z tym poradzić, bo był niemal pewny, że Wiera działała w miłosnym afekcie, a on przecież jej nie kochał. To dlatego miał wrażenie, że ten głaz obciąża go podwójnie.

Mógł o tym porozmawiać tylko z kobietą – Moniką albo Tamarą – ale był niemal pewny, że go nie zrozumieją. Pierwsza z powodów emocjonalnych, a druga zawodowych. Bał się, że straci w ich oczach jako oficer wywiadu i mężczyzna, ale wiedział też, że jako przyjaciel i brat nie powinien tego ukrywać.

Na komodzie w rogu pokoju stała butelka czerwonego wina zatkana korkiem. Podniósł się z kanapy i poszedł do kuchni, gdzie Ela przygotowywała mu kanapki. Bez słowa wziął szklankę i wrócił do salonu. Podszedł do komody, nad którą wisiało lustro w kształcie słońca. Najpierw spojrzał na swoje odbicie. Miał pokrążone, czerwone oczy, zapadnięte policzki i ciemny zarost poprzetykany z rzadka srebrnymi nitkami. Potem resztką wina napełnił niemal całą szklankę, uniósł ją i stuknąwszy się z jej odbiciem w lustrze, wypił do dna.

– Z żadną kobietą! – powiedział na głos. – Jak jest rana, to trzeba ją przypalić. Tak robią mężczyźni, zamiast lamentować jak kobiety. – Stuknął

w lustro jeszcze raz, ale szklanka była już pusta. Odstawił ją na komodę i trochę niewyraźnie dodał: – Trzeba po prostu porozmawiać z Romanem i wszystko mu opowiedzieć. To oczywiste!

W lustrze dostrzegł za sobą kanapę i pomyślał, że skoro rozwiązał już swój problem i w końcu mu ulżyło, powinien się trochę przespać. Obraz zaczynał się coraz bardziej kołysać, więc ostrożnie przytrzymując się fotela, Dima podszedł do kanapy. Nim zapadł w głuchą ciemność, obiecał sobie, że gdy tylko się obudzi, zadzwoni do ośrodka Dobre Wspomnienia.

100

Roman stał, opierając się brzuchem o blat stołu, i próbował zapanować nad drżeniem kolan. Nie był pewien, czy to ze zdenerwowania, czy ze zmęczenia. Czuł, jak kropelki potu spływają mu po karku i wsiąkają w kołnierzyk, a w uszach brzmi jakieś divertimento Haydna czy Mozarta. Napięcie ostatnich godzin dawało o sobie znać jak jeszcze nigdy dotąd.

Poluzował krawat i docisnął okulary, które zsuwały mu się po spoconym nosie. Mimo to postanowił wytrwać na stojąco do końca, bo chciał sobie udowodnić, że jest silny i zdecydowany. Gdyby teraz usiadł, to byłoby tak, jakby się poddał.

Bał się, że jego mowa zacznie tracić tempo i zwiędnie siła argumentów. Ale najbardziej go zabolało, że Pański próbował wyśmiać jego wywody, i chociaż mógł się tego po nim spodziewać, to nie przypuszczał, że aż tak wytrąci go to z równowagi. Musiał się natychmiast zmobilizować i skrócić dystans, zaatakować zdecydowanie, bo za chwilę może stracić pewność siebie, a wtedy nikt już mu nie uwierzy.

– To ty, Pański! – wyrzucił z siebie i poczuł, jak mu ulżyło. Jakby nagle ozdrowiał po ciężkiej chorobie. – Ty jesteś zdrajcą, ale wcale nie jesteś Wielkim Zdrajcą, tylko zwykłym tchórzem…

– Heee, heee! – zaryczał na całe gardło Pański. – I co jeszcze? Nie przypuszczałem, że jesteś takim beznadziejnym kmiotem. Sekcja specjalna! Ja pierdolę! A co ty możesz wiedzieć o werbowaniu agentury? Nawet za

granicą nie byłeś. Znasz jakiś język? To, że byłeś w podziemiu, nie znaczy, że wiesz więcej. – Podniósł się gwałtownie i skierował do wyjścia. – Co ja tu robię?! Teatr jakiś…

– To jeszcze nie koniec! – rzucił za nim Roman. – Nie chcesz posłuchać najlepszego? Zresztą nikt stąd nie wyjdzie bez zgody szefa, a w sekretariacie czeka ochrona. – Zwrócił się do Koryckiego, który w osłupieniu przyglądał się tej scenie: – Prawda?

– Siadaj, Zenek! – odezwał się ostro szef, jakby chciał wziąć na nim odwet.

Pański stanął w miejscu i przez chwilę się zastanawiał, czy powinien wrócić na miejsce.

– Siadaj! – powtórzył Korycki trochę łagodniej.

Pański z ociąganiem go posłuchał.

– No? – rzucił przez zaciśnięte zęby, kiedy tylko usiadł. – Dawaj to najlepsze!

– Zgubiła cię arogancja, jak prawie wszystkich zdrajców…

– A co ty możesz wiedzieć o arogancji? – przerwał mu agresywnie Pański. – Zwerbowałeś jakiegoś agenta? Żadnego!

– To jest właśnie arogancja – odpowiedział natychmiast Roman – i na pewno się przydaje do werbowania agentów. Ale nie zamaskuje zdrajcy. Do tego potrzebna jest zwyczajna logika i inteligencja. – Spojrzał na Hurmana i Walewskiego, którzy wpatrywali się w niego z dziecinnym skupieniem. – I tego ci zabrakło! Bo w człowieku arogancja zawsze pokona logikę i inteligencję. Nie wiedziałeś?

– Do rzeczy! – ponaglił go poirytowany Pański.

– W takim razie… w takim razie po kolei. – Leski odłożył żółtą kartkę do skoroszytu i wyjął nową, którą zgiął na pół. – Od początku wiedziałeś, że Fint pracuje dla Rosjan, a Kowalow jest podstawiony. Nie oponowałeś

wtedy, żeby realizować sprawę pod flagą CIA, chociaż rozumiałeś, że to z naszej perspektywy wyjątkowo głupie. Natomiast nie wątpiłeś, że Rosjanie się ucieszą, bo to uwiarygodniało ten kontakt. Było to korzystne dla nich i dla ciebie, bo tobie zależało, żeby sprawa Kowalowa miała priorytet w Agencji, jako że gwarantowała wzrost twoich notowań. Wtedy wszyscy już byli pewni, że stara władza się nie utrzyma, a nowa do żywego wymieni kierownictwo Agencji Wywiadu. Liczyłeś na stanowisko szefa i dlatego pieściłeś Wiktora Brauna. Wysłałeś go nawet do Moskwy i włączyłeś do sprawy Kowalowa, żeby wszystko widział jego ojciec, ustawiony blisko Boleckiego. Co więcej, jestem niemal pewny, że rozmawiałeś o tym ze starym Braunem, a on coś ci obiecał po wyborach. To jest jeszcze do sprawdzenia.

Roman mówił dotąd z pamięci, dopiero teraz zerknął do kartki i mimo że trwało to kilkanaście sekund, w gabinecie panowała cisza. Zrobił to celowo i było już widać, że kupił sobie publiczność. Przestały mu drżeć kolana i mógł teraz spokojnie realizować swój plan.

– I to nie będzie trudne, prawda? – zapytał, ale nikt nawet nie zareagował. – Katastrofa zaczęła się po wyborach, kiedy szefem został Filip Korycki, którego znałeś z poprzedniej kadencji i uważałeś za karierowicza i miernotę, jak to przed chwilą wyraźnie powiedziałeś. Z łatwością dałeś sobie połechtać ego i zżarła cię arogancja, przed którą tak się bronisz. Pamiętasz naszą rozmowę dzisiaj rano? Wystarczyło podrzucić ci kilka duperelnych faktów, byś zaatakował Koryckiego jak wściekły. Gdybyś stanął po jego stronie, przegrałbym i musiał się poddać, bo nie miałbym głównego motywu i cała moja koncepcja by legła. Po prostu nie byłoby teraz tej rozmowy. Byłeś wściekły, gdy Bolecki mianował Koryckiego, ale czara goryczy się przelała, kiedy on mianował na swoich zastępców Walewskiego i Hurmana. Dwie miernoty zostały twoimi szefami, a tego

było już za wiele dla kogoś takiego jak pułkownik Pański. Poszedłeś do Rosjan i złożyłeś im prostą ofertę. Powiedziałeś, że odkryłeś ich ustawkę i gotowy jesteś nie tylko przymknąć oczy, ale nawet ją zaakceptować i twórczo rozwinąć w zamian za pomoc w usunięciu Koryckiego. Tak było?

Roman zerknął w stronę, gdzie siedzieli obaj zastępcy, ale na ich twarzach trwał wciąż ten sam infantylny grymas, i pomyślał, że Pański celnie ich określił. Przeniósł wzrok na Pańskiego, który siedział jak głaz, z zimnym spojrzeniem utkwionym w oknie. Roman wiedział, że przygotowuje właśnie obronę.

– Pomogłeś mi jeszcze raz, kiedy sprowokowałeś Walewskiego i Hurmana do zdeklarowania się, po czyjej są stronie. Znów ukąsiła cię arogancja, pułkowniku. Bardzo tego potrzebowałem. Otwarte poparcie dla Filipa od razu wykluczyło ich z kręgu podejrzanych, chociaż na początku i do nich miałem zastrzeżenia. Żaden rosyjski szpieg nie wsiadłby na statek, który tonie. To absurd, prawda?

– Bajki o wydmuszkach! – rzucił krótko Pański i dodał: – Naciągane poszlaki. Dowody, Leski! Dowody, a nie sranie w banię!

– Na razie tylko motyw, początek, ważny początek. O faktach za chwilę, panie pułkowniku.

– A może ten szpieg nie jest między nami, tylko gdzie indziej? Wiesz, co mam na myśli – włączył się Korycki trochę bez sensu.

– Nie, to Pański, i nie mam co do tego wątpliwości. To on jest winny śmierci przynajmniej dwóch osób i… – Roman zamilkł na chwilę – usiłowania zabójstwa oficerów polskiego wywiadu. Zaraz to udowodnię – dodał łamiącym się głosem.

– Śmierci? – wyrzucili z siebie niemal jednocześnie Hurman i Walewski.

– Na litość boską, Roman, o czym ty mówisz?! – Korycki poderwał się z krzesła.

– Wszystko zaczęło się walić, kiedy został uprowadzony Henryk. Pański od razu zrozumiał, że ktoś może się zainteresować sprawą generała Kowalowa i odkryć, że jest sfastrygowana tu i tam. Słusznie podejrzewał, że to ja się tym zajmę. Przeraził się i zaczął działać chaotycznie. A chaos i arogancja to prosta droga do katastrofy. Do Polski przyjechało czteroosobowe komando, które miało zlikwidować Sekcję. Zrobili najazd z bronią na mój lokal i usiłowali zabić oficera…

– Nie wierzę! – odezwał się Hurman.

– Nieprawdopodobne – dodał Korycki. – I co?

– Nie udało im się, bo ich wcześniej wykryliśmy. Pomagał im agent policjant, którego się pozbyli, pozorując samobójstwo. Zajmuje się tym policja. To Pański zrobił przeciek do posła Kubiaka, by skierować moje podejrzenia na Hurmana i Walewskiego, bo liczył, że przyczyni się do szybszej śmierci Olewskiego z rąk talibów i zaszkodzi Filipowi. Ale najważniejsza była dla niego likwidacja mojej Sekcji. Słusznie założył, że będę chciał ustalić, kto jest autorem przecieku, i postanowił mi przypomnieć, kto pracował w fundacji, którą finansował Kubiak. Komando śledziło redaktora i wyszło na mojego oficera, który tylko przypadkiem uniknął śmierci. Myślę, że pan poseł nie będzie miał wyjścia i potwierdzi teraz moje podejrzenia, kto był źródłem przecieku.

– Dlaczego o tym nie informowałeś? Roman! Tyle razy cię prosiłem! – Korycki z niedowierzaniem kręcił głową. – Jak mogłeś?!

– O tym też będzie… później – odparł Roman. – Czy moja wersja zgadza się z rzeczywistością? Wszystko do siebie pasuje? – Skierował to pytanie do Pańskiego, który wciąż siedział nieruchomo jak głaz, blady, z rękami założonymi na piersi, i wydawało się nawet, że nie oddycha. – Po tej próbie trzej członkowie komanda odlecieli na bułgarskich paszportach do Turcji. W Polsce został jeden, dowódca. Wczoraj wieczorem niemal pod

gmachem Agencji… tam!… – wyciągnął rękę, wskazując kierunek, i wszyscy podążyli za nią wzrokiem – podjął ostatnią próbę wyeliminowania mnie z gry. Jak widać, nieudaną, ale gdyby się udała, tej rozmowy nigdy by nie było. Byłby pan bezpieczny, panie Pański, i z dużą szansą na objęcie stanowiska szefa po wysadzeniu Filipa. Prawda, panie pułkowniku? O to chodziło?

Pański ani drgnął.

– Tak daleko się posunąłeś? Rozumiem, nie miałeś już innego wyjścia. To oczywiste. Ale nasza poranna rozmowa tylko cię uspokoiła, bo pomyślałeś, że podejrzewam któregoś z nich. Zasugerowałem ci to, a ty natychmiast to kupiłeś. I rzeczywiście, jeszcze wczoraj wieczorem nie mogłem tego wykluczyć. – Roman przerwał i odwrócił się do Walewskiego. – Wejdź z łaski swojej pod stół, Michale.

– Pod stół? Dobrze zrozumiałem? – zapytał zdziwiony Walewski. – Ten tutaj? – Położył dłoń na blacie. – To żart?

– Nie, to nie jest żart – odparł Roman, spojrzał na Koryckiego i od razu wiedział, że się nie pomylił. Nawet Pański drgnął i zaczął się dyskretnie rozglądać. – Wejdź tam.

Walewski zsunął się z krzesła i zniknął pod stołem.

– Widzisz zwisający przewód i przedmiot przyklejony taśmą?

– Tak.

– Oderwij to.

Po chwili Walewski wyłonił się jak spod ziemi i ostrożnie położył na stole mikrofon zaklejony na krzyż srebrną taśmą samoprzylepną. W pokoju zaległa cisza. Wszyscy podnieśli się z miejsc i z niedowierzaniem wpatrywali się w przedmiot.

– Co to jest? – pierwszy zapytał Korycki.

– Podsłuch – cicho odpowiedział Hurman.

– Kurwa… nie wierzę! – dodał Walewski.

– To twoja robota, Pański? – zapytał Korycki. – Ty zdrajco! – rzucił przez zęby.

Ale po minie Pańskiego od razu było widać, że to nie on. Wydawał się autentycznie zaskoczony.

– No to, panie Leski, ma pan w Agencji jeszcze jednego szpiega, prawdziwego. – Uśmiechnął się ironicznie. – To nie jest moje i zawaliła się właśnie cała pana teoria, była po prostu do dupy. Musi pan się jeszcze wysilić, popracować wydajniej i poszukać Wielkiego Zdrajcy gdzie indziej. I po co było zabierać nam czas? Ech… – Machnął ręką z nonszalancją, opadł na krzesło i założył nogę na nogę.

Z dłońmi splecionymi na karku wyglądał, jakby wszystko, co Roman powiedział, spłynęło po nim jak woda po gęsi. Próbował zagrać siebie i wszyscy to wiedzieli. Zaatakował jak zawsze arogancko, szybko i celnie, w sposób wyćwiczony przez lata, ale mimo wszystko po raz pierwszy czuć było w jego głosie niepewność. Nie tylko Roman to zauważył.

– Jak to możliwe? – ciągnął Korycki. – I ty o tym wiedziałeś? Cały czas wiedziałeś, że mam w gabinecie podsłuch? – Szef uniósł głos. – To skandal! – niemal krzyknął. – Trzeba natychmiast wezwać ABW, prokuratora… będziesz miał problem, Leski, że mnie nie powiadomiłeś… a właściwie… – Korycki się zawahał – właściwie skąd wiedziałeś, że jest u mnie podsłuch?

– Może to ty jesteś tym ruskim szpiegiem, a to wszystko, oskarżenie pod moim adresem i mikrofon, to tylko zręczna maskirowka, żeby się ukryć? – Pański uśmiechał się złośliwie. – Żaden sąd nie skaże za szpiegostwo, jeżeli nie złapie się szpiega na gorącym uczynku albo sam się nie przyzna. Powinieneś o tym wiedzieć. Poszlaki możesz sobie wsadzić w swoją tłustą dupę.

Leski wciąż stał naprzeciwko Koryckiego. Był spokojny i pewny siebie, czuł się dobrze. Wiedział, co chce teraz powiedzieć, i nabrał już powietrza, gdy w kieszeni zabrzęczał mu telefon. Przyszedł esemes od Bronka: *Bułgar mówi po rosyjsku*. Roman uśmiechnął się szeroko i zdjął okulary.

– Rzeczywiście, to nie jest podsłuch Pańskiego – przyznał. – Od razu widać, że założył go amator, który nie ma pojęcia o podsłuchach. A Pański ma pojęcie, a poza tym nie naprowadzałby w ten sposób na siebie…

– Jak to? – oburzył się Korycki. – To jednak mamy drugiego szpiega w Agencji?

– Nie mamy.

– Nie rozumiem.

– Doskonale rozumiesz, Filipie. – Leski zniżył głos i odłożył kartkę na stół. – Sam go przykleiłeś.

– Oszalałeś! – oburzył się Korycki. – Niby po co?

– Jasne, że to ty – włączył się Pański. – Zawsze uważałem, że nie nadajesz się na szefa wywiadu. Myliłem się, panie pułkowniku Leski? – Zaśmiał się na głos. – Kto tak montuje podsłuch, taśmą z Biedronki i pod stołem! Brak ci profesjonalizmu i…

– Zamknij się! – ryknął Korycki.

– Pan pułkownik Leski rozpierdolił właśnie Agencję Wywiadu – ciągnął Pański. – Można powiedzieć, że Polska się po prostu zesrała.

– O to ci przecież chodziło, Filipie, i wbrew temu, co mi mówiłeś, to ty chciałeś rozwiązać Agencję, a nie premier, jak mi cały czas wciskałeś. To miał być dowód, że wewnątrz siedzi kret i ty go bohatersko zdemaskowałeś, ale Agencję trzeba rozwalić. I premier by na to poszedł, szczególnie jeśli talibowie zabiliby Henryka. I co ważne, mógłbyś w końcu rozwiązać Sekcję i przejąć nasze materiały. Nigdy nie mogłeś ścierpieć, że tu jestem, prawda? A tak byłbyś w końcu prawdziwym szefem i przy

pomocy wiernych zastępców z Fundacji Atlantic, ministra Grobelnego i posła Kubiaka mógłbyś robić karierę polityczną. Nikt już by nie mógł cię skontrolować. Problem w tym, że ja nie mam takich możliwości, a zagrożenie ze strony Sekcji to tylko twoja chora wyobraźnia i arogancja, jak u Pańskiego. – Roman był cały czas poważny i starał się mówić spokojnie, chociaż miał ochotę przekląć i krzyknąć. – Masz problem z tym, że rosyjski szpieg naprawdę istnieje i teraz premier rzeczywiście zaorze Agencję, ale razem z tobą i Pańskim.

– Czy z panem pułkownikiem Pańskim, to się jeszcze okaże – rzucił arogancko Pański i pogardliwie wydął usta.

– Z tobą też – odpowiedział Roman. – W nocy policja znalazła w tym parku – wskazał ręką na okno – nieprzytomnego Bułgara z postrzałem. To szef komanda, które na nas nasłałeś, żeby uciszyć Sekcję, a wczoraj na mnie. Dostał kulę od mojego oficera. Właśnie obudził się w szpitalu na Wołoskiej i zaczął mówić… po rosyjsku. Ma dobrą ochronę. – Spojrzał na Pańskiego, który zgarbił się i zbladł. – To ty mnie wczoraj wystawiłeś. Mógł zginąć mój oficer. Odpowiesz i za to. Ale jest jeszcze jeden błąd, który cię pogrążył.

Roman usiadł i przysunął do siebie teczkę sprawy „Mocarz”. Otworzył ją na zakładce między notatką Brauna i raportem Pańskiego. Znów spojrzał na Pańskiego, który uważnie obserwował teraz każdy jego ruch i po kilku sekundach wyglądał, jakby zrozumiał, co odkrył Roman. Nagle to już nie był ten sam butny i pewny siebie pułkownik Zenon Pański, Michael Caine z Miłobędzkiej. Wyglądał jak usadzona na krześle wielka papierowa kukła. Spuścił podłużną, końską głowę, która prawie dotknęła piersi, i położył na stole blade dłonie, jakby je wystawiał pod katowski miecz.

– Sfałszowałeś notatkę Brauna, w której podawał inne miejsce spotkania niż w teczce sprawy „Rzeźbiarz”. Od początku wiedziałeś, że jest

sprzeczność, która dekonspiruje Finta, a więc i ciebie, ale w swojej arogancji nie zrobiłeś nic, licząc na to, że komuś takiemu jak ty wszystko musi się udać, że wszystko masz pod kontrolą. Kiedy uprowadzono Henryka, wpadłeś w panikę, bo wiedziałeś, że sprawa będzie teraz analizowana, i szybko sfałszowałeś notatkę Brauna. Musiałeś wyciąć jedną stronę. Liczyłeś, że nikt tego nie zauważy. I słusznie, nikt by nie zauważył, gdyby nie pedanteria majora Kwietnia. Przerobiłeś tylko ostatnią stronę, zamieniając ją na nową, i wyłącznie na niej są ślady DNA i odciski tylko jednej osoby, a na pozostałych wielu osób, które dokument wcześniej czytały. Cóż, panie pułkowniku, wystarczy teraz pobrać odciski pana palców, DNA i porównać. Materiał dowodowy został zabezpieczony przez zakład kryminalistyki.

W gabinecie zaległa absolutna cisza. Nikt nie patrzył na Pańskiego, jakby go tu w ogóle nie było. Wydawało im się, że siedzą przy stole z martwym człowiekiem, wstydząc się podnieść wzrok i spojrzeć na majestat żałosnej śmierci, której są świadkami i współsprawcami. Tylko Roman patrzył na Pańskiego, bo taki miał teraz obowiązek. Był oskarżycielem i wiedział, że musi wypełnić swoje zadanie do końca.

Pański z wolna podniósł się z krzesła i Roman miał wrażenie, jakby był niższy o głowę. Głęboko westchnął, obrócił się bez słowa i powoli ruszył w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz? – zapytał Korycki.

– Muszę się spakować – odparł Pański po chwili zastanowienia bezbarwnym głosem i zniknął za drzwiami.

W sekretariacie czekało już na niego dwóch oficerów ochrony pod dowództwem Staszka. Oddał im klucze od gabinetu, legitymację służbową i karty identyfikacyjne.

Zjechali na czwarte piętro. Przeszli korytarzem przez jego biuro, odprowadzani zaskoczonymi spojrzeniami oficerów. Sekretarka natychmiast się zorientowała, w czym rzecz. Uniosła się, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale na widok ponurej, bladej twarzy Pańskiego zamarła nieruchomo.

– Proszę otworzyć szafę, panie pułkowniku – polecił Staszek, kiedy weszli do gabinetu.

Pański karnie podszedł do szafy pancernej i zaczął ustawiać zamek szyfrowy. Dwaj ochroniarze stali tuż za jego plecami. Po chwili chwycił prawą dłonią za klamkę. Przekręcił, czemu towarzyszyło głośne szczęknięcie zamka, i w tym momencie z całej siły odepchnął łokciami obu ochroniarzy. Stali blisko, a siła pchnięcia była duża, więc od razu stracili równowagę i opierając się o siebie, polecieli do tyłu. Pański szarpnął drzwi i nim Staszek zdążył do niego doskoczyć, wyciągnął srebrny pistolet Walther PPK, odbezpieczył kciukiem, przeładował, włożył do ust i strzelił.

Warszawa – Sztokholm
listopad 2017

Przypisy końcowe

1. W przekładzie Krzysztofa Klingera. [wróć]
2. W przekładzie Ewy Życieńskiej. [wróć]